

Dziecko Ciemności

Masterton Graham



calibre 0.9.43

Dziecko

ciemności

Rozdział pierwszy

— Ostatniego buziaka — powiedział, kiedy jej autobus ze zgrzytem kół zatrzymał się na przystanku.

Wciąż jeszcze nie dowierzał własnemu szczęściu.

Roześmiała się i szybko cmoknęła go w policzek. Już ruszała w stronę otwartych drzwi autobusu, ale chwycił ją za rękę i próbował na chwilę zatrzymać przy sobie

— No, dosyć tych czułości! — warknął kierowca. — Nie będę tu stać całą noc!

Drzwi zamknęły się z ostrym sykiem sprężonego powietrza. Jan został na krawężniku, a otoczony chmurą spalin autobus z rykiem ruszył w stronę Mokotowa.

Przez ułamek sekundy Kamiński widział jeszcze machającą mu ręką Hankę, lecz autobus szybko włączył się w ruch uliczny i zasłoniły go inne samochody.

Na przystanek przyczłapała ciężkim krokiem niska, tęga, spocona i zasapana kobieta w chustce na głowie.

— Sto trzydzieści jeden odjechało? — zapytała z pretensją, jakby to z winy Kamińskiego autobus odjechał bez niej.

— Niech pani się nie martwi. Za pięć, dziesięć minut będzie następny.

— Łatwo panu mówić! — zaoponowała. — Jest gorzej niż za komuny!

Położył jej dłoń na ramieniu i rozciągnął usta w olśniewającym uśmiechu gwiazdora filmowego.

— Dokąd pani jedzie? — zapytał.

— Na Czerniakowską. Co to pana obchodzi? Odwrócił się do niej plecami, przykucnął, wyciągnął za siebie ręce i powiedział:

— Niech pani wskakuje. Zaniosę panią na barana. To kobiecinę rozwścieczyło jeszcze bardziej.

— Idiota!* — parsknęła. — Za kogo mnie pan masz? Już ja panu wskoczę!

Ale tego wieczoru Jan Kamiński był w tak doskonałym nastroju, że nic nie mogło zburzyć pogody jego ducha. Zostawił piekłącą się kobietę na przystanku i pewnym siebie, niespiesznym krokiem kogoś, komu wszystko w życiu układa się nad podziw dobrze, ruszył Marszałkowską na północ.

Minęła dziewiąta, nastał ciepły choć wietrzny sierpniowy wieczór, centrum Warszawy było zatłoczone, gwarne i rzęsiście oświetlone. Jezdnią pędziły taksówki o rozklekotanych zawieszaniach, niezbyt zatłoczone autobusy wypuszczały w wieczorne powietrze kłęby spalin i kierowały się na Żoliborz, Wolę lub za Wisłę, na Pragę. Wiatr roznosił strzępy gazet, które plątały się pod nogami ludzi posuwających się wzdłuż jaskrawo oświetlonych witryn sklepowych w Alejach Jerozolimskich.

Tego popołudnia producent Zbigniew Dębski poinformował Kamińskiego, że zatwierdzono jego pomysł na nowy cotygodniowy program satyryczny i Radio Syrena zamierza podnieść mu pensję do dziewięciuset pięćdziesięciu złotych miesięcznie. Tak zatem Jan będzie mógł odkładać na samochód, a jednocześnie robić to, co najbardziej lubi i najlepiej umie: pisać zjadliwe, skandalizujące felietony o aferach politycznych. Zbyszek postawił Kamińskiemu z tej okazji wódkę i kupił całe pudełko herbatników w czekoladzie. Na szczęście nie

próbował Janka ścisnąć i całować, co stanowiło jego ulubiony proceder towarzyski. Dębski miał wąsy ostre jak krzewy jeżyny i wydzieliał trochę świński zapach. Ale najbardziej Kamińskiego uradowała wiadomość, że Hanka zgodziła się w końcu z nim zamieszkać (oczy dziewczyny błyszczały wstydliwie na myśl o tak śmiałej decyzji). W sobotę zamierzał pożyczyć półciężarówkę od Henia, swego znajomego, i przewieźć rzeczy dziewczyny z domu jej rodziców na ulicy Goworka do swego nowego mieszkania, którego okna wychodziły na Wisłę i most Śląsko-Dąbrowski. Zdawał sobie sprawę, że matka Hanki będzie bardziej niż niezadowolona z takiego obrotu sprawy, bo jej córka oddawała do domu większość zarabianych pieniędzy. Hanka, choć zrobiła doktorat z mikrobiologii, pracowała jako kierowniczka działu odzieżowego w domu towarowym „Sawa” i miesięcznie zarabiała prawie tyle co on: sześćset pięćdziesiąt złotych.

Matka niechybnie będzie żałować pieniędzy, ale nie może zaprzeczyć, że on i jej córka pasują do siebie jak ulał. Oboje mieli po dwadzieścia pięć lat, oboje lubili kapele Biur i REM, lubili tańczyć i bywać w nocnych klubach, uwielbiali pizzę i całonocne rozmowy o tym, co zrobią, kiedy Janek stanie się już sławny. Oboje potrafili z byle powodu wybuchnąć niepohamowanym śmiechem. Różnili się wyłącznie płcią i aparycją; Hanka była blondynką o okrągłej buzi i nieco pulchnej sylwetce, Jan chudym jak tyczka młodzieńcem o ciemnych, krótko obciętych włosach i brwiach przypominających namalowane przez dziecko dwa gawrony unoszące się nad kartofliskiem. W każdym razie on tak to widział.

Nad Marszałkowską sterczał Pałac Kultury i Nauki — olbrzymi, wysoki na dwieście trzydzieści metrów pomnik stalinowskiej architektury z trzema tysiącami pomieszczeń; zupełnie jakby kucharz przygotowujący imponujące

torty weselne postanowił zaprojektować raketę kosmiczną. Budowla w dzień była szara, a w nocy kąpała się w posępnym, bursztynowym świetle.

Jan dotarł do rogu Królewskiej i przystanął przy przejściu dla pieszych. Nie opodal rozrabiała grupa małych dzieci. Nastolatki przekazywały sobie flaszkę wódki i puszki z 7-Up, a jeden z nich, akompaniując sobie na gitarze, wątlym dyszkantem zawodził Born in the USA.

Większa część rogu ogrodzona była wysokim płotem z pomalowanych na czerwono desek. Przy Marszałkowskiej postawiono olbrzymią tablicę, na której widniał projekt dwunastopiętrowego hotelu — wysokiej, smukłej kolumny ze szkła i nierdzewnej stali — a pod nim napis: „Warszawski hotel Senacki.

Wspólne

Przedsięwzięcie Senate International Hotels i Banku Kredytowego Yistula".

Jeszcze przed miesiącem wznosił się w tym miejscu stary orbisowski hotel Załuski, relikw najgorszych lat komunizmu, oferujący gościom obskurne pokoje, nędzne jedzenie i nieuprzejmą obsługę. W swym cyklicznym programie radiowym Jan nazwał go Heartbre-ak Hotel*. Teraz jednak całe centrum Warszawy zostało odrestaurowane, pojawiły się wielkie, eleganckie sklepy z przeszklonymi witrynami i nowe wytworne biurowce. Na placu Trzech Krzyży ukończono niedawno budowę Sheratona; następny miał być hotel Senacki.

Zapaliły się zielone światła i Kamiński miał właśnie wkroczyć na jezdnię, kiedy dobiegł go cichy, ale bardzo przenikliwy wrzask. Zatrzymał się, odwrócił i zaczął nadśłuchiwać. Rozbawiona grupa małych dzieci ruszyła hurmem przez jezdnię.

— Hej, słyszeliście...?

Ale do nich nie dotarło nawet jego wołanie, więc co mówić o odległym wrzasku?

Czekał. Nagle wydało mu się, że słyszy kolejny krzyk i jeszcze następny, ale przejeżdżający z rykiem autobus skutecznie wszystko zagłuszył.

Kamiński nabrał przekonania, że wołanie dobiega zza pomalowanych na czerwono desek płotu ogradzającego plac budowy. Przypominało to krzyk kobiety albo dziecka.

Ruszył wzdłuż ogrodzenia, próbując zajrzeć na teren przez szpary. W deskach było wprawdzie kilka dziur po sękach, ale znajdowały się trochę za wysoko i dostrzegł przez nie jedynie lampę łukową, która zapewne miała palić się przez całą noc i oświetlać plac budowy.

W końcu dotarł do prowizorycznej bramy. Kiedyś prawdopodobnie zamykano ją na kłódkę, teraz jednak skręcono ją kawałkiem bardzo grubego drutu. Jan stał, spoglądał na bramę i zastanawiał się, co powinien zrobić. Jeśli za płotem rzeczywiście ktoś potrzebuje pomocy, należałoby tam zajrzeć. A może nie?

Może wystarczy tylko wykręcić numer dziewięćset dziewięćdziesiąt siedem i wezwać policję?

Jak zwykle w takich wypadkach w zasięgu wzroku nie było ani jednego policjanta.

Dostrzegł jedynie zbliżającego się krępego mężczyznę w niebieskim mundurze, czapce z daszkiem i z aktówką pod pachą.

— Przepraszam pana — zaczepił nieznajomego. — Wydaje mi się, że za płotem dzieje się coś niedobrego. Słyszałem krzyk.

Mężczyzna przystanął i niezdecydowanie dotknął dolnej wargi. Sprawiał takie

wrażenie, jakby nie rozumiał po polsku.

— Dobiegły mnie dwa lub trzy krzyki — wyjaśniał Jan. — Przypominało to wołanie dziecka.

Mężczyzna przyłożył do ucha zwiniętą dłoń i po chwili potrząsnął głową.

— Nic nie słyszę.

— Nie wiem, co mam robić. Pan nosi mundur...

— Pracuję w Pałacu Kultury. Jestem portierem. Oświadczywszy to, odczekał jeszcze chwilę, po czym wzruszył ramionami i odszedł.

— Proszę pana! — zawołał za nim Kamiński. — Ja wejdę za bramę... proszę zadzwonić na policję!

Nie był nawet pewien, czy mężczyzna go usłyszał. Pracownik Pałacu Kultury, nie zwalniając kroku, dotarł do skrzyżowania i skręcił w Królewską.

-Niech cię szlag trafi! — pomyślał Jan. — Dzięki za pomoc.

Próbował rozkręcić gruby i sztywny drut. Ktokolwiek go tam zamocował, musiał to zrobić za pomocą obcęgów. W pewnej chwili, mozoląc się z rozplataniem drutu, Kamiński rozciął sobie boleśnie kciuk, ale owinał go tylko chusteczką i w dalszym ciągu walczył z bramą. Na chwilę zatrzymało się przy nim kilku przechodniów, popatrzyli, co robi, ale nikt nie zaofiarował mu pomocy. Zainteresował się nim dopiero jakiś młodziak z drugimi, sterczącymi we wszystkie strony włosami oraz sypiącym się bujnie, choć jedwabistym jeszcze, czarnym wąsem. Miał na sobie dzinsy, kurtkę z denimu i palił marlboro.

— Marnujesz tylko czas, człowieku — odezwał się nonszalancko. — Już kilka tygodni temu wszystko stąd rozszabrowali. Jan popatrzył w jego stronę.

— Wydawało mi się, że kogoś tam słyszałem. Jakieś krzyki.

— Zapewne koty.

— Może, ale chcę sprawdzić.

— Myślałem, że zamierzasz coś zwędzić. Ja tam znalazłem stary mosiężny piecyk.

Puściłem go za cztery bańki.

Jan z godnością wygładził klapy swej zamszowej, butelkowo-zielonej kurtki.

— Czy wyglądam na kogoś, kto zbiera śmieci?

— A czy ja wiem? Różni zbierają. Pomóc? Młodziak wyciągnął duży szwajcarski scyzoryk, wsunął grube ostrze między sploty drutu i powoli zaczął je rozkręcać.

— Dzięki — powiedział Jan. — Wspomnę o tobie w radiu. Młodziak popatrzył na niego ze zdumieniem i Kamiński wyciągnął rękę.

— Pracuję w Radiu Syrena, nazywam się Jan Kamiński.

— Naprawdę? To kapitanie. Ja mam na imię Marek, ale znajomi wołają na mnie Kurt... Wiesz, od Kurta Cobaina.

Jan mocnym szarpnięciem otworzył bramę i wszedł na zdewastowany plac.

Orbisowski hotel Załuski wyburzono do fundamentów i pozostały po nim jedynie mroczne, przepastne piwnice przypominające bardziej przedsionek prowadzący do podziemnego świata. Jaskrawy blask łukowej lampy nadawał całości sztuczny wygląd opuszczonego planu filmowego. W podmuchach wiatru szeleściło zielsko i pokrzywy.

Po lewej stronie, niczym milczące, mechaniczne dinozaury, stały wyprodukowane jeszcze w Związku Radzieckim dźwig i koparka na gąsienicach. Po prawej majaczyły dwa drewniane baraki o dachach pokrytych

papą. Obok nich piętrzył się stos rur kanalizacyjnych. Latryna była

niebezpiecznie pochylona i ktoś na ścianie napisał kredą: „Krzywa Wieża w Pizie”. W powietrzu unosił się silny zapach budowlanego pyłu, wilgoci i jeszcze czegoś; drażniąca nozdrza, słodkawa woń zgnilizny.

— Ścieki — stwierdził, pociągając nosem Marek.

Kamiński stał bez ruchu i starał się wyłowić uchem każdy dźwięk. Wydawało mu się, że słyszy płacz. Ciche, żalosne, zawodzące łkanie — szloch kompletnie wyczerpanego dziecka lub kobiety, która straciła wszelkie nadzieje. Ogrodzenie z desek w dużej mierze tłumiło hałas ulicy, ale trudno było ustalić, czy to rzeczywiście ktoś płacze, czy tylko wiatr zawodzi w pustych, złożonych przy barakach rurach.

— Słyszysz? — zapytał Kamiński Marka. Chłopak zaciągnął się po raz ostatni wilgotnym dymem papierosa i wyrzucił niedopałek.

— Czy ja wiem? Może faktycznie coś tam jest.

Podeszli ostrożnie do krawędzi odsłoniętych piwnic i zajrzeli w zalegający w dole mrok. Było tak ciemno, że niczego nie dostrzegli. Czuli jedynie na twarzach delikatny, niosący woń zgnilizny przeciąg. I, tak... usłyszeli płacz, teraz jednak dużo cichszy.

— Masz rację — odezwał się Marek. — Tam na dole coś jest. Chyba koty.

— Szkoda, że nie mamy latarki.

— Pewnie jakąś znajdziemy w barakach.

— Masz propozycję, jak się do nich dostać? Oba są zamknięte na kłódki.

Marek rozejrzał się, schylił i podniósł duży kawał cegły. Bez namysłu ruszył do drzwi najbliższego baraku. Po trzech czy czterech uderzeniach skobel puścił.

— Dziadek pokazał mi, jak to się robi. Podczas wojny włamywał się do niemieckich magazynów z żywnością.

— Dobrze mieć kogoś takiego w rodzinie.

— O, tak, jeśli nie jest narżnięty. Cały kłopot w tym, że mój dziadek jest narżnięty przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Przez resztę czasu leczy kaca.

Otworzyli drzwi baraku. Wnętrze przepojone było zapachem potu, zastarzałego dymu tytoniowego, duszącą, obrzydliwą wonią kurzu i świeżej ziemi. W świetle wpadającym przez brudną szybę okna majaczył stół zavalony brudnymi kubkami, gazetami z porozlewana na nich kawą i pełnymi niedopałków puszkami po konserwach. Na ścianach wisiały fotosy dziewczyn. Jedna, z olbrzymim biustem, miała dorysowane flamastrem wąsy, jakie nosi Wałęsa. Podpis pod zdjęciem głosił: „Miss Polonia”.

W odległym kącie, obok pokieroszowanych kasków Marek odkrył wielką brezentową torbę z narzędziami. Zaczął przebierać w młotkach, wiertłach, żabkach i śrubokrętach, aż w końcu natrafił na latarkę. Zapalił ją, kierując snop światła sobie na twarz. Przez chwilę wyglądał jak chudy, szczerzący zęby wampir.

Wrócili do krawędzi wykopu i skierowali strumień światła w ciemność. Ujrzeni zwały gruzu i przewrócone krzesło, ale żadnej żywej istoty tam nie było.

— Nic — stwierdził Marek. — To pewnie tylko wiatr. Ale gdy mieli już odejść, ponownie usłyszeli płacz; tym razem wyraźniejszy.

— Stary, jesteś pewien, że to kot? — zapytał Kamiński. — Może powinniśmy zadzwonić na policję?

— Najpierw sami się rozejrzemy. O, tutaj... po tych połupanych ceglach możemy zejść.

— Dobra, idę pierwszy — zgodził się Jan. — Ty świeć latarką tak, żebym widział, gdzie stawiam nogi.

Uklęknął na betonowej krawędzi i spuściwszy stopę, zaczął nią ostrożnie macać w poszukiwaniu jakiegoś stopnia. Znalazł jeden, później następny. Mur sprawiał wrażenie solidnego. W pewnej chwili jednak noga trochę mu się ześlizgnęła, ale cały czas mocno się trzymał sterczącego z muru kawału cegły.

W poszukiwaniu kolejnego stopnia pomacał lewą stopą. Podeszwa buta natrafiła na kawał drewna owiniętego drucianą siatką. Powoli przeniósł na nie ciężar ciała. Belka trzymała. Obniżył się o metr. Przez chwilę, przylepiony do pionowego gruzu, odpoczywał ciężko oddychając.

— Ej, wszystko w porządku? — zawołał Marek.

— Jasne. Trochę brakuje mi kondycji, to wszystko.

Odniosł wrażenie, że słyszy kwilenie, później następne. Po chwili jednak docierał już do niego wyłącznie jego własny chrapliwy oddech i — gdzieś z góry, spoza drewnianego płotu — monotony szum ulicznego ruchu. Pomyślał, że chyba pomieszało mu się w głowie, skoro złazi do wyburzonych piwnic w poszukiwaniu dziecka, które zapewne okaże się zwykłym kotem. Nad sobą widział postać Marka. Chłopak, zapaliwszy kolejnego papierosa, wydmuchnął nosem dym w wieczorne powietrze.

— No to do roboty — mruknął pod nosem radiowiec.

Zaczął macać prawą stopą, ale nie mógł znaleźć dla niej żadnego oparcia. Chyba będzie musiał po prostu spróbować się ześlizgnąć po gruzie i mieć nadzieję, że

trafię w końcu nogą na jakiś pewny występ — pomyślał.

Serce waliło mu jak młotem, w uszach narastał łoskot pulsującej krwi.

Ześlizgnął się o pół metra. Później jeszcze trochę. Wbijał paznokcie w piasek i pokruszony cement, żeby uchronić się przed utratą równowagi i upadkiem.

Zaczął właśnie gratulować sobie sprawności, z jaką schodzi po olbrzymiej, stromej hałdzie gruzu, kiedy spod prawej stopy osunął mu się olbrzymi kawał betonu i Jan zaczął bezwładnie spadać, próbując rozpaczliwie złapać się czegoś rękami.

W podłogę piwnicy wyrznął z taką siłą, iż przez chwilę myślał, że złamał sobie kark.

— Umarłeś, czy co? — wrzasnął Marek i zaświecił Janowi latarką prosto w oczy.

Kamiński, zbyt oszołomiony upadkiem, by choćby jęknąć, leżał jeszcze jakiś czas bez ruchu.

— Ej... wszystko w porządku? — zawołał ponownie Marek. Jan zdołał jakoś podeprzeć się na łokciu, a następnie ostrym skrzytem ciała podniósł się na kolana.

— Chyba niczego sobie nie złamałem! — odkrzyknął. — Trochę mnie zatkało!

— Wstał i strzepnął kurz z rękawów kurtki. — Nic mi nie jest! Zaraz się tu rozejrzę.

Zaczął posuwać się wzdłuż ściany piwnicy, zaglądał do wszystkich szczelin i pęknięć w murze, do wnęk i wypełnionych kurzem przewodów wentylacyjnych.

Na jednej ze ścian lekko drżała od-darta tapeta. Na innej widniał wyblakły czerwony gryzmoł: „Basi”. Na górze Marek szedł powoli po betonowej

krawędzi fundamentów i błędził światłem latarki po pomieszczeniu.

— Znalazłeś coś? — zapytał.

— Jeszcze nie. Ale wszystkie pomieszczenia są ze sobą połą: czone. Sprawdzę w następnym.

Drzwi między poszczególnymi segmentami zostały dawno wyrwane i w sąsiedniej piwnicy Kamiński zobaczył stos połamanych skrzynek oraz zwalony stojak na butelki z winem.

Pod stopami chrzęściła mu gruba warstwa pokruszonych cegieł i zdruzgotanego szkła, a Marek z góry obmacywał to wszystko światłem latarki. Nie natrafili na ślad niczego, co by się ruszało.

Jan zerknął na piętrzące się obok zwały gruzu i chwilę się zastanawiał, w jaki sposób wróci na powierzchnię. Może w którejś z sąsiednich piwnic trafi na drabinę, może natknie się na mniejstromą stertę cegieł? Wszedł do kolejnego pomieszczenia, po czym skręcił w prawo do następnego. I wtedy do jego uszu znów dotarł ów płacz, teraz już dużo, dużo wyraźniejszy. Wydawało się, że dochodzi z przeciwnej strony wykopu, w którym się znalazł. Gwizdnął zatem na Marka i zawołał:

— Jestem tutaj! Znów to słyszę!

Piwnicę przeciął snop światła z latarki i zatrzymał się na przeciwległej ścianie. Wisiały na niej półki. Na niektórych stały jeszcze pokryte grubą warstwą kurzu dzbanki, słoiki po marynatach oraz zardzewiałe cedzaki. Po prawej stronie, w samym rogu pomieszczenia, czerniała w podłodze trójkątna dwumetrowa dziura. Stamtąd właśnie dobiegał odbijający się echem płacz.

Jan ruszył w stronę otworu i zerknął do środka. Było zbyt ciemno, żeby

cokolwiek zobaczyć. Z dziury dobywał się cuchnący ściekami wyziew i dochodził bulgot płynącej wody.

— To tu! — krzyknął. — To na pewno tu!

— Widzisz jakieś dziecko?

— Nie wiem, nic nie widzę. Posłuchaj... może byś zrzucił mi latarkę?

— Czy mam zadzwonić po gliniarzy!

— Pozwól, że się najpierw rozejrzę.

Marek zbliżył się do skraju dziury i rzucił latarkę prosto w ręce Kamińskiego.

— Tylko uważaj — ostrzegł.

Jan wrócił do wybitego w podłodze otworu i skierował do środka strumień światła.

Ujrzał zakrzywiony betonowy przewód kanalizacyjny pełen białawego szlamu.

Na dnie rury leżało kilka potrzaskanych brył betonu, które wpadły do kanału, gdy wdarła się do niego łyżka koparki. Dostrzegł też małą szmaccianą lalkę o poważnej, nachmurzonej twarzy. Lalka ubrana była w kasztanowej niegdyś barwy sukienkę, teraz brudną i szarą.

— Halo! — zawołał Kamiński. — Czy mnie słyszysz? Jeśli zostałeś tam uwięziony, pójde po pomoc! Bez paniki! Przyprawdzą kogoś i razem cię stamtąd wyciągniemy!

Zamilknął i chwilę nadśluchiwał. Płacz nie ustawał, choć teraz już dochodził z większej odległości. Bijący z kanału smród był przerażający, lecz Jan nie zważając na to, opadł na kolana na krawędzi dziury i wychylił się najdalej jak potrafił.

— Hej! — krzyknął. — Hej, tam na dole! Czy mnie słyszysz?

Kolejny wrzask—przenikliwy i przeciągły. Rura kanalizacyjna zniekształcała dźwięk i hałas brzmiał tak, jakby ktoś gwizdał glissando.

— Jezu Chryste — dobiegł z góry głos Marka. — Co się tam, do cholery ciężkiej, wyprawia?

— To właśnie chcę sprawdzić — odparł Jan. — A ty dzwoń po policję i pogotowie.

— Chyba nie masz zamiaru włązić dalej?

— Przecież mam latarkę.

— Tak, ale jeśli...

— Jeśli co?

— Nie wiem. A jeśli ktoś tam jest?

— Na przykład kto? To tylko dzieciak. Prawdopodobnie ugrzązł w kanałach, to wszystko. Marek przez chwilę się wahał.

— W porządku — powiedział w końcu. — Zadzwonię po gliniarzy.

Kamiński wziął głęboki wdech, ponieważ od bijącego z przewodu kanalizacyjnego smrodu zaczęło go mdlić. dzielnie jednak zacisnął palce na latarce i zbliżył się do krawędzi strzaskanego kanału. Uklęknął i spuścił nogi do środka. Kiedy znalazł się już na dnie szerokiej rury, poczuł, że buty ma pełne zimnej, ściekowej wody; nie przypuszczał, iż może być aż tak głęboka.

— Psiakrew! — zaklął pod nosem.

Przewód miał niecałe dwa metry średnicy, ale to wystarczało, żeby w mocno pochylonej pozycji móc się nim posuwać. Kamiński wyciągnął z kieszeni chustkę,

po czym zakrył nią usta i nos tak, że wyglądał jak bandyta. Marzył o tym, żeby

mieć przy sobie butelkę z płynem po goleniu. Już wszystko było lepsze od smrodu mazistych, ludzkich ekskrementów. Nie wyobrażał sobie, jak powstańcy potrafili tyle czasu spędzać w kanałach.

— Halo! — zawołał. — Czy mnie słyszysz? Idę z pomocą! Zostań tam, gdzie jesteś!

Nie ruszaj się i cały czas do mnie wołaj!

Chwilę nasłuchiwał, ale z ciemności nie dobiegła żadna odpowiedź. A przecież... sądząc po nasileniu dźwięku, dziecko znajdowało się bardzo blisko.

Poza tym kanały nie mogły być zbyt kręte. Biegły wzdłuż ulic, a zatem były proste.

Ponadto po drodze, gdyby musiał w jakimś miejscu wydostać się na powierzchnię, natknie się na dziesiątki włazów inspekcyjnych.

Z pochyloną nisko głową posuwał się szeroką rurą, butami rozchlapując ścieki.

Światło latarki tworzyło na nierównym betonie zawile wzory, a przy każdym kolejnym kroku na ścianach skakał i tańczył jego pokraczny, przypominający gremlina cień.

— Halo! — zawołał ponownie i po chwili jego własny, odbity echem głos wrócił, wypełniając Kamińskiemu uszy przerażającym dudnieniem.

Przekręcił się niezdarnie w ciasnej rurze kanalizacyjnej, chcąc sprawdzić, ile już przeszedł. Do wnętrza rozerwanego przewodu wpadał delikatny poblask lampy łukowej i Kamiński, który odnosił wrażenie, iż posuwa się już co najmniej przez pięć minut, skonstatował, że zaszedł zapewne nie dalej niż na drugą stronę ciągnącej się nad nim Królewskiej. Oczy mu łzawiły, ciekło z nosa, ale stopniowo oswajał się z panującym w kanale smrodem. A fetor był gorszy

niż w ubikacji, gdzie każdego ranka rozsiadał się na sedesie na dobrych dwadzieścia minut jego wuj Henryk i czytając od deski do deski „Gazetę Wyborczą”, wypełniał niewielkie pomieszczenie zapachem piwka i przetrawionej kwaszonej kapusty, którą jadł poprzedniego dnia.

Jan Kamiński sunął do przodu, postępując z wysiłku. Od czasu do czasu przystawał, żeby zaczerpnąć tchu i zawołać:

— Już idę! Słyszysz mnie? Już idę!

Jego głos odbijał się i odbijał donośnym echem, coraz bardziej zniekształcany, tak że w końcu wydawało się, że to ktoś inny woła do niego.

Dwieście metrów dalej szum płynącej wody stał się znacznie głośniejszy.

Skulony Kamiński zrobił jeszcze kilkanaście kroków i nagle ciasna rura, którą się posuwał od miejsca, gdzie strzaskała ją koparka, skończyła się w olbrzymiej, pełnej ech betonowej komorze, głębokiej prawie na dwanaście metrów.

Środkiem biegł zakrzywiający się kanał. Płynął tamtędy gęsty potok brudnej, mętnej wody.

Tutaj zbierały się wszystkie odpadki i nieczystości z pobliskich ulic, żeby odpłynąć szybko na południowy zachód, do głównego zbiornika asenizacyjnego na Ochocie.

Jan stał nad komorą i oświetlał kolejno latarką ostrohekowe wloty czerniejące w ścianach komory. Gdyby chciał dalej badać kanały, musiałby brodzić w wodzie po kolana, a bez wysokich butów nie miał najmniejszego zamiaru tego robić.

— Jestem tutaj! — zawołał. — Dalej nie mogę iść! Jeśli mnie słyszysz, powiedz, gdzie jesteś!

Czekał, wytężał słuch, ale dochodził doń jedynie monotony szum wody.

Kamiński nie był z natury tchórzem, ale dobrnął już tak daleko i nic nie znalazł.

Jedynie święty lub wariat prowadziłby dalsze poszukiwania.

Przyszło mu do głowy, że jeśli nawet znajdowało się tu gdzieś jakieś dziecko, to samo już znalazło drogę wyjścia.

Miał właśnie zawrócić, gdy w wypełnionym nieczystościami kanale, tuż pod nim, coś się zakotłowało, przez chwilę młóciło wodę, a następnie na powierzchnię wystrzeliła postać — mała, cała usmarowana na szaro sylwetka — która otworzyła usta i wydała okropny wrzask: Aaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaach!

Przerażony Jan szarpnął się do tyłu i przywarł plecami do ściany kanału. Postać pokryta była tak grubą warstwą szlamu i ściekowych nieczystości, że nie dawało się określić, czy to chłopiec, czy dziewczynka. Ale jedną rzecz można było stwierdzić natychmiast: postać nie miała rąk. Uniosła się na kolanach z wody i kiwając się w przód i w tył, wypuszczając ustami bąble szarej mazi, wrzeszczała w niewyobrażalnym cierpieniu.

— Poczekaj! Poczekaj! — zawołał Kamiński. — Zaraz cię stamtąd wyciągnę!

Poczekaj!

Od rury, w której stał Jan, do dna komory prowadził rząd bardzo mocno skorodowanych metalowych klamer wbitych w mur. Kamiński odwrócił się tyłem do rozległej niszy i zaczął schodzić po żelaznych stopniach. A postać krzyczała i krzyczała. Zanim jednak Jan zdążył przebyć połowę drogi, z bocznych odnóg kanału z ogłuszającym bulgotem wytrysnęły strugi ścieków i setki litrów nowych nieczystości wlały się do komory. Szalony prąd porwał postać, wrzucił ją w główny nurt i po chwili dziwna istota zniknęła w najbliższym zwieńczonym ostrołukiem otworze.

Jan przyłgnał do metalowych stopni, a zimne ścieki zalewały mu stopy i

kotłowały

się wokół kolan. Widział strzępy rozmoczonego papieru toaletowego i smugi brązu we wszystkich możliwych odcieniach. Dostrzegł również utopionego szczura. Ale postaci, która wynurzyła się z krzykiem z nieczystości, nie było nigdzie.

Najszybciej jak mógł wrócił po stopniach do rury odpływowej. Wprost nie mieściło mu się w głowie to, czego był świadkiem. Dziecko bez rąk albo pies bez nóg; a może sędziwy sum, który w jakiś sposób przedostał się z Wisły do kanałów.

Kaszłac i spazmatycznie łapiąc cuchnące powietrze, ruszył ciasną rurą w drogę powrotną. Pragnął już tylko jak najszybciej wydostać się na powierzchnię. Od wędrówki w skulonej pozycji bolały go plecy. W głowie łupało. Ogarniała go panika na myśl, że jakaś lśniąca, szara, żyjąca w kanałach postać, wijąc się niczym człowiek --gąsienica z filmu „Dziwolągi”, wspina się po zardzewiałych klamrach, a następnie rusza jego tropem. Posuwał się zgięty wpół na podkurczonych nogach, co chwila uderzał głową w sklepienie kanału i wmawiał sobie, że jest już blisko celu, że niebawem wydostanie się na powierzchnię. Ale rura kanalizacyjna w jakiś tajemniczy, niewytłumaczalny sposób najwyraźniej się rozciągała w miarę, jak przemierzał dystans. Nie widział nawet jeszcze mglistego poblasku światła lampy hakowej.

Po dwóch czy trzech minutach musiał przystanąć. Pochylony, wsparł dłonie na kolanach i ciężko oddychał. Żołądek odmówił posłuszeństwa. Zwymiotował śliną wymieszaną z kawałkami czekoladowych herbatników.

Znów wyciągnął chusteczkę do nosa i wytarł twarz. Najwyższym wysiłkiem woli nakazał sobie spokój. W tamtej komorze nie mogło być żadnego dziecka. Najprawdopodobniej widział psa, który przypadkowo trafił na wylot któregoś z szybów wentylacyjnych. W jaki sposób dziecko mogłoby zawędrować tak głęboko do kanałów?

Ale cokolwiek by to było, z całą pewnością nie podążało jego śladem. Zostało okaleczone, utopiło się i zabrała je woda. A on musi jak najszybciej wyjść na powierzchnię, spłukać z siebie brud i doprowadzić się do porządku.

Zgięty wpół jak scyzoryk, oświetlając sobie drogę latarką, ruszył dalej. Bał się, czy w chwili paniki nie pomylił trasy, nie skręcił w niewłaściwy korytarz i teraz nie posuwa się drogą prowadzącą donikąd. Ogarnęła go zgroza na myśl, że tygodniami będzie krążył w labiryncie wąskich rur, przyłączy i kanałów.

Wyobrażał sobie chwilę, gdy zostanie uwięziony w ciasnej przestrzeni dokładnie

pod olbrzymią, ciężką bryłą Pałacu Kultury, w latarce wyczerpią się baterie, a wokół niego zapadnie nieprzenikniony mrok.

Po kilku kolejnych minutach marszu dostrzegł nagle światło dochodzące z miejsca, w którym koparka przerwała rurę. Po raz pierwszy od chwili śmierci matki zaczął się modlić.

Matko Boska, dzięki Ci za to, żeś wybawiła mnie z opresji. Błagam, odsuń ode mnie wszelką rozpacz i chroń od złej przygody.

I wtedy znów rozległ się hałas.

Przystanął i zaczął nadśłuchiwać. Początkowo dobiegał go jedynie szmer wody i cichy, melancholijny syk powietrza, stanowiący echo ciągnącego kolektorem

potężnego przeciągu. Brzmiało to tak, jakby gdzieś w ciemnościach nawoływały się tajemnicze, wielkie potwory.

Ale znów to usłyszał. Stłumione szuranie — czyżby ktoś włókł przez ciasną rurę miękki, lecz ciężki i masywny skórzany wór?

Kamiński odwrócił się i poświecił latarką w stronę, z której przyszedł, lecz w bezliku ruchliwych cieni i refleksów świetlnych trudno było cokolwiek zobaczyć. Najdziwniejsze jednak, że odbicia światła raptownie kończyły się w odległości jakichś pięćdziesięciu metrów, a powierzchnia płynącego dnem kanału i pomarszczonego w jodełkę ścieku przestawała lśnić. Najwyraźniej coś blokowało tunel; coś bardzo dużego i ciemnego, co pochłania blask i przez co światło nie może się przebić. Coś, co sunąc śladem człowieka, szurało i szeleściło. Jan zaczął się cofać. Wszystko to bardzo mu się nie podobało. Owa mała postać w sklepionej olbrzymiej komorze kanałowej z pewnością nie mogła podążać jego śladem. Ale czym było to? Cofał się i cofał, świecił latarką w kierunku mrocznego kształtu sunącego jego tropem. Raz czy dwa potknął się na nierównościach w miejscach, gdzie łączyły się poszczególne odcinki rury.

Macając na oślep w poszukiwaniu drogi, wodził dłonią po ścianach betonowego przewodu, choć pokrywała je gruba warstwa tłustego szlamu i odrażających nieczystości.

Coś tak wielkiego, co wypełnia sobą całą rurę, nie może się poruszać szybko.

Tym się pocieszał. Ale od wyjścia z kanału dzieliło go jeszcze około stu metrów i doznawał przykrego wrażenia, iż podążająca za nim istota może go jednak dopaść.

Choć z całą pewnością sporo ważyła, przemieszczała się zadziwiająco sprawnie.

Szuranie dochodziło z coraz mniejszej odległości, a sam stwór wydawał już takie odgłosy jak nadjeżdżający pociąg.

Jan przystanął, ręką oparł się o ścianę dla złapania równowagi i rzekł:

— Nie!

A po chwili powtórzył:

— Nie!

Zupełnie jakby niewiarą w to, co się naprawdę dzieje, oraz tym jednym prostym słowem był w stanie to wszystko zakończyć.

To nie mogła być prawda. Słyszał wiele historii o psach czy kotach spuszcanych z wodą w toaletach. Zwierzęta te później osiągały ogromne rozmiary, tucząc się na zdrowej, pożywnej diecie złożonej głównie z ludzkich ekskrementów; aligatory, żółwie, a nawet bożonarodzeniowy karp, którego nikt w rodzinie nie odważył się zabić. Ale to były tylko opowieści. Klity-bajdy.

Jeśli coś rzeczywiście go ścigało, mógł to być wyłącznie człowiek. A z człowiekiem Jan Kamiński sobie poradzi. Szuranie, choć wyraźnie zwolniło, nieustannie się jednak przybliżało.

— Kim jesteś? — zawołał Kamiński. — Dlaczego za mną idziesz?

Szuranie spowolniało jeszcze bardziej, lecz dobiegało już z bardzo bliska.

— Nie umiesz mówić? — wykrzyknął Jan. — Kim jesteś? Posłuchaj... nie musisz się niczego bać.

Gdy mroczna istota znalazła się już w odległości zaledwie kilku metrów, latarka

Kamińskiego

zaczęła przygasać.

Żaróweczka

zarzyła

się nikłym

pomarańczowym blaskiem, a stwór był tak ciemny, że wydawało się, iż wchłania raczej niż odbija światło.

— Czego chcesz? — zapytał Jan. — Wcale się ciebie nie boję.

Odnosił wrażenie, że słyszy oddech. Głuchy, niemiarowy oddech. I znów szuranie, a towarzyszył mu dźwięk przypominający szelest powoli opuszczanej, zbutwiałej, aksamitnej kurtyny. Napłynęła fala smrodu, który przebijał się nawet przez panujący w kanałach fetor.

Cuchnęło zepsutym mięsem; jak od zająca, który za długo wisiał za oknem.

— Wcale się ciebie nie boję — powiedział głośno Kamiński. — Jesteś tylko człowiekiem.

Jednocześnie zaczął się gwałtownie cofać, spoglądając co chwila za siebie, żeby sprawdzić, jaki odcinek rury pozostał jeszcze do przebycia. Był przekonany, że gdyby pochylił nisko głowę i zaczął biec najszybciej jak potrafi, dotarłby do końca przewodu, zanim mroczny stwór — człowiek czy cokolwiek to było — zdoła go dopaść. Poza tym to — lub on — nie było wcale groźne. Może szło za nim ze zwykłej ciekawości? Może to — lub on — było tylko gnieźdzącym się w kanałach włóczęgą? Może to ktoś głuchoniemy, niedorozwinięty i dlatego nie odpowiadał?

A może nie.

Jan zrobił kolejny krok. I następny. Posuwał się teraz energiczniej, ale ciągle bał się odwrócić do mrocznego intruza plecami i ruszyć biegiem. To, co szurało i ślizgało się za nim po lepkim betonie, robiło to coraz szybciej i naraz Kamiński

odniósł wrażenie, że przez rurę wlecze się niejeden, ale wiele ciężkich worów.

Wiele ciężkich i przerażająco miękkich worków wypełnionych czymś, czego każdy człowiek brzydziłby się dotknąć; czymś, co było kompletnie rozmiękle i rozmokłe.

Ta ciemna rzecz posuwała się już tak szybko, że radiowiec się potknął. Opadł na kolano, ale natychmiast powstał na równe nogi, odwrócił się plecami do nadciągającej zgrozy i jak szalony pognął przed siebie. Głowę trzymał nisko, rozkładał ramiona, macając dłońmi drogę w tej przytłaczającej rurze, spod brnących w wodzie stóp rozlegało się dźwięczne plusk-plusk-plusk.

Dotarł w końcu do miejsca, gdzie koparka roztrzaskała kanał. Oślepiło go bijące prosto w oczy światło lampy łukowej. Spazmatycznie łapiąc powietrze, chwycił się betonowej krawędzi, by przerzucić przez nią ciało. Choć napompowany już adrenaliną, ogarnięty nagłą paniką, puścił szorstką krawędź i ciężko zwałił się z powrotem do przewodu. Spadła na niego niewielka lawina ziemi i kawałków pokruszonego cementu; oślepiła, dostała się do ust.

Cokolwiek to było — człowiek czy bestia — mroczny stwór nie dał

Kamińskiemu najmniejszych szans. Gdy Jan ponownie próbował chwycić się oślizgłej krawędzi betonu, to coś wyrznęło w niego z impetem pędzącego samochodu. Siła uderzenia odrzuciła radiowca na trzy czy cztery metry w głąb kanału, oddalając go od zbawczej dziury.

Jan próbował dźwignąć się na nogi. Był jednak tak ogłuszony i oszołomiony uderzeniem, że znów się przewrócił. Jeszcze raz próbował wstać; ale ponownie upadł. Zakaszłał, zupełnie jakby zamierzał coś powiedzieć.

W jednej chwili jakaś siła uniosła go za szyję i cisnęła o betonową ścianę rury

z taką mocą, że rozległ się cichy trzask pękającej czaszki. Na Kamińskiego zważyło się coś wielkiego i nieprawdopodobnie ciężkiego, przyszpiliło go do porowatego dna rury. Płynące dnem ścieki zaczęły obmywać mu twarz. Wszczął się szybki ruch i nagle głowa Jana wciągnięta została w coś, co przypominało wilgotny, skórzany worek. Kamiński próbował zaczerpnąć tchu, chciał wrzasnąć, ale usta i nos wypełnił mu gęsty, kleisty śluz. Smród gnijącego mięsa stał się porażający. Jan nie był w stanie ani oddychać, ani wykrztusić słowa. Mógł tylko wić się i szarpać w daremnych próbach wyrwania się temu czemuś, co trzymało go w uścisku. Ale zupełnie jakby kopał luźno zwieszające się firanki. Stwór zdawał się wypełnionym pustką kawałkiem materiału. Kamiński zakrztusił się. Chciał zawołać matkę, powiedzieć, co mu się przytrafiło, lecz nie był w stanie już tego uczynić. Mógł tylko bezskutecznie kopać napastnika.

Umieram umieram umieram nie pozwól mi umrzeć.

Wtedy poczuł ostre, bolesne uderzenie w bok szyi. Po nim następne i następne.

Ostatnią myślą Jana Kamińskiego było: Matko Boska! On odcina mi głowę!

Rozdział drugi

Gdy do drzwi jej pokoju zastukał Piotr, Sarah właśnie modelowała suszarką włosy.

Początkowo zapukał tak nieśmiało i bojaźliwie, że nie usłyszała, iż ktoś chce do niej wejść. Później jednak, gdy nabrał już większej śmiałości, załomotał tak głośno, aż Sarah otworzywszy drzwi, spytała:

— Coś się stało? Hotel się pali? Co się dzieje? Stojący w progu Piotr wykręcał nerwowo palce jak uczeń, któremu polecono zgłosić się do dyrektora szkoły..

— Obawiam się, że coś gorszego.

— Coś gorszego? Jak to gorszego? Ale proszę, niech pan wejdzie. Ktoś zobaczy mnie w tym stroju i pomyśli, że jestem drugą Ivaną Trump.

— Ależ pani jest nie ubrana, panno Leonard.

— Jestem nie ubrana do wyjścia na ulicę, panie Gogiel, ale tutaj ten strój jest całkiem odpowiedni. Poza tym nie wiem, co mam włożyć w sytuacji gorszej niż pożar hotelu.

Piotr wsunął się do pokoju i nieśmiało stanął przy oknie, starając się trzymać od Sarah możliwie najdalej. Panna Leonard usiadła przed lustrem i zaczęła rozczesywać swe bujne jasne loki z taką pasją, jakby żywiła do nich urazę od najwcześniejszego dzieciństwa.

— Dziś rano dzwoniła do mnie do domu policja — wyjaśnił Piotr. — Ktoś zginął na placu budowy. Sarah odłożyła szczotkę.

— Zginął? Wielki Boże! Tak mi przykro. Jak to się stało?

— Cóż, tego jeszcze nikt nie wie.

— Zawsze mówiłam, że zasady bezpieczeństwa pracy stosowane przez Brzezickiego są nie do przyjęcia. Panie Piotrze, czyż tak nie mówiłam? Połowa robotników pracuje bez kasków ochronnych. A raz widziałam któregoś z nich, jak podczas burzenia ściany na nogach miał tylko cholerne plastikowe sandały. To jakiś kretyn! Myślałby kto, że spędza czas na plaży, a nie przy wyburzaniu pięciopiętrowego budynku!

Piotr przełknął ślinę. Był potężnie zbudowanym, miłym, młodym mężczyzną z dużą okrągłą głową, prawie łysym, choć liczył nie więcej niż trzydzieści jeden lub trzydzieści dwa lata. Miał najbardziej błękitne oczy, jakie Sarah widziała w

życiu. Bardzo go lubiła, a co więcej ufała mu, czego nie mogła powiedzieć o większości wymuskanych, przylizanych dyrektorów Banku Kredytowego Yistula, którzy zbyt wiele razy oglądali film Wall Street. Później z półek domu towarowego „Wars” zniknęły wszystkie czerwone szelki.

— Obawiam się, że to nie był wypadek. Ktoś został zamordowany.

— Zamordowany? Chyba pan sobie ze mnie żarty stroi. To nie był żaden z ludzi Brzezickiego?

— Nie, nie. Nazywał się Jan Kamiński. Radiowiec... bardzo w Warszawie popularny.

Znaleziono go w kanale.

— Czy wiadomo, kto go zamordował? Piotr potrząsnął głową.

— Powiedziano mi tylko, że zbrodnia była wyjątkowo odrażająca.

— Och, Boże! Ale to chyba nie opóźni nam robót?

— Nie wiem. O tym musi pani porozmawiać z policją.

— Porozmawiam.

Usiadła przy toalecie i zaczęła robić makijaż. Piotr nie wiedział, czy ma patrzeć na nią, czy wyglądać przez okno na namalowane na gołej ścianie stojącego naprzeciwko budynku stylizowane drzewa. Ale swoją drogą Sarah była warta tego, żeby się jej przyglądać; trzydziestoletnia, bardzo elegancka, wręcz wymuskana, o uderzająco jasnej cerze. Choć mówiła z pełnym werwy, chicagowskim akcentem, wyglądała jak typowa Polka i po trosze z tego właśnie względu przysłano ją do Warszawy. Po matce odziedziczyła wysokie kości policzkowe, lekko zadarty nos i świetliste oczy barwy akwamaryny.

Nie przerywając rozmowy, ubrała się za otwartymi drzwiami szafy. Skrępowany

Piotr nie wiedział, gdzie oczy podziać. Sarah miała szerokie ramiona i wielkie piersi, lecz ponieważ włożyła nienagannie skrojoną popielatą sukienkę, wyglądała na szczuplejszą i wyższą, niż była w rzeczywistości.

— Ten Jan Kamiński? Czy go znałam?

— Nie sądzę. Prowadził serwis informacyjny w Radiu Syrena... Rodzaj krytycznych

felietonów politycznych z satyrycznymi komentarzami. Ostatnio jest bardzo popularny... to znaczy, był...

— Czy policja jest jeszcze na placu budowy?

— Powiedzieli, że porozmawiają z panią później.

— Gówno prawda. Muszę z nimi porozmawiać teraz.

— Cóż... nie chcę pani krytykować, panno Leonard, ale moim zdaniem policję należy traktować tak samo, jak ludzi z wydziału gospodarki przestrzennej.

Miał na myśli wydział planowania, który sprzeciwiał się pierwotnym planom budowy hotelu Senackiego. Sarah osobiście udała się do urzędu i do łez rozczuliła dwóch wysokiej rangi urzędników. Jeszcze tego samego popołudnia plany zostały zatwierdzone z jedną tylko, niewielką poprawką odnośnie fasady. W języku polskim istnieje słowo „przebojowiec”, ale stanowi ono bardzo nieadekwatny odpowiednik terminu ball-breaker. Tamtego jednak dnia kilka osób z warszawskiego kierownictwa planowania architektonicznego pojęło sens tego określenia z najdrobniejszymi niuansami.

Sarah wybuchnęła śmiechem i uspokajająco poklepała Piotra po ramieniu.

— Nie doprowadzę ich do płaczu, jeśli o to panu chodzi.

Piotr nieśmiało przekroczył za nią automatyczne drzwi wyjściowe hotelu

Holiday Inn. Był ciepły, słoneczny poranek i ulicami przewalały się tłumy ludzi.

Ruszyli przez parking znajdujący się naprzeciwko hotelu. Po drodze minęli zdezelowanego poloneza, rozbitego volkswagena oraz kilka wywoskowanych na wysoki połysk volvo i mercedesów. Sarah szła tak szybko, że Piotr z trudem za nią nadązał.

— Powiedzieli mi, że został zabity wczoraj wieczorem. Znalazł go jakiś nastolatek.

— Co on robił na naszej budowie?

— Tego mi nie powiedzieli.

— Dlaczego nikt mnie o tym nie powiadomił wcześniej?

Przeszli przez jezdnię na Marszałkowskiej. Nieustanny ryk autobusów prawie ich ogłuszył. Posuwali się tak szybko, że na plac budowy dotarli w kilkanaście minut. Stało tam pięć lub sześć policyjnych radiowozów, a cały chodnik oddzielony został biało--czerwonymi taśmami. Sarah, głośno i wyraźnie wołając: proszę, przepchnęła się przez tłum gapiów. Kiedy dotarła do zagradzającej dalszą drogę taśmy, po prostu zanurkowała pod nią i przedostała się na drugą stronę. Natychmiast też pojawił się policjant z uniesioną ręką.

— Tutaj nie wolno nikomu wchodzić — oświadczył.

— Ale mnie wolno. Ten teren należy do mojej firmy.

— Proszę pani, nawet pół Warszawy może należeć do pani firmy. Ale tu nikomu wchodzić nie wolno.

— Kto tu jest dowódcą?

— Nie może pani tu wejść. Proszę cofnąć się za taśmę.

— Słucham? Myślałam, że ten temat już wyczerpaliśmy. Chcę rozmawiać z oficerem, który wami dowodzi.

Policjant zwrócił się do Piotra, ale ten tylko rozłożył bezradnie ramiona.

— Ta pani nie rozumie, co to znaczy „nie wolno”.

W tej samej chwili w prowadzącej na budowę bramie pojawiło się trzech oficerów śledczych, a za nimi fotograf oraz jakiś człowiek z dużą aluminiową walizką.

Jeden ze śledczych na widok Sarah przystanął, po czym ruszył energicznie w jej stronę. Był to krępy mężczyzna z siwymi, krótko obciętymi włosami. Miał za dużą głowę w stosunku do ciała, ale na swój surowy, niezdarny sposób był bardzo przystojny. Nosił wymięty brązowy garnitur i krzykliwy czerwono-żółty krawat ze lśniąca spinką.

— O co chodzi? — zapytał.

— Ta pani koniecznie chce tu wejść, komisarzu. Twierdzi, że plac budowy należy do jej firmy.

— Tylko nie „twierdzi” — odparła ostro Sarah. — Czy to pan tu sprawuje władzę?

— Zgadza się — odparł oficer, wyjął camela i zapalił go dużą metalową zapalniczką. — Obawiam się, że zostało tutaj popełnione morderstwo. Pani rzeczywiście nie wolno tu wchodzić.

— Może wyjaśni mi pan zatem, co się dokładnie wydarzyło?

— Nie, obawiam się, że nie mogę.

— No cóż, to może przynajmniej powie mi pan, kiedy moi podwykonawcy będą

— mogli wrócić do pracy.

— Tego również nie mogę pani powiedzieć. Moi technicy i lekarze sądowi nie zakończyli jeszcze czynności śledczych.

— Ale o czym mówimy? O godzinach? O dniach?

— Naprawdę trudno mi powiedzieć — odparł policjant z wyraźnym rozbawieniem w głosie.

— Poproszę pana o nazwisko.

— Komisarz Stefan Rej z wydziału zabójstw.

— No cóż, komisarzu Rej, czy zdaje pan sobie sprawę z tego, ile kosztuje nas każdy dzień przestoju w pracy?

— Podejrzewam, że bardzo dużo pieniędzy.

— Ma pan całkowitą rację. Bardzo dużo pieniędzy. Jeśli przeliczy to pan na wasze złotówki, to będzie tam tyle zer, że ciągnąć się będą aż do Poznania. A może nawet wystarczy ich na drogę powrotną do Warszawy.

— Proszę pani...

— Sarah Leonard. Jestem wicedyrektorem przedsiębiorstwa zajmującego się budową sieci hoteli Senackich w krajach Europy Wschodniej.

— Panno Leonard, musi mi pani wybaczyć. W tej chwili moi współpracownicy i ja jesteśmy bardzo zajęci. Ale z największą ochotą porozmawiam z panią później. Jak mogę się z panią skontaktować?

— Zatrzymałam się w Holiday Inn. Będę tam co najmniej do czwartku.

— A później? Chyba nie opuszcza już pani naszego kraju?

— Co to znaczy? Myślę, że porozmawiamy przed czwartkiem, prawda?

— To zależy.

— Od czego zależy, komisarzu! Proszę posłuchać, tak się składa, że bardzo dobrze znam inspektora Grabowskiego.

— Zazdroszczę pani. Również chciałbym go znać. Powiedziawszy to, odwrócił się na pięcie i dołączył do swej ekipy.

— Cholera jasna, jeszcze tego nam brakowało — warknęła Sarah. — Już i tak mamy trzy tygodnie opóźnienia. Piotr wzruszył ramionami.

— Ostrzegałem panią przed policją. Im bardziej ich pani naciska, tym bardziej stają się nieprzejednani. Poza tym jest pani kobietą.

— A jakaż to różnica?

— Ogromna! Dla człowieka pokroju Reja to niebo i ziemia. On uważa, że miejsce kobiety jest tylko w łóżku i w kuchni. I nigdzie indziej. Ludzie żyły sobie wypruwają, żeby pozbyć się takich ancymonów, ale oni najspokojniej pienia się dalej.

Sarah zerknęła na zegarek.

— No cóż... nic tu po nas. O jedenastej mamy spotkanie z przedstawicielami firmy, prawda?

— Poza tym wpływ na to ma również fakt, że jest pani Amerykanką — ciągnął Piotr w drodze powrotnej do Holiday Inn.

-Policja nie patyczkuje się z wami tylko dlatego, że pochodzicie z Zachodu. Szef policji kazał swoim ludziom zachowywać się w stosunku do was uprzejmie, więc się do tego stosują.

— Wie pan co, panie Cegiel? Jest pan chyba cyniczny.

— W Polsce, panno Leonard, nie mówimy o sobie „cynicy”; mówimy „realiści”.

Gdy Sarah wyszła ze spotkania, ku swemu zdziwieniu ujrzała przed siedzibą

biura swej firmy komisarza Reja. Siedział na słońcu na niewysokim murku i cierpliwie palił papierosa.

— Panno Leonard? Czy możemy chwileczkę porozmawiać?

— Szybko pan działa — odparła. — Nie musi się pan martwić tym, że opuście pański kraj.

— Wiem o tym. Przeprowadza się pani z Holiday Inn do mieszkania w Alejach Jerozolimskich. Bardzo przyjemne mieszkanie. Mnie nie byłoby na takie stać.

— Skąd pan wie o przeprowadzce?

— Jestem przecież policjantem — wyjaśnił, wypuszczając z ust bardzo cienką smuzkę dymu.

— Sądzę, że mogę panu poświęcić najwyżej pół godziny — odrzekła Sarah. — O pierwszej muszę być na lotnisku. Mam tam kogoś spotkać.

— Podwiozę panią. A po drodze porozmawiamy.

Podszedł do nich Piotr Gogiel, za którym krok w krok dreptał Jacek Studnicki, jeden z przyzanych, upiornych dyrektorków Banku Kredytowego Yistula.

— Jakież problemy?—zapytał Jacek, obejmując impertynencko ramieniem Sarah.

Gdy miała buty na wysokim obcasie, była od niego odrobinę wyższa, lecz Studnickiemu najwyraźniej to nie przeszkadzało.

Sarah zgrabnie wywinęła się z jego objęcia.

— Panie Studnicki, to jest komisarz Stefan Rej z wydziału zabójstw. Prowadzi sprawę tego morderstwa.

— Proszę, proszę — odparł Jacek. — Mam nadzieję, że złapiecie bandytę bez względu na to, kim jest.

Rej przesłał mu pogodne, ale twarde spojrzenie i głośno się roześmiał.

— Jasne, że go złapiemy. Nie mamy innego wyjścia. Zaprowadził Sarah do swego samochodu, dziesięcioletniego volkswagena passata. Na tylnych siedzeniach piętrzyły się gazety, papierowe torby i stosy innych rupieci. Sarah dostrzegła tam również połamany parasol i lalkę Barbie bez głowy.

— Ma pan dzieci? — zapytała.

— Córkę. Nie widuję jej zbyt często.

Amerykanka zajęła miejsce w samochodzie. Winyłowy fotel był nieprzyjemnie lepki, a skrytka otwarta tak, że drzwiczki nieustannie obijały się o jej kolana.

Komisarz Rej uruchomił silnik i ruszyli zostawiając za sobą obłok niebieskich spalin.

— Zakładam, że nie znała pani Jana Kamińskiego, prawda?

— Usłyszałam o nim dopiero dzisiaj. Pracował w radiu, czy tak?

— Zgadza się. Prowadził serwis informacyjny, komentując jednocześnie czytane przez siebie doniesienia. Czasami bywał naprawdę zabawny. Zdrowo się nabijał z rządu, stacji telewizyjnych, linii lotniczych LOT i z reprezentacji Polski w piłkę nożną. Raz nawet wyciął niezły numer Senate International Hotels.

— O tym nie wiedziałam.

— Tak naprawdę, to wyraził się o was bardzo obelżywie. Oświadczył, że z własnego doświadczenia wie, iż spokojnie mogliście zostawić dawny orbisowski hotel Zahiski. Powiedział, że po was należy spodziewać się takiego samego syfu.

— Naprawdę? — zapytała Sarah. — A czy pan Kamiński wyjaśnił, skąd tak

doskonale zna Senate International?

— Zatrzymał się w waszym hotelu w Belgradzie.

— A, tak. No cóż, w Belgradzie mieliśmy trudne początki. Wystąpiły ogromne problemy ze znalezieniem personelu. Pokojówki przypominały bardziej orangutany.

— Co by nie mówić, nie najlepsza reklama — stwierdził Rej, gdy skręcali w ulicę Oczki. — Powiedział coś jeszcze. Zasugerował, że pewni urzędnicy zatwierdzający budowę hotelu Senackiego w Warszawie spędzali wakacje na Florydzie, a poza tym poprawił się im nieco stan kont bankowych.

— To śmieszne! Nie, to nie jest śmieszne! To zakrawa na oszczerstwo!

— W pełni się z panią zgadzam. Ale czy to prawda?

— Co za pytanie! Oczywiście, że nie.

— Nie byłoby to wcale takie dziwne.

— Ale nie w przypadku Senate International Hotels. My nie stosujemy takich praktyk. Rej wyciągnął camela, wsunął go do ust i sięgnął po zapalniczkę.

— Zna pani życie, panno Leonard. Tryby zawsze trzeba smarować.

— Nie smaruję żadnych trybów, komisarzu. Jeśli nie chcą się same kręcić, to tak długo je popycham, aż zaczną to robić. Poza tym chciałabym wiedzieć, co mi pan imputuje. I wolałabym, żeby pan nie palił.

Dojechali już prawie do końca Oczki.

— Proszę tam spojrzeć — zwrócił jej uwagę Rej, wskazując zespół szarawych budynków obrośniętych dzikim winem. — To stara Akademia Medyczna. Tam teraz przebywa pan Kamiński; w kostnicy. A to pani widzi? Następna brama. Ta pod numerem jeden. To Zakład Medycyny Sądowej. Tam zrobią sekcję zwłok i

ustalą, co mu się naprawdę przytrafiło. Jeśli pani sobie życzy, możemy tam wpaść i go zobaczyć.

— Nie życzę sobie — odparła z przekąsem Sarah. — I nie życzę sobie pańskich insynuacji, że Senate International ma coś wspólnego ze śmiercią Kamińskiego.

— Cóż, jest pani zła, prawda? -- stwierdził Rej, skręcając w stronę portu lotniczego. — Podejrzewam, że zamierza pani poskarżyć się na mnie swemu przyjacielowi, inspektorowi Grabowskiemu.

— A czy istnieje jakiś powód, żebym tego nie zrobiła?

Z konsoli nad tablicą rozdzielczą spadła na podłogę zapalniczka. Rej pochylił się, żeby ją podnieść, ale potoczyła się głęboko pod fotel. Sarah z niedowierzaniem potrząsnęła głową i zaczęła patrzeć w inną stronę: W końcu Rej rzucił na podłogę również papierosa.

— Pozwoli pani, że zwrócę pani uwagę — odezwał się — iż to już ósme morderstwo w centrum Warszawy popełnione w ciągu ostatnich trzech miesięcy. Za każdym razem takie samo... ofiara znajdowana jest na ulicy lub na pustych terenach, zawsze w pobliżu wykopów. Nie wiemy, kogo szukamy, mężczyzny czy kobiety. Ale telewizja nadała już zabójcy przydomek „Oprawca”, ponieważ ofiary zawsze znajdujemy bez głowy.

Zdumiona Sarah odwróciła się w stronę policjanta.

— Chce pan powiedzieć, że Janowi Kamińskiemu obcięto głowę? Rej pociągnął nosem.

— Znalaziono go w kanale ciągnącym się pod placem waszej budowy.

— Co on tam, na Boga, robił?

— Wszystko wskazuje na to, że szukał dziecka, które zabłądziło w kanałach.

Mamy świadka. Pomagał mu w tych poszukiwaniach. Zostawił Kamińskiego na placu budowy, a sam poszedł zadzwonić po karetkę pogotowia. Gdy wrócił, Kamiński już nie żył.

— Był martwy i bez głowy?

— Zgadza się. Podobnie jak inni przed nim.

— A co z dzieckiem?

Rej wzruszył ramionami i wyciągnął kolejnego camela.

— Przeszukałem ten kanał. Po osiemset metrów w każdą stronę. Nie było tam żadnego dziecka. Ale za to tysiące prezerwatyw.

— Co pan próbuje mi zasugerować? Że polscy mężczyźni są szczególnie krzepcy?

— Panno Leonard, mówię, co znaleźliśmy.

— Być może. Ale nie nadmienił pan, czego szukaliście.

— Śladów, panno Leonard. Tylko śladów i dowodów.

— Dowodów na to, iż Senate International wynajęło kogoś, by rozprawił się z Kamińskim za to, że wygadywał o nas niepochlebne rzeczy?

— Tego nie powiedziałem.

— I nie musiał pan. Boże, a ja myślałam, że to tylko amerykańscy policjanci są tępi.

Rej zgarbił się nad kierownicą i znów zaczął macać pod nogami w poszukiwaniu zapalniczki.

— W Ameryce, panno Leonard, sytuacja jest inna. Nam potrzeba ładnych kilku lat, żeby was dogonić. Ale my również mamy problemy z drapieżnikami. Kiedy w morzu jest krew, pojawiają się rekiny.

— Bardzo poetyckie. Mówi pan o gangsterach?

— Tak, o gangsterach. Zaledwie w zeszłym tygodniu wyłowiliśmy z Wisły ciało pozbawione głowy. Tamten człowiek zamieszany był w piractwo komputerowe. Rozumie pani, pełni się u nas występki, zarówno ten najnowszej daty, jak tradycyjny.

— No cóż, mogę pana zapewnić, że Senate International nie jest uwikłany w żaden występki, ani w ten najnowszej daty, ani w ten bardziej tradycyjny w formie.

— Nie o to mi chodzi, panno Leonard. Mówię, że istnieją w tym mieście osobnicy, którzy chcieliby kontrolować wszystko... od handlu narkotykami po hotelarstwo.

Jeśli stanie im pani na drodze, zabiją panią równie sprawnie i szybko, jak zabija się świnię. Jest pani Polką, o tym wiem, ale urodzoną i wychowaną w Ameryce. Pani nie rozumie naszej mentalności. Przetrwaliśmy. Przeżywamy okres prosperity. Ekonomia rynku. — Postukał się w czoło. — Ale tutaj ciągle jeszcze panuje wojna. Powinna pani o tym cały czas pamiętać. Każdy myśli o sobie.

— Chcę pana zapewnić raz jeszcze, komisarzu, iż moja firma nie ma nic wspólnego z zamordowaniem Jana Kamińskiego, i jeśli uczyni pan na ten temat choćby najmniejszą sugestię, kopnę pana w dupę tak, że pofrunie pan nad Bałtyk i z powrotem.

— A pani przyjaciele z Banku Kredytowego Yistula?

— Noszą czerwone szelki i wydaje im się, że są potentatami z Wall Street. Ale z całą pewnością nikogo by nie mordowali. Rej namacał w końcu zapalniczkę i

triumfalnie ją podniósł.

— Widzi pani? Teraz mogę sobie zapalić.

Sarah wyrwała mu ją z dłoni i wyrzuciła przez okno.

— Widzi pan? Teraz już nie.

Rej wysadził Sarah przed nowym terminalem lotniska. Na chwilę padł jej na
twarz

refleks słoneczny odbity od lecącego nisko nad ziemią boeinga 727.

— Zapewne będę musiał jeszcze z panią porozmawiać — oświadczył policjant,
siląc się na poważny ton. Ale oczy mu się śmiały.

— Po co? Przecież nic więcej panu nie powiem.

— Oczywiście, że nic mi więcej pani nie powie. Ale jak dotąd również niczego
mi pani nie powiedziała. Sara westchnęła z rozdrażnieniem.

— Komisarzu Rej, gdyby Senate International były firmą na tyle głupią, żeby
wynajmować kogoś, kto rozprawiłby się z jakimś drobnym komentatorem ze
snobistycznej warszawskiej rozgłośni radiowej, to czy nie sądzi pan, że miałyby
więcej oleju w głowie i nie zostawiałyby ciała na placu budowy własnego
hotelu?

— A kim, pani zdaniem, jestem, żebym osądzał, czy jakaś firma jest głupia, czy
nie? Nie jestem sędzią. Ja tylko poszukuję prawdy.

— Prawdy? Sądziłam, że szuka pan mordercy. Prawdy poszukują tylko
beznadziejni optymiści.

— Pani naprawdę jest taka twarda czy tylko pani taką udaje?

— Udaję? A kto powiedział, że udaję? — Przesłała mu olśniewający uśmiech, a
w jej jasnych oczach malowało się większe wyzwanie, niż Rej był na to

przygotowany; w każdym razie w tej chwili. — Ale teraz już naprawdę muszę zmykać. Mój znajomy będzie się zastanawiał, gdzie mnie licho poniosło. Do widzenia, towarzyszu. Rej wsunął do ust kolejnego papierosa, rozparł się za kierownicą zdezelowanego passata i obserwował niknącą w wejściu do sali przylotów pannę Leonard. Miał zaledwie trzydzieści osiem lat, lecz po raz pierwszy w życiu poczuł się stary. Nie tylko stary, ale i niepotrzebny, jak człowiek, który nagle przystaje w tłumie, rozgląda się i stwierdza, że wszyscy mijają go z całkowitą obojętnością.

Mocno ubodła go tym „towarzyszem”. Sądziła, że wciąż prezentuje mentalność sprzed roku osiemdziesiątego dziewiątego. Nie wierzył w Boga i jak wielu innych ludzi tęsknił za wygodami oferowanymi przez komunizm. Ponad połowa elektoratu głosowała nie na Lecha Wałęsę, lecz na Aleksandra Kwaśniewskiego, byłego członka partii komunistycznej. Rej też. Ale to wcale nie znaczyło, że jest dinozaurem.

Życie w Warszawie stało się znacznie barwniejsze, bardziej otwarte, a jeśli człowieka na to stać, może kupić sobie o wiele więcej przedmiotów. Zmieniły się też zbrodnie; nabrały bardziej międzynarodowego charakteru i stały się dużo brutalniejsze. Obecnie kasyna w śródmiejskich hotelach zatłoczone są nie tylko polskimi gangsterami, lecz również rosyjskimi, bośniackimi, tureckimi oraz innymi, bliżej nieokreślonych narodowości, posiadającymi całe stosy polskich złotych, garnitury od Ar-maniego oraz nowiutkie BMW. Są tajemniczy i wygadani, wszyscy robią interesy w branży komputerowej, samochodowej, papierniczej, a zapewne i w narkotykowej. No i z bronią. A Rej, jakkolwiek posiadający szczególny talent do nawiązywania kontaktów i wyszukiwania

informatorów, zaczął mieć coraz większe kłopoty z umieszczaniem swych ludzi w kręgach zorganizowanej przestępczości i z penetracją tych środowisk.

Jego praca sprowadzała się głównie do wynajdywania ofiar: pięciu Rumunów spalonych żywcem w przyczepie kempingowej na ulicy Kasprzaka na Woli, trzech Rosjan zastrzelonych w pokoju hotelu Sobieski przy Tarczyńskiej i najgorsze: siedem pozbawionych głów zwłok, które znaleziono w ciągu ostatnich trzech

miesięcy w różnych miejscach w centrum Warszawy.

Żadna z tych siedmiu ofiar nie była w żaden sposób powiązana z pozostałymi.

Dwie z nich to kobiety; pozostałe, mężczyźni. Jan Kamiński, ósma ofiara, był komentatorem radiowym i jego uwagi na temat sieci hotelowej Senate

International Hotels mogły przysporzyć mu kilku wrogów. Ale pozostałych

siedem... Listonosz, lekarz, ekspedientka ze sklepu spożywczego, taksówkarz, student akademii muzycznej, przewodnik z biura turystycznego i farmaceuta?

Komu, do licha, ludzie ci mogli przeszkadzać?

Rej odruchowo sięgnął na konsolę tablicy rozdzielczej, ale natychmiast sobie przypomniał, że nie ma już zapalniczki. Nie wierzył ani w duchy, ani w

wiadomości przesyłane zza grobu, lecz ostatnio nieustannie odnosił wrażenie, iż coś lub ktoś próbuje go ostrzec, że zagraża mu wielkie niebezpieczeństwo.

Może nadszedł czas, żeby przeprowadzić w życiu radykalne zmiany? Może powinien odejść z policji i zająć się tym, co robili jego dziadek i ojciec:

uprawiać kawałek ziemi, hodować pszczoły i aż do śmierci już obserwować wschody i zachody słońca. Miałoby to większy sens niż tropienie

przypadkowego szaleńca, który obcina ludziom głowy i zabiera je ze sobą.

Zaskrzeczało radio.

— Komisarzu Rej? Proszę podać swoją pozycję.

— Jestem na Okęciu. O co chodzi?

— Nadkomisarz Dembek chce cię widzieć u siebie o piętnastej.

— Powiedz mu, żeby... Nie, tego mu nie mów. Powiedz, że cieszy mnie perspektywa tego spotkania.

W drodze powrotnej do centrum zatrzymał się na Oczki i zaparkował samochód przy krawężniku. Powietrze, w sposób możliwy jedynie w Warszawie, nabrało nieoczekiwane koloru masy perłowej, toteż budynki oraz rosnące wzdłuż ulic lipy raptownie poszarzały. Rej przeszedł po wyłożonym płytami chodniku i wspiął się po schodkach do Zakładu Medycyny Sądowej. Wahadłowe drzwi chrząknęły niczym niezadowolony wieprz.

Wewnątrz panował chłód i półmrok. W powietrzu unosił się silny zapach środków odkażających. Na ścianie wisiał olbrzymi, surowy portret wybitnego polskiego

lekarza Jana von Mikulicz-Radeckiego, pierwszego chirurga, który do operacji zakładał maski, a zarazem pierwszego chirurga aresztowanego przez policję w Breslau za ściganie się konno po ulicach miasta. Korytarz rozbrzmiewał dźwięcznymi echem. W przejściu przy biurku siedziała ubrana w szary fartuch dyżurna o ostrych rysach. Wpatrywała się w ekran komputera, jakby sądziła, że urządzenie do niej przemówi.

— Czy zastałem doktora Wojniakowskiego? — zapytał Rej.

— Na górze. Sala numer trzy.

Rej czekał. Kobieta doskonale wiedziała, z kim rozmawia. Na kontuarze zadzwonił telefon, lecz malujący się na twarzy policjanta wyraz dobitnie powiedział recepcjonistce, iż nie należy tego telefonu w tej chwili odbierać.

Rej czekał.

— Proszę pana — wydusiła wreszcie z siebie dyżurna po najdłuższej przerwie w historii przerw.

Komisarz Rej skinął głową i wspiął się po kamiennych schodach na pierwsze piętro. Tam na ścianach wisiało więcej portretów. Podobizna pomorskiego chirurga

Rudolfa Zirchowa, który odkrył przyczyny powstawania zakrzepów i zżarcie walczył o poprawę warunków sanitarnych polskich chłopów na Śląsku. W samym końcu

korytarza znajdowały się drzwi oznaczone numerem trzy oraz utrzymany w ciemnych

barwach portret warszawskiej uczzonej, Marii Skłodowskiej, która przeszła do historii jako Marie Curie.

Rej pchnął drzwi opatrzone trójką. Pomieszczenie wypełniało ostre, błękitne światło. Pośrodku stały obok siebie trzy wykonane z nierdzewnej stali stoły sekcyjne. Dwa z nich były puste i lśniły w ostrym, jarzeniowym blasku. Na trzecim, usytuowanym najdalej od wejścia, leżały nagie zwłoki o białej skórze i wystających żebrach. Trup o rękach skromnie złożonych na piersiach miał chude, owłosione nogi i ciemną kępkę włosów łonowych.

Jezu Chryste — pomyślał Rej. — Jak niestosownie wyglądają nasze kuśki i jaja, kiedy człowiek już nie żyje. Jest w nich tyle samo seksu co w martwym

pisklaku, który wypadł z gniazda.

A kiedy dodatkowo ciało pozbawione zostało głowy, staje się jeszcze mniej seksowne; dokładnie jak w przypadku zwłok, które policjant miał przed oczami. Na ustach Jana Kamińskiego nie można było nawet złożyć ostatniego pocałunku.

Rej, zupełnie jakby nie chciał zakłócać trupowi spokoju, okrążył oba puste stoły. Nad ciałem pochylał się doktor Wojniakowski. Jego kościstą i kanciastą postać skrywał drugi biały fartuch, a spod czepka, niczym cukrowa wata, sterczały mu siwe włosy. Lekarz wyciągał właśnie spod paznokci pozbawionego głowy trupa brud i wkładał go do małych, ponumerowanych torebek polietylenowych.

Jak zwykle kopcił ekstra mocnego, papierosa o szczególnie cuchnącym dymie.

— To ty, Stefan? — zapytał, nie podnosząc głowy.

— Ja, Teofilu. Jak leci?

— Powoli, ale skutecznie. Na pierwszy rzut oka wygląda jak tamtych siedem, ale nie sugeruj się moją opinią.

— Głowę obcięto tasakiem?

— Wszystko na to wskazuje. Trzy ciosy z lewej strony szyi. Nie badałem jeszcze

skóry pod kątem drobin stali. Ale ten ma mnóstwo obrażeń na ciele. Musiał stoczyć zaciekłą walkę. Udało mu się nawet wyrwać kilka włókien z odzieży napastnika, co jak dotąd stanowi ewenement i nasze największe odkrycie.

Rej podszedł do końca stołu, ale nie potrafił się powstrzymać, by nie zerknąć na szyję trupa. Głowę odcięto pod ostrym kątem tak, że po lewej stronie ostrze

weszło prawie na wysokości ucha i wyszło po prawej tuż przy obojczyku. Było coś przerażająco interesującego w tym oglądaniu części krtani i tchawicy, zbioru licznych rurek i kanalików w kolorach czerwonym, bardziej czerwonym i odrażająco

beżowym. Rej nieświadomie przyłożył sobie dłoń do grdyki.

— Oczywiście dużo zanieczyszczeń pochodzących z kanału — odezwał się doktor Wojniakowski, unosząc głowę i spoglądając przez chmurę tytoniowego dymu na policjanta. Miał olbrzymi porowaty nos, stanowczo za duży w stosunku do ciastowatej, trójkątnej twarzy, i rzadki biały zarost porastający całą szyję niczym bajkowe zarośla jeżyn. — Sądząc po stanie ubrania, stał w wodzie po pas.

— Ależ w tamtym kanale głębokość ścieków wynosi zaledwie sześć lub osiem centymetrów.

— Możesz zatem domniemywać, że odwiedził inne partie kanałów, gdzie poziom nieczystości jest dużo wyższy.

— No cóż — mruknął Rej. — Nasz świadek utrzymuje, że Kamiński wszedł do rury w poszukiwaniu dziecka. My znaleźliśmy go przy wybitym przez koparkę otworze w kanalizacji, ale podejrzewam, że Kamiński zawędrował gdzieś o wiele dalej. Przeszukaliśmy kanały, lecz niczego w nich nie znaleźliśmy. — Zakaszłał. — Niezależnie od tego, co spodziewaliśmy się tam znaleźć.

Doktor Wojniakowski odszedł od stołu i teatralnym ruchem z donośnym trzaskiem zdarł z dłoni plastikowe rękawiczki.

— Jedyna różnica między tym morderstwem a poprzednimi siedmioma polega

na tym, że tutaj napastnik zadał trzy ciosy, podczas gdy innym ofiarom odrąbywał głowy jednym uderzeniem.

— Może zabójca... czyja wiem... może się zawahał.

— O, nie! Każdy z tych trzech ciosów był równie potężny. Popatrz sam...

Widzisz?

Pierwsze uderzenie przeszło przez krtań, drugie przecięło kręgosłup, a trzecie dokończyło dzieło i obcięło głowę. Moim zdaniem, jedynym powodem zadania aż trzech ciosów była ograniczona przestrzeń w kanale. Poza tym sądzę, że zginął w przewodzie, a nie na zewnątrz i nie wpadł do niego później. Napastnik nie mógł wziąć odpowiedniego zamachu.

— Cholera jasna — zaklął Rej.

— Wyniki analiz włókien materiału prześlę ci najszybciej jak zdołam — zapewnił doktor Wojniakowski. — Badania DNA zabiorą mi więcej czasu. Ale na razie masz inną ciekawostkę, nad którą się możesz zastanawiać.

— Jaką znów ciekawostkę?

— Ranki na dłoniach i wewnętrznych partiach nadgarstków Kamińskiego oraz ślady zaprawy murarskiej pod paznokciami wskazują, że rozpaczliwie próbował wydostać się z kanału.

— Sądysz zatem, że...?

— Tak, sądzę, że istnieje możliwość, iż napastnik wcale nie zapędził go do przewodu kanalizacyjnego, ale czekał już w środku.

Rej obrzucił lekarza czujnym spojrzeniem w nadziei, że usłyszy dalsze wyjaśnienia. Ale mina doktora Woj makowskiego wyraźnie mówiła, iż lekarz uważa rozmowę za zakończoną. Doktor wzruszył ramionami i odpalił nowego

ekstra mocnego od niedopałka papierosa, którego właśnie skończył.

Z Zakładu Medycyny Sądowej Rej udał się prosto na plac budowy. Teren ciągle był odgradzony plastikowymi taśmami, choć gapiów kręciło się już niewielu. Pojawiła się za to ekipa telewizyjna i gdy komisarz zmierzał w kierunku bramy w płocie, zdecydowanym krokiem podeszła doń młoda kobieta z kołonotatnikiem w ręku.

— Komisarzu Rej! Anna Pronaszka z „Panoramy” w telewizyjnej „dwójce”.

Możemy zadać panu kilka pytań?

— Nie w tej chwili. Teraz jestem trochę zajęty.

— Chcielibyśmy się tylko dowiedzieć, czy istnieje jakiś związek między zabójstwem Jana Kamińskiego a pozostałymi siedmioma morderstwami, gdzie ofiarom również obcięto głowy?

Rej westchnął.

— Nie ma bezspornych dowodów na to, że wszystkie te morderstwa, nie mówiąc już o

sprawie Kamińskiego, są ze sobą w jakikolwiek sposób powiązane.

— A czy ma pan jakieś nowe poszlaki, komisarzul

— Mam nowe ciało, a każde nowe ciało dostarcza nowych, cennych poszlak.

— Ilu nowych ciał potrzebuje pan, żeby wreszcie schwycić Oprawcę?

— Bez komentarzy — odparł Rej i ruszył przed siebie.

— Czy nie sądzi pan, komisarzu, że Oprawca zaczyna robić z was błaznów?

Rej przystanął i odwrócił się w stronę dziennikarki. Twarz miał zmienioną.

Zbliżył się na trzy lub cztery kroki i powiedział:

— Policja robi wszystko, co w jej mocy, żeby schwycić brutalnego i

zdesperowanego mordercę. Tak, to trudny przypadek. Jak już mówiłem, możemy mieć do czynienia z ośmioma nie mającymi ze sobą nic wspólnego zabójstwami. Zaangażowaliśmy wszystkie nasze siły, by ująć ich sprawcę, i w końcu go ujmiemy. A jedynymi błaznami, jakich tu widzę, to ludzie, którzy próbują robić ze szczególnie odrażających zabójstw publiczny cyrk.

Anna Pronaszka przesłała mu słodki, ale lodowaty uśmiech.

— Wciąż nam pan nie odpowiedział, dlaczego nie możecie go złapać.

Rej odetchnął głęboko, próbując nad sobą zapanować. Jeszcze niecałe siedem lat temu nie byłoby takiego, kto odważyłby się z nim rozmawiać w taki sposób.

— Wie pani dlaczego, pani Pronaszka? Bo nikt nie widział mordercy. Nikt nie ma zielonego pojęcia, kim on jest, bo nie zostawia prawie żadnych fizycznych śladów. A ponadto wszystko wskazuje na to, że wybiera ofiary na chybił trafił.

Jeśli kierują nim jakieś motywy, to są na razie nie do odkrycia.

— A co z Janem Kamińskim? Prowadził śledztwo w sprawie Senate International, prawda?

— Uczynił w swoich programach kilka niepochlebnych uwag na temat hotelu Senackiego w Belgradzie, to wszystko.

— Słyszeliśmy, że interesował się również finansami tej firmy.

— Skąd pani to wie?

— Obawiam się, że ta informacja jest zastrzeżona.

— Co?! — ryknął Rej z taką furją, że Anna Pronaszka mimowolnie cofnęła się o krok. — Ośmiu ludzi nie żyje, a pani ma czelność mówić mi o zastrzeżonych informacjach!

W tej samej chwili z terenu budowy wyłonił się Jerzy Matejko, zastępca Reja.

Był to wysoki, młody człowiek o odstających uszach i trochę niezbornych, z lekka marionetkowych ruchach, uwypuklanych jeszcze tandetnym, obszarpanym brązowym garniturem. Mimo niezbyt imponującego wyglądu zaliczał się do najzdolniejszych oficerów śledczych w wydziale zabójstw.

— Komisarzu, czy mogę... aaa!

Rej obrzucił Annę Pronaszkę ostatnim, płonącym spojrzeniem, przekroczył plastikową taśmę i ruszył za Matejką na plac budowy. Zastał tam tłum wałęsających się beczynnie robotników, policjantów w mundurach i pracowników Zakładu Wodociągów i Kanalizacji w wodoszczelnych kombinezonach i wysokich butach. Wszyscy palili, pili jakieś napoje, śmiali się, lecz nikt nie zajmował się niczym konkretnym.

— Co to jest, do cholery? — zapytał ostro Rej. — Piknik?

— Coś znaleźliśmy — wyjaśnił krótko Matejko, najwyraźniej chcąc udobruchać szefa. Wziął go za łokieć i zaprowadził do odsłoniętych fundamentów. — Na twoim miejscu bardzo bym uważał podczas rozmów z mediami. Nadkomisarz Dembek dostał zdrowy ochrzan od inspektora za to, że nie potrafimy poradzić sobie z tymi morderstwami. Dziś rano wspomniano o nich nawet w CNN i teraz Dembek pluje gwoździami.

— Co takiego powiedziano?

— Nazwali je „morderstwami polskiej siekiery”. Rej z podziwem potrząsnął głową.

— Ci z telewizji potrafią ze wszystkiego zrobić sobie zdrowe jaja.

— Z całym szacunkiem, ale nie wydaje mi się, żeby robili sobie jaja twierdząc, że przeprowadziłeś już badania kolejnych ciał i masz nowe poszlaki.

— No i co z tego? To prawda. Wracam właśnie od Wojniakow-skiego. Zza paznokci Kamińskiego wyskrobał kilka włókien materiału.

— Cóż, może znajdziemy coś konkretniejszego.

Do ścian fundamentów przystawiono sześć odcinków aluminiowych drabin, po których Rej i Matejko zeszli do piwnic. Na spotkanie wyszło im dwóch umundurowanych policjantów oraz łysiejący technik sądowy z tak ogromnymi worami pod oczyma, jakby nie spał przez ostatnie trzy lata.

— Co tu mamy? — zapytał Rej.

Jeden z policjantów podniósł wielki plastikowy worek na dowody. W środku znajdowała się mała, szara, oślizgła figurka. Rej oglądał ją i oglądał, obracając na wszystkie strony.

— "Gdzie to znaleźliście? — zapytał. — Sądziłem, że już przeszukaliśmy te kanały.

— Była pod wodą, komisarzu. Utknęła w kracie jakieś siedemdziesiąt pięć metrów na północ stąd. Za pierwszym razem po prostu ją przegapiliśmy, to wszystko. Każdemu może się to przytrafić.

— No cóż... może to nic nie znaczyć — mruknął Rej. — Ale Kamiński szukał dziecka. Tak w każdym razie twierdzi ten chłopak, Marek. Odeślijcie to na Oczki. Niech przeprowadzą badania.

— Mamy coś jeszcze — odezwał się Matejko.

Skinął na drugiego policjanta, który przyniósł kolejny worek na dowody, tym razem wypełniony mokrym szarawym materiałem z jednym guzikiem.

— Co to jest?—zapytał Rej, wyciągając rękę po foliowy worek. Materiał, mimo że był owinięty plastikiem, wydawał się wyjątkowo zimny, mokry i kompletnie

rozmiękły.

— Znaleźliśmy to w odległości piętnastu metrów na południe od dziury. Też łatwo było tę szmatę przeoczyć. Z wyglądu przypomina kawał aksamitu.

Zbliżył się technik sądowy z worami pod oczyma.

— Sprawia wrażenie, jakby została gwałtownie podarta — oświadczył.

— Ale co to jest? — koniecznie chciał wiedzieć Rej. — Kawałek palta, czego?

— Trudno powiedzieć. Należy przeprowadzić odpowiednie badania.

— W porządku — odparł Rej. — To już wszystko?

— Chciałbym, żebyśmy mieli więcej — westchnął Matejko. Rej wziął go za ramię.

— Jurek, wyglądasz na zmęczonego. Córka nie daje spać?

— Nie daje. Ale takie już prawo niemowlaka.

— A jak to znosi Hela?

— Z Heleną wszystko w porządku. Nie może doczekać się chwili, kiedy wróci do pracy.

— Co za problem? Za mało ci płacimy?

— Trochę godzin nadliczbowych źle by mi nie zrobiło.

— W takim razie dobrze. Skończ tutaj, a później jedź do Radia Syrena. Ta ruda z telewizyjnej „dwójki” twierdzi, że Kamiński prowadził śledztwo w sprawie Senate International Hotels, a może nawet i Banku Kredytowego Yistula.

Sprawdź, czy nie zostawił jakichś materiałów na ten temat, jakichś notatek czy czegoś w tym rodzaju. Wy dwaj! — wskazał umundurowanych policjantów. —

Co wy tu jeszcze robicie? Powinniście już być na Oczki!

Obaj funkcjonariusze zaczęli wspinać się po aluminiowych drabinach, jakby

palili się im z tyłu spodnie. Rej obserwował przez chwilę, jak znikają na górze, po czym sięgnął po papierosa i pełnym znużenia gestem przeciągnął palcami po włosach.

— W tym nie ma żadnej logiki — odezwał się do Matejki. — Media próbują nam wmawiać, że to morderstwo na zamówienie. Ale kto zabija listonosza, lekarza od gardła i uszu, studenta szkoły muzycznej z klasy fortepianu lub dziewczynę, która kroi kielbasę w spożywczym?

— Też się nad tym zastanawiałem — odparł Matejko, kiedy szli w stronę drabin. — Pomyślałem sobie również, że skoro wszystko wskazuje na to, że zginęli bez konkretnej przyczyny, może powinniśmy przestać się tym przejmować. Może zginęli w ogóle bez powodu. Chodzi mi o to, że czasami trzeba się pogodzić z tym, że ludzie robią przerażające rzeczy, mordują i Bóg jeden wie co jeszcze, sami nawet nie zdając sobie sprawy, dlaczego to robią. Rej oparł stopę na pierwszym szczeblu drabiny.

— Pozwól, że coś ci powiem, panie psychiatro — burknął, otoczony chmurą papierosowego dymu. — Wszystko ma swoją przyczynę. Tych ludzi pozbawiono głów z jakiegoś bardzo konkretnego powodu. Nie zapominaj o tym nawet na chwilę. Może ci się wydawać, że przyczyna jest nielogiczna albo wręcz absurdalna... zupełnie głupia. Wydaje się, że sens działania znany jest wyłącznie zabójcy. Wiesz, o co mi chodzi? Jeśli ty albo ja zrozumiemy ten sens, zrozumiemy również, dlaczego morderca to zrobił. A co więcej, odkryjemy, kto to zrobił. Mięśnie szczęk Matejki napięły się.

— Wedle rozkazu — odparł. — Rozumiem. Rej wyciągnął rękę i chwycił go za

ramię.

— Ale chcę, żebyś zrozumiał jeszcze jedno. Nie mam zamiaru więcej wygłaszać ci tak głupawych mów.

Rozdział trzeci

Gdy Ben pojawił się na Okęciu, był tak odmieniony, że Sarah z trudem go poznała. Przybrał na wadze dobrych piętnaście kilogramów, a jego kręcone włosy posiwiały. Miał na sobie koszmary jasnoniebieski garnitur i krawat w krzykliwe różowe chryzantemy.

Przesłała mu uśmiech i pomachała ręką. Kiedy jednak Ben podszedł bliżej, jej uśmiech zamarł, a wzniesiona dłoń opadła. Pamiętała tylko, że pocałował ją w policzki i pachniał wodą po goleniu DavidoffBlue Waters (rozdawaną przez stewardesy w samolocie).

— Sarah, wyglądasz zabójczo! — wykrzyknął gromko. — Polska wyraźnie ci służy! Zawsze to mówiłem. Na ojczystej ziemi kwiaty kwitną najpiękniej!

— Naprawdę tak mówiłeś? — zapytała sceptycznie. — Nie pamiętam.

— Nie wygłupiaj się. Mam za sobą ciężki dzień.

— Weźmiemy taksówkę.

— Nie przydzielili ci służbowej limuzyny?

— Nie... przywiózł mnie tutaj w wielkim stylu komisarz Rej. To śledczy, który próbuje rozwiązać zagadkę naszego morderstwa. Idzie mu nie najlepiej.

Uważam, że należałoby cofnąć go do szkoły policyjnej, aby zdał poprawkę.

— Nie podoba mi się określenie „nasze morderstwo” — odezwał się Ben. —

Senate International zawsze dystansuje się od takich afer. Pamiętasz, co

wydarzyło się w Moskwie? Wolimy, żeby nasi pracownicy trzymali stronę

firmy i dbali o jej interesy.

Wyszli przed terminal i Sarah gwizdnęła na palcach na taksówkę. Podjechał rozklekotany żółty polonez. Za kierownicą siedział nie ogolony mężczyzna w cygańskiej bandanie. Prezentował się tak, jakby cały dzień ostrzył noże i lutował garnki. Amerykanie zajęli miejsca na tylnych fotelach wyłożonych grubym wełnianym szalem.

— Holiday Inn — poleciła Sarah. — I niech pan nie próbuje jechać przez Gdańsk.

Ben siedział z kolanami podciągniętymi aż do brody.

— Staramy się dotrzeć do działającego na Podhalu Citibanku. Nie chcemy, żeby nabrali podejrzeń, iż stosujemy tu gangsterskie metody.

— No cóż, chyba takich metod nie stosujemy, prawda? A jednak komisarz Rej wpadł na absurdalny pomysł, że zamordowaliśmy człowieka, ponieważ w radiu, w którym pracował, czynił o nas bardzo niepochlebne uwagi.

Ben z niedowierzaniem potrząsnął głową.

— A oni zastanawiają się, skąd się biorą dowcipy o Polakach. Położył dyplomatkę na kolanach i otworzył.

— Masz, to książka o zarządzaniu hotelami, o którą prosiłaś Jenny. A to pończochy od Bloomingdales, o jakich marzyłaś. Tutaj masz prezent ode mnie.

Wręczył jej niewielkie, kwadratowe pudełeczko od jubilera.

— Co to jest? — zapytała Sarah, przybierając zaczepny ton.

— Forma przeprosin. Z prośbą o to, żebyśmy spróbowali jeszcze raz.

Posuwali się dwupasmową ulicą Żwirki i Wigury. Jej nazwa upamiętnia dwóch polskich lotników, którzy w latach dwudziestych oblecieli kulę ziemską*. Znów

wyszło słońce. Jego blask odbijał się w źrenicach Sarah tak, że straciły swą zieloną barwę i stały się bursztynowe.

— Troszeczkę za późno, żeby zaczynać wszystko od początku — stwierdziła.

Poza tym Ben Saunders, jakiego kochała, był szczupłym i wysportowanym mężczyzną... nie takim przekarmionym kłosem wagi ciężkiej, jakiego miała teraz przed sobą.

— Ej, wcale nie chodzi mi o romans — zaprotestował Ben. — Mówię o przyjaźni.

Ostatecznie mamy ze sobą ściśle współpracować.

— Przyjaciółmi to już jesteśmy. Nie potrzebuję tych błyskotek.

— Po prostu otwórz to cholerne pudełko, dobrze? Jezu Chryste, nic a nic się nie zmieniłaś! Pięść z tytanu przybrana w rękawicę ze stali. Sarah wybuchnęła śmiechem i otworzyła opakowanie. W środku, na granatowym aksamicie, spoczywała brylantowa broszka w kształcie dwóch splecionych ze sobą liter „P” — symbol hotelu Plaža w Nowym Jorku.

— I co to niby ma znaczyć? — zapytała.

— A jak myślisz? Tam wszystko zaczęliśmy i tam postanowiliśmy zakończyć.

— Postanowiliśmy zakończyć? Zrobiliśmy sobie piekielną awanturę. Omal nie wcisnęłam ci na głowę miski z wędzoną cykorią z orzechami.

— Dwóch misek wędzonej cykorii z orzechami. I poląłaś to wszystko połową kieliszka chardonnay.

— Tak, przepraszam, zapomniałam. Czy pamiętasz również, z jakiej winnicy pochodziło to wino?

Na placu Zawiszy zaczęło samochodem podrzucać, ponieważ wymieniano tam

nawierzchnię jezdni. Wypełniające taksówkę światło i cień były niczym

rozświetlana słońcem rzeka. Ben odwrócił się do Sary i powiedział:

— Posłuchaj... nie zaczynaj znów tych swoich sztuczek. Było, minęło. Chcę, żebyśmy pozostali przyjaciółmi, prawdziwymi przyjaciółmi.

Sarah wyjęła broszkę z pudełka.

— Ile to kosztowało?

— Nie tak dużo.

— Chryste Panie, przecież to od Tiffany'ego! Osiemnokaratowe złoto. Ile to naprawdę kosztowało?

— Ani centa więcej, niż zamierzałem zapłacić.

— Ben, jesteś niebywały. Wiesz o tym? Jeśli to przyjmę, okażę pokorę. Jeśli nie przyjmę, okażę się nieprzekupną jędzą.

— Czy niczego nie rozumiesz? Atrakcyjne kobiety są najtrudniejsze do zdobycia.

— Boże wielki, czym sobie na to zasłużyłam? — wykrzyknęła.

Dotarli do Holiday Inn na Złotej i Ben czekał cierpliwie, aż Sarah skończy się

kłócić z taksówkarzem, który przemnożył wskazanie licznika przez trzy. W

końcu sięgnęła do wnętrza samochodu i wyciągnęła z tylnego siedzenia szal.

Oświadczyła, że go nie odda, jeśli kierowca nie obniży ceny.

— Ej, niech da pani spokój! — zaprotestował taksówkarz. — To szal mojej matki!

— Pańska matka w grobie się przewraca widząc, na jakiego złodzieja wyrósł jej syn! — odwrzasnęła Sarah.

— Moja matka żyje!

— No cóż, proszę zatem oddać jej ten szal.

Zaczęła się śmiać i przez dłuższą chwilę nie mogła opanować chichotu.

Wrzuciła szal do taksówki i zapłaciła piętnaście złotych, połowę tego, czego żądał taksówkarz. Samochód z piskiem opon odbił od krawężnika i o mało nie zderzył się z cysterną przewożącą benzynę.

— Jesteś niesamowita — oświadczył Ben, obejmując Sarah ramieniem.

Przynajmniej był wyższy od Jacka Studnickiego.

— Chodźmy—powiedziała. — Najpierw rozgość się w pokoju, a później pojedziemy do biura przejrzeć raporty z postępu prac. Gdy czekali przy kontuarze recepcji, Ben ujął Sarah za rękę.

— Nawet nie wiesz jak się cieszę z naszego spotkania. Minęło tyle czasu.

Widzisz, zmieniłem się. Naprawdę bardzo się zmieniłem.

— Cóż, pięć lat. Wszyscy się zmieniliśmy.

— Przyjmiesz broszkę?

— Tak... jeśli nie będziesz stawiać żadnych warunków.

— Tylko jeden. Pozwolisz zaprosić się na kolację.

— Na kolację? — zapytała, klepiąc go po brzuchu. — Tobie nie potrzeba żadnej kolacji.

— Dzięki, słoneczko. Powiem ci jedną rzecz. Jesteś kobietą, która jedną ręką daje, a drugą zaraz zabiera.

— Proszę pana, miałam pierwszorzędnego nauczyciela.

Rej spóźnił się na wyznaczone na trzecią po południu spotkanie z nadkomisarzem Dembkiem. Musiał więc czekać ponad dwadzieścia minut na twardej, pociągniętej brązową politurą ławce przed jego gabinetem. Przez okno

ze zbrojonego drucianą siatką szkła sączyło się słoneczne światło.

W końcu pojawił się Dembek ubrany w kupiony w Niemczech granatowy garnitur o dwa odcienie za jasny, żeby wyglądał w nim poważnie. Nadkomisarz był niskim, łysym mężczyzną, a pięć kosmyków włosów, które mu zostały, pieczołowicie fryzował, układając je w kształt rozchodzących się promieni słonecznych. Przełożony Reja w wydziale zabójstw pod względem politycznym zawsze był skrupulatny. Podczas gdy Rej próbował zachować lojalność wobec swego dawnego szefa, nadkomisarza Grzywacza, Dembek, jak tylko umiał, dystansował się od dawnego reżimu.

A jednak Rej utrzymał się w pracy, ponieważ był równie uparty jak pełen pomysłów, poza tym posiadał wielki dar przekonywania; no i nie było innych kandydatów na jego miejsce. Zdawał sobie jednak sprawę z tego, że nie może liczyć na poważny awans, Dembek natomiast skończy karierę jako inspektor z domkiem letniskowym w Tatrach i będą go przy każdej okazji, niczym jakiegoś dygnitarza, podejmować szampanem. Czasami niewiele to Reja obchodziło, chwilami jednak doskwierało mu to tak bardzo, że aż się krzywił, jakby paliła go zgaga.

Uważał, że upadek komunizmu nie tylko zachwiał jego karierę zawodową, ale zniszczył również jego małżeństwo z Marią. Nigdy nie był gorliwym członkiem partii, lecz życie miał uporządkowane. W tamtych czasach człowiek wiedział, na czym stoi, kim są jego wrogowie. Rej nie mógł zrozumieć, jak szybko jego koledzy potrafili się przepoczwarzyć; zupełnie jakby nigdy nie słyszeli o komunizmie.

Niestety, Maria również. Była spokojną, ułożoną kobietą, a ich małżeństwo szło

równym rytmem. Aż nagle pewnego dnia zachciało jej się pracy, zachciało jej się pralki Zanussiego. Nie tylko pracy i pralki Znuessiego; zachciało się jej również Boga. Zaczęła chodzić do kościoła, a Rej do kościoła zupełnie nie przystawał.

Wszystkie te święte obrazki, cała ta niewinność. Święte relikwie. Widział w życiu zbyt wielu martwych ludzi, aby wierzyć w takie rzeczy. Gdy pewnego ranka zapukał do nich ksiądz, Rej kazał mu wynosić się do wszystkich diabłów —jemu i Janowi Pawłowi II.

Dembek wskazał wejście do swego gabinetu. Z okna rozciągał się widok na Wilczą, zza stojącego po drugiej stronie ulicy budynku wyglądało słońce. Rej bez pytania usiadł na wykonanym z metalowych rurek krześle i wyciągnął paczkę cameli. Na ścianie wisiał nedorzeczny obraz olejny (zapewne pędzla pani Dembek), przedstawiający Morskie Oko, a nie opodal umieszczona została fotografia państwa Dembków na spotkaniu z prezydentem Wałęsą.

Nadkomisarz dokładnie zamknął drzwi i powiedział:

— Sprawa dotyczy ostatnich wydarzeń związanych z Oprawcą.

— Chodzi o Kamińskiego? Zrobiliśmy pewien postęp.

— Naprawdę? A jakież to postęp?

— Za paznokciami Kamińskiego odkryliśmy ślady materiału, w kanałach natomiast znaleźliśmy cały strzęp jakiejś materii.

— Pasują do siebie?

— Tego jeszcze nie wiemy.

— Coś więcej? — zapytał Dembek, siłąc się na cierpliwość.

— Znaleźliśmy też dziecięcą, szmacianą lalkę. Rozesłaliśmy jej zdjęcie. Może

ktoś ją rozpozna.

— A co z tym śledztwem Kamińskiego w sprawie Senate International?

Oczy Reja się zwęziły.

— Rozmawiałeś z tą dziennikarką?

— Tak, dzwoniła do mnie. I wolałbym, żebyś tu nie palił. Rej schował zapalniczkę, ale nie wyjął z ust papierosa.

— Kamiński czynił na antenie kąśliwe uwagi o hotelu Senackim w Belgradzie.

Anna

Pronaszka twierdzi, że zajął się również kwestią finansów przedsiębiorstwa.

Mogłoby to stanowić motyw, dla którego ktoś chciał go usunąć.

— Dlaczego więc zwyczajnie go nie zastrzelono?

— Nie wiem. Może chcieli, żeby zabójstwa nie kojarzono z Senate International. Rozumiesz, przypadkowa ofiara. Robota psychopaty.

— Może psychopaty, może Oprawcy.

— Mam otwarty umysł na wszelkie sugestie, panie nadkomisarzu.

— I w tym cały problem, Stefan. Ośmiu ludziom obcięto głowy, a ty masz otwarty umysł. Inspektor Grabowski już dwukrotnie telefonował w tej sprawie.

Długo mnie potem piekły uszy. Telefonował też prezydent miasta. Cała ta historia sprawia, że pod względem liczby morderstw Warszawa stała się stolicą Europy Wschodniej!

— Muszę znaleźć jakieś związki między ofiarami, to wszystko — wyjaśnił Rej.

— To samo mówiłeś po pierwszym morderstwie. To samo mówiłeś po drugim i po trzecim, i po czwartym, i po piątym, po szóstym i po siódmym.

— Zgadza się, nadkomisarzu. I będę tak długo to powtarzał, aż znajdę sprawcę.

Dembek zaczął bębnić palcami po bibularzu.

— Przykro mi — odezwał się w końcu. — Masz zakończyć tę sprawę do końca tygodnia. W przeciwnym razie będę musiał zastąpić cię kimś innym.

— Zastąpić mnie kimś innym? O czym ty w ogóle mówisz? — zapytał Rej. —

Kim mnie zastąpisz? Wiem o tej sprawie więcej niż ktokolwiek!

— Chciałeś powiedzieć, że wiesz o niej tak samo mało jak ktokolwiek.

— Arturze, nie możesz mi tego zrobić.

— Nie mam wyboru. Skoro nie potrafisz schwytać mordercy, muszę tę sprawę przekazać komuś, kto sobie z nią poradzi.

— Zachowujesz się tak, jakbyś się miotał, chwytając brzytwy, wykonywał czynności pozorne. Zawsze byłeś biurokrata.

— Jeśli sobie życzysz, mogę ci tę sprawę odebrać natychmiast — warknął

Dembek.

Rej wstał z krzesła.

— Będziesz miał Oprawcę, nadkomisarzu. Nie bój się, podam ci jego głowę na talerzu.

— Chciałbym w to wierzyć.

Rej opuścił gabinet i zamknął za sobą drzwi. Chociaż był ogarnięty szewską pasją, zrobił to cichutko i delikatnie. Dłuższy czas stał na korytarzu i głęboko oddychał, próbując odzyskać równowagę. Tak to już bywa — pomyślał — gdy świat staje do góry nogami, kiedy głupota i oszustwa wychodzą na wierzch, a mądrość i dobro znikają głęboko pod ziemią.

Przechodząca korytarzem śliczna, młoda sekretarka z wysoko upiętymi jasnymi lokami przycisnęła do piersi czerwony segregator.

— Czy wszystko w porządku, panie komisarzu! — zapytała. — Wygląda pan blado.

— Jestem... — zaczął Rej.

Ale nie wiedział już, kim jest. Uśmiechnął się z przymusem do dziewczyny i ruszył korytarzem do pozbawionego okien pomieszczenia, w którym mieściło się biuro jego i Matejki.

Kiedy Ben udał się do swego pokoju, żeby się rozpakować i odświeżyć po podróży, Sarah czekała na niego w barku na półpiętrze hotelu Holiday Inn i czytała sprawozdania promocyjne. Popijała sok pomarańczowy, choć zasadniczo miała straszliwą ochotę na wódkę. Odkąd się dowiedziała, że jej firma tuż po czwartym lipca powołała Bena na stanowisko dyrektora do spraw inwestycji w Europie Wschodniej, była spięta i podenerwowana. Wiedziała też, że ich miłość nigdy nie wróci. Od epizodu z wędzoną cykorią z orzechami przeżyła już dwa burzliwe romanse. Pierwszy z bardzo skomplikowanym, czterdziestoosmioletnim Francuzem o imieniu Patrice, który pokazywał jej najdziwniejsze zakątki Paryża, a następnie pokazał, jak spomiędzy jej szeroko rozłożonych nóg potrafi jeść świeżo wyłuskane z muszli ostrygi. Na wspomnienie tego ostatniego doświadczenia zawsze czuła rozbawienie i niesmak. Patrice zniknął pewnego dnia, jakby nigdy nie istniał. Często się zastanawiała, co się z nim stało.

W dwa miesiące później — ku swemu najwyższemu zdumieniu — związała się z Natem, młodym amerykańskim piosenkarzem rockowym próbującym robić karierę w Pradze. Był śliczny, marzycielski, o trzy lata od niej młodszy i miał szczupłą twarz okoloną długimi falistymi włosami. Dwa miesiące z Natem

Sarah przetańczyła bosy na ulicach, widząc przed oczyma tylko gwiazdy, księżycy i słońca. Ale nie można przecież takich rzeczy ciągnąć w nieskończoność. Zerwała więc z tą sielanką i wróciła do normalnej pracy. Kiedy miała trzynaście lat, ojciec powiedział jej: „Wszystko zdarza się tylko raz. I nigdy nie wraca. Jeśli będziesz próbowała wskrzeszać przeszłe zdarzenia, ominiesz to, co ma się wydarzyć w następnej kolejności”.

Ben... cóż. Ben początkowo okazał się wspaniały. Wykształcony, dowcipny, wymarzony kompan z końca lat osiemdziesiątych. Przekazał jej całą swą wiedzę o branży hotelarskiej, pomógł awansować ze stanowiska sekretarki dyrektora planowania na młodszego wicedyrektora do spraw rozbudowy; a wszystko to zaledwie w ciągu sześciu miesięcy. W zamian jednak żądał wszystkiego. Jej ciała, jej uczucia, jej całkowitej uwagi. Lubił Bruce'a Springsteena, więc i ona lubiła Bruce'a Springsteena. Uwielbiał kuchnię teksańsko-meksykańską, więc i ona ją uwielbiała. Był szczodry, ale jednocześnie wydrenował ją z indywidualności. Pod koniec nie miała mu nic do zaoferowania i stała się tak od niego zależna, że bez pozwolenia Bena nawet się nie odzywała.

Teraz wprost nie mieściło się jej w głowie, że pozwoliła komuś aż tak się zdominować. Wciąż nie pojmowała, jak mogło do tego dojść. Ale dostała bardzo surową i bolesną lekcję. Zrozumiała, iż nawet tak skupiona na swych celach i kierująca się konkretnymi motywami kobieta jak ona, miewa chwile uczuciowych słabości. Uświadomienie sobie tego faktu wzmocniło ją, sprawiło, że dojrzała.

Złożyła sobie uroczyste ślubowanie, iż nigdy już żaden mężczyzna nie przejmie nad nią takiej kontroli. A już na pewno nie Ben. Zwłaszcza nie ten obecny,

gładki i dużo większy Ben, którego starannie wygolona skóra na policzkach wydawała się za ciasna dla jego twarzy.

Gdy pojawił się w drzwiach windy, miał na sobie granatową sportową marynarkę z mosiężnymi guzikami i obcisłe, popielate spodnie.

— Doskonale, wróciłem do formy — oświadczył z zadowoleniem. — Może opowiesz mi, co się tu ostatnio wyprawia.

Pstryknął palcami na kelnerkę. Kiedy podeszła do ich stolika, zamówił canadian club z samym lodem. Już zamierzała odejść od ich stolika, ale chwycił ją za nadgarstek i popatrzył jej prosto w oczy.

— Czy chce pani wiedzieć, co myślę? Polki są najpiękniejszymi kobietami na świecie.

Kelnerka uśmiechnęła się nerwowo i próbowała wyrwać dłoń z jego uścisku.

— Wprawileś ją w zakłopotanie, Ben — stwierdziła Sa-rah. — Nie jesteś w Nowym Jorku.

— Co? Powiedziałem tylko komplement. Tobie też prawię komplementy.

— Jasne. Znam te twoje komplementy. Mówisz je w sposób, w jaki niektórzy mężczyźni rozpinają spodnie i machają na innych ludzi pyłami.

Ben pochylił się w jej stronę.

— Posłuchaj — wysyczał cicho. — Jeśli nie chcesz tej broszki...

— Nie chcę. To jesteś cały ty. Najpierw gadasz o zaczynaniu wszystkiego od początku i co robisz? Dajesz mi absurdalnie drogie memento czegoś, o czym raczej wolałabym zapomnieć.

— Bo tak właśnie miało być. Memento.

— Dzięki Bogu, że nie mieliśmy romansu w Best Western.

— Jezu, Sarah, co się z tobą dzieje?

— Nic. Jestem po prostu zmęczona, to wszystko. Nie mam czasu na sentymentalne włóczęgi alejkami wspomnień.

Ben nie odpowiedział. Z miną, którą przybierają zazwyczaj mężczyźni, gdy rozmyślają o tym, jak nieznośne potrafią być kobiety, rozparł się tylko na krześle.

Sarah otworzyła teczkę i wyjęła z niej plik planów parteru i komputerowych wydruków przedstawiających koncepcję architektoniczną hotelu.

— Zajmijmy się napierw harmonogramami — powiedziała. — Nastąpi prawdopodobnie

opóźnienie prac nad pionem konferencyjnym w związku z pewnymi trudnościami natury technicznej. Chodzi o zawieszenie stropów. Budowlańcy przedstawili około siedmiu stron druku z zastrzeżeniami technicznymi.

— Rozumiem, że po polsku.

— Nie w łamanym holenderskim! A coś ty myślał?

— Rozmawiałaś z nimi o tym? Zdają sobie sprawę z tego, ile kosztują wszelkie zmiany?

— Tę sprawę postawiłam jasno.

— Postaw ją zatem jeszcze jaśniej. Jesteś w tym dobra.

— Nie sędzę, żeby ustąpili. Nie kosztem bezpieczeństwa konstrukcji.

— Chyba nie utwierdzałaś ich w tym postanowieniu?

— Ben... rozmawiamy o betonowym stropie, który waży czterysta ton i ma być zawieszony nad pomieszczeniem, gdzie przebywać będzie do tysiąca ośmiuset osób.

— A czy ty sądzisz, że nasi architekci tego nie przewidzieli? Budynek został tak zaplanowany, że postoi nawet dwieście lat. Kto zajmuje się przepisami budowlanymi?

— Niejaki Gawlak. Ale nie sędzę... Ben przerwał jej machnięciem ręki.

— Zostaw to mnie, dobrze? Pokażę im nasze analizy statyki budowli.

— Już je przeglądali.

— Nie obrażaj się, ale uważam, że o szczegółach technicznych bardziej przekonująco umie mówić mężczyzna. A raczej facet. Faceci nie przejmują się tak uciążliwymi drobiazgami jak przepisy budowlane. Sarah miała właśnie dać mu ciętą odpowiedź, kiedy zadzwonił jej przenośny telefon.

— Słucham? — powiedziała, spoglądając na Bena wzrokiem wymowniejszym niż jakiegokolwiek słowa.

— Tu Brzezicki. Mam problem. Policja pozwoliła na wznowienie prac, ale ludzie nie kwapią się do roboty.

— O czym pan mówi?

— Odmawiają. Twierdzą, że tam mieszka diabeł. Rozdrażniona Sarah

przymknęła oczy.

— Diabeł? Mówi pan poważnie?

— Utrzymują, że Kamińskiego zabił diabeł, i nie chcą nawet zbliżyć się do placu budowy.

— W porządku. Za chwilę u was będę. Niech nikt nie waży się odejść.

— Ó co chodzi? — zainteresował się Ben.

— Pewne kłopoty z robotnikami. Idziesz ze mną? Ben zerknął na kelnerkę, która właśnie schylała się, by podnieść srebrną tackę.

— No, nie wiem. Pozwól mi dokończyć drinka. Niebawem do ciebie dojdę.

Na placu budowy trzydziestu pięciu robotników wyległo przed baraki i prowadziło z kierownikiem, Józefem Brzezickim, zażartą kłótnię. Brzezicki był potężnie zbudowanym, siwiejącym mężczyzną o twarzy przypominającej wyschniętą rzepę. Miał na sobie workowaty niebieski kombinezon z poupychanymi po kieszeniach kluczami, śrubokrętami i metrówkami, a na głowie obtłuczony czerwony kask.

Sarah stanęła pośrodku uformowanego przez mężczyzn kręgu i popatrzyła na nich z wyraźnym niepokojem. Dwóch czy trzech robotników chrząknęło i odwróciło wzrok. Tylko jeden, niski, ze zniszczoną twarzą, ubrany w kraciastą koszulę i dzinsy, oddał jej harde spojrzenie.

— W porządku, o co chodzi? — zapytała.

— Tu jest zbyt niebezpiecznie — wyjaśnił ten w kraciastej koszuli. — Nie będziemy pracować, dopóki ktoś się z tym nie upora.

— Jak pan się nazywa?

— Tadek.

— Więc, Tadek, czego się boicie?

— To coś urznęło głowę temu nieszczęsnemu Kamińskiemu.

— Tak, wiem. Ale policja przeszukała kanały i ktokolwiek w nich był, dawno się już stamtąd wyniósł. Chyba nie myślicie poważnie, że ktoś tam jeszcze się czai?

A ponadto jest was ponad trzydziestu chłopów, a on tylko jeden.

— Z tym, że to nie „on” — odparł Tadek i splunął.

— Uważasz, że to „ona”?

Rozległy się śmiechy. Ludzie Brzezickiego lubili Sarah, ale świadomość, że kieruje nimi kobieta, budziła w nich mieszane uczucia. Poza jej plecami mówili o niej Ajatolah.

— Miał na myśli „to” — wyjaśnił mężczyzna stojący obok Tadeka. — Mówi o diable.

— Naprawdę wierzycie w te bzdury? — zapytała z niedowierzaniem Sarah. —

Daj pan spokój, panie Brzezicki. Niebawem wkroczymy w dwudziesty pierwszy wiek.

— Zgadza się, wkroczymy. Ale to nie są ani bzdury, ani zabobony. Może pani o to spytać, kogo pani chce.

— Nie zamierzam nikogo pytać. Pytam was. Co to za diabeł i skąd się tu wziął?

— W telewizji nazywają go Oprawcą — wyjaśnił Brzezicki. — To tylko imię.

Ale tak naprawdę, to on nie ma nazwy. Mieszka przeważnie w piwnicach, takich jak te. Jeden taki, tuż po wojnie, mieszkał w suterrenach na Starym Mieście.

Opowiadała mi o nim moja matka. Wyłaził nocami i odrzynał ludziom głowy.

— Tadek, takie rzeczy nie istnieją! — zwróciła się Sarah do robotnika w

kraciastej koszuli.

— Naprawdę? Niech pani to wytłumaczy Janowi Kamińskiemu. Niech pani to wytłumaczy innym ludziom, którzy zginęli.

Sarah odwróciła się do Brzezickiego. Majster stał z założonymi na piersiach rękami i spokojnie palił papierosa.

— Bardzo mi przykro, ale musicie wrócić do pracy. I tak straciliśmy już cały dzień. Brzezicki wzruszył ramionami.

— Nie wrócą. Myśli pani, że nie próbowałem ich przekonać?

— Trzeba tylko wymienić rozbitą rurę... wtedy może gnieździć się tam i pięćdziesiąt diabłów. Nie zdołają się stamtąd wydostać.

— Przykro mi, ale moi ludzie nawet się tam nie zbliżą.

— W takim razie poszukam innej ekipy, a pana i te pańskie baby zwolnię z pracy.

Brzezicki potrząsnął głową.

— Nic pani nie wskóra, panno Leonard. Może pani szukać sobie do woli innych firm budowlanych. Gdy rozniesie się wieść o tym, co się tu dzieje, one również nie przyjmą zlecenia. Mówiłem już: to nie przesady. Jeśli boimy się wkładać palce do kontaktu, nikt nie nazwie tego przesadą. I nie powinna nas pani nazywać babami.

— Nie wierzę własnym uszom! Przecież to dorośli ludzie, znajdujemy się w centrum najnowocześniejszego miasta w Europie Wschodniej, a oni boją się diabła!

— A czy to zabobon, jeśli wierzą w Boga? — zapytał Brzezicki. — Cóż więc dziwnego w tym, że wierzą również w diabła?

— Och, niech pan da spokój!

W tej chwili pojawił się Ben. Trzymał ręce w kieszeniach.

— Co się dzieje? — zapytał. — Zebranie związków zawodowych?

— Nie zamierzają podjąć pracy—wyjaśniła Sarah. — Uważają, że w tej strzaskanej rurze kanalizacyjnej siedzi diabeł i nie chcą się nawet do niej zbliżyć.

— Diabeł? Chodzi o jakiegoś demona? Z rogami, ogonem i widłami?

— Tak mówią.

— A ty co im odpowiedziałaś?

— Zagroziłam, że wywalę z pracy. Ale oni twierdzą, że nikogo nie znajdziemy na ich miejsce.

— Nie? Czy mogę zapytać z jakiego to powodu?

— Ponieważ najwyraźniej wszyscy polscy robotnicy wierzą w diabła. Ben odwrócił się i podszedł do Brzezickiego.

— To pan jest kierownikiem?

— Tak, Józef Brzezicki.

— A czy pan wierzy w diabła?

Majster wymijająco wzruszył ramionami.

— Panie Brzezicki, czy twierdzi pan, że nie znajdziemy polskich robotników, którzy nie boją się diabła?

Potężnie zbudowany mężczyzna skrzywił się i znów wzruszył ramionami.

— W takim razie — ostrzegł Ben — poszukamy Rumunów, A może Albańczyków, Bułgarów lub Rosjan.

— Może pan próbować — odparł spokojnie Brzezicki. — Ale wszyscy wiedzą o

diabie. Rumuni, Rosjanie, wszyscy. To fakt, nie żadna bajeczka. — Przeżegnał się i żelastwo, które nosił w kieszeniach, zadźwięczało. — Poza tym może pan mieć poważne kłopoty ze związkami zawodowymi.

— Zamierzacie ogłosić strajk?

— Nie -- odrzekł Brzezicki. — Ci ludzie nie chcą strajkować. To dobra praca i nie zamierzają jej stracić.

— W takim razie niech ruszą dupska i wracają do roboty.

— Nie wrócą... dopóki nie będą przekonani, że diabeł odszedł.

— No i co, mój mały Dżyngjs-chanie? — zwrócił się do Sarah Ben. — Co zamierzasz w takiej sytuacji zrobić?

— Brzezicki ci powiedział. Nie podejmą pracy tak długo, aż nie będą pewni, że nic im nie grozi. Zatem musimy ich przekonać, że przepędziliśmy diabła.

— Chyba chorowałem, gdy przerabialiśmy ten temat w szkole.

— Zapewne. Nazywa się to osobistym podejściem do kwestii ustępstw.

— To śmieszne. Sądziłem, że nazywa się to rezygnacją ze zdrowego rozsądku na rzecz tanich przesądów. Sarah podeszła do Brzezickiego.

— A jeśli zaproponuję robotnikom specjalną premię za zamurowanie tego kanału? — zapytała.

Brzezicki chwilę naradzał się z Tadkiem, po czym wrócił i pokręcił głową.

— Tu nie chodzi o pieniądze, panno Leonard. Ludzie są zadowoleni z płacy. Ale boją się, że diabeł odkryje, kto zamurował go w kanałach, i będzie ich nawiedzał w domach.

— Jezu Chryste! — westchnął Ben.

— Więc co mamy zrobić? Jeszcze raz przeszukać kanały? Wezwać egzorcystę?

— Ktoś musi znaleźć potwora, zabić go i wynieść jego zwłoki na powierzchnię.

— Chyba straciliście rozum! — ryknął po angielsku Ben. — Najpierw wstrzymujecie roboty przy przedsięwzięciu kosztującym grube miliony dolarów, ponieważ boicie się jakiegoś straszydła, a teraz mówicie, że nie zaczniecie pracy, dopóki nie zobaczycie zwłok tego straszydła! Kim wy jesteście, dziećmi?

— Ben — wtrąciła Sarah, chwytając go za rękaw marynarki. — Krzyk nic tu nie pomoże. Zwłaszcza że krzyczysz nie po polsku.

— Co zatem mamy robić?

— Ci ludzie boją się wyimaginowanego straszydła, lecz wczoraj wieczorem ktoś zabił tu człowieka i ten ktoś nie jest wcale wyimaginowany. Musimy pomóc komisarzowi Rejowi znaleźć sprawcę tego morderstwa.

— Aha. A niby jak zamierzasz mu pomóc?

— Sprowadzimy własnego detektywa, który poradzi sobie z tym pasztetem, znajdzie zabójcę i przekaże go komisarzowi Rejowi.

— A tymczasem budowa będzie stała odłogiem? — zainteresował się zjadliwie Ben.

— Po co ja tu jestem? — sapnęła Sarah. — Do czasu uporządkowania spraw zatrudnimy robotników z Niemiec. Będą wprowadzić trzykrotnie drożsi, ale przynajmniej utrzymamy harmonogram robót.

— A co na to tutejsze związki zawodowe?

— Myślę, że sobie z nimi poradzę. To tylko mężczyźni. Ben rozejrzał się po placu budowy i skinął głową.

— Dobrze, tak zrobimy. Ale jeśli hotel zostanie otwarty choć z jednodniowym opóźnieniem, ci faceci pożałują, że wcześniej nie dorwał ich ten diabeł.

Rozdział czwarty

Rej spotkał się z Matejką w Pizza Hut na Widok. Zajęli miejsca w kącie sali.

Przy sąsiednim stoliku świergotała rozkosznie grupka włoskich zakonnic.

Policjanci zamówili pizzę z mięsem. Zazwyczaj Rej, gdy miał dłużej zostać w pracy, zabierał z domu kanapki z salami i zjadał je przy biurku, ale akurat poprzedniego dnia zapomniał kupić chleb.

— I jak ci poszło w Radiu Syrena? — zapytał swego zastępcę. Matejko potrząsnął głową.

— Wiele tam nie działałem. Szef rozgłośni wiedział tylko, że Kamiński interesował się łapówkami, które kilku polskich ministrów wzięło od obcych firm. Pozwolił mi również przejrzeć biurko Kamińskiego, ale nic tam nie znalazłem. Trochę czasopism i dwa batony czekoladowe. Natknąłem się na ten notes z adresami i telefonami. Może na coś się przyda.

Wyciągnął z kieszeni niewielki notatnik w zielonej, winylowej okładce i podał przez stół Rejowi. Komisarz przekartkował go pośliskłym od nikotyny kciukiem.

— Sprawdź to. Zobacz, czy któryś z tych ludzi nie pomagał Kamińskiemu w prowadzonym przez niego śledztwie.

— Notes pobieżnie już przejrzałem i odkryłem ze trzy ewentualne tropy.

Zwłaszcza ten... Antoni Dłubak. Pracuje w Banku Kredytowym Vi stula.

— To rzeczywiście warto sprawdzić. Bank Yistula ma powiązania finansowe z Senate International, prawda? W pierwszej kolejności porozmawiaj z tym Dłubakiem. Ale ostrożnie. Nie chcę, żeby zaczęli nam zatrząskiwać drzwi przed nosem, zanim sprawdzimy, co się za nimi kryje. Kto to jest... Hanna Peszka? Jej

imię i nazwisko podkreślone jest z pięćdziesiąt razy.

— To dziewczyna Kamińskiego.

— O, to dobrze. Jest zapewne na środkach uspokajających. Kiedy, twoim zdaniem, będziemy mogli z nią porozmawiać?

— Może jutro rano? Ale nie sądzę, żeby nam cokolwiek powiedziała. Kamiński odprowadził ją do autobusu sto trzydzieści jeden. Wtedy widziała go po raz ostatni. Znaleźliśmy również starszą panią, która widziała go na tym przystanku. Twierdzi, że robił głupie dowcipy i zachowywał się jak kretyn. Była ostatnią osobą, która z nim rozmawiała. Później już tylko zaczepił go Marek Masłowski, kiedy zobaczył, jak majstruje przy bramie prowadzącej na budowę.

Rej bez entuzjazmu odgryzł kawałek pizzy.

— Musi istnieć jakiś schemat. Nie wierzę, aby wszyscy ci ludzie zostali zamordowani bez jakiegoś logicznego uzasadnienia. Otworzył zniszczoną teczkę i wyciągnął plan centrum miasta.

— Próbowałem ustalić, czy między tymi morderstwami zachodzą jakieś związki topograficzne. Najdalej na północ morderstwa dokonano na skrzyżowaniu alei Solidarności z Wisłostradą. Najdalej na południu, bo na skrzyżowaniu Żelaznej i Alej Jerozolimskich, zabity został student szkoły muzycznej. Najdalej na zachodzie znaleziono zwłoki lekarza, a na wschodzie ekspedientki. Z ciekawości połączyłem ze sobą te punkty i linie przecięły się na parkingu przed Dworcem Centralnym. Istnieje możliwość, że zabójca nie mieszka w Warszawie i dojeżdża pociągiem z jakiejś podmiejskiej miejscowości lub w ogóle z innego miasta. Ale wtedy miałby problem, jak wrócić w nocy pociągiem w zakrwawionym ubraniu.

— Może zabierać ze sobą walizkę z zapasową odzieżą — zasugerował Matejko.

— Nie wiem... cholera jasna, to możliwe, lecz mało prawdopodobne. Czy ktoś, kto wybiera się tropić i mordować ludzi, taszczy ze sobą walizkę? A gdzie się później myje i przebiera tak, że nikt go nie widzi?

Rej napił się piwa i kantem dłoni otarł usta.

— Później zająłem się porównaniem pory, kiedy tych ludzi zabito. Poza tym, że zamordowano ich już po zapadnięciu zmroku, nie zachodzą żadne związki. W każdym razie ja ich nie dostrzegłem. Zestawiłem też wiek ofiar, ich zawody, wykształcenie, miejsca pracy, zainteresowania, dodatkowe zajęcia w nadgodzinach, wyznania, banki, w których trzymały oszczędności, historie ich chorób, drzewa genealogiczne... jednym słowem każdą rzecz, jaka tylko przysłała mi do głowy. Wszystko wskazuje na to, że ci ludzie zostali wybrani na chybił trafił.

— Chcesz powiedzieć: szukamy jakiegoś pomylenca?—zapytał Matejko.

Rej nie odrywał wzroku od planu i wodził palcem po siedmiu liniach łączących miejsca, w których znaleziono ciała.

— Nawet jeśli jest to pomylenie, musi kierować nim jakiś motyw.

Przypominasz sobie tego faceta, który w zeszłym roku na Żoliborzu zamordował żonę i dzieci?

Naprawdę wierzył, że jego prawdziwą rodzinę porwał latający talerz i podmieniono ją z Marsjanami. Ale ja nie sądzę, by Oprawca był czubem.

Instynkt mi to mówi.

Musi istnieć jakaś racjonalna przyczyna, dla której zamordowano tych właśnie ludzi, a my po prostu nie potrafimy jej dostrzec. Może to jakiś odrażający

rytuał?

— Zatem powinniśmy się skonsultować z psychiatrą—mruknął Matejko. Rej dopił piwo i zapalił papierosa.

— Najpierw powinniśmy się zastanowić, co robił w kanale, do którego zszedł Kamiński.

— No cóż, Kamiński jakoby szukał płaczącego dziecka. Może morderca właśnie robił coś temu dziecku?

— Przeszukaliśmy przecież ten fragment kanałów i nie natrafiliśmy na ślad żadnego dziecka.

— Znalazłeś lalkę.

— No tak. Ale mogła tam być z tysiąca innych powodów. Na przykład jakieś dziecko spuściło ją w ubikacji z wodą... rozumiesz, posłało ją na wielką przygodę. Dzieci często tak robią.

— Mógł też zabić Kamińskiego, a dziecko zabrać ze sobą.

— Niewykluczone. Ale nie wpłynęło żadne zgłoszenie o zaginięciu dziecka.

Poza tym ciągle nie mamy odpowiedzi na podstawowe pytanie: co, do ciężkiej cholery, zabójca robił w kanałach?

— Zapewne się ukrywał — odparł Matejko, wruszając ramionami. — Podobnie jak powstańcy kryli się tam przed hitlerowcami. Kanałami można przebyć całe miasto, nie wychodząc na powierzchnię.... — Urwał i po chwili dokończył: — Może wręcz mieszka w kanałach.

Rej ponownie zerknął na mapę i w zamyśleniu zaczął bębnić palcami po blacie stolika.

— Wiesz, Jurek, to ciekawa koncepcja. Wyjaśnia fakt, dlaczego nie istnieją żadni świadkowie tych morderstw. Przecież mamy osiem zabójstw, mamy osiem ciał z odciętymi głowami, popłynęły całe litry krwi.

A wszystko to w samym środku miasta i żadnych doniesień o kręcącym się w pobliżu miejsc zbrodni człowieku w zakrwawionym ubraniu. Skoro po dokonaniu morderstwa rzeczywiście za każdym razem ucieka prosto do kanałów, wcale nie musi dźwigać ze sobą walizki z odzieżą na zmianę.

— Spróbuję skontaktować się z Zakładem Wodociągów i Kanalizacji— oświadczył Matejko. — Potrzebujemy dokładnego planu sieci kanalizacyjnej, żeby sprawdzić, czy w pobliżu miejsc, w których dokonano zbrodni, znajdują się wejścia do kolektorów.

— Masz rację. A później rozpoczniemy wyjątkowo paskudne poszukiwania. Obaj równocześnie popatrzyli na resztki mięsnej pizzy. Zazwyczaj, z powodu wysokiej ceny, nawet gdy nie byli szczególnie głodni, zjadali ją do ostatniego okrucha. Ale teraz zgodnie odsunęli talerze z nie dokończonym posiłkiem. Rej podniósł rękę i przywołał kelnerkę:

— Poprosimy o rachunek.

— Nie smakowała panom pizza?—zaniepokoiła się dziewczyna. Rej potrząsnął głową i mruknął:

— Nie, nie, była doskonała. Ale nie mogłem znieść myśli, że niedługo znów się z nią spotkam.

Tego samego wieczoru, dwie minuty po dwudziestej trzeciej, na Grójeckiej z autobusu numer sto jeden wysiadła młoda, ciemnowłosa kobieta i ruszyła przez jezdnię, kierując się do olbrzymiej szarej kamienicy z początku lat

pięćdziesiątych. Choć Grójecka należy do głównych ulic miasta, o tej porze była prawie opustoszała. Jezdnią przejechały tylko trzy taksówki, a w chwilę później z łoskotem przetoczył się traktor z przyczepą wyładowaną zardzewiałymi, stalowymi rurami.

Na parterze budynku znajdowały się sklepy — o tej godzinie pozamykane i z opuszczonymi kratami. Księgarnia „Biblios”, delikatesy Keplicza oraz salon meblowy, w którym sprzedawano kanapy obite odrażającym malinowym, brązowym i turkusowym nylonem. Do klatki schodowej i znajdujących się nad sklepami mieszkań prowadziło wąskie przejście po lewej stronie budynku. Młoda kobieta wyjęła z torebki klucze i podzwaniając nimi, ruszyła dziarsko ciemną alejką.

Było późno, była zmęczona, lecz nie bała się nocnych powrotów do domu. Fantazyjnie wygięte zadaszenie nad wejściem do klatki schodowej oświetlała nie osłonięta żarówka, więc na asfalcie alejki oraz na ścianie sąsiedniego domu widniały ostre cienie przypominające skrzydlate chimery, mnichów z wyciągniętymi ramionami i garbate psy. Światło było tak jaskrawe, że zostawiało w oczach dziewczyny powidoki.

Wspięła się na schodki, otworzyła dwuskrzydłowe drzwi i weszła na klatkę, na której panował mrok, a powietrze przesączała woń kurzu i środków dezynfekcyjnych. Wdusiła przycisk w kontakcie, ale żarówka była przepalona i rozległo się jedynie cykanie regulatora czasowego, dającego mieszkańcom domu jedenaście sekund na to, by dotrzeć na pierwsze piętro i wcisnąć kolejny guzik. Lecz oprócz tykania dobiegł ją inny jeszcze hałas. Od strony ciemnego prowadzącego do domu przejścia dochodził głęboki, cichy dźwięk, jakby coś się

włokło, jakby ktoś ciągnął mroczną alejką jutowy worek pełen ciężkich, wilgotnych przedmiotów. Kobieta uchyliła drzwi wyjściowe na niecałe dwa centymetry i patrzyła, zastanawiając się, co to może być. Jeszcze się nie bała, drażniła ją jedynie ciekawość. Otworzyła drzwi trochę szerzej i ostrożnie wystawiła przez nie głowę. Zerknęła w przejście prowadzące na Grójecką. Niczego osobliwego nie dostrzegła; jedynie przejeżdżający ulicą samochód oraz kłócącą się parę młodych ludzi. Popatrzyła w drugą stronę, gdzie w ślepych zakończeniu alejki stały pojemniki na śmieci. Nadśluchiwała jeszcze chwilę, lecz nie dobiegał już jej żaden hałas. Zamknęła zatem za sobą dokładnie drzwi, przekręciła w zamku klucz i sprawdziła jeszcze, czy zamek dobrze trzyma.

Po ciemku ruszyła schodami. Mieszkała na pierwszym piętrze w mieszkaniu, które po odejściu Leona należało w całości do niej. Mieszkanko było małe, ale kosztowało drożej, niż było ją na to stać, i dlatego w ognisku muzycznym prowadziła wieczorowe kursy gry na pianinie „dla młodszych i starszych początkujących”. Każdego wieczoru spędzała na taborecie cztery godziny, usiłując nie myśleć o tym, że gdyby Szopen słyszał to, co ona wyrabia, poderznąłby sobie żyły. Starła się nie słuchać uderzających ponuro w klawisze jedenastolatków ani frenetycznych dysonansów w wykonaniu cierpiących na artretyzm staruszków.

Gdy weszła do mieszkania, z kanapy zeskoczyła bura kocica Kaśka i zaczęła przymilnie witać swą panią.

— Dobrze, dobrze, poczekaj, wiem, że jesteś głodna — powiedziała dziewczyna. — Ale pozwól mi najpierw odłożyć siatki.

Zapaliła światło i zaciągnęła w oknie cienkie, oliwkowego koloru zasłony.

Pokój pomalowany był na żółto i bardzo skromnie umeblowany. Udało się jej zaoszczędzić tylko na kupno nowego fotela i stolika do kawy. Na ścianach wisiały plakaty przedstawiające salę koncertową na Zamku Królewskim oraz widownię w Teatrze Wielkim. W rogu stało pianino, a na nim popiersie Szopena.

Wyciągnęła z torebki papierowe zawiniątko i przeszła do kuchni. Za nią ochoczo ruszyła Kaśka. Dziewczyna rozwinęła serwetkę i wrzuciła do kocięj miseczki dużą porcję mielonego mięsa.

— Dziś na kolację zrazy wieprzowe, proszę pani — powiedziała, ale Kaśka już łapczywie pożerała swój ulubiony przysmak.

Dziewczyna nastawiła elektryczny czajnik. Przeszła do pokoju i zaczęła szcztokować włosy przed lustrem. Była bardzo szczupłą brunetką o uderzającej urodzie i oczach świecących łagodnym blaskiem. Miała na sobie szary pulower, toteż jej odkryte ramiona wydawały się wyjątkowo kruche. Ojciec zawsze narzekał, że chociaż para się muzyką, nie musi przecież wyglądać jak głodomór. Pracowała jako kelnerka w „Kuchciku”, więc jedzenia miała aż nadto — a tym samym Kaśka. Nazywała się Ewa Zborowska i za trzy dni miała skończyć dwadzieścia cztery lata.

Włączyła przenośny telewizor. W programie pierwszym dyskutowano o lekomanii, a na „dwójce” emitowano „Zorro”. Wyłączyła odbiornik. Odkładała pieniądze na kupno używanego fortepianu, ale w następnej kolejności zamierzała zainstalować u siebie antenę satelitarną.

Usłyszała, że czajnik zaczyna kipieć, i miała właśnie wrócić do kuchni, gdy

dotarł do niej inny jeszcze dźwięk: przerażające, uporczywe bębnienie.

Zaalarmowana, wahała się chwilę. Hałas brzmiał tak, jakby ktoś pięściami grzmocił w drzwi do klatki schodowej. Od czasu do czasu któryś z lokatorów zapominał klucza i wtedy dobijał się tak długo, aż jakiś inny lokator, mrużąc gniewnie, schodził na parter i wpuszczał go do środka. Ale teraz nikt nie stukał do drzwi. Teraz ktoś grzmocił w nie z taką mocą, że Ewa słyszała, jak trzeszczą zawiasy.

Przeszła do przedpokoju i wyrzała z mieszkania na schody. Walenie odbijało się w klatce schodowej grzmiącym echem, co jeszcze potęgowało łomot. Trwało i trwało, aż w końcu Ewa nie słyszała już nawet własnych myśli.

Z drugiego piętra schodził właśnie pan Wróblewski. Miał na sobie brązowy, bawełniany szlafrok, a na bosych nogach bambosze.

— Co się dzieje? — zapytał. — Kto robi taki raban?

— Nie wiem — odrzekła Ewa. — Ale chyba żaden z lokatorów.

— Może jacyś pijacy? — mruknął sąsiad, wychylając się przez poręcz schodów.

Na półpiętrze pojawiła się pani Konopnicka z wałkami we włosach.

— Powinniśmy zadzwonić po policję — powiedziała rozsądnie.

— Nie rozumiem, dlaczego sami nie mielibyśmy uciszyć awanturników — sprzeciwiła się Ewa.

— Jeśli pani chce, to proszę bardzo — stwierdził pan Wróblewski. — Ale moim zdaniem to jakiś szaleniec.

— Powinniśmy zadzwonić po policję — powtórzyła Konopnicka.

Ewa, zostawiwszy uchylone drzwi swego mieszkania, zeszła na półpiętro.

Walenie nie ustawało. Drzwi do klatki schodowej dygotały tak mocno, że w

powietrzu unosiły się tumany kurzu. Ewie błysnęła myśl, że lada chwila wylecą z futryny.

Zeszła po schodach na sam dół i znalazła się w mrocznym holu. Przez matową szybę widziała czarny kształt, który waląc w drewnianą przeszkodę gwałtownie się poruszał.

Podeszła na tyle blisko, na ile starczyło jej odwagi, i zawołała:

— Czego chcesz? Przestań się tłuc jak Marek po piekle! Przestań grzmocić i powiedz, czego chcesz!

Nastąpiły jeszcze dwa ogłuszające uderzenia i zapadła cisza; ale za szybą cały czas majaczył ciemny kształt.

— Słyszysz mnie? — zapytała Ewa. — Powiedz, czego chcesz, a może będę ci mogła pomóc.

— Ewo, uważaj! — dobiegł ją okrzyk Wróblewskiego. Za plecami starszego pana pojawiła się jego żona.

— Gdybyś był mężczyzną, Kaziu, sam byś był na dole! — warknęła.

Ewa popatrzyła w górę. Dojrzała pobladłe twarze spoglądających na nią ze schodów lokatorów.

— Czy już sobie poszli? — zapytała Konopnicka.

— Nie, ciągle jeszcze są — odparła Ewa. — Stoją na schodkach.

— Zapytaj, czego chcą. Nie mogą przecież zakłócać ludziom snu.

Ewa zbliżyła się do wejścia jeszcze bardziej i próbowała cokolwiek rozróżnić przez matową szybę. Ale mimo że zawieszona przed klatką żarówka dawała bardzo ostre światło, dziewczyna widziała jedynie mroczny cień, jakby po drugiej stronie stał człowiek w zarzuconym na głowę czarnym płaszczu.

— Dlaczego pukacie? — zapytała bardzo cicho.

— Ona to nazywa pukaniem! — parsknęła pogardliwie Konopnicka. —

Grzmocili tak, że o mało nie wybili futryny. I to w nocy, kiedy wszyscy idą spać.

— Czego chcecie? — ponowiła pytanie Ewa. — Przyszliście tu do kogoś?

Znów odpowiedziało jej milczenie.

— Nie mogę nic zrobić, dopóki nie powiecie, czego chcecie — powiedziała zdecydowanie.

Mroczny cień chwilę jeszcze się kołysał, po czym zniknął. Ewa wpatrywała się uporczywie w zamknięte drzwi.

— Odeszli? — zapytał Wróblewski.

Ewa przysunęła się do samego wejścia i dotknęła opuszkami palców matowej szyby.

Ogarnęło ją osobliwe uczucie smutku; może człowiek, który tak uporczywie kołatał, po prostu rozpaczliwie szukał pomocy i współczucia? Walił i walił, ale nikt mu nie otwierał. Teraz, odrzucony jak zawsze, poszedł sobie i zniknął w nocnym mroku.

Odczekała jeszcze chwilę, otworzyła drzwi i mrużąc oczy w jaskrawym świetle żarówki, popatrzyła w alejkę.

— Halo? — zawołała. — Jest tam ktoś?

Wychyliła głowę dalej. Noc była ciepła i wypełniona hałasami. Z oddali dobiegał

szum samochodów, dźwięki muzyki, czyjś śmiech. Czekwała przez moment,

nadsłuchiwała i wciągała w płuca powietrze wielkiego miasta. W końcu cofnęła

się na klatkę schodową. W tej samej chwili coś olbrzymiego i mrocznego runęło z alejki w jej stronę; jedna z chimer-cieni nabrała życia.

Ewa wrzasnęła i z łoskotem zatrzasnęła uchylone skrzydło. Z impetem pędzącego samochodu ciemny kształt wyrznął w drewnianą płaszczyznę z taką mocą, że zadrżała futryna.

— Co się tam wyprawia? — zawołała Konopnicka głosem cienkim jak kwilenie kurczęcia.

— Wszystko w porządku! — odkrzyknęła Ewa.

Choć pobladła i drżąca jak osika na wietrze, nie zamierzała pozwolić na to, by strach przejął nad nią władzę. Zresztą nigdy, odkąd zaczęła żyć samodzielnie, niczego się nie bała. Wykreśliła ze swego słownika słowo „strach”. W drodze z ogniska muzycznego do domu zaczepiali ją pijacy; na bazarach warszawskich nieraz próbowali się dobrać do niej kieszonkowcy; otrzymywała propozycje od klientów, których obsługiwała w „Kuchciku”. Zamierzała sobie więc poradzić także z tym, z czym spotkała się teraz, cokolwiek by to miało być. Oparła się plecami o drzwi, zamknęła oczy i modliła się. Boże, pomóż mi i uchronź od jakiegokolwiek złej przygody.

— Zadzwonię po policję! — oświadczyła w końcu zdecydowanie pani Konopnicka.

Ale w tej samej chwili gwałtownie otworzyła się znajdująca się w prawym skrzydle drzwi od lat nie używana skrzynka na listy, po czym szponiasta ręka chwyciła Ewę za nadgarstek. Dziewczyna wrzasnęła i próbowała się cofnąć, lecz jej dłoń została już wciągnięta w płaski, wąski otwór, służący kiedyś do wrzucania korespondencji do lokatorów. Coś zaczęło przeciągać na zewnątrz

nadgarstek Ewy. Mosięzna zapadka na górze skrzynki wbiła się w skórę; rękę ciągnęło coś tak

gwałtownie, że ciało oddarło się od kości i niczym gruba groteskowa rękawiczka podeszło do łokcia, tworząc rodzaj kryzy.

Ewa walczyła, odpychała się od futryny, kopała ją, ale to, co zamierzało przeciągnąć ją przez szczelinę w skrzynce na listy, było niewiarygodnie silne. Na łokciu zrobił się już tak gruby kołnierz ze skóry, że nawet to coś musiało na chwilę przestać ciągnąć. Ale wykonało w końcu kolejny ogromny wysiłek i wyrwało na zewnątrz całe ramię, zdzierając z kości skórę i mięśnie. Ewa nie widziała już ręki, lecz czuła, jak nocne powietrze owiewa odsłonięte nerwy, a ból mąci i odbiera jej rozum.

Dotarł do niej tupot czyichś nóg. To po schodach biegli z pomocą państwo Wróblewscy. Ale Ewa zdawała sobie sprawę z tego, że dzieje się coś przerażającego, a ona nie jest w stanie tego powstrzymać. Zawsze była tak odważna, choć na ogół sama stawiała się ofiarą tej odwagi. Tego wieczoru jednak jej los się dopełnił i domagał spłaty należności.

Kłęczała przy drzwiach zbyt zszokowana, by choćby krzyknąć, a jej ramię coś przeciągało coraz dalej i dalej przez otwór na listy. Przylgnęła twarzą do matowej szyby. Drugą ręką próbowała odepchnąć się od futryny. Ale nie starczało jej sił. Coś ciągnęło jej ramię i ciągnęło, aż poczuła, że pękają ostatnie ścięgna, a chrząstka w stawie trzaska z chrupotem. Bark eksplodował. Ramię odpadło i w obłoku krwi zniknęło w szczelinie skrzynki na listy.

Ewa przewróciła się do tyłu i drżała na podłodze w szoku, targana paroksyzmami bólu. Na wyłożoną szarymi mozaikowymi kafelkami posadzkę z

tętnicy pod pachą tryskała krew. Wróblewski zbiegł po schodach, gubiąc po drodze kapeć. Ukłękął obok Ewy, szybko odwiązał pasek swego szlafroka, by użyć go jako opaski zaciskowej i próbować zatamować krwotok.

— Dzwoncie po karetkę! — zawołał.

Twarz miał zbryzganą krwią.

Próbował znaleźć tętnicę pachową, aby ją zacisnąć, ale staw barkowy był już tylko bezładną mieszaniną rozdartego ciała i zmiażdżonych chrząstek. Ramię Ewy zniknęło i nie było nawet na czym zacisnąć paska.

— Ewo! — błagał Wróblewski. — Ewo, przestań krwawić! Pojawiła się jego żona z ręcznikiem kąpielowym.

— Daj, ja spróbuję.

— Karetka już jedzie! — zawołała pani Konopnicka drżącym, bliskim wrzasku głosem. — Kazałam się im spieszyć!

Wróblewska zrolowała ręcznik i przycisnęła go do otwartego stawu Ewy. Gruby materiał natychmiast pociemniał od krwi.

— Boże, niech już przyjeżdżają — jęknęła starsza kobieta. — Ta nieszczęsna dziewczyna umiera.

Wróblewski stał bezradnie, w ręce trzymał bezużyteczny pasek od szlafroka.

— Kto to mógł zrobić? — Popatrzył na drzwi. — Kto zdołał w taki sposób przeciągnąć przez wąską szparę całą rękę człowieka? Nigdy o czymś takim nie słyszałem.

Ewa przestała dygotać i leżała bez ruchu. Jedyłą wskazówką, że jeszcze żyje, było drzenie jej rzęs. Ale pozostało jej już niewiele sekund.

Wróblewski zrobił dwa czy trzy kroki w stronę wejścia do klatki. Jego bosa stopa przesunęła się po kafelkach z lepkim mlaśnięciem. Próbował coś dostrzec przez szybę, a potem chwycił za klamkę.

— Nie rób tego! — krzyknęła ostrzegawczo żona. — Może się tam czaić i czekać jeszcze na kogoś.

— Nikogo nie widzę — odparł Wróblewski.

— Daj lepiej spokój, zaczekajmy, aż przyjedzie karetka. Wróblewski uchylił jednak drzwi na dwa centymetry. Chwilę się wahał i nasłuchiwał.

— Nie, tam już nikogo nie ma — stwierdził w końcu. — Odszedł, Jego żona pochyliła się na Ewę i próbowała sprawdzić, czy dziewczyna jeszcze oddycha.

— Chyba umarła, biedactwo.

Na podeście schodów stała pani Konopnicka, w dłoniach mięła chustkę do nosa i głośno szlochała.

— A mówiłam, żeby zadzwonić po policję. Nie mówiłam tak? Wróblewski trochę szerzej uchylił drzwi.

— Na Boga, uważaj! — znów ostrzegła go żona.

— W porządku, nikogo nie ma. Wyjdę na róg i poczekam na karetkę.

Wystawił głowę i rozejrzał się, najpierw w lewo, potem w prawo. Niczego nie dostrzegł. Noc była cicha i spokojna. Ale nagle rozległ się cichy turkot i szelest, później ostry trzask, jakby ktoś strzelił z papierowej torby.

Wróblewski upadł ciężko na prowadzące do wejścia schodki i znieruchomiał.

— Kaziu? — krzyknęła Wróblewska, odwracając się w jego stronę.

Odpowiedziało jej milczenie. Drzwi były lekko uchylone, a w progu leżał w brązowym szlafroku jej mąż. Bosą nogę miał poplamioną krwią.

— Kaziu, co się stało?! — wrzasnęła.—Pani Konopnicka, niech pani tu szybko
zejdzie! Proszę mi pomóc! Coś się stało Kaziowi!

Z rozpaczą popatrzyła na Ewę. Dziewczyna leżała bez ruchu; twarz miała białą
jak kreda, a jej głowa trzymana przez starszą kobietę chwiała się bezwładnie.

Wróblewska szybko, ale ostrożnie złożyła tę głowę na posadzce i wstała.

Miała właśnie otworzyć szerzej drzwi, lecz ręka zawisła jej w powietrzu i
powędrowała do ust. Teraz, gdy podniosła się z podłogi, zrozumiała, co się
naprawdę stało.

Jej mąż leżał w progu w jaskrawym świetle żarówki, ramiona miał przyciśnięte
do boków, jakby przewracając się nie wykonał najmniejszego ruchu, żeby
uniknąć bolesnego upadku.

Powyżej kołnierza jego szlafroka nie było niczego. Nie było głowy. Tylko
strumień krwi, która spływała po schodkach; prawie zbyt jasna, żeby była
prawdziwa.

Pani Wróblewska próbowała zamknąć oczy, ale nie mogła. Słyszała, że w oddali
zawodzili ludzie, zawodzili jak w czasie wojny; ale to tylko jęczała syrena
nadjeżdżającej karetki. Nadjeżdżającej za późno, by kogokolwiek uratować.

Sarah zwiedzała właśnie swe nowe mieszkanie na trzecim piętrze stojącej w
Alejach Jerozolimskich kamienicy, kiedy zapukał Ben.

— Jest ktoś w domu?

— Jestem w salonie. Skąd wiedziałeś, że mnie tu znajdziesz?

Wkroczył do pokoju, trzymając ręce w kieszeniach. Miał na sobie granatową
sportową marynarkę i bawełniane spodnie. Na jedwabnym krawacie widniały
kolorowe baloniki.

— Zdążyłem się zaprzyjaźnić z twoją sekretarką.

— Z Ireną? No cóż, ale nie zaprzyjaźniaj się za bardzo, bo będę musiała wyrzucić ją z pracy.

— Tylko mi nie mów, że jesteś zazdrosna.

— Gdzie ty byłeś, kiedy Pan Bóg rozdawał ludziom skromność? Po prostu nie chcę, żeby o każdym moim kroku wiedziała cała Warszawa. Ben rozejrzał się po salonie i z uznaniem pokiwał głową. Apartament Sarah mieścił się w jednym z nielicznych domów w Warszawie wzniesionych w stylu artnouveau, które przetrwały drugą wojnę światową. Był przestronny, jasny, o wysoko sklepionych sufitach i dekoracyjnych oknach. Miał wychodzący na ulicę balkon oraz wielki marmurowy kominek rzeźbiony w pędy winorośli i ogromne, smętne lilie. Imponujące, pozlacane, paradne i kompletnie nie na czasie meble — kanapa i krzesła, wprowadzały do tych wnętrz klimat luksusu i komfortu. Na dywan padały refleksy słoneczne, odbite od wielkiego, również wykonanego w stylu artnouveau lustra.

— Tu jest cudownie — stwierdził Ben. — Aż mam ochotę się do ciebie wprowadzić.

— Nawet o tym nie myśl. Widziałeś się z Gawlakiem?

— Jasne. Wspaniale. Właśnie od niego wracam.

— I jaki werdykt?

— No cóż... osobiście uda się do swych kumpli w wydziale budownictwa i narobi trochę szumu. Mam wrażenie, że niektórzy jego współpracownicy ze zbyt wielką estymą odnoszą się do norm bezpieczeństwa.

— Jak ktoś może odnosić się ze zbyt wielką estymą do norm bezpieczeństwa?

— Bardzo prosto. Jeśli tworzy się zawieszenie stropu ważącego czterysta ton za pomocą wiązań, które wytrzymują osiemset, nazywa się to przedobrzeniem konstrukcyjnym i oznacza zmarnowane pieniądze.

— Gawlak nie tylko do stropu miał zastrzeżenia.

— Zgadza się... ale sama wiesz najlepiej, jak to jest.

Sarah opadła na obitą jedwabiem kanapę. Tego dnia włożyła krótką sukienkę w kolorze akwamaryny, która idealnie pasowała do koloru jej oczu, oraz luźną białą

lnianą marynarkę. Kolory wprawdzie były trochę za jasne do typu jej urody, ale w jaskrawym słonecznym świetle sprawiały, że Sarah wydawała się trochę niematerialna; jakby niezupełnie przebywała w realnym świecie.

— Nie wiem, jak to jest — odparła. — Ty mi to powiesz. Ben usiadł na kanapie obok niej.

— Sarah, oboje pracujemy dla Senate International Hotels i czegokolwiek firma od nas zażąda, my musimy to wykonać.

— Nie wiedziałam, że Senate International zamierza dawać łapówki wydziałowi norm i przepisów budowlanych. Ben roześmiał się i potrząsnął głową.

— Słoneczko, odwaliłaś tu dla nas kawał solidnej roboty. Tylko dzięki tobie realizacja projektu posuwa się w takim tempie. Jeśli chodzi o przekonywanie pewnych osób, o robienie innym wody z mózgu, nie mamy nikogo lepszego od ciebie. Ale czasami ludziom nie daje się pewnych rzeczy wyperswadować. W pewnej chwili mówią: basta, dosyć, kropka i ani kroku dalej. Wtedy przychodzi czas, kiedy należy odrzucić Plan A i zastosować Plan B.

— „B” jak bakszysz? Ben wybuchnął śmiechem.

— Na Boga, nikt nie mówi o korupcji i łapownictwie! Mówimy o wydatkach inwestycyjnych! Po prostu pozyskujemy sobie nowych przyjaciół, to wszystko! Oliwimy tryby!

Sarah dziabnęła go palcem w krawat w baloniki.

— To właśnie jest korupcja, Ben. To nielegalne i nieetyczne, a na dłuższą metę może fatalnie zaważyć na reputacji firmy. Dopóki chodziło o zezwolenie na nasze plany budowlane, wrzeszczałam na tych nieszczęsnych facetów, aż sami przychodzili do Holiday Inn, żeby prac mi rajstopy. Ale to był interes. Sztuka negocjacji. Nie potrafię przekazywać dziesięciu tysięcy dolarów na konto jakiegoś żalostnego skurczybyka, żeby tylko nie robił afer o stosowane przez nas mieszanki betonu lub czepiał się niewłaściwych instalacji elektrycznych.

— Ej! — Ben wyszczerzył zęby. — Ja mogę prac ci rajstopy w każdej chwili, kiedy tylko sobie tego zażyczysz!

Sarah przesłała mu spojrzenie, które co bardziej bojaźliwi mężczyźni z jej otoczenia określali mianem „palącego promienia lasera”.

— Ben, co się z tobą stało? Zawsze byłeś taki bystry. Teraz jesteś ordynarny, grubiański, a na dodatek skorumpowany.

Benowi, chociaż w dalszym ciągu się uśmiechał, chodziły wszystkie mięśnie twarzy.

— A jak myślisz, dlaczego podarowałam ci tę broszkę? Żeby pokazać, że nic się nie zmieniło. To ty się zmieniłaś, Sarah, nie ja. Ponieważ twoi rodzice byli Polakami, wydaje ci się, że tylko ty masz dane przez samego Boga prawo przebywać w tym kraju i zachowywać się jak Joanna Pieprzona d'Arc.

— Joanna Pieprzona d'Arc była Francuzką.

— Sarah... na rany Chrystusa... ci ludzie potrzebują każdego centa, który włazi im w ręce. Oni muszą rozwijać swój kraj, budować. Wiem, że są dumni. Wiem, że potrzebują tych swoich komitetów, wydziałów i cholernych przepisów. Ale to wyłącznie teatr. Rzeczywistość jest taka, iż z jednej strony naciska ich Zachód, a z drugiej Rosjanie. Więc co wybiorą? Hotele Senackie i McDonaldy czy biegających ze spluwami, handlujących koką mafiosów z Moskwy? Jeśli chcesz, możesz to nazywać korupcją. Ale z mojego punktu widzenia nie ma nic złego w tym, jeśli pieniężną zachętą skłonimy ich do podjęcia słusznej decyzji. Sarah podniosła się z kanapy. W środku aż kipiała z gniewu. Zaciskała i rozluźniała pięści.

— Mafiosi? Kim są ci przekłeci mafiosi? Ludźmi z wydziału gospodarki przestrzennej! Bali się mnie, to prawda, ale mnie szanowali, a ja ich szanowałam. Nigdy nie proponowałam im pieniędzy. Nigdy! Jak teraz będę mogła tam wrócić i spojrzeć im w oczy?

Ben z uwagą oglądał swoje paznokcie.

— Musisz się tylko uśmiechać. Poza tym nie proponowałem nikomu pieniędzy per se. Zaproponowałem tylko sześć nowych BMW 5-serie oraz sześć trzytygodniowych wczasów w Disney World. Wypadło dwa razy taniej.

Sarah podeszła do wysokich przeszklonych drzwi balkonowych i otworzyła je. Pokój natychmiast wypełnił hałas dobiegający z ruchliwej ulicy. Stała na balkonie i popatrzyła na rozciągające się w dole Aleje Jerozolimskie. Po raz pierwszy od chwili powrotu do Warszawy poczuła się niepewnie. Ben również wyszedł na balkon, wepchnął ręce w kieszenie i pobrzękiwał bilonem.

— To naprawdę wielkie i wspaniałe miasto — stwierdził. — A my справimy,

że będzie jeszcze wspanialsze.

Odwróciła się i popatrzyła na niego. Czy ja naprawdę kiedyś cię kochałam? — pomyślała. — Czy naprawdę gładziłam cię po włosach, wodziłam palcami po twojej twarzy i całowałam tak namiętnie, jakbym chciała w tobie bez reszty zatonać? Czy ktoś może się aż tak bardzo zmienić?... A może to ja, może to ja przestałam już być tamtą naiwną i niewinną dziewczyną?

— Stanowiliśmy wspaniałą parę — stwierdził.

— Nie, to nieprawda. Byliśmy wspaniali, ale nie stanowiliśmy pary. Każde z nas zawsze było sobą.

Próbował objąć ją w pasie, ale odsunęła się i przysiadła na balustradzie.

— Coś ci wyznam — przerwał milczenie Ben. — Nigdy cię nie rozumiałem.

Wydawało mi się tylko, że cię znam i rozumiem. Zawsze coś ukrywałaś, coś chowałaś dla siebie.

— Ludzie tak zazwyczaj postępują, Ben. To „coś”, jak to nazywasz, to osobowość.

Puścił jej uwagę mimo uszu.

— A jednak stanowiliśmy wspaniałą parę—powtórzył. — Gdybyś teraz dała mi choć cień szansy.

Sarah wychyliła się i spojrzała na ciągnący się w dół chodnik. Przewalały się tamtędy tłumy ludzi. Mogłaby przechylić się przez tę balustradę jeszcze bardziej i za sześć czy siedem sekund nie żyć. Albo mógłby ją zepchnąć Ben. Cofnęła się o krok. Był to tylko chwilowy zawrót głowy. Ale miał w sobie jakiś zapierający w piersiach dech czar. Prawie wszyscy to czują. Lęk przed spadaniem; a jednocześnie wszechprzenikające pragnienie, by spaść. Patrzyła na dół i

dostrzegła nagle poobijanego czerwonego passata, który zaparkował przy krawężniku, dokładnie pod jej balkonem. Wsiadł z niego siwowłosa mężczyzna, przeszedł przez chodnik i wszedł do budynku.

— Komisarz Rej — stwierdziła.

— Idzie do nas na górę? Czego, do diabła, może chcieć?

— Zapewne zamierza przywiązać mnie do krzesła i okładać gumową pałą. Jak robi to większość mężczyzn. Ben chwycił ją za ramię.

— Sarah, posłuchaj. Mówiłem o nas całkiem poważnie. Wiem, że ostatnim razem wszystko wymknęło się nam spod kontroli. Ale byliśmy inni. Teraz wydorosleliśmy.

Jesteśmy bardziej... nie wiem... bardziej...

— Jesteśmy rozsądniejsi! — podsunęła.

— Jeśli tak uważasz. Zgoda, rozsądniejsi.

— W takim razie miejmy nadzieję, że jesteśmy na tyle rozsądni, by utrzymywać nasze stosunki jedynie na polu zawodowym.

— Sarah, nie igraj ze mną.

Po kolei odginała jego palce zaciśnięte na jej ramieniu.

— Nie igrałabym z tobą nawet wtedy, gdybym była ostatnią małą dziewczynką na planecie Ziemia, a ty jedynym uratowanym szmacianym Andym*.

Obrzucił ją spojrzeniem, które bardzo się jej nie spodobało. Wyrażało czystą zaborczość, zazdrości erotyczny zawód. Nikt jej nigdy nie zgwałcił, ale teraz wyobraziła sobie, że gwałciciel mógłby bardzo przypominać Bena takiego, jakim był w tej chwili. Miał właśnie coś odpowiedzieć, ale zadzwieczał dzwonek przy drzwiach i Sarah poszła do przedpokoju.

W proggu stał Rej. Ubrany był w brązową, wymiętą kurtkę, która wyglądała mniej więcej tak, jakby bawiły się nią cztery dobermany, oraz sprane, rurowate spodnie. Włosy na tyle głowy miał zmierzwiłone i sprawiał wrażenie człowieka kompletnie wyczerpanego.

— Słyszała już pani najnowsze wieści? — zapytał, tym razem po angielsku.

— Jakie wieści? O niczym nie wiem. Cały rano pracowałam.

— Dwa kolejne trupy. Jeden pozbawiony głowy. Wszystko wskazuje na to, że mamy do czynienia z tym samym sprawcą.

— Ale nie na placu budowy hotelu Senackiego?—zaniepokoiła się Sarah.

— Nie, nie. Tym razem na Grójeckiej. W bloku mieszkalnym. Młoda dziewczyna i starszy jegomość. Spędziłem tam prawie całą noc. Właśnie stamtąd wracam.

— Tak mi przykro.

— Cóż, mnie też jest przykro. Cały czas jednak muszę brać pod uwagę możliwość, że Jan Kamiński został zamordowany dlatego, że węszył w finansach pani firmy.

Ben głośno i obraźliwie parsknął.

— Wszyscy ci ludzie zginęli przypadkowo, proszę pana. Macie tu maniaka zabójcę, i to wszystko. A fakt, że Jan Kamiński dopatrywał się jakichś szwindli w finansach zachodniej firmy, nie ma nic wspólnego z jego śmiercią.

Rej przesłał mu długie, poważne spojrzenie.

— W śledztwie dotyczącym morderstwa nie wykluczam żadnej możliwości tak długo, jak długo nie udowodnię, że dana okoliczność nie ma nic ze sprawą wspólnego.

— Zapewne chciałby pan zajrzeć w naszą księgowość?

— Byłby to dobry początek.

— Musi pan mieć nakaz sądowy.

— Miałem nadzieję, że udostępni mi pan te dokumenty z dobrej woli. Ben uśmiechnął się i potrząsnął głową.

— Przykro mi, proszę pana. Prędzej możemy się w piekle porzucać śnieżkami.

Rej rozejrzał się po mieszkaniu.

— Dobrze. Skoro pan tak chce, w porządku. Będziemy w kontakcie. — Ruszył w stronę drzwi. — Sympatycznie tu u pani, panno Leonard — dodał i wyszedł.

— Mógłbyś okazać większą chęć do współpracy — oświadczyła po jego wyjściu Sarah.

— Im szybciej złapie zabójcę, tym szybciej ludzie Brzezickiego wrócą do roboty.

— Chwyta się brzytwy, czy tego nie widzisz? Kamiński po prostu w niewłaściwym czasie znalazł się w niewłaściwym miejscu. Podobnie zresztą jak pozostałe ofiary. Twój znajomy, komisarz Rej, nie chce się przyznać do tego, że szuka kompletnego świra, to wszystko.

— Aleja lubię Reja. Jest taki sponiewierany, pobity, smutny.

— Czy właśnie to ci się przytrafiło? Odeszłaś od zwycięzców i zaczęłaś współczuć pokonanym? Przyznaj przed samą sobą. Facet jest beznadziejny.

Sarah zerknęła na zegarek.

— Muszę wracać do biura. O czwartej ma się pojawić ta niemiecka ekipa. Poza tym chyba znalazłam dla nas prywatnego detektywa. Wczoraj wieczorem zatelefonowałam do ojca. Zna pewnego emerytowanego policjanta z Chicago.

Zapyta go, czy zechce przylecieć do Warszawy i nam pomóc.

— To wspaniale — odparł Ben. — Każdy będzie lepszy od naszego słonecznego promyczka Reja.

— I jeszcze jedno, Ben.

— Tak? O co chodzi?

— Wiem, że chciałbyś, byśmy jeszcze raz ze sobą spróbowali. Ale wybij sobie to z głowy. Mnie jest dobrze tak, jak jest. Uwielbiam swoją pracę i nie szukam bardziej intymnych związków.

— Obejdiesz się bez seksu?

— To nie twój zakichany interes, Ben. I nie życzę sobie, żebyś na mnie nastawał, to wszystko. Ben podszedł do niej i oparł się o framugę drzwi.

— Sarah, w dniu kiedy przestanę na ciebie nastawać, poderżnę sobie gardło i umrę.

Rozdział piąty

O trzeciej po południu w leżących na południowo-wschodnim obrzeżu śródmieścia Warszawy Łazienkach wiał lekki ciepły wiatr, a niebo pokrywały wielkie, majestatyczne chmury, które rozciągały się nad całym kontynentem. Na brzegu stawu stał niewielki, romantyczny, osiemnastowieczny pałacyk z urnami, kolumnami i kamiennymi balustradami. Po trawnikach przechadzały się pawie. Na lewym brzegu stawu znajdował się teatr pod gołym niebem. Jego widownię stanowiły ustawione amfiteatralnie rzędy drewnianych ław, a scena z imitacją starożytnych ruin mieściła się na leżącej nieopodal wysepce.

Tego popołudnia orkiestra wojskowa grała utwory Karola Szymanowskiego i Witolda Lutosławskiego. Muzyka roznosiła się echem ponad wodą i koronami

szumiących na drugim brzegu stawu drzew.

Wśród widzów siedział Jacek Studnicki, współpracownik Sarah z Banku Kredytowego Yistula. Ubrany był w szary oficjalny garnitur, koszulę w paski i obficie się pocił. Miał szczupłą twarz o prawie orlich rysach, lecz zbyt wiele lunchów w pracy i zbyt wiele zarwanych nocy sprawiło, że zaczęły już mu się tworzyć podbródki, a powieki podpuchły.

Czekał w teatrze od ponad pół godziny, lecz ludzie, z którymi miał się spotkać, rzadko przychodzili punktualnie. Co więcej, należeli do osób, które bardzo nie lubią, jeśli ktoś okazuje im swoją irytację. Czekał więc, zerkając tylko od czasu do czasu na rolexa, choć ogarniało go coraz większe napięcie i zniecierpliwienie.

Skończyła się pierwsza część koncertu. Oklaski były tak rzęsiste, że na toni stawu pojawiły się delikatne zmarszczki. W tej samej również chwili na szerokim tarasie przed pałacikiem pojawiło się trzech mężczyzn, którzy okrążając staw ruszyli w stronę Teatru na Wyspie. Idący w środku mężczyzna był wyjątkowo wysoki i zbudowany jak medalowy buhaj. Twarz ocieniał mu czarny kapelusz z szerokim rondem, a z ramion spływał długi, także czarny, lniany płaszcz. Mężczyzna miał olbrzymią głowę, szeroki spłaszczony nos i wąskie słowiańskie oczy. Jego oblicze przypominało twarz wykutą w bryle wapienia, a następnie wypiąskowaną pod ciśnieniem po to, żeby powstały na niej dzioby i blizny. Towarzyszący mu mężczyźni w porównaniu z nim wydawali się drobni, lecz sprawiali wrażenie twardych i dobrze umięśnionych. Jeden miał na sobie szerokie luźne spodnie i koszulę z krótkimi rękawami, drugi był w czarnym garniturze. Zachowywali się czujnie, rozglądali bacznie, jakby w

każdej chwili spodziewali się ataku. Dotarli do widowni i tam przystanęli. Jacek natychmiast wstał i podszedł do nich. Razem zaczęli przesuwać się między rzędami ław. Wysoki człowiek w czarnym płaszczu nie próbował nawet na przywitanie podawać ręki.

— Jak leci, Roman? — zapytał Jacek.

— A jak myślisz? — odparł postawny mężczyzna. Powiedział to tak szorstko, że Jackowi zaschło w gardle. — To całe świeże powietrze... to trucizna.

— Sądziłem, że najbezpieczniej będzie się spotkać właśnie tutaj. Naszymi finansami zainteresował się wydział zabójstw oraz wydział przestępstw gospodarczych.

— Z powodu tego Jana Kamińskiego? Jacek skinął głową.

— Zamierzają przejrzeć dokładnie konta i rachunki Senate International w naszym banku.

— Ale chyba nic nie znajdą, prawda?

— To zależy, jak dokładnie będą szukać. Ciągle jeszcze nie wyczyściliśmy ostatniej płatności dokonanej przez Gdańsk.

— Ale do takiej kontroli potrzebują chyba nakazu sądowego?

— Oczywiście, ale dla nich to pestka.

Roman Zboiński obgryzł z kciuka paznokcie i wypluł pod nogi maleńki, postrzępiony półksiężyc.

— Kto prowadzi sprawę tych morderstw?

— Komisarz Rej. Znasz go?

— O, tak — odparł Zboiński z okrutnym uśmiechem. — Znam towarzysza Reja.

Jesteśmy starymi kumplami.

— Czy mam mu szepnąć coś na ucho?

— Jeśli nie zmienił mu się charakter, to nie ma sensu. Towarzysz Rej nigdy nie był podatny na... — Znacząco potarł kciukiem o palec wskazujący.

Na scenie znów pojawiła się orkiestra wojskowa, zabrzmiały pierwsze tony muzyki.

— Lepiej usiadźmy — powiedział Jacek.

— Nie. Nie znoszę muzyki. Robi mi się od niej niedobrze. Raczej się przespacerujmy.

Opuścili widownię i ruszyli prowadzącą między drzewami alejką. Przez gałęzie sączyło się mętne światło pochmurnego dnia, w liściach paproci zalegał głęboki cień.

— Za tydzień, w piątek, bezpiecznie skredytujemy Senate International ostatnią płatność — odezwał się Jacek. — Wtedy Rej będzie mógł sobie grzebać w papierach ile dusza zapragnie.

— Ale w następną środę czeka nas kolejny przelew — ostrzegł Zboiński. — Otrzymałem już z Berlina siedem mercedesów i trzy BMW z Pragi.

— A co z towarem na statku z Anglii?

— Jeszcze nie wiem. Dostarczymy go zapewne przez Rotterdam. Cztery jaguary i siedem rangę roverów. Chcę je niezwłocznie przesłać prosto do Japonii.

Doszli do Pałacu Łazienkowskiego. Na trawnikach krzyczały i rozpościerały ogony pawie. Pałac został zbudowany jako łaźnia dla marszałka Lubomirskiego.

Budowa pawilonu trwała trzynaście lat. Podczas powstania warszawskiego hitlerowcy zburzyli budynek do fundamentów, ale, jak większość Warszawy,

został po wojnie odtworzony i zrekonstruowany przez architektów i budowlance w, którzy nie chcieli, żeby przypadło dziedzictwo kulturowe ich ojczyzny.

Zboiński zatrzymał się. Jego długi czarny płaszcz furkotał cicho w podmuchach wiatru.

— Nie znoszę historii. Komu i na co ona potrzebna? Pokazuje tylko, jak bardzo sprawy potrafią się pokiełbasić.

— Muszę cię o coś zapytać — odezwał się Jacek.

— Mam nadzieję, że nie zasmucisz mnie swoim pytaniem.

— Morderstwa Oprawcy... wiesz, chodzi o te trupy bez głów. Nie wiesz przypadkiem, czyje to dzieło? Cały kłopot polega na tym, że robotnicy na placu budowy hotelu Senackiego wbili sobie do głów, że to sprawka diabła, i nie zamierzają podejmować pracy tak długo, dopóki ktoś go nie złapie. Ten przestój bardzo utrudnia, a nawet uniemożliwia nam przelewy gotówki.

— Myślą, że to diabeł? — zapytał ochryłym głosem Zboiński i wybuchnął śmiechem.

— Mam nadzieję, że ty w to nie wierzysz. Chodzi o to, że jeśli kogoś podejrzewasz, to ja potrafię spławić Reja, który nie będzie miał już powodów wtykać nosa w finanse Senate International, a robotnicy grzecznie wrócą do roboty. Zboińskiemu udało się w końcu wyrównać zębami paznokciec kciuka.

— Niczego na ten temat nie wiem. Nie jest to maniak, który zabija mi handlarzy czy posłańców. Obcinanie głów leży bardziej w stylu Czudowskiego, ale ten z kolei zazwyczaj obcina ofiarom również ręce. Wiem jednak, o co ci chodzi, i każę moim ludziom popytać.

„Moi ludzie” stali nie opodal, ręce trzymali w kieszeniach i wyglądali na takich,

którzy umieją wydusić odpowiedź od każdego.

Wyszli z parku na ulicę, minęli stragan z pamiątkami i podeszli do zaparkowanego przy chodniku wielkiego, czarnego BMW.

— Pozwól, że i ja coś ci powiem — odezwał się Zboiński. — Jeśli Rej zacznie być nieznośny, to „Oprawca” może uderzyć ponownie... i to w chwili, gdy ten glina najmniej będzie się tego spodziewać. Lecz jeśli Rej znajdzie jakieś moje pieniądze w Banku Yistula... to wtedy „Oprawca” uderzy nie raz, ale dwa razy.

Palcami o poobgryzanych paznokciach chwycił klapy marynarki Jacka i przyciągnął go do siebie tak blisko, że bankowiec poczuł bijący z jego ust zapach cebuli.

— Jacku, jestem człowiekiem spokojnym. Wszyscy o tym wiedzą. Nigdy nie tracę panowania nad sobą. A wiesz dlaczego? Ponieważ nigdy nie bywam sfrustrowany.

Jeśli przychodzi mi ochota na kobietę, to ją sobie biorę. Jeśli komuś mówię, co ma zrobić, on to robi. A jeśli ktoś mnie zawodzi, robię tak, żeby już nigdy nie miał okazji ponownie mnie rozczarować. Wiesz, co zawsze mówił mi ojciec?

Mówił: „Tylko wściekły pies śpi spokojnym snem”. Cóż, jestem właśnie wściekłym psem, a ludzie robią wszystko, żeby mnie nie zbudzić. Jeśli zbudzą, dobrze wiedzą, co się z nimi stanie.

Jacek próbował wyswobodzić się z uścisku. Chwytały go mdłości, nie potrafił spojrzeć Zboińskiemu w oczy.

— Nie musisz mi grozić — powiedział. — Z bankiem sobie poradzę. Ciebie proszę tylko o to, żebyś dobrze nasłuchiwał, co w trawie piszczy... i spróbuj się wywiedzieć, kto dokonuje tych zabójstw.

Zboiński roześmiał się ochryple i poklepał Studnickiego po policzku.

— Jesteś dobrym chłopcem, Jacku. Zobaczę, co da się zrobić.

Ulokował się na tylnym siedzeniu BMW i spuścił przyciemnianą szybę.

Wyszczерzył do Jacka zęby, a następnie warknął i wydał dźwięk przypominający szczeknięcie psa.

Jacek stał na skraju chodnika i obserwował oddalający się na wysokim biegu w stronę śródmieścia samochód. Czasami gorzko żałował tego, że związał się ze Zboińskim. Ale gdyby tego nie zrobił, jego miejsce zająłby ktoś inny; i przejął jego prowizję, która trzykrotnie przewyższała pensję w Banku Kredytowym Yistula.

Zawsze jednak istniało ryzyko, że operacje związane z praniem pieniędzy wyjdą na jaw. Perspektywa więzienia niezbyt Jacka trwożyła. Ale sama myśl o tym, co może zrobić Zboiński, sprawiała, że w żołądku rosła mu lodowata kula.

Roman Zboiński nosił, wymyślone zapewne przez siebie, przezwisko „Hak”.

Zrodziło się jeszcze w czasach, gdy w Gdańsku rozładowywał w magazynach mrożone tusze.

Zostawił sobie hak sztauerski i dobrze pamiętał, jak się nim posługiwać. Kilka miesięcy wcześniej Jacek miał do czynienia z pewnym jugosłowiańskim handlarzem z Ząbkowskiej, który usiłował zabrać Zboińskiemu bez płacenia samochód. Próba skończyła się tym, że Jugosłowianin został z jednym okiem i językiem przybitym do policzka.

Jacek podszedł do swego volvo, otworzył kluczykiem drzwi i wsunął się za kierownicę. Z radia płynęły tony Only The Lonely. Przed sekundą jeszcze świat był miły i przytulny, teraz wszystko stało się mroczne i pozbawione barw.

Ciała już zabrano, ale miejsce, gdzie popełniono dwa morderstwa, wciąż jeszcze było zasłonięte brezentowymi płachtami. Rej odsunął zasłonę i podszedł do progu, na którym niedawno leżał pozbawiony głowy Wróblewski. Na schodkach ujrzał przykucniętego Matejkę, pogrążonego w rozmowie z biegłym sądowym z workami pod oczyma.

— O, wróciłeś — stwierdził z dezaprobatą Matejko.

— Sprawdziłem nasze kartoteki — wyjaśnił Rej. — Żadna z ofiar w nich nie figuruje. Rozmawiałem też z ludźmi z Senate International.

— Podejrzewam, że złożyłeś również wizytę zachwycającej pannie Leonard.

— Nie żartuj sobie ze mnie, Jerzy. Jedynym tropem, jaki mamy, to właśnie jej firma.

— Ale tych dwoje nie miało żadnych powiązań z tym przedsiębiorstwem hotelarskim.

Podobnie jak żadna pozostała ofiara, z wyjątkiem Jana Kamińskiego. Rej puścił słowa Matejki mimo uszu i krążył wokół schodków, przyglądając się zakrzepłej krwi, która niczym ciemny strumień spłynęła z drugiego stopnia, przecięła alejkę wiodącą na Grójecką i wpadła do najbliższej studzienki prowadzącej do kanału burzowego. Strumień krwi rozdzielał się na tuziny mniejszych, jak widziana z lotu ptaka Amazonka.

— Czy znaleźliście jakieś odciski stóp? — chciał wiedzieć Rej.

— Nie do rozpoznania.

— A jakieś ślady, dowody rzeczowe?

— Żadnych.

Rej rozmawiał już z bezpośrednimi świadkami, z Wróblewską i Konopnicką.

Opisały dokładnie, jak coś przeciągnęło rękę Ewy Zborowskiej przez szczelinę w skrzynce na listy i o tym, jak Wróblewski ruszył dziewczynie na pomoc. Poza tym nic nie wiedziały. „Otworzył drzwi i upadł na twarz”. Z tym tylko zastrzeżeniem, że nie miał już twarzy.

— Głowy nie znaleziono — bardziej stwierdził, niż zapytał Rej.

— Nie. Szukaliśmy jakichś śladów krwi, wyrwanych włosów. Wysłaliśmy też do analizy trochę zgarniętych tu śmieci i kurzu. Nigdy nic nie wiadomo. Może znajdziemy w nich coś więcej niż tylko piasek i psie odchody.

— Sprawdziliście, gdzie znajduje się najbliższe wejście do kanałów?

— Popatrz tam, dokładnie na środku ulicy.

— W jakim kierunku biegnie ten kanał?

— Na północny wschód. Idzie pod Grójecką do placu Narutowicza, a potem skręca gwałtownie w prawo, na Żoliborz.

Kiedy ekipa śledczych pracowała przy pokrywie wjazdu do kanału, na ulicy wstrzymano ruch i puszczono samochody jednym tylko pasem jezdni. Rej wkroczył na asfalt, przystanął przy otwartym wlocie inspekcyjnym i z rękami w kieszeniach obserwował czynności techników.

— Czy natrafiliście na jakieś ślady wskazujące na to, że wczoraj wieczorem otwierano ten właz?

— To niemożliwe do ustalenia, komisarzu. Przejeżdża tędy mnóstwo samochodów, więc pokrywa nieustannie drga i wpada w rezonans.

Biegły sądowy z workami pod oczami skierował w głąb kanału strumień światła latarki. Rej ujrzał ciągnący się siedem metrów pod ziemią kanał, którym płynęła połyskliwa, brudnożółta struga.

— Ja tam wolałbym, żeby mnie złapali, gdybym miał wracać do tego gówna —
stwierdził technik śledczy.

— Zaraz, zaraz... co tam się przyczepiło do ostatniego szczebla? — spytał Rej.
Śledczy sądowy oświetlił przeciwległą ścianę wjazdu.

— Nic. Kawalek mokrej gazety.

— Wyciągnijcie ją.

— Słucham?

— Powiedziałem, wyciągnijcie ją. Chcę się jej dokładniej przypatrzeć.

Technik pstryknął palcami pod adresem któregoś ze swych kolegów ubranego w
kombinezon koloru khaki i w kalosze. Młody funkcjonariusz zszedł ostrożnie do
kanału. Po chwili wynurzył się na powierzchnię z wyrazem skrajnego
obrzydzenia na twarzy i płachtą gazety, z której ściekała obrzydliwa woda. Rej
rozłożył
papier na jezdni.

— Spójrzcie — stwierdził. — Zamokła tylko w jednym rogu. A co sądzicie o
tym?

Ślady krwi?

— Przeprowadzimy, oczywiście, badania — odparł technik.

— Popatrzcie jeszcze tu — wskazał Rej. — Wczorajsza data. A gazeta przecież
nie dopłynęła tu ze ściekami... Ona wpadła przez ten wjazd wczoraj wieczorem.
Zabójca zawiązał głowę Kazimierza Wróblewskiego w gazety, żeby nie
zostawiać za sobą
śladów krwi. Miał pecha, bo wchodząc do kanałów, zgubił wierzchnią warstwę.
Pojawił się Matejko.

— Nie mamy tu już nic więcej do roboty, komisarzu — oświadczył. —

Przesłuchaliśmy wszystkich świadków i przeszukaliśmy mieszkanie Ewy Zborowskiej.

Rej wskazał mu głową gazetę.

— Miałeś rację — stwierdził. — Uciekł do kanałów. Skontaktuj się z szefem kanalizacji miejskiej i powiedz mu, że chcemy do kanałów schodzić nie jutro, lecz teraz, jeszcze dzisiaj. Trzeba systematycznie przeszukać przewody w promieniu najbliższych pięciu przecznic. Jeśli nic nie znajdziemy, zamierzam przejrzeć każdy cholerny kanał ciągnący się pod centrum miasta.

— Czy masz pojęcie, ile to czasu zajmie? — zauważył trzeźwo Matejko. — System kanałów... to istny labirynt. Całe grupy akowców w nich zabłądziły i nigdy nie znalazły drogi powrotnej.

— Jurek, po prostu to zorganizuj, dobrze? — odrzekł krótko Rej.

Po reprimendzie, jaką Rej otrzymał od nadkomisarza Dembka, Matejko coraz częściej jawnie podważał autorytet swego bezpośredniego szefa. Ich współpraca wprawdzie nadal układała się harmonijnie, lecz Rej odnosił wrażenie, że Matejko już kuli paluchy u nóg, żeby wleźć w jego buty.

Wracał właśnie do kamienicy, kiedy zaczepiła go Anna Pronaszka i jej kamerzyści.

— Komisarzu Rej! Czy to prawda, że mają odebrać panu sprawę Oprawcy?

— A skąd pani o tym wie? Czyżby dzwoniła pani pod trzydzieści jeden dziewięćdziesiąt jeden dwadzieścia jeden?

Ta kąśliwa uwaga odsyłała dziennikarkę do warszawskiego telefonicznego horoskopu.

— Dziś rano rozmawiałam z prezydentem miasta. Bardzo nie podoba mu się sposób, w jaki prowadzi pan to śledztwo.

— A mnie nie podoba się sposób, w jaki on prowadzi to miasto. Ale każdy z nas ma prawo do własnych opinii.

— Komisarzu Rej, chcę pana ponownie zapytać: ilu jeszcze zginie niewinnych ludzi, zanim złapie pan tego szaleńca?

— Rozpracowujemy obecnie nowe tropy, pani Pronaszka. Tylko tyle mogę powiedzieć.

— Czy to prawda, że ukuł pan teorię, iż zabójca ucieka kanałami?

— Tak, to jedna z możliwości.

— A czy to prawda, że równolegle prowadzi pan śledztwo w sprawie Senate International Hotels?

— Tego nie zamierzam komentować.

— Czy chce pan powiedzieć coś mieszkańcom Warszawy, którzy żyją w strachu, że zostaną napadnięci i pozbawieni głowy? Rej ze znużeniem odwrócił się do kamery.

— Jedyne, o co mogę zaapelować, to by każdy, kto widział cokolwiek, co mogłoby się wiązać ze sprawą tych zabójstw, skontaktował się ze mną w Komendzie Głównej Policji.

— Oczywiście pod warunkiem, że nadal będzie pan prowadził tę sprawę.

— Niech pani się wypcha, pani Pronaszka.

Wszedł do mieszkania Ewy. Kaśka natychmiast zaczęła miauczeć i ocierać się głową o jego łydki. Wiedział, że Matejko dokładnie przeszukał mieszkanie, ale chciał osobiście na wszystko rzucić okiem i zorientować się, jaką osobą była

Ewa Zborowska.

Jakkolwiek nie istniały na to żadne dowody, Rej był przekonany, iż wszystkie ofiary Oprawcy coś łączy. Może zemsta, może numerologia, a może po prostu rodzaj odprawianego przez mordercę jakiegoś dziwnego rytuału. Sprawdził też wszystkie szpitale psychiatryczne i zamknięte ośrodki dla umysłowo chorych w całej Polsce. Nigdzie nie zgłoszono ucieczki pacjenta. Sprawdził informacje o zbiegach z więzień oraz dane osób ostatnio zwolnionych. Nie było doniesień o zbiegłych zbrodniarzach, żaden morderca nie zakończył właśnie odsiadki wyroku ani nie został warunkowo zwolniony.

Zwrócił się nawet o pomoc do policji niemieckiej, czeskiej, słowackiej, rumuńskiej i rosyjskiej. Zniknęło kilku terrorystów, dwóch niebezpiecznych niemieckich bandytów rabujących banki, ale żaden z nich nie pasował do wizerunku Oprawcy.

Przez chwilę przeglądał się w wiszącym na ścianie lustrze Ewy, zupełnie jakby liczył na to, że własne odbicie da mu w jakiś cudowny sposób odpowiedź na nurtujące go pytania. Następnie przeszedł do kuchni i otworzył kilka drzwiczek w kredensie. Słoik z rozpuszczalną kawą, butelka keczupu, marynowana papryka, puszka anchois. Naczynia do soli i pieprzu w kształcie białych myszek. Wrócił do salonu. Zaczął po kolei przeglądać stojące na regaliku książki. „Życie Chopina”, „Encyklopedia muzyki”, „Zamek” Franza Kafki, „Gra losu” Józefa Conrada.

„Gra losu” otworzyła się, ponieważ ktoś do środka włożył fotografię. Było to wyblakłe, czarno-białe zdjęcie przedstawiające dwóch mężczyzn w beretach, którzy stali przed barykadą usypaną z kocich łbów i płyt chodnikowych. Obaj

mieli na rękawach opaski, a jeden trzymał w ręku karabin. Na dole fotografii widniał napis wykonany zielonkawym atramentem: „Memu Przyjacielowi Januszowi Zborowskiemu Tadeusz Komorowski, 8 sierpnia 1944”.

Kilka wersów w książce zostało podkreślonych ołówkiem. „Tak naprawdę to niewiele mieliśmy sobie do powiedzenia, ale nas dwóch, naprawdę obcych sobie ludzi, zbratała najintymniejsza i ostateczna więź, więź śmierci. To ona nas połączyła”.

Rej dwukrotnie przeczytał ten ustęp. Wziął fotografię w lewą dłoń i spoglądał na nią tak, jak kobieta przegląda się w ręcznym lusterku. Janusz Zborowski był zapewne ojcem Ewy; to akurat Rej mógł szybko i bez trudu sprawdzić. A skoro zdjęcie datowano w sierpniu czterdziestego czwartego, to zrobiono je w kilka dni po wybuchu powstania warszawskiego, które wywołała Armia Krajowa przeciw niemieckim okupantom licząc na to, że walczącemu miastu z pomocą przyjdą zbliżające się wojska radzieckie. Tadeusz Komorowski ze zdjęcia był samym generałem Borem, dowódcą ponad trzystu osiemdziesięciu tysięcy powstańców.

Rej postukał palcem w zdjęcie. Odnosił nieodparte wrażenie, że dwaj uśmiechnięci mężczyźni z fotografii próbują mu coś przekazać, a on po prostu nie jest w stanie ich zrozumieć.

Usiadł na krześle Ewy i przez blisko dziesięć minut wpatrywał się w zdjęcie. W pokoju, w miarę jak za oknem pojawiały się i odpływały chmury, raz robiło się ciemniej, raz jaśniej.

Do drzwi zapukał Matejko.

— Komisarzu, mamy gościa z Zakładu Wodociągów i Kanalizacji.

— Doskonale. Powiedz, że za chwilę przyjdę. Matejko rozejrzał się po pokoju.

— Czy wszystko w porządku? — zapytał.

— Jasne. Znasz przecież moje metody. Próbuję lepiej wczuć się w osobowość ofiary.

— Ładna, utalentowana, ciężko pracująca. Żyła samotnie.

— Tak, ale musi być coś więcej. Była czyjąś przyjaciółką, czyjąś kochanką, czyjąś córką. Dla każdego była kimś innym. — Podniósł się z krzesła. — Nie rozumiem tylko jednego: dlaczego padła ofiarą Oprawcy? Czy zaatakował ją, bo była młoda i ładna? A może dlatego, że akurat przypadał drugi wtorek sierpnia i pasowała mu do jakiegoś absurdalnego wykresu okultystycznego?

— Dyrektor wodociągów oświadczył, że przydzielili nam czterech robotników, odzież ochronną i aparaty tlenowe. Dostarczy również plany.

— To bardzo uprzejmie z jego strony.

— No cóż, w sądzie toczy się właśnie przeciw niemu rozprawa za jazdę po pijanemu.

— A, rozumiem.

Zeszli na dół. Dyrektor miejskiej kanalizacji siedział z tyłu policyjnego poloneza i rozmawiał z biegłym sądowym z worami pod oczyma. Był niski i tłusty, nosił okulary o grubych szklach i miał przedziwnie wykrzywione usta, których jeden kącik znajdował się dużo wyżej niż drugi. Wyglądał jak człowiek, który świetnie potrafi żyć wśród kondensatu cudzych odpadków. Ubrany był w błyszczący brązowy garnitur i sandały.

W butonierce tkwiło mu sześć długopisów.

— Dzień dobry, panie Chwistek — powitał go Rej.

— Poinformowano mnie, że zamierzacie natychmiast przystąpić do poszukiwań w kanałach — odparł dyrektor. — Czy mógłby mi pan dokładniej powiedzieć, czego szukacie?

— Sami nie jesteśmy tego do końca pewni. Generalnie szukamy śladów czyjejś obecności. Istnieje również możliwość, że natkniemy się na ludzkie szczątki.

— Musicie więc zabrać ze sobą specjalistów. Niektóre przewody są tak wąskie, że trzeba się przez nie przeczołgiwać na łokciach. Inne zablokowane zostały kratami, żeby zatrzymywały większe bryły odpadków. Nie mamy w Warszawie oczyszczalni ścieków... wszystko spływa na Bielany i prosto do Wisły. Nie chcielibyśmy, by i was spotkał taki los. Byłoby szkoda!

— Im szybciej tam zejdziemy, tym lepiej — uciął ten wywód Rej.

— Tak, naturalnie. Obecnie w kanałach jest stosunkowo sucho. Nie radziłbym jednak nikomu tam wchodzić w czasie deszczów. Nie ma nic gorszego niż utopić się w ściekach. Wystarczająco okropna jest śmierć w morzu.

— Jak pan wie, panie Chwistek, mawiają, że jak ktoś nie ma szczęścia, utopi się nawet w łyżce wody.

Zapadło milczenie. Rej czekał. Chwistek czekał. I wtedy — za plecami dyrektora — Matejko wykonał rękami taki gest, jakby kręcił kierownicą.

— A! — odezwał się komisarz. — Mój zastępca wspomniał mi, że ma pan ostatnio kłopoty w sądzie związane z kierowaniem pojazdem w stanie nietrzeźwym.

— To nie była moja wina — zaprotestował Chwistek. — Mieli awarię w kanale w Białołęce na Pradze. Wsiadła jedna z pomp. Musiałem tam pojechać prosto z przyjęcia i osobiście nadzorować naprawę. Fakt, wypłem parę kieliszków, ale

nie byłem pijany i kierowałem bardzo ostrożnie. Jak pan sądzi, czy gliny mogą mi pomóc?

Rej położył dłoń na jego błyszczącym ramieniu.

— Niech się pan nie martwi, panie Chwistek. Coś wykombinuję. Ktoś obdarzony

takim duchem obywatelskim... cóż, nie musi się przejmować jakimiś mało istotnymi przepisami i regulaminami, prawda?

— Komisarzu Rej, jest pan bardzo wyrozumiałym człowiekiem. Natychmiast zorganizuję te poszukiwania.

— I co zamierzasz zrobić? — zapytał Matejko, gdy Chwistek wysiadł już z samochodu. — Chcesz pogadać z drogówką?

— Co? A pieprzyć go! Nic nie będę robił. Zasluguje na karę za jazdę po pijaku. Gdyby przejechał dziecko, czym różniłby się od Oprawcy?

Rozdział szósty

Sarah pojawiła się na placu budowy w chwili, gdy z dwóch autobusów oznaczonych napisami „Osterreisen” wysiadali Niemcy. Przybyłych cudzoziemców polscy robotnicy przywitali gwizdami i kocią muzyką; trzech próbowało nawet zablokować wejście na teren przyszłego hotelu Senackiego.

Usunęła ich dopiero policja. W końcu przybysze wkroczyli na budowę, po czym przezornie zamknęli za sobą bramę.

Do Sarah zbliżył się ubrany w obszerne levisy i czerwoną, grubą wełnianą koszulę Brzezicki.

— Przykro mi, że wybrała pani takie rozwiązanie, panno Leonard.

— A czy dał mi pan jakiś wybór? Osobiście odpowiadam za terminowe

zakończenie prac, więc musiałam postąpić tak, jak postąpiłam.

— Zgoda... ale tylko dlatego, że Niemcy nie wierzą w diabła, nie znaczy wcale, że jego tam nie ma.

— Na Boga, panie Brzezicki. Rozumiem, że to szok, kiedy ktoś zostaje zamordowany. Ale nie możecie przecież wierzyć w diabła.

— On tu już jest od bardzo, bardzo dawna, panno Leonard. Powinna pani zapytać o to moją matkę. Ta historia ciągnie się od wieków. Ów stwór służy każdemu, kto go karmi. Jeśli poprosić go o zemstę na kimś, kogo się nienawidzi, zabije tę osobę, zabije rodziców tej osoby, zabije jej współmałżonka i będzie tak długo zabijać jej potomków, aż żaden nie zostanie przy życiu.

— To bardzo biblijnie brzmi — stwierdziła Sarah. — A teraz, jeśli pan pozwoli, weźmiemy się do oczyszczania fundamentów i budowy hotelu.

— Panno Leonard, dlaczego nie chce pani porozmawiać z moją matką? Ona pani wszystko wytłumaczy. Sarah przycisnęła zewnętrzną część dłoni do czoła.

— Panie Brzezicki, nie mam ochoty rozmawiać z pańską matką. Nie wierzę w żadne

diabły i dziwię się, że pan w nie wierzy. Wyświadczyłby pan nam wielką grzeczność, gdyby odrzucił pan te przesady i skłonił swoich ludzi do pracy.

Kierownik budowy potrząsnął odmownie głową.

— Nie mogę, panno Leonard. Oni nie podejmą pracy. Chyba że na własne oczy ujrzą, jak to stworzenie będzie martwe i zostanie wyniesione z kanałów.

— W takim razie, panie Brzezicki, muszą jeszcze bardzo długo czekać.

Minęła bramę i znalazła się na placu budowy. Wokół roili się Niemcy, którzy wesoło do siebie pokrzykując, rozpakowywali dobytek. Odszukała brygadzystę,

wielkiego, rzyżego mężczyznę o oczach niczym obrane ze skórki winogrona.

— Herr Muller? Nazywam się Leonard. Dziękuję, że tak szybko przywiózł pan ludzi.

— Za płacę, jaką pani zaoferowała, panno Leonard, kein Problem.

— Jutro z samego rana pojawią się tutaj architekt i główny dyrektor budowy.

Powiedzą wam dokładnie, co już zostało zrobione i wyjaśnią, co zostało jeszcze do wykonania. Przede wszystkim musicie uporać się z tą roztrzaskaną rurą kanalizacyjną. Poprzednia ekipa zniszczyła ją łyżką koparki. Zapewne już poczuliście, że rura jest dziurawa.

— Jak bardzo została uszkodzona? — zainteresował się Muller. — Czasami są duże kłopoty z załataniem takich starych przewodów. Często trzeba wymienić całe odcinki.

— Pokażę panu — powiedziała Sarah, podeszła do najbliższej drabiny i zaczęła po niej schodzić.

Na ten widok jeden z niemieckich robotników gwizdnął, inny zawołał:

— Uważaj, Muller, jeszcze ci odbierze robotę! Brygadzista zszedł za Sarah po drabinie. Przeszli piwnice i zatrzymali się przy wielkiej dziurze ziejącej w przewodzie kanalizacyjnym.

— Gdyby nie przesady Brzezickiego i jego ludzi, dzisiaj już byłaby załatana.

Muller pociągnął nosem, po czym pochylił się i zaczął nadśluchiwać.

— Co pan robi? — spytała zaintrygowana Sarah.

— Na podstawie dźwięków wydawanych przez taki przewód można ustalić bardzo wiele rzeczy. Jego długość, czy nie jest zatkany, czy w ogóle wymaga naprawy. Sarah również nastawiła uszu, lecz usłyszała tylko szmer i kapanie

cuchnącej wody oraz odległe dudnienie — echo przejeżdżających nad włazami w jezdniach autobusów i ciężarówek.

— Słyszę tylko echa.

— Cóż... być może do czasu, kiedy zakończymy tu pracę, zostanie pani ekspertem.

Muller głośno szurając nogami po gruzie, ruszył w stronę drabiny. Sarah miała właśnie pójść jego śladem, gdy wydało się jej, że słyszy odległy, piskliwy płacz. Płacz zrozpaczonego, nieszczęśliwego dziecka. Przystanęła i słuchała. Ponownie dotarł do niej ten dźwięk. Odległy, zniekształcony, ale z całą pewnością płacz dziecka.

— Herr Muller! — zawołała. — Może pan tu na chwilę wrócić? Niemiec niechętnie

obejrzał się za siebie.

— O co chodzi? I tak nie zaczniemy wcześniej niż jutro.

— Nie... proszę posłuchać. Jestem pewna, że słyszę płacz dziecka.

Oboje zaczęli nasłuchiwać, ale docierało do nich jedynie dudnienie samochodów i odrażające kapanie lepkich ścieków.

— Takie rury potrafią wytwarzać najzabawniejsze odgłosy — wyjaśnił Niemiec.

— Proszę sobie tylko wyobrazić, że kanały biegną pod każdą ulicą w

Warszawie. Nawet pod tymi, które dawno już nie istnieją. Sarah dłuższą jeszcze chwilę nadsluchiwała, ale dziecięcy płacz ustał. Dołączyła więc do

wspinającego się po drabinie Miillera. Przywitało ich jeszcze więcej gwizdów.

— Czy pańscy ludzie są zadowoleni? — zapytała. — Dzisiaj niech idą na

kolację do McDonalda. Moja firma zapłaci. Na Królewskiej jest sklep

spożywczy. Tam mogą dostać kawę i pieczywo.

— Poradzimy sobie — zapewnił ją Muller. — I proszę się tą rurą tak nie martwić. Nawet pani nie zauważy, kiedy ją naprawimy.

Sarah niepewnie przystanąła przy bramie. Znow się jej wydało, że słyszy cichutki płacz. Ale przejeżdżające ulicą samochody czyniły taki rumor, że wszystko zagłuszały. Ponadto, gdy znalazła się przy bramie, robotnicy Brzezickiego zaczęli gwizdać i krzyczeć: krautsout! krauts out!, więc gdyby nawet jakieś dziecko płakało jej prosto w ucho, i tak nic mogłaby go wychwycić. Stali nad otwartym włazem ubrani w wodoszczelne kombinezony koloru khaki; czterech robotników z Zakładu Wodociągów i Kanalizacji oraz sześciu policjantów. Trochę rozmawiali, dużo palili, ale nikt nie wykazywał szczególnego entuzjazmu i chęci wejścia do kanału jako pierwszy.

— Główny ciąg pod Grójecką jest wystarczająco wysoki, żeby posuwać się nim w pozycji wyprostowanej — wyjaśnił im Chwis-tek, zerkając na zatopiony w folię plan miejskich kanalizacji. — Lecz w przewodach biegnących pod bocznymi ulicami trzeba się czołgać. Szybko do tego przywykniecie i nabierzecie wprawę. Wszyscy macie przy sobie linki... nie zaczynajcie penetrować wąskich odcinków, zanim zaczepicie koniec takiej linki w kolektorze. Niektóre kanały rozgałęziają się i bardzo łatwo w nich zabłądzić. Poza tym wiele jest tak wąskich, że nie sposób się w nich odwrócić. Rej zapiął szeleszczący wodoszczelny kombinezon i naciągnął grube gumowe rękawice. Chwisstek przesłał mu przymilny uśmiech, a policjant próbował odplacić dyrektorowi tym samym.

— Nie rozumiem, dlaczego musimy to robić osobiście — odezwał się Matejko,

który w kombinie jeszcze bardziej przypominał kukielkę.

— Musimy to zrobić osobiście, żeby przekonać środki masowego przekazu, iż jesteśmy gotowi na wszystko, byle schwytać tego bydlaka... nawet za cenę popływania i kąpieli w gównie. Matejko obrzucił Reja niespokojnym spojrzeniem. Mruknął coś pod nosem, dając do zrozumienia, że może Rej dla podtrzymania swej reputacji musi popławić się w gównie, ale dlaczego ma mu w tym towarzyszyć jego zastępca?

— Muszę panu się przyznać, komisarzu, że nie mam najmniejszej ochoty tam schodzić. Cierpię na klaustrofobię.

— Skoro w czasie wojny robiły to dwunastoletnie dzieciaki, to dlaczego ty nie możesz?

— Stefan, wojna dawno się skończyła, to jest śledztwo w sprawie morderstw, a ja nie jestem już dzieciakiem. Jeden z robotników podniósł się z ziemi i w szerokim uśmiechu pokazał im wyszczerbione zęby.— Gotowi? — zapytał. — Uważajcie na szczury. Jeśli natkniecie się, po prostu trzeba mu zdrowo przyłożyć, o, tak.— Cholera jasna, jeszcze szczury — jęknął Matejko. Robotnik klepnął go beztrąsko po plecach.

— Sam pan widzisz, jaki to interes. Gówno i szczury. Zbliżył się funkcjonariusz z przenośnym telefonem.

— Komisarzu Rej... nadkomisarz Dembek chce z wami rozmawiać. To podobno pilne.

— Proszę mu powiedzieć, że zszedłem do kanałów.

— On mówi, że ma to związek z wieczornym serwisem informacyjnym w drugim programie telewizji.

— Boże, to znów ta suka Pronaszka. Powiedzcie mu, że zszedłem do kanałów i wrócę najwcześniej za tydzień.

Zostawił policjanta z przenośnym telefonem i zaczął schodzić pod ziemię po metalowych szczeblach drabiny. Tuż za nim posuwał się robotnik z ubytkami w uzębieniu. Trzeci ruszył Matejko, później dwaj kolejni robotnicy i reszta policjantów. Pochód zamykał czwarty robotnik.

Rej dotarł do ostatniej klamry i wszedł w strumień ścieków. Na szczęście panował dopiero wczesny wieczór i ciecz nie była ani głęboka, ani zbyt smrodliwa — pochodziła głównie z pryszniców i zlewów. Świecąc latarką po ścianach kanału, powoli ruszył z prądem nieczystości w kierunku północno-wschodnim. Za nim, rozpryskując wodę, szedł robotnik, a dalej bardzo ostrożnie kroczył Matejko.

— Matko Boska! — odezwał się Matejko, gdy napór ścieków docisnął mu do goleni gumowe buty. — Przecież nie po to zapisywałem się do policji! Sądziłem, że będę przebywał na świeżym powietrzu i jeździł czystymi samochodami.

— Nie marudź — warknął Rej. — I nie bluźnij.

— Myślałem, że jesteś niewierzący.

— No i co z tego. Czyjaś matką była.

Przebyli jakieś pięćdziesiąt, sześćdziesiąt metrów i dotarli do rozległej kopulastej komory, w której ich kanał krzyżował się z innym głównym kanałem.

— Ten idzie spod Wawelskiej — poinformował robotnik, omiatając pomieszczenie światłem latarki. Płynąca z dwóch stron woda i nieczystości w centralnym kanale stały się głębsze. Z komory do znajdującego się wprost nad

ich głowami włązu biegł w górę kolejny rząd metalowych klamer.

— A skąd wiemy, w którą stronę udał się Oprawca? spytał Matejko.

— Nie wiemy — odparł Rej. — Po prostu musimy zbadać każdy kanał i w końcu natrafimy na jakiś ślad. Robotnik roześmiał się i splunął.

— Mówisz pan: każdy kanał? Pracuję w wodociągach i kanalizacji od siedemnastu lat i nie byłem nawet w jednej dziesiątej rur. Cały kłopot z kanałami polega na tym, że pierwsze wybudowano jeszcze w roku tysiąc osiemset osiemdziesiątym szóstym. Czy wiesz pan o tym, że budował je Anglik? Ale aż do trzydziestego dziewiątego były nieustannie przebudowywane i modernizowane. Kiedy Niemcy zburzyli miasto, przy jego odbudowie pociągnięto nowe odcinki i teraz nikt nie wie, gdzie tak naprawdę biegnie ponad połowa starych rur. — Chwycił Reja za rękaw i dodał: — Powiem coś panu.

Jeszcze teraz, od czasu do czasu znajdujemy w nieczynnych przewodach szkielety. Przed dwoma laty natrafiliśmy na szczątki dziewczynki. W chwili śmierci nie mogła mieć więcej niż dziesięć czy jedenaście lat. Zaplątała się w ogromny kłęb zardzewiałego drutu kolczastego, którym hitlerowcy blokowali kanały, żeby utrudnić akowcom przemieszczanie się nimi pod miastem. Ciągle jeszcze miała na sobie filcowy płaszczyk, wełniane rękawiczki, a w dłoni trzymała kartkę z rozkazami. Kto wie, ilu mężczyzn i ile kobiet straciło życie tylko dlatego, że nie dotarła do celu?

— Niech go pan nie słucha! — zawołał inny robotnik. — Tak długo przebywał w tych kanałach, że już tylko takie głupoty potrafi opowiadać. Ruszyli na północny wschód w kierunku placu Narutowicza. Ścieki były tu znacznie głębsze, pochłodziło, a powietrze przesączała się woń metanu. Idąc wydawali

nogami dźwięczne plask--plask-plask i musieli cały czas bardzo uważać, żeby cuchnąca ciecz nie wlała im się do butów.

— Gdybyś tylko pan widział, jakich choróbsk tutaj ludzie się nabawiają.

Wolałbyś pan dostać trądu. Rejowi zaczęły łzawić oczy, więc zasłonił usta i nos skuloną dłonią, żeby choć trochę powstrzymać bijący mu w nozdrza smród.

Wodził promieniem latarki po ścianach kanału, wyłuskując z mroku czarne, ociekające wilgocią czeluście bocznych przewodów i wąziutkich korytarzy.

Rozglądał się w poszukiwaniu jakichkolwiek nietypowych odpadków na dnie czy śladów na pokrytych obrzydliwym osadem betonowych ścianach, tropów, które wskazywałyby na to, że ktoś tedy ostatnio przechodził. Jak dotąd wszystko było takie samo: ciemne, śmierdzące, nasiąknięte wilgocią. Rej junacko zarządził generalne poszukiwania w kanałach; teraz jednak, kiedy wreszcie do nich trafił, ujrzał wszystko w całkowicie odmiennym świetle. Już teraz go dławilo, a oddech zaczynał przyspieszać na myśl, że czeka go czołganie się na łokciach i kolanach w którymś z węższych, bocznych odcinków. Ponadto modlił się w duchu, żeby niczego nie znaleźli.

Nie mieściło mu się wprost w głowie, że tymi przewodami mogły krążyć pod miastem dzieci, świecąc sobie tylko świecami — nieustannie narażone na zagazowanie, spalenie żywcem w rozlewanej przez Niemców benzynie, na zabłądzenie w podziemiach i śmierć z głodu.

Minęli właśnie kolejne skrzyżowanie kanałów pod placem Narutowicza, kiedy nieoczekiwanie odezwał się Matejko:

— Spójrz! Co to? Gazeta?

Po lewej stronie, w jednej z węższych rur majaczyła żółta, podwójna,

przyklepiona do ściany stronica z gazety. Rej poczłapał w tamtą stronę i odkleił ją od betonu. Był to „Ex Libris”, pochodzący z gazety z ubiegłego dnia dodatek o książkach. Tę samą gazetę znaleziono na najniższym szczeblu drabiny we włazie na Grójeckiej. Ta stronica, choć w większości sucha, była jednak mocno zbrukana krwią.

Robotnik skierował światło latarki do bocznego odcinka.

— No tak, nie ma wątpliwości... poszedł tą drogą. Widzisz pan te ślady na ścianach?

— Dokąd biegnie ta rura? Robotnik popatrzył na plan.

— Dokładnie pod kościołem Niepokalanego Poczęcia.

— No, tam to nie znajdziemy zbyt wielu prezerwatyw — zażartował Matejko, lecz na widok zaciętej, kamiennej twarzy Reja spoważniał.

— Chcesz pan tam zajrzeć? — zapytał kanalarz. — W takim razie proszę się związać w pasie liną. Gdybyś pan utknął lub wpadł w panikę, wyciągniemy pana.

— Matejko? — zwrócił się Rej do swego zastępcy. Matejko cofnął się tak gwałtownie, że do kaloszy wlało mu się trochę wody.

— Przepraszam, komisarzu, naprawdę cierpię na klaustrofobię. Nie mogę.

— Będziesz szedł na linie. Czego się boisz?

— Po prostu nie cierpię zamkniętych przestrzeni, to wszystko. Już tu paskudnie się czuję, a mam przecież nad głową trochę miejsca. Poza tym, jeśli nawet i natknę się na Oprawcę, to co mu zrobię?

— A co on ci zrobi w takiej ciasnocie? Ty masz przynajmniej broń.

Matejko zbliżył się do komisarza; podszedł tak blisko, że Rej odniósł absurdalne

wrażenie, że zastępca chce go pocałować.

— Stefan, nie mogę tam iść. Nawet mnie o to nie proś.

— Wcale cię nie proszę. Rozkazuję ci. Matejko wziął głęboki wdech.

— Nie dbam o to, czy mnie prosisz, czy mi rozkazujesz. Nie pójdę.

— Bo cierpisz na klaustrofobię?

— Bo tak się boję, że sram ze strachu, jeśli już chcesz znać prawdę.

— Ja tego nie słyszałem.

— Bo sram ze strachu!

— Co?

— Bo sram ze strachu. Zadowolony?

Głos Matejki odbijał się i odbijał tysięcznym echem od ścian kanałów. Pozostali patrzyli na niego, ale ich twarze nie wyrażały żadnych uczuć. Byli zapewne równie jak on wystraszeni i odczuwali niewymowną ulgę, że ktoś inny wyraził w końcu nurtujące ich obawy.

Rej odwrócił się do robotnika.

— W porządku, wygląda na to, że to ja muszę tam iść. A pan? Pójdzie pan za mną?

Kanalarz skinął głową.

— Wszystko będzie w porządku. Przede wszystkim nie należy tracić głowy. W chwilach paniki ludzie stają się więksi, płuca im pęcznieją, a mięśnie puchną.

Panika zawsze pogarsza sprawę.

Rej zdjął rękawicę, sięgnął pod kombinezon i wyciągnął z zawieszanej pod pachą kabury automatycznego tokariewa. Kanalarz obwiązał policjanta w pasie liną, drugi robotnik wręczył reflektorek o potężnym blasku.

— W porządku — mruknął Rej. — Do dzieła! Odwrócił się do Matejki.

— Pamiętaj, Jerzy, jeśli coś mi się przytrafi, masz zaopiekować się moimi złotymi rybkami. Musisz co drugi dzień czyścić akwarium.

Matejko nic nie odrzekł, tylko w milczeniu obserwował, jak Rej wchodzi do ciasnej rury. Na twarzy malowało mu się upokorzenie i bezradność. Czasami życzył Rejowi, żeby został ranny podczas pełnienia obowiązków służbowych i przeszedł na emeryturę. Lubił go i traktował prawie jak starszego brata. Ale ponieważ komisarz nie wybaczał sobie żadnych słabości, nie tolerował ich również u innych.

Pełnienie w rurze okazało się znacznie trudniejsze, niż Rej zakładał. Przewód był za wąski, żeby czołgać się w nim normalnie, toteż policjant musiał o każdy metr rozpaczliwie walczyć na przemian to kolanami, to łokciami. Pistolet w jednej ręce, a latarka w drugiej wcale sprawy nie ułatwiały. Ale przecież bez tych dwóch rzeczy żadną miarą nie mógł się obejść.

Przed nim rura ciągnęła się prościutko na przestrzeni jakichś pięćdziesięciu, sześćdziesięciu metrów, po czym skręcała w prawo. Jej ściany obrosnięte były grubym osadem, a dno pokrywał szorstki beżowy szlam. Rej przebył zaledwie kilka metrów, a już cały kombinezon miał upakowany nieczystościami.

— W Ameryce takimi przewodami robotnicy prześlizgują się na deskorolkach — wyjaśnił kanalarz. — Prosiłem szefa o deskorolkę, to mi powiedział, że do kanałów schodzi się do pracy, nie dla zabawy.

Nagle Rejowi wydało się, że słyszy szuranie. Znieruchomiał i posłał w głąb przewodu snop światła. Dostrzegł jakiś niewyraźny ruch, jakiś zagięty kształt, który pojawił się na moment, po czym zniknął. Policjant chwilę jeszcze

nadsłuchiwał, lecz nie dobiegł go już żaden hałas. Najwidoczniej był to tylko refleks światła jego własnej latarki i jakieś echo.

— Coś nie w porządku? — dobiegło go pytanie kanalarza.

— Nie wiem. Wydawało mi się, że coś słyszę.

— Najprawdopodobniej szczury.

— Czy one atakują?

— Tylko wtedy, kiedy człowiek tkwi w pułapce i nie może walczyć. Ale nie wolno pić ich szczyn. Są zabójcze.

— Wcale nie zamierzam. Osobiście pijam schnappsy.

Znów zaczął się czołgać; tuż za nim posuwał się robotnik. Posuwał się stanowczo za blisko i nieustannie prawie obijał się o gumiaki Reja. Wynikało to zapewne stąd, że miał większą wprawę i przeciskanie się przez ciasną rurę przychodziło mu dużo łatwiej.

— Dokąd prowadzi ten przewód? — zapytał Rej, gdy dotarli do zakrętu.

— Do skrzyżowania Alej Jerozolimskich z Niemcewicza.

— A później?

— Gdzie pan sobie życzysz, komisarzu. Możemy przejść z jednego końca miasta na drugi i ani razu nie wyjrzeć na światło dzienne.

Rej podjął mozolną wędrówkę. Zaczynały go piec łokcie, a za każdym razem, gdy zginał kolana, uderzał nimi boleśnie o ścianę ciasnego przewodu. Wolał nie myśleć o tym, że tkwi w długiej na siedemdziesiąt pięć metrów rurze o średnicy zaledwie jednego metra. Wolał nie myśleć, że znajduje się głęboko pod fundamentami kościoła Niepokalanego Poczęcia, że nad głową piętrzą mu się tysiące ton ziemi i tysiące ton kamieni. Ale najbardziej nie chciał myśleć o

tym, że posuwa się przez obrzydliwe kanały i z każdym wdechem wciąga w płuca fetor ludzkich odchodów. Musiał na chwilę się zatrzymać, bo ogarnęły go nagle mdłości, słabość i panika.

— Coś się stało? — zapytał robotnik.

— Nic, po prostu nad słuchuję.

Miał właśnie ruszyć w dalszą drogę, kiedy z przodu dotarł doń dźwięk ostrego drapania.

— Słyszysz pan?

— To szczury. Zakłóciliśmy im spokój. A one bardzo nie lubią, jak się zakłóca im spokój.

W tej samej chwili rozległo się kolejne drapanie; i wydarzyła się jeszcze jedna rzecz. Dotychczas w rurze czuło się delikatny przeciąg. Teraz powietrze znieruchomiało, zupełnie jakby coś zatkało przewód.

— Czuje pan? — zwrócił się do robotnika Rej.

— Tak. Coś zablokowało wentylację.

— Szczury raczej tego nie zrobiły, prawda?

— Widziałem już istne potwory... ale takiego, który by zatkał cały przewód, jeszcze nie spotkałem. To musi być człowiek. Rej niezgrabnie przekręcił ciało i oświetlił twarz robotnika.

— Człowiek? Jest pan tego pewien?

— To normalne, gdy ktoś wejdzie do tak wąskiego przewodu. Blokują przepływ powietrza.

— A zatem przed nami ktoś jest?

— Na to wygląda. Ale jeszcze pan nie strzelaj. To może być któryś z naszych

ludzi. Rej odwrócił się i oświetlił rurę.

— Kto tam? — krzyknął, ale tym razem nie odpowiedziało mu echo. Głos zabrzmiał płasko i głucho. — Czy jest tam ktoś?

Czekali, natężali słuch, lecz nie docierał do nich najlżejszy szmer.

— Może jest za daleko, żeby nas słyszeć? — zastanowił się Rej.

— Słyszysz nas, słyszysz doskonale — odparł kanalarz. — W takich rurach, jeśli zaśpiewasz pan na Żoliborzu „Jeszcze Polska nie zginęła”, to usłyszą pana na Mokotowie.

— Więc kto to może być?

— A, to już pan mi powiesz. To przecież pan chcesz go złapać.

Rej znów wytężył słuch. Nie miał wątpliwości. Słyszać było, jak coś powoli, ciężko przeciska się przez przewód. I wcale się nie cofa, lecz nadciąga w ich stronę.

— Ej! — wrzasnął. — Jest tam ktoś? To ostrzeżenie! Zbliżaj się powoli! Tu uzbrojona policja!

Teraz już taki odgłos, jakby coś wlokło się w rurze, był dużo wyraźniejszy. Ale odpowiedź wciąż nie nadchodziła. Rej znów zaświecił przed siebie latarką.

Dostrzegł tylko ciemność.

— Kim jesteś? Podejdź tu i się pokaż! — zawołał ochryple już policjant.

Wysunął w wyprostowanych rękach pistolet i wycelował w głąb przewodu. Nie miał najlepszych warunków do oddania strzału, lecz jeśli ktoś czaił się przed nimi w tym mroku, nie było możliwości, aby uniknął kuli.

Wciąż żadnej odpowiedzi, lecz teraz już Rej widział, jak coś ciemnego wypełnia cały przewód; coś, co pochłania światło. Słyszał wyraźne szuranie, jakby ktoś

ciągnął za sobą jakieś mokre i niewysłowione odrażające przedmioty. Rozległ się kolejny hałas — pracowite drapanie, jakby ktoś wbijając przerośnięte paznokcie w oblepiający rurę brud, mozolnie próbował pełznąć do przodu. Rej nie był tchórzem. Nie potrafił nawet zliczyć, ile razy atakowali go pijacy i drobni kryminaliści. Ale to, co teraz zbliżało się tym kanałem, budziło w nim dreszcz zgrozy, jakiej nigdy jeszcze w życiu nie doświadczył. Nie potrafił powstrzymać drżenia rąk — pistolet oraz latarka dygotały mu w dłoniach.

— Co to jest? — zapytał robotnik zduszonym, pełnym przerażenia szeptem.

— Nie wiem. Ale najlepiej będzie, jak zaczniemy się wycofywać.

— Widzisz to pan? — chciał koniecznie wiedzieć kanalarz.

— I tak, i nie.

— Co to znaczy: i tak, i nie?

— Panuje tam mrok, kompletny mrok. Ale coś widzę. To znaczy, sądzę, że coś widzę, bo niczego innego nie mogę dostrzec.

— Cholera jasna — zaklął robotnik i gwałtownie szarpnął za linę.

— Co jest? — sapnął Rej. — O co chodzi?

— Pan możesz sobie tu zostać i wszystko sprawdzić, komisarzu. Ale nie ja.

Znów pociągnął za linę, przez chwilę się nie ruszał, po czym zaczął się tyłem wycofywać. Rej słyszał, jak kanalarz znika za zakrętem rury, szeleszcząc głośno niczym saneczkarz płozami swych sanek podczas zimowej olimpiady. Później docierało już tylko wywoływane jego ruchami echo. W końcu i te odgłosy ucichły.

Rej czekał i nad słuchiwał. Pocił się ze strachu, ze zmęczenia i ogarniających go mdłości. Coraz bardziej dokuczała mu klau-strofobia. Rura była tak wąska, że

nie mógł nawet wyprostować szyi, od niewygodnej pozycji drżało mu ciało, a od czołgania się zaczynały łapać skurcze.

Coś wlokło się w jego stronę, było coraz bliżej. Nieruchome od jakiegoś czasu powietrze, teraz maćcone ruchami kogoś, kto tu podpełzał, zaczęło znów delikatnie owiewać mu twarz.

— Daję ci ostatnią szansę! — zawołał Rej. — Albo się zatrzymasz i powiesz, kim jesteś, albo strzelam!

Usłyszał metaliczny szczęk. Uniósł latarkę, ale ta w tej samej chwili zaczęła gasnąć. Jej blask osłabł, stał się pomarańczowy, aż w końcu żarzyła się tylko żółtą poświatą. Otoczyły go ciemności, w których pobłyskiwała nikła, bursztynowa kuleczka żarówki. Po chwili i ona zgasła, a Reja otoczyły nieprzeniknione ciemności.

Policjant wstrzymał oddech. Odgłos wleczenia dobiegał już z bardzo bliska. Ktokolwiek to był — cokolwiek to było — znajdowało się od Reja w odległości najwyżej czterech lub pięciu metrów. Komisarz wciągnął powietrze do płuc. Tym razem poza przenikającą kanary wonią poczuł okropny stęchły fetor zepsutych rybich wnętrzności. Smród był tak odrażający, że Reja wprost zatkało, a żołądek zaczął odmawiać mu posłuszeństwa.

— Stój! — wrzasnął w ciemność. — Natychmiast się zatrzymaj!

W odpowiedzi rozległ się kolejny metaliczny szczęk, dużo głośniejszy niż poprzednio; ze ściany rury posypały się iskry. Rej dostrzegł lśniące trójkątne ostrze i nagle uświadomił sobie, że naciera na niego ktoś uzbrojony w olbrzymi nóż. To ta klinga właśnie, uderzając w ściany przewodu, krzesła iskry i

wydawała donośny klekot.

A co więcej, ten ktoś przepychał się przez rurę z niewiarygodną prędkością.

Rej nacisnął spust. Huk wystrzału ogłuszył go, ale w szczyrbinie muszki

zobaczył przez mgnienie oka błysk stali. Nie mógł chybić, a jednak ostrze noża

z coraz większą furią obijało się o ściany rury. Poczł krótki, ostry ból w lewej

ręce, w sekundę później na jego lewe ramię spadł straszliwy cios.

Rozpaczliwie pociągnął za linę.

— Wyciągajcie mnie stąd! — wrzasnął.

Ostrze cięło go w policzek. Zaczęła ściekać ciepła krew. Ogarnięty paniką,

znów nacisnął spust. Pistolet trzymał tak blisko siebie, że sparzył się w dłoń.

Wydawało mu się, że dostrzegł czyjąś twarz. Białły kościsty policzek.

Wpółprzymknięte oczy. Wydawało mu się, że widział także usta rozdziawiające

się nieprawdopodobnie szeroko. Ale równie dobrze mogła to być fałda w jakimś

materiale lub skomplikowana gra cieni.

Napastnik na moment się zawahał. Trwało to kilka sekund. W tej samej chwili

lina gwałtownie się naprężyła i Rej zaczął sunąć do tyłu przewodem

kanalizacyjnym.

Od tarcia paliły go żywym ogniem łokcie i kolana. Uderzał głową o ściany rury.

Ale przede wszystkim chciał znaleźć się jak najdalej od napastnika.

Przez zakręt prześlizgnął się, szorując całym ciałem o szorstkie podłóże i nagle

ujrzał błysk światła latarek kanalarzy.

Udało się — pomyślał.

W tej samej chwili znów usłyszał zbliżający się bardzo szybko klekot stali, a

odgłos wleczonej rurą tkaniny przypominał sapanie lokomotywy. Mdlącymi

falami napływał odrażający fetor gnijącego ścierwa.

— Szybciej! — ryknął Rej. — Na Boga, szybciej!

Świst żelaza, ostrze rozcięło mu czoło. Obiema rękami zasłonił głowę, pewien, że napastnik zechce rozłupać mu czaszkę. W następnej chwili przewód zalało jasne światło. Klekot i szuranie gwałtownie się urwały. Ostatnie dwadzieścia metrów policjant został przeciągnięty bardzo szybko i w końcu wpadł do kolektora. Stracił równowagę i z pewnością by upadł, gdyby nie podtrzymał go Matejko oraz jeden z robotników.

— Widziałem go! — wrzasnął histerycznie Rej. — Jest tam! Widziałem go!

— Chryste Panie, Stefan! — wykrzyknął Matejko. — Co on ci zrobił?

— Co?—zapytał głupkowato Rej. Rozejrzał się po otaczających go, wpatrujących się w niego z uwagą ludziach. — Trafił mnie, to wszystko.

— Tak, ale czym?

Rej popatrzył na lewą rękę. Krew oblepiała mu dłoń niczym połyskliwa szkarłatna rękawiczka. Podniósł rękę do oczu i ku swej zgrozie ujrzał, że brakuje mu małego palca.

— On... obciął mi palec! — wystękał z niedowierzaniem. — Mój Boże, popatrzcie! Obciął mi mój pieprzony palec! Gapił się na rękę, nie wierząc własnym oczom.

— Poranił ci również twarz — stwierdził Matejko. — Wynośmy się stąd jak najprędzej. Nie chcesz chyba dostać zakażenia?

— Twarz? — zapytał Rej.

Ostrożnie podniósł prawą dłoń i dotknął policzka. Sądził dotąd, że napastnik jedynie wymachiwał mu przed nosem lśniącym ostrzem. Teraz wyczuł pod

palcami głęboką ranę, namacał odsłoniętą kość policzkową.

Popatrzył na Matejkę i w jednej chwili pojął, że wciąż jeszcze znajduje się w szoku.

— Tak — wyjąkał. — Lepiej mnie stąd zabierzcie.

— Czy mamy za nim iść, komisarzu! — zapytał jeden z policjantów. Rej potrząsnął głową.

— Na razie zostawcie go. Przy szybkości, z jaką porusza się w kanałach, nigdy go nie dogonicie. Ale przynajmniej wiemy, gdzie go szukać.

Przez całą drogę powrotną Matejko z całych sił podtrzymywał rannego.

— Wiemy już, jak to robi — stwierdził Rej. — Teraz tylko musimy dojść dłaczego.

— Ale najpierw musisz pojechać do szpitala — odparł rozsądnie jego zastępca.

Na górze Rej odwrócił się jeszcze w stronę ziejącego w jezdni wjazdu do kanałów.

— Dostanę go, Jerzy. Przysięgam na Boga, dostanę.

Rozdział siódmy

Sarah miała właśnie wyjść z biura i wybrać się na lunch, gdy w gabinecie pojawiła się jej sekretarka, Irena. Irena była nieprawdopodobnie energiczną, wysoką brunetką o szerokich ramionach. Sarah zatrudniła ją dlatego, że podobnie jak ona umiała zastraszyć i osadzić w miejscu każdego Polaka. Irena miała ciemnobrązowe oczy i lekkiego, dodającego jej wiele uroku zeza, którego starała się jednak wyrównywać dużymi okularami. Zawsze nosiła śnieżnobiałą bluzkę koszulową i obcisłą czarną spódniczkę. Jeśli jej szefową nazywano „Ajatolah”, to Irenę „Ajatolah II”.

— Przyszedł pan Gogiel — oznajmiła sekretarka.

— Chyba nie był umówiony?

— Nie, ale twierdzi, że musi się z tobą natychmiast zobaczyć.

— W porządku. Czy taksówka już podjechała?

Piotr Gogiel czekał w holu i udawał, iż podziwia makietę hotelu Senackiego umieszczoną w szklanej gablocie. Był spocony, jakby drogę do biura przebył biegiem.

— Przepraszam, że panią niepokoję, panno Leonard.

— Panie Gogiel, już jestem spóźniona na umówiony lunch. Wybieram się taksówką na Stare Miasto. Nie ma pan nic przeciwko temu, żeby pojechać tam ze mną i porozmawiać po drodze?

— Nic a nic.

Ranek był parny, w powietrzu wisiała lepka, wilgotna mgła. Mimo otwartych okien w taksówce panował zaduch i unosiła się woń potu. Sarah pochyliła się w stronę kierowcy i powiedziała:

— Tylko proszę nie jechać przez Krakowskie Przedmieście. Tam będą korki.

Taksówkarz, nie wyjmując papierosa z ust, mruknął coś niepochlebnego na temat wtrącania się kobiet we wszystko, ale Sarah puściła jego komentarz mimo uszu.

— Co jest aż tak pilne? — zwróciła się do Gogjela.

— To bardzo drażliwa sprawa — odparł. — Nie jestem nawet pewien, czy powinienem pani o tym mówić. Jak dotąd nie mam żadnych konkretnych dowodów.

— Dowodów na co?

— No cóż... w dziale inwestycji zagranicznych mojego banku pracuje niejaki Antoni Dłubak. Zdarzyło się, że rozmowa zeszła na temat Jana Kamińskiego... wie pani... oraz wstrzymania prac na budowie, bo robotnicy myślą, że zabił go diabeł. Otóż Dłubak oświadczył mi, że Kamiński kontaktował się z nim ze dwa lub trzy razy, ponieważ bardzo interesował się strukturą finansową Senate International Hotels.

— Wiem, że się interesował. Nie wiem tylko, co spodziewał się znaleźć.

— Antoni Dłubak wie, co Kamiński spodziewał się znaleźć, a co więcej, pomógł mu to znaleźć. Sarah odwróciła się w stronę Gogiela i zmrużyła oczy.

— O czym pan mówi? Piotr zniżył głos.

— Mniej więcej dwa lub trzy miesiące temu Dłubaka zaintrygowały ogromne sumy pieniędzy nadchodzące i wychodzące nieregularnie z konta waszej firmy przeznaczonego na nieprzewidziane wydatki.

— Mówi pan: ogromne sumy. Jak ogromne?

— Dwa, dwa i pół. Raz większe, raz mniejsze.

— Dwa do dwóch i pół tysiąca dolarów to niezbyt dużo. Piotr potrząsnął głową i Sarah popatrzyła na niego rozszerzonymi oczyma.

— Chce pan powiedzieć: dwa i pół miliona? — szepnęła. — Nigdy nie zatwierdzałam wydatków na tak wielką skalę. O ile wiem, na tym koncie mamy zaledwie siedemset pięćdziesiąt tysięcy dolarów, zapewne mniej.

— Dokładnie tyle powinno być. Ale wszystko wskazuje na to, że ktoś używa konta waszej firmy do prania brudnych pieniędzy. I na ten właśnie trop wpadł Kamiński.

— A to już mogło stać się motywem morderstwa, prawda?

— Tak. W dzisiejszych czasach mordują ludzi, żeby ukraść dywan.

Ogarnięta lękiem Sarah opadła na oparcie fotela.

— O Boże... to może mieć katastrofalne skutki. Czy ten pański Dłubak podejrzewa kogoś konkretnego?

— Oświadczył mi, że przeprowadził wnikliwe badania. Ale niczego bliżej nie wyjaśnił. Twierdzi, że dopóki nie byłby pewien w stu procentach, nie powiedziałby niczego nawet Kamińskiemu. A jeśli nawet zdobędzie już wszystkie dowody, również musi zachować szczególną ostrożność. Ludzie, którzy piorą w ciągu roku dziesięć czy jedenaście milionów dolarów, nie należą do osób, które łagodnie obejdą się z kimś, kto wpadnie na trop takiej afery.

— Czy policja już o tym wie?

— Dłubak ma z nimi rozmawiać dziś po południu. Dwóch oficerów... z przestępstw gospodarczych i z wydziału zabójstw. Nie zamierza im niczego mówić, ale będzie musiał przekazać kartoteki.

— Kto poza mną jest upoważniony do przyjmowania lub wypłacania pieniędzy z tego konta? — zapytała Sarah.

— Tylko pani... a i to, jak sama pani wie, każdy rachunek musi podpisać Jacek Studnicki. Zakładam, że ktoś w siedzibie głównej firmy w Nowym Jorku zatwierdza te transakcje, ale przecież zawsze panią o tym informują, nieprawdaż?

— Chyba że nie chcą, żebym się we wszystkim połapała.

Piotr skinął głową.

Dotarli do Placu Zamkowego.

— Proszę chwilę poczekać. Odwiezie mnie pan z powrotem — powiedział Piotr,

po czym zwrócił się do Sarah. — Musi pani bardzo uważać. Jeśli ktoś zorganizował przekazywanie tak ogromnych sum za pośrednictwem konta Senate International, z całą pewnością musiał też pozacierać za sobą ślady. Być może nawet okaże się, że za to wszystko odpowiedzialna jest właśnie pani. Nie chcę straszyć, ale skoro zdecydowali się obciąć głowę Kamińskiemu... Cóż, nie powinna pani niczego robić pochopnie.

— Sugeruje pan, że i mnie mogą obciąć głowę? Piotr się zaczerwienił.

— Nie chciałem aż tak drastycznie stawiać sprawy... ale zgadza się.

— W takim razie dzięki za ostrzeżenie. Proszę zadzwonić do mnie po południu, kiedy już policja skończy rozmawiać z pańskim znajomym. W tej grze muszę mocno wyprzedzić pozostałych zawodników.

Sarah wysiadła z taksówki i poszła na Rynek Starego Miasta, rozległy placyk wyłożony granitową kostką i ograniczony ze wszystkich stron fasadami średniowiecznych kamieniczek, które zostały zrekonstruowane i odbudowane po wojennych zniszczeniach. Po chwili dotarła do „Bazyliuszka” na umówiony lunch.

Po wyjściu ze szpitala i powrocie na komendę Rej zastał w swym pozbawionym okien gabinecie nadkomisarza Dembka, który z ożywieniem rozmawiał o czymś z Matejką.

Rej ciągle jeszcze czuł się rozbity i obolały. Lewą rękę trzymał na temblaku, na policzku i czole miał opatrunki, a ponadto mocno kulał, bo dotkliwie poobijał sobie kolana, kiedy robotnicy wyciągali go z ciasnego kanału. Minął Dembka, jakby jego szef był wieszakiem na płaszcz i kapelusz, po czym zajął miejsce za biurkiem.

— Przygotowałeś już plan kompleksowego przeszukania kanałów? — zapytał

Matejkę, zapalił camela i wydmuchnął dym.

— To już nie jest twój kłopot — odezwał się Dembek.

— Jak to?

— A tak to, że nie mówi się prezenterom telewizyjnych wiadomości wieczornych „wypchaj się”. Zwłaszcza wtedy, gdy wyrażają szczere zaniepokojenie opinii publicznej serią zabójstw, których sprawcy ty nie potrafisz znaleźć.

— O co wam chodzi, tobie i tej Pronaszce? — zapytał Rej. — Tylko mi nie mów, że ze sobą kombinujecie. Ona może i jest suką, ale suką z klasą.

— Stefan, odebrałem ci tę sprawę. Nie potrafisz ani jej rozwiązać, ani nawet odpowiednio prowadzić. Jesteś zawieszony do odwołania.

— To żart, prawda?

— Przecież sam często mi powtarzałeś, że nie mam za grosz poczucia humoru. Wszystkie notatki i kartoteki masz przekazać Witoldowi Jarczykowi.

— Na Boga, Artur! Witold nie znajdzie nawet słonia, choćby ten przysiadł mu na kolanach!

— Wybacz... nie dałeś mi wyboru. Wracaj do domu i solidnie odpocznij. Kiedy ostatni raz brałeś urlop?

Rej zamierzał właśnie na niego wrzasnąć, kiedy dostrzegł, że Matejko gwałtownie kręci głową. Miał wszelkie powody, by wybuchnąć gniewem, ale sprawa nie była tego warta. Im dłużej będzie się zachowywał arogancko, tym dłużej nie przydzieli mu żadnej sprawy. Mogą go nawet wyrzucić z pracy, a na to nie mógł sobie pozwolić.

— Odpocznij — ciągnął Dembek. — Wyjedź w góry, jak ja to zawsze robię.

Tam będziesz miał okazję wszystko sobie solidnie przemyśleć.

Rej z rezygnacją skinął głową i zapalił kolejnego papierosa.

— Wszyscy musimy solidnie przemyśleć sytuację — mówił dalek Dembek, siląc się na pojednawczy ton. — Człowiekowi czasami wyczerpują się baterie i musi je doładować. Kto wie, może gdy odpoczniesz, wynajdziesz sposób, jak schwytać Oprawcę.

— Jasne — odparł z sarkazmem Rej. — Może doznam olśnienia.

— Możesz się śmiać, Stefan, ale śledztwo w sprawie zabójstwa to dziewięćdziesiąt

procent przygotowań, dziesięć procent inteligencji, a zarazem sto procent natchnienia.

Rej wydmuchnął cienką smużkę dymu.

— A wiesz, kto ci to powiedział? Ja. Zaraz pierwszego dnia, gdy zaczęłeś pracę w wydziale zabójstw.

Pojechał do domu na Ochocie. Mieszkanie mieściło się w jednym z sześciu identycznych bloków wybudowanych prosto pod korytarzem powietrznym prowadzącym na lotnisko na Okęciu. Wjechał windą na czwarte piętro, otworzył drzwi do mieszkania, a następnie bardzo cicho za sobą je zamknął. Był kompletnie wydrenowany, zupełnie jakby od tygodnia, noc w noc, nawiedzał go wampir. Poza tym w lewej ręce czuł paskudny pulsujący ból, bo do prowadzenia samochodu musiał zdjąć temblak.

Odkąd opuściła go Maria, ani razu nie wziął urlopu. Nie widział sensu. Przed dwoma laty wybrał się tylko na jednodniową wycieczkę do malowniczego

Otwocka nad Świdrem. Włączył się wtedy w deszczu po wonnym, sosnowym lesie i czuł się tak nieszczęśliwy, jak jeszcze nigdy w całym swym życiu.

Zdjął kurtkę i powiesił ją na wieszaku w przedpokoju. Przeszedł do salonu, nalał sobie szklanekę wódki i wyszedł na balkon. Poniżej, na wystrzyżonym trawniku gromadka chłopców bawiła się w gangsterów. Jeden z nich z dwóch kawałków drewna zrobił sobie uzi i teraz strzelał w kolegów wyimaginowanymi pociskami z częstotliwością sześciuset kul na minutę.

Mieszkanie Reja było pomalowane na biało i skromnie umeblowane tanimi, pociągniętymi politurą sprzętami. A jednak nadal panowała w nim atmosfera obecności kobiety. Na kredensie zawsze stała patera z owocami, które brązowiały i gnęły, a pod popielniczkami leżały koronkowe serwetki. Nigdy nie zapominał, żeby raz w tygodniu kupić kwiaty. W jego pojęciu mieszkanie bez kwiatów było żałośnie puste i teraz na stoliku do kawy stały rude chryzantemy, które powoli już gubiły płatki.

Na ścianie wisiał obraz przedstawiający Kraków w zimie; pokryte śniegiem dachy i wieże kościołów niewyraźnie majaczyły we mgle. Maria urodziła się i wychowała w Krakowie — dlatego ich małżeństwo od początku się nie układało. Warszawa jest miejscem wspaniałym i wyzywającym. Kraków — stanem umysłu.

Rej usiadł na balkonie w rozchwierutany, zielono-białym fotelu ogrodowym, który Maria kupiła kiedyś od ulicznego handlarza. Próbował wzbudzić w sobie uczucie gniewu i rozgoryczenia tym, iż Dembek odebrał mu sprawę Oprawcy. Po pierwszej wódce jednak ku swemu zdziwieniu stwierdził, że czuje raczej z tego powodu ulgę.

Poza czysto fizycznymi obrażeniami, jakich doznał z rąk Oprawcy — palec, policzek i ramię — Rej doznał również urazu psychicznego. Przypadek Oprawcy przypominał mu kostkę Rubika. Bez względu na to, jakby nie obracał jej i nie przekręcał, nie potrafił dociec mechanizmu jej działania; co trzeba naprawdę zrobić, żeby kolory do siebie pasowały. Jeśli pozostanie w domu, może zrozumie, jak to funkcjonuje, jak należy postąpić, może spojrzeć na sprawę z większego dystansu.

A może nawet mimo sarkazmu, z jakim potraktował Dembka, dozna objawienia, które pomoże mu złożyć w całość poszczególne elementy łamigłówek.

Pociągał wódeczkę i słuchał ujadania psów oraz nieustannego trrrrrach-trrrrrach chłopców udających, że strzelają z broni maszynowej. Obserwował kołyszącą się na sznurach do bielizny pościel i matki pchające dziecięce wózki.

Obserwował te rzeczy, które codziennie rozgrywały się w pobliżu jego domu, a których dotąd nie dostrzegał. Ich powszedniość stanowiła dlań absolutną nowość; sposób, w jaki zachodzi słońce, w jaki spacerują ludzie, w jaki przejeżdżają autobusy.

Siedział w ogrodowym fotelu, a oczy miał wypełnione łzami

.Kiedy zadzwonił przenośny telefon, który schowała w tylnej kieszeni dzinsów,

Sarah przebywała na placu budowy przy Marszałkowskiej.

— Sarah Leonard.

Obserwowała niemieckich robotników, którzy za pomocą ryczącej na pełnych obrotach koparki wymieniali cały odcinek przewodu kanalizacyjnego.

Inżynierowie z Senate International wyliczyli, że należy wykopać ponad trzydzieści metrów starych rur i zastąpić je nowymi; a Miiller,

niemiecki brygadzysta, w pełni zgadzał się z ich opinią.

— Tę pracę należy wykonać bardzo solidnie — oświadczył Sarah. — Kiedy hotel zostanie już postawiony, na jakiegokolwiek poprawki będzie za późno. A wie pani, ile odpadków dziennie wpada do kanalizacji z dwunastopiętrowego hotelu?

— Wiem doskonale. Tysiąc sto dwanaście funtów odpadków stałych. Odpadków płynnych czternaście tysięcy pięćset cztery galony amerykańskie. Papieru czterysta dwanaście funtów. Tamponów, pampersów i materiałów innego rodzaju trzydzieści siedem funtów. Czy mam panu przeliczyć to na miary metryczne?

Miiller długą chwilę przyglądał się panie Leonard, po czym odszedł do pracy.

— Sarah — rozległ się w słuchawce głos. — Tu Clayton Marsh.

— Pan Marsh! Tak się cieszę, że pan dzwoni! Czy mój ojciec mówił, o co chodzi?

— Powiedzmy, że dał mi do zrozumienia pewne rzeczy. Podobno to bardzo poważna sprawa. Jestem właśnie na warszawskim lotnisku.

— Nie do wiary! Mam prośbę... czy zechciałby pan tam poczekać ze dwadzieścia minut? Przyślę firmową limuzynę.

— Nie ma sprawy. Złapię taksówkę. Powiedz mi tylko, gdzie mogę cię zastać.

— W naszym biurze. Grzybowska dwanaście. Proszę pytać o Irenę. Ona się panem zaopiekuje. Zarezerwowałam pokój w Marriocie. Z wszelkimi wygodami. W tej chwili jestem na budowie. Spotkamy się trochę później.

Sarah odgarnęła włosy z twarzy. Czowała się już znacznie lepiej. Oprócz tego, że Miiller i jego ludzie w kilka zaledwie godzin odwalili kawał roboty, pojawił się

również Clayton Marsh. Clayton był na emeryturze, lecz kartoteka prowadzonych przez niego i uwieńczonych sukcesem dochodzeń w sprawach zabójstw należała do legendy. Schwycił Jaya Wakemana, baseballistę; sportowiec zamordował żonę i jej kochanka aranżując pożar, który nawet wydział dochodzeniowy straży pożarnej określił jako „przypadkowy”. Przyskrzywił Rafaella C’Annuzio, gangstera podejrzanego o morderstwo pierwszego stopnia, chociaż dziewięć osób utrzymywało, że w chwili zabójstwa był on na koncercie dobroczynnym w Cicero. Clayton Marsh należał do najoryginalniejszych myślących ludzi w świecie kryminalistyki i jeśli on nie schwyci Oprawcy, to nikt tej sztuki nie dokona.

Zbliżył się Miiller.

— Jesteśmy gotowi do wyciągania starych rur i zakładania nowych. Czy chce pani popatrzeć?

— Jasne, dlaczego nie?

Zeszli po aluminiowych drabinach do piwnic. Niemcy odkopali już i poprzecinali stary przewód kanalizacyjny. Odcinki rur obwiązali grubymi łańcuchami i przygotowali wszystko do wyciągnięcia ich z ziemi.

— Wie pan, dlaczego was tutaj sprowadziłam? — zapytała Miillera Sarah.

Brygadzista skinął głową.

— Brzezicki przedstawił mi całą sprawę. Kawał durnia, tyle tylko mogę powiedzieć. Skoro rezygnuje z takiego kontraktu, bo lęka się diabła...

Zapewniam panią, że jeśli któryś z moich ludzi natknie się na tego Oprawcę, bez względu na to, czy to diabeł, czy nie, zrobi mu...

Obiema rękami wykonał ruch, jakby skręcał komuś kark.

Rozległ się ryk dźwigu napędzanego silnikiem diesla, łańcuchy zadzwoniły i napięły się, a z pokładów ziemi wychynęła stara rura kanalizacyjna. Powoli, ociekając szlamem i cuchnącą wodą, uniosła się nad wykopem i poszybowała nad głowami ludzi. Dźwig opuścił ją na zaparkowaną w pobliżu odkrytych fundamentów wywrotkę. Następnie odwrócił się i łańcuchy ponownie spłynęły do wykopu, gdzie robotnicy zaczęli podczepić kolejny odcinek rury.

Jeden z pracowników wskoczył do jamy, by miotłą oczyścić z piasku pozostały w ziemi przewód.

— Jak pani sądzi, czy po zaplombowaniu tego kanału ludzie Brzezickiego wrócą do pracy? — zapytał Miiller.

— Nie wiem. Robotnicy upierają się, że podejmą pracę tylko wtedy, gdy Oprawca zostanie schwytyany i zabity, a oni zobaczą jego zwłoki.

— Yerriickt — stwierdził Muller i puknął się w czoło. — Zwariowali.

Nad wykopem zawisł odcinek nowej rury. Miano go właśnie opuścić, gdy jeden z robotników gwizdnął i wzniesieniem ramion dał znak, żeby wstrzymano się jeszcze z tą operacją.

— Ej, gdzie się podział Hans?

— Był na dole i zamiatał przewód.

— Ale gdzie jest teraz?

Robotnicy zaczęli się rozglądać. Hansa nigdzie nie było. Sarah widziała go wcześniej w wykopie, ale nie przypominała sobie, żeby z niego wychodził.

— Uwe! Jiirgen! — zawołał Muller. — Zerknijcie do środka! Przecież nie chcemy go замуrować w kanałach! Dwaj robotnicy wskoczyli do jamy i zajrzeli do kanału.

— Hans? Hans, jesteś tam? Wyłaź, Hans, zamykamy przewód! Sarah spojrzała na Miillera spod zmarszczonych brwi i podeszła do skraju wykopu.

— Czy ktoś widział, jak wychodził na powierzchnię? — zawołał brygadzysta.

Robotnicy zgodnie potrząsnęli głowami.

— Gdzie mógł się podziać? — zapytała Sarah.

— Chyba nie poszedł się odlać, co? — zawołał Muller. — Jakob, zajrzyj do kibelka!

— Hans! — wrzasnął jeden z robotników w wykopie, przykładając do ust zwinięte dłonie. — Jeśli tam jesteś, wychodź jak najszybciej!

Odpowiedziało mu tylko echo. Robotnik chwilę się wahał, a następnie wszedł do kanału. Do uszu zebranych dotarł plusk rozgarnianej kaloszami wody.

— Jezu, ale tu cuchnie! — dobiegł z głębi rury jego głos. W kilka sekund później wynurzył się stamtąd. W ręce trzymał miotłę na długim kiju, której używał Hans. Twarz miał poważną.

— Znalazłem tylko to — oświadczył. — I chyba widziałem ślady krwi. Muller obrzucił Sarah szybkim, twardym spojrzeniem.

— Może ten Brzezicki nie jest taki głupi — mruknął. — Jiirgen, przynieś dwie latarki. Wejdziecie jak najdalej i rozejrzycie się. Ty, Uwe, weź na wszelki wypadek stylisko od kilofa. Jakob, leć na górę, zadzwoń po policję i pogotowie.

Kto prowadzi śledztwo? — zwrócił się do Sarah.

— Komisarz Stefan Rej. Mam numer jego telefonu. Uzbrojeni w trzonek od kilofa i w łom dwaj robotnicy zapalili latarki i pochyleni zagłębiu' się w otworze.

— Ej, w razie czego nie strugajcie bohaterów i natychmiast zabierajcie stamtąd

dupska! — wrzasnął za nimi Muller.

— Gadaj zdrow! — dobiegła z przewodu kanalizacyjnego odpowiedź.

Sarah zerknęła na zegarek. Próbowwała zachowywać zimną krew, lecz zaczynała ogarniać ją niepokój co do dalszych losów tej budowy. Miewała już kłopoty na innych, zdarzały się nawet tragedie. Podczas wznoszenia hotelu Senackiego w Sofii utonęło w betonie dwóch robotników. W Belgradzie dziewięciu odniosło rany, kiedy zawaliło się rusztowanie. Ale tutaj było inaczej. Tutaj śmierdziało siarką. Dręczyło ją trudne do sprecyzowania przecucie nieszczęścia. I nie chodziło tylko o śmierć Jana Kamińskiego czy strach ekipy Brzezickiego przed czającym się pod ziemią diabłem. Najbardziej trapiło ją nieoczekiwane pojawienie się Bena, który miał przejąć osobistą kontrolę nad całością przedsięwzięcia — Bena, który perswadował urzędnikom miejskim, żeby „podjęli lepsze decyzje” — oraz podejrzenia Piotra Gogiela odnośnie prania brudnych pieniędzy za pośrednictwem konta na nieprzewidziane wydatki Senate International.

Zdawała sobie sprawę z tego, że musi odzyskać kontrolę nad prowadzeniem tej budowy. W przeciwnym razie będzie coraz bardziej spychana na drugi plan, co zresztą już miało miejsce; a na dodatek poniesie konsekwencje wszystkich niepowodzeń. Jeśli pozwoli, by w dalszym ciągu sprawy wymykały się jej z rąk, stanie w obliczu wielkiego niebezpieczeństwa. I to nie tylko ze strony Oprawcy.

— Jak dotąd nic! — dobiegł odbijany echem głos z rury. — Ale to są na pewno ślady krwi! Muller osobiście wskoczył do wykopu.

— Jak daleko ciągnie się ta rura?

— Dwieście metrów. Kończy się w rozległej komorze.

Do uszu Sarah dobiegło odległe zawrodoenie policyjnych syren. Ale

zarejestrowała też inny hałas — dobiegający z rury chrapliwy, wibrujący dźwięk przypominający tony jakiegoś prymitywnego instrumentu dętego lub gwizd na szyjce olbrzymiej, pustej butli.

— To powietrze... przeciąg w przewodach kanalizacyjnych — mruknął Miiller.

— Ale skąd się tam tak nagle wziął?

— Czy ja wiem? Może silniejszy prąd wody zmacił powietrze?

Z wąskiego tunelu dobiegł kolejny hałas. Powolne, uporczywe sapanie. W chwilę później rozległ się dziwny, zduszony hurkot, a następnie wibrujący metaliczny klekot.

— Jiirgen! — krzyknął Muller. — Uwe! Odpowiedziała mu cisza. Brygadzista popatrzył niepewnie na Sarah.

— Może poszli dalej...

— Może, ale niech pan nie próbuje za nimi iść. Zostawmy to policji.

Wśród robotników wszczął się ruch, rozległy się zduszone szepty i pomruki.

— Przecież nie możemy tej sprawy tak zostawić — odezwał się któryś z Niemców. — A jeśli spotkało ich coś złego?

— Poczekajmy jeszcze kilka minut — poradził Muller. — Są pewnie za zakrętem i po prostu nas nie słyszą.

W tej samej chwili z przewodu kanalizacyjnego wypłynęło coś czerwonego i zatrzymało się na bucie Mullera. Brygadzista schylił się, żeby to podnieść, ale natychmiast gwałtownie się cofnął. Twarz wykrzywił mu grymas obrzydzenia.

— Co to jest? — zapytała Sarah, choć mina Mullera mówiła wszystko.

— To... to kawałek... ludzkiej ręki.

Popatrzyła mu pod nogi. Niemiec miał rację. Przed oczami miała fragment przypominający kotlet z odrąbanej dłoni. Bez palców, bez kciuka, z kawałkiem nadgarstka.

Syreny zawodziły już bardzo blisko. Przycisnęła dłoń do ust. Nigdy dotąd osobiście nie zetknęła się ze zwłokami; widziała tylko swego dziadka, który spoczywał w trumnie, a w rękach trzymał włożoną mu przez babcię Biblię. Nie odważyła się po raz drugi spojrzeć pod nogi.

— Ktoś tam jeszcze był — odezwał się histerycznym tonem Muller. — Boże drogi, ktoś ich zabił!

— Tego nie może pan wiedzieć na pewno... — odrzekła Sarah, lecz zamilkła, usłyszawszy straszliwe mlaskanie i oszalały klekot stali uderzanej o ściany kanału. Następne, co zapamiętała, to więcej krwawych strzępów, ciała, mięsa i kości, które pojawiły się w wylocie rury; przerażająca masa ramion i stóp, zakrzywionych żeber, za którymi płynął długi sznur wnętrzości i rozmiękłe ochłapy płuc. Stojący przodem do otworu Muller został dosłownie zalany ludzkimi szczątkami. Zbyt oszołomiony, żeby wykonać najmniejszy ruch, gapił się w nadlatującą z przewodu kanalizacyjnego połowę ludzkiej miednicy.

Zatrzymała się

tuż u jego stóp. W chwilę później w prawe ramię trafiła go kość goleniowa.

Wstrząśnięta Sarah odwróciła się. Była sztywna ze zgrozy. Wykonała dwa automatyczne kroki w stronę drabin, ale na tyle tylko starczyło jej sił. Czuła, że kompletnie traci rozum, że przestaje funkcjonować jej układ nerwowy. Ciało nie było w stanie zrozumieć rozkazów płynących z mózgu.

Stała sztywno, jakby połknęła kij. Pojawili się policjanci i karetka pogotowia.

Funkcjonariusze zbiegali po drabinach i mijali po obu stronach skamieniałą niczym słup soli dziewczynę. Usłyszała, że ktoś coś zawołał; odpowiedział mu po niemiecku chór zmieszanych głosów. Ktoś wrzeszczał na okrągło:

— Boże! Boże! Boże!

Sarah wciąż jeszcze przebywała na budowie, gdy w godzinę później pojawił się tam Clayton Marsh. Amerykanin był wysokim, potężnym mężczyzną o srebrzystych włosach. Miał około pięćdziesiątki — przystojny, prezentował typ urody Howarda Keela. Nosił marynarkę z wielbłądziej wełny i ciemnobrązowe spodnie. W klapie lśniła mu emaliowana odznaka wydziału chicagowskiej policji. Uścisnął rękę Sarah i powiedział:

— Cześć. Twoja sekretarka powiedziała mi, że znajdę cię właśnie tutaj.

Wyglądasz tak, jakbyś najadła się jakiegoś paskudztwa.

— Niech pan nie żartuje. Niecałe dwie godziny temu zginęło tu trzech robotników. Nie, nie zginęło, zostało porąbanych.

— Widziałaś to?

— Byłam tu. Ktokolwiek to zrobił po prostu... Boże, on ich porąbał na kawałki.

— Jak się czujesz? — zatroszczył się nagle Clayton. — Wygląda na to, że przydałaby ci się szklanka czegoś mocniejszego.

— Nie, naprawdę nic mi nie jest. Po prostu nie potrafię zapanować nad dygotem.

Clayton rozejrzał się po placu budowy.

— Posłuchaj, dopiero co przyjechałem i niewiele jeszcze mogę zrobić. Nie chcę nikomu nadepnąć na odcisk. Ale nie miałbym nic przeciwko rozmowie z komisarzem Stefanem Rejem, o którym mi wspominałaś.

— Odebrano mu tę sprawę. Nie wiem dlaczego. Wszystko wskazywało na to, że robi poważne postępy. Nowy policjant sprawia na mnie wrażenie kompletnego ciemniaka.

— O, to dobra wiadomość — ucieszył się Clayton i podciągnął spodnie. — Im głupsze gliny, tym większe szansę, że to ja rozwiążę sprawę i nikt nie będzie się mnie czepiać.

Podszedł do nich komisarz Witold Jarczyk. Miał ciemne włosy i był chudy jak głodomór. Z ostrym nosem i sterczącymi uszami przypominał przygniecione troskami nadwornego błazna, który mimo wszystko domaga się wyrazów uznania.

— Dziękuję, że pani zaczekała, panno Leonard — powiedział. — Zapewne będziemy chcieli z panią później porozmawiać. Nie ma pani nic przeciwko temu?

— Nie, komisarzu. Służę panu w każdej chwili.

— Przepraszam bardzo — wtrącił się Clayton. — Czy wie pan, jak zginęło tych trzech ludzi?

Jarczyk popatrzył na niego wylupiastymi oczyma.

— Słucham? Kim pan jest?

— Znajomym panny Leonard. To wszystko.

— Cóż... tego jeszcze nie wiemy. Zostali pocięci na kawałki bardzo ostrym narzędziem. Ale dopiero sekcja zwłok wykaże, jak to się stało i dlaczego.

Mówiąc szczerze, nie wiemy nawet, z których dłoni pochodzą które palce. Teraz jednak, jeśli pan pozwoli...

— Czy mogę już wracać do domu? — zapytała Sarah.

Jarczyk zaczął szperać w kieszeniach obszernego brązowego garnituru.

Wyciągnął nie zawiniętą w nic miętową pastylkę, włożył ją do ust i zaczął ssać.

— Oczywiście, jest pani wolna. Zawiadomię panią, jeśli będę chciał się z panią spotkać.

Clayton zaprowadził Sarah do drabin i pomógł jej wydostać się na poziom ulicy.

Wokół kłębili się ludzie, migwały światła radiowozów, błyskały flesze, paliły się przyniesione przez ekipy telewizyjne jupitery.

— Chodźmy w jakieś zaciszne miejsce — odezwał się Clayton.

Pojechali do Marriotta. Zajęli stolik w usytuowanym na pół-piętrze barze.

Pianista wygrywał jakąś skomplikowaną wersję The Girl from Ipanema. Oboje

zamówili po szklaneczce whisky Jack Daniel's z lodem. Sarah zazwyczaj nie

pijała mocniejszych trunków, ale po masakrze, której była świadkiem,

potrzebowała wódki. Ciągle jeszcze drżała jak w febrze. Gdy zerknęła w

wiszące po drugiej stronie baru lustro, ujrzała twarz tak bladą, jakby wyciekła z

niej cała krew.

— Tata przesyła ci pozdrowienia. Martwi się i o ciebie, i sprawą tych morderstw.

Sarah upiła whisky i odwróciła twarz. Robiła wszystko, żeby nie wybuchnąć płaczem.

— Przystudiowałem całą pocztę elektroniczną, jaką mi przesyłałaś — odezwał się

Clayton. — Nie jestem pewien, czy ten Kamiński rzeczywiście zginął dlatego,

że zaczął grzebać w finansach Senate International. Nie widzę w twojej firmie

nikogo, kto wynajmowałby płatnego zabójcę tylko dlatego, że ktoś komuś

trochę posmarował łapę. W dzisiejszych czasach nawet mafia woli załatwiać

takie sprawy w sądzie, niż zadawać sobie trud mordowania ludzi i pozbywania się zwłok.

— To znacznie większa afera niż zwykła łapówka. To oszustwo na wielką skalę. Piotr Gogiel sądzi, że pierze się u nas pieniądze. Od dziesięciu do dwunastu milionów dolarów rocznie.

— Jezu Nazareński! To faktycznie może stanowić powód, żeby kogoś uciszyć.

Posłuchaj, zamierzam dokładnie zbadać księgowość twojej firmy. Ustalenie, kto posługuje się waszym kontem, zajmie mi niewiele czasu.

— Ktokolwiek to robi, działa bardzo sprytnie.

— O, nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości! Ale ja również nie jestem takim starym, tępym platfusem, Sarah. Mam za sobą trzyletni, sponsorowany przez FBI kurs księgowości. Potrzeba czegoś więcej niż sprytu, żeby ukryć przede mną lewe pieniądze.

— Po prostu nie wiem, czy te morderstwa mają jakiś związek z Senate International. Na naszym placu budowy zamordowano cztery osoby, ale Oprawca, razem z nimi, zabił już trzynastu ludzi. Pozostałe ofiary nie mają z nami nic wspólnego.

— Zgoda, tyle to i ja wywnioskowałem z twoich depeesz. Ale istnieją metody, żeby odkryć powiązania między ofiarami, jeśli nawet pozornie takie związki nie istnieją.

Clayton zamówił kolejnego drinka i zaczął wyjaśniać, w jaki sposób zamierza ustalić elementy łączące ofiary Oprawcy.

— Policja sprawdza wszystkie rzucające się w oczy fakty, bo taka już jest procedura. Ale jeśli nawet trudno początkowo dopatrzeć się jakichkolwiek

wyraźnych związków, należy szukać dalej, koncentrując się na mniej oczywistych elementach, takich jak znak zodiaku, rozmiar obuwia, sposób mówienia czy inne tego typu tajemne rzeczy. Jeśli i to nic nie da, trzeba sprawdzić kolejne czynniki, na przykład datę utraty dziewictwa, gdzie dana osoba przebywała, dajmy na to, trzynastego kwietnia tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego pierwszego roku lub jakie były jej ulubione rybki akwariowe.

Wyciągnął rękę nad stolikiem i po ojcowsku ujął dłoń dziewczyny.

— Sarah, prowadziłem śledztwo w sprawach trzydziestu siedmiu seryjnych morderstw. Nie zawsze udało mi się schwytać sprawcę, ale zawsze odkryłem elementy łączące ofiary. W jednym z przypadków sepleniły. Czy uwierzysz? Zabójca nie znosił sepleniących. Przebijał im bębunki w uszach tak, że ostrze wychodziło między zębami.

— W wiadomościach mówiono, że Oprawca ukrywa się w kanałach. Wiesz, jak Harry Lime.

— Jasne... to całkiem możliwe. Ale przeszukiwanie kanałów też jest bez sensu. Jeśli facet dobrze zna, nigdy go nie wytropią, choćby szukało go stu policjantów z psami. Mieliśmy bardzo podobny przypadek w South Side. Gość krył się w kanałach i nimi uciekał. Złapaliśmy tylko zapalenie wątroby... Nie, jedynym sposobem jest znalezienie ogniwa łączącego wszystkie ofiary. Wtedy będzie można wytypować kolejną i czekać na pojawienie się Oprawcy.

— Masz namyśli pułapkę? Ale czy nie jest to zbyt niebezpieczne dla tej ofiary?

— Jeśli pułapkę zastawi się właściwie, to nie. Ten facet musi kierować się jakimś motywem. Nie wiem jeszcze jakim i to właśnie zamierzam odkryć. Może

kierować nim zemsta, może poczucie winy, a może robi to tylko dlatego, że jego matkę, gdy była w ósmym miesiącu ciąży, wystraszył mrówkojad. Któż to wie?

Na razie nikt, ale do tego dojdziemy.

— A jak z pana polskim?

— Wykładów w Instytucie Piłsudskiego raczej bym się nie podjął, ale tutaj sobie poradzę. Moja matka była Polką i kiedy tata szedł do pracy, rozmawiała ze mną tylko po polsku. Do dzisiaj na „doughnuts” mówię pączki.

— Ale proszę nie zapominać, że to bardzo niebezpieczne przedsięwzięcie. Bez względu na to, co się dziś naprawdę wydarzyło, ci nieszczęśni ludzie zostali porąbani na kawałki... Boże, porąbani jak w rzeźni. Po prostu na kawałeczki.

— Bo na tym właśnie polega taktyka Oprawcy — odparł pogodnie Clayton, rozpierając się na krześle. — Chce wywołać popłoch i wzbudzić przerażenie, a im straszniejszych ima się środków i im większą wzbudza panikę, tym większą czerpie z tego radość. Odcinanie głów stanowi tego część. Ale zabójca to zabójca.

Porąbał ludzi na kawałki. Tyle że kiedy już człowiek jest martwy, nie obchodzi go, co z nim zabójca zrobi później. Po prostu jest, za przeproszeniem, kurwa, martwy.

— Naprawdę sądzi pan, że zdoła go pan schwytać?

— O, na pewno. Schwytam go. Zaczyna ryzykować... zaczyna zabijać prawie na oczach świadków. A poza tym nie spodziewa się mnie.

Dokończył whisky.

— A tak swoją drogą podsłuchałem, jak jeden z policjantów mówił, że twojego znajomego, komisarza Reja, udupiono właśnie w związku ze sprawą Oprawcy.

Zadzwoń jutro do niego. Może uda mi się wykorzystać jakoś jego umiejętności.

— Życzę powodzenia. Jest dobry, ale w żadnym wypadku uległy.

— Zobaczymy. — Clayton przez chwilę w milczeniu wpatrywał się w popielniczkę z napisem „Marriott”, następnie uniósł głowę i powiedział: — Twój tata nie wspominał, że wyrosłaś na taką śliczną kobietę. Czy zechcesz pokazać mi nocne życie tego zapomnianego przez ludzi i Boga miasta?

— Nie jestem pewna, czy jestem dziś w nastroju.

— Czyżbyś zamierzała całą noc spędzić we własnym mieszkaniu i przeżywać koszmary? Daj spokój. Wieczorna eskapada dobrze nam zrobi. Poza tym od czasu, gdy zmarła moja żona, nie miałem w ramionach pięknej kobiety.

Rozdział ósmy

Gdy załoga karetki pogotowia opuściła prosektorium, w drzwiach pojawił się Rej. Stojący przy zlewie doktor Wojniakowski popatrzył na niego bez zdziwienia.

— O, Rej. Właśnie się zastanawiałem, kiedy ujrzą cię te śliczne oczy.

Na trzech wykonanych z nierdzewnej stali stołach spoczywały zwłoki w wielkich czarnych plastikowych workach. Doktor Wojniakowski wytarł ręce, wyjął papierosa i zapalił go zapalniczką. Wydmuchnął z zadowoleniem chmurę niebieskiego, cuchnącego dymu, podszedł do pierwszego stołu i obmacał obiema dłońmi czarny worek.

— Świńskie flaki — stwierdził. — No, nie dosłownie. Ale takie wrażenie sprawiają w dotyku.

— W wiadomościach podano, że zostali porąbani na kawałki — odparł Rej.

Podszedł ostrożnie do stołu, zupełnie jakby spodziewał się, że plastik się rozchyli i wyskoczą z niego trzy odrażające, porąbane ciała.

— Rzeczywiście sprawiają wrażenie porąbanych na kawałki.

— Ale w dwie minuty? Całą trójkę? Niby jak miał tego dokonać?

Doktor Wojniakowski odkaszlnął, po czym chrząknął.

— To właśnie mamy zbadać.

Zaczął rozpinać pierwszy worek. Wpadające przez okna ze zbrojonego drutem szkła światło wczesnego popołudnia nadawało sali numer trzy koloryt kaplicy, gdzie dymiący papieros doktora pełnił rolę kadzidła.

— Wiesz o tym, Rej, że powinienem cię stąd wyprosić. Mogę mieć grube nieprzyjemności.

Policjant podszedł do stołu sekcyjnego, skąd bił ciężki odór świeżej śmierci — zapach krwi, tłuszczu, kwasów trawiennych i ekskrementów. Obserwował, jak lekarz rozwija worek, z którego wylaniał się stos kości i mięsa. Dojrzał rozcięte białawe płuca, ciemne, śliskie płaty wątroby i nie kończące się zwoje skrwawionych wnętrzności.

— Nie wiem, czego się po mnie spodziewają. Co ja mam z tym zrobić? — odezwał się Wojniakowski, wyciągając z worka jakiś trudny do opisanie ochłap mięsa ze zwisającym z niego mniejszym, krwawym strzępem. — Wiesz, co mi powiedzieli? „Zrobiliśmy, cośmy mogli, żeby w miarę prawidłowo powkładać stosowne szczątki do stosownych worków, ale z całą pewnością popełniliśmy kilka marginalnych błędów”.

Ponownie zanurzył dłonie w krwawej stercie i wyciągnął z niej dwa penisy; do jednego z nich przyczepione było jeszcze jądro.

— Marginalny błąd? — parsknął, wydmuchując przy tym dym. — Albo ci faceci kompletnie nie znają się na anatomii, albo ten facet miał najszczęśliwszą żonę w całej Republice Niemieckiej.

Rej przełknął ślinę i zerknął na kleistą zawartość worka.

— Może dać ci rękawiczki? — zainteresował się Wojniakowski. — Wtedy będziesz mógł sam sobie tu pogrzebać.

— Nie widzę głowy — zauważył ostrożnie Rej. Modlił się, żeby jej nie zobaczyć.

— Masz rację, głowy brak. Żaden z nich nie ma głowy. O tym już uprzedził mnie telefonicznie twój kolega, komisarz Jarczyk.

— A zatem mogła to być sprawka Oprawcy? Wojniakowski obrzucił go baczny spojrzeniem.

— Nie mam pojęcia, kto lub co ich zabiło. Ale czy znasz kogoś, kto potrafi tak porąbać trzech dorosłych mężczyzn zaledwie w dwie lub trzy minuty...? Albo coś?

Chwilę palił w milczeniu, po czym znów się odezwał:

— Aha, ostatnim razem wyszedłeś, zanim otrzymałem wyniki sekcji. Ale nie ma najmniejszych wątpliwości, że twojemu kumpłowi, Janowi Kamińskiemu, obcięto głowę tym samym nożem, co wcześniejszym siedmiu ofiarom. I Wróblewskiemu.

Znaleźliśmy mikroskopijne kawałki metalu. Wszystkie pochodzą z tego samego ostrza.

— A materiał? — zapytał Rej.

— A, to również bardzo interesujące. Wczoraj przebadaliśmy go ponownie.

Włókna znalezione za paznokciami Kamińskiego pasują do materiału, który znaleźliście w kanale... tak zatem pochodziły zapewne z odzieży napastnika. Ale powodem powtórnej analizy był pozorny wiek tego materiału.

— Co znaczy „pozorny wiek”?

— Jest to aksamit, pierwotnie miał kolor czarny. Badania chromatograficzne wykazały, że materia pochodzi z połowy siedemnastego wieku, a zapewne jest jeszcze starsza.

— Z siedemnastego wieku? Chyba żartujesz!

— Nie mamy najmniejszych wątpliwości co do prawdziwości tej ekspertyzy.

Zresztą guzik ją potwierdza. Wykonany został ręcznie z czystego mosiądzu i wyryty jest na nim wizerunek jakiejś bestii. Dostarczyliśmy go naszemu znajomemu specjalście od guzików mieszkającemu na Żąbkowskiej.

Potwierdził, że guzik wykonano dobrze przed tysiąc siedemsetnym rokiem... bo wtedy właśnie zaprzestano używać do wyrobu mosiądzu sproszkowanej rudy cynku, a zaczęto stosować przetopiony cynk. Ponadto wizerunek bestii również jest bardzo starym symbolem.

Podejrzewamy, że na guziku znajduje się wyobrażenie bazyliuszka, potwora, który jednym spojrzeniem paraliżował ludzi.

— A co ty o tym sądzisz? — zapytał Rej. — Czy uważasz, że Oprawca naprawdę nosi ubranie z siedemnastowiecznego aksamitu?

— Obawiam się, że to już wykracza poza moje kompetencje.

— Czy materii był przegniły? Czy mógł się rozedrzyć tak łatwo, gdy Kamiński szarpał napastnika za ubranie?

— O, tak. Był oczywiście przesączony ściekami. Wyglądał jak przegniła aksamitna kotara. Rej potrząsnął głową.

— Powiem ci, Teofilu, że nie wiem, z kim mamy do czynienia. Naprawdę nie mam zielonego pojęcia.

— Tak? Chyba z niczym nie masz do czynienia. Z tego, co wiem, jesteś zawieszony.

Rej zdjął z temblaka obandażowaną lewą rękę i teatralnym gestem uniósł ją nad głowę.

— Widzisz? Sądzę, że to całkowicie usprawiedliwia moją ciekawość, co się tu naprawdę dzieje. Miałem cholerne szczęście, że nie skończyłem poszatkwany na bigos jak ci nieszczęśnicy w plastikowym worku. — Głęboko odetchnął.

Panujący w sali zaduch śmierci zaczynał już działać mu na nerwy i przyprawiać o mdłości. — A co z dziewczyną? Czy znalazłeś jakieś nowe wskazówki?

Lekarz potrząsnął głową.

— Nie mamy jej ręki, więc trudno ustalić, czy przeciągnięto ją przez szczelinę w skrzynce na listy przy użyciu zwykłej siły fizycznej, czy mechanicznie. Ale coś ci powiem. Żeby w taki sposób wyrwać komuś ramię, potrzeba mocy wyciągarki samochodowej.

— A więc siły, jaką posiada niewielu mężczyzn?

— Moim zdaniem siły, jakiej nie posiada żaden mężczyzna. Chyba że działałby pod wpływem sterydów czy innego środka stosowanego przez atletów. Ale nawet wtedy...

— Co wtedy? Dokąd to nas prowadzi?

— Nie wiem. To ty jesteś detektywem.

Policjant rzucił ostatnie spojrzenie na plastikowy worek.

— W porządku. Dzięki za wszystko. Resztę zostawiani tobie.

Wojniakowski ze stłumionym chlupotem zanurzył dłonie w płataninę żołądków i wnętrzności. Po raz pierwszy od chwili spotkania lekarza, co miało miejsce piętnaście lat wcześniej, Rej pomyślał, że Wojniakowski jest naprawdę szczęśliwy.

Gdy Sarah wróciła do biura, czekał tam już na nią Muller. Miał na sobie tani beżowy garnitur, a twarz barwy popiołu.

— Przykro mi, panno Leonard. Ale moi ludzie nie przystąpią do pracy.

— Przecież ktoś musi zaplombować ten kanał.

— Wiem o tym. Ale z całą pewnością nie my.

Sarah usiadła za biurkiem. Na ekranie komputera widniał napis: „Witaj! Życzę miłego dnia!”, lecz jej myśli wcale nie były miłe. Cały czas miała przed oczami fruujące w powietrzu krwawe ochłapy ludzkiego ciała. Cały czas miała w pamięci nogi, ręce i kawałki potrzaskanych żeber.

— Stał pan w rurze i zaglądał pan do środka — odezwała się. Ciągle nie potrafiła opanować drżenia, gdy myślała o wypadkach na placu budowy. — Co, pana zdaniem, tam się wydarzyło?

Muller wzruszył ramionami.

— Trudno powiedzieć. Nic nie widziałem. Najpierw dostrzegłem błysk ich latarek, a później zapadła ciemność. Jeszcze później... — Uniósł ręce, jakby chciał zasłonić się przed prysznicem skrwawionego mięsa. — Raz w życiu widziałem coś podobnego. Na Tempelhof, kiedy człowiek dostał się w wirujące śmigło samolotu.

Sarah chwilę milczała.

— Może jednak zastanowi się pan przez dzień czy dwa?

— Przykro mi, panno Leonard. Es tut mir leid. Moi ludzie też uważają, że był to jakiś diabeł i nie wrócą na budowę. Może Brzezicki i jego ekipa wcale nie są tak szaleni?

Nie było sensu przypominać Mullerowi, że podpisał kontrakt. Senate International będzie i tak musiało wypłacić miliony dolarów odszkodowania rodzinom zamordowanych.

— No cóż, skoro taka jest wasza decyzja, nie mogę mieć o to pretensji.

Muller stał i spoglądał na nią tak, jakby chciał jej coś powiedzieć, ale nie mógł znaleźć odpowiednich słów.

— Wie pani, to nie było naturalne — odezwał się w końcu. — Chodzi mi o sposób, w jaki oni zginęli. To był... jakiś koszmar.

Sarah prawie niedostrzegalnie wzruszyła ramionami. Miała na to popołudnie umówione spotkanie z jedną z polskich agencji reklamowych, lecz teraz nacisnęła guzik interkomu i poprosiła Irenę, żeby przełożyła je na następny tydzień. A Muller czekał, jakby czekanie mogło cokolwiek załatwić; jakby miało dowieść szczerości jego intencji. Sarah zaczęła zapisywać coś w kalendarzu, a brygadzysta, jak wmurowany w ziemię, stał bez ruchu.

Przestała pisać i uniosła głowę. Dopiero wtedy spostrzegła, że Niemiec ma zamknięte oczy; zupełnie jak gdyby spał.

W porze lunchu panował upał, więc Antoni Dłubak wyszedł z kanapkami do Ogrodu Saskiego i usiadł na ławce naprzeciwko fontanny. Gdy tylko otworzył plastikową torebkę, natychmiast przy jego nogach zaczęło skakać kilka

drozdów.

Powinien wprawdzie lunch zjeść w biurze, gdzie kończył pracę nad rachunkami Interpressu, lecz ponieważ większość dni i nocy spędzał samotnie, lubił od czasu do czasu wyjść na świeże powietrze i wmieszać się w tłum. W dziewiętnastym wieku Ogród Saski nazywano „salonem Warszawy”, tutaj bowiem spotykała się cała śmietanka towarzyska stolicy. W obecnych czasach grono spacerowiczów prezentowało się znacznie mniej wytwornie, lecz Dłubak zawsze znalazł kogoś interesującego, z kim mógł porozmawiać — kierowcę autobusu, handlarza antykami, kelnerkę lub emerytowanego oficera. Żuł kanapkę i z ciekawością rozglądał się po okolicy. Szeroka aleja biegnąca przez środek parku zatłoczona była spacerowiczami. Przez gałęzie dębów przebijały promienie słońca, rzucając ruchliwe cienie na kamienne figury stojące po obu stronach alei — postacie przedstawiające pory roku, muzy oraz dziwaczne stworzenia mitologiczne — i nadając im pozór życia.

Alejką nadchodziła śliczna dziewczyna w obcisłym podkoszulku i króciutkiej różowej spódnicy. Dłubak żywił cichą nadzieję, że zatrzyma się i usiądzie obok niego na ławce. Naturalnie nie miał tyle szczęścia. Dziewczę nie zaszczyliło go nawet spojrzeniem. Do Dłubaka dotarł jedynie ulotny zapach jej perfum, ale i ta woń szybko się rozwiała.

Antoni Dłubak miał dwadzieścia osiem lat. W wieku lat czterech zachorował na krzywicę i nogi nigdy już nie rozwinęły mu się prawidłowo. Choć łyślał i był znacznie tęższy, niż być powinien, wyglądał wyjątkowo dobrze ze swą szeroką, wesołą i pogodną twarzą, na której zawsze malował się ujmujący uśmiech. Cały kłopot jednak polegał na tym, że miłe i sympatyczne oblicze stanowiło

zwięźczenie absurdalnie małego i zdeformowanego ciała, które kobietom wydawało się bardziej odstręczające, niż gdyby księgowy był brzydki, ale normalnie zbudowany.

Miał w życiu tylko jedną kobietę — bardzo prostą dziewczynę imieniem Magda, która pracowała w biurze podróży Mazurkas. Zainteresowania Magdy sprowadzały się wyłącznie do własnego ciała i narzekania na życie. Kochali się trzy razy w mieszkaniu Dhibaka. Za trzecim razem Magda oświadczyła mu, że „on nie potrafi uszczęśliwić kobiety” i tyle ją widział.

Ale Dłubakowi wcale nie było z tego powodu przykro. Magda nieustannie drapała się po łokciach i pod pachami.

Swą nie wykorzystaną energię seksualną Dłubak wyładowywał w pracy. W Banku Kredytowym Yistula czterokrotnie już go awansowano i obecnie był najmłodszym członkiem wydziału rozliczeń i pożyczek zagranicznych.

Codziennie zostawał w pracy do nocy, wykonując czynności, o które nigdy go przełożeni nie prosili. W ten właśnie sposób wpadł na niezwykle przepływ milionów dolarów przez konto na nieprzewidziane wydatki Senate International.

Kanapki z sardynkami polanymi keczupem niezbyt mu smakowały, lecz zbliżał się koniec miesiąca i nie miał pieniędzy na wędlinę. Ale kiedy je jadł, nieoczekiwanie wyłonił się jak spod ziemi mężczyzna w brązowym garniturze.

Usiadł obok Dłubaka i oświadczył stanowczo zbyt głośno:

— Wyglądają smakowicie!

Bankowiec zamrugał oczyma i spojrzał na nieznanego. Mężczyzna był nie ogolony, miał ciemną cerę, grube suche wargi i bulwiasty nos. Śmierdział papierosami i potem. Wonie te bez powodzenia próbował zabić zapachem płynu

po goleniu, który pachniał bardziej jak pif-paf, środek do tępienia much.

— To tylko sardynki — wyjaśnił Dłubak. — Ale jeśli ma pan ochotę na kanapkę, proszę bardzo.

Nieznajomy sięgnął po podarowaną kanapkę i wbił w nią zęby. Dłubak spodziewał się, że mężczyzna coś powie, ale ten tylko mrugnął okiem i skinął głową, jakby uważał, że ze strony Dhibaka był to jakiś prywatny i bardzo śmieszny żart.

— Miło tutaj, prawda? — odezwał się więc Dłubak. — Fontanna, drzewa.

Zawsze siadam w pobliżu fontanny.

Nieznajomy bez szczególnego zainteresowania popatrzył na wodotrysk, który przypominał gigantyczny, wykuty w kamieniu puchar do szampana z wyrzeźbionymi deMnami. W promieniach słońca woda skrzyła się barwami tęczy, a lekkie podmuchy wiatru roznosiły tysiące drobin wodnych na pobliskie rabaty z kwiatami.

— Lato trwa stanowczo za krótko, prawda? — stwierdził znów Dłubak. — Ale jest to chyba związane z wiekiem. Gdy byłem chłopcem, lato zdawało się ciągnąć w nieskończoność.

Obdarowany kanapką facet skończył jeść i strząsnął z kolan okruchy.

— Nic nie trwa wiecznie, panie Dłubak. Bankowcowi ze zdumienia opadła szczęka.

— Skąd pan wie, jak się nazywam?

— Powiedziano mi, i tyle.

— Na pewno nie ja to panu powiedziałem. Chyba że już kiedyś ze sobą rozmawialiśmy. Ale nawet w takim przypadku rzadko kiedy...

— Niech się pan nie trudge. Nigdy ze sobą nie rozmawialiśmy. Przysłał mnie pan Zboiński. Zna pan Zboińskiego? Romana Zboińskiego? Bardzo wpływowy biznesmen.

Imię i nazwisko „Roman Zboiński” brzmiały bardzo znajomo, choć Dłubak nie mógł sobie przypomnieć, gdzie je słyszał.

— Pan Zboiński chciałby z panem pogawędzić — ciągnął nieznajomy. —

Uważa, że sprawy prywatne powinny pozostać prywatnymi. To tyle.

— Obawiam się, że nie rozumiem, o co panu chodzi. Facet w brązowym garniturze wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, to poczęstuję się jeszcze jedną kanapką.

Mam straszną słabość do sardynek. Ale nie powinien pan dawać tyle keczupu.

— Nie czekając na pozwolenie sięgnął po zawiniętą w papier kanapkę.

Rozpakował ją, ugryzł potężny kęs i powiedział: — Zaparkowałem po drugiej stronie ulicy. Nie zajmie to panu dużo czasu.

— Chce pan, żebym z panem jechał? Nie mogę. Za dwadzieścia minut mam umówione spotkanie.

Mężczyzna przełknął kęs kanapki, parsknął i bez namysłu odchylił połę kurtki, odsłaniając kolbę zatkniętego za pasek pistoletu. Dłubak nie wierzył własnym oczom. Szybko rozejrzał się w lewo i w prawo, jakby spodziewał się, że zobaczy zbliżających się kolegów z pracy, którzy powiedzą mu, że to taki figiel, a wśród drzew dojrzy resztę rozbawionych pracowników wydziału rozliczeń międzynarodowych. Ale widział tylko obcych ludzi, którzy śmiejąc się i rozmawiając snuli się aleją. Matka pchała dziecięcy wózek z czerwonymi balonikami przywiązany do poręczy. Woda w fontannie szemrała i lśniła w

promieniach słońca, a wszystko było tak spokojne i zwyczajne, że Dłubak pojął, iż nieznajomy nie żartuje.

— Idziemy! — burknął mężczyzna. Wziął z kolan Dłubaka torebkę z kanapkami, jedną z nich zostawił sobie, a pozostałe wrzucił do kosza na śmieci.

— Tędy!

Puścił bankowca przodem. Ruszyli w kierunku wyjścia z Ogrodu Saskiego.

Przeszli po ogromnych płytach okalających Grób Nieznanego Żołnierza, przekroczyli jezdnię i tam nieznajomy wyjął z kieszeni kluczyki, po czym otworzył zdezelowanego białego poloneza zaparkowanego przy krawężniku.

Dłubak rozejrzał się ukradkiem, wypatrując policyjnego radiowozu, lecz mężczyzna wykonał energiczny ruch głową i warknął:

— Wsiadaj!

Początkowo jechali w milczeniu. Samochodem trzęsło, widać pojazd nie miał amortyzatorów, a opony były tylko do połowy napompowane. Skręcili na wschód i przejechali most Poniatowskiego. Toń Wisły lśniła w słońcu niczym wypolerowany mosiądz i Dłubak musiał zmruznąć oczy.

— Chyba nie jedziemy daleko?

Kierowca odwrócił się w jego stronę, puścił perskie oko, ale nic nie odpowiedział.

Znaleźli się na Pradze. Dłubaka zaczął ogarniać niepokój. Jechali zatłoczoną, posępną ulicą. Stały tutaj dziewiętnastowieczne ceglane kamienice, których nie zburzyli Niemcy, i które do teraz zachowały charakter podniszczonych ruder z okresu międzywojennego, jakimi zabudowana była wtedy ta uboga dzielnica Warszawy. Chodnikami płynęły potoki ludzi w lichych ubraniach, wszędzie

widziało się zdezelowane ciężarówki i samochody osobowe; Dłubak dostrzegł nawet dwa wschodniemieckie trabanty.

Księgowy mieszkał w północno-zachodniej dzielnicy Warszawy w niewielkim, nieciekawym osiedlu mieszkaniowym usytuowanym między Wolą a Żoliborzem i tę część Pragi odwiedzał bardzo rzadko, zwłaszcza od czasu, gdy na bazarze kieszonkowcy ukradli mu portfel zjedną czwartą pensji. Wtedy właśnie uznał tę dzielnicę za zbyt przerażającą, zbyt ubogą i podłą.

Minęli uliczny stragan, na którym śniada Mongołka w obszarpanej, futrzanej kamizelce sprzedawała końskie dery, siodła oraz przepowiadała klientom przyszłość. Była niepokojąco ładna. Z jakichś względów jej wzrok napotkał wzrok przejeżdżającego obok w polonezie Dłubaka. Mongołka na chwilę zmarszczyła brwi, jakby chciała przepowiedzieć coś okropnego, coś, co ma mu się niebawem przytrafić.

Nieznajomy zatrzymał w końcu samochód na prawie wymarłym placu. Na rogu stała szara cerkiew z pięcioma cebulastymi kopułami.

— Dokąd idziemy? — zapytał Dłubak.

— Zobaczysz.

Wysiedli z samochodu, przekroczyli jezdnię i skierowali się do podniszczonego bloku z lat sześćdziesiątych. Przed wejściem do domu na betonowym murku siedział pijak w zabrudzonym ziemią ubraniu. Na widok nadchodzących dźwignął się niepewnie na nogi i zawołał z ciężkim, chropawym akcentem, z jakim nie mówi nikt w innych dzielnicach Warszawy.

— Ej, macie trochę szmalu?

— Spierdalaj! — warknął mężczyzna, który przywiózł Dłubaka.

Pijak okręcił się na jednej nodze, jak gdyby ktoś wymierzył mu policzek, zachwiał się i z najwyższym trudem utrzymał równowagę.

Weszli do bloku. Klatka schodowa o pomalowanych na brązowo ścianach była pełna ech. Mężczyzna wepchnął Dłubaka do ciasnej windy i nacisnął guzik.

Stali tak blisko siebie, że Dłubak musiał wdychać bijący od swego prześladowcy odór potu i pif--pafa. Co gorsza tamtemu nieustannie odbijało się sardynkami.

Winda zatrzymała się na trzecim piętrze. Wyszli z niej i ruszyli długim wąskim korytarzem do obitych blachą drzwi z judaszem. Odziany na brązowo facet wyszczerzył do Dłubaka zęby i trzykrotnie zapukał. Bankowiec dostrzegł w judaszu ciemny cień. W środku ktoś ostentacyjnie długo się grzebał; szczękały zamki, zadźwiewał łańcuch i w końcu drzwi stanęły otworem.

— Ty pierwszy — burknął eskortujący Dłubaka.

Znaleźli się w dużym, prawie pustym mieszkaniu. Powietrze przesączał zaduch przypalonego oleju spożywczego. Podłogi wyłożone były tanią, sfałdowaną wykładziną dywanową o paskudnym brązowym kolorze. Minęli drzwi trzech otwartych sypialni, w których okna zostały zasłonięte kocami. Rolę łóżek spełniały nie przykryte niczym siermiężne materace. W jednym z pomieszczeń na zniszczonym, wiklinowym krześle siedziała kobieta o smoliście czarnych włosach, pomalowanych na czerwono paznokciach u nóg i odsłoniętych piersiach. Próbowwała zapalić papierosa. Na plecach miała ogromną pręgę, jakby ktoś uderzył ją nogą od krzesła.

Głównym meblem w salonie był wielki, kiepsko dostrojony telewizor marki Toshiba z wyciszoną fonią. Przed nim, w dużym fotelu siedział masywnie zbudowany, postawny mężczyzna ubrany na czarno. Rozmawiał przez telefon,

nie spuszczać wzroku z ekranu, na którym migąła właśnie kreskówka „Goofy i inni”. Obok fotela stał następny mężczyzna, ubrany w dżinsy i koszulkę polo. Małym śrubokrętem czyścił sobie paznokcie. Trzeci siedział po turecku na dywanie. Był do pasa nagi, a ciało pokrywały mu tatuaże: demony, syreny, znaki zodiaku i motyle.

— Przywiozłem go — odezwał się facet, który zaczepił Dłubaka w parku.

— To dobrze — odparł rozparty w fotelu wielkolud, nie odrywając wzroku od telewizora.

Upłynęły trzy minuty. Nikt nawet nie drgnął. Nikt nie odezwał się słowem. W końcu Dłubak chrząknął i przerwał niezręczne milczenie:

— Mam umówione spotkanie w biurze. Już jestem spóźniony. Możemy więc przystąpić

do rzeczy, niezależnie od tego, o co chodzi, bo muszę jak najszybciej wrócić do pracy?

Znow zapadło długie milczenie. W pewnej chwili wielki mężczyzna powoli się odwrócił i popatrzył na Dłubaka takim wzrokiem, jakby ten rzucił coś obrzydliwego na sfalowaną brązową wykładzinę dywanową.

— Rozumiem, że ma pan dziś po południu spotkanie.

— Tak. Powinienem być w banku już od pięciu minut.

— Aż kim to miał się pan spotkać, panie Dłubak? Może mi to pan powiedzieć?

— Z policją. Z oficerami z wydziału zabójstw oraz z wydziału przestępstw gospodarczych.

— Proszę, proszę — powiedział olbrzym głosem przypominającym zgrzyt żwiru wsypywanego do betoniarki. — Wydział zabójstw i wydział przestępstw

gospodarczych. Musi pan mieć nie lada sekrety do wyjawienia. Dhibak nie wiedział, co odpowiedzieć. Spojrzał na faceta, który przywiózł go tu z parku, ale ten tylko mrugnął i uśmiechnął się, widać dla niego wszystko to było jedynie wybournym żartem.

Zwalisty mężczyzna dźwignął się z fotela i stanął nad Dłubakiem. Górował nad nim niczym zasłaniający słońce budynek.

— Czy wie pan, kim jestem? Nazywam się Roman Zboiński. Czy wie pan, w jaki sposób mój ojciec zarabiał na życie? Był rolnikiem, kopał kartofle, zrywał wiśnie i hodował świnię. O mało nie umarł z głodu. A wie pan, jak ja zarabiałem na życie? Wyładowywałem mrożone mięso w magazynach w Gdańsku. Czy wyobraża pan sobie, co to było za życie? Targaliśmy całe połówki wołów, a płacono nam tyle, że nie starczało na miskę flaków. I co się stało? Wszystko się odmieniło. Nadarzyła się okazja zrobienia wielkich pieniędzy. Zabieramy samochody ludziom, którzy są tak bogaci, że ich taka strata niewiele obchodzi, i sprzedajemy je ludziom, którzy są tak bogaci, że niewiele ich obchodzi, ile płacą. Ludzie, którzy stracili samochody, dzięki ubezpieczeniom kupują sobie nowe, a ludzie, którzy pragną zmienić samochody, otrzymują takie, jakich pragną. A ja mam z tego dochód. To nie przestępstwo, tylko zwykła sprawiedliwość społeczna.

— Ależ to właśnie jest przestępstwo! — wykrzyknął wzburzony Dhibak. — Skoro uważa pan, że jest inaczej, dlaczego zadaje pan sobie tyle trudu, by za pośrednictwem Banku Kredytowego Yistula prać pieniądze? Dlaczego się pan teraz złości? Skoro to nie jest przestępstwo, nie ma pan chyba niczego przeciwko temu, żebym porozmawiał o tym z policją, prawda?

Zboiński wyglądał już nie jak kamienica, lecz jak cały drapacz chmur.

— I tylko pan o tym wie, prawda?

— Już nie. Wie o tym na przykład mój kolega z pracy Piotr Gogiel. Ja mu o tym powiedziałem. Powiem o tym innym. Gdy się wszyscy dowiedzą, nie odważy się pan tknąć mnie nawet palcem.

— W Senate International nie będę z pana zadowolony.

— Och, przeciwnie! Przecież nie chcę, żeby ich firma była wykorzystywana przez gangsterów. Zboiński na chwilę się odwrócił. Zaciskał pięści w skórzanych rękawiczkach, rozdymał nozdrza.

— Panie Dłubak, ciągle jeszcze ma pan szansę. Nawet taki idiota jak pan zdaje sobie z tego sprawę. Jeśli nie zgodzi się pan na rozmowę z policją, jeśli odmówi pan zeznań, to ani nam, ani panu nie spadnie włos z głowy.

— Będę musiał pokazać im rachunki Senate International. A jeśli się wie, czego szukać, to ów proceder z praniem pieniędzy staje się jasny jak słońce. Dla mnie jest jasny jak słońce.

Ubrany na czarno wielkolud pochylił głowę i chwilę się namyślał. Choć Dłubak nie widział jego twarzy, mimika Zboińskiego odbijała się dokładnie na obliczu pokrytego tatuażami mężczyzny, który wpatrywał się w swego szefa. Gniew, później decyzja, a na końcu wyraz złośliwej radości.

Owa odbijająca się niczym echem gra uczuć na twarzy tatuowanego strwożyła

Dhibaka. Ci ludzie postępowali precyzyjnie, złowieszczo konsekwentnie.

— Chce pan, żebym wszystko zachował w tajemnicy? — zapytał bankowiec, z trudem przetykając ślinę. Zboiński nie odpowiedział.

— Chce pan, żebym utrzymywał, że nie nadchodziły na to konto żadne kwoty ani nie dokonywano z niego żadnych przelewów?

Zboiński w dalszym ciągu milczał i nie odwracał głowy. Na wielkim, zamglonym ekranie telewizora Goofy biegał i biegał po elewatorze zbożowym ścigany przez rozgniewane kaczory.

Dłubak nie zauważył, by Zboiński dał swoim kompanom jakikolwiek sygnał, ale nagle człowiek, który przywiózł go z Ogrodu Saskiego, chwycił księgowego za prawe ramię i przyłożył mu do prawego ucha lufę pistoletu. Muszka broni była ostra i Dhibaka bardzo zabolalo. Mężczyzna w dżinsach i podkoszulku odłożył śrubokręt, a potem ujął go za drugie ramię. Obaj straszliwie cuchnęli potem, a Dłubak był bardzo wrażliwy na zapachy.

Zbliżył się Zboiński i popatrzył księgowemu w twarz wzrokiem tak płonącym, jakby chciał go swym gniewem spopielić.

— Niczego tak nie nienawidzę jak uczciwości. Uczciwości! Uczciwi ludzie to banda głupich pojechańców, którzy nie potrafią kombinować!

Dłubak miał tak sucho w gardle, że aż bolała go krtań, nie był w stanie nawet przełknąć śliny. Co powinien zrobić? Jeśli obieca Zboińskiemu, że nic nie powie oficerom z wydziału przestępstw gospodarczych i z wydziału zabójstw, stanie się oszustem. Ujawnienie prawdy jest jego obowiązkiem wobec Banku Kredytowego Yistula i Senate International. Nie tylko; w grę wchodziła również jego osobista duma i godność. Jego opinia nieposzlakowanej uczciwości

księgowego. Jeśli pozwoli Zboińskiemu odejść z pieniędzmi pochodzącymi z kradzieży aut, czym się to skończy? Jaki sens ma kapitalizm, skoro nie istnieją w nim normy etyczne? To już nie kapitalizm, lecz zwykła anarchia. Dłubak się bał, ale jednocześnie wiedział, w co wierzy.

— Wróci pan do swego biura — powiedział twardo Zboiński. Porozmawia pan z glinami i powie im, że wszystko to okazało się omyłką.

— Możesz powiedzieć też, żeś się narąbał wódą. Dlaczego nie? — wtrącił ze śmiechem tatuowany.

— Nie — odrzekł Dłubak.

— Nie? — zdziwił się Zboiński. — Czy ja dobrze usłyszałem, że powiedział pan „nie”? Chyba wie pan, że to nie przelewki, tylko bardzo poważna sprawa?

— Jestem tego w pełni świadomy.

Zboiński ruszył w przeciwny koniec pokoju, ale nagle zmienił kierunek i podszedł do okna. Był wyraźnie poruszony, co jeszcze bardziej trwożyło Dhibaka. Ale w sytuacji, w której nie obowiązywały żadne reguły gry, musiał trzymać się ściśle tego, co uważał za słuszne.

— Czy widzi pan ten kościół? — zapytał Zboiński, wskazując pięć cebulastych kopuł. — To stołeczna cerkiew Świętej Marii Magdaleny. Świętej Marii Magdaleny, która sprzedawała się za pieniądze, a jednak Chrystus ją ukochał! Uwielbiam ten kościół! Czy był pan kiedyś w środku? Są tam dwie kondygnacje, dwa ikonostasy, polichromie i ikony! Sprzedawała się za pieniądze, rozumie pan? A jednak Chrystus ją kochał!

Dłubak gapił się na Zboińskiego. Tak się bał, że powoli bezwiednie oddawał mocz i na lewej nogawce jego letnich beżowych spodni rosła wielka ciemna

plama.

Podszedł do niego Zboiński.

— Zatem nie zmienisz pan zdania? Nie zamierzasz pan go zmienić bez dodatkowych perswazji?

Nagle, dosłownie znikąd, w dłoni Zboińskiego pojawił się duży hak używany przez sztauerów. Przybliżył go do twarzy księgowego.

— Nawet pan sobie nie wyobraża, jaką można nim wyrządzić krzywdę — oświadczył.

— Przecież nie mogę kłamać — wydukał ostatkiem tchu Dłubak. Sam już nie wiedział, czy czuje zimno czy gorąco.

— Chcesz mieć to w oku? — warknął Zboiński.

Zbliżył ostrze haka na niecałe dwa centymetry od drżącej gałki ocznej Dłubaka, który tak szybko mrugał powiekami, jakby kokietował Zboińskiego i próbował nawiązać z nim flirt.

— Nie — mruknął Zboiński. — Ty nie chcesz mieć go w oku, prawda?

Skinął na swoich ludzi. Ci bez ostrzeżenia podcięli Dłubak owi nogi i księgowy upadł na dywan. Próbował zwinąć się w kłębek, ale tatuowany bandzior przycisnął mu kolanem jeden nadgarstek, a ten w dzinsach drugi. Facet z Ogrodu Saskiego unieruchomił mu nogi w kostkach. Dłubak próbował się wyrwać, walczył jak wyciągnięty na brzeg morza morświn, ale tamci byli silniejsi.

Pochylił się nad nim Zboiński ze sztauerskim hakiem.

— Nigdy nie tracę panowania nad sobą — oświadczył. — A to dlatego, że nie proszę o wiele. Od moich przyjaciół chcę przyjaźni, od kobiet uległości, a od

ludzi, którzy dla mnie pracują, lojalności. Od innych żądam tylko, by sami żyli i pozwolili żyć mnie.

Sięgnął lewą ręką w dół i odnalazł suwak w spodniach Dhibaka. Trzema mocnymi szarpnięciami rozpiął bankowcowi rozporek.

— Oj, zlałeś się — zauważył rozsądnym tonem, jakby niczego innego nie spodziewał się po człowieku, który próbował go zdradzić. — Jesteś cały mokry. Mówiąc to, ściągnął leżącemu majtki i odsłonił kurczący się penis, który zrobił się tak malutki i pomarszczony, że Zboińskiemu z trudem udało się go chwycić między kciuk i palec wskazujący. Jakoś jednak dokonał tej sztuki i tak mocno szarpnął za członek, że Dhibak gwałtownie wciągnął w płuca powietrze; jak człowiek, gdy nieoczekiwanie wpada do zimnego basenu.

— A teraz chcę usłyszeć wszystko, co wiesz o moich pieniądzach — odezwał się Zboiński.

Księgowy gwałtownie potrząsnął głową.

— Nie wiem o żadnych pieniądzach! Nawet nie wiem, kim pan jest!

— Przecież ci powiedziałem. Nazywam się Roman Zboiński. Wołają na mnie Hak i sam już wiesz dlaczego. Chciałeś sobie pogawędzić z policją, tak? Z wydziałem zabójstw i z wydziałem przestępstw gospodarczych? I zamierzasz im wszystko o mnie powiedzieć? Nie zdziwiłbym się, gdybyś nawet próbował mnie zrobić w zabójstwo Kamińskiego.

— Nie wiem, o czym pan mówi! — pisnął Dhibak. Twarz miał purpurową, z trudem łapał oddech.

— O, moim zdaniem wiesz. Moim zdaniem dokładnie wiesz, o czym mówię. Zobaczmy, może uda mi się pobudzić ci pamięć.

Mówiąc to, bez chwili wahania Zboiński wbił czubek sztauer-skiego haka w otwór penisa Dłubaka, przekręcił ostrze i z całych sił szarpnął nim w górę, naprężając członek jak strunę. Dhibak zaskrzeczał falsetem, wykręcił ciało, próbując się uwolnić, ale kompani Zboińskiego trzymali go mocno. Penis sterczał wyciągnięty jak rozkwaszona śliwka na końcu drutu.

— Powiem! Powiem! — skrzeczał Dhibak.

— Jesteś pewien? Bo ja dopiero zaczynam się dobrze bawić.

— Powiem! Na Boga, powiem wszystko!

Zboiński po raz ostatni pokręcił hakiem, po czym uwolnił Dhibaka, który natychmiast przewrócił się na bok, wsunął dłonie między nogi i spazmatycznie szlochał.

— Zatem dobrze — stwierdził z zadowoleniem Zboiński. — Przejdźmy do interesów.

Co pan powie o wódeczce, panie Dhibak? Nie sądzi pan, że interesy najlepiej załatwia się przy wódeczce?

Rozdział dziewiąty

Następnego ranka, gdy tuż po dziewiątej trzydzieści Sarah wyszła z mieszkania, ku swemu zdziwieniu zastała w rozległej, wyłożonej mozaiką sieni czekającego na nią komisarza Reja. Padał deszcz i jak na tę porę roku dzień był wyjątkowo mroczny. Rej najwyraźniej czekał już od dłuższego czasu, ponieważ w powietrzu unosiły się kłęby tytoniowego dymu, a u stóp policjanta leżały trzy zdeptane niedopałki.

— Witam towarzysza — odezwała się z przekąsem Sarah. — Myślałam, że pan już nie prowadzi tej sprawy.

— Zgadza się, panno Leonard, nie prowadzę — przyznał. — Ale nie potrafię poskromić ciekawości.

— A cóż takiego pana ciekawi?

— Ciekawi mnie to, dlaczego gdy mój zastępca udał się wczoraj po południu do Banku Kredytowego Vistula, aby porozmawiać z pewnym urzędnikiem zajmującym się kontami Senate International, człowiek ten nie stawił się na umówione spotkanie, a dziś w ogóle nie przyszedł do pracy.

Sarah obrzuciła go długim, baczным spojrzeniem, lecz nic nie odpowiedziała.

Bardzo nie podobały się jej konsekwencje, jakie mogły wyniknąć z tego zdarzenia.

— Urzędnik ów nazywa się Antoni Dłubak — wyjaśnił Rej. — Ostatni raz widziano go wczoraj mniej więcej za kwadrans trzynasta, kiedy opuszczał biuro z torebką z kanapkami. Nie wrócił na noc do swego mieszkania, a dziś rano nie stawił się w banku.

— Może zachorował.

— Chorzy zazwyczaj siedzą w domu.

— Może miał wypadek.

— Nie przyjęto go do żadnego z warszawskich szpitali.

— No dobrze, ale skąd ja mogę wiedzieć, co się z nim stało? Rej wzruszył ramionami i uśmiechnął się.

— Już pani mówiłem, panno Leonard, jestem tylko ciekaw. Sarah zerknęła na zegarek.

— Przykro mi, komisarzu, ale nie mogę panu w niczym pomóc. Poza tym i tak już jestem spóźniona.

Przez obrotowe drzwi wyszła na ulicę. Wiatru prawie nie było, ale niebo spowijała gruba warstwa chmur, z których sączyła się uporczywa mżawka.

Sarah rozłożyła parasolkę i energicznie ruszyła w stronę Dworca Centralnego i hotelu Marriott. W Alejach Jerozolimskich panował wielki ruch — mnóstwo taksówek z pracującymi na przednich szybach wycieraczkami i czerwono-białych autobusów o zaparowanych oknach.

Rej postawił kołnierz i dotrzymywał pannie Leonard kroku.

— Proszę posłuchać — powiedział. — Nie próbuję wcale sugerować, że ktoś z pani firmy ma cokolwiek wspólnego ze zniknięciem Dłubaka. Ale to już druga osoba związana z Senate International, która zginęła w tym tygodniu.

— Przecież nie wie pan na pewno, że Dłubak nie żyje.

— Ale nie wiem też, czy żyje. Poza tym stanowi jedyny trop, jakim dysponuję.

Sarah przystanęła.

— W porządku. Pomogę panu, jeśli pan pomoże mnie. Sprowadziłam do Warszawy policjanta z Chicago. To stary przyjaciel mojego ojca. Chce schwytać Oprawcę.

— Co pani zrobiła?

— A co innego miałam zrobić? Pan nie umiał go złapać, prawda? Poza tym mój detektyw nie będzie wchodził panu w drogę. W końcu odebrali panu tę sprawę.

Rej przeciągnął palcami po siwych włosach.

— Powiem coś pani, panno Leonard. Posiada pani niebywały talent, żeby sprawiać, iż za każdym razem, jak z panią rozmawiam, czuję się o piętnaście lat starszy.

— Niech pan się nie łudzi. Wygląda pan na znacznie więcej niż pięćdziesiąt lat.

Więc jak, porozmawia pan z moim policjantem? Nazywa się Clayton Marsh i jak słyszałam od ojca, jest jednym z najlepszych detektywów w Ameryce.

— Cóż, nie mam nic do stracenia.

Idąc w kierunku Marriotta, Sarah nie próbowała nawet zapraszać Reja pod parasolkę; miała na sobie nowy czarny kostium od Armaniego i nie chciała, żeby przemókł. Rej musiał zatem kulić się, stawiać jeszcze wyżej kołnierz i co chwila robić uniki, by nie trafiła go w oko któraś z końcówek drutów parasolki Sarah.

— Co pan teraz robi?

— Oficjalnie siedzę w domu i kontempluję własny pępek. Sprawę Oprawcy przekazano Jarczykowi, ale Witold wart jest tyle samo, co ogar z zatkanym nosem. A wszystko przez tę politykę, w jaką ostatnimi czasy wdała się policja... jest jeszcze gorzej niż dawniej. Zawsze uważałem, że polityka nie ma znaczenia, że liczy się jedynie łapanie kryminalistów. Teraz, gdy wszystko się zmieniło, zostałem na lodzie i czuję się trochę oszukany.

— Ale nie żałuje pan zmian, prawda?

— Nie wiem. Pewne rzeczy zmieniły się na lepsze. Ale to nie cheeseburgery stanowią o rewolucji. Należy zmienić ludzkie serca... a na to potrzeba całego pokolenia.

Dotarli do Marriotta i weszli do holu. Rej strząsnął z kurtki krople wody i wytarł twarz szarawą chusteczką do nosa. Clayton czekał na nich w koktajlbarze i popijał kawę. Miał na sobie brązową skórzaną kurtkę, dzinsy i kowbojskie buty. Na ich widok wstał, przygarnął do siebie Sarah i potrząsnął ręką Reja tak mocno, jak nikt jeszcze w życiu policjanta tego nie zrobił.

— Przyprowadziłam komisarza Reja — wyjaśniła Sarah. — Mówi, że zaginął jeden z pracowników Banku Kredytowego Yistula... człowiek, który miał być przesłuchiwany w sprawie prania pieniędzy.

— Nie wiem — wtrącił Rej. — Może już się odnalazł, cały i zdrowy. Ale jeśli nie... cóż, musi w takim razie istnieć jakiś związek.

— Powiem panu, mój przyjacielu, że dużo bardziej od machlojek finansowych w banku interesuje mnie siła fizyczna, jaką dysponuje ten Oprawca — powiedział Clayton. — Czytałem gazety. Sam pan oświadczył, że kiedy obciął panu palec, posuwał się w przewodzie kanalizacyjnym tak szybko, że tylko cudem uszedł pan z życiem... chociaż koledzy wyciągali pana na Unie. Z taką szybkością potrafi przemieszczać się w wąskim przewodzie jedynie ktoś wytrenowany i obdarzony fenomenalną siłą. Albo ta nieszczęsna Zborowska... przez otwór w skrzynce na listy przeciągnął jej całe ramię. Nie wspomnę już o posiekanych na kawałki Niemcach.

— Nie — wtrąciła szybko Sarah.

Clayton uspokajająco położył jej dłoń na ramieniu.

— Przepraszam, Sarah, ale wydaje mi się, że jest to najważniejszy wątek tego śledztwa. Nie sądzę, żeby poszukując jedynie motywu tych zabójstw, udało się nam ustalić ogniwo łączące wszystkie ofiary. Przede wszystkim musimy ustalić, co je zabiło.

— Sądzi pan, że to nie jest człowiek? — zapytał Rej.

— Tego nie twierdzę. Może to był człowiek, a może nie. Jeśli człowiek, bardzo chciałbym wiedzieć, jakiego typu to człowiek. Jeśli nie, chciałbym wiedzieć, z

jakiego rodzaju stworzeniem mamy do czynienia.

— Nie rozumiem... co pan ma na myśli, mówiąc „stworzenie”? Wszystkim ofiarom obcięto głowy wielkim metalowym ostrzem. Stworzenia nie używają noży.

— Ten twój Brzezicki uważa, że to diabeł, prawda? — zwrócił się do Sarah Clayton.

— Cóż, to tylko zabobony — odezwał się Rej.

— Czy wie pan na pewno, że to nie jest diabeł? Rej popatrzył na Amerykanina jak na wariata.

— Jasne, że wiem! Wiem na pewno, że nie jest to diabeł. Diabły nie istnieją.

— Pozwoli pan, że coś panu powiem — odparł Clayton. — Siedemnaście lat temu w dwupiętrowym domu w slumsach przy Grand Avenue w Chicago wybuchł pożar. Spłonęło żywcem dziewięć kobiet, sześcioro dzieci i jeden mężczyzna. Dochodzenie przeprowadzone przez straż pożarną wykazało, że było to podpalenie, jakkolwiek nie natrafiono na ślad żadnego przyspieszacza, za pomocą którego pożar ten został wywołany. Po prostu zapaliło się jedno z mieszkań: podłogi, ściany, meble... wszystko zmieniło się w popiół. Ale poza tym mieszkaniem w budynku nie było śladu ognia. Nie było nawet zapachu dymu. Prowadziłem tę sprawę i przez trzy dni przesłuchiwałem właściciela domu. Miałem trzech świadków, którzy słyszeli, jak mieszkańcom spalonego mieszkania groził eksmisją. Jeden z nich utrzymywał wręcz, że słyszał, jak gospodarz groził im śmiercią. Ale właściciel miał żelazne alibi: tego wieczoru gdy wybuchł pożar, grał z przyjaciółmi w bilard. Ponadto w mieszkaniu, mimo że przeszukiwaliśmy pogorzeliśko dosłownie na kolanach, nie znaleźliśmy nic.

Był tam tylko jeden przedmiot: książka zatytułowana „Magia chaldejska”.

Jedyna książka w mieszkaniu mężczyzny, który czytywał wyłącznie rubryki sportowe w gazetach. Ta sprawa nie dawała mi spokoju. I z jakichś względów utkwił mi w pamięci tytuł książki. Próbowałem zdobyć inny jej egzemplarz, ale nikt o takim tytule nie słyszał. Udałem się zatem do specjalisty od religii starożytnego Środkowego Wschodu, profesora Lanormanta z uniwersytetu w Chicago. Oświadczył mi, że Chaldejczycy stworzyli najobszerniejszą demonologię w historii świata. Dodał też, iż znali rytuały, za pomocą których można było wzywać na pomoc demony. Jeden z takich demonów potrafił oddechem spalić cały dom wraz z ludźmi. Spalić na węgiel. Demon ten w realnym świecie mógł przebywać tylko przez określony czas, a kiedy już wracał tam, skąd przybył, zostawiał na Ziemi własne zwęglone szczątki. W pięć dni po pożarze na Grand Avenue na pobliskiej pustej działce budowlanej znaleziono zwęglone ciało. Niewiele z niego pozostało, ale lekarz sądowy oświadczył, że nigdy wcześniej nie spotkał się z podobną strukturą kostną. To nie był człowiek. To nie było zwierzę. Można to było nazwać jedynie stworzeniem.

— Cóż, interesująca powiastka z gatunku horroru — stwierdził Rej. — Ale wcale nie stanowi dowodu na istnienie diabłów, prawda?

— Może nie. Ale stanowi dowód na to, że nie rozwiąże pan tej zagadki, mając ciasny umysł i klapki na oczach.

Sarah wezwała kelnerkę, zamówiła dla wszystkich kawę, po czym oświadczyła:

— Jest jeszcze coś, co kompletnie wyleciało mi z głowy. Kiedy po raz pierwszy weszłam z Mullerem do rury kanalizacyjnej na placu budowy, wydawało mi się, że słyszę płacz dziecka.

— To samo słyszał Kamiński — wtrącił Rej. — Dlatego zresztą wszedł do kanału.

— Może warto więc bliżej zająć się tym właśnie aspektem sprawy — zasugerował Clayton. — Skąd wiadomo, że Kamiński słyszał płacz dziecka?

— Wspomniał o tym przechodzącemu tego wieczoru obok placu budowy odźwiernemu z Pałacu Kultury. Poza tym mamy chłopaka, który pomógł Kamińskiemu otworzyć bramę prowadzącą na budowę i włamał się do baraku, żeby zabrać stamtąd latarkę. On też słyszał płacz.

— Ale w kanałach żadnego dziecka nie znaleźliście? Rej potrząsnął głową.

— Nie mamy też żadnego doniesienia, że tego wieczoru zaginęło jakieś dziecko. Jedyne, co znaleźliśmy w kanale, to szmaciana lalka, ale najprawdopodobniej znalazła się tam przypadkowo.

Pokazywaliśmy fotografię zabawki w telewizji i w prasie, lecz nikt jej nie zidentyfikował.

— Czy ciągle ją macie?

— Oczywiście. Wraz ze wszystkimi dowodami... a tych dowodów jest bardzo mało.

— Czy mógłby mi pan dostarczyć tę lalkę?

— Mogłem, lecz zostałem odsunięty od śledztwa.

— Ale ja naprawdę chciałbym ją zobaczyć. Rej popatrzył uważnie na Amerykanina.

— Nie rozumiem. Po co panu ta lalka?

Clayton rozparł się na krześle i złożył dłonie jak do modlitwy.

— Rzecz w tym, komisarzu, że od czasu pożaru na Grand Avenue zacząłem

dużo szerzej patrzeć na zbrodnię i zachowanie zbrodniarza, zwłaszcza jeśli chodzi o zbrodnie racjonalnie niewytłumaczalne. Kiedy spotykam się z przestępstwem, w którym nie można dostrzec motywu, gdy nie ma dowodów pośrednich ani logicznego wytłumaczenia, zakładam specjalne dossier. W dalszym ciągu próbuję rozwiązywać taką zbrodnię metodami tradycyjnymi, ale jednocześnie eksperymentuję, starając się dojść prawdy innymi sposobami... takimi, jak używanie kart do tarota, runów czy mediów.

— Czy to zawsze skutkuje? — zainteresowała się Sarah.

Wprawdzie jej ojciec nazwał Claytona „najlepszym detektywem, jakiego zrodziło to przeklęte Chicago”, ale Sarah nie wierzyła w spirytyzm. Jej zdaniem martwy człowiek był martwy. Miała nadzieję, że ściągnięcie Claytona do Warszawy nie okaże się jedynie kosztownym i kłopotliwym przedsięwzięciem. W świecie biznesu na kobiety zawsze patrzy się znacznie bardziej krytycznie niż na mężczyzn. Miała dosyć kłopotów z przekonaniem Bena i szefów w Nowym Jorku, że niebawem będzie mogła ponownie rozpocząć prace budowlane.

Ostatnia rzecz, jakiej pragnęła, to krytyka za nieumiejętność oceny innych ludzi.

— Jasne, że tak — odparł Clayton. — Może nie zawsze, ale też i nie wszystkie zbrodnie trzeba w taki sposób badać. Niemniej w dwóch sprawach ciała ofiar mogliśmy zidentyfikować wyłącznie dzięki temu, że oddaliśmy ich ubrania lub przedmioty przy nich znalezione doświadczonemu medium, które niejako uwizualniło nam ich właścicieli.

— To chyba niemożliwe — odezwał się sceptycznie Rej, spoglądając na przemian to na Claytona, to na Sarah.

— Oczywiście, że nie — wyjaśnił amerykański detektyw. — Nie w świecie,

który na co dzień postrzegamy. Ale sam fakt, że czegoś nie jesteśmy w stanie postrzec, nie znaczy, iż to nie istnieje. To tak jak dźwięk o wysokiej częstotliwości lub promienie podczerwone. Akceptujemy ich istnienie i posługujemy się nimi. Lecz tak naprawdę „nie istnieją” w tym sensie, że nie jesteśmy w stanie stwierdzić ich obecności za pomocą dotyku, węchu, słuchu czy wzroku.

— Na razie spróbuje pan metod konwencjonalnych, prawda? — zaniepokoiła się Sarah.

— O, naturalnie — zapewnił ją Clayton. — Nie mam aż na tyle kuku na muniu, jeśli to cię właśnie niepokoi. Ale zawsze warto spróbować metod dalekich od codziennej rutyny, nie rezygnując przy tym ze starych, dobrych i sprawdzonych sposobów zbierania informacji. Byłem świadkiem wielu dochodzeń wlokących się całymi tygodniami, ponieważ najpierw rozmawiano ze wszystkimi świadkami, następnie przesłuchiowano podejrzanych, później próbowano powiązać ze sobą tych podejrzanych i tak dalej, i tak dalej. To jest cholernie linearne, jeśli rozumiesz, o co mi chodzi. A przecież można było również popróbować inaczej, zajmując się wieloma innymi aspektami, od DNA zaczynając, a na kryształowej kuli kończąc.

Rej zastanawiał się chwilę nad słowami swego amerykańskiego kolegi i w końcu skinął głową.

— Ma pan rację, podoba mi się takie podejście do sprawy. Dziś i jutro Matejko penetruje kanały. Poszukiwania siłą rzeczy nie będą dokładne, ponieważ nikt dokładnie tych kanałów nie zna. Ale warto spróbować. Może da to jakieś pozytywne rezultaty i coś tam znajdą.

Zapalił papierosa i wydmuchnął drugą, cienką smużkę dymu.

— Jurka od dwóch lat świerbiło, żeby przejąć moje stanowisko. Pozostał jednak dobrym przyjacielem. Jeśli cokolwiek znajdą, natychmiast mnie o tym powiadomi.

— Tego nam właśnie potrzeba — ucieszył się Clayton. — A na razie, kim jest ten dzieciak, który pomógł Kamińskiemu włamać się na plac budowy?

Chciałbym z nim porozmawiać.

— Mam w notesie jego nazwisko — powiedział Rej. — Ale jedyne, co słyszał, to płacz dziecka lub kobiety.

— I ty również to słyszałaś? — zwrócił się z pytaniem do Sarah Clayton.

— Zgadza się. Przypominało to... bardziej szloch niż płacz. Rozumie pan, jakby ktoś pogrążony był w nieutulonym smutku.

— I żadnych słów? Żadnych zrozumiałych słów?

— Nie wiem... chyba nie. — Usilnie starała się przypomnieć sobie tamten płacz.

Tak, były tam jakieś słowa, ale bardzo niewyraźne i dochodziły z wielkiej odległości, jakby ktoś wołał z oddalonej od brzegu łodzi. — Nie... ma pan rację, coś tam jednak chyba było, ale nie mam najmniejszego pojęcia co.

— Cóż, w najgorszym razie spróbujemy wydobyć to z ciebie za pomocą hipnozy.

— Hipnozy! — wykrzyknął z wyraźnym już podziwem Rej. — Ten człowiek myśli o wszystkim.

— Niech pan się tak nie ekscytuje — ostudził go Clayton. — Nie wiadomo jeszcze, czy w ogóle znaleźliśmy syrenę, więc co dopiero mówić o słuchaniu jej śpiewu.

Rej zmarszczył brwi i Sarah szybko przetłumaczyła mu parabolę myślową

Amerykanina:

— Mówi, że nic nie jest skończone, dopóki się nie skończy.

— A, rozumiem. Świetnie. Proszę pana... zadzwonię teraz do Matejki i dowiem się, jak idą poszukiwania.

Ruszył do automatu telefonicznego, a Sarah dołała Claytonowi kawy.

— Sympatyczny gość — zauważył detektyw.

— Tak, na swój staromodny sposób — odparła z uśmiechem. — Czasami myślę, że taki sam byłby mój tata, gdyby został w Polsce. Rejowi trudno jest się przystosować do ostatnich zmian. Jest bardzo moralny. Wierzy w prawdę, jeśli coś takiego w ogóle istnieje. Uważa, że big mac nie stanowi substytutu pozytywnego myślenia; rozumiesz, positive thinking.

Przy stoliku pojawił się Rej. Był spięty, blady i jeszcze bardziej zmaltratowany niż poprzednio.

— Rozmawiałem z Matejką — oświadczył. — Przeszukują kanały pod placem Powstańców Warszawy. Znaleźli pozbawione głowy ciało. Wszystko wskazuje na to, że zwłoki Antoniego Dłubaka.

— Cóż, przyjacielu — powiedział Clayton po angielsku. — Wygląda na to, że gra toczy się dalej.

Marka Masłowskiego zastali na schodach prowadzących do Pałacu Kultury, gdzie spędzał czas w towarzystwie sześciu czy siedmiu przyjaciół. Chłopak miał na sobie czarną skórzaną kurtkę, nową parę lewisów, ale jedwabisty czarny wąsik nie podrośł mu ani trochę. W pierwszej chwili nie poznał Reja, który ubrany był w wymiętą,

mokrą kurtkę, a na twarzy miał plastry. W końcu jednak pojął, kogo ma przed sobą.

— Ej, to gliniarze — zawołał i kilku z jego kolegów natychmiast oddaliło się na bezpieczną odległość. — Czemu zawdzięczam tę wątpliwą przyjemność?

Rej bez słowa usiadł obok niego na stopniu schodów.

— Posłuchaj — powiedział. — Żadnego pieprzenia w bambus. To jest Clayton Marsh, detektyw z Ameryki. Próbujemy ustalić, co zabiło Jana Kamińskiego.

Marek zamrugął oczyma.

— Czy dobrze słyszałem? Powiedział pan: „co”.

— A jak myślisz? — wtrącił się Clayton. — Słyszałeś to samo, co słyszał Kamiński. Płacz albo szloch, albo cokolwiek. Co to było twoim zdaniem?

— A skąd niby mam to wiedzieć? Nic nie widziałem. I nie słyszałem wyraźnie, ponieważ stałem na poziomie ulicy. Nie wiem. Mogła to być kobieta, ale bardziej brzmiało to jak płacz dziecka.

— Przypomnij sobie — ponaglił go Clayton. — Przypomnij sobie dokładnie, jak brzmiał ten dźwięk. Marek zerknął w stronę kolegów.

— Nie wiem, dlaczego mam wam pomagać. Wy nam zawsze robicie masę smrodu.

— Ale Kamińskiemu pomogłeś.

— Kamiński nie był świnią.

— A zatem powinieneś nam pomóc ustalić, w jaki sposób zginął. Marek wahał się przez chwilę. Przyłożył palce do czoła i intensywnie myślał.

— Nie wiem. Na ulicy panował straszny zgiełk.

— Czy rozróżniłeś jakieś słowa?

— Raczej nie. Tylko płacz.

— Myśl, myśl. Czy to przypominało słowa? Mogłeś nawet ich nie rozumieć.

Marek znów długo się zastanawiał.

— Jasne... tak. To mogły być słowa. Jego koledzy zaczęli się niecierpliwić.

— Daj spokój, Kurt, też sobie znalazłeś kumpli! — zawołała śliczna dziewczyna w czarnych legginsach i z kolczykiem w prawym nozdrzu.

Clayton położył jej dłoń na ramieniu.

--Panienko, proszę mnie posłuchać. Żeby porozmawiać z tym dżentelmenem, przyleciałem tu aż z Chicago w Illinois.

— A co mnie to obchodzi? — odparła wyzywająco po angielsku, choć słowa Clayтона wyraźnie wywarły na niej ogromne wrażenie.

— Nie proszę, aby cię to cokolwiek obchodziło. Proszę tylko, byś na kilka minut wyłączyła syrenę. Dziewczyna zmarszczyła brwi i spojrzała na Marka.

— O co mu chodzi?

— Chce, żebyś się zamknęła — wyjaśnił uprzejmie Marek. Dziewczyna pokazała palec, najpierw Claytonowi, a następnie Markowi.

— Kim teraz jesteś? Kurt the cop-lover.

— Och, spadaj, Olga! — burknął Marek i obrażona dziewczyna dołączyła do swych przyjaciół.

— Kurt? — zapytał Clayton. — Dlaczego nazwała cię Kurt?

— Przypominam trochę Kurta Cobaina. Wie pan, tego z Nir-vany.

— Rozumiem, że przed tym, jak rozwalił sobie łepetynę?

— Człowieku, ja też już tam prawie byłem — odparł żywo Marek. — I paru moich kumpli. Myśli pan, że to łatwo dorastać w takim gównie jak to? Budzę się

codziennie rano i widzę reklamę BMW, reklamę motorów Ducati, reklamę płynu po goleniu Christian Dior, a przecież wiem, że choćbym żył nawet sto osiem lat i dzień po dniu całymi tygodniami zdzierał sobie w robocie dupę do kości, gdybym na dodatek ukradł wszystko, co jest do ukradzenia, nigdy nie będzie mnie stać na te rzeczy. BMW? Nie kupiłbym nawet pierdolonej kierownicy do BMW, nie mówiąc o reszcie.

— Synu, ten problem istnieje na całym świecie — odparł z uśmiechem Clayton.

— Dziękuj Bogu, że nie urodziłeś się w Etiopii.

— Na jedno wychodzi. Polska? To Etiopia z kwaszoną kapustą.

— Jeśli nie chcesz, nie musisz nam pomagać — włączył się do rozmowy Rej. —

Oficjalnie odebrano mi tę sprawę. I oficjalnie ten dżentelmen również nie powinien się nią zajmować. Ale zginęło już czternastu niewinnych ludzi. Dziś rano znaleziono kolejne ciało z obciętą głową.

— No, nie wiem — mruknął Marek.

Któryś z jego przyjaciół gwizdnął na palcach i zawołał:

— Kurt, chodź, zmywamy się do Olgi! Clayton pochylił się nad chłopakiem.

— Marku... czy możesz sobie przypomnieć, co ta dziewczynka lub kobieta powiedziała? Marek potrząsnął głową.

— Czy nam pomożesz? — zapytał Amerykanin. — To moja osobista, najgorętsza i płynąca z serca prośba.

— Ale jak mogę wam pomóc?

— Cóż... zamierzamy przeprowadzić coś w rodzaju seansu. Czy wiesz, co to takiego? Ludzie trzymają się za ręce i próbują wzywać zmarłych. Zamierzam to uczynić w imię tej małej dziewczynki, której płacz słyszałeś. Spróbujemy

wezwać jej ducha. Mam nadzieję, że pomoże nam zrozumieć, co tu naprawdę się dzieje.

Marek popatrzył na Reja, chcąc się upewnić, czy nikt nie robi z niego balona.

Ale policjant wzruszył tylko ramionami.

— To trudna sprawa. Próbujemy wszystkiego.

— Seans? — zapytał Marek. — Zastukaj raz, jeśli nie wiesz, kto cię zabił; zastukaj dwa razy, jeśli wiesz?

— Niezupełnie tak — odparł Clayton. — Ale ciepło. A ty naprawdę możesz nam na początku bardzo pomóc. Słyszałeś płacz tego dziecka... czy kobiety... może usłyszałeś więcej, niż ci się wydaje? I co ty na to? Chcesz wziąć w tym udział?

Do schodów podeszła ciemnowłosa dziewczyna o bladej twarzy. Ozdobionym licznymi bransoletami ramieniem objęła Marka za szyję i popatrzyła wyzywająco na Claytona. Młody Wschód prowokował Zachód w średnim wieku.

— W porządku... zgoda — odezwał się w końcu Marek. — Skoro to może ułatwić schwytanie tego Oprawcy, pomogę wam.

— Ale najpierw muszę znaleźć odpowiednie medium — wyjaśnił Clayton. —

Do tego czasu... powiedz, gdzie mam cię szukać, kiedy już wszystko zacznie się kręcić.

Rej dźwignął się ze schodów. Marek popatrzył na niego i zapytał:

— Komisarzu, co się właściwie stało? Nie potrafił pan sam rozwiązać tej sprawy?

Rej spojrzał na Claytona, po czym przeniósł wzrok na Marka.

— Polityka kadrowa.

— Naprawdę? A co będzie, gdy pańscy szefowie odkryją, że pan w dalszym ciągu zajmuje się tą sprawą?

— Prawdopodobnie wyleją mnie z roboty.

— Ej, więc co pan tu jeszcze robi? Myślałem, że wam, glinom, zależy tylko na wygodnym życiu i forsie. Rej dźgnął go wyciągniętym palcem. Posłuchaj. Mój ojciec walczył z Niemcami. Później walczył z Rosjanami. A resztę życia spędził, odbudowując to miasto. Nie znosił oportunistów i nie znosił biurokratów. Ja też ich nie znoszę. Marek wybuchnął śmiechem.

— Słyszeliście tego człowieka? Następne, co mi powie, to to, że właśnie odkrył nirwanę.

— Lepsze to niż odkrywanie grobów — odparł Rej.

— No i stało się! — oświadczył Ben. — W Nowym Jorku dostali furii.

Sarah zwinęła parasolkę i włożyła ją do stojaka.

— To naturalne, że wpadli w furję. Ale my tu jesteśmy bezradni.

— Nie możemy znaleźć kogoś, kto jednak podejmie się tej pracy?

— Ben, gdyby nawet ktoś taki się znalazł, policja na to nie pozwoli. Co najmniej przez najbliższe dwa dni. Teren jest zamknięty i odgradzony kordonem.

— Myślałem o twoim znajomym szefie policji... jak mu tam... Grabhandle?

— Grabowski? Tak, znam go. Ale nie będzie przecież ingerował w rutynowe procedury policyjne. My również nie. Jedynym rozwiązaniem jest pochwycenie Oprawcy i aresztowanie go. Sam wiesz najlepiej, że robimy wszystko, co w naszej mocy.

— Chryste Panie, pewnie, że wiem. Sprowadziłaś tu tego spierniczałego platfusa, co kiedyś pił z twoim starym, i płacimy mu dwa tysiące dolarów tygodniowo za to, że pałęta się po mieście, którego nie zna, szukając kogoś, kogo nie jest w stanie zidentyfikować.

— Clayton Marsh jest wyśmienitym detektywem. Co więcej, połączył siły z komisarzem Rejem, a więc nie ma kłopotów z poruszaniem się po mieście.

— Z Rejem? Tym błaznem?

— Rej nie jest taki głupi, jak ci się wydaje.

— Gdybyś tylko wiedziała, za jakiego durnia go mam, pomyślałabyś z pewnością, że powiedziałem komplement. Sarah cisnęła teczkę na biurko.

— Posłuchaj, Ben. Mamy tu poważny problem, ale rzucanie obelg sprawy nie ułatwi. Nikt nie podejmie pracy na naszej budowie, dopóki nie będzie pewien, że nie zostanie zaatakowany. Możesz traktować to jako zabobon, ale ci ludzie naprawdę wierzą, że jeśli rozgniewają diabła, życie stracą nie tylko oni, ale również ich rodziny. Do ostatniego potomka. Oni w to wierzą, Ben, i ani ty, ani ja tego nie zmienimy.

Ben potrząsnął głową i przysiadł jednym pośladkiem na skraju biurka Sarah.

— Niczego już nie rozumiem. Gdzie się podział ten legendarny przebojowiec, którego znałem?

— Nie zawsze osiąga się cel przez onieśmielanie czy zastraszanie innych. Masz do czynienia z takim właśnie przypadkiem.

Ben wziął z biurka pierwszą lepszą zapisaną kartkę, rzucił na nią okiem i zaczął robić z niej papierową strzałę.

— Ja to wszystko rozumiem, słoneczko, ale w Nowym Jorku dostają furii.

Licznik codziennie wybija kolejnych trzysta dziewięćdziesiąt pięć tysięcy dolarów plus odsetki. Jeśli pod koniec przyszłego tygodnia nie przystąpimy do wylewania betonu, zaczną szukać kozła ofiarnego.

— Ben, przecież nie zdołasz zmusić do pracy Brzezickiego i jego ekipy. Nie możesz zmusić nikogo.

— Turcy — odparł Ben. — Oni to zrobią. Ich gównu obchodzi jakiś tam diabeł.

— Jeśli zatrudnisz Turków, zrazisz sobie wszystkich, od prezydenta poczynając.

Już i tak dużo ryzykowaliśmy, sprowadzając Niemców. Poza tym odmówią ci współpracy inni podwykonawcy. Czy wyobrażasz sobie, że wolski oddział Przedsiębiorstwa Instalacji Elektrycznych pozwoli na to, żeby przewody zakładali Turcy?

— Zapewne masz rację — przyznał Ben. — Ale fakty są takie, że w Nowym Jorku szukają osoby, na którą można będzie zwalić winę. A ty jesteś pierwsza na liście.

— Na Boga, na naszym placu budowy popełniono cztery morderstwa. Czego się spodziewają?

— Nowy Jork leży prawie siedem tysięcy kilometrów stąd, Sarah. Spodziewają się, że hotel stanie w przewidzianym terminie. Sarah uważnie popatrzyła na Bena. Sposób, w jaki siedział, sposób, w jaki robił z papieru strzałę, sposób, w jaki piętrzył przeszkody, wyraźnie mówiły, że do czegoś zmierza. Miało to prawie własny zapach; jak zwęglona gazeta, jak spalone włosy, jak siarka.

— Co próbujesz mi powiedzieć? — zapytała w końcu. — Chcesz podstępem wykolegować mnie z tej pracy?

— Oczywiście, że nie. Wręcz przeciwnie.

— O co ci zatem chodzi?

Ben przybrał zirytowaną minę, jakby chciał powiedzieć, iż ze swej strony robi wszystko, by chronić interesy Sarah, lecz przecież ona sama powinna najlepiej wiedzieć, jacy są ich szefowie w Nowym Jorku...

— Słoneczko, tak naprawdę, to mogę wytargować dla nas jeszcze kilka dni.

Jacek Studnicki twierdzi, że Bank Kredytowy Vistula ewentualnie zrezygnuje z pobierania odsetek na tak długo, jak długo warszawska policja nie pozwoli nam na podjęcie robót. Zabezpieczyli się wprawdzie na wypadek pewnych opóźnień w przebiegu naszych prac, ale czy klauzule te dotyczą również okoliczności wstrzymania robót przez policję... To już rzecz do dyskusji. Mógłbym im coś zaoferować w zamian, rzucić trochę słonecznego blasku na firmę ubezpieczeniową...

— Dlaczego więc tego nie zrobisz? Dźwignął się z biurka i stanął tuż przy Sarah.

— Cały problem w tym, że nadstawiałbym własny tyłek. I za co? To ty odpowiadasz w całości za terminowe zakończenie budowy, więc dlaczego miałbym dla ciebie ryzykować własną karierę w Senate International?

Teraz już Sarah jasno pojęła, w jakim kierunku zmierza ich rozmowa. Wyznanie Bena poruszyło ją do żywego, wstrząsnęło nią tak, że zjeżyły się jej włosy na głowie. Zaczęła żałować, że wypila z rana całą szklankę soku z owoców tropikalnych.

— Nie musisz ryzykować dla mnie kariery. Nie prosiłam cię o to i wcale tego nie oczekuję.

— Nie? Prosiłaś mnie o to już wtedy, kiedy pozwoliłaś Brzezickiemu i reszcie tych przesądnych kretynów porzucić pracę. Ponieważ na to pozwoliłaś, ktoś musi cię ratować. A jedyną osobą w pobliżu, która może się tego podjąć, jest niżej podpisany i bez reszty tobie oddany. W jego oczach pojawiła się czułość. Ben próbował ująć dłonie Sarah. Szybko je cofnęła.

— Nie rozumiesz? — zapytał. — W tym właśnie cały problem. Dzisiaj ja ryzykuję dla ciebie, a pewnego dnia ty zaryzykujesz dla mnie. Musimy grać w jednej drużynie. Ale jak możemy w niej grać, skoro nie chcesz, żeby była to drużyna z prawdziwego zdarzenia?

— Już ci mówiłam. Jesteśmy kolegami, jesteśmy przyjaciółmi. Ale to wszystko.

— Och, daj spokój, kochanie. Jak dotąd nie jesteśmy nawet kolegami. Traktujesz mnie tak, jakbym złapał jakąś paskudną chorobę.

— Możliwe. Wykazujesz wszelkie symptomy galopującej megalomanii.

— Czyżby ta broszka nic dla ciebie nie znaczyła?

— Udowodniła mi tylko, że masz więcej pieniędzy niż dobrego smaku i więcej dobrego smaku niż zdrowego rozsądku.

— Sarah, ja o nic nie proszę. Ja tylko mówię. Chcę, żebyśmy jeszcze raz spróbowali. Żar ciągle się jeszcze tli. Dobrze o tym wiesz. Potrzebujemy trochę czasu dla siebie.

Sarah bardzo długo spoglądała na niego w milczeniu. Nie spuszczał wzroku, próbując wyczytać w jej oczach odpowiedź. Widziała w jego twarzy nadzieję. I przebiegłość. I litość nad samym sobą. Ale przede wszystkim straszliwą zarozumiałość, która stała się przyczyną rozpadu ich związku. Musiał za

wszelką cenę nasycić tę zarozumiałość, ale Sarah zdecydowała już, że nie stanie się to jej kosztem.

— Nie ma mowy, Ben. To już minęło.

— Próbowałem, słoneczko — odrzekł, rozkładając ręce. — Nie możesz powiedzieć, że nie. Zawsze sądziłem, że masz w sobie ducha walki. Zawsze myślałem, że jesteś kobietą, która potrafi ziszczyć marzenia.

— O co ci chodzi?

— Chodzi mi o to, że nie mogę dłużej pracować z tobą z powodu twego wrogiego nastawienia i niechęci do współpracy nad realizacją najistotniejszych założeń naszego przedsięwzięcia. Znaczy to, że nieumiejętnie prowadziłaś nasze interesy z tutejszymi robotnikami i planistami, a przez niepotrzebne opóźnienia w pracy naraziłaś firmę na stratę prawie miliona dolarów. Znaczy to, mój malutki, twardy suchareczku, że w Nowym Jorku będę optować za tym, żeby pozbawiono cię pełnionych funkcji. Chyba że...

— Chyba że co? — wykrzyknęła ogarnięta gniewem Sarah. — Chyba że pozwolę na to, żebyś mnie pieprzył, tak? Ben udał pełne szyderstwa zaskoczenie.

— To ty powiedziałaś, nie ja.

Rej zjawił się w swym biurze z dużą, plastikową reklamówką domu towarowego „Smyk”. Usiadł za biurkiem, położył na bibularzu torbę. W tej samej chwili w pokoju pojawił się Matejko. Zajrzał do torby wyciągnął z niej zwiniętą koszulę, rozłożył ją, obejrzał z obu stron i ponownie wsunął do torby.

— Czego, do licha, szukasz? — zapytał Rej.

— Kanapek. Jestem głodny.

— W biurku mam baton czekoladowy.

— Wiem, zjadłem go rano.... Nie gap się tak na mnie. Jesteś chwilowo zawieszony w pełnieniu obowiązków. Do czasu twojego powrotu zdążyłbym ci włożyć do szuflady nowy baton.

Rej zapalił papierosa.

— Jak leci śledztwo?

— Wlecze się. Sam wiesz najlepiej, jaki jest Witold. Podnosi każdy kamień, z tym tylko, że bez przerwy zapomina, który już podniósł, a którego jeszcze nie.

— Czy przyszły jakieś wieści od Wojniakowskiego?

— O Dłubaku? Nic takiego. Zdekapitowany ostrym narzędziem, jak pozostali.

Ale medycy utrzymują, że istnieje jedna istotna różnica. Dłubak był napastowany seksualnie. Ktoś wbił mu w penis ostry przedmiot.

— Auch, to musiało boleć! — jęknął Rej i papieros w jego ustach zadrżał. —

Niemniej szczegół jest interesujący. Co sądzi o tym Witold?

— Witold uważa, że go torturowano. Zapewne chcieli z niego wyciągnąć wszystko, co wie o praniu pieniędzy w Yistuli.

— To ma sens. Jeśli tak rzeczywiście było, to znaczy, że został zabity przez zorganizowanych przestępców, a nie przez samotnie działającego pomyleńca.

Może przez mafię... lub przez kogoś, kto robi te szwindle za pośrednictwem Senate International.

Matejko skinął głową.

— Masz rację. Ale w takim razie, dlaczego ci zorganizowani przestępcy zadawali sobie trud mordowania przewodnika z biura turystycznego, mleczarza, farmaceuty i pozostałych?

— Cóż... Kamińskiego zabito zapewne z tych samych powodów co Dłubaka. A resztę... Bóg jeden wie. Posłuchaj, zadzwoń do Wojniakowskiego i poproś, żeby sprawdził, czy Dłubaka zabito tym samym narzędziem co pozostałe ofiary.

Matejko potrząsnął głową.

— Stefan, czyżbyś zapomniał, że zostałeś odsunięty od tej sprawy?

— A jednak zrób to, co ci mówię. Witold zapewne też będzie chciał to wiedzieć.

— Jeśli Witold będzie chciał wiedzieć, sam mnie o to poprosi. Rej wyjął papierosa z ust.

— Dlaczego, do kurwy nędzy, nie przestaniesz się spierać i nie zrobisz tego, o co cię proszę?

Matejko wybuchnął śmiechem i sięgnął po słuchawkę. Kiedy nakręcał numer, Rej powiedział:

— Poczekaj... zostawiłem w szafce ręcznik. Po niego tu zresztą przyszedłem.

Sięgnął po reklamówkę, opuścił pokój i ruszył korytarzem. Kiedy dotarł do jego końca, nie skręcił wcale w prawo do łazienki, lecz poszedł w lewo do magazynu, w którym przechowywano dowody rzeczowe wszystkich prowadzonych aktualnie spraw. Magazynek mieścił się w drugim, wąskim pomieszczeniu z rzędami pomalowanych na oliwkowo szafek umieszczonych wzdłuż ścian. Za ustawionym pod oknem biurkiem siedział policjant i pracowicie wpisywał coś do rejestru. Przed nim na biurku stała para tanich brązowych butów poplamionych krwią. Na widok wchodzącego Reja funkcjonariusz zerwał się z miejsca i strzelił obcasami.

— W czym mogę pomóc, komisarzu! — zapytał.

— Przyszedłem w związku ze sprawą Oprawcy. Chciałbym rzucić okiem na tę lalkę.

— Przykro mi, komisarzy, ale poinformowano mnie, że tę sprawę przejął komisarz Jarczyk.

— Tak, wiem. Ale to wcale nie znaczy, że nie mogę rzucić okiem na jeden z dowodów. Policjant sprawiał wrażenie zakłopotanego.

— Komisarz Jarczyk wyraźnie mi oświadczył, że pan nie ma dostępu do dowodów.

— Na Boga! Chcę tylko na tę lalkę popatrzeć. Poza tym znaleziono ją jeszcze wtedy, gdy to ja prowadziłem śledztwo.

— Cóż... — odparł niepewnie policjant.

Rej wyciągnął w jego stronę otwartą paczkę papierosów.

— Nie bądźcie takim służbistą. Potrzeba mi tylko kilku sekund, żeby sprawdzić, czy nie ma na niej jakiejś metki. Później natychmiast zwrócę wam tę lalkę.

Policjant sięgnął po papierosa, a Rej podał mu ogień.

— Cóż... — powtórzył funkcjonariusz. — Myślę, że nikomu nie stanie się żadna krzywda.

Rej cieszył się wielką sympatią wśród niższej rangi pracowników komendy.

Znał ich wszystkich z imienia, pamiętał o ich imieninach i żywił zdrową pogardę do napuszonych starszych oficerów.

Policjant wyciągnął klucze i poprowadził Reja wzdłuż rzędu szafek ustawionych po lewej stronie. Dotarli do drzwiczek opatrzonej nalepką z napisem „Hydra nr I”, która to nazwa stanowiła kryptonim sprawy Oprawcy. „Hydra”, ponieważ w grę wchodziło wiele głów. Pomysł ten stanowił przejaw specyficznego

poczucia humoru Dembka.

Lalkę przechowywano w dużej wyłożonej watą kopercie.

— Proszę—powiedział policjant. — Niech się pan sam obsłuży. Mamy właśnie na tapecie sprawę Keplicza.

— A, tak. Słyszałem o tym —mruknął Rej. — Żona zaatakowała męża rozgrzaną lokówką.

— Właśnie. Powinien był pan go widzieć.

— Podejrzewam, że czuł się trochę nieswój.

— Tak. O, tu ma pan tę lalkę.

Rej wyjął ją z koperty. Dawno już zdążyła wyschnąć, lecz zachowała szarawo brązową barwę. Komisarz sądził, że przedstawia wiejską dziewczynkę. Miała szmaciany beret, fartuszek i wysokie buty.

Zastanawiał się chwilę, jakie imię nadało jej dziecko, do którego należała.

Zadzwoił telefon i dyżurny podniósł słuchawkę. Rej domyślił się, że dzwoni żona lub dziewczyna. Funkcjonariusz wdał się w długą debatę na temat, jak i gdzie spędzą weekend, choć na samym początku rozmowy zaznaczył, że niezależnie od tego, co się stanie, jej matki odwiedzać nie zamierza.

Gdy policjant zajęty był rozmową, Rej stopniowo odwracał się do niego plecami. Otworzył reklamówkę, wsunął do środka lalkę, a do koperty schował koszulę.

Ponownie się odwrócił, teatralnym gestem uniósł pakunek nad głowę, po czym wsunął go do szafki z napisem „Hydra” i przekręcił klucz. Policjant, nie odrywając od ucha słuchawki, skinął mu przyjaźnie głową. Rej opuścił magazynek i skierował się do biura. Dziwił się tylko, że tak mocno bije mu

serce. W połowie drogi usłyszał wołanie Matejki:

— Stefan! Mówiłeś, że idziesz do łazienki po ręcznik!

— Aaa... zagadałem się z Dembkiem i zapomniałem o ręczniku.

— Co? Przecież Dembek jest dzisiaj w Poznaniu.

— No cóż, tak naprawdę to byłem u jednej z dziewczyn w kartotekach — odparł zadziornie Rej. — Nie chciałem, żebyś o tym wiedział.

Matejko obrzucił go podejrzliwym spojrzeniem i zmarszczył brwi.

— Przecież zawsze złym okiem patrzyłeś na pracowników, którzy zadają się z personelem administracyjnym.

— Ale ona jest wyjątkowa. Nie potrafię się jej oprzeć. Daj spokój, Jurek. Jestem mężczyzną. Mam swoje potrzeby.

— Musisz mi ją pokazać. Bo na moje oko pracują tam same krowy. Aha, połączyłem się z Zakładem Medycyny Sądowej. Wojniakowskiego nie było, rozmawiałem z jednym z jego asystentów. Właśnie otrzymali wyniki analizy metalurgicznej śladów na szyi Dłubaka.

Nie musiał nawet mówić, jaki był werdykt. Świadczył o tym wyraz jego twarzy.

Zakłopotany Rej przeciągnął kantem dłoni po czole.

— Boże, Jerzy. To jakiś koszmarny sen. Rozumiesz, im szybciej biegniesz, tym bardziej cel się oddala.

Rozdział dziesiąty

Spotkali się o jedenastej wieczorem przed wysokim, narożnym blokiem mieszkalnym naprzeciwko bazarku przy Banacha, kilka za ledwie przecznic od domu, w którym zostali zabici Ewa Zborowska i Kazimierz Wróblewski.

Ciągle panował aż nieprzyjemny upał, ale jednocześnie wiał silny wiatr niosący

tumany gryzącego kurzu. Była to jedna z tych nocy, kiedy człowiek jest w pełni świadom, iż znajduje się w samym środku Europy, że wdycha powietrze, które przeszło nad Austrią, Niemcami i republiką Czech, a następnie przemieści się nad Rosję i jeszcze dalej, aż za koło polarne.

Pierwsi stawili się Sarah i Clayton. Ona miała na sobie letni płaszcz i beret w kolorze słonecznikowym. Detektyw w czarnej marynarce i szarych spodniach sprawiał wrażenie raczej pośepne.

— Na seanse zawsze ubieram się jak na pogrzeb — wyjaśnił. — Ostatecznie czeka nas rozmowa z umarłymi.

Następny pojawił się Marek. Przyjechał nagle na tylnym siedzeniu huczącego motocykla, który prowadził jego kolega, podobnie jak Marek ubrany w czarną skórzaną kurtkę. Marek miał ciemne lustrzanki, żuł wykałaczkę i poruszał się z przesadną nonszalancją. Jest bardzo zdenerwowany — pomyślała z pełnym współczucia zrozumieniem Sarah.

W dzieciństwie również była bardzo nieśmiała, niepewna siebie i do dzisiaj musiała zażywać środki uspokajające, ilekroć miała przemawiać do licznie zgromadzonego audytorium, dać komuś reprimendę za niewykonanie powierzonego zadania, odgrywać sławetną rolę Ajatolaha czy wybuchać nieprzytomnym gniewem, po którym następowały inspirujące, godne najlepszych telewizyjnych kaznodziejów, zachęty do lepszej pracy. Sarah posiadała wrodzony talent do wzbudzania w ludziach poczucia winy; i jeszcze większy do wzbudzania w nich szczerzej chęci poprawy. Ale nie przychodziło jej to łatwo. Tak więc teraz, gdy pojawił się Marek, przywitała go serdecznym, dodającym otuchy uśmiechem.

— A zatem znalazł pan to medium? — chciał wiedzieć Marek.

— Jak mówią ludzie, bardzo silne medium — odrzekł Amerykanin. — Układa cotygodniowe horoskopy do „Wszystko o miłości”. Znasz pewnie ten szmatławiec, w którym piszą głównie o seksie, podają najrozmaitsze przepisy i tym podobne głupoty. W taki właśnie sposób wpadłem na jej ślad.

— Rej się spóźnia — mruknęła Sarah, spoglądając na zegarek. — A obiecywał, że stawi się punktualnie.

— Daj facetowi złapać oddech — uspokoił ją Clayton. — Zapewne musiał strzelić sobie podwójną wódkę, żeby w ogóle mieć odwagę tu przyjść. Dla niego nie jest to wcale łatwe. Ostatecznie stracił już pół palca. O Oprawcy zapewne wie więcej niż ktokolwiek inny w Polsce, a jednak odsunęli go od sprawy, kazali siedzieć w domu i oglądać Knot's Landing w polskiej wersji językowej. Wiem, co ten człowiek czuje, bo mnie również spotkało coś podobnego w siedemdziesiątym piątym roku. Tak naprawdę, to znalazłem się w znacznie bardziej parszywej sytuacji, bo musiałem oglądać Knot's Landing po angielsku.

— Wszyscy moi znajomi twierdzą, że historie o mediach to bzdury — oświadczył nieoczekiwanie Marek.

— Dlaczego zatem tu przyszedłeś? — zapytała ostro Sarah.

— Ponieważ chcę osobiście się przekonać, czy to działa. A pan naprawdę wierzy, że działa? Clayton wzruszył ramionami.

— Szczerze mówiąc, nie mam zdania. Wszystko wskazuje na to, że robię z siebie głupka. Ale jak już wspominałem, nie widzę powodów, dla których miałbym się ograniczać. Jeśli istnieje choć cień szansy, że przy pomocy medium rozwiążę sprawę, dlaczego nie mam go wykorzystać? Czy komuś wyrządę tym

krzywdę? W najgorszym przypadku czyjaś dawno zmarła ciotka Janina
przekaze nam informację, gdzie za życia schowała wygrany los na loterię.

Polski Claytona nie był najlepszy, lecz wszystko wskazywało na to, że
Amerykanin nawiązał kontakt z Markiem. Clayton niejednokrotnie stykał się ze
zbuntowaną i zgorzkniałą młodzieżą pochodzącą z polskich rodzin
mieszkających w Chicago. Zdawał sobie sprawę z tego, że młodzi ludzie tacy
jak Marek buntują się przeciwko pokusom współczesnego, materialnego świata
oraz brakowi pieniędzy na zakup oferowanych przez ten świat towarów.

Przeciwko gnieźdzeniu się z rodzicami w maleńkich, o wiele za małych
mieszkaniach, gdzie ciągle brakuje ciepłej wody, a ubikacje są wciąż zajęte.

Przeciwko temu, że po skończeniu szkoły, z której wychodzą z celującymi
ocenami, nie znajdują pracy albo oferowane zajęcia jest tak mało płatne, że wolą
już najmować się jako taksówkarze, pracownicy na stacjach benzynowych lub
kasjerzy.

— Marzę tylko o tym — zwierzał się Marek — żeby występować na estradzie
przed tysiącami widzów i grać im na gitarze powalające z nóg solówki.

— Grasz w jakiejś kapeli? — zainteresował się Clayton.

— Coś w tym rodzaju. Ale jest nas tylko dwóch i trudno znaleźć miejsce na
próby.

W domu cały czas słyszę: „Przestań, do cholery ciężkiej, hałasować, bo twoja
siostra odrabia lekcje!”

— Podobnie wyglądało życie wszystkich wielkich muzyków — pocieszył
Clayton i uspokajająco poklepał chłopaka po ramieniu.

W tej samej chwili zza rogu wyłonił się passat i zahamował przy krawężniku. Z

samochodu wysiadł Rej. W ręce trzymał plastikową torbę.

— Przepraszam za spóźnienie, ale właśnie zadzwonili z domu opieki, w którym przebywa moja matka.

— Czy coś się stało? — zapytała Sarah.

— Ostatnio mama nie czuje się najlepiej. Dostała anginy. Ale jak na siedemdziesiąt sześć lat dziarsko się trzyma. — Pogrzebał w torbie i wyciągnął lalkę. — To ta. Jeśli mój szef się zorientuje, że ją sobie pożyczyłem, sam pewnie wyląduję w domu opieki.

— Dobrze pan zrobił — oświadczył Clayton. — No, a teraz czeka nas spotkanie z Madame Krystyną.

Wspięli się po trzech niskich stopniach prowadzących do frontowych drzwi budynku. Przez zbrojoną drutem szybę w drzwiach dostrzegli obskurną sień z brązową lamperią i szeregiem małych, punktowych lampek, których blask pulsował niczym uporczywa migrena. Obok drzwi znajdowały się dwa rzędy przycisków od domofonów. Clayton wybrał ten z napisem: „Miłość, Zdrowie, Bogactwo; Twój Los Jest Zapisany W Gwiazdach”.

Rozległ się zgrzytliwy, wyprany z wszelkich emocji głos:

— Madame Krystyna, profesjonalne medium.

— Tu Clayton Marsh, jesteśmy umówieni.

Madame Krystyna, profesjonalne medium, nacisnęła brzęczyk i drzwi się otworzyły. W wąskiej sieni po lewej stronie znajdowała się winda tak ciasna, że z najwyższym trudem się w niej zmieścili. Rej stał naprzeciwko Sarah, ale musiał trzymać ręce z tyłu, żeby nie dotykać jej piersi. Winda jechała tak powoli i z takim chrzęstem, że drugie piętro wszyscy powitali z największą ulgą.

W samym końcu mrocznego holu widniały pomalowane na purpurowo drzwi z naklejonymi na nie srebrnymi gwiazdami. W samym korytarzu mocno pachniało bigosem oraz gulaszem myśliwskim. Sarah przypomniała sobie, że cały dzień nie miała nic w ustach. Z drugiej strony jednak dieta robi bardzo dobrze na figurę. Rej zastukał do drzwi i czekali w półmroku, aż ktoś im otworzy. Po chwili w progu stanęła Madame Krystyna. Wyglądała bardziej na profesjonalistkę niż na medium. Była przystojną kobietą w wieku około dwudziestu pięciu lat, miała czarne kręcone włosy i wielkie niebieskie oczy, powiększane jeszcze przydającymi jej powagi okularami w czarnej oprawce. Nosila białą jedwabną bluzkę oraz brunatną elegancką spódnicę. Jedynym elementem stroju wskazującym na jej zawód był srebrny pentagram zawieszony na szyi na cieniutkim łańcuszku.

— Czworo, bardzo dobrze — stwierdziła na powitanie. — Do magicznego kręgu zawsze potrzeba pięciu osób. Niech państwo wchodzą.

Mieszkanie umeblowano antykami z ciemnego dębu, a okna zostały szczelnie zasłonięte kwiecistymi kotarami. Wszędzie dostrzec było można suszone kwiaty i bibeloty: szklane przyciski do papieru, naparstki oraz wypchane ptaki w szklanych gablotkach. W odległym kącie salonu stał wysoki, wąski regał z poupychanymi na chybił trafił broszurami, oprawnymi w skórę arcydziełami światowej literatury, czasopismami i gazetami. Obok niego wisiał na ścianie osobliwy obraz olejny, przedstawiający kobietę w długiej sukni i w kapeluszu z welonem unoszącą się pod niebem zabarwionym na pomarańczowo promieniami zachodzącego słońca. W dole, pod płynącą w przestworzach kobietą, widniał bury kot, budzik, nie zapisany kalendarz otwarty na

październiku oraz mała szara postać mężczyzny prowadzącego na smyczy białego psa. Z jakichś względów Sarah uznała obraz za bardzo melancholijny i niepokojący; nie potrafiła nad sobą zapanować i co chwila oglądała się przez ramię, żeby jeszcze raz na niego popatrzeć. Pośrodku pokoju stał wielki, okrągły, nakryty brązowym aksamitnym obrusem stół z alabastrową, wysoką na trzydzieści centymetrów piramidą. Piramida miała osobliwie połyskliwą mleczną barwę, zupełnie jakby była półprzezroczysta lub wypełniona zakrzepłym dymem.

— Uwielbiam tę pracę — odezwała się Madame Krystyna. — Raz już nawet współpracowałam z policją. Nie, nie w Warszawie, we Wrocławiu. Pomogłam znaleźć zaginioną kobietę. Oczywiście już nie żyła. Powiedziała mi, gdzie jest: na polu obsianym rzepą. Żądała trumny i przyzwoitej mogiły, nie jamy wykopanej w glinie.

Ale proszę, niech państwo usiądą. Zrobić herbaty?

— Ja dziękuję — powiedziała Sarah. — Wolałabym od razu przystąpić do rzeczy.

— Sądzę, że wszyscy tego chcemy — poparł ją Clayton. — Madame Krystyno, opowiedziałem już pani w zarysach, o co chodzi. Czy potrzebuje pani więcej szczegółów?

— Przynieśli państwo lalkę?

Rej położył na stole reklamówkę. Madame Krystyna nie otwierając jej, delikatnie dotknęła torby dłonią, zupełnie jakby chciała sprawdzić, czy w środku nie kryje się jakieś żywe stworzenie.

— Potężne emanacje — stwierdziła. — Rzadko kiedy utajone emocje dają się

tak silnie wyczuwać.

— A co pani dokładnie czuje? — zapytała Sarah.

— Miłość... ta nieszczęsna mała laleczka była bardzo kochana. Czuję też lęk i ogromną rozpacz.

— A gdybym ja jej dotknęła, poczułabym to samo? Madame Krystyna przesłała Sarah dziwne, ukośne spojrzenie.

— Sądzę, iż w normalnych okolicznościach tak. Ale w tej chwili mogłaby pani napotkać niejake trudności; odczucia byłyby wymieszane, jeśli rozumie pani, co mam na myśli. Panią też trawi wielka rozpacz.

— Wcale nie czuję rozpacz — odparła rozdrażniona nagle Sarah. — O co pani chodzi? Madame Krystyna uśmiechnęła się.

— Widziałam, jak patrzyła pani na obraz. Dla kobiet to malowidło posiada wielkie znaczenie... kryje w sobie wiele rzeczy. Ucieczkę, wolność, ale również niestabilność i utratę, lęk przed porażką i strach przed starością. Namalowała je naturalnie kobieta, Maria Auto. Żaden mężczyzna nie stworzyłby takiego dzieła. Rej wyczuł zakłopotanie Sarah i szybko wtrącił:

— Jak mamy siedzieć?

Madame Krystyna przez chwile jeszcze uśmiechała się tajemniczo do Sarah. Był to niezwykły uśmiech, czujny, lecz uspokajający. Pod jego wpływem Amerykanka poczuła, że z serca spadał jej ogromny ciężar, jakby zwierzyła komuś najbardziej bolesną tajemnicę.

Ale w tej samej chwili Madame Krystyna powiedziała:

— Siadajcie, państwo, gdzie chcecie... Tak, będziemy się trzymali za ręce. Ze względów mediumistycznych nie jest to konieczne, ale pomoże nam się

skoncentrować.

Pozajmowali miejsca na ustawionych wokół stołu krzesłach. Madame Krystyna wzięła Marka za dłoń i natychmiast wybuchnęła śmiechem.

— Boże drogi, ależ ten młodzieniec jest sceptycznie nastawiony! Właśnie się zastanawia, po co tu w ogóle przyszedł! Marek zrobił kwaśną minę i rozparł się na krześle.

— Ale to nie ma znaczenia — zaznaczyła natychmiast Madame Krystyna. —

Samoloty latają bez względu na to, czy ludzie w to wierzą, czy nie.

— W latające samoloty Marek wierzy — odparł z uśmiechem Clayton. — Nie jest tylko pewien co do świń!

Madame Krystyna bez słowa ujęła rękę Sarah, która natychmiast pojęła, że dotyk jej dłoni potwierdza wszystko to, co spirytystka wcześniej już wyczuła, obserwując, jak przygląda się obrazowi. Usiłowała nie myśleć o kłopotach związanych z budową hotelu, z Benem oraz o zgrozie, jaka ją ogarnęła, kiedy trzech robotników Mullera zostało porąbanych na kawałki. Ale im bardziej starała się wyrzucić te myśli z pamięci, tym wspomnienia stawały się bardziej natrętne i wyraziste.

Madame Krystyna delikatnie ścisnęła palce Sarah, która popatrzyła w jej stronę i przesłała spirytystce szybki, nerwowy uśmiech.

— Czy mógłby pan wyjąć lalkę i położyć ją przede mną na stole? — zapytała

Madame Krystyna. — W tej chwili nie chcę jej jeszcze dotykać.

Rej wyciągnął z reklamówki zabawkę i położył przed Madame Krystyną.

— Teraz niech wszyscy wezmą się za ręce — poleciła spirytystka. —

Zamknijmy koło pięciu i zobaczmy, co z tego wyniknie.

Zacisnęła powieki i przez dobrą minutę siedziała bez ruchu pogrążona w milczeniu. Sarah spostrzegła, że Marek zagryza dolną wargę, aby nie wybuchnąć śmiechem. Rej sprawiał wrażenie zmęczonego, lecz cierpliwie czekał na rozwój wypadków. Clayton obserwował Krystynę z wielkim zainteresowaniem. Ostatecznie miał już w tych sprawach pewne doświadczenie.

— Mała dziewczynka zgubiła lalkę — odezwała się Madame Krystyna, nie otwierając oczu. — Gdzieś w Warszawie mała dziewczynka zgubiła ukochaną lalkę. Lalka przepelniona jest jej miłością. Ale jest również pełna jej lęku. Czy ktoś może mi pomóc i powiedzieć, kim jest ta mała dziewczynka i dokąd odeszła?

Mijały minuty. Marek nie wytrzymał i parsknął stłumionym śmiechem. Madame Krystyna nie zwróciła na to najmniejszej uwagi.

— Mała dziewczynka zgubiła lalkę — powtórzyła. Jej głos stał się bardzo niewyraźny i senny. — Mała dziewczynka zgubiła ukochaną lalkę. Czy ktoś pomoże mi odnaleźć tę dziewczynkę? Czy ktoś wie, gdzie ona teraz przebywa?

Sarah błysnęła myśl, że jednak Marek ma wszelkie powody do sceptycyzmu.

Minęły kolejne trzy lub cztery minuty, a Madame Krystyna ciągle mruczała te same słowa.

— Mała dziewczynka zgubiła lalkę. Czy ktoś pomoże mi odnaleźć tę dziewczynkę?

Mała dziewczynka zgubiła ukochaną lalkę.

Sarah miała właśnie zamiar wyrwać dłoń z ręki spirytystki i oświadczyć, że jest już środek nocy, gdy światła w salonie gwałtownie przygasły i zaczęły mrugać niebieskim blaskiem.

— Spadek napięcia? — odezwał się Rej unosząc głowę.

— Cicho — odparł Clayton. — Byłem już świadkiem takich rzeczy. Sarah ogarnął nagły strach. Odniosła nieprzyjemne wrażenie, że do pokoju wchodzą jacyś ludzie. Czowała ich obecność, czuła, jak szeleszczą ich ubrania, czuła ich oddechy. A przecież nikogo nie widziała. Rej ścisnął mocniej jej dłoń i Amerykanka domyśliła się, że on również jest świadom tego, iż nie są już w pokoju sami.

— ...ukochaną lalkę — intonowała Madame Krystyna. — ...ktoś wie gdzie ona...

W salonie panował już taki mrok, że Sarah z najwyższym trudem dostrzegała malowidło przedstawiające lecącą kobietę. Jednocześnie coraz bardziej była świadoma, że wokół niej przemieszczają się jacyś ludzie, wzdychają, dotykają jej, szepczą sobie coś do uszu. I ciągle są niewidzialni. Nigdy nie wierzyła w spirytyzm. Nie wierzyła, by możliwy był „kontakt ze zmarłym”. I oto tutaj, w salonie warszawskiego mieszkania otaczały ją ruchliwe, szepczące duchy. Po kręgosłupie, niczym wypuszczony z lodówki wuj, przebiegł jej zimny dreszcz. Wyprostowała się na krześle. Oczy rozszerzyły się jej ze strachu na myśl co może się wydarzyć.

— Jesteście tu, prawda? — zapytała Madame Krystyna, wciąż nie otwierając oczu. — Czy ktoś rozpoznaje tę lalkę? Czy ktoś zna dziewczynkę, do której ta lalka należy?

Nastąpiła chwila przerwy, po czym rozległy się jakieś stłumione, gorączkowe hałasy. Rej spojrzał na Sarah rozszerzonymi oczyma. Marek kręcił głową to w prawo, to w lewo; zupełnie już odeszła go ochota do śmiechu.

— Jesteście tu, prawda? — powtórzyła Madame Krystyna.

Stojąca pośrodku stołu piramida zaczęła wydzielać światło. W jego blasku twarze ludzi przypominały papierowe maski. Cienie za alabastrowymi ściankami piramidy nabrały życia, zaczęły się ślizgać i przesuwać jak na przyspieszonym filmie przedstawiającym pochmurne niebo. Sarah czuła, że przez drzwi do salonu wpływają tuziny ludzi; jakby ci ludzie przekraczali jakieś kurtyny; jakby ci ludzie, szurając nogami i przepychając się między sobą, wypełniali każdy wolny centymetr przestrzeni. Zaczęła ogarniać ją panika, czuła klaustrofobię jak w nowojorskim metrze, z tym tylko, że tu nikogo nie widziała i nikt jej nie popychał. Popatrzyła przez stół na Claytona. Z wyrazu jego twarzy wyczytała, iż on również wyczuwa niewidzialnych przybyszów. Mark jawnie już rozglądał się wokół siebie, próbując ich dostrzec.

— Czy pani to czuje? — zapytał. Z twarzy odpłynęła mu cała krew.

— Bądź cicho — powiedziała Madame Krystyna. — Są tutaj, nie wolno zakłócać im spokoju. Niektóre z nich chcą pomóc, a niektóre są bardzo agresywne.

— Kto? — zapytał Rej. — Nikogo nie widzę.

— Nie czuje ich pan? — zdziwiła się Sarah.

— Nie wiem. Sam już nie wiem, co czuję.

— To dusze — wyjaśniła Madame Krystyna. — A w Warszawie jest ich tak dużo. Rej otworzył usta, jakby zamierzał coś powiedzieć, ale natychmiast je zamknął. Włosy jeżyły mu się na głowie, a oczy lśniły strachem. Dotarły do nich głosy. Początkowo były tylko niczym szelest zeschniętych liści gnanych wiatrem po trawie. Później stały się wyraźniejsze i Sarah nabrała pewności, że rozróżnia

słowa, zdania, słyszy czyjąś modlitwę:

„... tyle cierpienia... kup mu kamizelce... me pamiętam... całe lato pływałem po Zalewie Zegrzyńskim... tak bardzo mnie boli...

— To dusze — powtórzyła Madame Krystyna. — A w Warszawie jest ich tak dużo. Z wierzchołka piramidy wydobył się odwrócony trójkąt blasku, niczym odbity w rzadkim powietrzu lustrzany refleks samej piramidy. Sarah mogła widzieć wprawdzie przez to światło — ciągle patrzyła na Claytona — ale dostrzegała jednocześnie obrazy wewnątrz odwróconej piramidy — płynące chmury, rozkołysane drzewa — i naraz ujrzała biegnących ulicą miasta ludzi. Przypominało to stary, czarno-biały niemy film, lecz jednocześnie otaczały ją szeleszczące głosy duchów.

Pojawiła się twarz brodatego starca, kanciasta i wypaczona. Człowiek ten sprawiał takie wrażenie, jakby nie wiedział, gdzie jest i co robi. Szarpnął się kilka razy za pasma brody i powiedział:

— To Zosia.

Głos płynął z daleka, był wątyły, brakowało synchronizacji między wypowiedzianymi słowami a ruchem warg.

— Kim była Zosia? — zapytała Madame Krystyna. — Posłuchaj mnie... kim była Zosia? Gdzie mieszkała?

— Tę lalkę dostała od mojej żony na szóste urodziny. Zabraliśmy wtedy Zosię do Urli. Uwielbiała Urle... cały dzień kąpała się w rzece.

Sarah chłonęła ten widok z pełnym fascynacji lękiem. Twarz starca migiała, zmieniała gwałtownie miejsca jak na filmie kręconym pod różnymi kątami i w pewnych odstępach czasu. Amerykanka pragnęła w pewnej chwili zapytać

Madame Krystynę, czy to prawdziwy duch, czy jest to żywe wyobrażenie kogoś dawno zmarłego, ale doszła do wniosku, że najmądrzej się nie wtrącać.

— Gdzie Zosia teraz przebywa? — zapytała Madame Krystyna. Nie padła bezpośrednia odpowiedź. Wątki, ledwie słyszalny głos mówił tylko:

— ...kąpała się w rzece...

— Czyżbyśmy go stracili? — zapytał Clayton.

— Na Boga, mam nadzieję, że tak — odparł Marek. — Kurde balans, to jest tak dziwaczne, że nie może być prawdziwe.

— Bądź cicho — powtórzyła Madame Krystyna. — Wskazuje nam drogę.

— Jaką drogę? — zapytał Marek. — Dokąd?

— Nic nie mów i patrz! — odparła spirytystka.

W odwróconym trójkacie utkanym ze światła ujrzeli szeroka warszawską ulicę z lipami i zaparkowanymi przy krawężnikach samochodami. Minęli stragan z owocami i wystawione pod gołym niebem na sprzedaż kanapy. Słyszeli nawet głosy przechodniów i szum przejeżdżających pojazdów. Ktoś kłócił się o cenę kraty do kominka.

Dotarli do skrzyżowania. Obraz ustawiony był pod osobliwym kątem, jakby wszystko działo się na stromym zboczu wzgórza. Sarah widziała przechodzących ludzi: kobiety z torbami pełnymi zakupów, mężczyzn z teczkami. Widziała przesuwane się po jezdni i chodnikach cienie płynących po niebie obłoków.

— Gdzie to jest? — zapytała. — Czy ktoś z was wie?

— Wygląda na Świętokrzyską — wyjaśnił Rej. — Tuż za skrzyżowaniem z Jana Pawła Drugiego.

— Tak, ma pan rację — wtrąciła Madame Krystyna. — Tam, na rogu, mieści się kawiarnia.

— Po prostu nie wierzę — powiedział Marek.

Przecięli ulicę Jana Pawła II i posuwali się dalej Świętokrzyską, aż dotarli do bloku mieszkalnego z dziewięcioma szklanymi płytami. Odnieśli wrażenie, że wspinają się po schodach. Dochodziły do nich dźwięki muzyki i odgłosy czyichś kłótni. Dotarli do masywnych drzwi i przeniknęli przez nie.

— Moja lala — piskliwie zawołało małe dziecko.

— Zosiu, czy to ty? — zapytała Madame Krystyna.

— Moja lala—powtórzyło bardzo stanowczo strapione dziecko.

— To ona — oznajmiła Madame Krystyna, jeszcze mocniej ściskając dłoń Sarah. — To do tej dziewczynki należała lalka.

— Czy to znaczy, że ona nie żyje?— zapytał Rej.

— Oczywiście, że nie żyje. W świecie duchów nie ma żywych ludzi.

Rej nic nie odrzekł, lecz Sarah dostrzegła w jego oczach cień smutku. Potarła kciukiem wewnątrz dłoni policjanta.

— Z całą pewnością nie cierpiała.

— A co to za różnica? — odparł Rej. — Moja praca polega na tym, żeby strzec ludzi takich jak ona.

— Och, dałby pan spokój — odparła zniecierpliwiona Sarah. — Chyba nie zamierza pan wylewać przede mną wszystkich sentymentów?

Rej obrzucił ją uważnym spojrzeniem, a ona po raz pierwszy spostrzegła, jak bardzo jest przystojny. Zgnębiony to na pewno. Zapewne brakowało mu codziennej

troski jakiejś zaradnej, energicznej kobiety. Ale nie istniało nic, czemu nie
zaradziłaby rozsądna dieta i dwa tygodnie spędzone w sali gimnastycznej. Tak
bardzo
przypominał
ponurych,
sponiewieranych
gwiazdorów
kina

europiejskiego, Eddiego Constatine' ai Alaina Renaisa. Bogiem a prawdą mógłby
być również Zbyszkciem Cybulscun z „Popiołu i diamentu”, gdyby oczywiście
Zbyszek Cybulski się nie zabił.

— Popatrzcie — odezwała się Madame Krystyna.

W odwróconej piramidzie pojawił się w dziwnych proporcjach szary i
niewyraźny salon z kanapą, krzesłami i stolikiem do kawy. Na ścianie wisiała
ogromna reprodukcja obrazu przedstawiającego białe konie pędzące poprzez
morskie, spienione fale. Na kaloryferze suszyły się dwie pary rajstop. W pokoju
znajdował się również niewielki, podniszczony telewizor z anteną zrobioną z
drucianego wieszaka na ubrania oraz paskudna, porcelanowa ryba.

— Moja! lala — upierał się dziecięcy głosik. Na podłodze leżała szmaciana
lalka, ta sama, którą teraz miała przed sobą Madame Krystyna.

— Jesteśmy w domu — stwierdził bez tchu, zdyszczanym z emocji głosem
Clayton. — To jest właśnie to miejsce.

— Moja... moja... moja... moja lala.

Sarah uniosła głowę. Otaczający ją pokój wydawał się już tak zatłoczony, że

zaczynało brakować powietrza.

— Moja lala — oświadczyła. — To właśnie próbuje powiedzieć. Ona jest jeszcze malutka. Ona mówi: „Moja lala”.

W tej samej chwili rozległo się stłumione stukanie. Gdy dziewczynka się rozejrzała, wydawało się, że wraz z jej głową obrócił się cały pokój. Stukanie powtórzyło się, tym razem głośniejsze. Dotarł niewyraźny kobiecy głos:

— Zosiu, zostań tam! Mamusia zaraz do ciebie przyjdzie!

— Co to, do licha, ma znaczyć? — zapytał Rej.

Kołatanie nie ustawało; stało się jeszcze głośniejsze, pełne wściekłości. W przeładowanym meblami małym mieszkanku Madame Krystyny brzmiało głucho, nabierało złowieszczych tonów, przypominało łoskot dzikiego, pogrzebowego werbla. Choć obraz migotał, był kanciasty i wypaczony, Sarah nie miała wątpliwości, że widzi, jak drży futryna w drzwiach, a znad górnej framugi zaczyna odpadać tynk.

— Nie otwieraj! — zawołał kobiecy głos. — Zosiu... nie otwieraj!

Walenie w drzwi stało się już ogłuszające. Sarah tak mocno wbijała paznokcie w dłoń Reja, że w pewnej chwili pomyślała, iż rozkrwawi mu rękę.

Nieoczekiwanie drżący, chwiejny obraz drzwi jakby się przybliżył, ujrzeli drobną dziecięcą dłoń sięgającą do klamki i zamka. Wyglądało to jak hologram, lecz nie istniał żaden projektor, a jedynie ich energia psychiczna; jedynie ich fizyczny kontakt, ich stykające się ze sobą dłonie. Wspólna ciekawość, co tak gwałtownie dobija się do fantasmagorycznych drzwi.

— Zosiu, nie otwieraj! — ponownie rozległo się wołanie kobiety.

Ale drzwi rozwarły się z impetem i do mieszkania wtargnęło coś czarnego. Coś

ogromnego. Coś przerażającego. Rej podskoczył na krześle i wyrwał dłoń z uścisku Sarah. Przerwał krąg.

Zgromadzeni przy stole odnieśli przelotne wrażenie, że pokój, od podłogi po sufit, wypełnia, niczym lodowato zimny atrament, czyste, skondensowane zło. Rozległ się gromowy huk, ludzi poraził oślepiający błysk sięgający nerwów ocznych. Pokój powoli cichł, widziadło nad piramidą zniknęło. Sarah pochyliła się, osłoniła oczy dłonią i starała się zapamiętać każdy szczegół niknącego, lśniącego dziwnym blaskiem obrazu. W salonie Madame Krystyny ponownie rozbłysły żarówki. Do uszu Sarah dobiegł dźwięk oddalających się chyłkiem kroków. Spostrzegła, że zasłony w oknie falują. Znowu byli sami.

Madame Krystyna rozejrzała się wokół stołu i Sarah zastanawiała się przez chwilę, czy wróżka jest wściekła, czy zadowolona. Ale Madame Krystyna bez słowa wysoko uniosła lalkę. Lalka nie miała głowy — głowa spoczywała na stole. Więcej, aksamitny materiał, z którego wykonana została zabawka, poplamiony był jakąś ciemną substancją. Madame Krystyna przyłożyła dłoń do czarnej plamy, a następnie wyciągnęła rękę w kierunku siedzących przy stole. — Krew. Widzicie? Krew. Możecie sprawdzić, to nie jest żadna sztuczka. — Sięgnęła po chusteczkę i wytarła nią rękę. — Bez względu na to, co przytrafiło się małej Zosi, spotkał ją los gorszy od wszystkiego, co jesteśmy sobie w stanie wyobrazić. Bardzo rzadko się zdarza, aby świat duchów wywierał fizyczny wpływ na świat materialny. Dzieje się tak tylko wtedy, gdy dokonano rzeczywiście przerażających czynów.

— Ale co to wszystko znaczył — zapytał Clayton. Choć w przeszłości miewał

już do czynienia z seansami spirytystycznymi, w tej chwili był tak samo poruszony jak pozostali.

— Niech pan da spokój — odezwał się Marek, który teraz, gdy seans się skończył, odzyskał zwykłą dla siebie arogancję. — To tylko jakaś sztuczka z lustrami.

— Nie sądzę — odparł Rej. — Widzieliśmy konkretną ulicę i konkretny budynek. Bez trudu ustalę który. A kiedy już to zrobię, dowiemy się nazwiska dziewczynki, do której należała lalka. Zobaczymy też, czy naprawdę nie żyje. I dlaczego.

— Naprawdę pan wierzy, że były to rzeczywiste obrazy? — zapytała Sarah.

— Istnieje tylko jeden sposób, żeby się o tym przekonać.

— Ale jeśli nawet ustalą pan, kim ona była... czy coś to nam da? — zapytała Sarah. — Czy pomoże nam to w schwytaniu Oprawcy?

Rej skrzywił się.

— Nie wiem. Ale jak już wspominałem, musimy znaleźć jakieś powiązania. Chociaż jedno.

— To coś, co wdarło się przez te drzwi... czy ktoś widział to wyraźnie? — spytał Clayton.

— Było ogromne — wyrwał się Marek. — Większe od największego człowieka, jakiego w życiu widziałem. I było ciemne, jakby ubrane na czarno. Miało nawet czarną twarz. Jeśli w ogóle ją miało. Chodzi mi o to, że mogłem ją dostrzec, a zarazem nie mogłem. Dlatego pomyślałem o lustrach.

— Odniosłam podobne wrażenie—poparła go Sarah. — Zupełnie jakbym na coś

patrzyła i nie była pewna, co widzę. Przypominało to złudzenie optyczne...

wiecie, widzicie sylwetki dwóch starych wiedźm, ale tak naprawdę nie są to wcale dwie stare wiedźmy, lecz lichtarz.

— Wcale mnie to nie dziwi — powiedział Rej. — Naoczni świadkowie wypadków lub wyjątkowo brutalnych przestępstw bardzo rzadko potrafią powiedzieć, co naprawdę widzieli. Ich umysły są tak wstrząśnięte i oszołomione tym, co się wydarzyło, że później, we wspomnieniach, tworzą w wyobraźni szczegóły, których tak naprawdę nie było. Dlatego naoczni świadkowie na ogół są mało wiarygodni.

Clayton sięgnął po bezgłową lalkę i zaczął oglądać ją ze wszystkich stron.

— Jak to się stało? — zapytał Madame Krystynę. — Ta głowa została obcięta bardzo ostrym nożem.

— Może pani ma schowaną w rękawie brzytwę? — zasugerował Marek. —

Może to wcale nie krew? Może to tylko zwykły keczup z Hortexu?

— Skosztuj — odparła wyzywająco Madame Krystyna.

— O nie, wielkie dzięki. Ale to, co widzieliśmy... nie, takie rzeczy robi się tylko za pomocą jakiegoś projektora lub podobnych urządzeń.

Madame Krystyna powoli pokręciła głową.

— Młódziej... Mówi się, że jest chłonna i wrażliwa, lecz tak naprawdę okazuje się dużo bardziej cyniczna od nas.

— Czy jest tu jakiś projektor? — przerwał jej Clayton. — Czy rękawy pani bluzki są naprawdę puste? I czy to jest prawdziwa krew?

Madame Krystyna popatrzyła mu prosto w oczy.

— Wierzy pan, że wszystko to wydarzyło się naprawdę. I zdaje pan sobie

sprawę z tego, jaką krzywdę wyrządziłby pan tej małej dziewczynce, gdyby pan w to nie wierzył.

Clayton długą chwilę spoglądał w jej źrenice. Następnie skinął głową, zabrał ze stołu pióro i notatnik i dźwignął się z krzesła. Choć minęła już północ, komisarz Jarczyk wciąż jeszcze siedział zgarbiony nad biurkiem i czytał zeznania świadków. Od czasu przejęcia po Stefanie Reju sprawy Oprawcy spał zaledwie trzy godziny i teraz był już kompletnie wykończony, a pod powiekami czuł piasek. Ponieważ zawsze uważał, że przy rozwiązywaniu zagadek kryminalnych główną rolę odgrywa olśnienie, a nie żmudne czynności śledcze, wyobrażał sobie, iż wystarczy, jeśli wnikliwie przestudiuje sporządzone przez Reja notatki i dokumenty, a natychmiast ustali tożsamość Oprawcy. Teraz jednak powoli zaczynał przyznawać się przed samym sobą, że praca jego poprzednika, choć mało inspirująca, lecz wykonana niebywale drobiazgowo i dokładnie, nie daje żadnych wskazówek, kim jest Oprawca oraz dlaczego rozpoczął serię tak dziwacznych i odrażających zabójstw. Jarczykowi zaburczało w brzuchu, jakby w żołądku ulokował mu się wygłodniały pies. Oficer otworzył śniadaniówkę, lecz w środku znalazł tylko poobijane jabłko i dwa zeschnięte pączki, które usmażyła jego teściowa. Sięgnął po jeden z nich i zaczął go pracowicie przeżuwać. Żołądkowi najwyraźniej podobało się to jeszcze mniej i z brzucha dobiegło głośniejsze burczenie, a na dodatek dziwaczny bulgot. Jarczyk po prostu potrzebował gorącej kąpieli i solidnego posiłku. Ale nade wszystko pragnął objawienia — pragnął, by w sprawie Oprawcy spłynęło nań olśnienie. Z początku żywił cichą nadzieję, że upora się z tym śledztwem w ciągu tygodnia i zasłuży na awans, a przynajmniej na nagrodę. Najlepiej i na to, i na to. Ale akta

każdego z czternastu morderstw pozostawały tajemnicze i tak ze sobą nie powiązane, jak czternaście napoczętych puzzli bez wzorów na pudełkach, które powiedziałyby, jakie obrazki należy ułożyć. Nie dojeżdżony pączek wrzucił do metalowego pojemnika na śmieci. W tej samej chwili rozległo się pukanie do drzwi. W progu stanął ubrany po cywilnemu Ligocki, oficer pełniący nocny dyżur. Miał nienagannie przycięty czarny wąsik i cieszył się opinią kobieciarza, który nie przepuszcza żadnej spódniczce, nawet tej najszkaradniejszej; a liczba tych ostatnich w Komendzie Głównej Policji mocno przekraczała średnią krajową.

— Wciąż przy pracy, komisarzu!

Jarczyk rozparł się na krześle i zaplótł dłonie za głowę. Na koszuli, pod pachami, miał mokre plamy.

— Posłuchajcie, Ligocki, jeśli mamy schwytać tego bydlaka, musimy solidnie odrabiać prace domowe.

— Otrzymaliśmy właśnie telefon z komendy rejonowej na Mokotowie. Złapali złodzieja samochodów.

— Zuchy. Czego chcą? Żeby prezydent przesłał im list dziękczynny?

— Ten złodziej utrzymuje, że wie, kto zabił Antoniego Dłubaka. Jarczyk powoli opuścił ramiona i wyprostował się na krześle.

— Skąd to wie?

— Może go sam pan o to zapytać, komisarzu. Niebawem go do nas przywiozą. Jarczyk uderzył pięścią w bibularz.

— Cholera jasna! To jest to! To jest właśnie przełom, na który tak czekaliśmy! Wiedziałem, że ktoś w końcu puści farbę! Jezu, nie można przecież oderznąć

głów czternastu wybranym na chybił trafił ludziom i liczyć na bezkarność! Nie w Warszawie! Nie w mojej Warszawie!

— Tak jest, komisarzu — odparł z komiczną uprzejmością Ligocki. — Ma pan całkowitą rację. Jarczyk podniósł się zza biurka.

— Jak przywiozą tego złodziejaszka, zaprowadźcie go natychmiast do pokoju przesłuchań. Poczęstujcie go kawą i papierosami, jeśli będzie chciał. I żadnych gróźb. Rozumiesz? Ja muszę się trochę odświeżyć.

Wyciągnął plastikową torebkę z przyborami toaletowymi, którą dostał w samolocie LOT-u, gdy leciał na konferencję policyjną do Pragi. Poszedł do łazienki, puścił wodę do umywalki i zaczął przeglądać się w lustrze. Pomyślał, że twarz ma wprawdzie zmęczoną, lecz wyrażającą zdecydowanie; twarz policjanta, który tkwi przy swym biurku i dochodzi prawdy, podczas gdy wszyscy inni dawno już poszli do domów. Materiał na nadkomisarza. Później na inspektora, a jeszcze później... kto wie? Nadinspektor

Jeśli ten złodziej samochodów rzeczywiście wie, kto zabił Dłubaka, to zna zapewne morderców Jana Kamińskiego i pozostałych nieszczęsnych ofiar.

Czternaście nie dokończonych puzzli, które same ułożą się w całość, a Jarczyk spije śmietankę.

Ogolił się rosyjską elektryczną maszynką do golenia marki Superbrytvo.

Urządzenie ścinało wprawdzie zarost niedokładnie, ale nadało twarzy świeży wygląd. Zaczesał włosy i użył trzech czy czterech ostatnich kropli płynu po goleniu. Zakończywszy toaletę, wrócił do swego biurka.

Minęło ponad dwadzieścia minut, zanim pojawił się Ligocki z wiadomością, że dostarczono podejrzanego. Do tego czasu Jarczyk zdążył już zasnąć. Śnił o tym,

co powie następnego dnia podczas konferencji prasowej, gdy będzie oznajmiał, że zidentyfikował, aresztował Oprawcę i ulice Warszawy znów są bezpieczne.

Częścią tego snu był również mroczny bar, w którym Jarczyk popijał wiśniówkę i próbował zwrócić na siebie uwagę kobiety w obcisłej czerwonej sukience. Gdy kobieta odwróciła się w jego stronę, ujrzał, że twarz skrywa jej woskowa maska.

Przeraził się. Wiedział, iż jest to maska pośmiertna. Wchodząc do pokoju przesłuchań, wyglądał wprawdzie dziarsko, lecz tak naprawdę był jeszcze wciąż otępiały snem. Złodziej samochodów siedział przy drewnianym stole, przed nim stała nie tknięta filiżanka z kawą, a po prawej stronie popielniczka z nie zapalonym papierosem. Jarczyk położył na blacie aktówkę i pióro, przysunął krzesło i usiadł naprzeciwko podejrzanego. Ten spojrział na niego wzrokiem jadowitej ropuchy.

— Proszę, proszę, Łukasz Ruba — odezwał się Jarczyk. — Lat trzydzieści cztery. Trzy razy skazany za kradzież, dwa razy za oszustwa i raz za brutalną napaść. Skatował narzeczoną, wybijając jej oko i łamiąc obie ręce. Niezły rejestr. Nawet Mieczysław Fogg nie zdołałby wycisnąć z oczu mamuśki tyłu łez.

— Widziałem ich w Ogrodzie Saskim, to wszystko — odezwał się Ruba. — Siedzieli na ławce obok fontanny. Dłubaka nie znałem, ale znałem gościa, który z nim rozmawiał. Chciałem nawet podejść, żeby się przywitać, ale oni nagle wstali i szybko odeszli. Bardzo szybko. Ten gościu miał spluwę. Tego jestem pewien.

— Kiedy to było? — zapytał Jarczyk.

— Wczoraj po południu.

— Dlaczego nie zgłosiłeś się do nas wcześniej?

— Przecież nie znałem Dłubaka. Dopiero dziś rano zobaczyłem jego zdjęcie w gazecie.

— To było rano. Dlaczego zwlekałeś aż do teraz?

— Bo dopiero teraz zostałem aresztowany. Chyba nie sądzicie, że pomagałbym glinom z dobroci serca.

— A dlaczego sądziłeś, że ten gość mógł wyrządzić Dhibakowi jakąś krzywdę?

— Ujmijmy to tak: ten facet uwielbia dla zabawy wyrywać ludziom włosy z nosa.

— Powiesz nam, jak się nazywa?

Ruba założył nogę na nogę i wybuchnął hałaśliwym, serdecznym śmiechem.

— Za kogo pan mnie ma? Za kretyna! Najpierw musicie dać mi gwarancje.

Żadnego oskarżenia. I ochrona na przyszłość. Tak! I dwa... nie, dwa i pół tysiąca dolarów.

Jarczyk potrząsnął głową.

— Zamierzasz przestać kraść samochody i zacząć grać w komediach? Nie mogę zapewnić ci ochrony. A zresztą niby z jakiego powodu miałbym to robić? Jeśli cię zabiją, będziemy przynajmniej mieli jeden kłopot z głowy. A już na pewno nie jestem upoważniony do tego, żeby dawać ci pieniądze. Ale mam prawo cię oskarżyć o utrudnianie śledztwa i niepotrzebne zabieranie czasu policji. Za to dostaniesz taką grzywnę, że aby się wypłacić, przez najbliższych dwadzieścia lat będziesz musiał kraść po trzy mercedesy dziennie. Zakładając, naturalnie, że nie zostaniesz złapany. Tak czy owak, obłożymy cię taką grzywną, że nigdy się nie wypłacisz.

— Przecież pan tego nie zrobi. Wiem, kto zabił Dłubaka.

— Widziałeś, jak go zabił?

— Oczywiście, że nie.

— Mówiłeś, że miał pistolet.

— Tak, ale to nie ten gość z pistoletem go zabił, prawda?

— Nie pierdziel, skąd ja to niby mam wiedzieć? Zwłaszcza że nie chcesz powiedzieć, co to za facet. Ruba sięgnął po filiżankę i siorbiąc, zaczął tak łapczywie pić kawę, jakby wraz z nią chciał połknąć filiżankę.

— Nazwisko tego gościa nie jest ważne.

— Och, tak myślisz?

— Tak myślę. On tylko wykonywał zlecenia kogoś, kto później zabił Dłubaka.

— A kim jest ten, kto zabił Dłubaka? — zapytał z pełną ironii cierpliwością Jarczyk. Ruba potrząsnął głową. Miał krótko obcięte włosy, spod których prześwitywały blizny po pólpaścu.

— Nie, tego panu nie powiem. Chyba że da mi pan gwarancje. Żadnego oskarżenia, a później ochrona.

— Już ci mówiłem, że nie leży to w moich kompetencjach.

— A więc mnie wypuście i zafundujcie bilet lotniczy do Sztokholmu.

Jarczyk zaczął pocierać kark, zupełnie jakby od ceny biletu na samolot do Sztokholmu zależała cała jego kariera.

— No, nie wiem... — mruknął. — W zasadzie powinieneś powiedzieć nam, kto zabił Dłubaka, bo to twój obywatelski obowiązek.

Ruba pochylił się w jego stronę, oczy miał niczym łebki od gwoździ.

— Jeśli nie obieca mi pan wyjazdu z Polski, nic nie powiem. Jarczyk przez chwilę myślał.

— Zatem dobrze. Bilet lotniczy do Sztokholmu.

— Daje pan słowo honoru?

— Najuroczystsze słowo honoru.

— I lepiej niech pan go nie złamie. Bo jeszcze zanim oni mnie dopadną, ja dopadnę pana. Poproszę kartkę papieru i ołówek.

Jarczyk pchnął w jego stronę notes. Ruba wziął do ręki pióro i napisał:

Zboiński.

— Roman Zboiński? — upewnił się Jarczyk. Czuł, jak drży mu ręka, w której trzymał notes.

— Teraz już pan wie, dlaczego potrzebuję biletu do Sztokholmu?

— Jesteś pewien, że to on?

Ruba kiwnął głową raz, kiwnął drugi raz i nie przestając nią kiwać mówił:

— Ten gość ze spluwą pracuje dla Zboińskiego od lat, jeszcze od czasów, gdy razem kradli mięso z chłodni w Gdańsku. A wiem o tym, bo zawsze robiłem w audi i w mercedesach, a facet płacił mi najwyższą cenę w dolarach. Zrobi wszystko, co Zboiński mu każe. Zboiński każe mu przyprowadzić kobietę, on ją sprowadzi. Zboiński mówi mu, żeby sprowadził Dłubaka, on sprowadza Dłubaka.

-- Są na to jakieś dowody? — zapytał Jarczyk. W gazetach napisano, że

okaleczono mu kutasa. A to specjalność Zboińskiego. Używa haka

sztauerskiego, tego samego, którego używał w Gdańsku. Wbija go ludziom w

jaja i, uch... — wykonał skręt

prawym nadgarstkiem. — Czasami wbija też w oko lub w ucho. Ale jaja to jego

specjalność. Lubi, gdy zebrzą u niego o łaskę. Lubi odebrać męskość.

— To prawda — przyznał Jarczyk. — Dobrze znam pana Zboińskiego. Hak. W tej chwili do pokoju przesłuchań wsunął się Matejko.

— Co się dzieje? — zapytał. — Słyszałem, że mamy aresztanta.

— No właśnie — odrzekł z uśmiechem Jarczyk. — Ten dżentelmen powiedział nam, kim jest Oprawca. Matejko popatrzył na niego z niedowierzaniem.

— Tak po prostu?

— Tak po prostu. Miał drobne kłopoty z policją na Mokotowie i zaniepokoił się, że możemy go zapudłować.

— Doskonale. Kim jest Oprawca? — zapytał Matejko.

— Roman Zboiński, nasz miły sąsiad, handlarz samochodami. Ten dżentelmen widział, jak jeden z kiziorów Zboińskiego uprowadził Dłubaka, przystawiwszy mu do głowy pistolet.

— I to wszystko?

— Och, Jurek, daj spokój! To oczywiste, jeśli się nad tym głębiej zastanowisz.

Musieliśmy się tylko dowiedzieć, kto zabił jedną z tych osób. Ten sam człowiek zamordował pozostałe. Do diabła ze stosami papierów, które gromadził Stefan. Do diabła z przesłuchaniami i czynnościami śledczymi. Do diabła z tą pisaniną, pisaniną, pisaniną...

— Co jest takie oczywiste? O ile wiemy, tych czternaścioro ludzi było całkiem niewinnych i tylko dwie lub trzy osoby miały ze sobą jakieś powiązania. Po co Zboiński miałby zabijać takich ludzi?

— Żeby zatrzeć ślady. Żeby nas zmylić. Sądził, że nigdy nie wpadniemy na jego trop, jeśli zacznie zabijać zarówno niewinnych, jak tych, których rzeczywiście chce usunąć ze swej drogi.

— Witold — powiedział Matejko. — Naprawdę nie powinieneś...

— Potrzebuję dwunastu funkcjonariuszy i dwóch strzelców wyborowych —

przerwał mu Jarczyk. — Chcę to przeprowadzić jak najszybciej, jeszcze dzisiejszej nocy, zanim zrobi się jasno. Złapiemy pana Zboińskiego bez gaci.

— Nie masz przecież żadnych dowodów. Nawet pełnych wyników sekcji zwłok Dłubaka.

— Oderżnięto mu tę pieprzoną głowę! — warknął Jarczyk. — Jakiej jeszcze sekcji potrzebuję?

— W przeciwieństwie do poprzednich ofiar był torturowany.

— Jurek, to tylko detal. A w tej chwili detale mnie nie interesują. Nie obchodzą mnie stosy zeznań świadków ani przeszukiwanie kanałów centymetr po centymetrze. Interesuje mnie wyłącznie ujęcie Oprawcy. A im szybciej to się stanie, tym szybciej Warszawa będzie bezpieczna.

Matejko zawahał się.

— A może lepiej najpierw zadzwonić do nadkomisarza Dembka? Rozumiesz, zanim...

— Zawiesił głos. Nad górną wargą Jarczyka perlił się pot i Matejko pojął, że nie ma sensu się spierać. — W porządku — powiedział. — Wezwę oficera dyżurnego.

Jarczyk poklepał go po ramieniu.

— Mądry chłopak. Dla odmiany odwalimy tu trochę dobrej policyjnej roboty.

— A co ze mną? — odezwał się Ruba. — Kiedy dostanę bilet?

— Wszystko w stosownym czasie — odparł Jarczyk. — Nie zapominaj, że jesteś świadkiem. Tak naprawdę, naszym jedynym świadkiem. Nie możemy cię

przecież wysyłać Bóg jeden wie dokąd. Mógłbyś zapomnieć i nie wrócić.

— Ty gnoju, obiecałeś mi bilet! — wrzasnął Ruba.

— Zgadza się, obiecałem. — Jarczyk pochylił się w jego stronę tak blisko, że prawie zetknęli się nosami. — Kiedy już będę miał komplet dowodów i zapuszczuję Zboińskiego, dostaniesz swój bilet.

— Oni mnie zabijają! — zawył Ruba. — Oni mnie nie tylko zabijają, ale zrobią coś dużo gorszego.

— Nie sądzę, żeby twoja narzeczona uroniła z tego powodu choć jedną łzę.

Rozdział jedenasty

Dojechali do skrzyżowania Świętokrzyskiej i Jana Pawła II. Rej zaparkował samochód przy krawężniku, dotykając prawie zderzakiem zardzewiałej skody, w której natychmiast zaczął potępieńczo ujadać bulterier. Zwierzę miało się na tylnym fotelu i pluło śliną na szybę.

Policjant wysiadł z passata, podszedł do skody i tak głośno ryknął, że pies skomlać opadł na tylne łapy i próbował schować łeb pod koc.

— Ze zwierzętami doskonale pan sobie radzi — zauważyła Sarah.

Rej zapalił papierosa. Podczas jazdy w towarzystwie Amerykanki nie próbował nawet tego robić.

— Zwierzęta bardzo przypominają ludzi. Muszą znać swoje miejsce.

— Chyba dotarliśmy do celu — odezwał się Clayton. — Teraz pozostaje nam tylko znaleźć ten dom.

— Sądzę, że to ten — odparł Rej, wskazując trzymanym między palcami papierosem narożny, pięciopiętrowy budynek z kwadratowymi, betonowymi balkonami. — Kiedyś już w nim byłem. Facet zamordował matkę za to, że od

jedenastu lat co wieczór podawała mu na kolację sałatkę z kartofli.

— Chyba pan żartuje — mruknął Clayton.

Rej wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć, że Clayton może sobie wierzyć w to, co mu się żywnie podoba, a następnie ruszył w kierunku wejścia do bloku.

Kobieta w kwiecistej podomce energicznie myła wiodące do budynku schodki.

— Policja — przedstawił się Rej, okazując legitymację. —

Szukam dziewczynki imieniem Zosia. Może pani wie, pod którym numerem mieszka?

Kobieta nie wstając z kolan wyprostowała się w takiej pozie, jakby chciała przyjąć komunię świętą. Miała owalną twarz i duży zaśniad na podbródku.

— Mieszkają tu dwie Zosie. Jedna pod piątym, a druga pod jedenastym.

— Zosia, której szukamy, ma lalkę — wtrącił Clayton. — Szmacianą lalkę przedstawiającą wiejską dziewczynkę. Kobieta pokręciła głową.

— Lalki nie pamiętam.

— No cóż, wejdźmy i popytajmy — powiedział Rej.

— Pod jedenastkę możecie nie zaglądać — odezwała się kobieta. — Lokatorka ponad tydzień temu wyjechała.

— Wyjechała? Dokąd? Dozorczyni pokręciła głową.

— Ta pani nigdy ze mną nie rozmawia. Jest bardzo cicha i skryta, wychodzi i wraca jak myszka. Samotna matka. Jej mąż odszedł z jakąś lafiryndą.

— Nie mówiła, kiedy wróci?

— Nawet nie wiedziałam, że wyjechała. Nic na ten temat nie mówiła. Po prostu wzięła i wyjechała.

— Ma pani zapasowe klucze do jej mieszkania? — zapytał Rej.

— Tak, ale jeśli pana tam wpuszczę, będzie miała do mnie uzasadnione pretensje. W końcu to jej mieszkanie i tylko ona ma do niego prawo.

Rej wyciągnął z portfela dziesięć złotych.

— To na drobne wydatki.

— Za kogo mnie pan bierze? — obruszyła się kobieta, mrużąc w blasku słońca jedno oko. — Za lafiryndę?

Rej popatrzył na kamienną twarz Claytona i obaj mężczyźni wybuchnęli śmiechem.

Po chwili dołączyła do nich Sarah.

— Proszę mi po prostu dać te klucze — zażądał Rej i kobieta dźwignęła się z kolan.

Z kieszeni podomki wyciągnęła pęk kluczy.

— Niech pan bierze — powiedziała zmieszana, lecz po chwili sama wybuchnęła śmiechem i zdjęła z kółka długi mosiężny klucz. — Ale proszę jej nie mówić, że dostał go pan ode mnie.

— W porządku — zgodził się Rej. — Ale proszę jej nie mówić, że ode mnie dostała pani banknocik. Kobieta klepnęła go po ramieniu.

— Takich mężczyzn lubię.

Weszli do środka. Na klatce schodowej stało krzesło z guzowatymi, połączanymi nogami pokryte czerwonym winylem. Na ścianie wisiało zdjęcie Jana Pawła II odprawiającego mszę na placu Piłsudskiego. Wsiedli do windy i pojechali na czwarte piętro. Sarah przejrzała się w zmatowiałym lustrze.

Żałowała, że tego dnia ubrała się w sukienkę z różowego lnu; na lepkiem

siedzeniu samochodu Reja natychmiast ją pogmiotła.

Mieszkanie numer jedenaście znajdowało się naprzeciwko windy. Na pomalowanych na brązowo drzwiach przypięta była pinezką wizytówka z nazwiskiem Wierzbicka. Rej zastukał, odczekał kilka sekund, a następnie otworzył drzwi otrzymanym od dozorczyńki kluczem.

— Jest ktoś w domu? — zawołał, ale odpowiedziała mu cisza.

Do mieszkania prowadził ciasny, zagracony korytarzyk. Na wieszaku wisiały płaszcze i wełniane czapki. Po prawej stronie znajdowały się otwarte drzwi do kuchni. Stała w niej niewielka elektryczna kuchenka, a na laminowanej półce spoczywały tanie plastikowe pojemniki na cukier i herbatę. W końcu pomieszczenia było małe okienko ze zbrojoną drutem szybą. Sarah zerknęła przez nie i ujrzała ciemne schody przeciwpożarowe. Przypomniała sobie podobne schody w bloku mieszkalnym, w którym mieszkała jako dziecko; zawsze wyobrażała sobie Morloków i inne potwory, które człapały po nich w górę i w dół.

Po lewej stronie przedpokoju znajdował się niechlujny, wyklejony brązową tapetą pokój z wytartą zieloną kanapą, niewielkim telewizorem i dwoma całkowicie niepasującymi do siebie fotelami, jednym w kolorze śliwki i drugim zgniłozielonym. Sarah podeszła do okna i wyjrzała na ulicę. Uwagę Clayтона zwrócił leżący na podłodze obok kanapy dzbanek z resztką spleśniałej już kawy i brązowa plama wyschniętego płynu na dywanie.

Skinął na Reja i bez słowa wskazał naczynie.

Rej dokładnie przeszukał pokój, przyklęknął i zajrzał pod kanapę, odsunął ją od ściany, zajrzał pod fotele.

— Czego szukacie? — zwróciła się Sarah do Claytona.

— Czegokolwiek — odparł amerykański detektyw. — Ludzie przed wyjazdem na wakacje zazwyczaj sprzątajają mieszkania. Rej wstał z podłogi i otrzepał nogawki spodni.

— Tu nic więcej nie znajdziemy — stwierdził. — Spróbujmy w sypialni.

Przeszli do kolejnego, niewielkiego pomieszczenia. Pachniało tam lawendowym talkiem i wilgocią. Pod jedną ścianą stało podwójne łóże nakryte tkaną ręcznie narzutą, a pod drugą jednoosobowy tapczanik. Nad podwójnym łóżem wisiał krzyż. Nad pojedynczym przyklepione zostało przezroczystym plastrem zdjęcie Michaela Jacksona, a na poduszce leżały trzy szmaciane lalki, wszystkie identyczne jak ta, którą znaleziono w kanałach.

— Tak, to na pewno dom Zosi — odezwał się Clayton. — Ale gdzie, do diabła, podziała się sama dziewczynka?

Rej otworzył rozchwierutaną szafkę. Wewnątrz piętrzyła się góra ubrań, leżał purpurowy, plastikowy neseser, a na dole stały buty.

— Na wakacje nie pojechały — mruknął Rej. — Po prostu w pewnej chwili wstały i wyszły. Albo zostały porwane. A może jeszcze gorzej. Dlatego zapewne tego wieczoru, kiedy został zamordowany Kamiński, nikt nie zgłosił zaginięcia dziecka.

Policjant ostrożnie otworzył drzwi do łazienki i zajrzał do środka. Do zbrązowiałej wanny z nieszczelnego kranu kapiała woda. Na plastikowej półce pod szafką stała szklanka z dwiema szczoteczkami do zębów; jedną dziecięcą, drugą należącą do osoby dorosłej. Do łazienki weszła Sarah i stanęła obok Reja, który właśnie otworzył szafkę i przeglądał jej zawartość. Dezodorant, żel do

włosów, szampon L'Oreal, pincetka, trzy pary sztucznych rzęs, podpaski.

— One nie żyją, prawda? — odezwała się cicho Sarah. Na widok taniutkich, pozostawionych przedmiotów krajało się jej serce.

— Tego nie będziemy wiedzieć na pewno, dopóki nie znajdziemy ciała. Ale tak. Jeśli nawet ucieka się z mieszkania, za które nie płaciło się czynszu, to szczoteczki do zębów zabiera się ze sobą.

Wrócili do salonu, gdzie Clayton zaczął grzebać w szufladach niewielkiego biurka pokrytego werniksem. Nie znalazł tam nic szczególnego; kilka listów, pięć czy sześć kopert wypełnionych fotografiami, starannie złożona, pięknie wyszywana, jedwabna sukienka do pierwszej komunii zawinięta w cienki papier, czerwone blaszane pudełko po czekoladkach pełne przyborów do szycia oraz kilka motków wełny w różnych kolorach.

Rej przejrzał zdjęcia. Jego uwagę zwróciła fotografia jasnowłosej dziewczynki w żółtej, kwiecistej sukience stojącej przy praskich misiach na Trasie W-Z. Dziecko miało uniesioną rękę, którą osłaniało oczy przed rażącym słońcem. Rej przejrzał szybko resztę zdjęć i znalazł kilkanaście innych fotografii tej dziewczynki.

— Zosia? — zapytał, podając Sarah jedną z nich. Ta skinęła głową.

— Tak, to musi być ona.

Rej bez słowa podał następne zdjęcie. Przedstawiało tę samą dziewczynkę siedzącą na schodkach przed blokiem, w którym mieszkała. Dziecko tuliło do siebie lalkę znaną w kanałach. Tę samą szmacianą lalkę, która nasiąknęła krwią na stole Madcune Krystyny.

— Rodzi się pytanie — mruknął Clayton — w jaki sposób jeden człowiek

zdołał uprowadzić Zosię i jej matkę, nie zwracając niczyjej uwagi?

— A kto powiedział, że jeden? — sprzeciwił się Rej. — Może to właśnie stanowi klucz do całej zagadki... Może nie mamy do czynienia z samotnym czubem, może jest ich dwóch... może więcej.

— Nie wiem... na obrazie wywołanym przez medium widzieliśmy jedną postać.

— Panie Marsh, to były tylko obrazy w powietrzu. Intuicja. Magia, jeśli pan woli.

— A jednak przyprowadziły nas w to miejsce.

— Zgadza się — przyznał Rej. — Przyprowadziły. Niemniej wciąż potrzebujemy konkretnych dowodów. Jeśli nawet schwytemy Oprawcę, nie będziemy mogli go aresztować na podstawie tego, co powiedziały nam obrazy wywołane przez medium.

— Najpierw go znajźmy — odparł rozsądnie Clayton. — O dowody będziemy się martwić później.

Rej otworzył kolejną kopertę ze zdjęciami. Te były starsze, czarno-białe lub w kolorze sepii i miary ponadlamywane rogi. Wśród nich znajdowało się zdjęcie ślicznej nastolatki w czarnym płaszczyku i w białych podkolanówkach stojącej nieśmiało w jakimś parku. Na ziemi widniał cień fotografującego. W kopercie leżało również zdjęcie tej samej dziewczynki ubranej w jednoczęściowy kostium kąpielowy. Rej odwrócił zdjęcie. Na odwrocie widniał wykonany ołówkiem napis:

— To chyba matka Zosi — stwierdził Rej. — Podobieństwo jest uderzające.

Clayton skinął głową.

— Na tym zdjęciu ma około czternastu lat, czyli teraz ma ich około trzydziestu

pięciu. A zatem Zosia liczy sobie... ile? Osiem? Dziewięć?

Rej znalazł zdjęcie zrobione, gdy Iwona była małą dziewczynką. Później natrafił na fotografie jej rodziców i dziadków. Jeszcze później na zdjęcia z czasów wojny. Na jednym z nich widać było trzy łączniczki, którym udało się w jakiś sposób zorganizować sobie prawdziwe mundury armii polskiej; miały nawet czapki z daszkami. Stały obok rosnącego mężczyzny o szerokich ramionach, ubranego w kurtkę i beret. Na kolejnej fotografii ten sam mężczyzna ścisnął dłoń innego, który miał na sobie ciemny wojskowy mundur. Na następnej stał obok barykady wzniesionej z kawałów asfaltu i palił papierosa. Próbował przyjmować nonszalancką pozę, lecz widać było, że jest straszliwie głodny. Tylko druga fotografia miała podpis. Pochyły napis głosił: „K. Kuczma i J. Z. Zawodny, 7 sierpnia 1944”.

— Armia Krajowa — stwierdził Rej. — J. Z. Zawodny był jednym z jej przywódców *.

— Czy ma to dla nas jakiegokolwiek znaczenie?—zapytał Clayton.

— Jeszcze nie wiem. Ale ten Kuczma musiał być w jakiś sposób związany z Iwoną i Zosią. Może to dziadek Iwony... może nawet ojciec. Na tym zdjęciu jest bardzo młody, prawda? Nie ma więcej niż dwadzieścia, dwadzieścia jeden lat.

— I co z tego?

— Kiedy przeszukiwałem mieszkanie Ewy Zborowskiej... wie pan, tej dziewczyny, która została zamordowana na Grójeckiej... otóż natknąłem się tam na fotografię zrobioną w czterdziestym czwartym roku. Ojciec Ewy stał na niej w towarzystwie generała Bora.

— A zatem rodzice dwóch z czternastu ofiar należeli do Armii Krajowej. Ale

statystycznie mieści się to całkowicie w granicach prawdopodobieństwa,

prawda?

— Nie wiem. Zginęło bardzo wielu akowców. Wielu zostało aresztowanych.

Ale wielu przeżyło. No i mamy jakiś związek.

— Powinniśmy ruszyć tym tropem — oświadczył Clayton. — Rozumie pan, sprawdzić rodziny pozostałych ofiar.

— To zajmie nam dużo czasu. Sądzi pan, że warto spróbować?

— Naturalnie. Panu również odezwał się w głowie dzwoneczek, prawda? Takie cichutkie dzyń-dzyń-dzyń. Może nic się za tym nie kryje, lecz ostatecznie jest pan policjantem, podobnie jak ja, i jeśli w głowach odzywają się nam dzwoneczki, należy sprawdzić, dlaczego dzwonią.

— J. Z. Zawodny nie istniał. Był Edward Zawodny, który nielegalnie przewiózł transport mięsa do getta i został za to zesłany do Treblinki

— Ma pan rację — przyznał Rej.

Wyciągnął camela, lecz Sarah przesłała mu sławetny promień lasera i policjant nie odważył się zapalić.

— Pytanie brzmi: Co Oprawca zrobił ze szczątkami Iwony i Zosi? — odezwał się Clayton. — Naprawdę trudno kogoś uprowadzić wbrew jego woli. A pozbyć się dwóch ciał zapewne jeszcze trudniej.

— W kuchni są drzwi prowadzące na schody przeciwpożarowe — zauważyła Sarah. — Zajrzyjmy tam.

Wrócili do kuchni. Drzwi były zamknięte. Clayton z Sarah przejrzeni szafki i plastikowe pojemniki na przyprawy w poszukiwaniu klucza, ale go nie znaleźli.

W tym czasie Rej spokojnie wyciągnął podniszczoną saszetkę z czarnej skóry z

wytrychami i gładko uporał się z zanikiem.

— To żmudny sposób — zauważył Clayton. — W Nowym Jorku, jak nie mamy kluczy, wyłamujemy drzwi.

— W Warszawie drzwi są drogie — zwrócił mu uwagę Rej. — Traktujemy je z szacunkiem.

Schody były mroczone i śmierdziało na nich kurzem. Na przeciwległej ścianie znajdowała się pobijana metalowa kłapa z uchwytem.

— Zsyp na śmieci — stwierdził Rej, uchyliwszy kłapę. Z szybu uderzył w nich podmuch ciepłego, cuchnącego powietrza. — Ciągnie się aż do piwnicy.

Rej i Clayton popatrzyli na siebie.

— I co pan o tym sądzi? — zapytał Amerykanin.

— Ja nawet nie chcę o tym niczego sądzić — odezwała się Sarah.

— Spójrzmy prawdzie w oczy. Mógł zabić matkę, wrzucić jej ciało do zsypu i uprowadzić tylko dziewczynkę. To nie zwróciłoby na niego takiej uwagi.

— Jezus Maria! — jęknął Rej.

— Daj pan spokój — odrzekł Clayton. — Trzeba przeszukać śmieci. Nie mamy innego wyjścia.

— Ależ ja jestem zawieszony. Nie mogę wezwać ekipy śledczej bez porozumienia się z nadkomisarzem Dembkiem. Nie mogę nawet zamówić pizzy.

— Zatem to my musimy poszukać. Pan i ja.

Śmieci składowano w czterech wielkich ocynkowanych kontenerach ustawionych w niewielkim, wysokim pomieszczeniu na tyłach budynku.

Śmierdziało tam zgniłą kapustą i spalenizną. Dozorczyni z zaśniadem na brodzie

zeszła z nimi, aby wpuścić ich do zsypu.

— Śmieciarze powinni wypróżniać pojemniki co tydzień, ale tego nie robią— poinformowała. —A dzieciaki zawsze podkładają ogień. Sami popatrzcie.

Jeden z kontenerów miał poczerniałe i okopcone ścianki, a śmieci w nim się znajdujące spaliły się na popiół.

— Iwona wcale nie wyjechała na wakacje — odezwał się Rej. — Widzi pani to?

Kobieta długo spoglądała na Reja, po czym przeniosła wzrok na pojemnik.

Policjant nic nie mówił, nie mrugnął nawet okiem. Po chwili gospodyni domu bez słowa odwróciła się na pięcie i weszła po schodkach do bloku. Z hukiem zatrzasnęła za sobą drzwi. W Warszawie ludzie w pewnym wieku nie znoszą pewnych wspomnień; do nich należą wspomnienia trupów i popiołów. Clayton otworzył klapę kontenera. Pojemnik wypełniony był po brzegi szarawobiałym popiołem oraz przedmiotami, które się nie spaliły: poczerniałymi metalowymi puszkami, nakrętkami od butelek, łyżkami i metalowymi wieszakami na ubrania. Wsunął rękę do środka.

— Boże, popiołu jest tutaj na półtora metra. Nic w nim nie znajdziemy.

— Ale musimy go przeszukać — stwierdził Rej.

— Przewróćcie pojemnik i tyle — poradziła Sarah. — Koszt sprzątania pokryje Senate International. Rej popatrzył na nią z szacunkiem.

— W porządku. To najlepszy pomysł, jaki dziś usłyszałem.

Clayton i Rej po kolei poprzewracali pojemniki. Klapy otwierały się z gromowym hukiem i ziemię pokryła sięgająca kostek warstwa śmieci. Pojawiała się dozorczyńni, ale przez chwilę tylko obserwowała, co robią, i ponownie bez słowa opuściła pomieszczenie. Rej z Claytonem, używając miotły i grabi,

zaczęli grzebać w popiołach.

— Boże drogi, nie podejrzewałem nawet, że będę zajmował się czymś takim! —

jęknął z obrzydzeniem Clayton, odrzucając podpaskę higieniczną.

Ale Rej był zbyt zajęty rozgarnianiem odkształconych butelek, puszek po

szynce i sprężyn, żeby zwracać uwagę na narzekania amerykańskiego

detektywa. Sarah znalazła stojący w kącie szpadel z ułamanym trzonkiem

przyłączyła się do pracy. Czynność ta tak różniła się od wszystkiego, co robiła

dotąd w życiu, że czuła się jak żółtodziób. Na swój sposób źle oceniła Reja.

Polski policjant ostrożnie i bardzo krytycznie podchodził do wszelkich nowinek,

zwłaszcza tych płynących z Zachodu. Ale cechowała go również wytrwałość

i prostolinijność, jakich Sarah nie spotkała jeszcze u żadnego mężczyzny. Cechy

te były godne podziwu, lecz jednocześnie skłamały do pełnych melancholii

refleksji.

— Jezu Chryste, ileż kwaszonej kapusty ludzie potrafią zjeść — zadumał się

nieoczekiwanie Rej na widok plastikowych torebek z resztkami tego specjału.

— Popatrzcie... to chyba pierścionek? — odezwał się Clayton.

Na wyciągniętej dłoni pokazał Sarah i Rejowi cienkie odbarwione w ogniu

kółeczko. Z całą pewnością była to obrączka. Nie musiał to być pierścionek

zaręczynowy. Samotne kobiety często noszą takie obrączki, żeby uchronić się

przed zaczepkami mężczyzn.

— Gdzie pan to znalazł? — zainteresował się Rej i cała trójka zgodnie zaczęła

przesiewać popiół w pobliżu wskazanego przez Claytona miejsca.

Natrafili na kolejne nakrętki od butelek, kolejne puszki, nadpalone gazety i

czasopisma oraz obierki od ziemniaków. Rej zaczął rozgarniać miotłą następny

stos popiołów. Rozległ się okropny cichy zgrzyt i kiedy opadł tuman kurzu, ujrzeli ludzką klatkę piersiową; nadpaloną klatkę piersiową z częścią łopatki.

— Och, Boże! — stęknął Clayton. — Miałem jednak rację.

— Nie wolno nam tu niczego dotykać — oświadczył zdecydowanie Rej. — Możemy zniszczyć dowody i pozacierać ślady. Zaraz zadzwonię do Matejki i każę mu przyjechać tu z ekipą dochodzeniową.

— Zgoda — powiedział Clayton, biorąc Sarah pod rękę. — Masz już chyba dosyć takich widoków jak na jedno wcielenie, prawda?

Sarah odrzuciła szpadel. Miała kompletnie sucho w ustach i odnosiła wrażenie, że trawi ją gorączka. A jednocześnie nie potrafiła nie zerkać na odrażającą, spoczywającą w popiołach klatkę piersiową i starała się odgonić myśl o fotografiach, przedstawiających roześmianą Iwonę stojącą na słońcu w kostiumie kąpielowym.

— Jak pan sądzi, to chyba ona? — zapytała Reja. Clayton objął Sarah ramieniem i poprowadził przez stos popiołów do wyjścia.

— A któż by inny? Ale potwierdzi to lekarz sądowy.

— Iwona—szepnęła Sarah, jakby doskonale tę dziewczynę znała.

Zorganizowany o świcie nalot na mieszkanie Zboińskiego zakończył się katastrofą. Właściciela nie było w domu. Na róg Targowej i alei Solidarności zajęchało jednocześnie sześć radiowozów policyjnych z migającymi światłami, po czym siedmiu uzbrojonych policjantów z psami wdarło się do mieszkania. Gdy wyważono drzwi, w środku było pusto i ciemno, jakkolwiek wszystko wskazywało na to, że Zboiński zamierza wrócić, bo magnetowid nastawiony był na automatyczne nagrywanie „Gliniarza i prokuratora”, amerykańskiego serialu

policyjnego emitowanego w programie pierwszym.

Teraz, o jedenastej siedem przed południem, Jarczyk, Matejko i dwunastu policjantów w czterech samochodach z cywilną rejestracją czekało niecierpliwie na powrót Romana Zboińskiego. Słońce spowijała lekka mgielka, z nieba lał się żar, szyby w autach były opuszczone. Policjanci pocili się, palili papierosy i popijali z puszek coca-colę. Matejko nieustannie spoglądał na zegarek. Obiecał Helenie, że po południu odwiezie ją z dzieckiem do kliniki na kontrolę, lecz jeśli Zboiński się nie pojawi, nie zdąży wrócić do domu na czas.

Jarczyk był zdenerwowany, kapryśny i nieustannie bębnił palcami w tablicę rozdzielczą.

— To typowe — stwierdził. — Zboiński mieszka w tym domu przez trzysta sześćdziesiąt cztery dni w roku, ale tego dnia, gdy chcemy go aresztować, akurat wyszedł.

— Tak naprawdę mieszka tu tylko w sierpniu i we wrześniu — wyjaśnił Matejko. —

Resztę czasu spędza w Holandii lub w Hiszpanii.

— A ty co, jesteś jego kumplem? — zainteresował się Jarczyk.

— Nie, ale kiedy się dowiedziałem, że zamierzasz go aresztować, dokładnie przejrzałem jego akta.

— To dobrze — odparł Jarczyk. — To bardzo dobrze. Doskonała robota.

Ale w jego głosie wyraźnie czuło się irytację.

Minęła kolejna godzina. Na drzewach okalających cerkiew Świętej Marii

Magdaleny liści nie poruszał najlżejszy podmuch wiatru. Wysłano dwóch ludzi

do delikatesów na Targowej po kanapki. Wrócili szeroko uśmiechnięci z

reklamówką pełną szynki, salami i sałatek.

— Pełna konspiracja — burknął Jarczyk, kiedy funkcjonariusze przechodzili od samochodu do samochodu, rozdzielając jedzenie. — Nikt się nawet nie domyśli, że zastawiliśmy tu pułapkę.

— Wątpię, żeby się pojawił — odparł Matejko. — Ktoś musiał już go ostrzec.

— A czy wiesz, gdzie indziej możemy go dopaść? — odwarknął Jarczyk.

— Często bywa w „Zebrze” na Sobieskiego. Tam ma swoje nieoficjalne „biuro”.

— Dlaczego wcześniej mi o tym nie powiedziałaś?

— Bo to ty, komisarzu, prowadzisz tę operację, nie ja.

— O co ci chodzi?

— O to, że zeznań Ruby nie można traktować poważnie. Jarczyk odwrócił się w fotelu, usta miał pełne salami. Dźgnął Matejkę wyprostowanym palcem.

— Jak już przyjdzie co do czego, twoje opinie nie będą się liczyć. Masz po prostu wykonywać swoje obowiązki i robić to, co ci się mówi. — Odwrócił się do kierowcy. — Połącz się z Dembkiem i poproś go, żeby wysłał dwóch ludzi do „Zebry”. Niech sprawdzą, czy gdzieś tam nie kręci się Zboiński. Jeśli go namierzą, niech nie płoszą, tylko niezwłocznie mnie o tym powiadomią.

Popatrzył na Matejkę i potrząsnął głową.

— Czy wiesz, że mogliśmy tę operację przeprowadzić od razu na dwóch frontach?

Matejko odwrócił głowę i nie odezwał się słowem. Nie chciał, żeby cała heca skończyła się naganą dyscyplinarną lub zawieszeniem w czynnościach służbowych. Zwłaszcza teraz, gdy jemu i Helenie urodziło się dziecko. Zdawał sobie sprawę z tego, że Jarczyk mu nie ufa, ponieważ blisko współpracował z

Rejem, a o sprawie Oprawcy wie więcej niż sam Jarczyk, ponieważ po odwołaniu Reja miał nadzieję ją przejąć.

Starał się współdziałać najlepiej jak umiał, ale chciał też schwycić Oprawcę, schwycić prawdziwego Oprawcę, lecz wiedział, że ludzie Jarczyka są zbyt niezdarni, aby dokonać tej sztuki. Sam Jarczyk cieszył się wśród przełożonych opinią oficera, który rozwiązuje sprawy w dwa lub w trzy dni, czasami w godzinę.

Ale wielu pracowników komendy na Wilczej wiedziało też, iż komisarz często aresztuje ludzi nie za to, że popełnili przestępstwo, lecz dlatego, że nie są w stanie udowodnić swej niewinności.

— Rejowi rozwiązanie tej sprawy zajęłoby sto lat — stwierdził Jarczyk, jakby czytał Matejce w myślach.

Matejko i tym razem zachował milczenie, lecz pomyślał: Rej nie marnowałby czasu na siedzenie w samochodzie i opychanie się kanapkami. Rej penetrowałby miasto, przeszukiwałby bar za barem, kasyno za kasynem, aż w końcu znalazłby tego, kogo szuka. I na pewno nie byłby to Zboiński.

Upłynęła kolejna godzina. Jarczyk, oparty głową o drzwi auta, zaczął pochrapywać. Kierowca pogwizdywał przez zęby jakąś denerwującą melodię.

Czterech policjantów w zaparkowanym po drugiej stronie ulicy beżowym polonezie również było pogrążonych we śnie. Nawet z dużej odległości wyglądali jak czterej policjanci pogrążeni we śnie. Matejce błysnęła myśl, że jest to najnieudolniej zastawiona pułapka, z jaką miał w życiu do czynienia.

Zastanawiał się, dlaczego Jarczyk nie kazał wywiesić wielkiej tablicy z napisem: „Spokój! Policyjna obława w toku!”

Ponownie zerknął na zegarek. Tak bardzo chciał zadzwonić do Heleny.

Dochodziło wpół do pierwszej. Dzień był gorący jak naczynie w piecu garncarskim.

Na niebie wisiała tylko jedna, niewielka chmurka w kształcie kaczki. Panował taki upał, że nawet Matejko z największym trudem nie zamykał oczu. I wtedy właśnie, gdy wszyscy smacznie drzemali, obok cerkwi Świętej Marii Magdaleny z cebulastymi kopułami prawie bezgłośnie przetoczyło się czarne BMW o przyciemnionych szybach i zaparkowało przed blokiem.

Drzwi samochodu otworzyły się i oczy Matejki poraził odbity nagle od szyby refleks słonecznego światła. Policjant w jednej chwili oprzytomniał.

— Zboiński! — syknął, klepiąc pogrążonego we śnie Jarczyka po ramieniu. —

Przyjechał Zboiński!

— Co? — mruknął Jarczyk i spojrzał na Matejkę nieprzytomnym wzrokiem.

— Na Boga, sam zobacz!

Po drugiej stronie Targowej gramolił się z tylnego fotela BMW Zboiński, wielki i masywny, w obszernym czarnym lnianym garniturze i purpurowej koszuli. Z auta wysiadło również trzech innych mężczyzn: jeden w wypłowiałej zielonej koszuli polo, drugi w hardrockowym podkoszulku i trzeci w zdeformowanym brązowym garniturze.

Jarczyk, strącając sobie na kolana nie dojedzoną kanapkę z salami, chwycił zawieszony na tablicy rozdzielczej mikrofon i krzyknął:

— Idziemy! Idziemy! Idziemy!

Pchnął drzwi, wyrwał z kabury pod pachą pistolet i ruszył biegiem w poprzek alei Solidarności.

— Policja! — wrzeszczał. — Nie ruszać się! Ręce do góry!

Matejko nie wierzył własnym oczom. Jezu Chryste — pomyślał. — Przecież nikt przy zdrowych zmysłach nie atakuje uzbrojonego przestępcy w pojedynkę i na odkrytym terenie. Czterech policjantów z beżowego poloneza właśnie się przebudziło. Dwa pozostałe wozy znajdowały się poza zasięgiem wzroku.

Matejko widział, jak Zboiński i jego ludzie odwracają się zdumieni. Widział, jak ich kierowca ponownie wskakuje do BMW. Widział Jarczyka, który wymachując pistoletem, szarżował dziko przez jezdnię, w ręce trzymał uniesiony pistolet i jak wariat wydzierał się na Zboińskiego.

Matejko po prostu nie wierzył własnym oczom.

Kopniakiem otworzył drzwi samochodu, wyrwał z kabury pistolet i najszybciej jak umiał pobiegł za Jarczykiem. Przed nosem przemknął mu jakiś biały pojazd, musiał odskoczyć przed przejeżdżającą z łoskotem ciężarówką. Ale teraz już między nim a BMW był tylko Jarczyk, który wymachiwał bronią i darł się na całe gardło.

Dostrzegł, że mężczyzna w brązowym garniturze wyrywa z zanadru coś, co przypominało pałkę. Matejko biegł tak szybko, że nie zorientował się, co to jest, dopóki prawie nie zrównał się z Jarczykiem.

— Witold! — wrzasnął i niczym rozgrywający w futbolu chwycił Jarczyka za ramię.

Ten zachwiał się, stracił równowagę, ale z twarzą wykrzywioną gniewem odwrócił się w stronę Matejki.

Rozległ się głuchy huk, przetoczył się echem między blokami, wypłoszył stada gołębi gniezdzących się w cebulastych kopułach cerkwi. W nieruchome

powietrze wleciał siwy dym, odbił się w wywoskowanej na wysoki połysk karoserii BMW niczym obłok w toni jeziora.

Matejko runął do tyłu z rozłożonymi rękami. Rozpięta na krzyżu figura Chrystusa przed cerkwią, tysiące kropel krwi rozbryzanej na ulicy. Rozwarte szeroko usta w dzikim wrzasku, tryskający z tyłu głowy niczym rycerski pióropusz mózg.

Policjant upadł ciężko na ziemię i nagle w popołudniowym powietrzu zapadła śmiertelna cisza.

Matejko leżał na plecach i spoglądał w niebo. Błysnęła mu ostatnia myśl: Spóźnię się i Helena mnie zabije.

Cisza trwała tylko kilka sekund. Zboiński i jego ludzie próbowali ponownie wskoczyć do BMW, ale zza rogu wynurzył się z piskiem opon policyjny polonez i odciął im drogę. Z beżowego poloneza również w końcu wyskoczyli policjanci i zbliżali się do BMW z wycelowaną bronią. Jarczyk posuwał się do przodu, na amerykańską modłę trzymał pistolet oburącz, nogi miał ugięte w kolanach.

— Wyłazić! — ryczał. — Wyłazić z tego pieprzonego samochodu!

Znów nastąpiła dłuższa przerwa. Matejko leżał na jezdni i krwawił, ale nikt na niego nie zwracał uwagi. Zbyt wiele podniecenia; za bardzo przypominało to „Gliniarza i prokuratora”.

W końcu Zboiński wynurzył się z wnętrza swej limuzyny. Ręce trzymał uniesione lekko nad głową. Za nim pojawił się mężczyzna w brązowym garniturze. Rzucił na chodnik karabin z obciętą lufą. Z tyłu szli pozostali kompani. Najwyraźniej świetnie się bawili.

Jarczyk podszedł do Zboińskiego, okrążył na sztywnych nogach BMW, z podniecenia oczy prawie wychodziły mu z orbit. Zboiński w przesadnie luźnym lnianym garniturze obserwował go z przerażającym spokojem.

— Jesteś, draniu, aresztowany — odezwał się Jarczyk.

— A za co? — zapytał Zboiński.

— A jak, kurwa, myślisz? Wielokrotne zabójstwo! Jesteś Oprawcą! Na twarzy Zboińskiego powoli wykwit! uśmiech.

— Jestem Oprawcą? — Odwrócił się do swych koleśków. — Dobry żart! Jestem Oprawcą.

— No, łapy do góry! Już! I tak je trzymaj!

— Robisz ogromny błąd, przyjacielu — odezwał się Zboiński. — Najpierw atakujesz mnie bez ostrzeżenia, a teraz oskarżasz o poważne zbrodnie. Wiesz, kim jestem?

Nie jakimś drobnym warszawskim rzezimieszkiem. Jestem biznesmenem, i to poważnym biznesmenem.

— Właśnie zabiłeś jednego z moich oficerów — odparł Jarczyk.

— W samoobronie. A co mieliśmy robić, skoro gnała na nas horda uzbrojonych ludzi?

— Ostrzegaliśmy, że to policja i jesteście uzbrojeni. Zboiński, nie przestając się uśmiechać, pokręcił głową.

— Oj, chyba nie. A jeśli nawet, to samochody tu bardzo hałasują.

Jarczyk podszedł do niego i odpiął od pasa kajdanki.

— Odwracaj się i ręce za plecy. Wasilkowski, wezwał karetkę?

— Nie trzeba kajdanków — odparł Zboiński. — Jestem biznesmenem. Pojadę z

wami z dobrej woli.

Zapadła chwila pełnego napięcia milczenia. Jarczyk zaczynał pojmować, że to Zboiński ma rację, a on, Jarczyk, popełnił błąd. Ale było już na wszystko za późno. Dokonał aresztowania, lecz Matejko leżał martwy na środku ulicy. To on, Jarczyk, do tego doprowadził.

Dwóch goryli Zboińskiego zostało skutych i wepchniętych do poloneza. Jarczyk odeskortował Zboińskiego do fiata i otworzył przed nim drzwi. Gangster ulokował się na tylnym siedzeniu i przesłał Jarczykowi upiorny uśmiech.

Nadjechała karetka. Jej syrena ryczała niczym osioł. Jarczyk podszedł do ciała Matejki i stanął nad nim. Pozostali policjanci spoglądali w ich stronę, lecz Jarczyk nie potrafił wyczytać z ich twarzy, co naprawdę myślą, czuł jednak, że nie cieszy się ich sympatią. Szybko zawrócił do swego samochodu.

— Przykro mi z powodu waszego człowieka — oświadczył pogodnie Zboiński.

— Będzie ci jeszcze bardziej przykro — warknął Jarczyk i dał znak kierowcy, żeby jechał na Wilczą.

Sarah wzięła prysznic, wysuszyła włosy i właśnie robiła sobie kawę, kiedy przy drzwiach odezwał się dzwonek. Wyszła do przedpokoju i zapytała:

— Kto tam?

— Ben.

— Przepraszam, Ben. Ale nie możemy się teraz widzieć.

— Musimy. To sprawa służbowa.

— Dzisiaj mam dzień wolny i nic nie muszę.

— Gawlak wyraził zgodę na nasze plany. Już nie ma zastrzeżeń, zwłaszcza dotyczących wylewania betonu. Tak więc gdy tylko skłonimy Brzezickiego do

pracy, możemy podjąć roboty.

Sarah milczała. Czekwała. Zdawała sobie sprawę z tego, że żądania odnośnie konstrukcji nośnej hotelu stawiane przez Gawlaka były stanowczo za wysokie i zamierzała się z nim kłócić do upadłego. Z drugiej strony wiedziała, że kosztorysanci Senate International zredukowali wydatki do minimum. W tej materii rzeczywiście byli bezkonkurencyjni i niektóre zastrzeżenia Gawlaka w pełni podzielała. Niemniej jednak, jeśli postawią hotel w wyznaczonym terminie, osiągnięcie to z całą pewnością przyspieszy jej awans; może nawet po powrocie do Nowego Jorku zostanie jednym z wicedyrektorów przedsiębiorstwa. Marzeniem jej życia było zbudowanie w Stanach Zjednoczonych prestiżowego hotelu, lecz jeśli prace nad hotelem Senackim w Warszawie się przedłużą, zawsze już będzie nadzorować budowy w krajach nadbałtyckich, w Albanii lub w jakimś jeszcze gorszym miejscu.

Otworzyła drzwi. Ben był w eleganckiej brązowej marynarce, w krawacie i z chusteczką w butonierce. Dzierżył wielki bukiet pomarańczowych róż i butelkę szampana.

— Przyszedłem też przeprosić. Zachowałem się jak ostatni prostak.

— To racja — odparła szczerze Sarah. — Wejdz. Ben położył róże na kuchennym stole i wznosił butelkę nad głowę.

— Co powiesz o tym, żeby uczcić to szampanem? — Nie czekając na odpowiedź, zaczął bobrować w szafkach, aż znalazł dwa kieliszki w kształcie tulipana. — Wszystko ułoży się pomyślnie. Musimy tylko przekonać Brzezickiego, że żadnego diabła u nas nie ma.

— Tak? Czy masz jakąś propozycję, jak to zrobić?... Dziękuję, dla mnie nie

nalewaj.

Ben otworzył butelkę i mimo wszystko napełnił oba kieliszki.

— Cała ta historia z diabłem to głupi zabobon. Ale jak z tym walczyć? Na pewno nie za pomocą logiki. Szaleństwa nie da się zwalczyć logiką. Co więc należy zrobić? Dać tym baranom tego, czego chcą. Egzorcyzmów. Dzwonek, księgę i gromnicę.

— Do egzorcyzmów potrzebny jest ksiądz.

— Wszystko już zorganizowałem. Mam na Mokotowie księdza, który gotów jest odprawić tę ceremonię.

— Oczywiście nie za darmo.

— A jaką to robi różnicę? Ważne, żeby Brzezicki się na to nabrał i skłonił ekipę do pracy.

— Robi to taką różnicę, że Senate International nie chce korumpować ludzi, którzy znajdują się w dwuznacznej sytuacji finansowej. A ponadto, co będzie, jeśli Oprawca ponownie uderzy... już po twoich egzorcyzmach?

Ben podał jej kieliszek z szampanem i uniósł swój.

— Daj spokój, słoneczko, jaka jest szansa, że po czterech morderstwach w jednym miejscu popełni piąte? Poza tym pomyślałem o wszystkim. Dopóki nie zostanie zaplombowany przewód kanalizacyjny, a fundamenty zalane betonem, nad bezpieczeństwem budowy będzie czuwał uzbrojony strażnik przebrany za inspektora nadzoru z ramienia naszej firmy.

— Proszę, proszę, o wszystkim pomyślałeś — odezwała się Sarah. — A co będzie, jeśli ja się nie zgodzę? Ben popatrzył na nią ze zdumieniem.

— A dlaczego miałabyś się nie zgodzić?

— Zdajesz sobie sprawę z tego, jaką może to stworzyć nieprzychylną dla nas atmosferę? Senate International odprawia egzorcyzmy na nawiedzonym terenie, na którym zamierza postawić hotel. I tak już fatalnie się stało, że na placu naszej budowy zamordowano cztery osoby. Z całą pewnością odstraszy to wielu potencjalnych gości. A jeśli jeszcze i my przyznamy, że zagnieździła się u nas siła nieczysta...

— Wiesz co? — powiedział Ben, upijając łyk szampana. — Jesteś typową babą. Piętrzysz tylko przeszkody. Nic dziwnego, że kobiety bez przerwy mówią o szklanych stropach. Ale to wcale nie mężczyźni powstrzymują je przed realizacją takiego pomysłu. One same. Nie istnieje coś takiego jak szklany strop, ale kobiety wierzą, że coś takiego można zrobić. Tylko, że cały świat im na to nie pozwala. Zauważ rzecz najprostszą: nie kobiety pierwsze wylądowały na Księżycu.

— Zgadza się. Bo w tym czasie zajęte były robieniem rzeczy pożytecznych. Ben zbliżył się do Sarah.

— Znów piętrzysz przeszkody. Teraz między nami. Wygląda na to, że mnie pragniesz, ale nie chcesz, żebyśmy do siebie wrócili. A przecież wcale tak nie musi być.

— Co to jest? Nowa technika uwodzenia? Wymyślasz cudaczne egzorcyzmy w wykonaniu przekupnego księdza, żebyś nie musiał odsyłać mnie do Nowego Jorku, a ja w zamian, z wdzięczności, mam ci paść na łóżko z rozkraczonymi nogami?

— Do licha, Sarah, dlaczego ujmujesz to tak wulgarnie?

— Bo o to dokładnie ci chodzi. Ponieważ kiedyś cię kochałam. Ale teraz już

nie.

Ponieważ nieustannie napastujesz mnie i nękasz i myślę, że nawet przestałam cię lubić.

— Przy egzorcyzmach jednak się upieram.

— Rób, jak chcesz. Ale ode mnie się odczep. Ben potrząsnął głową, jakby uważał, że Sarah kompletnie straciła rozum.

— Nie proszę cię o nic, Sarah. Chcę tylko, żebyś jeszcze raz wszystko przemyślała.

Odstawił swój kieliszek, a potem odebrał Sarah jej szampana. Ujął ją za ręce i dodał:

— Pragnę cię, kochanie. To już tak dawno, a zaledwie jakby wczoraj.

— Ben... — zaczęła, ale on nieoczekiwanie przyciągnął ją do siebie i przywarł ustami do jej warg.

Odwróciła twarz, próbowała mu się wyrwać z objęć. Ale trzymał ją w żelaznym uścisku. Chciał znów całować, lecz zacisnęła usta i zaczęła kopać go po nogach.

— Ben, zostaw mnie!

— Zostawić cię? — Oczy miał błyszczące i szalone. — Zostawić cię?

Naprawdę tego chcesz? Jezu, Sarah, to ja wiem, czego naprawdę chcesz.

Marzyłaś o nas od chwili naszego rozstania. Zawsze pasowaliśmy do siebie: ty i ja. Stanowiliśmy idealną parę. A co ty mi, kurwa, zrobiłaś? Zostawiłaś na lodzie. Przecież praktycznie byłem twoim mężem!

Pchnął ją obiema rękami tak mocno, że przeleciała przez pokój i wylądowała na ogromnej, obitej jedwabiem kanapie.

— Wiesz, czego potrzebujesz? Potrzebujesz, żeby ktoś ci przypomniał, kto o

ciebie dbał, kto cię wszystkiego nauczył. Nazywają cię tu Ajatolahem, bo to ja nauczyłem cię, jak skutecznie i twardo prowadzić interesy. To ja cię nauczyłem, kiedy robić awanturę, a kiedy patrzeć przez palce. Kiedy iść na kompromisy, a kiedy stawiać sprawy na ostrzu noża. A teraz odwracasz się do mnie plecami, mówisz, że mnie nie chcesz? Co jest? Stałaś się lesbą?

Sarah próbowała wstać z kanapy, lecz Ben ponownie brutalnie ją popchnął.

— Co się z tobą dzieje? — zapytał. — Przyjechałem do Warszawy specjalnie dla ciebie. Mogłem spokojnie siedzieć w Nowym Jorku, prowadzić interesy i dbać o swój tyłek. Ale nie! Przyjechałem tutaj, żeby nadstawić karku i chronić swoją zielonooką dziewczynkę. I co zastaję? Bryłę lodu!

— Ben — odezwała się Sarah. — Po prostu nie chcę cię widzieć. Czy tego nie rozumiesz?

Bardzo długo na nią patrzył, jakby oglądał ją w rozbitym zwierciadle. Następnie gwałtownie zdjął krawat i rzucił nim przez pokój. Ściągnął marynarkę i cisnął ją na krzesło. Zaczai rozpinać koszulę.

— Do licha, Sarah, czy zapomniałaś już nasze noce na Lafayette Street?

— Pamiętam je — odrzekła, czując, że zaczyna jej mocniej bić serce. — Ale tanto minęło, Ben. To już historia.

— Nazywasz mnie historią? To tak? Nazywasz mnie historią? Więc pozwól, że coś ci powiem, słoneczko. Jestem bogatszy, niż byłem kiedykolwiek. I mam więcej władzy.

Jestem dwukrotnie bardziej mężczyzną, niż byłem kiedyś.

— Tak myślisz? — parsknęła. — Więc dlaczego już mnie nie pociągasz?

Ben popatrzył na nią z góry. Prawie słyszała, jak kotłuje się w nim gniew;

niczym wulkan, który ma za chwilę wybuchnąć. Nic nie odpowiedział. Ściągnął koszulę i rozpiął pasek od spodni.

— Ben — ostrzegła go Sarah. — Żadnych pomysłów. W razie czego zadzwonię po policję. Daję ci na to słowo honoru.

— Pomysłów? Jakich pieprzonych pomysłów? Wydaje ci się, że jesteś wyjątkowo cwana? Wydaje ci się, że jesteś wyjątkowo samodzielna? Beze mnie byłabyś nikim.

Ściągnął mokasyny od Gucriego, ściągnął majtki. Nie był pijany. Nie był naćpany. Był nieprzytomny z gniewu i frustracji. Stał przed Sarah goły, a członek sterczał mu pod ostrym kątem. Wyglądał na cieńszy, niż to pamiętała, okalały go kręcone włosy i lśnił niczym fioletowy pomidor. Pomyślała, że męskie genitalia prezentują się niebywale ekscytująco u człowieka, którego kobieta kocha, ale u kogoś, do kogo nic nie czuje, są po prostu śmieszne.

— No, co jest! — odezwał się wyzywającym tonem Ben. — Powiedz, że wszystko jest inaczej. Powiedz, że wszystko się zmieniło. Powiedz, że jestem historią.

Obrzuciła go od stóp do głów najbardziej lodowatym spojrzeniem, na jakie ją było stać.

— Powiem ci jedno, Ben. Potwornie utyłeś.

Oczy Saundersa zrobiły się okrągłe jak spodki. Rzucił się na Sarah. Dwukrotnie uderzył ją w twarz. Uniosła rękę, żeby zasłonić głowę, więc wyrznął jaz kolei w ramię i w zebra.

— Ty gnojówo! — ryknął. — Ty zادیorna, dwulicowa, pretensjonalna gnojówo!

— Ben! Ben, na Boga, uspokój się!

Miał właśnie wyprowadzić kolejny cios, kiedy rozległ się groźny okrzyk:

— Dosyć! Nie waż się jej tknąć!

Ben odwrócił się. Oczy miał zamglone. Z trudem dostrzegł krępego mężczyznę o białych włosach, który zrobił w jego stronę cztery szybkie kroki i wyrzwał go prosto w szczękę. Rozległ się cichy trzask, po czym Ben osunął się na plecy.

Kolejny cios trafił go w nos. Po brodzie pociekła gorąca krew. Saunders skonstatował, że leży na plecach na podłodze, bezbronny, wpółślepiiony i spogląda zdrowym okiem na sterczące znad oparcia kanapy bosa stopy Sarah.

Dotarł do niego czyjś głos, słowa skierowane nie do niego:

— Czy nic pani się nie stało?

Sarah potrząsnęła głową i niezdarnie dźwignęła się na nogi.

— Odebrało mu rozum — odparła, rozcierając ramię. — Przyszedł porozmawiać o interesach i kompletnie odebrało mu rozum.

— Chce pani, żebym go aresztował? — zapytał Rej.

Mówił opanowanym tonem, ale oddychał szybko i pocierał kłykcie zaciśniętej pięści.

Sarah popatrzyła na rozciągniętego na podłodze Bena. Jego porośnięty jasnymi włosami tors zachlapany był ciekącą z nosa krwią, penis skurczył się do mikroskopijnych rozmiarów.

— Raczej nie — odparła. Jej głos drżał jak filiżanka na krzywo uformowanym spodku. — Nie sądzę, żeby ponownie próbował podnieść na mnie rękę.

— Miała pani szczęście, że akurat się tu wybrałem — stwierdził Rej. — A jeszcze szczęśliwiej się złożyło, że nie zamknęła pani dokładnie drzwi.

— Myślałam... — zaczęła, lecz natychmiast przypomniała sobie, z jaką łatwością Rej poradził sobie z zamkiem w drzwiach na klatkę przeciwpożarową w mieszkaniu Zosi, i nie dokończyła zdania.

— W porządku, usłyszałem pani krzyk — zapewnił ją Rej. — To wszystko.

Mamy prawo interweniować w przypadkach gwałtownych awantur domowych.

Nieświadomie ujęła dłoń Reja. Przypominało jej to, jak trzymała ojca za rękę, gdy była mała. Zawsze dawało jej to poczucie bezpieczeństwa. Dopóki trzymali się za ręce, była bezpieczna, chroniona. W dzieciństwie lubiła tulić się do ojca, lecz największą radość sprawiały jej wędrówki z nim po ulicach miasta.

Trzymali się wtedy za ręce, jakby chcieli wszystkim pokazać, jak bardzo się kochają, jak bardzo chcą się wzajemnie chronić i jak bardzo są bezpieczni.

Ben powoli podniósł się z podłogi i sięgnął po porozrzucone ubranie. Rej i Sarah przyglądali się mu bez litości. Obrzucał ich płonącym spojrzeniem, nic nie mówił i powoli się ubierał.

— Idź do łazienki — odezwała się Sarah. — I nie zapaskudź mi ręczników krwią.

Ben bez słowa wykuśtykał z pokoju i zamknął się w toalecie. Sarah usiadła na kanapie i delikatnie pogładziła sobie twarz. Czuła, że puchnie jej warga i policzek. A następnego dnia miała spotkanie w biurze podróży międzynarodowych; zaiste będzie się prezentować imponująco. Napuchnięta warga, oko z siną obwódką, policzki jak u Marlona Brando.

Rej przysiadł obok.

— Zobaczmy — powiedział, ujmując jej głowę. — Ha... nie jest najgorzej.

Kiedy już pani narzeczony sobie pójdzie, przyłożymy zimny kompres.

— Proszę mi wierzyć, on nie jest żadnym moim narzeczonym.

— Ale kiedyś był, prawda?

— Bardzo dawno temu. I w odległej galaktyce. Teraz jest moim szefem.

Prawdziwy wrzód na dupie.

— A jednak ciągle panią lubi.

— Nie wydaje mi się, żeby słowo „lubi” było określeniem adekwatnym. Po prostu mnie chce. To wszystko. Stracił mnie, odeszłam od niego i to ciągle go jątrzy.

„Mnie nie zostawia żadna kobieta”. Chyba pan to zna.

— Oczywiście. Mnie kobieta zostawiła. Sarah sięgnęła po kieliszek z szampanem.

Upiła duży łyk i odstawiła naczynie.

— Zbyt musujące — oświadczyła. — Powinnam mieć w domu brandy.

— Chce pani spróbować najlepszej brandy na świecie? Produkują ją w

Łańcucie. Jest przepyszna. Musi ją pani któregoś dnia skosztować. Stawiam.

Sarah wyczuła nagle, że stało się coś bardzo niedobrego. Ujęła Reja za dłoń i zapytała:

— Coś nie tak? Co się wydarzyło?

Po zarośniętych policzkach policjanta zaczęły powoli spływać łzy. Otarł je kantem dłoni.

— Wróciłem do pani, żeby powiedzieć, że komisarz Jarczyk aresztował jednego z naszych miejscowych gangsterów pod zarzutem przypisywanych Oprawcy morderstw czternastu osób.

— Schwytał Oprawcę? Naprawdę go schwytał?

— Nie wiem... Dowody nie są zbyt przekonujące. Jarczyk ma świadka, który widział, jak jeden z ludzi tego bandziora uprowadził Dłubaka z Ogrodu Saskiego... Ten człowiek był uzbrojony. Następne, co wiemy, to, że zwłoki Dłubaka znaleziono w kanałach pod placem Powstańców Warszawy... — Pociągnął nosem, starając się odzyskać panowanie nad sobą. — Oczywiście bez głowy, jak pozostałe ofiary. Wstał, wzruszył ramionami i chrząknął, jakby coś go dławilo.

— Doktor Wojniakowski zapewnia mnie, że Dłubak zginął taką samą śmiercią jak reszta ofiar, lecz istnieją dwie istotne różnice. Po pierwsze, torturowano go seksualnie. Penis miał przebity bardzo ostrym hakiem. Żadna z ofiar Oprawcy nie była torturowana. W każdym razie nie seksualnie.

— I co jeszcze? — zapytała Sarah, spoglądając w stronę łazienki, w której zamknął się Ben.

— Dłubakowi odcięto głowę innym nożem. Ale to nie przesądza sprawy, że nie został zabity przez tę samą osobę. Oprawca mógł po zamordowaniu Niemców zmienić nóż.

— I coś jeszcze?

— To w zasadzie wszystko... Tyle że aresztowany przez Jarczyka bandyta nie miał żadnych powodów mordować tamtych trzynastu osób.

— A więc zamordował Dłubaka, ale nie wiadomo, czy zabił pozostałych ludzi.

— Na to wygląda.

Rej milczał chwilę. Przycisnął dłoń do ust. Sarah widziała, że oczy znów napełniają się mu łzami.

— Co się stało? — zapytała. — Czy wydarzyło się coś złego? Rej przełknął

ślinę.

— Aresztowano tego człowieka... to Roman Zboiński, znany przestępca.

Twardziel, mieliśmy go na oku od kilku lat. Podczas aresztowania jeden z jego ludzi zastrzelił mego partnera, Jerzego Matejkę. Jurek miał żonę, dopiero co urodziło się im dziecko.

Umilkł i po chwili dodał cichym, pełnym rozpaczycy głosem:

— Zabili go. Skurwysyny zabili go.

Sarah objęła policjanta ramieniem. Czuła, jak drży.

— To jakieś szaleństwo — odezwał się Rej. — Nie wierzę, że Zboiński jest poszukiwanym przez nas człowiekiem. Matejko zginął zapewne za nic... zwykły głupi błąd.

— Tego pan nie wie na pewno — próbowała uspokoić go Sarah. — Z całą pewnością

Jarczyk nie aresztowałby człowieka bez istotnych ku temu powodów.

— A któż to może wiedzieć... Nie miałem okazji z nim porozmawiać. I podejrzewam, że już nie będę miał. Po śmierci Matejki jestem całkowicie odsunięty od tej sprawy.

W drzwiach łazienki pojawił się Ben. Miał podpuchniętą, posiniaczoną twarz i wyglądał na wystraszonego. Kompletnie ignorując Reja, podszedł do Sarah.

Nieustannie wciągał nosem krew.

— Tego dnia długo nie zapomnę — oświadczył. — Nie zapomnę go do końca życia.

— Co chcesz przez to powiedzieć? Że zadzwonisz do Nowego Jorku z wiadomością, że z niczym sobie tu nie radzę? Zrób to, a ja zadzwonię do

Nowego Jorku i powiem, jak molestowałeś mnie seksualnie i przekroczyłeś wszelkie granice przyzwoitości.

— Nie muszę dzwonić do Nowego Jorku — odrzekł Ben. — Sami się we wszystkim połapią i rzucają cię psom na pożarcie.

— Myślę, że na pana już najwyższa pora — wtrącił Rej, wstając z kanapy. — Chyba że chce pan, abym wniósł przeciw panu oskarżenie.

— W porządku, już idę. Muszę się zająć egzorcyzmami.

— Egzorcyzmy niepotrzebne, Ben. Stefan właśnie mi powiedział, że warszawska policja schwytała Oprawcę. Przebywa za kratkami i jest już niegroźny.

— Złapaliście Oprawcę? — zapytał z niedowierzaniem Ben. Rej wzruszył ramionami.

— Masa pracy i hit szczęścia. Wie pan, jak to jest.

Ben wahał się przez chwilę, po czym wydał pogardliwie dolną wargę, jakby chciał powiedzieć coś złośliwego, lecz nie zdołał niczego wymyślić.

— Nie znoszę obłudników — burknął. — Na sam ich widok robi mi się niedobrze.

Powiedziawszy to, odwrócił się na pięcie i opuścił mieszkanie. Po drodze jednak zahaczył o kuchnię i zabrał napoczętą butelkę szampana.

Po jego wyjściu Rej wyciągnął paczkę papierosów, lecz natychmiast schował ją do kieszeni.

— W porządku—powiedziała Sarah. — Skoro ma pan ochotę, proszę palić.

— Nie, ma pani rację. Powinienem rzucić palenie. — Zamilkł na chwilę i dodał:

— Mam nadzieję, że się nie wtrąciłem... Usłyszałem odgłosy awantury, więc musiałem coś zrobić.

Sarah potrząsnęła głową.

— Cieszę się, że tak wyszło. Kiedyś go kochałam. Kiedyś widziałam w jego oczach słońce. Ale wtedy byłam dużo młodsza. Nie znałam różnicy między miłością a zależnością. Nie wiedziałam jeszcze, jakimi łajdakami potrafią być mężczyźni.

— Nie każdy mężczyzna jest łajdakiem — sprzeciwił się Rej. — Ale jeśli chodzi o kobiety... nie wszyscy potrafimy zachować klasę.

Sarah przeszła do łazienki, zapaliła światło i stanęła przed lustrem. Ben jednak zabrudził ręcznik krwią. Cisnęła go na podłogę, puściła z kranu zimną wodę, zmoczyła w niej ręcznik i przycisnęła zaimprovizowany kompres do policzka.

— Bardzo boli? — zapytało lustrzane odbicie Reja.

— Och, przeżyję. Nie na darmo nazywają mnie Ajatolahem.

— Powiniennem był go jednak aresztować.

— Nie... Nie chcę robić z tego afery, w każdym razie nie przed zakończeniem budowy hotelu. Ale proszę mi wierzyć, komisarzu, dopadnę go któregoś dnia. Dopadnę go w chwili, gdy będzie się tego najmniej spodziewał.

— Proszę mówić mi po imieniu. Stefan — zaproponował Rej. Popatrzyła na niego najpierw lewym okiem, a następnie prawym. Lewym cały czas jeszcze widziała świat za lekką mgłą.

— Dobrze, Stefan, skoro tak chcesz. — Wykręciła ręcznik nad umywalką. — Podejrzewam, że rzeczywiście, jeśli ujęto Zboińskiego, jesteś całkowicie odsunięty od tej sprawy.

— Oficjalnie, tak.

— Czy naprawdę uważasz, że to finał tej historii? W końcu... w końcu skoro płacę Claytonowi po dwa tysiące dolarów tygodniowo, a wasi ludzie pochwycili Oprawcę, zaoszczędzi mi to masę pieniędzy.

— Takiej pewności nie ma — odrzekł ponuro Rej. — Nikt nie widział, jak Dłubak wchodził do mieszkania Zboińskiego, nie mamy świadków na to, że naprawdę go zabił, nikt nie widział, jak pozbywano się zwłok. Musimy jeszcze przejrzeć masę orzeczeń lekarzy sądowych. Od siódmej rano przeszukiwane jest mieszkanie Zboińskiego. Jeśli będą mieli szczęście, może natrafią na ślady łączące Zboińskiego z którąś z tych zbrodni. Może nawet ze wszystkimi. Ale nie sądzę. Zboiński uważa się za biznesmena. Nie zabijałby ludzi na chybił trafił, dla samego zabijania.

— To jest twoja teoria — zauważyła Sarah.

— To więcej niż teoria, panno Leonard. Wiem o tej sprawie więcej niż ktokolwiek inny.

— A zatem twoim zdaniem aresztowali nie tego człowieka, co trzeba? I dlaczego nie mówisz mi po imieniu? Rej skinął głową.

— W porządku, Sarah. To nie Zboiński. Jestem tego pewien w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach.

— A zatem jeśli nawet skłonię do pracy Brzezickiego i jego ekipę, ciągle będzie grozić im niebezpieczeństwo?

— Wszyscy ryzykujemy.

— Ben uważa, że należy odprawić na terenie budowy egzorcyzmy.

— Egzorcyzmy? Z księdzem?

— Nie wiem, na ile mówił poważnie, ale wygląda na to, że tak. Czasami sprawiał wrażenie, iż naprawdę mnie kochał. Przede wszystkim jednak chce zrobić przedstawienie... przekonać Brzezickiego, że na dobre przepędziliśmy diabła.

— Kto to wie—mruknął Rej. — Czasami i egzorcyzmy mogą pomóc. W tej sprawie kryje się więcej, niż możemy sobie wyobrazić. Weź na przykład seans u Madame Krystyny. Czy widziałaś kiedykolwiek w życiu coś podobnego?

Sarah pokręciła głową.

— Ja też nie — przyznał Rej. Przez chwilę milczał, najwyraźniej ważąc jakąś myśl. — Posłuchaj... pojedę do Komendy Głównej i dowiem się, co się naprawdę dzieje. Matejko zorganizował dokładne przeczesywanie kanałów. Chcę ustalić, jakie są dalsze losy tego przedsięwzięcia. Chcę też poznać ostateczne wyniki laboratoryjnych badań zwłok Dłubaka. Jeśli rzeczywiście wszystkich tych ludzi zamordował Zboiński, będę o tym wiedział pierwszy. Jestem nawet gotów postawić Jarczykowi ogromną wódkę. Ale jeśli nie... cóż, grozi nam takie samo niebezpieczeństwo jak poprzednio.

— Mam trochę wolnego czasu — powiedziała Sarah. — Mogę coś zrobić.

— Powinnaś zdrowo przycisnąć Bank Kredytowy Yistula i wydobyć wszelkie informacje o praniu pieniędzy przez Zboińskiego. Jesteś ich klientką i musisz sprawę postawić ostro. Zagroź im, że zwrócisz się do Ministerstwa Finansów, jeśli nie zechcą udostępnić ci wszystkich informacji. Jeżeli możesz, zrób to jeszcze dzisiaj. Jarczyk zacznie węszyć wokół waszego banku za jakieś dwanaście godzin. Chcę się wszystkiego dowiedzieć przed nim.

— Czy naprawdę sądzisz, że afera z Oprawcą wiąże się tylko z praniem

pieniędzy? — zapytała Sarah. — Nie ma innych powiązań?

— Nie, Sarah. Wcale tak nie uważam. Ale możesz zrobić dla mnie coś jeszcze.

Nie przesłuchiwaaliśmy Hanny Peszki. To dziewczyna Jana Kamińskiego.

Najpierw była w zbyt wielkim szoku, a teraz wszystko wskazuje na to, że

Jarczyk o niej zapomniał. Może byś pojechała do niej na Mokotów i

porozmawiała z nią? Mieszka na Ursynowie, mam jej adres.

Wyciągnął tandetny długopis, zapisał w notesie adres Hanny Peszki, wydarł

kartkę i podał ją Sarah.

— Panno Leonard... to znaczy Sarah... oboje mamy interes w schwytaniu

prawdziwego Oprawcy. Nie wierzę, żeby był diabłem, i nie wierzę, że jest

gangsterem. Jest czymś pośrednim i zamierzam go schwycić. Jeśli tego nie

dokonam... no cóż, równie dobrze mogę złożyć rezygnację z pracy w policji i do

końca życia sadzić pomidory. Nic innego mnie już wtedy nie czeka.

— A co z twoją córką?

— Z Katarzyną? Kiedy ostatni raz ją widziałem? Wciąż jestem zbyt zajęty.

— Zorganizuj trochę czasu. Odebrano ci tę sprawę, prawda? Posłuchaj... spotkaj

się z córką. Zrób to jak najszybciej. Na pewno ci to pomoże.

Reja najwyraźniej gnębiły wątpliwości.

— No, nie wiem... nigdy nie wiedziałem, co z tym zrobić. Ma czternaście lat.

Interesuje się tylko końmi.

— A więc zabierz ją do stadniny. Mogę z wami pojechać. Rej popatrzył na

Sarah, jakby widział ją po raz pierwszy w życiu.

— Ty? Dlaczego?

— Ponieważ... sama nie wiem. Ponieważ obroniłeś mnie przed Benem.

Ponieważ uwielbiam jazdę konną, a nie siedziałam w siodle od dziecka.

Ponieważ zabito twego przyjaciela. Ponieważ jesteśmy dwojgiem ludzi i jeszcze nas nie zabito.

— Jak dla mnie, to aż za dużo powodów — przerwał jej z uśmiechem Rej.

Zaraz po wyjściu policjanta Sarah zadzwoniła do Piotra Gogjela i spytała, kiedy może wpaść do Banku Kredytowego Yistula. Piotr był wyraźnie podekscytowany i niespokojny.

— O co chodzi? — zapytała Sarah. — Chcę po prostu przejrzeć z panem miesięczne wyciągi z konta, to wszystko.

— Ale mnie tu nie będzie. Za dziesięć minut muszę wyjść z biura.

— A zatem proszę przysłać te wyciągi do mnie. Numer mojej poczty elektronicznej pan zna. Porozmawiamy w poniedziałek. Albo jutro, jeśli znajdzie pan chwilę czasu.

— Dobrze... och, szwankuje główny procesor do wejścia do bazy danych.

Proszę chwileczkę poczekać.

— Panie Gogjel, jadę do was. Wszystkie wyciągi z kont mają być już na ekranie gotowe do przeglądu.

Piotr Gogiel głośno przełknął ślinę.

— Będzie pani musiała porozmawiać z panem Studnickim.

— W takim razie porozmawiam z panem Studnickim, a jeśli odkryję coś dziwnego, zrobię więcej, niż tylko porozmawiam z panem Studnickim. Zjem go na spóźniony lunch, a pana, panie Gogiel, zostawię sobie na deser.

Odłożyła słuchawkę i długi czas siedziała bez ruchu. Zastanawiała się. Coś tu było bardzo nie w porządku. Odnosiła wrażenie, że za kurtynami tajności Banku

Kredytowego Yistula scena całkowicie się zmieniła. Kiedy znów rozbłyszła światła, wszystko będzie inne; jasne i nienaganne.

Ale wyczuwała szachrajstwo i podstęp. Po raz pierwszy w swej zawodowej karierze zdała sobie sprawę z tego, że jest przerażona i ciśnięta na głęboką wodę.

Rozdział dwunasty

Marek, Olga oraz trzech ich przyjaciół wybiegło z klubu bilardowego „Zielony Kot” przy ulicy Pięknej. Roześmiani, klepali się z radością po ramionach.

Większą część popołudnia spędzili przy stole bilardowym, a Marek wygrał nawet jedenaście złotych. Miał wprawdzie tego dnia zgłosić się na rozmowę w sprawie pracy w sklepie muzycznym na Grzybowskiej, ale ostatecznie wcale tam nie poszedł. Pensja była marna, a zastępca kierownika, człowiek o ciastowatej twarzy, potraktował go kiedyś jak coś, w co włazi się na trawniku uczęszczanym przez psy. Nie tylko o to zresztą chodziło; w sklepie w kółko puszczano stare płyty Wojciecha Młynarskiego i już samo to wystarczało Markowi, żeby miał ochotę włożyć sobie na głowę plastikowy worek i skończyć z tym wszystkim.

— Przyjdiesz dziś wieczorem do Zbyszka? — zapytał Marka jeden z kumpli.

— Jego

starzy pojechali do Krakowa.

— Impreza! — wrzasnęła Olga i zaczęła wyginać ciało w zaimprovizowanym na chodniku tańcu.

— Jeszcze nie wiem — odparł Marek. — Mam się spotkać z Claytonem

Marshem.

— Och, przepraszam. — Kumpel Marka rozłożył ręce. — Kurt prowadzi sprawę

do spółki ze słynnym amerykańskim detektywem. Rozumiecie: „Marsh i

Masłowski — łowcy zbrodni”!

— Tak czy owak, Oprawcę już złapano — zauważyła Olga.

— Clayton uważa, że to pomyłka.

— Och, Kurt, daj spokój. Skąd on może o tym wiedzieć?

— Po prostu wie, to wszystko. Twierdzi, że gliniarze rozdmuchują sprawę

dlatego, że sami są w kropce.

— A co ty masz z tym wspólnego?

Marek wyciągnął papierosa.

— Człowieku, obiecałem, że im pomogę. Pomyśl, ilu ludzi zamordował

Oprawca.

Swoją drogą uważam, że to morderca stulecia. Jeśli go schwyta...

prawdziwego Oprawcę... pomyśl o sławie, człowieku. Wywiady w telewizji,

zdjęcia w gazetach.

Chłopie, wyznaczono również nagrodę!

— Śnisz.

— I co z tego. Co złego w snach?

— Nic... kiedy śpisz.

Przepychając się i pokrzykując szli Piękną. Minęła czwarta po południu, nad

głowami wisało szare niebo. Bezruchu powietrza nie mącił najlżejszy podmuch

wiatru, miasto było rozpalone upałem, ulice spowijała wilgoć i mgiełka

samochodowych spalin. Okropnie fałszując, wzniesli radosną pieśń.

— Ale do Zbyszka przyjdiesz? — upewniła się Olga, ściskając Marka za

ramię.

— Tak, tylko mogę się spóźnić. To zależy, czego będzie chciał Clayton.

— Clayton, Clayton, Clayton. Dlaczego nie robisz tego, na co sam masz ochotę?

Przebiegł jezdnię, klucząc między samochodami osobowymi i autobusami. I wtedy właśnie Marek, który obejrzał się za siebie, żeby sprawdzić, czy podążają za nim przyjaciele, ujrzał po drugiej stronie Koszykowej coś, co kazało mu przystanąć.

Stał na chodniku, marszczył brwi i próbował dostrzec to między przejeżdżającymi jezdnią autobusami, ciężarówkami oraz tłumem ciągnących chodnikiem po drugiej stronie ulicy przechodniów. Z wjazdu do kanałów wyszedł mężczyzna w szarym kombinezonie. Przechodnie mijali go, nie zwracając nań najmniejszej uwagi. W chwilę później wmieszał się w tłum. Ale Marek stał, spoglądał w tamtą stronę i czuł, że po kręgosłupie przechodzi mu zimny dreszcz. Może i mężczyzna miał na sobie szary kombinezon, ale miał też zupełnie siwe włosy i był bardzo stary; co najmniej sześćdziesiątka na karku. Od kiedy w wodociągach i kanalizacji zatrudnia się takich starców?

Ale nie tylko to. Przecież on po prostu wyszedł z kanałów prosto na chodnik!

Gdyby przeprowadzał inspekcję kanalizacji albo pracował pod ziemią, umieściłby na powierzchni tablicę ostrzegawczą i ogrodził wjazd. Który z prawdziwych kanalarzy wynurzałby się tak nieoczekiwanie pośrodku ruchliwej ulicy? Gdzie był jego samochód ze sprzętem?

Jakiś pojazd zatrąbił na Marka i chłopak pokazał kierowcy palec. Kierowca zatrąbił ponownie, ale Marek zaczął już biec w poprzek jezdni.

— Kurt, odbiło ci? Gdzie lecisz? — zawołał jeden z jego przyjaciół.

— Marek, wracaj! — wrzasnęła Olga.

Ale ten gnał już chodnikiem po przeciwnej stronie Koszykowej. Wpadł na kobietę niosącą w obu rękach torby z zakupami, o mało nie zwalił z nóg mężczyzny z teczką. Ludzie coś za nim krzyczeli, lecz nie zwalniał biegu. Podskakiwał co chwila, próbując dostrzec w tłumie mężczyznę z siwymi włosami i w szarym kombinezonie. Był spocony i ciężko dyszał, skórzana kurtka chrzęściła przy każdym ruchu.

Dotarł prawie do końca ulicy, gdy kątem oka dostrzegł ściganego człowieka, który wchodził właśnie do wielkiego, szarego budynku mieszkalnego. Teraz już Marek wiedział na pewno, że nie jest to żaden kanalarz. Przyspieszył jeszcze kroku, by dotrzeć do drzwi, zanim się zamkną, ale dzieliły go od nich dwa metry, kiedy drogę zastąpiła mu tęga kobieta i oboje zaczęli wykonywać skomplikowany taniec, próbując się wzajemnie wyminąć. Gdy w końcu dopadł do wejścia, zamek właśnie się zatrzaskiwał. Przez zbrojone drutem szkło Marek dostrzegł niewyraźnie zamykające się pomalowane na brązowo drzwi windy. Ale widział też świetlne cyferki wskazujące numery pięter, które mijała winda. Był to bardzo powolny dźwig i upłynęła cała wieczność, zanim dotarł na trzecią kondygnację i tam się zatrzymał. Marek wiedział przynajmniej, na którym piętrze mieszka ścigany przez niego człowiek.

Spojrzał na przyciski domofonów. Tylko jedna trzecia z nich opatrzona była karteczkami, a na trzecim piętrze wymieniony był z nazwiska jeden lokator, niejaki Gajda. Marek cofnął się o krok i zaczął się zastanawiać, co powinien w tej sytuacji uczynić. Być może tylko ponosiła go wyobraźnia i zachowywał się jak dureń robiący z igły widły. Ale przecież zarówno Clayton jak Rej byli

przekonani, że Oprawca, żeby nikt nie wpadł na jego trop, przemieszczał się kanałami. A któż inny mógł wynurzyć się w taki sposób ze studzienki, wiedząc dokładnie, w którym punkcie miasta się pojawi?

Istniały wprawdzie telefony, lecz gdyby alarm okazał się fałszywy, Marek jedynie zawróciłby niepotrzebnie Claytonowi głowę. Co więcej, wyszedłby na kompletnego idiotę. Ciągle się wahał. W pewnej chwili nawet odszedł już od wejścia do bloku, lecz natychmiast wrócił, nacisnął guzik oznaczony nazwiskiem Gajda i czekał, co z tego wyniknie.

Przez prawie minutę nikt nie odpowiadał. Później rozległ się szczęk w głośniku, a następnie dobiegł kobiecy głos:

— Taki

— Halo? — powiedział Marek. — Mam tu wymienić żarówki.

— Słucham?

— Przysłał mnie gospodarz domu, ale zapomniał dać klucze do klatek schodowych.

Muszę powymieniać na nich żarówki.

— A co złego jest w tych, które są?

— Nie ta moc. Mogą spowodować krótkie spięcie i pożar.

Z głośnika dobiegł trzask, rozległ się brzęczyk, po czym drzwi zostały odblokowane. Marek wszedł do budynku.

W holu panował zaduch i kompletna cisza. Chłopak ruszył do windy i nacisnął przyzywający ją guzik. Z góry dobiegł upiorny klekot i szum, kiedy winda zaczęła powoli zjeżdżać na parter. Marek obejrzał się w stronę prowadzących na

ulicę drzwi. Przed klatką stała przysadzista kobieta w brązowej kwiecistej sukience, zawiązana na głowie brązowa chustka furkotała na wietrze. Z jakichś względów bacznie przypatrywała się Markowi, zupełnie jakby go znała. Chłopak ciągle jeszcze spoglądał w jej stronę, gdy dotarł do niego dźwięk otwierających się drzwi od windy. Odwrócił się i aż podskoczył ze strachu. W kabinie, tuż przed nim, stał siwowłosy mężczyzna w szarym kombinezonie. Sprawiał wrażenie dużo wyższego niż na ulicy i jeszcze bardziej wymizerowanego. Czaszkę obciągała mu skóra przypominająca marmurkowy pergamin, a na czole prześwitywała przez nią pulsująca żyła. Pod krzaczastymi, białymi brwiami widniały oczodoły niczym dwie pieczary i jasne, wyprane z wszelkiego wyrazu oczy. Jak gdyby długie lata wytarły z nich wszelkie barwy i wrażliwość. Nos wąski i kościsty, usta zacięte i prawie całkowicie pozbawione warg. Jednocześnie Marek spostrzegł, że mężczyzna, na swój surowy sposób, musiał być kiedyś bardzo przystojny. Kombinezon, niegdyś czarny, po licznych praniach nabrał niejednolitego szarego koloru.

— Czy mogę w czymś pomóc? — zapytał zgrzytliwym głosem przypominającym dźwięk piłki do żelaza, tnącej stalową rurę.

— Gajda — bąknął Marek. — Szukam pani Gajdy. Jasne źrenice nieznajomego rozbłysły niczym oczy gada.

— Ma pan chyba na myśli pana Gajdę. Jest wdowcem.

— Tak... pana Gajdy. Nieznajomy wyszedł z windy osobliwym, płynnym ruchem.

— Zupełnie nie rozumiem, jaki interes może mieć pan do Gajdy.

— Cóż... muszę mu przekazać pewną wiadomość.

— Ach, tak, wiadomość. A któż to może przesyłać mu jakiegokolwiek wiadomości?

— To sprawa prywatna.

— Rozumiem, prywatna. Wszyscy potrzebujemy prywatności, nieprawdaż?

Marek skinął głową. Starzec w kombinezonie nie spuszczał z niego wzroku i chłopak nie miał innego wyjścia, jak wkroczyć do windy i nacisnąć guzik oznaczony cyferką trzy. Kiedy winda ze zgrzytem i klekotem ruszyła w górę, mężczyzna nie wykonał najmniejszego ruchu. Cholera jasna — pomyślał Marek. — Toż to czysta komedia. Tkwię w windzie w obcym budynku i mam przekazać nie istniejącą wiadomość komuś, kogo nie znam.

Absurd całej sytuacji powiększał jeszcze fakt, że siwowłosy mężczyzna w szarym kombinezonie był zapewne całkiem niewinny. Może nie pracował w miejskich wodociągach i kanalizacji, ale mógł być upoważniony do schodzenia do kanałów, aby sprawdzać na przykład poziom emanacji gazów, stan zaszczurzenia lub zanieczyszczenie toksycznymi chemikaliami. A może Marek miał do czynienia z nieszkodliwym maniakiem, który lubi chodzić po Warszawie, brodząc po kolana w ludzkich ekskrementach? Winda zatrzymała się z łoskotem, otworzyły się drzwi i chłopak znalazł się w wysokim, mrocznym korytarzu o ścianach pociągniętych błyszczącą, brązową, olejną farbą. W samym końcu pomieszczenia widniało brudne okno, przez które widać było, niczym na starej wyblakłej fotografii, budynek po drugiej stronie Koszykowej. Chrząszcząc sztywną skórzaną kurtką, Marek ruszył ostrożnie korytarzem. Dotarł do drzwi pokrytych łuszczącą się brązową farbą. Wisiała na nich przypięta zardzewiałą pinezką wizytówka. Może tak właśnie należało zrobić:

odczekać chwilę, po czym zjechać na parter i wynieść się z bloku do wszystkich diabłów? Ale jeśli siwowłosa zapyta Gajdę, czy przekazał mu wiadomość? Starzec już teraz potraktował Marka z dużą podejrzliwością. Jeśli to on jest Oprawcą, zostanie ostrzeżony.

Przy drzwiach nie było dzwonka, zatem Marek zapukał. Po chwili usłyszał trzask otwieranych w mieszkaniu drzwi oraz głos telewizora nastawionego na pierwszy program, w którym nadawano magazyn „Stop”. Po chwili rozległ się szcęk zdejmowanego łańcucha i odciąganego rygla w zamku. Drzwi do mieszkania otworzyły się i w progu stanęła przystojna kobieta w średnim wieku. Miała czarne, przyprószone siwizną włosy i trochę rozbiegany wzrok.

— Szukam pana Gajdy — oświadczył Marek.

— To pan jest ten od żarówek?

— Niezupełnie. Mam przekazać wiadomość.

— Nie rozumiem. Od kogo? Pan Gajda nie czuje się najlepiej.

— W przyszłą środę na dwie godziny w ogóle odetniemy dopływ energii elektrycznej. Przeprowadzamy inspekcję instalacji.

— Czy to jakiś żart? Nie wygląda pan na pracownika elektrowni. Ma pan jakąś legitymację?

— W elektrowni brakuje ludzi — wyjaśnił Marek. — A zgodnie z przepisami muszą

powiadomić wszystkich użytkowników prądu. Dlatego ja panią informuję.

— W porządku — odparła kobieta tonem pełnym podejrzliwości i zaczęła zamykać

drzwi.

— Proszę chwilę poczekać! — odezwał się Marek. — Na tym piętrze są jeszcze dwa mieszkania, prawda?

Kobieta popatrzyła na niego przez dwucentymetrową szparę.

— Tak, są.

— Problem polega na tym, że... eee... zgubiłem listę z nazwiskami lokatorów, a po powrocie muszę się wykazać, że tu byłem. Inaczej urwą mi głowę. Kobieta nic nie powiedziała, ale uporczywie spoglądała na Marka przez wąską szczelinę w drzwiach.

— Bardzo panią proszę — odezwał się Marek. — Naprawdę muszę znać te nazwiska.

Kobieta uchyliła drzwi nieco szerzej.

— Pod jedenastką mieszka pani Krajewska, a tam, pod trzynastym pan Okuń.

Ale Okuń wyszedł. Słyszałam, jak przekręcał klucz.

— Wyszedł? A co on robi w życiu?

— Nic nie robi. Jest na emeryturze. Czy człowiek nie może już nawet wyjść z domu?

— Oczywiście, że może. Po prostu byłem ciekaw, co robi.

— Mówiłam już. Nic nie robi. Siedzi w domu i słucha muzyki.

— Czyżby nie miał żadnych znajomych?

Kobieta popatrzyła na Marka spod zmarszczonych brwi.

— Zadajesz, młody człowieku, wiele pytań. Myślałam, że pracujesz w elektrowni.

Marek wzruszył ramionami i uśmiechnął się.

— Opracowujemy również profile zachowań klientów. Rozumie

pani... jak często gotują, jak często przyjmują gości. To pomaga w usprawnianiu usług świadczonych przez elektrownię.

— Kłamiesz — odparła wprost kobieta.

— Słucham?

— Kłamiesz. Jeśli natychmiast się stąd nie wyniesiesz, zadzwonię po policję.

— W porządku — odparł Marek. — Skoro nie chce pani współpracować...

Odwrócił się w stronę windy, ale powstrzymał go głos kobiety:

— Poczekaj!

Po chwili wahania otworzyła szerzej drzwi. Marek dostrzegł starego mężczyznę na wózku inwalidzkim, który pracowicie jechał w ich stronę przez wyłożony dywanem w czerwone i zielone wzorki przedpokój. Mężczyzna przypominał stracha na wróble. Miał potargane, sterczące na wszystkie strony włosy, oczy nabiegłe krwią i gruby, musztardowego koloru szlafrok o kłapach zabrudzonych zaschniętą zupą.

— Dlaczego pan pyta o Okunia? — zapytał takim dyszkantem, jakby dławiła go flegma.

— W przyszłym tygodniu odetniemy dostawę prądu. Muszę... — urwał, ponieważ zdał sobie sprawę z tego, że Gajda i tak za grosz mu nie wierzy. — No cóż, pomagam pewnym ludziom odnaleźć przestępcę — wyznał szczerze.

— A tym przestępcą jest Okuń?

— Nie, nie, wcale tego nie powiedziałem. Po prostu musimy sprawdzić wiele osób.

— I jedną z nich jest Okuń. Najwyższa pora.

— Jak to?

Gajda rozkaszał się, po czym wytarł dłonią długi sopel kleistej śliny, która spłynęła mu z dolnej wargi. Wyglądał tak, jakby żadną miarą nie miał już prawa żyć.

— Okuń... to jeden z nich.

— Andrzej, nie wystawiaj się na pośmiewisko — przerwała mu kobieta. — Przepraszam... on jest stary i nie czuje się najlepiej. Dlatego rodzą mu się w głowie różne takie pomysły.

— Co miał pan na myśli mówiąc "Jeden z nich"? — zapytał Marek.

— Dokładnie to, co powiedziałem — wypluł z siebie Gajda. — Jest jednym z nich. Jednym z bydlaków von dem Bacha. O, teraz nazywa się Okuń, ale mnie nie oszuka. Nigdy! Czasami nocą słyszę, jak rozmawia przez telefon, i wiem, o czym mówi. Nie rozmawia po polsku! Niech pan zapamięta sobie moje słowa. Jest jednym z nich.

— Proszę nie zwracać uwagi na to, co mówi — wtrąciła zdenerwowana kobieta, próbując zamknąć drzwi. — Jest stary... podczas wojny stracił całą rodzinę.

— W porządku. Dziękuję za pomoc — oświadczył Marek.

— Jest jednym z nich! — wrzasnął Gajda. — Jeśli szukacie przestępcy, zaczniście od niego!

Drzwi zamknęły się z trzaskiem i Marek znalazł się sam w mrocznym korytarzu. Przez chwilę słyszał jeszcze odgłosy sprzeczki między Gajda i jego opiekunką, później już tylko fonię telewizora, w końcu zapadła cisza.

Sam dobrze nie wiedział, co o tym wszystkim sądzić. W szkole niezbyt przykładał się do historii, ale nawet on wiedział, że Erich von dem Bach-

Zalewski był generałem SS, któremu Himmler rozkazał latem tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego roku stłumić powstanie warszawskie. To właśnie z

polecenia von dem Bacha zabito dziesiątki tysięcy żołnierzy Armii Krajowej oraz osób cywilnych, w tym kobiet i dzieci. Von dem Bach osobiście nadzorował również zrównanie Warszawy z ziemią. Kościoły, szpitale, kamienice, hotele — wszystko to kazał obrócić w perzynę.

Może kobieta miała rację, iż pan Gajda po prostu bajdurzył? Marek zdawał sobie sprawę z tego, że wielu starych ludzi w wyniku tego, co wydarzyło się podczas powstania, straciło rozum. Nie jest łatwo zapomnieć o leżących na ulicach ciałach przyjaciół i sąsiadów, z braku trumien przykrytych tylko gazetami. Nie zapomina się łatwo postrzelonych przez snajperów i konających w kurzu z upływu krwi dzieci. Nie zapomina się świstu spadających bomb i huku haubic, które zamieniały stopniowo miasto w księżycowy krajobraz pokryty lejami po pociskach i rosnącymi coraz wyżej górami gruzu.

Marek odwrócił się w kierunku windy i nieoczekiwanie ujrzał stojącego w półmroku klatki schodowej Okunia, który bacznie go obserwował. Zaskoczony zadrzał. Nie potrafił temu zaradzić. Nie usłyszał nawet, kiedy nadjechała winda. — Przekazałeś wiadomość? — zapytał Okuń. Jego oczy skrywał mrok.

— Tak, dziękuję.

— To bardzo chory człowiek, ten pan Gajda. Nie należy mu zakłócać spokoju.

Marek bez słowa wyminął starca i ruszył do windy. Kiedy mijał Okunia, stary człowiek zapytał:

— Kim naprawdę jesteś?

— A co to pana obchodzi?

— Możesz być włamywaczem albo tajniakiem. Kimkolwiek.

— Po prostu przekazałem wiadomość, to wszystko.

Okuń spoglądał na Marka wodnistymi oczyma; emanowała od niego wręcz namacalna wrogość i nieufność. Chłopak przez chwilę patrzył na niego wyzywająco, po czym nacisnął guzik windy. Drzwi otworzyły się natychmiast i Marek wszedł do kabiny.

— Nie chcę cię tu więcej widzieć, zrozumiano? — zawołał Okuń.

Marek puścił jego słowa mimo uszu i czekał, aż drzwi windy zamkną się automatycznie. Po chwili dźwig ruszył ociężale na parter. Markowi serce biło tak mocno, że musiał przycisnąć dłoń do klatki piersiowej. Zamknął oczy i żeby odzyskać równowagę, zaczął głęboko oddychać.

Hol na parterze w dalszym ciągu spowijała kompletna cisza, ale gdy tylko Marek wyszedł na ulicę, otoczył go, niczym upragniony i przyjazny deszcz, zgiełk Koszykowej. Marek stał przez chwilę na skraju chodnika i ciężko łapał powietrze. Następnie ruszył na północ, w kierunku Alej Jerozolimskich i hotelu Marriott. W połowie drogi wystąpiły na niego siódme poty. Zdjął skórzaną kurtkę i przerzucił ją sobie przez ramię.

Rej siedział na zapleczu sklepu spożywczego „Meduza” na Nowogrodzkiej i obserwował, jak siwowłosa kierowniczką kroi i pakuje wędlinę. Marzył o zapaleniu papierosa, ale wszędzie wisiły tabliczki z napisem: „Palenie wzbronione”.

Pomieszczenie było czyste, schludne, bardzo jasne, a policjant bardziej niż kiedykolwiek czuł się jak bohater filmu z lat sześćdziesiątych. W odległym kącie piętrzyły się puszki szynki Krakus i Pęk, konserwowane wiśnie z Hortexu oraz opakowana w plastikowe torebki surówka z kwaszonej kapusty. Na ścianie wisiał kalendarz z barwną reprodukcją „Zwiastowania” z krakowskiego kościoła

Świętej Elżbiety; szaleństwo poślacanych aniołów, trąb i nie posiadających się z radości pasterzy.

Kierowniczka kroїła wędlinę i pakowała ją w polietylenowe torebki. Stała się już tęgą kobietą, lecz kiedyś musiała być śliczna na swój wyzywający, silny, charakterystyczny sposób, w jaki tylko polskie dziewczęta potrafią być śliczne.

— Tak naprawdę to nie przyszedłem rozmawiać o Barbarze — przerwał milczenie Rej. Kierowniczka zważyła kolejne ćwierć kilograma wędliny, zapakowała ją i nakleiła nalepkę z ceną.

— Nikt o niej nie chce rozmawiać — odparła, nie podnosząc głowy. — Ani policja, ani prasa. Nikogo nie obchodzi, co się jej przytrafiło.

— Mnie obchodzi. Dlatego tu jestem.

— Przecież schwytałiście już Oprawcę. Czym się zatem przejmować?

— Ale ja nie sądzę, że go schwytałiśmy. Podejrzewam, że człowiek, którego mamy... cóż, to handlarz kradzionymi samochodami i najprawdopodobniej morderca, ale nie Oprawca. To nie on zabił Barbarę.

Kierowniczka sklepu przestała kroić towar i spod zmarszczonych brwi czujnie popatrzyła na Reja.

— To dlaczego ogłosiliście, że macie Oprawcę, skoro go nie macie? Rej przesłał jej rozbrajający, jak sądził, uśmiech.

— Odebrano mi tę sprawę. Byłem w niej ekspertem... ale oni nie potrzebowali eksperta. Chcieli szybkich wyników. Aresztowali miejscowego gangstera, ponieważ odrąbał pewnemu nieszczęsnemu, niewinnemu księgowemu głowę.

Bóg jeden wie, dlaczego to zrobił. Może sądził, że pójdzie to na konto

Oprawcy? A może miał to być tylko taki żart. Żart, jaki bandyci uwielbiają.

Kierowniczką podeszła do Reja. Na górnej wardze perliły się jej kropelki potu.

— Moja siostra była śliczną dziewczyną, komisarzu. Może nie była zbyt bystra, ale za to bardzo ładna; i mogło się jej bardzo w życiu poszczęścić.

— Wiem — odparł Rej. — Widziałem jej zdjęcie. Sam bym się z nią ożenił.

— Gdyby to ode mnie zależało, to na pewno nie. Rej przez chwilę milczał.

— Czy pani rodzina spędziła wojnę w Warszawie? — zapytał w końcu.

Kierowniczką sklepu skinęła głową.

— A może pani wie, czy pani ojciec lub matka należeli do Armii Krajowej?

— Oboje. Ojciec nigdy wprawdzie o tym nie wspominał, ale mama, gdy byłam małą, dużo mi o tamtych czasach opowiadała. W powstaniu była łączniczką... przносиła rozkazy ze Starego Miasta do Śródmieścia. Wielu jej przyjaciół zginęło w kanałach, ale ona zawsze miała szczęście. Nazywano ją „Szczurek”, ponieważ знаła wszystkie przejścia i zakamarki w tych podziemnych przejściach.

— A co robił pani ojciec?

Kierowniczką potrzęsnęła głową, w oczach pojawiły się jej łzy. Nie były to łzy powodowane sentymentami, lecz frustracją i żalem.

— Nigdy o tym nie wspominał. Walczył pod dowództwem pułkownika Ziemskiego na Żoliborzu. Tylko tyle mi powiedział.

Rej ujął jej wyjątkowo wypielęgnowaną rękę o smukłych, długich palcach; dłoń raczej pianistki niż kogoś, kto codziennie kroi kielbasę.

— I nic bliższego o swoim ojcu pani nie wie?

— Nie. Zawsze mówił, że było to zbyt przerażające. Chciał o tym zapomnieć.

Rej objął ją i przytulił do siebie. Nie wiedział, co by powiedział nadkomisarz

Dembek, gdyby zobaczył go w tej chwili, ale niewiele go to obchodziło.

Kierowniczka sklepu straciła siostrę, a Rej Matejkę. Oboje stali się ofiarami tego samego obłędu. Czasami w chwilach depresji Rej sądził, że Polska nigdy już nie ucieknie od przemocy i szaleństwa. Ani Polska, ani sąsiednie państwa.

Jedynym rozwiązaniem była miłość. I współczucie. I dzielenie bólu.

Tęsknił za komunizmem bez względu na to, jak bardzo był to system represyjny.

Tęsknił za biurokracją, za przewidywalnością wszystkiego i za uczuciem braterstwa.

Kierowniczka, mocząc łzami brązową koszulę Reja, cicho płakała wsparta o jego ramię.

— Dlaczego akurat ją to musiało spotkać? — powtarzała na okrągło.

Rej nie odpowiadał, ponieważ nie był pewien, czy i jej nie czeka podobny los.

W godzinę później siedział w zagraconym mieszkaniu na Woli, zaledwie dwie przecznice od miejsca, gdzie w czterdziestym czwartym na rogu ówczesnej Górczewskiej i Zagłoby Niemcy rozstrzelali przywiezionych tam trzystu pacjentów i pracowników szpitala wolskiego.

Pił herbatę i niechętnie pogryzał makowiec, ponieważ nie był wcale głodny.

Ponadto nie znosił makowca. Ziarno, maku zawsze wchodziły mu między zęby, potem zaś nocą śniły się mu koszmary, że przesłuchuje podejrzanych o morderstwo, a między siekaczami chrupią mu niewielkie, ciemne ziarenka.

Pokój był duszny i przeładowany meblami. Kredens na wysoki połysk wypełniały rubinowej barwy koniakówki, srebrne podstawki pod kieliszki, karafki oraz plastikowe figurki Matki Boskiej. Pani Ślesińska nieustannie wierciła się na krześle, szlochała i ściągała okulary, żeby otrzeć łzy. Była

drobną, pulchną kobietą z włosami po trwałej ondulacji, a twarz miała pokrytą piegami, jakby ktoś obsypał ją cynamonem. Usta jej się nie zamykały, a poza tym cały czas otrzepywała i wygładzała spódnicę. Strzepnęła nawet kilka drobin łupieżu z kołnierzyka Reja, gdy tylko ten przekroczył próg jej mieszkania.

Policjant stwierdził ponuro w myślach, że Ślesińska straszliwie tęskni za mężem, lecz nie ma nikogo, kto by ją pocieszył. Nikt nie próbował jej pomóc.

Na ścianie nad kredensem wisiało pięć czarno-białych fotografii uformowanych w gwiazdę. Każda z nich przedstawiała tego samego uśmiechniętego, łysiejącego mężczyznę w wieku około pięćdziesięciu pięciu lat, z wielkim nosem, kwadratowym podbródkiem i jasnymi, prostodusznymi oczami.

— Chcę zapytać o pewną rzecz związaną z panem Bronisławem — odezwał się Rej.

— Bronisław nigdy w całym swym życiu nie zrobił nic złego. Czasami aż pragnęłam, żeby postąpił niewłaściwie. Ale on był święty. Występował w chórze w kościele Świętego Wawrzyńca i tam się poznaliśmy. W tym samym kościele, gdy miałam siedemnaście lat, wzięliśmy ślub. Urodziłam ośmioro dzieci. Ośmioro! Miałam dziewięcioro, ale Darek umarł zaraz po urodzeniu.

— Nie wątpię, że pani mąż był dobrym człowiekiem — zapewnił Rej.

— Kiedyś przełożony oskarżył go o to, że wyrzucił listy, ponieważ nie chciało się mu ich doręczać. Ale pan nie przyszedł w tej sprawie? To zresztą nie była prawda. Pracę na poczcie traktował niczym boże posłannictwo.

— Jestem tego pewien. Podejrzewam, że w ten sposób ktoś próbował zatuszować własne oszukaństwa. Listy nieustannie giną. Zapewne są kradzione w nadziei, że w środku znajdują się pieniądze. Ale o tym chyba pani sama wie

najlepiej.

— Broniek nigdy niczego nie ukradł. Był święty.

— Proszę mi powiedzieć coś o jego rodzicach — odezwał się Rej.

— O rodzicach? Nie wiem nic o jego rodzicach. Ojciec był chyba spawaczem.

Co robiła matka, nie mam zielonego pojęcia. Pochodziła z Lublina. Oboje

zmarli w dwa lata po naszym ślubie. Byli już bardzo starzy. Bronisław urodził się przez przypadek.

— A nie wie pani, co robili podczas wojny? Pani Ślesińska hałaśliwie wytarła nos.

— Bronisław nigdy o nich nie opowiadał. Zresztą w ogóle mało opowiadał.

Lubił ciszę i spokój. Proszę... niech pan się częstuje makowcem.

Rej ugryzł malutki kęs i przez chwilę go żuł, wydłubując językiem spomiędzy zębów drobne ziarenka maku.

— A może ktoś inny wie, jak spędzili rodzice pani męża okres wojny? — zapytał z nadzieją w głosie.

— Oczywiście, Stanisław.

— Kim jest Stanisław?

— Jego starszym bratem. Miał dwóch starszych braci i starszą siostrę. Siostra i jeden brat już nie żyją. Ale Staszek miewa się dobrze. Mieszka na osiedlu Za Żelazną Bramą. O nim mogę powiedzieć, co robił w czasie wojny. Broniek dużo i często o nim opowiadał. Był bardzo z niego dumny. Staszek walczył w powstaniu. Brał chyba udział w ataku i zdobyciu dworca kolejowego. Mój mąż zwykł był mówić o swym bracie, że to prawdziwy Polak.

— A zatem pan Staszek walczył w powstaniu? — upewnił się Rej, pochylając w

stronę Ślesińskiej.

— Tak. Chce pan zobaczyć jego zdjęcie? Gdzieś tu je mam. Znaleźliśmy je przed wyjazdem na urlop do Włoch. To było dwa lata temu. Nie podobali mi się ci Włosi. W hotelu nieustannie na nas krzyczeli, bo zabraliśmy ze sobą z Polski całe jedzenie. I co w tym złego? Nikt nie jest milionerem.

— Niech pani nie zawraca sobie głowy tą fotografią — powiedział Rej, wstając z krzesła. — Bardzo mi pani pomogła. Ślesińska popatrzyła na niego, miała ściągniętą twarz.

— Nie mogę znieść myśli, że w taki sposób utraciłam Bronisława.

— Obiecuję pani... robimy wszystko, co w naszej mocy, żeby ustalić, kto to zrobił.

— Musiałam pochować jego pozbawione głowy ciało. I to jest w tym najstraszniejsze. Zupełnie jakbym go w ogóle nie pochowała. Rej łagodnie położył dłoń na jej ramieniu.

— Może kiedy znajdziemy sprawcę, zagna wreszcie całkowitego spokoju.

Ale gdy stanął już na ulicy i zapalił papierosa, zaczął poważnie wątpić, czy uda mu się odkryć, kim lub czym jest Oprawca. A jeśli nawet w jakiś sposób sztuka ta się powiedzie, czy będzie w stanie go schwytać. Oprawca coraz bardziej jawił mu się w myślach jako diabeł z opowieści Brzezickiego, który ściga ludzi i kierowany żądzą odwetu, zabija rodzinę wybranego człowieka do ostatniego pokolenia.

Tego popołudnia udało mu się złożyć jeszcze dwie wizyty — w biurze turystycznym oraz w klinice na Ochocie, w której pracował lekarz od gardła i uszu. Żaden z kolegów przewodnika nie słyszał nic ani o jego rodzinie, ani o

przeszłości. Przebąkiwano tylko, że gdzieś w Poznaniu mieszka jego siostra. Ale w klinice gadatliwa, starsza recepcjonistka wiedziała wszystko o swym zmarłym pracodawcy; znała nawet rozmiar jego obuwia („Zazwyczaj prosił mnie, żebym kupowała mu skarpetki, bo sam nigdy na to nie miał czasu”).

Wiedziała również, że w powstaniu był łącznikiem u „Radosława” — pseudonim wojenny pułkownika Jana Mazurkiewicza — i brał udział w żartach bojach, kiedy Niemcy zaczęli spychać powstańców na Stare Miasto. — Nie opowiadał o tym zbyt często... czasami tylko pod koniec tygodnia, gdy sprzątałyśmy klinikę, zaczynał rozwodzić się na ten temat. Stawiał na stole butelkę wiśniówki i wypijaliśmy sobie po kieliszku.

— A czy pamięta pani, co mówił?

— Wiele rzeczy. W czterdziestym czwartym miał czternaście lat. Utrzymywał, że robił rzeczy tak niebezpieczne, iż później, już po wojnie, gdy wracał myślami do tych czasów, cierpła mu skóra i dygotał bardziej, niż gdyby złapała go grypa. Ale wtedy był młody, zادیorny i wcale się nie bał. Wtedy też zakochał się w łączniczce. Nie pamiętam jej imienia, choć kilkakrotnie je wymienił. Po upadku powstania pozbył się powstańczej opaski i udawał cywila. Ale dziewczyna opaski się nie wyrzekła i podobnie jak wielu innych powstańców Niemcy wysłali ją do obozu koncentracyjnego. Nigdy już jej nie spotkał. Ale twierdził też, że nigdy przedtem ani później nie kochał tak żadnej kobiety.

— Jest pani bardzo miła — powiedział Rej.

— Nieważne — machnęła ręką recepcjonistka. — Ale tak czy siak, mordercę już
schwytałyście. Czytałam dzisiejszą gazetę.

— Złapaliśmy... kogoś — przyznał Rej.

— Lepszy rydz niż nic, prawda? Rej odwrócił głowę.

— Nie jestem tego taki pewien.

Gdy już wyszedł z kliniki i otwierał samochód, wybiegła za nim recepcjonistka.

— Komisarzu, przypomniałam sobie!

— Co pani sobie przypomniała?

— Imię tej dziewczyny. Dziewczyny, w której kochał się doktor. Nazywała się

Ewelina!

Przed komendą panował taki ścisk i rozgardiasz, że Rej musiał siłą torować sobie drogę przez tłum dziennikarzy i telewizyjnych sprawozdawców. Był już prawie przy drzwiach, kiedy oślepił go błysk flesza, a przez tłum przepchnęła się Anna Pronaszka.

— Dzień dobry, komisarzu. I jak się pan czuje, gdy aresztowano Oprawcę?

— Nie wiemy jeszcze, czy aresztowany jest Oprawcą. Jeśli tak... cóż, będę zachwycony.

— Czy nie są to kwaśne winogrona, komisarzu!

— Realizm, tylko realizm, pani Pronaszka.

W samym budynku również brzęczało jak w ulu, wszyscy byli zaaferowani i ożywieni, więc Rej, żeby dostać się do swego biura, musiał przepychać się między zabieganymi policjantami i podekscytowanymi sekretarkami. Wszędzie dzwoniły telefony, wszędzie pokrzykiwali ludzie.

Nadkomisarz Dembek ogłosił już, że prezydent osobiście przysłał mu depezę z gratulacjami (jakkolwiek wielu oficerów reagowało na tę wiadomość sceptycznym, głośnym cmokaniem). Roman Zboiński i jego kompani zostali

oficjalnie oskarżeni o morderstwo, spisek, porwanie, defraudację oraz posiadanie nielegalnej broni i kradzionych przedmiotów. Naturalnie wszystkiego się wyparli. Człowiek wskazany przez Rubę jako osoba, która uprowadziła Antoniego Dłubaka z Ogrodu Saskiego, utrzymywał, że w czasie porwania przebywał z wizytą u krewnych w Budapeszcie.

Ale nadkomisarz Dembek życzył sobie mieć głowę Romana Zboińskiego podaną na tacy i nieustannie powtarzał to w wywiadach udzielanych ogólnokrajowym sieciom telewizyjnym.

Rej dotarł w końcu do swego gabinetu. Długo stał bez ruchu i wpatrywał się w puste biurko swego zastępcy. Leżały na nim jeszcze notatki zrobione ręką Matejki. Stał jego kubek, z którego pijał kawę, a w niewielkiej szklanej butelce gubiła ostatnie płatki róży. Kwiat ten Matejko dostał od żony.

Pojawił się Jarczyk z butelką piwa w ręku.

— Stefan, świętujemy! — oświadczył. — Chcesz się napić? Powędrował oczyma za wzrokiem Reja i odstawił flaszkę.

— Bardzo mi przykro. Jerzy był jednym z naszych najlepszych ludzi. Zajmiemy się jego żoną i dzieckiem.

Rej miał mu do powiedzenia wiele przykrych i kąśliwych słów. Ale dopóki nie dowie się więcej szczegółów o Oprawcy, nie chciał w komendzie nikogo do siebie zrażać; nawet Dembka. Poskromił zatem język i nic nie odpowiedział.

— Prezydent przysłał nam telegram — mówił Jarczyk. — Daj spokój, Stefan... tak już czasami bywa. Pomyśl, że równie dobrze to mogłeś być ty. Mogłem to być ja.

— Wiem — odparł prawie szeptem Rej. — A tak swoją drogą... czy zakończono

przeszukiwanie kanałów?

— Do pewnego stopnia. Nie znaleźli nic szczególnego.

— Co rozumiesz przez „do pewnego stopnia”?

— To nie jest wcale takie proste. Kanały tworzą istny labirynt. I nikt nie wie, na co można się w nich natknąć.

Rej uniósł lekko mały palec, wciąż zabandażowany i usztywniony.

— Witek, ja tam byłem. Wiem. To jest dowód.

— Przepraszam, Stefan. Przykro mi, że Dembek odebrał ci tę sprawę, przykro mi z powodu Jurka. Ale nie możesz się aż tak tym zadręczać. Odnieśliśmy ogromny sukces, a ty masz w tym wielki udział. To również twój sukces.

— W porządku, Jarczyk. Głównie to twój sukces. A teraz... jak daleko posunął się Jerzy z przeczesywaniem tych kanałów?

— O co ci chodzi? To już sprawa zamknięta. Mamy trzech świadków oraz wszelkie wyniki analiz medycyny sądowej, jakich potrzebujemy.

— Tak. Jeśli chodzi o zabójstwo Dłubaka, to tak.

— Mnie wystarczy, jeśli Zboiński dostanie czapę.

— A czy mamy konkretne dowody na to, że zamordowanie Dłubaka jest w jakiś sposób powiązane z poprzednimi zabójstwami Oprawcy? — zapytał Rej.

Jarczyk zaczął wyliczać na palcach.

— Po pierwsze: sposób. Wszyscy mieli odcięte głowy. Po drugie: motyw, nad którym właśnie pracuję. Kamiński i Dłubak jednocześnie badali sprawę brudnych pieniędzy Zboińskiego. Powód, z jakiego ich sprzątnął, jest oczywisty. Odkryłem też, że Ślesiński pracował na poczcie w dzielnicy Zboińskiego.

Listonosza oskarżano o to, że kradł pocztę... istnieje zatem możliwość, że

zdobył coś, na czym Zboińskiemu zależało.

— To trochę naciągane, nie sądzisz? — przerwał mu Rej. — A co z dziewczyną ze sklepu spożywczego? Czyżby sprzedała Zboińskiemu nieświeżą kiełbasę? A przewodnik z biura turystycznego? Może wysłał go w niewłaściwym kierunku? A Ewa Zbórkowska? A niemieccy robotnicy?

— Jak już mówiłem, pracuję nad tym — odparł gniewnie Jarczyk.

— A więc dobrze — powiedział znużony Rej, przecierając oczy. — Pracuj dalej. Czy Jerzy zostawił jakieś plany, na których zaznaczył, dokąd udało mu się dotrzeć kanałami?

— Mam to u siebie w biurze — powiedział Jarczyk. — Ale z tego, co pamiętam, dotarł nie dalej niż pod Żurawią na południu i Żelazną na zachodzie. To niewiele.

— A co z orzeczeniami medycyny sądowej? Są jakieś wieści od Wojniakowskiego?

— Tak... Antoniego Dłubaka torturowano hakiem sztauerskim, który znaleźliśmy u Zboińskiego w kuchni. Pojawił się Dembek.

— Stefan! Gdzie twoje piwo?

— Nie ma sprawy, Artur — odrzekł Rej. — Ja nie zostaję. Podejrzewam, że muszę sobie kropnąć coś mocniejszego.

Irena narysowała Sarah dokładny plan, jak ma dotrzeć do mieszkającej na Mokotowie narzeczonej Jana Kamińskiego. Choć szkic zawierał dramatyczne instrukcje w stylu: „Tutaj skręć w prawo!!!” i „Tą ulicą nie jedź!!!”, Sarah trzy razy się zgubiła i musiała w końcu zapytać o drogę jakiegoś bezzębego starszego jegomościa o zniszczonej twarzy, z siwą szczeciną na policzkach.

Mężczyzna oświadczył jej, że jest najpiękniejszą kobietą, jaką spotkał w życiu, i zaprosił ją na godzinę lub dwie do własnego łóżka.

Hanna Peszka mieszkała w dużym jednorodziennym domu z tarasem wychodzącym na ustronny, doskonale utrzymany ogródek. Mimo że minęła już siódma, panował upał, a przez pootwierane na oścież okna do mieszkania wpadał szum ulicznego ruchu.

Jej ojciec nie wrócił jeszcze z pracy, a matka robiła w kuchni sałatkę z ogórków. Brat siedział w swym pokoju i z pasją, do upadłego, ćwiczył na gitarze Satisfaction. Hanka zaprowadziła Sarah do salonu, gdzie usiadły na wielkiej kanapie obitej czerwonym adamaszkiem, stojącej obok groteskowej, porcelanowej donicy z farbowaną na różowo ostnicą.

Hanka była skromną, drobnokościstą blondynką posiadającą jednak wiele wdzięku. Ciemne sińce pod oczami mówiły, ile wycierpiała po śmierci narzeczonego. Mówiła cichym, spokojnym głosem i tylko od czasu do czasu podnosiła głowę.

— Pani nie jest z policji, prawda? — zapytała.

— Nie. Komisarz Rej prosił, żebym z panią porozmawiała. Sądził, że tak będzie pani łatwiej.

— Wciąż nie mogę uwierzyć w to, że Janek nie żyje. To śmieszne, prawda?

Patrzę na telefon i łapię się na tym, że chcę do niego zadzwonić.

— Potrzeba wiele czasu, żeby człowiek w końcu pogodził się z czymś takim.

— Napije się pani kawy albo herbaty? — zapytała Hanka. — Naprawdę nie wiem, co mam pani powiedzieć. Podobno złapano już człowieka, który zabił Janka i tamtych innych ludzi.

— Tak im się wydaje — odparła z uspokajającym uśmiechem Sarah. Hanka trzymała w dłoni złożone papiery.

— Janek zostawił je u mnie... nie chciał trzymać ich w swoim biurku w rozgłośni, bo pracownicy mają zwyczaj grzebać w cudzych rzeczach. Gdy zginął, zerknęłam do tych papierów. Nie wiem, czy cokolwiek pani pomogą. O, tutaj, widzi pani... — pośliniła palec i odwróciła pięć czy sześć kartek. — Ciągłe wspomina o człowieku noszącym nazwisko Zboiński. Niewiele się w tym orientuję, ale wszystko wskazuje na to, że ten Zboiński wykorzystywał Bank Kredytowy Yistula do sprzedaży kradzionych samochodów.

— Mogłabym rzucić na to okiem? — zapytała Sarah i Hanka wręczyła jej papiery.

Pierwsze strony zawierały krótkie, zwięzłe notatki, które Kamiński zrobił, przygotowując się do śledztwa w sprawie prania pieniędzy pochodzących z handlu kradzionymi samochodami, jaki Zboiński prowadził w Gdańsku, za pośrednictwem konta na nieprzewidziane wydatki Senate International. Sens tych robionych na kolanie zapisków był jednak oczywisty. Zboiński kradł luksusowe samochody we Francji, w Niemczech i Wielkiej Brytanii, a Senate International „kupował” je jako „limuzyny dla gości i klientów”, jako „samochody dostawcze” lub zgoła jako „sprzęt klimatyzacyjny”. Następnie towar „sprzedawano” jako nadwyżki lub przedmioty uszkodzone zdumiewającej liczbie firm zajmujących się handlem złomem i regeneracją sprzętu w Bułgarii, Czechach i Rumunii. Księgowano, a potem wpisywano w straty ogromne sumy, lecz tak naprawdę żadnych strat nie było. Pieniądze te stanowiły przekraczający trzy i pół miliona dolarów profit Zboińskiego.

Uwagę Sarah przykuła przedostatnia strona. Była tam krótka uwaga napisana ołówkiem: „Musi być w to wplątany któryś z wysokich urzędników Senate International, ponieważ Antoni Dłubak utrzymuje, iż wszystkie te transakcje są zatwierdzane przez urzędnika najwyższego szczebla. Sarah Leonard? Możliwe. Mówi płynnie po polsku i posiada b. rozległe kontakty w Warszawie. Dłubak jednak utrzymuje, że jest to ktoś na wyższym stanowisku, w samym Nowym Jorku. Świadczyć o tym może osobliwy faks dotyczący konta na nieprzewidziane wydatki przesłany do Warszawy, adresowany na Jacka Studnickiego, a przez pomyłkę dostarczony Antoniemu Dłubakowi”.

Ostatnia strona notatek stanowiła fotokopię owego „osobliwego faksu”.

Napisany był po angielsku. „Przygotować wszystko na przerzut z Gdańska, który odbędzie się w przyszłym miesiącu. Sprawdzić, co się stało z towarem na statku z Rotterdamu. Jestem bardzo zadowolony z waszego działania. Niczego bardziej nie pragnę, niż dojść do pieniędzy, a przy okazji zemścić się na tej suce Lewandowicz”.

— Widzi pani to? — zapytała Sarah. — Tę wzmiankę o „tej suce Lewandowicz”? Hanna

Peszka potrząsnęła głową.

— Nie wiem, o co w tym chodzi. Nie znam nikogo o takim nazwisku. I nie słyszałam, żeby kiedykolwiek wspominał je Janek.

— O, dobrze znam to nazwisko — odparła Sarah groźnym tonem. Przez otwarte okno widać było niebo przybierające daleko na zachodzie barwę miedzianozieloną. Przecięła je błyskawica, przetoczył się odległy grom. — „Ta

suka Lewandowicz" to ja. Moja rodzina nosiła to nazwisko, ale ojciec zmienił je, gdy po wojnie wyemigrował do Ameryki. Tamtego nikt nie potrafił wymówić, więc przybrał inne, Leonard.

— A zatem pani wie, kto jest autorem tego faksu?

— Domyślam się. Tylko dwie osoby w nowojorskim biurze wiedzą, że Itiedys nazywałam się Lewandowicz... moja sekretarka i mój szef, Ben Saunders.

Muszę ze wstydem się przyznać, że był kimś więcej niż tylko szefem.

— Zatem uważa pani, że Janka zabił Zboiński?

— Miał motyw, prawda? Ale muszę o tym porozmawiać z Be-nem. Nie wspominając już o policji.

Rozdział trzynasty

Marek umówił się z Claytonem na Koszykowej w pobliżu bloku, w którym stawiał w windzie czoło Okuniowi. Clayton ubrał się w niebieską koszulę z krótkimi rękawami, która na plecach lepiła się od potu. Minę miał bardzo nieszczęśliwą.

— Lepiej nie pytaj — sapnął, zanim Marek zdążył powiedzieć mu dzień dobry.

— Mam dziś parszywy dzień. Z kimkolwiek bym rozmawiał, w odpowiedzi otrzymuję jedynie uprzejme uśmiechy i żadnych informacji. Cały kłopot w tym, że mój polski nie jest jednak najlepszy.

— Człowieku, twój polski jest doskonały — zapewnił go Marek.

— Nie próbuj mi pochlebiać, dzieciaku — odrzekł po angielsku Clayton. — Nie mam do tego nastroju. No dobrze, gdzie widziałeś tego gościa wylazącego z kanału? Marek postukał czubkiem adidasa we właz do studzienki kanalizacyjnej.

— Wynurzył się z niej jak diabeł z pudełka, zupełnie jakby robił to codziennie.

— Może robi to codziennie. Może jego praca polega właśnie na inspekcji kanałów.

— Nie sędzę. Nie było to normalne. Wprawdzie gdyby pan i komisarz Rej nie wspominali o tym, że Oprawca przemieszcza się kanałami, nie zwróciłbym na niego uwagi, ale... sam nie wiem. W tym człowieku było coś dziwnego.

Rozumie pan, otaczała go jakaś aura.

— Aura? Wcale mnie to nie dziwi. Pochodź tymi kanałami, a po wyjściu sprawdź, czy nie otacza cię aura.

— Ja mówię poważnie. Było coś w jego wyglądzie. A sposób, w jaki się stamtąd wynurzył, wskazywał na to, że jest to dla niego rzecz najoczywistsza pod słońcem.

— Pilnuj — mruknął Clayton, przyklęknął na chodniku i pomagając sobie składanym nożem, odsunął pokrywę włazu.

Wprawdzie kilku przechodniów obejrzało się w jego stronę, żeby zobaczyć, co robi, lecz właściwie nikt nie zwrócił większej uwagi ani na klęczącego Clayтона, ani na Marka. Amerykanin zerknął do cuchnącego, pełnego ech kanału. Po chwili to samo zrobił Marek. W mroku dostrzegli jedynie lśniąca powierzchnię płynących powoli ścieków i własne odbicia; niczym utopione dusze.

— Z tego włazu nieustannie ktoś korzysta — stwierdził Clayton, poruszając klapą.

— Wokół krawędzi dekła nie ma brudu, a zawiasy lśnią... spójrz, ta klapa jest bardzo często otwierana i zamykana. Szczelble drabiny również lekko błyszczą. Ktoś musi często po nich chodzić.

— I co pan o tym myśli? Clayton zamknął otwór.

— Albo jest to najczęściej sprawdzany właz w całej Warszawie, albo też twój nowy znajomy, pan Okuń, używa tego kanału jako drogi Bóg jeden wie dokąd. Co, oczywiście, nie znaczy wcale, że jest Oprawcą. Ale warto to sprawdzić.

— Uważa pan, że powinniśmy tam zejść?

— Jeszcze nie teraz. Obserwuj przez weekend to miejsce... sprawdź, czy Okuń powtarza swoje eskapady. Masz kolegów, którzy by ci w tym pomogli?

— Pomogli? — zapytał Marek. — To byłoby fantastyczne!

— Jasne — odrzekł Clayton.

Z obojętną miną sięgnął do kieszeni spodni i wyciągnął gruby zwitek polskich banknotów. Odliczył równowartość ponad stu dolarów i wsunął pieniądze w kieszeń skórzanej kurtki Marka.

— To ci powinno wystarczyć. Podziel się forszą z kolegami, którzy zechcą ci pomóc. Jeśli chcesz mojej rady, zainstaluj się w barku kawowym po drugiej stronie ulicy. Stamtąd będziesz miał na oku cały teren. Jak tylko zobaczysz, że Okuń wchodzi do kanału lub z niego wyłazi, natychmiast do mnie zadzwoń, a ja niezwłocznie pojawię się z dwiema latarkami. — Popatrzył na buty Marka. — Poza tym zmień buty na najgorsze, jakie znajdziesz w domu. Chyba że zamierzasz brodzić w posiłkach z drugiej ręki w swych dansingowych eleganckich pantoflach.

— W porządku — odparł chłopak. — Będziemy w kontakcie. Przeszedł przez jezdnię do wskazanego barku i pchnął drzwi.

W środku było gorąco i gwarno, na krzesłach obitych czerwonym plastikiem siedzieli tutejsi bywalcy. Hałaśliwie pracował ekspres do kawy. Miejsce

rzeczywiście wspaniale nadawało się do obserwacji terenu. Marek usiadł przy oknie, po czym zamówił kawę i ciasto z rodzynkami. Widział Claytona, który cały czas stał zamyślony nad włazem. Amerykanin od czasu do czasu rozglądał się i marszczył brwi.

Po czterech minutach detektyw, nie patrząc w stronę Marka, odwrócił się na pięcie i zniknął w tłumie. Chłopak rozsiadł się wygodniej na krześle. Miał przed sobą długi, samotny wieczór.

O dwudziestej trzeciej, pięć filiżanek kawy później, pojawiła się przy stoliku kelnerka z bloczkiem.

— Musi pan już kończyć — powiedziała. — Zamykamy.

— A o której jutro otwieracie?

— Od siódmej. Dlaczego pan pyta? Nie zna pan ciekawszych miejsc?

Marek przesłał jej bezmyślny uśmiech.

— Podoba mi się u was. Czy to zbrodnia?

Kelnerka z niedowierzaniem omiotła wzrokiem wewnątrz barku.

— Cóż, zbrodnia to nie jest. Ale może należałoby skonsultować się z lekarzem.

Gdy rozległ się dzwonek u drzwi, Sarah pracowała właśnie przy komputerze.

Syknęła ze złością i poszła otworzyć. Pisała dla Senate International

cotygodniowe sprawozdanie z postępu prac. Ostatnio najwyraźniej wszystko

sprzysięgło się przeciw niej. Najpierw pomagała Rejowi, później odbyła

spotkanie z komitetem miejskich planistów z Katowic, a jeszcze później

konferencję promocyjną z agentami brytyjskiego biura podróży, którzy mieli

potargane włosy, byli nie ogoleni i dręczył ich koszmarny kac.

Otworzyła drzwi. W progu stała wysoka, szczupła czternastolatka ubrana w

dżinsy i t-shirt Björk. Dziewczynka miała jedwabiste jasnoblond włosy sięgające prawie pasa, szczupłą twarz, wielkie, wrażliwe, brązowe oczy i lekko cofnięty zgrzyz, który sprawiał, że wyglądała jak leśne stworzenie z rysunkowych filmów Disneya. Ale kiedy wyciągnęła do Sarah dłoń, nie była wcale zdenerwowana.

— Tata pyta, czy pani jest już gotowa — powiedziała.

— Gotowa? Na co gotowa?

— Tata powiedział, że wybieramy się do stadniny. Powiedział też, że nie musi pani brać zbyt wielu rzeczy. Wystarczy jedna zmiana ubrania i szczoteczka do zębów.

— A, to ty jesteś Katarzyna Rej — domyśliła się Sarah, podając dziewczynce rękę.

— Wejdz. Gdzie jest teraz twój ojciec?

— Czeka na dole. Powiedział, że pani zrozumie, dlaczego nie wszedł ze mną.

— Jasne, rozumiem. Nic mi nie wspominał, że zamierza zabrać nas dziś na konną jazdę.

— Sama o tym nie wiedziałam. Ale bardzo się cieszę. Czy pani z nami pojedzie?

Sarah zerknęła na komputer i ekran wyświetlający nie dokończone sprawozdanie. Pomyślała o Benie, o Brzezickim i wszystkich innych problemach, które zaprzętały jej głowę. Ale była przecież sobota, a ona, do ciężkiej cholery, nie siedziała w siodle od czasu, gdy była w Pradze. Ostatecznie sprawozdanie może dokończyć po powrocie, w niedzielę wieczorem, a następnie przesłać je pocztą elektroniczną.

Lecz dopiero dzwonek telefonu utwierdził ją w przekonaniu, że podejmuje

słuszną decyzję. Zostawiła rozmowę automatycznej sekretarce i ruszyła do sypialni, gdzie z górnej półki w szafie zdjęła podróżny neseser.

— Wiesz, dokąd się wybieramy?

— Tata mówi, że gdzieś na wieś. Do domku letniskowego jednego z jego przyjaciół.

Sarah zapakowała dzinsy Yersace, koszulkę polo od Charlesa Tyrwhitta, którą nabyła w Londynie, biały obcisły sweter, bieliznę i przybory toaletowe. Na drugim końcu łóżka ulokowała się Katarzyna i obserwowała ją, bawiąc się szminką do ust firmy Chanel oraz, co gorsza, słoiczkiem z serum do twarzy Guerlina.

— Twój tata twierdzi, że nie spotykacie się zbyt często — przerwała milczenie Sarah.

— Jest ciągle zajęty. Tak twierdzi.

— Ale teraz nie jest zajęty.

— Myślę, że rola ojca niezbyt mu się podoba. Sarah wrzuciła jeszcze do torby szczotkę do włosów i zapięła suwak.

— Nie odniosłam takiego wrażenia. Myślę, że się cieszy, iż jest ojcem, zwłaszcza twoim. Cały kłopot polega na tym, że nie widział, jak dorastasz. Nie wie, jak to jest, kiedy masz czternaście lat i wszyscy uważają cię jeszcze za dziecko, a ty już stałaś się kobietą. Katarzyna przesłała jej bardzo dziwne spojrzenie; trochę defensywne, lecz głównie pełne zdziwienia, i Amerykanka odniosła wrażenie, że matka dziewczyny nigdy jeszcze w taki sposób z córką nie rozmawiała. Pamiętała z młodzieńczych lat pięć lub sześć swoich przyjaciółek pochodzących z rozbitych rodzin. Każde z ich rodziców było

nieprzytomnie zaborcze, każde udawało, że ich córeczka stanowi najdrogocenniejszy skarb, ich własność, ich dzieciąteczko, podczas gdy to dzieciąteczko wyrosło już na wymagającą i w pełni rozumiejącą życie młodą kobietę.

— Chodźmy — powiedziała.

Sprawdziwszy, czy wszystkie kurki w kuchence gazowej są pozakręcane, a okna dobrze zamknięte, wyszła z mieszkania, przepuszczając przodem dziewczynę.

Rej czekał na nie, pocąc się w passacie. Miał na sobie nową, sportową koszulę, na której przedzie widać jeszcze było zagięcia z fabrycznego opakowania. Gdy tylko dostrzegł zbliżające się Sarah i Katarzynę, wyskoczył z auta i otworzył bagażnik. Sarah podeszła do niego z neseserem i powiedziała szeptem:

— Nic nie wspominałeś, że należysz do osób, które słowa innych ludzi traktują poważnie.

Rej zdjął przeciwsłoneczne okulary. W oczach malowało mu się wyraźne zakłopotanie.

— Przepraszam, ale to ty sama sugerowałaś, żeby zabrać ją na konie. A nie wiedziałem, jak cię zapytać.

— Nie ma sprawy, komisarzu — odparła Sarah, po raz pierwszy czując do niego niekłamaną sympatię. — Cieszę się na ten wyjazd.

— Naprawdę?

— Przecież tu jestem. Spakowana i we własnej osobie. Poza tym — dodała z uśmiechem — zdążyłam się już zaprzyjaźnić z twoją córką.

Rej nic nie odpowiedział. Umieścił jej bagaż obok koła zapasowego i spieszenie ruszył otworzyć drzwi samochodu. Wsiadając do auta, Sarah przesłała mu jeden

z najbardziej cierpkich uśmiechów. Katarzyna zajęła miejsce z tyłu wozu.

— Powinieneś być jednak mnie poinformować, że wyjeżdżamy, i dokąd —
stwierdziła Amerykanka, kiedy jechali już przez centrum miasta. — Na
wypadek, gdyby firma chciała się ze mną skontaktować.

Rej potrząsnął głową.

— Nikt nie będzie mógł się z tobą kontaktować. Jedziemy do Czerwińska. Jako
dziecko spędzałem tam z rodzicami wakacje. To śliczne okolice.

— Wczoraj wieczorem rozmawiałam z narzeczoną Jana Kamińskiego —
zmieniła temat.

— Później do ciebie dzwoniłam, ale nikt nie odbierał.

— Zgadza się. Pojechałem po Katarzynę. Co powiedziała narzeczona
Kamińskiego?

— Czy rozmawiamy nieoficjalnie?

— To zależy. Jeśli twoje informacje pomogą zidentyfikować Oprawcę, to nie.

— Cóż, nie wiem. Może i tak. Narzeczona Kamińskiego przekazała mi notatki z
prowadzonego przez niego śledztwa.

Sarah obserwowała go, gdy jechali przez Żoliborz, elegancką dzielnicę
wybudowaną w latach dwudziestych dla „urzędników” i „robotników”, obecnie
pełną ślepych zaułków utworzonych przez nowo wzniesione budynki, drzew
oraz wspaniale utrzymanych zieleńców. Ta część Warszawy tak przypominała
przedmieścia Chicago, że Sarah chwilami z trudem uświadamiała sobie, iż
znajduje się w Polsce. Ale ostatecznie dlaczego nie? Emigranci z Polski, którzy
osiedlili się w Chicago i jego okolicach, zabrali ze sobą część swego ojczyzny.
Wzorzyste firanki w oknach, podrdzewiały, liczący na oko dobrych

dziewiętnaście lat polonez dumnie zaparkowany przed domem, pęki białych i różowych kwiatów w oknach, matka w chustce na głowie, przechadzająca się z dzieckiem dokładnie tak samo, jak jej matka przechadzała się z nią, kiedy Sarah była jeszcze małą dziewczynką. Taki sam świat. Żadnego Senate International, żadnego Bena, żadnego Brzezickiego. Żadnych diabłów, żadnych morderstw, żadnych nieprzekraczalnych terminów. Sarah po raz pierwszy od wielu lat zaczęła litować się nad sobą. Po raz pierwszy ogarnął ją wstyd, że nosi nazwisko Leonard.

Gdy posuwali się Marymoncką na północ, zaczęła wyjaśniać Rejowi, w jaki sposób wykorzystywano konto na nieprzewidziane wydatki Senate International w celu prania pieniędzy Romana Zboińskiego. Mówiła także o podejrzeniach Kamińskiego, że to ktoś z nowojorskiej centrali przedsiębiorstwa zorganizował i prowadził ów interes.

Na końcu powiedziała o faksie, który wspominał „o tej suce Lewandowicz”.

Wtedy też Rej po raz pierwszy podczas jazdy popatrzył na Sarah.

— Lewandowicz? To ty? Naprawdę nazywasz się Lewandowicz?

— Tak. I co w tym dziwnego? Wielu Polaków po przyjeździe do Ameryki zmienia nazwiska.

— Ale tego o tobie nie wiedziałem. To, że masz polskie nazwisko, dodaje ci człowieczeństwa.

— Jak to?

Rej wzruszył ramionami i popatrzył na Sarah z krzywym uśmiechem.

— Kiedy cię po raz pierwszy zobaczyłem, stanowiłaś dla mnie uosobienie amerykańskiego kapitalizmu. Byłaś niczym robot w zespole. Krzyczałaś na

ludzi, ponieważ wiedzieli, że masz prawo na nich krzyczeć. Jeśli nie chcieli cię słuchać, miałaś za sobą całą potęgę Senate International Hotels, a więc musieli ci się podporządkować. Ale coś mi mówiło, że wcale taka nie jesteś. Sara Leonard może jest twarda i mówi prosto z mostu... jak nazywają cię znajomi? Przebój owiec? Ale bacznie cię obserwowałem. Tak, słuchałem tego, co mówisz, i teraz wcale mnie nie zaskoczyło, że tak naprawdę nazywasz się inaczej, po polsku. Potrafiłaś czasami mówić po ludzku, więc zacząłem podejrzewać, że może jednak tkwi w tobie źdźbło człowieczeństwa. I oto proszę, nazywasz się Lewandowicz. Wyszło na moje. Okazałaś się kimś zwyczajnym.

Zamierzał właśnie wyprzedzić ogromną ciężarówkę z naczepą załadowaną ceglami z siporeksu, lecz nagle we wstecznym lusterku dostrzegł z tyłu na lewym pasie inną olbrzymią ciężarówkę. Cofnął się w ostatniej chwili i minął pojazd dosłownie o centymetry. Passat zatrzęsł się na swym twardym zawieszeniu, a Katarzyna jęknęła:

— Tato!

— Dobrze, dobrze, nic się nie stało — uspokoił córkę Rej. Zwolnił, pozwalając, żeby ciężarówka oddaliła się nieco. — Czy wiesz, kim może być ten człowiek, który pragnie odwetu na „tej suce Lewandowicz”?

— W stu procentach pewna nie jestem, ale wydaje mi się, że to Ben Saunders.

Kiedy pracowałam w Nowym Jorku w Senate International, nadepnęłam na odcisk wielu ludziom i jest kilka osób, które nazwałyby mnie suką. Ale tylko nieliczni znają moje polskie nazwisko, Lewandowicz. Wśród nich jest oczywiście Ben.

Rej wsunął w usta papierosa, ale go nie zapalał.

— A zatem istnieje możliwość, że za praniem pieniędzy Zboińskiego stoi właśnie Ben? Sarah skinęła głową.

— Nie rozumiem tylko, po co miałby tak ryzykować. Pochodzi z bardzo zamożnej rodziny.

— Bogacze są równie zachłanni jak wszyscy inni. Ale jeżeli związał się ze Zboińskim, a Zboiński zabił Antoniego Dłubaka, by zatrzeć ślady... cóż, może się okazać, że ten twój Ben jest bardziej niż zachłanny. Jak zwykły bandzior mógł osobiście wziąć udział w morderstwie albo je nawet zorganizował. — Rej zamilkł i po chwili dodał: — Może też okazać się po prostu zwykłym gównem. Sarah wybuchnęła śmiechem, wyjęła mu z ust papierosa i wsunęła z powrotem do paczki. Ogarnął ją cudowny nastrój i zastanawiała się chwilę dlaczego. Odniosła wrażenie, że wielki wpływ na to ma Rej. Polski policjant dawał jej poczucie bezpieczeństwa, jakiego nie zapewnił jej żaden inny mężczyzna poza Yictorem, jej ojcem. Rej bardzo przypominał Yictora. Sprawiał wrażenie człowieka zmalretowanego, a jednocześnie zdecydowanego. Z drugiej strony jednak jej ojciec był delikatniejszy, szczuplejszy i znacznie bardziej elegancki niż Rej.

No i nigdy nie był komunistą.

Mijali Lasek Bielański porośnięty ciemnymi, wysmukłymi sosnami. Między drzewami

migały sylwetki spacerowiczów i trenujących biegaczy. Gdy opuścili miasto, otworzyli okna i do wnętrza samochodu wpadło ciepłe powietrze. Sarah zdjęła pantofle i oparła bosc stopy o tablicę rozdzielczą. Rej włączył radio, po czym

cała trójka zaczęła wtórować Tinie Turner: „You're simply the best... better than dli therest...”*

— Wprost nie mieści mi się to w głowie — stwierdziła Sarah, wychodząc na werandę letniskowego domku. Za nią wyłonił się Rej z dwoma piwami.

— Każdy musi mieć miejsce, gdzie czuje się ciągle jak dziecko, gdzie może zachowywać się jak dziecko. I to jest właśnie moje miejsce.

Domek wybudowany został w tradycyjnym, staropolskim stylu. Miał otynkowane na biało ściany i czerwony dach kryty dachówką. Przylegał do niego niewielki, ogrodzony ogródek porośnięty zielskiem i makami. Stały w nim cztery opuszczone ule i gołębnik. Budynek znajdował się na końcu wąskiej drogi na skraju

Czerwińska, na skarpie wiślanej. Poprzez brzozy pobłyskiwała szeroka, srebrzysta toń zakola Wisły, a na drugim brzegu rzeki zaczynała się Puszcza Kampinoska, zajmujący ponad sto cztery tysiące kilometrów kwadratowych las — sosny, dęby, olchy i czeremchy.

Delikatny podmuch popołudniowego wiatru rozwiały Amerykance włosy.

Muśnięcie było jak dotyk kochającej osoby. W powietrzu roznosiły się dźwięki jak w największym zakładzie zegarmistrzowskim świata. Świergot tysięcy rozszczebiotanych ptaków, szelest milionów gałęzi topól, olch, brzóz i dębów.

— Podoba ci się tutaj? — zapytał Rej. — W każdej chwili możemy pójść na spacer.

W pobliżu jest bardzo sympatyczny lokalik, gdzie dają wyśmienite jedzenie. A później wybierzemy się do stadniny.

— Czy ma pani własne konie? — zapytała Katarzyna, która wyszła z domu z

puszką coca-coli.

— Miałam, kiedy byłam w twoim wieku. Ojciec bardzo mnie rozpieszczał.

Usiedli na podniszczonych, wiklinowych krzesłach. Nad werandą fruwały motyle.

— Opowiedz mi o swojej rodzime — poprosił Rej. — Czy twój ojciec jest bogaty?

— Cóż, radzi sobie doskonale. Do Chicago przybył w roku czterdziestym siódmym, po śmierci swego ojca. Miał wtedy zaledwie szesnaście lat. Ściągnęli go tam stryjeczni dziadkowie. Prowadzili sklep z dywanami na Milwaukee Avenue... W tej dzielnicy mieszka wielu Polaków. Gdy stryjeczny dziadek przeszedł na emeryturę, interes przejął mój ojciec i szybko stał się największym hurtownikiem w branży dywanowej na Środkowym Wschodzie.

— A twoja matka?

— Też jest Polką. Jej rodzina sprowadziła się do Chicago w czterdziestym dziewiątym.

— Czy oboje twoi rodzice pochodzą z Warszawy?

— Nie, nie. Tylko ojciec. Matka urodziła się w Częstochowie. Tata często opowiadał, jak w powstaniu był łącznikiem AK i nabijał walczącym karabiny. Miał szczęście, że nie zginął. Trudno sobie wyobrazić, by obecnie trzynastoletni chłopcy robili coś podobnego.

Rej wytarł usta kantem dłoni.

— To ciekawe, że wspomniałaś o Armii Krajowej. Rozmawiając z rodzinami i znajomymi ofiar Oprawcy: listonosza, ekspedientki ze sklepu spożywczego oraz lekarza od gardła i uszu, dowiedziałem się, że wszyscy albo sami walczyli w

powstaniu warszawskim, albo też ktoś z ich najbliższych brał udział w walkach.

— Matka Zosi... — Sarah wyprostowała się na krześle. — Tam również była fotografia akowców?

— Zgadza się. Jej ojciec i J. Z. Zawodny. Ewa Zborowska też przechowywała zdjęcie swego ojca z generałem Borem.

— Ale chyba nie wszystkie ofiary miały związek z powstaniem? —

zainteresowała się Sarah. — Przecież niemieccy robotnicy nie mieli z tym nic wspólnego.

— No właśnie. Poza tym nie natrafiłem na jakiegokolwiek związek

Wróblewskiego z Armią Krajową. Był tylko starym człowiekiem, który próbował uratować Ewę Zborowska. Ale to wcale nie znaczy, że nie należy podążyć tym tropem. Gdy twój Al Capone zabijał przeciwników, zabijał przy okazji wielu niewinnych ludzi, którzy przypadkowo stanęli mu na drodze.

— Mój Al Capone? — obruszyła się Sarah.

— No dobrze, wiesz, o co mi chodzi — zbagatelizował Rej. — Chodzi mi o to, że często przypadkowymi ofiarami stają się niewinni ludzie.

— Ale kto chciałby mordować członków rodzin powstańców? Przecież to działo się ponad pół wieku temu... Mówię o malutkiej Zosi, o Ewie Zborowskiej, o Janie Kamińskim... przecież podczas powstania nie było ich jeszcze na świecie! Rej chwilę się zastanawiał.

— Przyjechałem tu z czterech powodów — powiedział. — Po pierwsze, rozpaczliwie potrzebuję odpoczynku. Po drugie, chciałem zobaczyć się z Katarzyną i spróbować być jednak dobrym ojcem. Po trzecie, pragnąłem dobrze przemyśleć sprawę Oprawcy. A po czwarte...

— Oj, sama dużo myślałam o Oprawcy — przerwała mu Sarah. — Tak

naprawdę miałam ostatniej nocy koszmarne sny.

— Opowiedz mi o nich.

Sarah skrzyżowała ręce na piersiach.

— Śnili mi się ci niemieccy robotnicy. Stałam w kanale, a wokół mnie unosiły się strzępy ich ciał... ale każdy strzęp był żywy. I wił się. Było tam serce, które ciągle biło, i ręka, która pełzła po cemencie niczym pająk, i kolano, które zginało się i rozginało.

— Byłaś świadkiem najkoszmarniejszego zdarzenia w swoim życiu — odezwał się Rej.

— Nie dziwię się, że nawiedziły cię senne koszmary.

— O nie... w tym było coś więcej, nie tylko senny koszmar. Gapiłam się i gapiłam w ten kanał. Panował w nim mrok... ciemność większa niż w jakimkolwiek innym miejscu, jakie widziałam. Szłam w tę ciemność, choć wcale tego nie chciałam. I myślałam sobie:

„Muszę tam iść... muszę to ujrzeć na własne oczy”. Bo wiedziałam, że w rurze czai się coś, co nie do końca jest człowiekiem, i koniecznie musiałam sprawdzić, co to jest.

— I co z tego? — zapytał Rej. — Może to rzeczywiście diabeł?

— A jeśli nawet? Jak się go pozbędziemy?

— Kto to wie? Może uda się sztuczka z egzorcyzmami organizowanymi przez twego narzeczonego?

Na werandzie ponownie pojawiła się Katarzyna. Na głowie miała opaskę w kwiaty.

— Może poszlibyśmy coś zjeść? — jęknęła. — Umieram z głodu.

— Jasne — odrzekł Rej. — Chodźmy.

Ruszyli ścieżką biegnącą obok domu. Sarah od czasu do czasu zabijała komary, które siadały jej na ramionach. Powietrze przesączała upajająca woń sosnowej żywicy; zapach powodował zawrót głowy, prawie jak po narkotykach.

Katarzyna szła przodem i łamała kijem rosnącą przy drodze trawę.

— Wyrosła na ładną pannę — stwierdził Rej.

— Jest cudowna — powiedziała Sarah. — Czy przypomina twoją byłą żonę?

Rej skinął głową, ale nie odezwał się słowem.

Gdy zbliżali się do wioski, majaczyło przed nimi dwunasto-wieczne opactwo

Kanoników Regularnych—majestatyczna świątynia w romańskim stylu, z

piętnastowieczną dzwonnica i dobudowanym gotyckim klasztorem. Słońce

ozłacało wieże opactwa i jego strome dachy tak, że cała budowla sprawiała

wrażenie fatamorgany. Kiedy zbliżyli się do kościoła, z rynien zerwało się stado

gołębi i poszybowało na drugi brzeg Wisły.

— Mówi się, że jeśli człowiek wierzy w Boga, wierzy również w diabła. Obaj są równie rzeczywisci.

— Chcesz przez to powiedzieć, że wierzysz w diabły?

— Mam raczej otwarty umysł. Ale moim zdaniem twój przyjaciel Clayton

rozumie to

lepiej niż my. To są prawdziwe morderstwa i mają miejsce w świecie realnym.

Ale

nikt z nas nie wierzy, że jest to sprawka psychopaty, który jak oszalały

przemieszcza się kanałami i atakuje przypadkowych ludzi. Nie wierzymy

jednocześnie, że tych zabójstw dokonuje gang, choć ten żałosny Jarczyk próbuje dowieść właśnie tego.

— A więc co? Morderstwa rytualne? Ofiara?

— Dopóki nie odkryłem tylu powiązań z AK, tak właśnie sądziłem. Nie, moim zdaniem istnieje jeszcze jakieś ogniwo, jakiś element wspólny. Myślę, że chodzi o polowanie.

— Uważasz, że ktoś próbuje zabijać rodziny osób walczących w szeregach Armii Krajowej? Kto może robić rzecz aż tak absurdalną?

— Nie mam zielonego pojęcia. To tylko teoria, a ja niespecjalnie przepadam za teoriami. Ale tamtego dnia, na seansie u Madame Krystyny... cóż, wtedy właśnie otworzyły mi się oczy na wiele innych możliwości.

— Ależ to jakaś skrajność! Mordować czyjeś dzieci lub wnuki za to, co wydarzyło się dawno, dawno temu? Rej wzruszył ramionami.

— W czasach biblijnych ludzie w taki właśnie sposób się mścili. Jeśli ty zabiłaś mi brata, ja zgładzę całą twoją rodzinę, do ostatniego potomka. Piąta Księga Mojżeszowa nakazywała, iż należy brać oko za oko i ząb za ząb i wcale nie stanowiło to skrajności. Była to skierowana do ludzi prośba o zachowanie zdrowego rozsądku.

— Zaskakuje mnie twoja znajomość Biblii.

— Moja żona stała się bardzo religijna. Poza tym każdy powinien znać swego przeciwnika, prawda?

Sarah przystanęła i przesłoniła oczy dłonią przez blaskiem słońca.

— Inna rzecz, że dla ciebie wszystkie te rozmowy o diabłach muszą stanowić ciężki orzech do zgryzienia i nieprzyjemną próbę.

— Jak już ci mówiłem, mam otwarty umysł — odparł Rej. — Jeśli przedstawiś mi niezbite dowody, jestem gotów uwierzyć we wszystko. Nawet w Boga. Ale teraz jestem poza służbą i nie musisz mi salutować.

Dotarli do pierwszych wiejskich chałup. Minęła ich z klekotem fura załadowana świeżo ściętym sianem, w którym niebieściły się chabry.

— Co powiecie o tym, żeby coś zjeść? — odezwał się Rej. Jest tutaj lokal, podają wyśmienite naleśniki.

— Ja mam ochotę na kotlety — oświadczyła Katarzyna. Z frytkami. A na deser lody.

W tej samej chwili Sarah spostrzegła nadchodzącą z przeciwka starą kobietę. Była bardzo drobna, jakkolwiek nieproporcjonalnie do ciała długie ręce nadawały jej nieco małpią sylwetkę, i ubrana całkowicie na czarno. Katarzyna ustąpiła starszce z drogi, a wtedy Sarah stwierdziła, że kobieta jest niewidoma. Jej gałki oczne były białe jak ugotowany dorsz i choć poruszała się dosyć zwawo, przez drogę przeszła pod dziwacznym kątem.

Minęła Reja, lecz gdy znalazła się przy Sarah, gwałtownie przystanęła, uniosła ręce i zaczęła obracać głową na wszystkie strony. Spod czarnej chustki wymykały się jej kosmyki siwych włosów, twarz miała płaską, o prawie mongolskim profilu, z małym ostrym nosem i policzkami pomarszczonymi jak ostatnie jesienne jabłka.

Na każdym palcu i na kciukach nosiła srebrne pierścionki w osobliwe wzory, przypominające jakieś węzły, półksiężycy i splecione ze sobą trójkąty.

— Co tu robisz? — zapytała stara kobieta z szorstkim, wiejskim akcentem. — Dlaczego wleciesz za sobą tę twarz?

— Przyjechałam tu na weekend — wyjaśniła z uśmiechem Sarah. — Tutaj jest tak ładnie, prawda? Taki spokój.

— Dlaczego wleciesz za sobą tę twarz? — ponownie zapytała staruszka. Jej pozbawione wyrazu oczy utkwione były w jakiś punkt nad lewym ramieniem Amerykanki. — Co próbujesz zrobić? Chcesz nam pokazać, jaką jesteś męczennicą?

— Słucham? — odparła zdziwiona Sarah. — Nie rozumiem pani. O jakiej twarzy pani mówi?

— O twarzy, która za wami podąża. Twarzy, która już nigdy was nie opuści!

— Chodźmy, Sarah — powiedział, wzruszając ramionami Rej i ujął ją za dłoń.

— Ona marudzi, to wszystko. W każdej wsi jest ktoś taki. A ona pochodzi z Czerwińska. Ruszyli w dalszą drogę, lecz kobieta szła za nimi. W pewnej chwili chwyciła Sarah za rękaw bluzki i przekręciła mocno dłoń.

— Ej, niech pani da nam spokój! — zaprotestował Rej, kładąc rękę na ramieniu staruszki.

— Zaraz... Stefan — wtrąciła szybko Sarah. — Chcę wiedzieć, co próbuje mi powiedzieć.

Staruszka oblizwała suche wargi i głośno przełknęła ślinę.

— Panno Lewandowicz, może jestem ślepa, ale widzę dużo wyraźniej niż ty.

Sarah przesłała Rejowi szybkie, pełne zdumienia spojrzenie.

— Skąd pani wie, jak się nazywam? — zapytała. Jesteś Lewandowicz, prawda?

— Prawda... ale przecież nigdy jeszcze pani nie spotkałam. Nigdy nawet nie byłam w Czerwińsku.

Starowina mocniej zacisnęła palce na rękawie Sarah.

— Oni wszyscy mają imiona. Wiele, wiele imion, a ja znam je wszystkie. Mam je w głowie, nie w pieśniach, mam zimny, czarny pomnik z wyrytymi na nim nazwiskami. I nikt nie zostanie zapomniany. Nikt. Rataj i Niedziałkowski, Kusociński i Lewartowski, i tak dalej, i tak dalej! Ale nikt nie umarł. Jeszcze nie umarł. Ale są napiętnowani śmiercią, ponieważ za nimi wszystkimi idzie twarz.

— Przepraszam, ale naprawdę nie rozumiem, o co pani chodzi.

— Zrozumiesz, panno Lewandowicz. Twarz twoją widzę wyraźnie jak w dzień. Ale widzę również tę twarz za tobą. Widzę twarz, która towarzyszy ci przez całe życie, a teraz jest już tak blisko jak nigdy dotąd. Nie powinno cię tu być, panno Lewandowicz, i nie powinnaś była sprowadzać ze sobą tej twarzy. Nie tu. Rej oderwał palce staruszki od rękawa bluzki Sarah. Wyciągnął z kieszeni podniszczoną, plastikową portmonetkę i wręczył kobiecie pięć złotych.

— A teraz już niech da nam pani spokój i pójdzie swoją drogą — powiedział.

Staruszka ponownie głośno przełknęła ślinę i wybuchnęła urągłym śmiechem.

— A co mi pan zrobi, jeśli nie dam wam spokoju? Wezwie policjanta?

Rej, Sarah i Katarzyna ruszyli w stronę wsi. Tym razem stara kobieta już za nimi nie poszła. Kiedy jednak przeszli kilka metrów, zawołała:

— Panno Lewandowicz! Musisz mnie wysłuchać!

— Sarah, nie zwracaj na nią uwagi — ostrzegł Rej, lecz Amerykanka się zatrzymała.

— Jeśli chcesz ujrzeć towarzyszącą ci twarz, musisz przed snem włożyć pod poduszkę pięć owoców osiki, kawałek srebra, kawałek bursztynu i kosmyk własnych włosów.

— Teraz już wszystko jasne — wtrącił Rej. — To czarownica. Prawdziwa

czarownica z uprawnieniami.

— Czarownica? — zaskrzeczała staruszka. — Kogo nazywasz czarownicą? A kto inny pamiętałby każde imię i nazwisko? Kto inny zapamiętałby każde poszczególne imię i nazwisko, jeśli nie matka, babka i pogrążony w żałobie?

— Do widzenia pani! — odparł uniesionym głosem Rej. — Życzę miłego popołudnia! Ujął Katarzynę za rękę i przeprowadził przez wioskową drogę. Ale Sarah przystanęła i odwróciła się w stronę starowiny. Wieśniaczka stała nieruchomo na skraju drogi i spoglądała na nią ślepymi oczyma.

— „Pięć owoców osiki — szepnęła do siebie Sarah. — I kawałek srebra, kawałek bursztynu. I kosmyk własnych włosów”.

Zupełnie jakby czytając jej w myślach, zadowolona staruszka odwróciła się i poszła własną drogą. Sarah zrównała się z Rejem i Katarzyną, którzy rozmawiali właśnie o czekającej ich niebawem jeździe konnej. Nie potrafiła wypchnąć z myśli starej kobiety.

— Doprawdy... skąd wiedziała, jak się nazywam?

— Nie wiem. Może przypomniałaś jej kogoś o nazwisku Lewandowicz? Może jesteś podobna do jakiejś innej Lewandowicz? Kto to wie?

— Przecież była ślepa! I o co jej chodziło, gdy mówiła o towarzyszącej mi twarzy?

— Sarah, jest bardzo stara i pewnie pomieszało się jej w głowie. Wojna powodowała nie tylko obrażenia fizyczne.

— Może jednak powinnam pójść za jej radą i włożyć dziś w nocy pod poduszkę wszystkie te przedmioty?

Rej obrzucił ją dziwacznym spojrzeniem, które nie w pełni zrozumiała.

Uśmiechnął się wyraźnie rozbawiony; ale w oczach palił mu się osobliwy blask.

Marek kończył właśnie czwartą kawę i lekturę siódmego komiksu, gdy na schodkach prowadzących do bloku mieszkalnego pojawił się Okuń. Miał na sobie spłowiały czarny kombinezon, a na ramieniu dźwigał brudny toból.

Mężczyzna stał chwilę przed klatką schodową, rozglądając się czujnie w prawo i w lewo, po czym wolnym krokiem skierował się w stronę włazu, z którego wynurzył się poprzedniego dnia.

Marek odłożył egzemplarz „X-Mana” i wyprostował się na krześle. Okuń bacznie lustrował ulicę, sprawdzając, czy nikt go nie obserwuje. W miarę zbliżania się do wejścia do kanałów szedł coraz wolniej. Gdy dotarł już na miejsce, stanął nieruchomo przy włączu.

Po chwili namysłu schylił się i ostrożnie położył toból na chodniku. Wyciągnął z kieszeni kombinezonu klucz i otworzył nim klapę włazu. Było sobotnie popołudnie i choć na Koszykowej panował ruch większy niż zwykle, nikt się nie zatrzymał, żeby zapytać Okunia, co robi. Nie zainteresował się nim nawet przejeżdżający jezdnią na motocyklu policjant. Ale komu z przechodniów mogłoby zaświtać w głowie, że ktoś chce wchodzić do kanałów, jeśli nie wymagają tego obowiązki służbowe? Marek obserwował starego człowieka, który wsunął się pod ziemię, po czym zamknął za sobą klapę włazu. Trwało to najwyżej dwadzieścia sekund. Marek podszedł do telefonu przy toalecie, wyciągnął z kieszeni żeton, wrzucił go do automatu i wykręcił numer Claytona.

— No, odbierz, odbierz... —mruczał pod nosem. Telefon dzwonił i dzwonił.

Nikt nie podnosił słuchawki. W końcu z drugiej strony rozległ się głos amerykańskiego detektywa:

— Tak, słucham?

— To ja... Okuń właśnie wlaźł do kanałów. Miał ze sobą wielki toból. Nie, nie wiem, co w nim dźwigał.

— Daj mi dziesięć minut — odparł Clayton. — Zostań tam, gdzie jesteś, i miej oczy otwarte. Nie próbuj za nim iść ani go nie płosz.

— Kpi sobie pan ze mnie.

Czekając na Clayтона, Marek uczesał się, dokończył kawę, zwinął komiksy, wsunął je w tylną kieszeń dżinsów i uregulował rachunek.

— Chyba się panu u nas nie znudziło? — zapytała kelnerka. Marek rozejrzał się po lokalu.

— Prawdę mówiąc, dopiero zaczyna mi się tu podobać — odparł.

— Śledzi pan kogoś, prawda?

Marek nic nie odpowiedział, ale wyraz jego twarzy mówił sam za siebie.

— Niech pan nie angażuje się w nic niebezpiecznego — odezwała się nieoczekiwanie kelnerka. — Mam syna, który związał się z Solidarnością.

Milicja tak straszliwie go pobiła, że do dzisiaj żyje jak warzywo. Dlatego zresztą muszę tu pracować.

Marek chrząknął.

— Niech się pani nie przejmuje. W nic się nie wplątałem. Kelnerka w milczeniu zdjęła z szyi tani, srebrzystej barwy medalik z krzyżykiem i wręczyła go Markowi.

— Noś to — powiedziała. — Poświęcił go papież, gdy odprawiał mszę na placu Piłsudskiego. Specjalnie mi go pobłogosławił.

— Nie mogę tego przyjąć — sprzeciwił się Marek.

— Proszę więc wziąć na chwilę i oddać mi, gdy pan poczuje, że nie jest już potrzebny. Zawsze mnie tu pan znajdzie.

Marek wziął medalik, zawiesił sobie na szyi, po czym pocałował kelnerkę w policzek.

— Dzięki — mruknął.

— Jeśli akurat mnie tu nie będzie, proszę pytać o Ewelinę — powiedziała kelnerka.

W tej samej chwili pojawił się Clayton. Miał na sobie grubą wełnianą koszulę i dzinsy. Na ramieniu trzymał plecak. Choć na czole perlił mu się pot, był dziarski i gotów do akcji.

— Idziemy, Marku? — zapytał.

Chłopak wskazał na swoje buty. Na nogach miał stare kalosze, których używał jeszcze jego ojciec chodząc na ryby. Clayton przesłał kelnerce niewyraźny uśmiech, po czym wziął Marka za łokieć i wyprowadził z barku. Ruszyli przez jezdnię w kierunku wjazdu do kanałów.

— Czy twoja mama nie będzie miała nic przeciwko temu, że tak długo nie ma cię w domu? — zapytał Amerykanin, a następnie rzucił pod adresem kierowcy starego volkswagena diesla, który na nich zatrąbił: — Spierdalaj!

Marek potrząsnął głową.

— Dopóki nie kradnę samochodów i nie biorę prochów, mam święty spokój.

Poza tym byłem w domu o jedenastej. W tym czasie Okunia pilnował mój kumpel Michał.

Clayton po przyjacielsku klepnął go w ramię.

— To dobrze. Bez względu na wszystko, chłopak powinien myśleć o mamie.

Przeszli przez jezdnię i zatrzymali się przy włączu. Clayton przyklęknął na chodniku, przeciągnął palcami po metalowej pokrywie.

— Powiem ci, Marku, że mam przeczucie. Mam przeczucie, że jesteśmy blisko rozwiązania tej sprawy.

— Myśli pan, że Okuń jest Oprawcą?

— Kto to wie? Może to tylko dziwak, który lubi wędrować kanałami. Tyle że przez kilka ostatnich dni prowadziłem wnikliwe badania i wszystko zaczyna się ząębować. Nie mam jeszcze pełnego obrazu sytuacji. Nie mam nawet jego połowy. Ale w ogólnych zarysach zorientowałem się już we wszystkim.

Wręczył Markowi latarkę, po czym włączył swoją, żeby sprawdzić, czy działa.

— Większość czasu spędziłem w Bibliotece Narodowej, studiując różne historie kryminalne, a następnie sprawdziłem wszelkie ich odniesienia do autentycznych zdarzeń. Na koniec porównałem je z legendami i podaniami ludowymi.

Znalazłem kilka takich historii, że nawet byś nie uwierzył. Niezależnie od przypadku Oprawcy, odkryłem jeszcze pięciu innych grasujących na terytorium Polski morderców, którzy swym ofiarom obcinali głowy. Pierwszy działał w latach dwudziestych w Lublinie, drugi we Wrocławiu jeszcze przed pierwszą wojną światową, kiedy to miasto nazywało się Breslau, a trzeci w pięćdziesiątym drugim roku w Zebrzydowicach w Beskidach. Dwóch pozostałych szalało w Warszawie.

Jeden z nich, w roku tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym piątym obciął głowę właścicielce domu, w którym mieszkał. Drugiego podejrzewano o zabójstwo co najmniej dziewięciu osób, ale nigdy go nie schwytano. Swej pierwszej ofierze głowę obciął latem tysiąc osiemset osiemdziesiątego pierwszego roku, a

ostatniej na wiosnę osiemdziesiątego drugiego. Gazety nadały mu przezwisko „Pan Gilotyna”.

Clayton wyciągnął duży nóż i otworzył klapę włazu. Nie spieszył się ani też nie próbował ukrywać tego, co robi. Żaden z przechodniów nie zwrócił na nich uwagi.

— Na wcześniejsze przypadki masowego obcinania głów natrafiłem w relacjach z piętnastego wieku, z okresu tuż po bitwie pod Grunwaldem.

Marek obrzucił go szybkim, niepewnym spojrzeniem.

— Nie słyszałeś o bitwie pod Grunwaldem? — zdumiał się Clayton. — To tak, jak ja bym nie słyszał o Buli Run *.

— Co to było Buli Run? — zainteresował się Marek.

— Nieważne — machnął ręką amerykański policjant. — Złażmy do tej dziury, zanim ktoś się zainteresuje naszym seminarium historycznym nad otwartym ściekiem. Idź pierwszy... ja zamknę za nami klapę.

Marek popatrzył niepewnie w mrok kanału.

— A jeśli Okuń będzie wracał? — bąknął.

— Daj spokój, dzieciaku. Nas jest dwóch, a on sam. Marek zaczął ostrożnie schodzić pod ziemię. Metalowe stopnie były wyszlizgane, na trzecim szczeblu omsknęła mu się noga i chłopak o mało nie wpadł do wody.

Clayton w ostatniej chwili złapał go za łokieć.

— Uważaj, bo znajdziesz się w gównie — mruknął.

Gdy Marek przebył ostrożnie kilka dalszych stopni, Clayton zamknął za sobą pokrywę włazu. Opadła z donośnym, metalicznym brzękiem. Niebo zniknęło jak nożem ucięte i ogarnęła ich ciemność. Do uszu chłopaka docierały rozliczne

echa, bulgot ścieków i odległe donośne szepty, hałasy, które przypominały płynący z dala szloch. Schodził po stopniach, starając się tak trzymać latarkę, żeby jej blask oświetlał mu stopy. Bał się, że kiedy zejdzie na dno, ścieki wleją się mu do butów. Żałował już, że wdał się w całą tę awanturę z Rejem i Claytonem. Początkowo sądził, iż czeka go kapitalna i ekscytująca przygoda.

Rzeczywistość jednak okazała się odrażająca. A jeśli to Okuń jest Oprawcą? Obciął już Rejowi palec i poharatał mu twarz. Co się stanie, gdy dopadnie jego, zwłaszcza że drogę ucieczki blokuje mu masywna postać dyszącego Clayтона i zatrzaśnięta kłapa wjazdu?

— No jak, dzieciaku, w porządku? — zapytał amerykański policjant tubalnym, wzmocnionym jeszcze echami głosem.

— W porządku — odparł Marek. — Całkiem w porządku.

Znaleźli się w kolektorze. Blask latarki Marka oświetlał sklepiony łukowato sufit zbudowany już w latach powojennych, ale gruby osad żółtawych soli sprawiał, że ściany wyglądały na o wiele starsze. Tunel bardziej przypominał pieczarę jakiegoś tysiącletniego eremity niż kanalizację wielkiego miasta. Osad błyszczał, ciskając migotliwe lśnienia, i kanał mimo szumu wody i przeciągów niosących smród wręcz nie do zniesienia miał w sobie jakiś trudny do odparcia urok. Marek wszedł w płynące powoli ścieki, po czym z ulgą skonstatował, że strumień ma najwyżej trzy centymetry głębokości.

— W porządku, tu jest płytko! — wykrzyknął, zrobił dwa kroki do przodu i nagle

wpadł po pachwiny w cuchnącą ciecz.

— Ja pierdołę! — wrzasnął. Był tak wściekły, że nie mógł wykonać ruchu. —

Moje dzinsy! Moje pierdzielone levisy!

Clayton dotarł do ostatniego szczebla i rozbryzgując hałaśliwie nogami ścieki, ruszył chłopakowi z pomocą.

— Nie rób fał! — zaskrzeczał ogarnięty paniką Marek. — Nie rób fał! Clayton chwycił go za łokieć i pociągnął na skraj chodnika.

— Tego typu kanały mają pośrodku głęboką rynnę — wyjaśnił, oświetlając latarką ściany.

— Cieszę się, że mi pan o tym mówi, kurwa — warknął Marek.

Światła latarek skrzyżowały się i w ich blasku spostrzegli, że kanał rozgałęzia się w trzech kierunkach. Najszerszy, główny, biegł na północny zachód w kierunku Pięknej. Jedna odnoga natomiast szła na południowy wschód, ku Alejom Ujazdowskim, a druga, niższa i dużo węższa, wiodła na południowy zachód, lecz trudno było określić jak daleko, ponieważ po jakichś dwudziestu metrach zakręcała w prawo. Ten przewód musiał być dużo starszy od głównego ciągu kanału, bo zbudowany był z cegły, a jego łukowato sklepione ściany pokrywały ociekające wilgocią stalaktyty zakrzepłego, siwego osadu. Marek dostrzegł prześlizgujący się tamtędy garbaty, siwy kształt.

Wystraszony cofnął się o dwa kroki i tylko zaciśnięta na jego rękawie dłoń Claytona uchroniła go od ponownego wejścia w główny, głęboki nurt ścieków.

— Widział to pan? Co to, do licha, było?

— Szczur — odparł Amerykanin. — I to całkiem mały.

— Cholera jasna, jeszcze tu szczurów brakowało. Clayton omiół światłem latarki cegły w miejscu, gdzie stary odcinek kanałów łączył się z tym wybudowanym po wojnie.

— Ktoś regularnie tedy ucześnieza — zauważył. — Widzisz te długie poziome rysy w osadzie? Niektóre są stare, inne całkiem świeże. Tu... popatrz... popatrz na sufit. Ktoś ciągnął po nim ręką, by się upewnić, że nie uderzy głową w jakiś występ. Dłonią w rękawiczce, ponieważ smugi są zbyt szerokie na ślady nagich palców... Zresztą komu by się chciało ciągnąć gołą dłonią po takim syfie?

— Co pan chce przez to powiedzieć? — zapytał ostro Marek. W butach miał pełno cuchnącej cieczy i marzył tylko o kąpielu. — Uważa pan, że Okuń chodzi tędy regularnie?

— Wszystko na to wskazuje.

— Może powinniśmy zgłosić to glinom!

Clayton potrząsnął głową. Cały czas świecił latarką to w lewo, to w prawo, oglądając bacznie cegły i ciągnące się w trzech kierunkach kanały. Sprawdzał, czy zwieszające się z sufitu stalaktyty nie są uszkodzone.

— Ludzie nie zdają sobie sprawy z tego, jakie ślady za sobą zostawiają — odezwał się po długiej chwili. — Coś ci powiem. Kiedyś przez sześć miesięcy szkoliłem w Arizonie Indian do pracy w policji. Uwierz mi, jeśli chodziło o robotę papierkową, byli do dupy. Ale gdy przychodziło do tropienia ludzkich śladów, zupełnie jakby mieli rentgeny w ślepiach, jak Superman. Potrafili wskazać kamyk poruszony ludzką stopą, źdźbło trawy, której nie złamał wiatr. I nie były to wcale czary. To była obserwacja. Dziwaczna logika. Ale właśnie oni nauczyli mnie tropić ludzi. Spójrz tutaj. Spójrz na te półokrągłe ślady na bocznych ścianach. To ślady krawędzi czyichś butów. Takie same ślady możesz dostrzec na dywaniku w samochodzie lub u dołu często używanych drzwi.

Clayton zerknął do przodu w mrok kanału.

— To nie żadna magia. To kwestia zwykłej analizy. Ale Indianie posługują się magią. Spotkałem indiańskiego oficera z plemienia Pima, który wytropił poszukiwanego zbiega na pustyni o powierzchni ponad pięćdziesiąt jeden tysięcy kilometrów kwadratowych. A dokonał tego wyłącznie kierując się zapachem dymu z niewielkich ognisk, jakie ten człowiek palił. Szedł za węchem, a muszę ci, dzieciaku, powiedzieć, że chwilami szedł nawet nie pod wiatr. Sądzę, że zagadkę zbrodni można rozwiązywać na różne sposoby, w tym również okultystyczne.

— Co pana zdaniem powinniśmy teraz zrobić? — zapytał Marek. — Jeśli Okuń poszedł tym kanałem...

— Jestem najświęciej przekonany, że poszedł. Ciebie pytam, co twoim zdaniem powinniśmy zrobić.

— Wyjść na ulicę i poczekać przy włączniku?

— I co mu później powiemy? „Wszedł pan w ten kanał, a teraz z niego wyszedł. Zamierzamy zabrać pana na policję”? Wyświadczyć mi, Marku, łaskę. Jeśli ten gość jest Oprawcą, a my mamy znaleźć na to jakieś dowody, jedynym wyjściem jest ruszenie jego tropem i znalezienie tych dowodów.

Marek popatrzył w wąski, zakręcający tunel. Szczur zniknął już w mroku, ale nie było przecież gwarancji, że nie czają się tam inne, oślizgłe szare stworzenia, roznoszące choroby i czekające tylko na to, żeby ugryźć człowieka w łydkę.

— A jeśli staniemy z nim twarzą w twarz?

— Już ci mówiłem. On jest jeden, a nas jest dwóch.

— Na Boga, panie Clayton! Porąbał na kawałki trzech rosnących Niemców!

Amerikanin popchnął go lekko w głąb kanału.

— Nie wiedzieli, czego się mają spodziewać. Nie mieli pojęcia, z czym mają do czynienia.

— A pan wie?

Clayton posuwał się przed Markiem, w blasku latarki jego sylwetka przypominała postać z filmu cinema noir.

— Czy wiesz, jaki jest największy problem ze współczesnymi młodziakami? — zapytał Amerykanin. — Uważacie, że wszystko wiecie, i z tego prostego powodu nie jesteście w stanie niczego się nauczyć. Kiedy byłem w twoim wieku, pracowałem jako zwykły urzędnik, a praca zwykłego urzędnika polegała na tym, żeby nosić białe koszule, krawaty i schludnie, krótko obcięte włosy. Znajdowałem się na samym dole drabiny społecznej, więc dawano mi najbardziej gówniane roboty.

Wynosiłem kubły ze śmieciami, robiłem kawę, biegałem jako goniec, a jednocześnie musiałem być dla wszystkich bardzo uprzejmy. „Tak, proszę pana. Nie, proszę pana. Ależ oczywiście, proszę pana”. A większość tych ludzi było zwykłymi dupkami. I wiesz co? Czułem dumę, czułem cholerną dumę z pracy, jaką wykonywałem, i nie próbowałem nawet pyskować. Po trzech latach poznałem interes lepiej niż inni i zrobiono mnie kierownikiem.

— I jaki z tego morał?

— Morał? Gdy jesteś młody, trzymaj gębę na kłódkę. Zawsze uważnie słuchaj i cały czas się ucz. Rozwiązuj zagadki, dzieciaku, jak ja je rozwiązywałem.

Rozwiązuj te pieprzone zagadki.

— Jakie zagadki?

— Zagadki życia. Jak zachowywać w sobie gniew, lecz na zewnątrz zachować

spokój.

A tutejsze zagadki, choć nikt ci jeszcze nawet ich nie zadał, sprawiają, że ze strachu już masz pełne portki. Odciski palców, odciski butów to oczywisty dowód na to, że Okuń tędy szedł. Chodzi o to, że ludzie tak sobie do kanałów nie wchodzą, prawda?

— Może i wchodzą, ale ja dotąd o tym nie wiedziałem.

— Uwierz mi, nie wchodzą. Ale ty okazałeś się na tyle bystry, żeby zauważyć, iż jednak czasami to robią. A to znaczy, że jesteś wystarczająco pojętny, aby rozszyfrować, z czym masz do czynienia.

Przebyli już ponad dwadzieścia metrów. Posuwali się lekko pochyleni, starając się nie dotykać włosami czarnych, kleistych stalaktytów zwieszających się ze stropu. Stalaktyty miały konsystencję towotu i cuchnęły tak straszliwie, że usta Marka nieustannie wypełniała ślina i chłopak musiał co chwila splotać.

— Macie tu do czynienia z czymś, co przywykło żyć w ciemnościach — mówił Clayton. — Musicie wziąć pod uwagę, że to coś zawsze żyło w mroku. Należy po prostu uwolnić umysł i nie robić żadnych założeń. To może być człowiek, bestia lub potwór, który...

— Cicho! — przerwał mu Marek. — Chyba coś usłyszałem. Clayton przystanął i zaczął nasłuchiwać. Po chwili potrząsnął głową.

— W kanałach często słyszy się najprzedziwniejsze hałasy. Przeważnie są to echa... Rozumiesz, po klapach do włączów przejeżdżają ciężarówki, dzieciaki krzyczą do studzienek kanalizacyjnych i wrzucają tam odcięte głowy.

— Przecież sam pan mówił, żebym szukał tych cholernych śladów — odparł z pretensją Marek.

Clayton odwrócił się w jego stronę i wykrzywił twarz w uśmiechu.

— Nie bierz sobie tego tak bardzo do serca, dzieciaku. Był to głupi, amerykański dowcip.

Rozgarniając z pluskiem ścieki, podjęli marsz. Minęli ostry zakręt i gdy Marek obejrzał się za siebie, nie dostrzegł już kolektora. Nie wiedział, dokąd prowadzi go Clayton ani też co spodziewa się odkryć, lecz oddychał z najwyższym trudem, był spocony i czuł lęk przed zamkniętą przestrzenią.

Nieustannie myślał o studziencie i klapie, przez którą się tu dostali. Marzył już tylko o tym, żeby wrócić tam najszybciej jak się da, przebyć metalowe stopnie, uchylić właz i ponownie znaleźć się na Koszykowej. Ale Clayton niezmordowanie parł do przodu, plecy miał przygarbione, oświetlał latarką załamania w murze. Światło migotało w zmarszczkach ścieków.

— Czy wszystko w porządku? — zapytał przez ramię Marka.

— Jasne.

Przed sobą usłyszeli głośny szum spadającej kaskadą wody. Po przejściu kolejnych trzydziestu metrów trafili do rozległej, sklepionej łukowato komory o rozmiarach niewielkiego kościoła. Po jednej jej stronie brązowawe ścieki spływały spienioną strugą po licznych stopniach do dużego jeziorka znajdującego się w środkowej części pomieszczenia. Stamtąd powoli opadały w kompletny mrok.

— Co dalej? — zapytał Marek, podnosząc głos, żeby przekrzyczeć bulgoty, szelesty i szmery.

— Nie wiem... Starłem się ustalić, dlaczego Oprawca, bez względu na to, kim jest, schodzi do kanałów. Dlatego zapoznałem się z historią i całą tą mitologią.

Większość z tego zapewne to pusta gadanina, ale w każdej legendzie tkwi ziarno prawdy. Podania tego rodzaju nie wzięły się z nieba.

— A może Okuń to zwykły złodziej, który w kanałach ukrywa łup?

Clayton potrząsnął głową.

— Czy zszedłbyś tutaj, gdyby nie zachodziła absolutna potrzeba? Nie,

dzieciaku, kluczem do całej sprawy są właśnie kanały. To właśnie o kanały w tym wszystkim chodzi.

Światła latarek odbijały się od mrocznej, ciemnobrązowej cieczy. Zaglądali do rur i kanałów rozbiegających się z komory we wszystkie strony. Nic nie wskazywało na to, żeby ktokolwiek się tu pojawiał. Marek pragnął już tylko opuścić to pomieszczenie i ruszyć w drogę powrotną. Ale Clayton stał w miejscu jak wmurowany i mrużąc oczy, systematycznie wodził snopem światła latarki po ścianach.

— Coś musimy znaleźć — stwierdził. — Nikomu nie udałoby się tedy przejść, nie zostawiając ani jednego śladu.

— Okuń może być wszędzie — sprzeciwił się Marek. — Mógł na przykład już dawno opuścić kanały innym wjazdem i teraz spokojnie siedzi sobie w domu.

Clayton puścił tę uwagę mimo uszu.

— Wspomniałem ci o bitwie pod Grunwaldem, prawda? W roku tysiąc czterysta dziesiątym wojska Władysława Jagiełły ciągnęły przez Kampinos pod Grunwald, aby stoczyć tam bitwę z niemieckimi rycerzami z Zakonu Najświętszej Marii Panny. — Clayton mówiąc to wodził wzrokiem po komorze i oświetlał latarką stopień po stopniu, którymi spływała spieniona kaskada ścieków. — Bitwa skończyła się wielkim zwycięstwem Polaków, ale nie

przyszło ono łatwo. Dwóch niemieckich rycerzy walczyło z taką pasją, że Polacy myśleli, iż wstąpił w nich zły duch. Krzyżacy parli przez szeregi wojsk króla Władysława, tnąc polskich rycerzy niczym szparagi. W powietrzu fruwały tylko głowy, ręce i nogi. Cała historia jednak zaczęła się w chwili, gdy po zwycięskiej bitwie Polacy zaczęli szukać na pobojuwisku zwłok tych dwóch Niemców. Znaleźli tylko ich oręż. Ciał nie było.

Początkowo uznali to za czary... sam wiesz, jak to było w piętnastym wieku. Ale w pobliżu natknęli się na jakieś jamy. Kiedy jedną z nich rozkopali, na głębokości dwóch lub trzech metrów znaleźli „stwora przypominającego dziecko, ale rozmiarów dorosłego mężczyzny o szerokich, zgarbionych ramionach i nogach przypominających odnóża świerszcza”. To coś miało twarz „tak przerażającą, iż nie było można na nią patrzeć”. W pierwszej chwili myślano, że istota jest martwa. Szybko jednak polscy rycerze pojęli, że jest tylko pogrążona w głębokim śnie. Jakby trwała w hibernacji. Tak zatem zrobiono to, co w piętnastym wieku zrobiłby każdy szanujący się wojownik. Powieszono stwora, wypatroszono go, porąbano na kawałki, spalono, a popioły skropił wodą święconą kapłan. Marek wyteżył słuch. Wydawało mu się, że słyszy cichy plusk ścieków rozgarnianych czyimiś nogami.

Clayton chrząknął.

— W kilka dni później znaleziono kolejną „istotę”, kolejne tak zwane „dziecko”. Zapieczętowano je w dębowej skrzyni i przewieziono do Warszawy. Na dwa lub trzy tygodnie wystawiono stwora na pokaz publiczny, lecz mieszkańcy miasta zaczęli uskarżać się na tajemnicze choroby i koszmary senne, a nocami w

kościółach dzwony same biły. Sprowadzono z Rzymu antypapieża Jana

Dwudziestego Trzeciego, który polecił „stwora” zakopać jak najgłębiej w ziemi

i nigdy o nim nawet nie wspominać.

— Próbuje mnie pan przestraszyć?

— Mówię ci tylko to, co wyczytałem w książkach. Powinieneś je przeczytać.

Wszystkie znajdziesz w Bibliotece Narodowej w Alejach Niepodległości.

Dlaczego ludzie nie korzystają z dostępnych im bibliotek? Powinieneś sam się

przekonać, jakie tam są skarby.

— Coś słyszę — przerwał mu Marek.

— Słyszysz, jak po raz pierwszy w życiu zaczyna pracować ci mózgowica.

— Nie, mówię poważnie. Naprawdę coś słyszę. Czekali, wytężając słuch.

Marek był pewien, że poprzez plusk wody dociera doń piskliwy, żaloszny płacz.

— Naprawdę pan nic nie słyszy? — zapytał Clayton, ale amerykański detektyw

potrząsnął tylko głową.

— Przypomina to płacz dziecka. Tego jestem pewien.

— Czy możesz określić, skąd dochodzi ten hałas?

Marek skoncentrował się na odgłosie, ale płacz ucichli chłopak niepewnie

wskazał wąski tunel wybiegający z przeciwnej strony komory.

— Nie wiem, chyba stamtąd.

— A więc sprawdźmy — powiedział Amerykanin.

Istniał tylko jeden sposób, aby dostać się do odległego o dwadzieścia pięć

metrów wylotu rury kanalizacyjnej. Droga prowadziła po trzecim od góry

stopniu liczącej trzydzieści schodów kaskady.

— Chyba tędy nie pójdziemy? — przeraził się Marek.

— A niby dlaczego nie? — odparł pytaniem Clayton. — Daj spokój, dzieciaku, to proste. Idź za mną.

Clayton ostrożnie postawił nogę na betonowym schodku. But natychmiast zalał mu potok spienionych ścieków i Amerykanin o mało się nie przewrócił.

Przesunął prawą stopę przed lewą, jak robią to cyrkowcy chodzący po linie. Dla utrzymania równowagi rozłożył szeroko ramiona i pomalutku ruszył do przodu.

— Uważaj, dzieciaku! — zawołał, nie odwracając głowy. — Tu jest cholernie ślisko.

Marek zaczerpnął głęboko tchu i natychmiast tego pożałował. Powietrze przesączało okropny smród zgnilizny. Chłopak zrobił krok w kaskadę i zaczął powoli, chwiejnie, przemieszczać się na drugą stronę. Woda sięgała mu do kostek i ziębiła stopy. Clayton, który przebył już wodospad, oparł się o pochyłą ścianę komory i wylewał z buta cuchnącą breję.

— Nie zwracaj uwagi na prąd! — poradził Markowi. — Nie zwracaj uwagi na to, że woda dostanie ci się do kaloszy!

Gdy Marek był już mniej więcej w połowie drogi, lewa stopa ześlizgnęła mu się z krawędzi stopnia i chłopak zaczął silnie balansować ciałem, żeby odzyskać równowagę. W końcu udało mu się postawić pewnie nogę, lecz w tej samej chwili skonstatował, że jest niczym bryła lodu; stracił impet i odwagę, a nogi odmówiły mu posłuszeństwa.

— No, co z tobą, dzieciaku, przestaw jedną nogę przed drugą! — zawołał Clayton.

Ale Marek był w stanie jedynie stać pośrodku kaskady z rozłożonymi rękami i

zaciśniętymi w panice ustami. Nie mógł wykonać ruchu, nie mógł nawet oddychać.

Mógł tylko myśleć, że za chwilę spadnie.

— No, Marek, rusz dupsko!

Do chłopaka ponownie dotarł drżący dźwięk. Tym razem nie był to płacz dziecka, lecz jego własne kwilenie. Z dziwną obojętnością pomyślał, że skomli jak pies, któremu przetrącono łapę.

Clayton zbliżył się do skraju wodospadu i wyciągnął do Marka rękę, ale chłopak był jeszcze za daleko.

— W porządku! — oświadczył Amerykanin. — Idę do ciebie! A ty stój i się nie ruszaj!

Clayton wkroczył w spienioną kaskadę i z wyciągniętym prawym ramieniem zaczął powoli przemieszczać się skrajem zalewanego ściekami stopnia.

Wykonał siedem lub osiem niezdarnych kroków, lecz gdy Marek próbował chwycić jego wyciągniętą rękę,

Clayton cofnął ramię.

— Nie tak. Musisz podać mi dłoń powoli, mocno chwycić i dopiero wtedy zacząć iść. Zobacz, jak ja to robię. Żadnych nerwowych ruchów, nie patrz w dół.

Gdyby ten stopień był po prostu namalowany na podłodze, szedłbyś bez najmniejszych kłopotów. Schodek jest bardzo szeroki.

Marek wyciągnął sztywno rękę, chwycił dłoń Claytona i starając się nie myśleć o tym, gdzie jest, zaczął przesuwać stopy po kilka centymetrów.

Dotarli prawie na drugą stronę kaskady, kiedy na najwyższym stopniu pojawiło się ścierwo wielkiego, zdechłego szczura. Spadło prosto na stopę Marka.

Chłopak z obrzydzeniem szarpnął nogą. Szczur potoczył się dalej wodospadem, ale Marek już się chwiał i wiedział, że tym razem na dobre stracił równowagę.

— Trzymaj się! — ryknął Clayton.

Ale dla obu było już za późno. Marek zachwiał się i zaczął spadać, objając się o stopnie i rozpryskując obrzydliwą maź. Za nim potoczył się Clayton.

Chłopak uderzał boleśnie o krawędzie każdego z mijanych, oślizgłych progów.

Później przetoczył się po nim Clayton, który wymachując nogami i ramionami jak wiatrak, kopnął Marka w twarz. Obaj spadli do głębokiego, zimnego jeziora utworzonego przez ścieki na samym dole kaskady. Marek zanurzył się głęboko pod wodę.

Wydawało mu się, że upłynęły całe wieki, zanim ponownie wychynął na powierzchnię. Wziął głęboki, spazmatyczny wdech, a następnie zaczął płuć i pluć.

W chwilę po nim z wody wynurzył się Clayton. Zmoczony włosy przylepiały się mu do czaszki.

Zgodnie podpłynęli do metalowych stopni.

— Dlaczego nie puściłeś mojej ręki? — sapnął Clayton.

— Kazał mi pan mocno ją trzymać!

Amerykanin wspiał się po szczeblach. Ociekał wodą.

— Założę się, że złapałem już każdą cholerną francie znaną zachodniej cywilizacji! Założę się, że mam już cholere, tyfus, zapalenie wątroby i dżumę!

Dotarł do betonowej platformy na górze drabiny i z furią strącił przylepioną do buta prezerwatywę.

— Ale cuchnę! — ryknął. — Kompletnie prześmiardłem! Marek wspiał się za

nim, opadł na czworaka i kaszłał.

— Niech pan posłucha — mruknął wreszcie. — Przepraszam, ale po prostu straciłem równowagę.

Mozolnie ruszyli w stronę wejścia do rury kanalizacyjnej.

— Czy masz ochotę na dalszą wędrówkę? — zapytał Clayton. — Bo ja przeciw temu nic nie mam.

— Dajmy sobie spokój — odmruknął Marek. — Jestem chory.

Gdy jednak dotarli do tunelu, usłyszeli szybkie, gorączkowe szuranie. Clayton błyskawicznie skierował w tamtą stronę strumień światła z latarki. Ujrzeni plecy mrocznej, umykającej postaci; bardziej ducha niż człowieka.

— Czy to on? — zapytał Marka Clayton. Chłopak skinął głową, czując, iż serce zaczyna mu bić jak młotem.

— A więc dobrze. Wygląda na to, że nie mamy wyboru. Idziemy za łobuzem.

Rozdział czternasty

Kiedy zaszło słońce, wiejskie powietrze pochłodziło i Rej rozpałił w salonie drewno w kominku. Zasiedli przed ogniem i popijając krupnik, jedli placek ze śliwkami. Po kilkugodzinnej jeździe na koniach wypożyczonych w znajdującej się po drugiej stronie wioski stadninie oboje odczuwali silne, lecz rozkoszne znużenie. Jeździli leśnymi duktami, gdzie panowała kompletna cisza mącona jedynie świergotem ptactwa oraz skrzypieniem i pobrzękiwaniem końskich uprzęży.

Sarah i Rej posuwali się powoli i statecznie, ponieważ policjant był jeźdźcem bardzo niedoświadczonym i cugle ścigał tak mocno, jakby siedział nie w siodle, lecz w chwiejnym bobsleju pomykającym szaleńczo po lodowym torze.

Katarzyna cwałowała daleko w przodzie między brzozaami i srebrzystymi topolami i tylko od czasu do czasu migał zad jasnego kasztana, którego dosiadała. Teraz dziewczynka była już w pidżamie i przygotowywała się do snu. Sarah i Rej rozmasowywali bolące mięśnie, których istnienia dotąd nawet nie podejrzewali.

Niewielki salon miał pobielone wapnem ściany, wypełniały go masywne, dębowe meble oraz stosy wielkich poduszek, aksamitnych lub wykonanych szydełkiem. Niektóre zdobiły ponaszywane guziki i korale. Na jednej ze ścian wisiał obraz przedstawiający jesienny pejzaż nadwiślański. Na pierwszym planie widniał rząd guzowatych, rosochatych wierzb, a w tle majaczyły wysmukłe, smętne topole. Nad kominkiem zawieszono srebrną ikonę z Matką Boską.

— Marzę o tym, żeby zobaczyć Amerykę — odezwała się Katarzyna.

W jej źrenicach odbijał się blask płonących w kominku brzozowych polan.

— Nie ma żadnych przeszkód — odparła Sarah. — Zawsze możesz do mnie przyjechać.

— Czy mieszka pani w pobliżu Disney World? Bardzo chciałabym go zobaczyć.

— Nie, ale możemy tam polecieć.

— A co z tatą? Czy on też mógłby się ze mną zabrać? Sarah popatrzyła z uśmiechem na Reja.

— Nie wiem. To zależy, czy interesują go dzikie jazdy kolejkami i rozmowy z olbrzymimi myszkami. Wiesz, jak bardzo poważny jest twój tata. Takie rozrywki uznałby zapewne za niezbyt mądre.

— Cóż — wtrącił Rej. — Zobaczyć zawsze można, choćby z czystej

ciekawości.

Katarzyna ucałowała ich oboje na dobranoc i Rej wyszedł za córką, żeby zgasić jej światło. Później wrócił do salonu i zamknął drzwi.

— Podoba ci się w Czerwińsku? — zapytał. Sarah skinęła głową.

— Tutaj jest prześlicznie. Szkoda tylko, że będziemy tak krótko.

— W każdej chwili możemy wrócić. Mój przyjaciel ostatnio prawie w ogóle tu nie zagląda. Przed dwoma laty jego żona zmarła na raka. A miejsce takie jak to... cóż, gdy człowiek zostaje sam, nie jest już takie jak dawniej.

Sarah upiła łyk wódki i rozparła się wygodnie na poduszkach.

— Nie daje mi spokoju ta niewidoma staruszka. Skąd знаła moje nazwisko?

— Przypadek. Olśnienie. Czary. To nieistotne, prawda? Nie może przecież wyrządzić ci żadnej krzywdy.

— Wierzysz w czary?

Rej zapatrzył się w ogień. Migotliwe światło z paleniska rzucało długi cień pod świeżą bliznę na policzku policjanta. Był to ślad po ranie, którą w kanałach zadał mu nożem Oprawca.

— Sam nie wiem. Moja matka była bardzo zabobonna. Zawsze sypała przez ramię sól i nie przechodziła pod drabiną. Ilekroć zrobiła jej się kurzajka, pocierała ją kamieniem, następnie kamień zawijała w papier i zostawiała na najbliższym naszego domu skrzyżowaniu ulic. Kurzajka miała wyskoczyć temu, kto podniósł kamień, a jej zniknąć. — Roześmiał się. — Nie pamiętam, żeby to kiedykolwiek poskutkowało.

— A twarz, która podobno idzie za mną?

— Och, to jakaś głupota. Mieszkańcy wsi lubią sobie stroić żarty z miastowych.

— Tak sądzisz? A ja po seansie u Madame Krystyny gotowa jestem uwierzyć prawie we wszystko.

Rej przez chwilę milczał. Wyciągnął rękę i ujął dłoń Sarah. Dziwne, ale ten gest ani jego, ani jej nie zaskoczył.

— Skoro jesteś gotowa uwierzyć prawie we wszystko... to czy uwierzysz mi, gdy ci powiem, że jesteś bardzo atrakcyjna?

— A ja z kolei uważam, że to ty jesteś bardzo atrakcyjny — odparła z uśmiechem.

— Sam więc widzisz.

— Ja? Ależ ja jestem paskudny. Moja twarz przypomina bryłę kamienia.

— Tak się składa, że lubię kamienie. Znasz porzekadło, że wewnątrz każdego kamienia tkwi przepiękna rzeźba, którą trzeba tylko odkryć.

— Bardzo poetyckie.

— Może to ty sprawiasz, że ogarniają mnie poetyckie nastroje. Może to ty sprawiasz, że przy tobie czuję to, czego nie czułam w obecności żadnego innego mężczyzny. Czuję się bezpieczna. Żaden mężczyzna jeszcze nie zapewnił mi takiego poczucia bezpieczeństwa.

— To zwykły przypadek. Twój narzeczony wyprowadził mnie z równowagi.

— Nie, to coś więcej. Wszyscy mężczyźni traktują mnie tak, jakbym była miażdżącą jaja Amazonką. Zgoda, pracuję bardzo ciężko i żyję w świecie opartym na silnej konkurencji, ale to wcale nie oznacza, że nie potrzebuję opieki jak każda kobieta.

Rej długą chwilę spoglądał jej w oczy.

— Są zielone — stwierdził. — Przypominają bardzo płytkie południowe morze.

Są prawie przezroczyście.

Pochylił się i pocałował ją w usta. Był to łagodny i bardzo czuły pocałunek, taki, jaki składa się na ustach ukochanej osoby pogrążonej we śnie. W następnej chwili Sarah objęła Reja za szyję, przygarnęła do siebie i rozchyliła wargi.

Nikt nigdy jeszcze tak jej nie całował. Rej był silny, był zdecydowany, a jego język wsuwał się między jej zęby niczym muskularna foka. Ale jednocześnie w jego pocałunku nie było naporu na jej wargi i ślinienia się, do czego

przyzwyczaili ją inni mężczyźni. Całował, żeby sprawić jej przyjemność, żeby ją podniecić. I nagle zrozumiała, co tak bardzo różniło go od innych mężczyzn.

Rej nie odczuwał przed nią lęku. Ujął jej pierś przez cienki materiał różowej bluzki. To było niebywale podniecające. Całował jej policzki, podbródek, powieki i nos tak delikatnie, że Sarah musiała zamknąć oczy, bo miała wrażenie, że zapadła w rozkoszny sen.

Przesunął ustami po jej ramieniu i zaczął rozpinąć bluzkę.

— Wiedziałam, że tego pragniesz — szepnęła, całując go w policzek i przesyłając uśmiech.

— A niby skąd?

— Rzuciłeś palenie... Zdawałeś sobie sprawę z tego, że nie czułabym przyjemności z całowania się z kimś, kto pali. Rej zsunął jej bluzkę z ramion.

— Każdy musi ponosić ofiary, jeśli chce osiągnąć to, czego pragnie.

Uklękła naprzeciwko niego i zatonęli w długim pocałunku, tym razem dużo namiętniej szym. Pragnęli siebie i nie musieli niczego udawać. Rej objął szerokie białe plecy Sarah i rozpiął zameczek w jej staniku. Piersi Sarah wyrwały się na wolność, ciężkie, z nabrzmiętymi sutkami, pokryte delikatnymi,

błękitnawymi żyłkami. Rej ujął je delikatnie w dłonie i ścisnął, zaczął pocierać sutki między kciukami i palcami wskazującymi tak, że się zmarszczyły.

Ułożyli na podłodze przed kominkiem stos poduszek. Sarah rozpięła pasek i wyslizgnęła się z dzinsów. Rej też zaczął zrzucać z siebie ubranie, zerwał koszulę i ściągnął sztruksowe spodnie. Był kościsty i umięśniony. Nie miał już ciała młodzieńca; posiadał ciało dojrzałego mężczyzny, który w miarę dba o formę fizyczną, ale pozbył się już nerwowej, rozsadzającej go energii. Na torsie miał trochę siwiejących włosów.

Zdjął białe jedwabne majtki Sarah, odsłaniając kępę wijących się, jasnych loczków. Wsunął delikatnie palec między jej nogi, poczuł wilgoć. Całował z zamkniętymi oczyma. Po chwili rozwarł powieki i powiedział:

— Skłamałem. Wcale nie jesteś atrakcyjna. Jesteś bardzo atrakcyjna. I piękna.

Jego niebieskie szorty wydymały się z przodu. Sarah chwyciła dłonią przez cienki, bawełniany materiał nabrzmiaty członek Reja i mocno ścisnęła.

— Co my tu mamy, komisarzu! Tylko nie mów mi, że policyjną pałkę.

Rej roześmiał się, ale nie potrafił ukryć szybszego i bardziej już chrapliwego oddechu. Sarah zdjęła mu szorty, odsłaniając wielki,

napięty i pokryty grubymi węzłami żył penis. Delikatnie podrapała paznokciami po pomarszczonych niczym duże purpurowe orzechy włoskie jądrach.

— Długi — powiedziała, całując Reja i masując mu członek w górę i w dół.

— Nigdy jeszcze taki nie był — szepnął jej w ucho.

Położyła się na plecach, jej wielkie piersi opadły na boki. Rej przysunął się do niej i coraz gwałtowniej, z coraz większym żarem gorączkowo całował jej usta, szyję i ramiona. Ujął prawą pierś niczym kielich pełen szampana i całował

sutkę.

— Jesteś szalony — szeptała, oddając mu pełne pasji pocałunki; całowała go po torsie, po grdyce. Ugryzła lekko w sutkę.

— Prezerwatywa — szepnął, sięgając na ślepo w stronę spodni.

Sarah leżała na plecach i trzymała Reja za członek. Policjant rozdarł plastikowe opakowanie i nasunął prezerwatywę na czubek penisa. Sarah pomogła mu rozwinąć ją w dół, po czym zaczęła masaż, spoglądając przy tym Rejowi wyzywająco w oczy, podniecając go do szaleństwa widokiem swych zielonych jak płytkie morza źrenic. Palcami lewej dłoni rozchyliła sobie wargi sromowe i Rej w nią wszedł. Ciało miał twarde, napięte, mięśnie pośladków silne jak postronki. Był gruby i twardy, Sarah czuła, że wchodzi w nią coraz mocniej. Pragnęła go, pragnęła, żeby wszedł w nią najgłębiej jak zdoła, najgłębiej jak mógłby to uczynić człowiek; i jeszcze głębiej.

Kochali się w milczeniu przed płonącym kominkiem. Sarah wbiła paznokcie w krzyż Reja, przeniosła dłonie niżej, zacisnęła je na pośladkach i rozciągała je, jakby łamała chleb. Weszła w niego palcem. Po twarzy Reja przeleciał skurcz, ale nie zaprotestował. Pchał coraz mocniej i mocniej, coraz głębiej i głębiej, i choć jego rytm początkowo był jej obcy, to stopniowo zaczynała go wyczuwać i w końcu zgrali się ze sobą. Napierali na siebie, biodra na biodra, zupełnie jakby chcieli zająć jednocześnie to samo miejsce, jakby stawiali opór swym ciałom, stawiali opór rzeczywistości, stawiali opór wszystkiemu na świecie z wyjątkiem nieprzytomnej żądz.

Sarah zaczynała odnosić wrażenie, że pokój się kurczy, ogień staje się zbyt gorący, zbyt jaskrawy, a poduszki szorstkie. Ale Rej napierał i napierał, i było

to uczucie tak upajające, że nie chciała, żeby skończył. Jego spoglądająca na nią z góry, jak wykuta w bryle kamienia twarz. Jego muskularny tors porośnięty włosami tworzącymi kształt krzyża, krople potu na czole. Nieustanny, cichy pisk prezerwatywy. Pchał i pchał, a Sarah czuła, że podeszwy jej stóp w przedziwny sposób się otwierają niczym śluzy w tamie i w dolne partie nóg, następnie w kolana, a jeszcze później w uda wlewa się rozkoszna ciemność.

— Stefan — szepnęła. Uwielbiała dźwięk tego imienia.

Ciemność zalała ją już całkowicie. Zaczęła w środku dygotać, zaciskała dłonie na ramionach Reja. A on pchał i pchał, a doznania stały się już tak intensywne, że Sarah uniosła głowę z poduszek, jakby wspinała się na niebotyczne szczyty rozkoszy.

— Stefan.

Sutki jej sterczały, ciało miała napięte. Otoczyła ją zupełna ciemność.

Wtedy i Stefan jęknął, wyprężył plecy w łuk, a ona gdzieś głęboko w sobie poczuła, jak jego prezerwatywa pęcznieje.

Delikatnie zsunął się z niej i opadł na bok, na poduszki. Spoglądali sobie w oczy, jakby szukali w swym wzroku ponownego zapewnienia i wyjaśnień. Ale oboje dali sobie ogromną rozkosz.

— Nie uwierzysz, jeśli ci powiem, że cię kocham — odezwał się Rej.

— Dlaczego miałabym nie uwierzyć?

Oparła się na łokciu i zaczęła wodzić opuszkami palców po jego torsie, rysując listki koniczyzny.

— Nie sprawiasz wrażenia kobiety, która wierzy w miłość od pierwszego wejrzenia.

— A jak taka kobieta wygląda? — spytała prowokująco. — Tak naprawdę wierzę w romantyczne porywy uczuć. Dwoje ludzi, którzy właściwie nie mieli najmniejszych szans się spotkać, spotykają się przez przypadek. Trzy lata temu pracowałam w Nowym Jorku. Gdyby wtedy ktoś do mnie przyszedł i powiedział, że za trzy lata będę się kochała z polskim policjantem w domku letniskowym z oknami wychodzącymi na Wisłę, powiedziałabym, że upadł na głowę.

Rej pocałował Sarah, po czym przeciągnął palcem po jej czole i włosach.

— Sarah Lewandowicz — stwierdził z wielkim zadowoleniem.

— Lewandowicz to ja jestem tylko w łóżku — odrzekła za-dziornie. — Na nogach i ubrana jestem Leonard.

Rej podniósł się z podłogi, żeby napełnić kieliszki krupnikiem. Sarah leżała na plecach i obserwowała jego nagie ciało. Był umięśniony, żylasty i silny, a jednocześnie sprawiał wrażenie delikatnego.

Gdy wrócił z kieliszkami i ponownie zajął miejsce obok niej, pośliniła palce, dotknęła jego sutek, a następnie sięgnęła niżej i znów zaczęła masować mu penis i jądra, napawając się ich lepkością.

— Wiesz, na co mam teraz największą ochotę? — zapytał bardzo poważnym tonem Rej.

— Powiedz — odrzekła i pocałowała go w usta.

— Na papierosa. Oddałbym za niego życie.

Brzozowe drwa stopniowo się wypalały, w końcu pozostał z nich tylko popiół i kilka żarzących się szczap. Rej zasnął na poduszkach i jak chłopiec ścisnął przez sen w dłoni swój członek. Sarah przykryła go jednym z tkanych w domu

węlnianych koców, którymi wyłożone było oparcie kanapy, i pocałowała w usta. Nawet się nie poruszył. Popołudnie spędzone w siodle najwyraźniej kompletnie go wyczerpało.

Upewniwszy się, że Rej śpi kamiennym snem, na palcach przeszła przez pokój, otworzyła torbę od Gucciego, wyjęła z niej zwiniętą gazetę i wysypała na dłoń pięć owoców osiki. Następnie sięgnęła do saszetki i wyciągnęła z niej bransoletkę ze srebra z wprawionym w nie bursztynem, którą dostała od Piotra Gogiela podczas ich pierwszego spotkania w Banku Kredytowym Yistula. Miała nadzieję, że nic nie szkodzi, iż bursztyn i srebro są ze sobą połączone. Na koniec nożyczkami do paznokci ostrożnie odcięła sobie z grzywki centymetrowej długości kosmyk włosów.

Zerknęła czujnie w kierunku Reja. Spał jak zabity. Okazał jej tyle ciepła, tak o nią dbał, że czuła się troszeczkę nie w porządku, próbując sprawdzić, czy czary starej kobiety skutkują. Ale seans u Madame Krystyny otworzył przed nią nowe, nie znane dotąd drzwi, uświadomił jej istnienie innego świata, równie rzeczywistego i burzliwego jak „świat realny”. A skoro czary staruszki mogły pokazać jej twarz, która jakoby za nią podążała, chciała je przynajmniej wypróbować.

Przeszła ponownie nago przez pokój, podniosła wielką, brokatową poduchę i ułożyła pod nią w kształt pięcioramiennej gwiazdy owoce osiki. W samym środku gwiazdy umieściła bransoletkę z bursztynem, a wewnątrz bransoletki kosmyk włosów. Nakryła to poduszką i położyła się wygodnie.

Ale minęła jeszcze dobra godzina, zanim spłynął na nią sen. Nieustannie towarzyszyła jej w myślach staruszka, trzymająca ją za łokieć i mówiąca

skrzekliwym głosem: „Dlaczego wleciesz za sobą tę twarz? Co próbujesz zrobić? Chcesz nam pokazać, jaką jesteś męczennicą?”

Najbardziej przeraziło Sarah to, że wieśniaczka знаła jej nazwisko. A przecież żadną miarą, bez względu na wszelkie tłumaczenia, jakie wymyślał Rej, nie miała prawa go znać. Przerazało ją też słowo „męczennica”. Słowo „męczennica” kojarzyło się jej z samoofiara i bolesną śmiercią, z Joanną d'Arc i łamaną kołem Katarzyną Aleksandryjską. Słowa staruchy sprawiały bardziej wrażenie proroctwa niż żartu, sugerowały, że Sarah podjęła już działania, które nieuchronnie zakończą się jej męczeństwem. Nie potrafiła sobie wyobrazić, co stanie się przyczyną jej ewentualnej śmierci, ale tego nie wiedziała również większość męczenników.

Obserwowała pogrążonego we śnie Reja i rozmyślała o nim, zastanawiała się, jakim naprawdę jest człowiekiem. Na pewno nie jest typem intelektualisty oraz nie grzeszy szczególnie rozległą wiedzą. Przyznawała jednak, iż to właśnie częściowo stanowiło o jego atrakcyjności. Jeśli czegoś nie wiedział, nie próbował udawać, że jest inaczej. Nigdy nie nosił wykrochmalonych chusteczek do nosa, lecz zwykłe bibułki higieniczne. Nie wiedział również z całą pewnością, co to wyprasowane spodnie.

Dotknęła opuszkami jego policzka. Nie budząc się, przeciągnął palcami po twarzy, zupełnie jakby szedł przez sad swego ojca i na policzku usiadł mu komar. Sarah również była Polką, lecz zdawała sobie sprawę z tego, że nigdy nie będzie należeć do tego kraju w takim stopniu jak Rej. Mimo iż obecnie pracowała w Warszawie, Polska ciągle jawiła się jej jako odległa ojczyzna, obca i romantyczna, ziemia, która tak naprawdę nigdy nie stanie się dla niej realnym

krajem.

Była to kraina z marzeń; kraina świtów i zmierzchów, kraina kwitnących sadów, barwnych ostów, wielkich cienistych drzew, połyskliwych strumieni i ciemnych lasów, srebrzystych świerków, pagórków i mrocznych młynów nad spienioną wodą.

Istniała też Polska uczuć. Polska ze starodawnymi pomnikami, kościołami, fragmentami prastarych murów obronnych, pałacami wśród rozległych parków, mgieł unoszących się nad stawami w tych parkach, dróg prowadzących dokądś i nienickających w oddali, wiodących przez wioski traktów.

Wszystko to minęło, wszystko to jawiło się wyłącznie w wyobraźni, a mimo to nie zostało zapomniane. Była to Polska istniejąca tylko w wyobraźni Polaków, a jednak Polska, za którą umierali.

Może to właśnie stara kobieta miała na myśli, wspominając o męczeństwie?

Sarah spała. Leżała na plecach, jedną rękę uniosła za głowę, włosy rozsypywały się na poduszce. Pełgający na palenisku żar rysował ostro kontury jej nagiego ciała, płaskiego brzucha, długich, szczupłych nóg. Przeciąg w kominie unosił snopy iskier, które ginęły pod okapem i odlatywały w ciemność.

Śniło jej się, że wędruje przez rozległe, zalewane słonecznym blaskiem pole jęczmienia, który sięgał jej do połowy łydek. Ubrana była w cienką, powiewną sukienkę w ogromne maki, niegdyś należącą do jej matki. W oddali majaczyła linia drzew, a pomiędzy nich unosił się dym. Jakkolwiek dzień był ciepły i wiał łagodny wiatr, Sarah gnębił nieokreślony niepokój; jakby zapomniała o czymś bardzo istotnym. Zastanawiała się, która może być godzina, ale nie miała skąd się tego dowiedzieć.

Wysoko nad głową przeleciał klucz żurawi kierujących się na południe.

Odnosiła wrażenie, że nadchodzi koniec lata i szybko nastanie zima; nadejdzie szybciej, niż ktokolwiek może to sobie wyobrazić. Przyspieszyła kroku. Nie chciała, żeby zmiana pogody zaskoczyła ją na polu. Nie chciała tam być, kiedy zacznie sypać śnieg, zwłaszcza że miała na sobie tylko cienką sukieneczkę.

Pole jęczmienia ciągnęło się w nieskończoność. Wiedziała, że wędruje od dobrych kilku godzin i że jest już spóźniona. Na horyzoncie dostrzegła sylwetki ludzi, którzy kosami ścinały zboże. Byli jednak tak daleko, że gdyby nawet do nich wołała, z całą pewnością nie usłyszeliby jej krzyku.

Zachodzące powoli słońce w osobliwy sposób mroczniało. Wzmagał się wiatr, niósł nad polami plewy, ale cały czas panował upał. Sarah odwróciła się i daleko w tyle dostrzegła ogromną przygarbioną postać w płaszczu lub opończy. Postać podążała jej śladem, podmuchy wiatru wydymały płaszcz, spod stóp istoty wzbijały się obłoki kurzu. Postać była całkowicie czarna i wydawała się olbrzymia, lecz trudno było ocenić jej prawdziwe rozmiary, ponieważ brakowało jakiegokolwiek punktu odniesienia. Cała perspektywa została nagle odwrócona niczym na średniowiecznym malowidle, gdzie każdy przedmiot, im dalej się znajduje, tym jest większy.

Sarah przystanęła, osłoniła oczy dłonią i obserwowała nadchodzącą postać. Była nie tylko ogromna, ale i poruszała się bardzo szybko... nienaturalnie szybko.

Dostrzegła ją zaledwie przed chwilą, a istota już pokonała jedną trzecią dzielącego je dystansu. Wcale nie pragnęła, by ta postać się z nią zrównała... odnosiła wrażenie, że stworzenie zamierza ją skrzywdzić.

Znów ruszyła przez pole, tym razem najszybciej jak potrafiła. Nie miała butów i

stopy raniły jej osty, wąsy jęczmienia i kamienie. Przez chwilę biegła, potem zwolniła do marszu, a następnie znów przez kilka minut biegła. W końcu zaczęło brakować jej tchu. A skraj pola wciąż był tak samo odległy. Gdy zerknęła za siebie, ze zdumieniem stwierdziła, iż posuwająca się za nią postać w opończy jest już zaledwie niecałe sto metrów od niej i ciągle szybko się zbliża.

„Twarz twoją widzę wyraźnie jak w dzień, panno Lewandowicz. Ale widzę również tę twarz za tobą”.

Choć Sarah była już nieludzko zmęczona, podjęła bieg. Wiedziała, że jest wysportowana, ale trudno biec na bosaka po suchej, spękanej i twardej ziemi w upale, którego prawie nie sposób znieść. Poza tym nie miała nic pod sukienką i przy gwałtownych ruchach piersi obijały się boleśnie pod wzorzystym materiałem, a sama sukienka przylegała do ciała niczym całun.

Słońce zachodziło, zachodziło i w końcu wydawało się, że płonie pośród drzew.

Sarah ponownie zerknęła przez ramię i ujrzała, iż postać majaczy na tle nieba niczym olbrzymi cień już tylko o kilka kroków za nią. Nie ustawała w biegu, ale oddech jej się rwał, stawał się świszczący, kolce ostów boleśnie cięły stopy, palce u nóg zlepione miała krwią.

„Widzę twarz, która towarzyszy ci przez całe życie, a teraz jest już tak blisko, jak nigdy dotąd”.

Czarna istota była tuż-tuż. Sarah słyszała chrzęst wlokącej się po żdźbłach jęczmienia opończy, dochodziło ją uporczywe łup--łup-łupanie stóp o ziemię. Brakowało jej już powietrza, ogarniała ją panika. Próbowwała przeskoczyć przez trzy bruzdy i upadła, kalecząc się w łokieć i policzek. Przekręciła się na plecy i popatrzyła w górę. Stojąca nad nią postać była ogromna. Musiała mieć trzy

metry wysokości; zapewne więcej. Ale Sarah, zbyt wyczerpana, żeby wykonać jakikolwiek ruch, mogła już tylko leżeć na ziemi i spazmatycznie oddychać. Nie rozumiała, czym jest ta istota ani co zamierza jej zrobić, lecz nigdy jeszcze w życiu tak się nie bała. Postać emanowała z siebie zgrozę; zupełnie jakby wszystko to, czego Sarah lękała się w życiu, zawierało się pod tą opończę. Strach przed ciemnością, strach przed pajakami, strach przed samotnością. Czowała, że wystarczy, by postać rozchyliła swą czarną kapotę, a ona wpadnie w najotchłanniejse przerażenie.

— Nie — szepnęła. — Proszę, nie.

Mroczna postać zbliżyła się jeszcze bardziej. Uniosła rękę, ściągnęła z głowy kaptur i ostatnie promienie zachodzącego słońca oświetliły jej twarz.

Sarah miała ciało sparaliżowane strachem. Oblicze było przeraźliwie blade i nienaturalnie małe, jak twarz dziecka lub porcelanowej lalki, oczy czarne, nieruchome i bez wyrazu, martwe jak u rekina, ale nos miał normalny kształt, a pod nim widniały maleńkie usta.

Mimo drobnej twarzyczki, głowa odpowiadała proporcjom reszty ogromnego ciała. Jasna, sklepiona czaszka ze strzępami i kosmykami włosów trawionych jakąś chorobą. Kontrast między monstrualnością tej głowy a urodą miniaturowego oblicza był tak wielki, że przerażona Sarah nie była w stanie oderwać od niej wzroku.

Stojąca w całkowitym bezruchu postać oddawała jej spojrzenie. Po chwili jednak zaczęła się nad nią pochylać. Pochylała się tak, jakby w stopach miała idealnie naoliwione zawiasy — nie zginała w ogóle ciała. Maleńkie oblicze przybliżało się i przybliżało, aż w końcu znalazło się w takiej odległości, że

Sarah mogłaby dotknąć go wyciągniętą ręką.

Nastąpiła długa chwila okropnego napięcia. I nagle pochylona nad nią twarz wykrzywiła się. Szczeka straszliwie się rozwarła. Słysząc było chrupot kości, chrzęst naciąganych mięśni i zawiesziste mlaskanie szarpanego mięsa. Maleńkie, czarne oczka pozostawały nieruchome, ale usta otworzyły się tak szeroko, że aż wargi wywracały się na drugą stronę, ukazując purpurowawe, obrzmiałe dziąsła i tysiące cieniutkich, ostrych jak igły zębów. Z tej paszczy wysunął się długi, purpurowy język, ze szczęk zaczęły skapywać grube pasma gęstej śliny.

W tym samym momencie słońce zaszło i wszystko spowiała kompletna ciemność: niebo, pole jęczmienia, samą postać w opończy. Ale zanim jeszcze to się stało, Sarah usłyszała metaliczny szczęk klingi wyrywanej z pochwy, w ostatnim rozblasku dziennego światła dostrzegła uniesione wysoko olbrzymie stalowe ostrze.

Nie mogła krzyczeć. Nie mogła oddychać. W jej umyśle eksplodowała noc niczym pękająca, gigantyczna tafla czarnego szkła. Poczula, że przenika przez ziemię, przez niezliczone warstwy czasu i historii, przez niezliczone żniwa, przez lasy i zarośla, przez bitwy i potoki krwi pogrzebane pod zwałami wieków żałoby, pogrzebane w ziemi; ziemi popękanej latem, zamarznętej zimą i rozmięklej wiosną.

Przyduszona, zgniatana, miotała się bezradnie na wszystkie strony. Oczy otworzyła dopiero wtedy, gdy Rej chwycił ją za ramię i głośno krzyknął.

Panował gęsty mrok. Ogień prawie całkiem wygasł, lecz w ciemnościach dostrzegła zarys męskich ramion.

— Co się z tobą, do licha, dzieje? — zapytał polski policjant. — Myślałem, że

masz orgazm.

Przez chwilę leżała nieruchomo na plecach. Pot ściekał z niej strugami; nawet włosy miała mokre. Nie mogła uwierzyć, że nie spoczywa pod zwałami tysięcy ton ziemi, że to, co się jej przytrafiło, było tylko snem.

— Czy już wszystko w porządku? — zapytał zaniepokojony Rej.

Skinęła głową i Rej odsunął się od niej. Sięgnął po szorty, namacał zapalniczkę i zapalił nią stojącą obok łóżka naftową lampę. Włosy sterczały mu na wszystkie strony, więc wyglądał prawie jak chłopiec.

— Już chciałem wzywać pogotowie. Sarah szczerzej otuliła się kocem.

— Słowo honoru... nic mi nie jest.

— Jesteś biała jak płótno.

— Naprawdę nic mi nie jest. Słowo.

Nie spuszczać z niej wzroku, usiadł i położył dłoń na jej udzie.

— Co to było? Koszmar? Bez przerwy powtarzałaś słowo „nie”.

— Nic się nie stało. Po prostu pierwsza noc w obcym miejscu, to wszystko. Gaś lampę i idziemy spać.

— Może chcesz się czegoś napić? Co powiesz o szklance herbaty? Sarah otarła czoło skrajem koca i przesłała Rejowi uśmiech.

— Posłuchaj, naprawdę nic mi nie jest. Potrzebuję tylko trochę snu.

Teraz już Rej sprawiał wrażenie człowieka, który za papierosa oddałby prawie wszystko. Skinął głową, poklepał Sarah po nodze i oświadczył:

— Cóż, skoro tak mówisz...

Sięgnął za plecy Sarah, uniósł jej głowę i zaczął poprawiać poduszkę. Wtedy też wytoczyły się spod niej owoce osiki. Podniósł poduszkę i ujrzał bransoletkę z

bursztynem oraz kosmyk włosów. Popatrzył na Sarah wzrokiem pełnym niedowierzania i niesmaku.

— O co chodzi? — zapytała.

— Wypróbowałaś go, prawda? Chodzi mi o ten głupi czar.

— Oczywiście, że wypróbowałam! A czego innego się spodziewałeś? Chciałam zrozumieć, o czym ta kobieta mówiła. Stefan, ona знаła moje nazwisko! To jakaś bzdura!

— Na Boga, przecież czary i uroki nie istnieją. Magia, zabobony... to tylko wymysły.

— Och, przestań gadać jak aparatczyk*. Niewidoma staruszka znała moje nazwisko!

Rej odwrócił głowę i nie odezwał się słowem, lecz Sarah widziała, jak gwałtownie pracują mu mięśnie szczęk.

— Przepraszam — odezwała się. — Nie chciałam tego powiedzieć. Ale przecież musiałam się przekonać, o czym ta kobieta mówiła.

Rej spojrział na nią dopiero po długiej chwili.

— No i czego się dowiedziałaś? — zapytał. — A może był to wyłącznie koszmarne sen?

— Wędrowałam przez pole i coś mnie ścigało. W końcu mnie dogoniło. Było przerażające. Miało na sobie rodzaj płaszcza, miało olbrzymią głowę i maleńkie oblicze. Taką maleńką, malusieńką twarzyczkę, jak dziecko. To coś pochyliło się nade mną, prawie mnie spowiło, i wtedy usta w tej twarzy się rozwarły. To coś miało również nóż. Ba, raczej miecz. Wyciągnęło go i... Boże, sama nie wiem, co ten stwór zamierzał mi zrobić... Wtedy się obudziłam.

— Płaszcz? — zapytał Rej. — Jakiego koloru?

— Nie jestem pewna. Wydawało mi się, że czarny. Ale równie dobrze mógł być granatowy.

— Czy miał guziki?

— Guziki? Nie wiem. Nie pamiętam. Byłam przerażona.

— Przypomnij sobie. Czy przy tym płaszczu były guziki?

— Może tak, może nie. Czy to aż tak istotne?

— Posłuchaj — zaczął wyjaśniać Rej. — Jeśli był to wyłącznie sen, to rzeczywiście jest nieistotne. Jeśli jednak urok naprawdę poskutkował, jeśli naprawdę ujrzałaś twarz, która za tobą podąża, to w takim przypadku każdy najdrobniejszy szczegół, jaki zapamiętałaś, jest równie ważny, jakbyś na jawie ujrzała tę osobę z krwi i kości.

— Nie jestem pewna, czy była to osoba. W każdym razie nie w takim sensie, w jakim zazwyczaj mówimy o osobie.

— Więc co to było? Jakiś... stwór?

— Nie wiem — odparła Sarah. — Twarz była śliczna, lecz na swój zimny, martwy sposób. Oczy nie miały żadnego wyrazu. Ale głowa... sklepienie czaszki... Coś przerażającego: czubata, łysiejąca i zniszczona, jakby toczył ją jakiś straszliwy liszaj lub coś w tym rodzaju.

— Mogłabyś opisać to stworzenie? — zapytał Rej.

— Obawiam się, że nie chcę. Śmiertelnie mnie przeraziło. Rej pochylił się i pocałował Sarah najpierw w czoło, a potem w usta. Ona dotknęła jego policzka.

— Przepraszam, naprawdę — powiedziała. — Nie chciałam nazywać cię aparaczką.

— E tam — burknął Rej, wzruszając ramionami. — Może kiedyś nim naprawdę byłem. Może ideologiczny sposób myślenia ma twarde życie. — Dotknął jej ramienia, jakby nie dowierzał, że jest prawdziwe. — Ty jesteś przyzwyczajona do wolności — dodał. — Czuję to w tobie. I to właśnie jest najbardziej ekscytujące.

Sarah nagle zdała sobie sprawę, że jej związek z Rejem jest przelotny. Ta noc w Czerwińsku, może jeszcze jedna lub dwie po powrocie do Warszawy. Ale to wszystko. Nie będzie to nic trwałego. Rej był silny, Rej był miły, a ona prawie się w nim zakochała. Ale, niestety, miał do odrobienia zaległości ze zbyt wielu lat.

— Ta istota — odezwała się — cokolwiek to było, ścigała mnie przez pole. Była tak przerażająca, że nie miałam nawet siły uciekać. Odnosiłam wrażenie, że wydrenowała ze mnie wszystkie siły. Wydrenowała nawet blask słońca.

— Kiedy byłem w kanałach i zostałem zaatakowany, moja latarka zgasła. Jakby ktoś wypompał z niej całą energię.

— Stwór posuwał się niesłychanie szybko — kontynuowała Sarah. — Biegłam ile sił w nogach, ale on doścignął mnie w mgnieniu oka.

— Stwór w kanałach również był bardzo szybki. Zdołałem umknąć tylko dzięki temu, że wyciągnięto mnie na linie.

Sarah zamknęła oczy i próbowała sobie dokładnie przypomnieć wygląd ścigającej ją postaci. Subtelną, drobną twarzyczkę. Zdeformowaną, najwyraźniej toczoną jakąś chorobą czaszkę. Ciężką, wzdymaną wiatrem opończę. Widziała to stworzenie tak wyraźnie, jakby w tej właśnie chwili pochylało się nad nią jak w tamtym śnie. I

dostrzegła dwa guziki spinające kapotę: dwa guziki połączone łańcuchem. A na każdym z nich widniał wizerunek wyszczerzonej paszczy warczącej bestii.

— Tak — powiedziała. — W opończy były dwa guziki. Mogę ci je narysować.

Rej przysiadł się do niej, a Sarah na marginesie „Super Expres-su” z poprzedniego dnia rysowała guzik, jaki zapamiętała ze snu. Policjant nerwowo bębnił palcami i Sarah bardzo chciała mu powiedzieć, że może zapalić. Ale nie zrobiła tego. Gdy skończyła rysować, odsunęła się, a potem obserwowała, jak Rej studiuje jej dzieło.

— Nie ma wątpliwości — stwierdził po dwóch czy trzech minutach. — To jest dokładnie to samo.

— Dokładnie to samo co?

— Ten sam guzik, jaki znaleźliśmy w kanałach po tym, jak zabity został Jan Kamiński. Taki właśnie guzik przszyty był do strzępu bardzo starej tkaniny.

— Chcesz powiedzieć...?

— Tak, twój sen, twój koszmar, czy co to tam było... był realny. Nie ma możliwości, żebyś mogła odrysować ten guzik, wcześniej go nie oglądając.

— Och, Boże! — Sarah zakryła usta dłonią.

— Czym się zajmujesz? — zbagatelizował sprawę Rej. — To tylko kolejny etap na drodze prowadzącej do odkrycia, kim naprawdę jest Oprawca.

— Ale jak to możliwe? Skąd mogę wiedzieć, jak ten guzik wygląda? Tak po prostu ze snu?

— Wróć do tego, co już powiedziałem. Nie sędzę, by był to sen. A w każdym razie nie w potocznym tego słowa znaczeniu. Uważam, że naprawdę spotkałaś Oprawcę.

— To stworzenie? To stworzenie w obszernym płaszczu, z tymi ustami, oczami i całą resztą? Jak to mogło być realne? Jak w ogóle można podejrzewać, że jest realne?

— To właśnie ustalimy — odparł Rej. — I aresztujemy je. A jeśli nie zdołamy aresztować, zabijemy. Wtedy ty i twoi robotnicy wróćcie na teren budowy eleganckiego hotelu, a ja do pracy.

— Ale dlaczego ten stwór mnie poszukuje?

— Z tego samego powodu, z jakiego poszukiwał innych ludzi... małej Zosi, Ewy Zborowskiej, Bronisława Ślesińskiego. Wszyscy oni byli w jakiś sposób powiązani z Armią Krajową. To coś chce dopaść wszystkich akowców, co do ostatniego, i zabić ich, choć Bóg jeden wie dlaczego.

Sarah przez chwilę milczała. Choć była śmiertelnie zmęczona, zdawała sobie sprawę z tego, że i tak nie zdoła zmrużyć oka.

— Pozwól, że jeszcze raz spróbuję ci to opowiedzieć. Wtedy przynajmniej będziesz wiedział, czego szukać.

Rej pochylił się i pocałował ją w policzek. Amerykanka odniosła przykre wrażenie, że jest to zapewne jeden z ostatnich pocałunków, jakim ją obdarzył.

Clayton i Marek posuwali się spiesznie jeden za drugim wąskim, owalnym kanałem, młóćąc rytmicznie stopami ścieki. W miarę jak biegli, światła latarek drżały i skakały po ścianach, sprawiając, że cały kanał przypominał kalejdoskop tańczących odblasków.

— Widzi go pan? — wysapał Marek. — Nie mógł przecież zanadto nas wyprzedzić.

Clayton starał się trzymać latarkę nieruchomo. Wydawało mu się, że w

odległym końcu kanału dostrzega znikający za rogiem szarawy cień.

— Tam! To on! Widziałeś go? Widziałeś, jak mignęła jego postać?

— Ale jak sobie radzi bez latarki?

— Nie wiem — odparł Clayton. — Zapewne zna drogę na pamięć. Albo widzi w ciemnościach.

— Och, daj pan spokój! Tutaj jest kompletnie czarno. W takim mroku nikt nie jest w stanie niczego zobaczyć.

— Dzieciaku, to nieprawda. W Nowym Meksyku żyją gady, które zamieszkują prehistoryczne jaskinie głęboko pod ziemią. Te stworzenia widzą. To rzecz udowodniona i powszechnie znana. Podczerwień, ultrafiolet, czy jak to tam nazwiesz. Nie wmawiaj mi, że istota ludzka również nie jest zdolna do czegoś takiego.

Posuwali się truchtem przez następne dwie czy trzy minuty. Dotarli do rozwidlenia kanału; jedno prowadziło na południe, drugie na południowy zachód.

— Cicho, posłuchajmy — syknął Clayton.

Stali dłuższą chwilę w bezruchu, wstrzymywali oddechy i nastawiali uszu. Z biegnącego na południowy wschód przewodu kanalizacyjnego dobiegały wyraźne dźwięki czyichś stóp mielących wodę; w chwilę później dotarło pojedyncze kasznięcie.

— Tam pobiegł, łobuz — stwierdził Clayton i znów ruszył kłusem.

Nie mieli pojęcia, jak duży dystans przebyli. Marek podejrzewał wprawdzie, że minęli właśnie skrzyżowanie Marszałkowskiej z Trasą Łazienkowską, lecz ponieważ w kanałach przebywali już dość długo, równie dobrze mogli

znajdować się w jakimś bardziej odległym miejscu. Powietrze stawało się coraz bardziej cuchnące i chłopak bez przerwy splotał i kaszłał. Mokre ubranie lepiło mu się do ciała, czuł się brudny, zmęczony i gdyby w przodzie nie kłusował z taką determinacją

Clayton, dawno by już opuścił tę rurę najbliższą studzienką.

— Widzę go! — odezwał się Amerykanin. — Szybciej, dzieciaku, doganiamy go!

Sześćdziesiąt lub siedemdziesiąt metrów przed nimi, chwycony w ruchliwy snop latarkowego światła Okuń odwrócił się w ich stronę. Jego oczy lśniły czerwienią niczym źrenice uczestnika przyjęcia sfotografowanego nieoczekiwanie polaroidem.

Po chwili stary mężczyzna zniknął i Clayton z Markiem przyspieszyli biegu.

— Chłopsko czuje się winny jak cholera — wysapał amerykański detektyw. — W przeciwnym razie nie uciekałby tak przed nami.

Marek nie odpowiedział, w dalszym ciągu marzył tylko o tym, by wydostać się z kanałów.

Dotarli do miejsca, w którym zniknął Okuń. Odchodziło stamtąd znajdujące się w połowie wysokości ściany przyłącze o średnicy zaledwie jednego metra. Z monotonnym, irytującym pluskiem nieustannie wyciekała z niego woda.

Clayton oświetlił wejście do przewodu.

— Tędy... — oświadczył. — Tędy poszedł.

— Tędy? — zdziwił się Marek. — Przecież to tylko przyłącze.

— Ale właśnie tędy poszedł. Popatrz, widzisz ślady butów?

— Co teraz zrobimy?

— A jak myślisz? Pójdziemy za nim.

— Nie sędę — odparł chłopak. — Wydaje mi się, że i tak już zaszedłem za daleko.

— Co, strach cię obleciał? — zapytał pogardliwie Clayton. — Przecież to tylko podstarzały, drobny i cherlawy seryjny morderca. Kogo się boisz?

— O nie, człowieku! Absolutnie nie!

— Posłuchaj — zniecierpliwiał się Clayton. — Robiłem już w życiu bardziej przerażające rzeczy niż ta. Przypomnij mi, żebyś ci przy okazji opowiedział, jak w pościgu za szaleńcem, który trzymał tam zakładniczkę, musiałem wejść do ogrzewanego gazem pieca do wypalania koksu.

— I nie spalił się pan?

— Chyba nie sądzisz, że wlaźłbym do środka, gdyby się tam paliło? Ale i tak nie było to przyjemne.

— Co mnie to obchodzi! Do rury ściekowej nie wejdę!

— Dzieciaku, przyszliśmy tu razem, prawda? Ty i ja! I co, przemierzyliśmy tyle drogi za frajer? Tak za nic skąpaliśmy się w gównie? A pomyśl o dzieciach z powstania, które pełzły przez te kanały całymi kilometrami.

Sądzisz, że się nie bały?

— Jestem przekonany, że tak.

Clayton potarł kark czując, że zaczyna go łąpać skurcz.

— A zatem chcesz rzucić ręcznik na ring? Chociaż masz niepowtarzalną szansę schwytać Oprawcę? Odrzucasz sławę, dzieciaku?

Marek ponownie popatrzył w rurę. Nie chciałby się tym przewodem czołgać nawet w dziennym świetle. A tu wszystko spowijał atramentowy mrok. Ściany

przyłącza pokrywał szlam, środkiem płynął strumyczek cuchnących, ciemnobrązowych ścieków.

Ponadto Bóg jeden wie, co się w niej czai, czekając, aż jakiś głupi intruz spróbuje to zbadać.

Przeniósł wzrok na Claytona, ale ten tylko obojętnie wzruszył ramionami.

— Jak chcesz, dzieciaku. Ja idę dalej, nawet jeśli ty się wycofasz.

— W porządku — powiedział Marek, choć rozsądniejsza część jego umysłu rozpaczliwie krzyczała: „Kurwa! Kurwa! Po co się zgadzasz?” I zrobił rzecz jeszcze głupszą. Powiedział:

— Mogę iść pierwszy. Poruszam się trochę szybciej niż pan.

I ponownie rozsądniejsza część jego umysłu wrzasnęła: „Zwariowałeś, kompletnie zwariowałeś, do reszty straciłeś rozum!”

Do bocznego przewodu kanalizacyjnego prowadziły dwa metalowe szczeble wbite w ścianę. Marek wspiął się po nich i stanął na skraju rury. Była tak wąska, że z trudem odwrócił głowę.

— A co będzie, jak go spotkam? — zapytał stłumionym głosem.

— Po prostu złapiesz go za nogi. W takiej ciasnocie niewiele będzie mógł zrobić.

— Po prostu złapię go za nogi — odburknął Marek, torując sobie na łokciach drogę. — Dobrze sobie!

Gdy całkowicie już zniknął w przewodzie, po szczeblach wspiął się Clayton i ruszył śladem chłopaka.

— Moim zdaniem, rura, którą się posuwamy, stanowi jedynie łącznik, którego on używa do przechodzenia z jednego głównego ciągu kanałowego do innego

— przerwał ciszę Amerykanin.

Jego głos dudnił, jakby Clayton trzymał głowę w ogromnym pustym zbiorniku na wodę.

— Pod warunkiem, że ten przewód w ogóle dokądś prowadzi! — odkrzyknął Marek.

Przezołgał się najwyżej piętnaście metrów, a już czuł się beznadziejnie uwięziony w ciasnej przestrzeni, ogarniała go panika, zwłaszcza że jedyną drogę odwrotu blokował mu Clayton; masywny, kaszlący i posuwający się znacznie wolniej od niego.

Snop światła latarki grzązł w mroku biegnącego idealnie prosto przewodu kanalizacyjnego. Chłopak wyławiał światłem jedynie ciemność. Na początku pokrywająca ściany rury mulista zawiesina budziła w nim odrazę. Kiedy jednak już wpadł w rytm wędrówki na łokciach i kolanach, zaczął dziękować losowi za tę maź, ponieważ umożliwiała mu jednoczesne czołganie się i prześlizgiwanie przewodem, co sprawiało, że mógł posuwać się dużo szybciej. Komu chciałoby się chodzić na łyżwy — pomyślał — skoro można ślizgać się na brzuchu po ludzkich odchodach?

— Widzisz coś? — zapytał Clayton.

— Ciemność, a dalej też ciemność. Nic więcej.

— Zatrzymajmy się na chwilę i posłuchajmy.

Obaj znieruchomieli i nastawili uszu. Dotarł do nich poświst powietrza w rurach wentylacyjnych oraz odległy, niski, ciągły pomruk... To wszystko.

— Ruch uliczny — stwierdził Clayton. — Przesuńmy się trochę dalej.

Marek zaczął się pocić. Dawało o sobie znać zmęczenie spowodowane

czołganiem się. Łokcie i kolana zaczynały piec, przemoczone ściekami dżinsy obcierały

boleśnie uda. Ale skoro jedynym wyjściem było posuwanie się do przodu, nie miał innego wyboru i pełził. Przeklinał w duchu samego siebie za to, że zgodził się na udział w tej awanturze; a jeszcze bardziej przeklinał się za to, że na ochotnika poszedł jako pierwszy.

— Jesteś zwykłą mendą — mruknął.

— Mówiłeś coś? — zainteresował się Clayton.

— Nic takiego — odparł Marek. — Gadam do siebie.

W tej samej chwili usłyszał dobiegający z przodu oszalały klekot i drapanie. W świetle latarki pojawił czarny kształt prawie wielkości psa pokryty gładkim futrem.

— Uuuuuuu! — wrzasnął Marek i gwałtownie zakrył rękami twarz.

Z mroku wyłonił się największy szczur, jakiego Marek widział w życiu, i wskoczył mu na głowę. Pazury gryzonia wplątały się we włosy chłopaka.

Stworzenie było tak ciężkie, że wbiło Markowi twarz w dno ścieku. Przebiegło błyskawicznie po jego plecach i nogach. Leżał płasko na brzuchu i dygotał z przerażenia.

— Oż, ty w dupę! — zaklął Clayton i wyrznął zwierzę latarką. Ale Marek trwał w tej samej pozycji, zaciskał zęby i drżał, jakby wsadził palce w dziurki od kontaktu.

— W porządku, dzieciaku? — zaniepokoił się Clayton.

Marek skinął głową, zapomniawszy, że przecież w otaczającym ich mroku Clayton nie może go widzieć. Przez głowę przeleciała mu myśl: Po co ja to

robię? We łbie mi się pokiełbaśiło. Po pachy siedzę w gównie, sram pod siebie ze strachu i chcę już tylko do domu.

Pomyślał o matce wyjmującej z piekarnika gorącą szarlotkę. Pomyślał o Oldze, o swym młodszym bracie i zachciało mu się nagle płakać.

— Nie zrobił ci krzywdy? — chciał wiedzieć Clayton.

— Nie, nie. Jestem tylko przerażony. Nigdy jeszcze nie widziałem tak ogromnego szczura.

— Cóż, odżywiają się tu doskonale. Tu nieustannie trwa bankiet. W każdym razie jeśli chodzi o szczury.

Pełzli dalej. Teraz już jednak Marek nieustannie świecił przed siebie latarką, żeby nie zaskoczyły go kolejne szczury. Odczuwał coraz większe zmęczenie.

Clayton był skrajnie wyczerpany. Marek słyszał jego świszczący oddech i dobywający się z płuc charkot. Pełznący za nim amerykański detektyw często się zatrzymywał dla złapania oddechu.

— Jest pan pewien, że ta rura dokądś prowadzi? Nie mam ochoty dotrzeć do basenów asenizacyjnych.

— Skoro drogą tą poszedł Okuń, możemy pójść i my.

— A jeśli tak naprawdę wcale tędy nie poszedł? Jeśli udało mu się wyprowadzić nas w pole? Jeśli ten przewód kończy się ślepo?

— Jeśli skończy się ślepo, zawrócimy, prawda?

Po kolejnych dwudziestu minutach mozolnego przepychania się przez nieprzeniknione ciemności blask latarki Marka zaczął słabnąć, więc chłopak musiał nieustannie nią potrząsać. I on, i Clayton byli już zdrętwiali i obolali, a otaczające ich powietrze tak cuchnęło, że cały czas odkrztuszali gorzką, gęstą

ślinę. Często zatrzymywali się, by nasłuchiwać odgłosów przemawiających za tym, że przed nimi posuwa się Okuń. Do ich uszu jednak nie docierał żaden dźwięk, świadczący o obecności człowieka. Marek odczuwał taką klaustrofobię, że musiał zamykać oczy i przekonywać siebie, iż wcale nie przebywa pod ziemią. Co gorsza odnosił wrażenie, że rura zaczyna się nieznacznie zwężać. Głowę musiał trzymać jeszcze niżej niż dotychczas, a barkami nieustannie tarł o ściany przewodu.

Jeśli rura zwęzi się jeszcze bardziej — pomyślał — powiem Claytonowi, że dalej nie idę. Po prostu dalej nie da się już posuwać.

Walczył ze sobą jeszcze przez następnych pięć minut; później przez kolejnych pięć. W końcu się zatrzymał.

— Co jest? — zapytał Clayton. — Usłyszałeś coś?

— Mam dosyć. Chcę wracać.

— Daj spokój, dzieciaku. Zaraz złapiesz drugi oddech. Jesteś po prostu zmęczony.

— A pan nie?

— Chodźmy jeszcze kawałeczek. Wkrótce musimy natknąć się na główny kanał.

— To samo mówił pan godzinę temu. Ja już nie wytrzymuję. Po prostu nie wytrzymuję. Jestem w stanie jednego, ciągłego przerażenia.

— Poczekaj — odezwał się nagle Clayton. — Zgaś latarkę.

Po króciutkim wahaniu Marek spełnił polecenie. Clayton również wyłączył swoją i natychmiast spowiła ich nieprzenikniona ciemność. Przez chwilę jeszcze przed oczyma Marka drżały, niczym bakterie pod mikroskopem, zielonkawe

mroczki powidoków.

— O co chodzi? — zapytał.

Serce tak mocno obijało mu się o żebra, że czuł prawie fizyczny ból.

— Tam... chyba zauważyłem błysk światła — wyjaśnił Clayton. Marek spojrzał przed siebie i wydało mu się, że widzi delikatny blask.

— Wygląda to na światło dzienne.

— Nie obchodzi mnie co to, ale najpewniej jest to wyjście z tej cholernej rury.

No, zbierajmy dupy.

Zapalili latarki i ruszyli w dalszą drogę, prześlizgując się na łokciach i kolanach po tłustej mazi, która coraz grubszą warstwą zalegała na ściankach rury kanalizacyjnej. Miejscami szlam przybierał konsystencję smalcu grząskiego na dobrych pięć centymetrów. A przed nimi blask nasilał się, aż w końcu dostrzegli, że przyłączyce załamuje się, a blask przypomina odbijający się w toni jeziora półksiężyc.

— Przewód wentylacyjny — stwierdził Marek. — Czuję... już czuję.

Odchylił głowę do tyłu najbardziej jak mógł i rzeczywiście poczuł na twarzy lekki powiew skwaśniałego powietrza; woń kanałów, ale zmieszana już z zapachem spalin samochodowych i aromatem świata zewnętrznego. Po raz pierwszy od ponad godziny chłopak odetchnął pełną piersią. Do uszu dobiegał mu szum autobusów, dźwięk klaksonów, przeciągłe zawrozczenie syreny karetki pogotowia.

— W porządku, dotarliśmy do końca — stwierdził i przekręcił lekko głowę, tak żeby móc dojrzeć Claytona.

— Być może. Ale co stało się z twoim znajomym, panem Okuniem?

— Gównu mnie to obchodzi. Po prostu wylaźmy stąd. Lecz Clayton pozostawał nieugięty.

— Posłuchaj, dzieciaku. Nie pełżem przez tę rurę z kibla na darmo.

Początkowo tylko chciałem dorwać tego skurwiela, teraz muszę go dorwać.

Doprowadzę do tego, że zeżre na śniadanie ten otaczający nas syf.

Marek dotarł do szybu wentylacyjnego, którym kończyła się rura, i cały poobijany, obolały dźwignął się na nogi. Znalazł się w zwyczajnym, ceglanym szybie wysokości około dziesięciu metrów, zamkniętym na górze stalową kratą.

Widział migające opony przejeżdżających aut, słyszał łoskot wielkich ciężarówek.

Nie wiedział dokładnie, dokąd doszli, ale musieli znajdować się pod którąś z głównych arterii, zapewne pod Puławską lub Alejami Niepodległości.

Zdumiał go natomiast fakt, że zapadł już zmrok, a przesączaające się przez kratę światło było blaskiem ulicznych lamp. Zerknął na zegarek, potrząsnął ręką i skonstatował, że zegarek stanął. Musieli zatem spędzić w kanałach kilka ładnych godzin.

Z rury wynurzyła się usmarowana błotem dłoń Claytona, potem jego twarz.

Marek doznał wstrząsu widząc, jak bardzo Clayton jest wyczerpany. Starszy mężczyzna miał przekrwione oczy, twarz zapadłą, zmiętą jak stara i niemiłosiernie wygnieciona torba z brązowego papieru.

— Może pomógłbyś mi stąd wyleźć — burknął, wyciągając rękę. — Nie jestem taki zwawy jak ty, choć kiedyś też taki byłem.

Marek chwycił go za dłoń i zaczął ciągnąć. Wtedy też usłyszał w oddali głucho szuranie i sapanie przypominające odgłos zbliżającej się lokomotywy.

Zamarł w bezruchu.

— Niech pan słucha... co to może być? Clayton przez chwilę nadśluchiwał.

— A skąd ja to mogę wiedzieć? Może pociąg.

— Pociąg? Dźwięk chyba dobiega z kanałów.

Clayton znów wytężył słuch.

— Tak szybko? Nic nie może się z taką prędkością przemieszczać w tym cholernym przewodzie.

A sapanie zbliżało się i zbliżało; szybciej i szybciej. Marek skonstatował nagle, że prąd powietrza zmienił kierunek. Powietrze nie napływało już z zakratowanego wyjścia z szybu wentylacyjnego, lecz ciągnęło w górę. Prąd był tak

silny, że zmierzwił resztki włosów Clayтона.

Ardeykanin nasłuchiwał przez chwilę.

— Matko Boska, dzieciaku, to coś nadciąga za nami z rury.

— Co?

— On nas oszukał. Ten skurwysyn! Wpędził w pułapkę.

— Nie rozumiem!

— On wcale tędy nie poszedł! Ale posłał naszym śladem Oprawcę!

Marek był tak wstrząśnięty i przerażony, że zatoczył się na ceglana ścianę szybu wentylacyjnego, boleśnie uderzając się w ramię.

— Wyciągnij mnie stąd! — ryknął Clayton. — Na Boga, wyciągnij mnie stąd!

Marek chwycił jego czarne, śliskie dłonie i szarpnął z całych sił.

— Już, w porządku — odparł Clayton. — Po prostu ja...

Szeleszczące sapanie dobiegało teraz z tak bliska, że wypełniało cały kanał.

Ściany drżały, żelazna krata zaczęła grzechotać. Marek wyczuwał pod stopami zbliżanie się Oprawcy. Zupełnie jakby stał na środku jezdni i czekał, aż uderzy w niego ciężarówka (kiedyś, w chwili młodzieńczej desperacji, stanął tak pośrodku drogi, ale samochody go wymijały, co najpierw doprowadzało go do wściekłości, a później zaczęło śmieszyć; czuł się jak matador, którego wszystkie byki rozmyślnie unikają).

Ale w tym dygoczącym kanale, którym coś nadchodziło, nie było nic do śmiechu.

— Na Boga, wyciągnij mnie stąd! — błagał Clayton. — On już tu prawie jest...

Czuję go! Jezu Chryste, nie słyszysz zgrzytu noża?

Tak, do uszu Marka dotarł tępy, oszalały, metaliczny szczepek długiej, ostrej klingi. Gdyby Oprawca był zbliżającą się do nich nieubłaganie lokomotywą, zgrzyt noża stanowiłby jej gwizdek, którego donośny, nieustanny sygnał ostrzegał wszystkich stojących na drodze, że z mroku nocy nadciąga Oprawca i będzie lepiej, jeśli każdy skryje się, ucieknie lub zejdzie mu z drogi; sygnał, że nadciąga Oprawca i nie istnieje na świecie taka siła, która go zatrzyma.

Marek znów szarpnął Claytona za rękę, lecz jego palce były tak usmarowane błotem, że wyslizgnęły się chłopakowi z dłoni. Amerykanin najwyraźniej gdzieś się zaklinował, zapewne na wysokości pasa, i teraz wił się, żeby wyjść z pułapki.

— Posłuchaj, Clayton, spróbuj się pan rozluźnić! — wykrzyknął piskliwym dyszkantem Marek. — Po prostu wypuść pan powietrze z płuc! Słyszysz?

Wypuść powietrze z płuc, a ja cię wyciągnę!

Clayton patrzył na niego oczami tonącego. Kiedy jednak próbował wypuścić z

płuc powietrze, klekot stali ucichł i Marek usłyszał tępy dźwięk przypominający uderzenie siekiery. I następny. I jeszcze następny.

— Nie! — wrzasnął Clayton i jak szalony zaczął się wić w rurze.

Patrzył na Marka z bezbrzeżnym przerażeniem i męką, lecz chłopak mógł tylko ciągnąć go za rękę, próbując wyswobodzić z pułapki.

— Nie! — skrzeczał Clayton. — Nie!

Miotał się tak gwałtownie, że Marek nie był w stanie utrzymać w rękach ani jego dłoni, ani nawet kołnierza kurtki.

— Nie! Boże! Nie! — darł się Clayton, z przerażenia oczy wychodziły mu z orbit.

— To urzyna mi stopy! Urzyna mi moje pieprzone stopy!

Marek wpił palce lewej ręki w kołnierz kurtki Clayтона, prawą dłonią chwycił Amerykanina za nadgarstek i ciągnął. W pewnej chwili sądził już nawet, że uda mu się wyrwać go z ciasnego przewodu. Znajdowali się twarzą w twarz, oko w oko. Clayton spoglądał na Marka, w źrenicach paliły mu się rozpacz i ból.

Chłopak wyęczał całe swe siły.

Boże — modlił się w duchu. — Wybacz mi to, że zszedłem do tych kanałów.

Boże, dodaj mi sił.

Tak mocno ciągnął Clayтона, że myślał, iż popękają mu mięśnie pleców. Ale amerykański detektyw nie zaklinował się w rurze — coś go chwyciło, trzymało i nie zamierzało puścić. Kolejne odgłosy rąbania — a Clayton miotał się na wszystkie strony, wił i wrzeszczał:

— Proszę, Marek, proszę, Marek, proszę, nie pozwól, by mi to robiło, Marek!

To boli, Marek! Na Boga, Marek, to obcina mi nogi! Nie pozwól temu...

aaaaach... nie pozwól temu... AAA-AAACH... Marek... nie pozwól temu...

Odgłosy rąbania były teraz bardzo szybkie. Clayton spoglądał na chłopaka z absolutną zgrozą, w oczach. Ból musiał być tak ogromny, że prawie go nie czuł. Gapił się tylko na Marka, usta miał rozwarte, a w mroku rury kanalizacyjnej coś rąbało mu nogi, później rąbało pośladki, w końcu Clayton zaczął wyć. Marek wprost nie wierzył, że człowiek może w ten sposób krzyczeć.

— Marek... to... aaaaaach!

Głowa Claytona opadła. W tej samej chwili z rury, w której tkwił, na dno szybu wentylacyjnego chlusnął olbrzymi strumień wymieszanej ze ściekami krwi i zatopił stopy Marka. Chłopak puścił kołnierz Claytona, po czym jęcząc ze strachu cofnął się pod ścianę. Amerykanin przez chwilę dygotał. Jakby w poszukiwaniu ratunku lekko wyciągnął rękę, ale w następnej chwili coś wessało go do środka i Clayton zniknął w mroku ciasnego przyłącza. Rozległy się odrażające odgłosy cięcia, rąbania i ćwiartowania. Marek skamieniał ze zgrozy. Stał bez ruchu, oparty o ceglana ścianę szybu, oczy miał szeroko rozwarte i słuchał dźwięcznych, gwałtownych uderzeń stali rozłupującej kości.

I nagle zapadła dzwoniąca w uszach cisza. Marek czekał, wstrzymywał oddech, próbował stłumić narastające mu w piersi łkanie. Z rury popłynęły dalsze strugi posoki zmieszanej ze ściekami. Krwawy strumień niósł kawałki kości, wstęgi jelit i olbrzymi ciemny, purpurowy ochłap, który stanowił zapewne część wątroby Claytona.

Marek słuchał i słuchał, ale nie docierał do niego najlżejszy dźwięk. Żadnego szurania, klekotu, hałasu stali uderzanej o ściany kanału, żadnego oddechu.

Sięgnął lewą ręką do najbliższego żelaznego szczebla drabiny prowadzącej do wylotu szybu wentylacyjnego. Poruszał się bezszelestnie. Odczekał chwilę i prawą ręką chwycił za szczebel. Przy odrobinie szczęścia stwór mógł zadowolnić się Claytonem; może nawet w ogóle nie zorientował się, że w kanale przebywa jeszcze drugi człowiek.

Marek wyciągnął stopę z bajora krwi i postawił ją na pierwszym szczeblu. Nie chciał drzeć, nie chciał dygotać, ale nie sprawował już kontroli nad własnym ciałem. Boże, pozwól mi poruszać się bezszelestnie — modlił się w duchu. — Matko Boska, niech wjazd do szybu nie będzie zablokowany. Naraz w pamięci stanęła mu końcowa scena z filmu „Trzeci człowiek”, w której z zamkniętej na głucho kraty kanału sterczały palce Henry'ego Lime'a. Marek Masłowski nie chciał tak umierać. Marek Masłowski nie chciał umierać w kanale.

Cichutko wspiął się na drugi szczebel; i na trzeci. Tak obficie się pocił, że z trudem trzymał się metalowych poprzeczek. Od czasu do czasu po wyjściowej kracie przejeżdżał samochód lub autobus, zasłaniał na chwilę światło i wypełniał szyb wentylacyjny obłokiem spalin. Marka straszliwie drapało w gardle. Robił wszystko, żeby nie kaszleć. Czuł tkwiącą w przełyku garść ostrego żwiru, oczy łzawiły, ale był zdecydowany nie wydać najcichszego nawet dźwięku. Wydawało mu się, że z pogrążonej w kompletnym mroku rury dobiegł szcęk uderzającego w beton ostrza i szelest, ale w tej samej chwili po kracie przejechał z ogłuszającym łoskotem autobus, tłumiąc wszelkie inne dźwięki.

Pokonał dwa kolejne szczeble. Przebył już połowę drogi dzielącej go od wyjścia ze studzienki wentylacyjnej, lecz teraz z kolei ze zmęczenia zaczęły drzeć mu ręce, a mięśnie nóg odmówiły posłuszeństwa. Boże, proszę, pomóż mi się stąd

wydostać — modlił się. — Boże, nie pozwól mi umrzeć.

Przebył cztery ostatnie szczeble i dotarł do kraty. Pchnął ją prawą ręką, ale kłapa nawet nie drgnęła. W świetle latarni widział fragment jakiegoś budynku oraz reflektory przejeżdżających samochodów. Po pokrywie wjazdu z hukiem silnika

i sykiem opon przejechała ciężarówka. O mało nie puścił szczebli.

Ponownie pchnął kratę. Tym razem był pewien, że lekko drgnęła, lecz pozycja, w jakiej się znajdował, uniemożliwiała mu zastosowanie odpowiedniej dźwigni, aby unieść ciężką pokrywę. Wsparł się stopami i kolanami o szczeble i łapiąc chwiejną równowagę, pchnął kłapę obiema rękami. Poczuł, że uniosła się odrobinę wyżej, ale wciąż tkwiła w jezdni zbyt mocno.

Spojrzał w dół szybu. Dostrzegł jedynie mrok i połyskującą lekko ogromną kałużę krwi. Nie odważyłby się jednak ryzykować przebycia drogi powrotnej trasą, jaką tu przybył. Myśl, że miałby pełznąć ponownie wąską rurą, była niczym jeden wielki, najczarniejszy koszmar. Zwłaszcza po tym, co przytrafiło się Claytonowi. Doświadczenie, jakie wyniósł z włamywania się do opuszczonych budynków, mówiło mu, że nie należy wyważać drzwi, waląc w nie pięścią lub uderzając barkiem, jak to pokazują na filmach kryminalnych. W taki sposób człowiek może się tylko solidnie potłuc. Drzwi trzeba wykopywać. Jeśli dwa lub trzy razy przyłoży się w nie z całych sił nogą, puszcza.

Wychylił się z drabiny i oparł plecami o przeciwległą ścianę szybu. Zdjął stopy ze szczebli i zaczął iść po ścianie zapieraczką. Dla uzyskania lepszego tarcia i równowagi szeroko rozpostarł na ceglach ramiona. Zgięty jak scyzoryk, dowędrował do punktu, w którym lewą stopą prawie dotykał kraty. Wziął

głęboki oddech i z całej siły uderzył nogą w pokrywę. Natychmiast zaczął zsuwać się po ścianie, trąc kurtką o szorstkie cegły szybu. Rozpaczliwie chwycił się szczebli, przywarł do nich i stał bez ruchu, ciężko łapiąc powietrze.

Może jednak powinien był poczekać i upewnić się, że Oprawca już odszedł, a następnie próbować zwrócić czyjąś uwagę, krzycząc przez kratę, świecąc przez nią latarką i wystawiając na zewnątrz palce? Ale skąd mógł wiedzieć, że Oprawca nie zamierza zostać w rurze przez całą noc, przez cały następny dzień i nasłuchiwać, i czekać na kolejną ofiarę?

Z drżeniem serca ponownie rozpoczął mozolną wspinaczkę. Niebawem dotarł do końca drabiny. Wyciągnął z kieszeni latarkę, zapalił ją i przyłożywszy do kraty, zaczął nią poruszać. Baterie wprawdzie były już prawie wyczerpane, ale istniała możliwość, że ktoś dostrzeże nikły blask bijący przez otwory kraty i wezwie pomoc.

Po pokrywie wjazdu przejechała ciężarówka. W twarz Marka buchnął kłęb spalin. Chłopak zasłonił usta dłonią, ale wypuścił przy tym z rąk latarkę.

Słyszał, jak spadając odbija się od ścian szybu, po czym z donośnym brzękiem ląduje na dnie. Tkwił bez ruchu wczepiony w szczeble drabiny i czekał.

Początkowo nic nie mąciło ciszy. Zaczynał już żywić rozpaczliwą nadzieję, że Oprawcę zadowolili krwawa łaźnia, jaką sprawił Claytonowi, że potwór odszedł już tam, skąd przyszedł. Ale wtedy właśnie rozległo się donośne szuranie i delikatne puk-puk-pukanie czubka noża o beton.

Marek z całych sił pchnął kratę. Pokrywa uniosła się prawie na pół centymetra, ale natychmiast z metalicznym chrzęstem ponownie wskoczyła w swe leże.

Chłopak zacisnął zęby, napiął mięśnie pleców. Znów pchnął. Tym razem

kantem dłoni. Pokrywa uniosła się — uniosła się naprawdę — lecz w tej samej chwili wjechał na nią samochód. Opadła z takim impetem, że o mało nie złamała Markowi ręki w nadgarstku.

Z trudem łapiąc powietrze, napał ponownie. Jednocześnie do jego uszu dotarło skrobanie noża o ceglana ścianę, a w twarz uderzył go silny prąd powietrza, jakby coś ogromnego wdarło się do wentylacyjnego szybu. Zerknął w dół i ujrzał rzecz tak przerażającą, że rozwarł usta do wrzasku, ale z gardła nie popłynął mu żaden dźwięk.

Ogromny kształt w obszernej czarnej kapocie. Dojrzał też maleńką, delikatną, białą jak porcelana twarzyczkę stwora i smolście czarne oczy; oblicze, które gdyby nie było tak upiorne, mogłoby uchodzić za śliczne.

Postać wspinając się po drabinie, szybko przekładała na szczeblach dłonie; białe, szponiaste, prawie przezroczyste dłonie niczym wyciągające się w stronę Marka pajęcze odnóża.

Przejęty nieopisaną zgrozą chłopak wpatrywał się jeszcze przez ułamek sekundy w ścigającą go istotę, potem pochylił głowę i mocarnie napał barkami i plecami na pokrywę szybu. Krata wyskoczyła w górę. Z donośnym brzękiem spadła na jezdnię. Marek wyskoczył za nią w chwili, gdy szponiasta, wiotka, pajęcza ręka miała już chwycić go za podeszwę kalosza.

Znalazł się na środku jezdni, po której w obie strony pędziły samochody. Jakaś taksówka gwałtownie skręciła, żeby go nie potrącić, i o mało nie wpadła na autobus. Gdzieś w pobliżu zagrzemiał przeraźliwy klakson ciężarówki. Marek zdawał sobie sprawę, czym grozi pozostawienie odkrytego kanału, lecz nie oglądając się za siebie, zaczął biec środkowym pasem jezdni. Biegł, a jego nogi

i ręce poruszały się niczym ostrza nożyczek. W gardle paliło od ciepłego, przesyconego spalinami powietrza. Brzuch i klatkę piersiową przewiercał ostry ból. Marek, niepomny na nic, ignorując krzyki rozwścieczonych kierowców, którzy wygrażali mu pięściami i naciskali klaksony, przebiegł przez skrzyżowanie dwóch dużych ulic.

Nie miał najmniejszego pojęcia, w jakiej dzielnicy Warszawy się znajduje ani dokąd biegnie. Wiedział jedno: musi zostawić jak najdalej za sobą tamto stworzenie. Nieustannie odwracał się, żeby sprawdzić, czy stwór z kanału za nim nie podąża. Widział tylko uliczne światła, blask samochodowych reflektorów i czerwone światełka odbłaskowe mijających go aut.

W końcu, kompletnie wyczerpany, wskoczył na chodnik, usiadł na krawężniku i schował głowę między kolana. Z najwyższym trudem łapał oddech. Cały był pokryty szybko schnącym szlamem kanałowym. Podszedł do niego jakiś starszy człowiek i zapytał, czy dobrze się czuje, lecz Marek był w stanie tylko potrząsnąć głową.

Mimo hałasu panującego na ulicy w uszach ciągle brzmiały mu odrażające mlaśnięcia noża szlachtującego Claytona.

Kiedy minął pierwszy szok, Marek podniósł głowę i rozejrzał się. Znajdował się w Alejach Ujazdowskich, tuż przy Parku Ujazdowskim, blisko wylotu Koszykowej, na której wszedł z Claytonem do kanałów. Zatem zatoczyli koło i znaleźli się zaledwie kilka przecznic od punktu wyjścia. A droga zajęła im całe godziny.

Dźwignął się z krawężnika. Na chwiejnych nogach ruszył w stronę parku. Było tam dużo spokojniej, a powietrze świeższe i bardzo kojące. Ruszył alejką

okoloną krzewami i klombami, na których, w mroku tajemniczo chwiały się kwiaty. Odnosił wrażenie, że w ciągu kilku zaledwie godzin całe jego życie zostało przenicowane.

Wszedł do kanałów pełen optymizmu i wiary w siebie, miał nadzieję przeżyć ciekawą przygodę; wyszedł przejęty rozpaczą, wstrząśnięty i o dziesięć lat starszy. Wiedział, że Jan Kamiński zginął przerażającą śmiercią, ale w porównaniu ze śmiercią Clayтона była to śmierć cicha i łagodna. Zdążył polubić amerykańskiego detektywa, zaczął traktować go prawie jak wujka. Ale słyszał, jak Oprawca rąbie go na krwawe strzępy, a to już przekroczyło miarę jego wytrzymałości.

Minął bezbarwny w mroku trawnik, na którym spały stada dzikich kaczek kryjących głowy pod skrzydłami. Z trudem włókł za sobą nogi, miał nieodpartą ochotę położyć się na trawie i zamknąć oczy. Ale dotarł jakoś do głównej bramy parku usytuowanej naprzeciwko Alei Róż. W pobliżu stał pomnik Ignacego Jana Paderewskiego, pianisty i polityka, który toczył o Polskę zażarte boje. Marek oparł się o cokół i pochylił głowę. Chciało mu się płakać, lecz nawet tego nie był w stanie zrobić. Nie był nawet pewien, czy w ogóle jeszcze w życiu zdoła wykrztusić z siebie choć słowo.

Rozdział piętnasty

Gdy następnego dnia wrócili do Warszawy, dzień był parny i mglisty. Miasto przeglądało się w zmatowiałym zwierciadle; Pałac Namiestnikowski, kościół Świętej Anny, Pałac Kultury i Nauki. Mimo że wszystkie okna w samochodzie były spuszczone, zielona sukienka z kory, którą miała na sobie Sarah, lepiła się do fotela. Rej, w pstrokatej koszuli z krótkimi rękawami oraz w

przeciwsłonecznych okularach, był niezwykle ożywiony i w beztróskim nastroju. Całą powrotną drogę podśpiewywał pod nosem, stukając do taktu palcami w kierownicę.

Sarah знаła powód jego radości. Nawiązał romans, piękny romans. Była przekonana, iż zamierza się z nią umówić jeszcze tego wieczoru. Ale wiedziała również, że nic z tego nie wyjdzie. Dał jej wszystko: ciepło, poczucie bezpieczeństwa, humor i staroświecką kurtuazję. Otwierał przed nią drzwi, podsuwał krzesło, chodził po zewnętrznej stronie chodnika. Traktował ją jak damę, okazywał jej względy, jakich nikt jej dotąd nie okazywał, a w każdym razie nie okazywał od bardzo dawna. Niestety pochodzili z innych planet, a ich seks był seksem dwóch różnych gatunków, które choć wyglądają identycznie, nic o sobie tak naprawdę nie wiedzą i nie mają ze sobą nic wspólnego.

Wiedziała, że Rej jest szczęśliwy, ale wiedziała też, że będzie musiała bardzo zranić jego uczucia. Nie miała jednak wyboru. Nie mogła sobie pozwolić na kolejny traumatyczny romans; nie w tej chwili. Już znacznie lepszy byłby kolejny piosenkarz rockowy.

Podjechali pod jej dom w Alejach Jerozolimskich. Rej wyciągnął z bagażnika torbę Sarah, po czym otworzył przed nią drzwi samochodu. Zaskrzypiały niczym wrota zamku Draculi.

— Mam nadzieję, że wyprawa ci się podobała — powiedział, zdejmując ciemne okulary;

W jego oczach wyczytała potrzebę usłyszenia pochwały. Pocałowała go, najpierw w policzek, a następnie w usta.

— To był najcudowniejszy weekend w życiu. Słowo honoru. Dziękuję, Stefan.

A Katarzynę uwielbiam.

— Może zanieść ci bagaż na górę?

— Nie, nie trzeba. Musisz się spieszyć. Masz jeszcze odwiedzić Katarzynę do matki, prawda? Spojrzał na zegarek.

— Właśnie się zastanawiam... może byśmy się później spotkali?

— Jasne. Koniecznie. Ale nie dzisiaj. Dzisiaj czeka mnie wiele zaległej pracy.

Nie napisałam nawet tygodniowego sprawozdania.

— A co byś powiedziała o kolacji? Potrząsnęła głową.

— Niestety muszę na nowo wprząc się w kierat. Mam bardzo dużo roboty.

— Ten sen... czy bardzo cię zaniepokoił?

— To był tylko sen i nic więcej. Za dużo miodowej wódki, za dużo wiejskiego powietrza.

— A, krupniczek. Rozumiem.

Wyciągnęła rękę i dotknęła jego policzka. Błysnęła jej myśl, jak bardzo trudno jest czasami ludziom się kochać. Prawie poczuła pod powiekami łzy. Odwróciła się w stronę Katarzyny, która z tylnego fotela volkswagena przesłała jej serdeczny uśmiech. Najwyraźniej polubiła Amerykankę, uśmiechała się do niej, ponieważ Sarah potrafiła sprawić, że ojciec stał się wesoły. Ogarnął ją taki smutek, że o mało nie wyraziła zgody na wspólną kolację. Zdawała sobie jednak sprawę, czym by się to zakończyło. A tego nie chciała. Jeszcze nie teraz, zapewne nigdy.

— Chciałbym, żebyś zawsze mówiła mi prawdę — odezwał się po angielsku

Rej, trochę nieprawidłowo wymawiając słowo „prawda”.

— Obiecuję — przyrzekła po polsku Sarah i podniosła neseser.

Kiedy wchodziła do budynku, Rej wciąż jeszcze stał przy samochodzie. Dotarła na swoje piętro, otworzyła drzwi mieszkania i rzuciła torbę na kanapę.

Rozpaczliwie tęskniła za prysznicem. Łazienka w Czerwińsku była, mówiąc bardzo łagodnie, zupełnie prymitywna: porcelitowy dzbanek i porcelitowa duża miska. Przeszła przez salon i otworzyła okno, żeby przewietrzyć pokój. Gdy wyszła na balkon, zaskoczył ją widok Reja, który w nie zmienionej pozycji wciąż stał przy samochodzie, jakby się spodziewał, że Sarah jednak zmieni zdanie, wróci, zgodzi się pójść na kolację i powie, że go kocha.

Poszła do kuchni, otworzyła pojemnik na pieczywo. W środku znalazła tylko pół bochenka suchego chleba i twardą białą bułeczkę. Wzięła ją, wróciła na balkon, wycelowała i rzuciła prościutko pod nogi Reja. Bułka odbiła się od chodnikowej płyty i wpadła na jezdnię, gdzie natychmiast zgniotła ją opona przejeżdżającej taksówki. Zaskoczony Rej podskoczył i zaczął się rozglądać, popatrzył w niebo, jakby sądził, że to nakakał na niego jakiś przelatujący ptak. Sarah opadła na kanapę i zanosła się śmiechem. Przyłożyła dłoń do ust, żeby nie śmiać się zbyt głośno. Gdy zadzwonił telefon, ciągle jeszcze pogrążona była w niepohamowanej radości. Wstała z kanapy, wzięła telefon i przeszła z nim na balkon, żeby sprawdzić, czy na dole wciąż jeszcze czeka Rej. Zobaczyła, że jego volkswagen włącza się w ruch i odjeżdża do południowych dzielnic miasta.

Katarzyna odwróciła się i spojrzała w stronę jej balkonu, ale Sarah zapewne już nie dostrzegła.

— Tu Marek — rozległ się głos w słuchawce. — Próbowałem się skontaktować z Rejem, ale nigdzie go nie mogłem znaleźć.

— Marek? Masz przerażający głos. Co się stało?

— Chodzi o Claytona. Nie żyje. Zeszliśmy do kanałowi dopadł go Oprawca.

Sarah poczuła się jak zanurzona nagle w lodowato zimnej wodzie.

— Clayton? To niemożliwe! Jesteś pewien?

— Nie żyje! Oprawca porąbał go tak samo jak tamtych Niemców. Nie wiem, co robić!

— Poczekaj, Marku, uspokój się. Mówiłeś komuś o tym?

— Próbowałem złapać Reja na komendzie, ale tam mi powiedziano, że wyjechał.

— Rozmawiałeś o tym z policją?

— A niby jak miałem im to wszystko wytłumaczyć? Tam był stwór, coś... co zabiło

Claytona, a potem zaatakowało mnie.

— Marku... spróbuj się tak nie ekscytować. Spróbuj mi powiedzieć, co się naprawdę wydarzyło.

— Zobaczyłem, jak ten człowiek wychodzi z kanału... to było przedwczoraj.

Zainteresowałem się tym i poszedłem za nim sprawdzić, gdzie mieszka. Później

zadzwoiłem do Claytona. Polecił mi go obserwować. Tak też zrobiłem. No i

wczoraj pod wieczór znów ujrzałem tego człowieka. Poszliśmy jego śladem.

Zeszliśmy do kanałów... tam była... taka naprawdę wąska rura. Oprawca ruszył

za nami i porąbał Claytona na kawałki! Nie wiem, jak udało mi się stamtąd

wydostać... naprawdę nie wiem!

— W porządku — próbowała uspokoić go Sarah, jakkolwiek i do niej zaczynał

już docierać przerażający sens tego, o czym bełkotał chłopak. — Marku... w

porządku, Rej powinien wrócić do siebie około jedenastej. Zadzwoię do niego,

a później się spotkamy.

— Ale Clayton... bardzo go polubiłem. Wciąż nie mogę w to uwierzyć.

Pełzliśmy razem przez tę rurę, a tamto za nami.

— A co z tobą? Nic ci się nie stało?

— J... j... j... — zaczął się jąkać Marek i nie mógł przestać.

— Marku, skąd dzwonisz? Chcesz do mnie przyjechać?

— Ze mną chyba wszystko w porządku. Jestem w domu. Matka zrobiła mi herbatę.

— Marku, posłuchaj, w którym miejscu weszliście do kanałów?

— Mniej więcej na środkowym odcinku Koszykowej. Ale pełzliśmy kilka godzin.

Kiedy wchodziliśmy, był jeszcze dzień, a gdy wydostałem się na powierzchnię, panowała już noc.

— W którym miejscu, twoim zdaniem, zabity został Clayton?

— W takiej naprawdę wąskiej rurze... gdzieś pod Alejami Ujazdowskimi.

— Dobrze — odezwała się Sarah. — Najszybciej jak się da, skontaktuję się z Rejem. — Była nie mniej poruszona niż Marek, ale starała się zachować kamienny spokój i zimną krew. — Na razie nie dzwoń na policję. Policja sądzi, że ma już Oprawcę i bardzo się jej nie spodoba, jeśli ktoś będzie twierdził, że jest inaczej. Na ile znam policję, po prostu cię przymkną i oskarżą o zabójstwo Claytona.

— Ależ to Oprawca go zabił! Porąbał go, słyszałem, jak go rąbał!

— A Oprawcę widziałeś?

— Co? — zapytał Marek głosem płaskim jak deska i kruchym jak szkło.

— Czy widziałeś Oprawcę? O to cię pytam. Przez prawie pół minuty Marek milczał.

— Niezbyt dokładnie — wydukał w końcu.

— Czy miał na sobie opończę? Marku, czy miał na sobie obszerną, czarną opończę?

— Opończę? Tak. Rodzaj kapoty.

— A twarz, Marku? Czy widziałeś jego twarz?

— Chyba nie. Chciałem się tylko stamtąd wydostać.

— Czy miał małą twarz? Marku? Naprawdę maleńką twarz, jak u dziecka. I kompletnie białą? Czy miał smoliście czarne oczy?

W czasie, jaki upłynął, zanim Marek odpowiedział, mogła zmienić się faza księżyca.

— Tak — odezwał się w końcu. — Bardzo małą twarz... i bardzo bladą.

— A więc miała rację — powiedziała wstrząśnięta Sarah, choć zarazem doznała pewnej ulgi. — Staruszka miała rację i Rej miał rację. To ta sama twarz, którą ujrzałam w majaku sennym. Okazuje się, że nie był to wcale majak.

— Słucham? — zdziwił się Marek. — O czym pani mówi?

— Wszystko ci wyjaśnię, jak się spotkamy. Ale ten stwór istnieje naprawdę, Marku. I tropi nas. Tropi nas... wszystkich, którzy walczyli z Niemcami w powstaniu warszawskim, i ich dzieci, i ich wnuków, kuzynów, a zapewne też przyjaciół i znajomych. Nie chce, żeby ktokolwiek pozostał przy życiu, Marku. Chce nas wszystkich pozabijać.

Rej, po niezdarnym, wykonanym w przedpokoju tańcu, w którym wziął udział on sam, Katarzyna oraz jej walizka, zostawił córkę matce. Była żona nadstawiła

policzek porośnięty delikatnym jasnym meszkiem jak na brzoskwini, ale

Rejowi udało się wykręcić od pocałunku.

— Do następnego weekendu — obiecał Katarzynie, unosząc dłoń. —

Pojedziemy do Pomiechówka. Tam też jest stadnina i można pojeździć. Córka przylgnęła na chwilę do jego rękawa. Zapewne spostrzegła, że Sarah nie kocha Reja tak jak on ją, ale dziewczynka kochała go, ponieważ był jej ojcem.

Kiedy zamknął już za sobą drzwi, zszedł do pustego volks-wagena. Przeszukał skrytkę, lecz papierosów nie znalazł. Wtedy dopiero przypomniał sobie, że ostatnią paczkę wyrzucił do pojemnika na śmieci na Świętokrzyskiej. Boże! — pomyślał. — Ty niepoprawny baranie! Kim jesteś, że próbujesz przewidywać, co będziesz robił za dwa dni? Czy nie pomyślałeś, że będziesz potrzebował papierosa, zwłaszcza po spotkaniu z tą krową?

Odbił od krawężnika i włączył się w ruch uliczny. Dokuczał mu upał, był spocony i chciał się ogolić. Ale przed powrotem do domu czekały go jeszcze dwie wizyty. Pierwsza u doktora Wojniakowskiego na Oczki. Intrygowało go, co naprawdę przytrafiło się matce małej Zosi. Na dnie wielkiego pojemnika pełnego popiołów pozostało z niej zaledwie kilka zwęglonych żeber, lecz Rej miał przed oczami jej fotografię z okresu, gdy była młoda i śliczna; a taka młoda i śliczna istota jak nikt inny domagała się, aby wymierzyć w jej imieniu sprawiedliwość.

Doktor Wojniakowski zaczynał właśnie sekcję dziewczyny, która powiesiła się w pokoju hotelowym w Domu Chłopa. Była pulchna, jasnowłosa i cała pokryta piegami.

Wyglądała na pogrążoną we śnie, Rej poczuł skrępowanie na myśl, że ogląda ją

nagą, rozłożoną na metalowym stole. Wojniakowski stał nad dziewczyną i palił papierosa. Tego dnia towarzyszył mu asystent, młodzieniec o przetłuszczonych włosach, ze zdumiewającym zezem i kolczykiem w uchu.

— Tomku, to jest najlepszy detektyw w Warszawie — oświadczył

Wojniakowski, wskazując skalpelem Reja.

— Nie potrzebuję płaskich pochlebstw — odparł Rej. — Potrzebuję papierosa.

Wojniakowski wręczył mu pogniecioną paczkę ekstra mocnych i Rej wytrząsnął z niej jednego papierosa. Dym był tak mocny, że policjant rozkaszał się i nie mógł przestać.

— To fajki dla prawdziwych mężczyzn — stwierdził lekarz. — Wyciągałem już płuca palaczy ekstra mocnych. Wyglądają jak brykiety węgla brunatnego. Mają w sobie tyle smoły, że gdybyś włożył je w ogień, toby się paliły przez tydzień.

— A co z moją znajomą, Iwoną? — zapytał Rej. — Napisałeś już raport z sekcji jej zwłok?

Doktor Wojniakowski skinął głową.

— Nie zachowały się żadne organy wewnętrzne, więc nie sposób ustalić, czy została zadżgana, czy też zastrzelona, ale trzy żebra miała złamane w wyniku potężnych ciosów pięścią lub też uderzeń pałką. A tak na marginesie, w głębszych warstwach popiołów znaleźliśmy jeszcze jej miednicę oraz kości nóg. One również nam niewiele powiedziały. Niemniej posłałem resztki zachowanego szpiku do analizy na wypadek, gdyby została otruta.

— A co z czaszką? Znaleźliście ją?

— Czaszki ani śladu. Ktoś odciął jej głowę bardzo ostrym narzędziem i zabrał ze sobą.

— Oprawca?

— Na podstawie poprzednich autopsji stwierdzam to prawie z całą pewnością.

Zbadałem najwyższy krąg szyjny. Głowa została odcięta jednym ciosem
zadany prawą ręką. Tak samo jak w przypadku pozostałych
ofiary.

— Jesteś w stanie stwierdzić, czy zginęła od tego samego noża co Jan Kamiński
i pozostali ludzie lub od tego, którym zabito Antoniego Dłubaka?

Doktor Wojniakowski wypuścił nosem dwie długie smugi dymu.

— Nie rozumiem pytania — odparł najwyraźniej zakłopotany.

— Jak to, nie rozumiesz pytania? Sam przecież powiedziałeś, że Dłubak zginął
od innego noża niż pozostałe ofiary. Oświadczyłeś, że ślady metalu w jego
przypadku nie pasują do pozostałych.

— A, o to ci chodzi! To była pomyłka. Pomyłono dwa różne przypadki. Rej
wytrzeszczył na lekarza oczy.

— Pomyłka? Co ty mi próbujesz wmówić, Teofilu?

— To żadna tajemnica. Tego samego dnia badaliśmy ślady ostrza, od którego
zginął Dłubak, oraz ślady po nożu, którym zabito kogoś w akademiku na placu
Narutowicza. Obie próbki leżały obok siebie i zostały pomyłone.

— Czy kiedykolwiek wcześniej pomieszano na twoim wydziale próbki?

— Nie, to zdarzyło się po raz pierwszy — przyznał lekarz, odwracając głowę.

Rej obszedł stół sekcyjny tak, że stanął z Wojniakowskim twarzą w twarz.

— A zatem twierdzisz, że... że Antoniego Dłubaka zabito tym samym
narzędziem co pozostałe ofiary?

— Na to wygląda.

— A więc jeśli Jarczyk udowodni, że Roman Zboiński zabił Dłubaka, możemy założyć, że zabił również tamte osoby?

— No, z tym jest pewien problem.

— Naprawdę? A jakiż to problem?

— Dziś, wczesnie rano dzwonił do mnie Jarczyk. Okazuje się, że w przypadku co najmniej pięciu z tych morderstw Zboiński posiada niepodważalne alibi, pochodzące z niezależnych od siebie źródeł. Jego kompani natomiast utrzymują, że nie mógł dokonać żadnego z tych zabójstw.

Rej tak długo spoglądał w milczeniu na Wojniakowskiego, że w końcu asystent Tomek zaczął szurać nogami i dyskretnie chrząkać.

— Teofilu, wyznaj mi całą prawdę — powiedział w końcu Rej.

— Mówię ci prawdę! Dlaczego miałbym kłamać? Antoni Dłubak przypuszczalnie zginął od tego samego noża co pozostałe ofiary Oprawcy i jeśli Zboiński udowodni, że nie zabił żadnej z tych osób, najprawdopodobniej nie zabił też Dłubaka.

— Jaka jest sytuacja na dzień dzisiejszy?

— O tym już musisz porozmawiać z Witoldem.

— Jaka jest sytuacja na dzień dzisiejszy? — warknął Rej, podnosząc głos.

Wojniakowski wzruszył ramionami i zgniótł papierosa w metalowej nerce operacyjnej.

— Spisują właśnie zeznania Zboińskiego i zapewne go zwolnią.

— Chcą go zwolnić? Na miłość boską, Teofilu! Jeśli nawet nie jesteśmy w stanie udowodnić mu, że jest Oprawcą, nawet jeśli nie jesteśmy w stanie udowodnić, że zamordował Dłubaka, to przecież zastrzelił Matejkę. Rozwalił

mu głowę na środku ulicy!

— Już ci mówiłem, o tym musisz porozmawiać z Jarczykiem. Ale z tego, co mi rano

mówił, wynika, że Matejko wycelował w Zboińskiego z pistoletu i jego ochroniarz otworzył ogień w obawie o życie swego szefa.

— Własnym uszom nie wierzę! — wykrzyknął Rej. — Najpierw mylicie próbki, następnie Zboiński ma komplet alibi, a teraz wmawiasz mi, że te bydlaki zastrzeliły Matejkę w samoobronie.

Wojniakowski spuścił wzrok na zielone linoleum i milczał. Rej podszedł do niego i powiedział bardzo cicho:

— Teofilu, ile ci zapłacili?

Wojniakowski błyskawicznie podniósł głowę. Na twarzy malował mu się wyraz, jakiego Rej nigdy jeszcze u niego nie widział: świadomość klęski, głęboki wstyd i rozpacz.

— Tu nie chodzi tylko o pieniądze — powiedział.

— Ile? — odparł twardo Rej.

Stał tak blisko Wojniakowskiego, że czuł bijący z jego ust zapach papierosów i mięty.

— Wiesz, że moja siostra przebywa w domu opieki. To bardzo trudne, jeśli ktoś nie ma odpowiednich dochodów. Obiecali mi, że będzie tam miała lepiej... lub, jeśli się nie zgodzę...

Rej wyglądał tak, jakby żuł w ustach jakieś paskudztwo.

— Rozumiem. Sprawiają, że będzie jej tam gorzej niż w piekle.

— Daj spokój, Stefan. Znasz takich ludzi jak oni.

— Tak. Znam takich jak oni. I wiem również, że są bezkarni, bo tacy jak ty nie potrafią się im przeciwstawić.

— Naprawdę? — wysyczał Wojniakowski. — Naprawdę? A co ty byś zrobił, gdyby to chodziło o twoją córkę?

Rej popatrzył na rozłożoną na stole dziewczynę. Miała granatowe wargi, czarne paznokcie, a na pokrytych piegami udach widniały trzy siniaki. Choć oczy były zamknięte, policjant odnosił wrażenie, że w każdej chwili powieki trupa mogą się rozchylić. Zdrowy rozsądek jednak mówił mu, że to niemożliwe. Bez względu na to, kim była, teraz już bezpowrotnie odeszła.

Dotknął kantem dłoni jej włosów i odezwał się bardzo cicho:

— Nie sądzę, żebyś był skłonny powiedzieć mi, kim oni są. Ci ludzie.

Wojniakowski nieznacznie potrząsnął głową.

— A może ja będę mówił? — odezwał się Rej. — Bez zadawania pytań.

— Nie — mruknął Wojniakowski. — Oni nie grają w twojej lidze. Szukasz tylko guza.

— Jestem oficerem policji — przypomniał mu Rej. — Wszyscy grają w mojej lidze.

— Twoi przełożeni nie. Na przykład nadkomisarz Dembek.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Stefan, chcę przez to powiedzieć, że jesteś sam. Chcę przez to powiedzieć, że płyniesz pod prąd. Zawsze byłeś uparty. Nie wiesz, kiedy jest dzień, a kiedy noc. Zapomnij o Zboińskim. Zapomnij o Oprawcy. Ciesz się, że cię tylko zawieszono. Jedź na ryby. Idź na jakąś operę do Teatru Wielkiego.

Reja ogarnął taki gniew, że stracił mowę. Stuknął palcem w stół prosekcyjny,

jakby stawiał kropkę. Stukał i stukał tym palcem, ale nie mógł złapać tchu, nie potrafił wykrztusić słowa. W końcu odwrócił się na pięcie i skierował się do wyjścia. Minał wahadłowe drzwi, przeszedł obok portretu Marii Skłodowskiej-Curie i ruszył korytarzem w stronę schodów.

Z prosektorium wybiegł za nim doktor Wojniakowski.

— Stefan! Stefan, poczekaj!

Rej zatrzymał się przy schodach. Sączące się z wysoko umieszczonych okien światło nadawało mu wygląd steranego życiem, siwowłosego starca.

— Stefan, wszystkiemu, o czym rozmawialiśmy, zaprzeczę! Zaprzeczę każdemu słowu!

Rej obrzucił go przeciągłym spojrzeniem. Czuł przeraźliwy smutek na myśl, że Wojniakowski nigdy tego nie zrozumie. Nie zrozumie bezbrzeżnego smutku, jaki ogarnia człowieka, gdy w imię wyznawanych zasad traci przyjaciela.

Bezbrzeżnego smutku człowieka, który wie, że ma rację, że nigdy się nie podda, choć doskonale zdaje sobie sprawę z tego, jak bardzo jest bezsilny. Była żona Reja zawsze oskarżała go o to, że jest słaby, ale nie rozumiała różnicy między słabością a sprawiedliwością.

Stał w wymiętych letnich spodniach i białej koszuli z krótkimi rękawami i przez chwilę czuł się kompletnie załamany. Ale pomyślał o Sarah, o tym, że ona nigdy się nie poddaje, choć jest kobietą funkcjonującą w świecie mężczyzn, że wstaje codziennie rano i musi znosić wrogość, zniewagi i dwuznaczne komentarze.

Pomyślał o rozłożonych przed kominkiem w Czerwińsku poduszkach i o krągłości jej piersi.

Zszedł schodami. Za ladą recepcji siedziała kobieta o ostrych rysach.

Wystukiwała coś na klawiaturze komputera. Zatrzymał się i popatrzył na urzędniczkę.

— Wychodzę — oświadczył. — Chyba powinienem o tym pani zameldować.

Bezpieczeństwo.

Spojrzała na Reja i ściągnęła usta.

— Świetnie. Do widzenia.

Znów czekał i czekał. W końcu recepcjonistka wypluła z siebie:

— Proszę pana.

Rej bez słowa opuścił Zakład Medycyny Sądowej.

Kiedy wkroczył do swego gabinetu, za jego biurkiem siedział Jarczyk. Nogi położył na blacie, pił kawę i żartował z dwoma niższej rangi oficerami. Gdy pojawił się Rej, śmiechy ucichły, a jeden z funkcjonariuszy przypomniał sobie, że koniecznie musi sprawdzić tablicę rejestracyjną rumuńskiego samochodu.

Drugi natychmiast zaszył się w kącie przy szafie z kartotekami.

— Stefan! — zawołał Jarczyk. — Nie możesz żyć bez biura?

— Próbuję — odparł sucho Rej, z trudem powstrzymując gniew. W ustach ciągle jeszcze miał smak ekstra mocnego. — Doszły mnie słuchy, że zamierzasz wypuścić Romana Zboińskiego.

Jarczyk gwałtownie wydmuchnął nosem powietrze i popatrzył na niego wyzywająco.

— Nie mamy wyboru. Sam przecież mówiłeś, że dowody są bardzo wątpliwe.

— Zgadza się, mówiłem. Masz całkowitą rację. Mówiłem tak, gdyż, podobnie jak ty, ani przez chwilę nie wierzyłem, że to Zboiński jest Oprawcą. Myślałeś, że uda ci się wszystkie te morderstwa wepchnąć do jednego worka tylko

dlatego, że Zboiński urznął człowiekowi głowę.

— Jak się okazało, nikomu nie urznął — odrzekł Jarczyk.

Rej uderzył pięścią w blat biurka i obrzucił Jarczyka płonącym wzrokiem.

Najwyraźniej tym jednym spojrzeniem chciał zamienić go w garść popiołu.

— Cholernie dobrze wiesz, że obciął, wiesz, dlaczego to zrobił. Wiesz również,

że Teofil został opłacony i zmuszony do zmiany orzeczenia lekarskiego. A

wszystko to dlatego, że ty również zostałeś zmuszony do przyjęcia pieniędzy.

— Teraz ty posłuchaj! — krzyknął Jarczyk, zrywając się zza biurka. — Nie

masz prawa tak tu wchodzić i rzucać mi w twarz oskarżeń! Miałem dobry trop!

Miałem wszelkie powody, by dokonać aresztowania! I, na Boga, przynajmniej

kogoś schwytałem! Ty nie miałeś nawet podejrzanego!

— Zgoda — przyznał mu rację Rej. — Nie miałem podejrzanego. A tylko

dlatego, że nie miałem wystarczających dowodów. Podobnie zresztą jak ty. Ale

ty zastawiłeś pułapkę jak z jakieś hollywoodzkiej wybroczyzny kryminalnej. I

ty wszystko spartaczyłeś, spartaczyłeś po mistrzowsku. I to ty zabiłeś Matejkę.

Ty! Równie dobrze własnoręcznie, dupku, mogłeś mu rozwalić głowę!

Jarczyk wyskoczył zza biurka z wyciągniętymi pięściami.

— No chodź! No chodź! — wrzasnął. — No chodź! Zobaczymy, kto tu jest

dupkiem!

Rej nie ruszył nawet ręką, nie cofnął się.

— Ile? — zapytał tym samym cichym głosem, jakim zadał to pytanie

Wojniakowskiemu.

— Co „ile”? O czym ty gadasz?

— Pytam, ile ci zapłacono, żebyś stwierdził, że Roman Zboiński ma

niepodważalne alibi na czas, gdy popełniono pięć z tych morderstw?

Jarczyk zacisnął pięści, ale widząc, że Rej nie zamierza się wdawać w bijatykę, powoli opuścił ręce. Pocił się obficie, policzki miał szkarłatne.

— Nie wiem, co próbujesz mi wmawiać, ale nikt mi nie płacił.

— Zapłacono ci, zapłacono — odparł niewzruszenie Rej. — Zapłacono i grożono. Bat i marchewka, tak to się nazywa.

— O niczym nie wiem.

— Kto zapewnił Zboińskiemu alibi?

— Niezależni od siebie ludzie... ludzie, którzy go w tym czasie widzieli lub przebywali w jego towarzystwie. Z „Zebry”, gdzie bardzo często przebywa. Od Yaldiego na Pięknej.

— Cóż... kawał dobrej roboty, Witold. I szybkiej. Ilu świadków udało ci się znaleźć?

— Kilku. Ale o co ci chodzi? Zostałeś przecież od tej sprawy odsunięty.

— Nie, nie zostałem. Tego dnia, gdy zabiłeś Matejkę, dałeś mi oficjalne zaproszenie do zajęcia się tą sprawą. I nikt nigdy mi jej nie odbierze. Albo ją rozwiążę i dojdę prawdy, albo umrę.

— Jezu, aleś ty dramatyczny — stwierdził Jarczyk i zaczął przechadzać się po pokoju.

— Wziąłeś pieniądze — stwierdził Rej. — Gdybyś ich nie wziął, nie byłbyś w to taki zaangażowany. Jarczyk zatrzymał się i nabrał powietrza w płuca.

— Posłuchaj, Rej. Po prostu popełniłem omyłkę. Roman Zboiński nie zabił żadnej z tych osób. Może zamordował Antoniego Dłubaka, ale spróbuj mu to udowodnić. Nie wskazuje na to żadna ekspertyza lekarza sądowego; z

wyjātiem drobnego złodziejaska samochodów, który może widział, a może nie widział, jak jeden z chłopaków Zboińskiego porywał Dłubaka, nikt nie złożył w tej sprawie zeznań. To wszystko hipotezy!

— Ile? — powtórzył Rej.

Stojący w kącie młodszy funkcjonariusz, nie chcąc być wmieszany w awanturę, dosłownie przy kleił się do ściany. Jarczyk trzykrotnie głęboko odetchnął.

— Zamierzasz to oskarżenie podtrzymać przed nadkomisarzem Dembkiem?

— Jeśli chcesz, podtrzymam je nawet przed papieżem.

Jarczyk przez chwilę milczał. Następnie wskazał palcem młodego oficera i machnął dłonią, nakazując mu opuścić pokój. Gdy za policjantem zamknęły się drzwi, Jarczyk popatrzył na Reja i powiedział:

— Posłuchaj... jest to jedna z tych sytuacji, w których musimy przymknąć oczy.

— Słucham, słucham — odrzekł Rej.

Sięgnął do kieszeni po papierosy i uświadomił sobie, że przecież je wyrzucił.

— W tę sprawę uwikłany jest rząd... rozumiesz, międzynarodowe inwestycje. W grę wchodzi miliony dolarów. Antoni Dłubak był tylko drobnym zatabaczonym urzędasem, który nagle sobie ubzdurał, że jest kimś w rodzaju... bo ja wiem, jakiegoś średniowiecznego rycerza, co wydaje walkę złym smokom międzynarodowego biznesu. Odkrył pewne techniczne nieprawidłowości w funkcjonowaniu Banku Kredytowego Yistula. Spisywali różne rzeczy na straty, chociaż nie powinni ich na straty spisywać. Drobnostka, żaden z inwestorów na tym nie ucierpiał. Nikt nie stracił pieniędzy. Ale Antoni Dłubak zwołał wyprawę krzyżową.

— I dlatego zasłużył na tortury i obcięcie głowy? Prosił o to?

— To nieszczęśliwy zbieg okoliczności — odparł Jarczyk. — Ale Zboiński nie miał z tym nic wspólnego i nikt nie jest w stanie udowodnić, że było inaczej.

— O ile sobie przypominam, ostre narzędzie, którym torturowano Dłubaka, hak sztauerski, znaleziono w mieszkaniu Zboińskiego.

— Błąd.

— Na Boga, przecież on wbił mu go w kutasa! — ryknął Rej. — Jaki błąd?

— To był inny hak. Zapytaj Wojniakowskiego.

— Inny hak sztauerski? Nie sądzę, żebym trudił się do pana doktora. Teofila nakarmiono tą samą marchwią i przyłożono po grzbiecie tym samym batem.

— Stefan, nie obrażaj mnie.

— Nie muszę. Sam się obrażasz. Obrażasz pracę, którą wykonujesz. Obrażasz swych kolegów i przyjaciół. Obrażasz mnie.

Jarczyk milczał. Przeciągał tylko dłonią po twarzy, jakby sądził, że zlezie mu z niej cała skóra jak na jakimś horrorze.

— Ile ci zapłacili? — zapytał Rej.

— O co ci chodzi? Jesteś zazdrosny, że tobie tego nie zaproponowali?

— Witold, ile?

Jarczyk nie zdołał powstrzymać złośliwego uśmiešku.

— Więcej niż ty zarobisz przez dziesięć lat. Tyle.

— Kto? — zapytał z kolei Rej.

Jarczyk wybuchnął głośnym, wymuszonym śmiechem.

— Zawsze mówili, że jesteś uparty. I mieli rację. Zawzięty, zdecydowany, zawsze pozwalano ci na więcej. Harowałeś, harowałeś i w końcu trafiałeś na trop właściwego człowieka. Nieważne, że sprawa, z którą ktoś inny uwinąłby się

w sześć dni, tobie zajmowała sześć miesięcy.

Rej chciał na niego huknąć, ale zacisnął tylko pięści, wziął głęboki wdech i zapanował nad sobą. Na swój sposób Jarczyk miał rację. Był głupcem nie rozumiejąc, kto zapłacił Wojniakowskiemu, kto zapłacił Jarczykowi, dygnitarzom rządowym i Bóg jeden wie komu jeszcze. Oczywiście tylko zgadywał — choć tak naprawdę, to wiedział — ale miał naturalną awersję do wyciągania pochopnych wniosków na podstawie „domysłów”. Przed laty, właśnie na podstawie „domysłu” zastrzelił chudego studenta przed statuą świętego Jana Nepomucena, niedaleko placu Bankowego. Stał i czekał na karetkę pogotowia, na chodniku wykrawawiał się młody człowiek, wokół gromadził się tłum gapiów, a on wiedział, że nie miał racji.

Kto przygotowywałby egzorcyzmy na placu budowy hotelu Senackiego, gdyby nie wiedział, że Zboiński wyjdzie na wolność? A poza tym skoro Oprawca został schwytany i uwięziony, to w czym problem? Kto miał na tyle władzy, żeby wykorzystywać konto na nieprzewidziane wydatki przedsiębiorstwa Senate International i przepuszczać przez nie brudne zyski Zboińskiego? I kto był zdecydowany zniszczyć „tę sukę Lewandowicz”, a jednocześnie solidnie przy tym zarobić?

— Jest gorzej niż za komuny — stwierdził z goryczą.

Nie wiedział, że powtórzył słowa starszej kobiety, która nie zdążywszy na autobus jadący na Czerniakowską, wdała się na przystanku w rozmowę z Janem Kamińskim.

Był w połowie holu wyjściowego z komendy, gdy pojawił się otoczony przez policjantów i własnych ochroniarzy Roman Zboiński. W korytarzu

rozbrzmiewały gromkim echem ich kroki; wszyscy milczeli. Zboiński miał zarzuconą na ramiona kurtkę Hugo Boss, czarną koszulę i obszerne, również czarne spodnie. Sprawiał wrażenie wściekłego i zmęczonego —jakby w jego niczym wykutą z kamienia twarz przez całą noc walono młotem kamieniarskim. Obok kroczył nadkomisarz Dembek. Po drugiej stronie posuwał się prawnik Zboińskiego. Zmierzali równym, zdecydowanym krokiem w stronę obrotowych drzwi, ale drogę zastąpił im Rej, który stanął przed Zboińskim tak, że grupa musiała się zatrzymać.

— O co chodzi? — zapytał Zboiński. — Powiedzieliście, że jestem wolny. Co to gównno tu robi?

— To gównno przypomina ci — odparł Rej — że może wymkniesz się policji, ale nie wymkniesz się temu, co za tobą podąża.

— Co to znaczy? Jakaś groźba? — warknął Zboiński. — Złaż mi z drogi.

— Ostrzegam cię, Roman — powiedział Rej. — Nigdy ci już nie zejdem z drogi. Będę na ciebie polował aż do dnia twej śmierci.

— Chcę złożyć skargę! — krzyknął Zboiński. — Jestem wolny, prawda? Powiedzcie więc temu gnojowi, żeby zszedł mi z drogi.

Dwóch policjantów ruszyło w stronę Reja, ale ten zatrzymał ich „laserem”, jakiego nie powstydziałaby się nawet Sarah. Podszedł do Zboińskiego jeszcze bliżej i dźgnął go wyciągniętym palcem w klatkę piersiową.

— Posłuchaj mnie, skurwysynu. Wiem, kim jesteś, i wiem, co zrobiłeś.

Pewnego dnia cię dopadnę, dopadnę cię w chwili, kiedy się będziesz tego najmniej spodziewał. Więc gdybym był na twoim miejscu, już od teraz zacząłbym się bać.

— Ciebie? — prychnął Zboiński. — Pozwól, że coś ci powiem, malutki, siwy człowieczku. W dniu, kiedy zacznę się ciebie bać, sam sobie palnę w łeb za to, że jestem talom kurzym gównem.

— Poczekam na to — odparł Rej. Zbliżył się nadkomisarz Dembek.

— Stefan, daj spokój. Ta sprawa jest już zakończona. To była pomyłka. Pan Zboiński jest wolny.

— Zastrzelił Matejkę — odparł Rej, nie ruszając się z miejsca.

— Jak mogłem kogokolwiek zastrzelić? — zaprotestował Zboiński. — Nie miałem nawet przy sobie broni!

— Kazałeś to zrobić ochroniarzowi. A to, kurwa, wychodzi na jedno.

— Nic nie mówiłem! To insynuacja! Nic nie mówiłem!

Rej chwycił Zboińskiego za klapy i przyciągnął do siebie tak blisko, że ich nosy prawie się ze sobą zetknęły. Nieistotne, że Zboiński był o wiele wyższy; Rej był ogniem, był wymiarem sprawiedliwości, był gliniarzem i prokuratorem jednocześnie.

— Obiecuję ci najsolenniej — szepnął Zboińskiemu do ucha tak, żeby nikt nie słyszał. — Pewnego dnia, już niebawem, zabiję cię, jeśli jeszcze nie będziesz martwy. I nie będziesz się nawet spodziewał, kiedy ten dzień nastąpi. Ale tak właśnie będzie. Cierpienia Dłubaka okażą się niczym w porównaniu z tym, co przytrafi się tobie. Hak sztauerski? Ja zamierzam rozedrzeć cię na strzępy.

— Jesteś szalony — odparł Zboiński, zwracając się z udawanym zdumieniem do nadkomisarza Dembka. — Ten człowiek jest szalony. Ciągłe u was pracuje? Nie mogę wprost w to uwierzyć!

— On... hmm... został zawieszony i odsunięty od sprawy — wyjaśnił Dembek i

gwałtownym, choć lekkim skrętem głowy dał znak Rejowi, że ma usunąć się z drogi. Rej potarł kłykcie pięści, jakby rozważał pomysł, czy nie wyróżnić Zboińskiego w szczękę. Bandzior gapił się na niego i gapił, aż w końcu odepchnięto Reja na bok. W tej samej chwili przez obrotowe drzwi do holu wdarli się z kamerami i mikrofonami przedstawiciele prasy. Rej odsunął się jeszcze bardziej w bok. Ale złożył Zboińskiemu obietnicę i zamierzał jej dotrzymać. Uśmiechnął się do niego; twarz bandziora przypominała pośmiertną maskę. Rej nie mógł poskromić jeszcze szerszego uśmiechu. Zawsze uważał, że nic tak człowieka nie komplementuje jak nachmurzona nagle twarz jego najgorszego wroga.

Do holu jako jedna z pierwszych wdarła się Anna Pronaszka. Dostrzegła Reja, który miał właśnie opuścić korytarz, i uniosła mikrofon.

— Komisarzu Rej... — zaczęła.

Ale w jakiś tajemny sposób zrozumiała, że to on miał rację, a ona się myliła.

Bez słowa opuściła mikrofon i obserwowała, jak policjant odchodzi.

Zastanawiała się tylko, kto go tak idiotycznie ostrzygł, i gdzie udało mu się kupić koszulę tak pstrokatą i w tak złym guście.

Rej wrócił do domu, otworzył lodówkę i zaczął w niej myszkować w poszukiwaniu czegoś do jedzenia. Znalazł kilka plasterków salami, zwiędłe jabłko i trochę zjełczanego twarogu. Postanowił zatem nic nie jeść i nalał sobie tylko piwa. Wyszedł na balkon i usiadł w fotelu. Dzień był upalny, słońce świeciło oślepiającym blaskiem, a cienie wyglądały jak namalowane tuszem. Głosy bawiących się na wyschniętej trawie dzieci przypomniały mu krzyk mew nad Bałtykiem, dokąd matka przed wielu, wielu laty zabrała go podczas wakacji

na tydzień. Nie wiedział, gdzie wtedy był jego ojciec, potężny niczym

cowcatcher w staroświeckim parowozie mężczyzna o siwych jak stal wąsach.

Po kilku minutach jednak zadzwonił telefon i Rej wrócił do pokoju.

— Stefan? Tu Sarah. Coś się wydarzyło.

— Co? Masz taki dziwny głos.

— Marek spostrzegł człowieka, który wszedł do kanałów... chyba na

Koszykowej. Zatelefonował do Claytona i obaj poszli za nim.

— A, tak — mruknął Rej i popił piwa. Sarah nagle umilkła i zaczęła płakać.

— Clayton został zabity.

— Chyba nie mówisz tego poważnie.

— Stefan, Clayton naprawdę został zabity. Przez Oprawcę. Marek jest tego

pewien.

— Nie wierzę. Kiedy to się stało?

Słowo po słowie Sarah wydusiła wreszcie z siebie wszystko, czego dowiedziała się od Marka.

— Marek widział Oprawcę — rzekła na koniec. — Widział go na własne oczy.

Potwór był tak blisko, że omal nie złapał Marka za nogę. Było to to samo

stworzenie, które spotkałam we śnie w Czerwińsku. Małeńka biała twarz, jak u

lalki, i obszerna, czarna opończa.

Po raz pierwszy w życiu Rej, słysząc, że ktoś wmawia mu coś tak absurdalnego,

pomyślał: masz rację, wierzę ci. Wierzył już, że Oprawca to coś dużo bardziej

demonicznego niż Roman Zboiński; coś dużo bardziej przerażającego i

mściwego. I to coś ganiało kanałami, ulica za ulicą, aleja za aleją i tropiło ofiary

niczym oszalały, bezmyślny ogar.

— Zakładam, że Marek nie zgłosił się jeszcze z tym na policję — powiedział.

— Byłem na komendzie zaledwie pół godziny temu i nikt o takim zdarzeniu nie słyszał.

— Nieszczęsny dzieciak... boi się, że oskarżą go o zabójstwo Claytona.

— Cóż... tak byłoby do dzisiaj. Powiem mu, żeby poszedł na policję i bez żadnych obaw to zgłosił. Ale poza tym dzieją się inne, bardzo dziwne rzeczy.

— O czym mówisz?

— Chodzi mi o to, że Zboiński jeszcze dziś po południu zostanie wypuszczony na wolność. W Zakładzie Medycyny Sądowej pomyłono materiały. Okazało się, że nie mógł nikogo zamordować. Nawet Antoniego Dłubaka. I nie tylko to.

Bydlak, który zastrzelił Matejkę, też zapewne wyjdzie na wolność. Okazało się nagle, że działał w samoobronie.

— Stefan, co to ma znaczyć?

— Ktoś wydaje ogromne sumy pieniędzy, żeby przekonać pewnych ludzi, iż należy zmienić zdanie o Zboińskim, a tym, którzy nie są zainteresowani pieniędzmi, składa inne propozycje... na przykład obcięcie uszu.

Sarah milczała przez bardzo długą chwilę.

— Mówisz tak, jakbyś wiedział, kto to jest — odezwała się w końcu.

— Wiem z całą pewnością. Pozostaje kwestia udowodnienia mu winy.

— Mówisz o Benie, prawda?

— Tak. Mówię o Benie. Jak myślisz, dlaczego zaaranżował te egzorcyzmy? Od samego początku dobrze wiedział, że Jarczyk nie będzie w stanie oskarżyć Zboińskiego ani o to, że jest Oprawcą, ani nawet o zabójstwo Antoniego Dłubaka. A wiedział to, ponieważ zrobił wszystko, aby nikt nie wyskoczył z

jakimikolwiek faktami, zeznaniami świadków czy dowodami. Podejrzewam, że ten twój Ben zbija majątek na praniu pieniędzy Zboińskiego i nie dopuści do tego, by ktoś podłączył się do jego koryta. A już na pewno nie ty.

— Chce mnie zniszczyć, prawda? — powiedziała cicho Sarah. — „Tę sukę Lewandowicz”.

— Cóż, tak. W każdym razie ja to tak widzę. Zorganizuje egzorcyzmy, skłoni ekipę Brzezickiego do podjęcia pracy, a ty zostaniesz jako ta roztrzęsiona panienska, która z niczym sobie nie radzi. Senate International wycofa cię z Warszawy albo w ogóle wypowie ci pracę. Ben będzie bezkarnie prowadził swoją raketę z praniem pieniędzy, a zapewne i tuzin innych rakiet... wszystko w chwale zachodnich przedsięwzięć.

— Mówisz jak komunista — zauważyła Sarah.

— Bo jestem komunistą. Ale przede wszystkim jestem oficerem policji.

— Tak jak Clayton. Był ekscentrykiem. Wierzył w duchy i w takie inne rzeczy poza.. Ale był też gliną, prawda?

— Nic ci nie jest? — zainteresował się nagle Rej.

— Nie — odrzekła. — Jakoś sobie radzę. Muszę sobie radzić.

— Posłuchaj, z Benem Saundersem powinnaś bardzo uważać — ostrzegł po chwili milczenia Rej.

— Z Benem Saundersem zawsze jestem bardzo ostrożna.

— Wiem. Ale musisz być szczególnie ostrożna. Czy Bank Kredytowy Yistula przesłał ci już te obiecane wyciągi z rachunków?

— Przyrzekli to zrobić, tylko że dotąd niczego nie dostałam. Wybiorę się do nich jeszcze dzisiaj.

— Moglibyśmy się spotkać? Muszę porozmawiać z Markiem. Myślę że i ty z chęcią przyjdiesz.

— Tak, oczywiście. Pozwól, że do niego zadzwonię i jakoś nas umówię.

— Na pewno nic ci nie jest? — ponownie zapytał Rej.

— Och, daj spokój, Stefan. Jestem już dużą dziewczynką. Umiem się zatroszczyć o siebie.

Nastąpiła chwila ciszy, po czym Rej powiedział z wyraźną nutką żalu w głosie:

— Tak, oczywiście, umiesz. Nie powinienem w to ani przez chwilę wątpić.

Weszła szybkim krokiem do swego biura i otworzyła teczkę. Za nią pospiesznie wsunęła się do gabinetu podekscytowana Irena.

— Ben chce się z tobą widzieć.

— To dobrze. Bo ja również chcę się z nim widzieć. Mogłabyś mu powiedzieć, żeby tu przyszedł?

— Nie sądzę, by miał ochotę tu przychodzić — odpowiedziała Irena.

Sarah powiesiła na wieszaku szyty na miarę lniany płaszcz i usiadła za biurkiem.

— Nie obchodzi mnie, w jakim jest nastroju. Jeśli chce mnie widzieć, wie, gdzie mnie szukać.

— Spróbuję — mruknęła Irena. — Czyżbyś miała na twarzy siniaki?

— Tak, to siniaki — zgodziła się Sarah.

— Ben ma podobne. I plaster na nosie.

— Dokładnie. Dlatego ma tu przyjść i się ze mną zobaczyć.

— W porządku — stwierdziła Irena i skinęła głową. Ruszyła do drzwi, ale w progu przystanęła i odwróciła się do Sarah. — Jak udał się weekend?

— Fantastycznie. A tobie?

Sarah przejrzała pocztę i dokumenty. Żadnych wyciągów z konta w Banku Kredytowym Yistula nie znalazła. Był natomiast długi faks z nowojorskiej siedziby Senate International z pytaniem, dlaczego nie zaczęto jeszcze prac konstrukcyjnych, a także pismo od Gawlaka z długą listą pytań odnośnie fundamentów oraz statyki i rozmiarów głównej klatki schodowej. Nadal była pogrążona w lekturze, kiedy otworzyły się drzwi gabinetu i do środka wkroczył Ben. Miał na sobie koszulę z krótkimi rękawami, a spodnie podtrzymywały mu szelki z kaczoem Donaldem. Pod pachą niósł gruby plik wydruków komputerowych.

— Proszę, proszę — powiedział, kładąc wyciągi na biurku Sarah, po czym usiadł na krześle. Irena nic a nic się nie myliła.

Oczy miał popodbijane, czerwony, spuchnięty policzek i plaster na grzbiecie nosa. — Miałaś jaja, żeby się tu pojawić.

— To akurat raczej odnosi się do ciebie — odpaliła Sarah, nie podnosząc głowy znad papierów.

— Wiesz, jaki jest twój największy kłopot? Uważasz się za kobietę interesów, a tak naprawdę nie jesteś w interesach najlepsza. Z twoją kobiecością też jest coś nie w porządku.

— Cóż... zapewne masz rację — odparła, rozpierając się na krześle. — W kwestii pieniędzy jestem zbyt uczciwa. A jeśli chodzi o mężczyzn, nie dyskryminuję ich.

— Tu masz te wyciągi bankowe z rachunków. Muszę ci powiedzieć, że wprowadziłaś pracowników Banku Yistula w spore zakłopotanie. W tym

przedsięwzięciu powinni być naszymi partnerami, toteż należy traktować ich z szacunkiem i kurtuazją. A ty co? Otwarcie powiedziałaś im, że są przestępcami.

Sarah popatrzyła na gruby plik wydruków z taką miną, jakby Ben postawił na biurku pudełko ze śmierdzącym łupaczem.

— Nie sądzę, bym w którymkolwiek z tych wydruków natknęła się na niezgodności.

Założę się, że są nienagannie zbilansowane, kredyt za kredyt, strata za stratę.

Założę się również, że nie ma w nich wzmianki o transportowanych statkami

kradzionych BMW, które wyładowano w Gdańsku. Nie ma tu rachunków za

konwoje mercedesów przejeżdżające przez czeską granicę ani też za

przyjeżdżające z Berlina toyoty. Założę się, że mogę w tych papierach grzebać

do końca świata i tak nie znajdę śladu tego, coś sobie umyślił.

— Jesteś stuknięta — odparł Ben. — Wiesz o tym? Jesteś kompletnie stuknięta.

I nie tylko to. Kompletnie na niczym się nie znasz. Jak tylko skłonię

Brzezickiego do podjęcia pracy, zamierzam dać ci takiego kopa, że wyfruniesz z

Europy Wschodniej w takim tempie, że aż oczy ci mgłą zajdą.

— Kiedy zaczynasz egzorcyzmy, ojczu Karras? Ben wyciągnął w jej stronę palec.

— Sarah, nie kpij sobie ze mnie. To, co robię, ty powinnaś była zrobić już dawno. Jeśli twoi robotnicy uważali, że mają do czynienia z diabłem, powinnaś zapewnić im stosowny obrzęd religijny. Tylko w ten sposób można ich przekonać.

— A jeśli policja uwierzy, że ma mordercę? Czy dasz jej pieniądze, żeby ją przekonać? Ben dźwignął się z krzesła i rozejrzał po gabinecie.

— Lepiej naciesz się dzisiaj swoim biurkiem, bo ostatni raz za nim siedzisz, a zachowujesz się jak królowa Warszawy. Swoją drogą, gdzie byłaś podczas weekendu? Nowy Jork aż skowyczał, żeby dostać tygodniowe sprawozdanie, a ja cię nigdzie nie mogłem złapać.

— Byłam na wsi, ale to już nie twój zakichany interes.

— Czy aby nie z tym parszywym policjantem?

— Tak, z tym parszywym policjantem. I ten parszywy policjant okazał się bardzo opiekuńczy i uroczy, a jako mężczyzna jest dwa razy lepszy niż ty. Ben wykrzywił usta w coś, co jego zdaniem miało wyrażać politowanie.

— Pęd ku naturze, tak? Nie sądzę, żeby tym Nowy Jork również był zachwycony. Od dyrektorów Senate International oczekuje się, że będą utrzymywać bardzo serdeczne, lecz pozbawione elementów osobistych kontakty z mieszkańcami kraju, w którym wypada im działać. Dyrektorzy ci reprezentują Senate International i jako tacy mają stanowić wzór nienaganych manier. A twoje nienagane maniery sprowadzają się do romansów z warszawskim Columbo... — Zerknął na zegarek. — Tak czy siak, teraz to już problem czysto akademicki. Czy pojawisz się dziś wieczorem na egzorcyzmach? O dwudziestej trzeciej. Jestem pewien, że nie zechcesz stracić tak wyśmienitej zabawy.

— Przyjdę.

— Świetnie... a, i weź ze sobą tego Polaczka-policjanta. Nie ma to jak odchodzić z pompą.

Opuścił gabinet, zamykając za sobą cicho drzwi. Oczy Sarah wypełniły się łzami. Nie dlatego, że Ben doprowadził ją do furii; zanadto nim gardziła.

Płakała nad Claytonem. Przy Benie powstrzymywała łzy, nie chcąc, by doszedł

do wniosku, że dopiekl jej do żywego.

Spędziła dwie godziny na studiowaniu wydruków z Banku Kredytowego Vistula i zgodnie ze swymi przewidywaniami wszystko znalazła w nieskazitelnym porządku.

Rachunki były tak idealnie zbilansowane, że nie mogły być prawdziwe. Ani razu nie natrafiła na większą sumę pieniędzy, która wpłynęłaby na konto z niewiadomego źródła. Ani śladu podejrzenia wysokich strat, żadnych odpisów, żadnych tajemniczych wydatków.

Ktokolwiek sfałszował rachunki, tak umiejętnie pousuwał wszelkie ślady pieniędzy Zboińskiego, jakby nigdy nie istniały.

Sarah opuściła biuro i pojechała taksówką do banku. Weszła po schodach do głównego, wyłożonego marmurami holu, który zdobiła wielka figura z brązu przedstawiająca syrenę z mieczem i tarczą.

— Proszę pani! — zawołał za nią recepcjonista. — Proszę pani, w czym mogę pomóc?

Ale Sarah, kompletnie go ignorując, ruszyła korytarzem do znajdujących się na tyłach budynku pomieszczeń biurowych, prosto do gabinetu Piotra Gogiela.

Rozmawiał akurat z którymś z klientów przez telefon, ale cisnęła mu na biurko wydruki i obcesowo zapytała:

— To pańskie dzieło?

Gogiel błyskawicznie pożegnał się z rozmówcą i odłożył słuchawkę.

— Nie rozumiem, o co pani chodzi. To są wyciągi z rachunków z konta pani firmy.

— I za to właśnie umarł Antoni Dłubak? Za tę zdradę?

— Proszę... to niema nic wspólnego ze zdradą, panno Leonard. To... takie są właśnie wyciągi bankowe z waszego konta.

— Czy i pana Ben opłacili? Czy o to chodzi? A może zagroził panu śmiercią?

Piotr Gogiel nic nie odrzekł. Usiadł za biurkiem i z nieszczęśliwą miną popatrzył na plik wydruków. Nieustannie przełykał ślinę, jakby w gardle ugrzązł mu kawałek suchego herbatnika. Sarah pochyliła się nad biurkiem i spoglądała mu prosto w oczy. Próbował odwrócić twarz, ale mu się to nie udało.

— Zamierzam dojść do tego, kto to zrobił — oświadczyła Sarah. — Nie spocznę, dopóki się tego nie dowiem. A kiedy już będę znała prawdę, w porównaniu z bólem, jaki zadam ja, najgorsza tortura Zboińskiego wyda się zaledwie łagodnym drapaniem po plecach. I proszę to traktować jako moją najsoleńniejszą obietnicę.

— Przykro mi, tyle tylko mogę powiedzieć — odrzekł Gogiel, rozkładając ręce.

— O, jest panu przykro. Cóż, ale to zaledwie początek. A teraz proszę mi powiedzieć, gdzie znajdę tego kombinatora Studnickiego.

— Wyjechał do Brukseli... rodzaj spotkania finansistów.

— W porządku. Kiedy wróci, proszę mu niezwłocznie przekazać to, co powiedziałam panu. Piotr Gogiel wstał i odprowadził Sarah do drzwi. Pocił się z powodu upału i zdenerwowania.

— Chciałbym tylko powiedzieć pani... nie chciałem, żeby sprawy tak się potoczyły. Ale czasami nie mamy wyboru.

— Panie Gogiel, każdy i zawsze ma jakiś wybór. Jeden oznaczony jest słówkiem „zły”, a drugi słówkiem „dobry”.

— To nie takie proste, panno Leonard. Mam żonę, mam rodzinę. Mam ludzi, za

których odpowiadam i którzy na mnie liczą.

— Sądziłam, że i ja mogę na pana liczyć. Ale to już nieważne. To była pańska decyzja, prawda?

Opuściła bank, stukając głośno obcasami po marmurowej posadzce. Piotr Gogiel z ponurą miną, wycierając chusteczką twarz, obserwował, jak się oddala.

Rozdział szesnasty

Sarah, Rej i Marek spotkali się w barku kawowym na Koszykowej, gdzie zajęli stojący w kącie stół. Chłopak miał ciemne sińce pod oczami i roznosiła go jakaś niezdrowa, nerwowa energia. Kelnerka przyniosła mężczyznom dwie mocne

kawy, a dla Sarah herbatę po rosyjsku.

Marek opowiedział, jak wraz z Claytonem tropili Okunia w kanałach i w jaki sposób pod Alejami Ujazdowskimi dopadł ich Oprawca.

— Wprawdzie nie widziałem go, gdy obciął mi palec, ale twój opis pasuje do całego obrazu — stwierdził Rej.

— To było dokładnie takie samo stworzenie jak to spotkane przeze mnie we śnie — wtrąciła Sarah. — Byłam śmiertelnie przerażona, ale nie potrafiłam się obudzić.

— Sądysz, że to człowiek? — zapytał Marka Rej.

— Nie wiem. Twarz miał ludzką, ale bardzo małą. W pierwszej chwili pomyślałem, że to maska, ale to nie była maska. Rany, to posuwało się za mną z nieprawdopodobną prędkością... doprawdy, sam nie wiem, w jaki sposób udało mi się sforsować tę kratę.

— Czy to mógł być Okuń... w jakiś sposób odmieniony?

— Nie rozumiem. Jak to: odmieniony?

— Cóż, odmieniony jak na przykład wilkołak. Jak to się nazywa...

zmiennokształtny? Marek potrząsnął głową.

— Clayton z całą pewnością rozpoznał ślady jego butów, prowadzące właśnie do tej rury. A to znaczyło, że facet znajduje się gdzieś przed nami. Oprawca nadszedł z tyłu. Poza tym obaj diametralnie się od siebie różnią. Okuń jest chudy i drobny. Po prostu nędzny, cherlawy, siwowłosy starzec. Oprawca... jest ogromny.

— Co w takim razie teraz zrobimy? — wtrąciła Sarah.

— Sądzę, że należy złożyć wizytę panu Okuniowi.

— Ej... to przerażający człowiek — ostrzegł Marek. — Nawet sąsiad, który mieszka z nim drzwi w drzwi, bardzo się go boi.

— Skąd o tym wiesz?

— Rozmawiałem z nim. Oświadczył mi, że Okuń jest jednym z łajdaków od von dem

Bacha. Twierdzi, że on wcale się nie nazywa Okuń, a kiedy przebywa w swym mieszkaniu sam, nie mówi po polsku. Jest Jednym z nich". Tak mi powiedział ten sąsiad.

— Jednym z łajdaków von dem Bacha? Jesteś tego pewien? Marek skinął głową.

— Krzyczał, że Okuń jest zbrodniarzem i Jednym z nich".

— Von dem Bach? — zapytał ponownie Rej. — Naprawdę wymienił nazwisko von dem Bacha? To może być właśnie brakującym ogniwem, którego szukamy!

— Co masz na myśli? — zainteresowała się Sarah.

— Von dem Bach był niemieckim generałem, który dostał polecenie zdławienia powstania warszawskiego. Pałał do Polaków obłąkańczą wręcz nienawiścią.

Tropił każdego mężczyznę, kobietę czy dziecko, którzy mieli cokolwiek wspólnego z Armią Krajową. Zabijał ich. Zabił ich tysiące. I jeszcze jedno: dostawał szczególnej furii na myśl, że powstańcy wymykają mu się kanałami.

To on właśnie wydał rozkaz blokowania kanałów drutem kolczastym, wrzucania przez włazy pojemników z gazem łzawiącym i wlewania benzyny, którą następnie podpalano. I zupełnie go nie obchodziło, że w środku mogą być dzieci. Wymyślił też urządzenie znane pod nazwą

Taifun-Gerat. Była to maszyna do wpompowywania do kanałów gazu, a następnie wywoływała jego eksplozję. „Maszyna do tajfunu”.

— Chyba nie sądzisz, że Okuń stale tropi akowców... tyle lat po wojnie?

— Dlaczego nie? Żydzi wciąż poszukują zbrodniarzy wojennych.

— Clayton nie należał do AK, prawda? — odezwał się Marek. — Więc dlaczego Oprawca go zabił?

— Clayton stanowił dla niego zagrożenie — wyjaśnił Rej. — Podobnie jak ty.

— Dopił kawę. — No, chodźmy i zobaczymy, co ma nam do powiedzenia sam Okuń.

— Jest pan pewien, że to dobry pomysł? — spytał zaniepokojony Marek.

— Nic się nie bój — uspokoił go Rej. — Mam przy sobie broń.

Przeszli przez jezdnię i Marek zaprowadził ich do bloku, w którym mieszkał

Okuń. Tam nacisnął guzik domofonu oznaczony nazwiskiem „Gajda” i

niecierpliwie czekał, aż się ktoś odezwie. Po minucie ponownie zadzwonił. I

znow nikt się nie zgłosił,

— Może wyszli — podsunęła Sarah.

— Nie sędzę. Ten pan był na wózku inwalidzkim. Jest naprawdę bardzo stary i ciężko chory. Może wyłączył aparat słuchowy? Marek kilkakrotnie jeszcze nacisnął guzik domofonu, ale bez skutku.

— Jak myślisz, który przycisk należy do mieszkania Oku-nia? — zapytał w końcu Rej.

— Mieszka z nimi przez ścianę. Wydaje mi się, że będzie to ten nad lub pod przyciskiem Gajdy. Rej nacisnął oba guziki.

— I co mu powiesz, jak się odezwie? — zapytała Sarah, szeroko otwierając oczy.

— Powiem: „Czy to pan Okuń? Wygrał pan dwutygodniowe, słoneczne wczasy w Auschwitz”.

— Nie, pytam poważnie.

— Nic nie będę musiał mówić — odrzekł Rej. — Nikt nie odpowiada.

— No to co teraz? — chciał wiedzieć Marek. — Kelnerka sądzi, że zamierzam się już na stałe zameldować w barku.

Rej zaczął majstrować przy zamku drzwi wejściowych. Po sześciu lub siedmiu sekundach udało mu się odsunąć zapadkę i drzwi stanęły otworem.

— Teraz obejrzymy sobie mieszkanie pana Okunia pod nieobecność gospodarza.

— A jeśli w tym czasie wróci?

— Wymyślimy jakieś głupie wytłumaczenie lub po prostu damy mu w łeb. Skąd mogę to teraz wiedzieć? — zdenerwował się Rej.

Upchali się w ciasnej windzie i Marek nacisnął guzik oznaczony cyferką 3.

Dźwig z mozołem zawiózł ich na trzecie piętro. Klatka schodowa sprawiała wrażenie jeszcze bardziej mrocznej, niż Marek to zapamiętał. Roznosił się w niej silny, bardzo nieprzyjemny zapach.

— Które mieszkanie należy do Okunia? — zapytał Rej i chłopak wskazał drzwi w samym końcu korytarza.

Ruszyli w tamtą stronę, ale gdy mijali mieszkanie Gajdy, smród stał się tak silny, że Rej przystanął i zlustrował wzrokiem drzwi.

— Czy to nie ulatniający się gaz? — zapytała zaniepokojona Sarah, zasłaniając dłonią nos i usta. — Cuchnie obrzydliwie.

— Lepiej wracajcie na parter — odparł Rej. — Obawiam się, że mamy problem.

— Jaki problem?

— Ten zapach... sędzę, że tam w środku leży coś martwego. Może to tylko pies albo kot, ale muszę to sprawdzić.

— Jeśli ty musisz, to i ja też.

— Sarah, uwierz mi, gorzko tego pożałujesz. Lepiej weź Marka i poczekajcie przed domem. Zapewniam cię, że w przeciwnym razie zwrócisz lunch dwudziestokrotnie szybciej, niż go zjadłaś.

— Jakoś sobie poradzę.

— W porządku — mruknął Rej, wzruszając ramionami. — Ale jeśli poczujesz się niedobrze, celuj w inną stronę. Mam na sobie świeżo uprane i uprasowane spodnie. Ponownie wyciągnął wytrychy i po chwili otworzył drzwi do mieszkania Gajdy. Od progu uderzył w nich prąd ciepłego powietrza przesiąkniętego fetorem psującego się mięsa. Markowi głośno zabulgotało w gardle, odbiło się i chłopak ze słowem „przepraszam” gwałtownie się odwrócił.

Rej wyciągnął paczkę zmiętych chusteczek higienicznych, wyjął kilka i zasłonił sobie nimi twarz. Sarah miała jedynie cienką, jedwabną, obszytą koronką chusteczkę do nosa. Spryskała ją obficie perfumami Giorgio i też przyłożyła sobie do nosa.

— Nie musisz tam wchodzić —jeszcze raz przestrzegł ją stłumionym głosem Rej.

— Stefan, chcę. Po to tu jestem.

— W porządku. Sama sobie grób kopiesz.

Weszli do przedpokoju. Pomieszczenie było ciasne, obskurne, na wieszakach wisiały stare palta i płaszcze, pod ścianami stały laski, a na podłodze poniewierały się zniszczone, podkształcane buty. Rej pchnął drzwi do kuchni.

Było tam znacznie jaśniej, ponieważ w pomieszczeniu znajdowało się wychodzące na południową stronę okno, co prawda z matowymi szybami.

Wpadające przez szkło promienie słońca bezlitośnie obnażały panujący w kuchni brud. Typowy brud, jaki panuje w kuchniach starych ludzi; półślepych, zbyt słabych, aby sprzątać, zapominalskich. Rej bez słowa rozejrzał się bystro, po czym wrócił do przedpokoju i otworzył drzwi salonu.

Pokój również znajdował się w opłakanym stanie, choć nosił ślady pewnego starunku. Na jednym z krzeseł leżała tkana ręcznie wełniana narzuta, na parapecie kominka z elektrycznym rusztem stała pozłacana figurka Matki Boskiej, a na ścianie wisiała reprodukcja obrazu Jacka Malczewskiego „Chrystus obmywający nogi uczniom”. Na obrazie kobieta w białej szacie obmywała stopy uczniowi, który sprawiał abstrakcyjne, posępne wrażenie stroskanego ojca lub żołnierza, co wrócił właśnie z wojaczki.

Rej zatrzymał się na chwilę w progu i rozglądając się po pokoju, nasłuchiwał.

Następnie przeszedł korytarzem do drzwi sypialni. Jego sztywne ruchy i gwałtowna nerwowość, z jaką pchnął drzwi pomieszczenia, powiedziały Sarah dobitnie, co spodziewał się ujrzeć w środku. Lecz ona się tego nie spodziewała; przez otwarte drzwi z siłą nawałnicy wyleciała szumiąca chmara tłustych, zielonych much robacznic, tysiące owadów, które z impetem biły w ściany przedpokoju. Rej cofnął się i zaczął się od nich oganiać, ale Sarah była w stanie tylko zaniknąć oczy i zakryć włosy rękami.

— Boże! — wrzasnęła. — Boże, tylko nie to!

Chmura mięsnych much biła ją w dłonie, opadała na rękawy, owady pełzły jej po ramionach. Któryś usiadł na jej dolnej wardze. Sarah pluła i pluła, wycierając chusteczką usta. W końcu jednak bzyzący sztorm zaczął się uspokajać. Muchy siadały na suficie, muchy siadały na ścianach, jeszcze więcej krążyło ich w kuchni. Rej, nie oglądając się na Sarah, samotnie wkroczył do sypialni.

Amerykanka przełknęła ślinę, czuła się tak, jakby połknęła muchę, ale zdawała sobie sprawę z tego, że musi podążyć śladem policjanta. Nie pozwoli, żeby Ben ją zniszczył; nie pozwoli, żeby Piotr Gogiel ją oszukiwał; i nie pozwoli, żeby Stefan zrobił coś, czego ona nie jest zdolna zrobić.

Zbliżyła się do drzwi sypialni i najwyższym wysiłkiem woli nakazała sobie przekroczyć próg. Weszła do pokoju i otworzyła oczy. W pierwszej chwili, oślepią lękiem, nic nie zobaczyła. Kiedy już obraz nabrał ostrości, również początkowo nie docierało do jej umysłu, na co patrzy.

Po prawej stronie, pod ścianą, stało podwójne łoże małżeńskie przykryte

jasnozieloną narzutą. Ściana nad wezglowiem spływała krwią — posoka lśniła aż do lamperii, nad lamperią i na suficie. Narzuta również przesiąknięta była ciemnobrązową krwią, teraz już zaschnięta, tworzącą upiorną mapę kontynentów i wysp, na które żaden człowiek o zdrowych zmysłach nie odważyłby się podjąć wyprawy.

Pośrodku łoża spoczywały obok siebie dwa lśniące kształty. Ruszały się i błyszczały... Do umysłu Sarah stopniowo zaczął docierać sens tego, na co patrzy. Dwa pozbawione głów ludzkie ciała pokrywały muchy, miliony odżywiających się i składających jaja, połyskliwie zielonych much robacznic. Do gardła podeszła jej gorącą kulą fala wymiotów, lecz jakoś nad sobą zapanowała i zdołała je przełknąć. Rej stał w nogach łóżka. W milczeniu spoglądał na Sarah.

Wydawał się kompletnie odmieniony; inny rodzaj Stefana.

— Ktoś obciął im głowy — stwierdził.

Sarah zdołała tylko w milczeniu skinąć głową i w dalszym ciągu walczyła z nudnościami. Pociła się tak obficie, że pot spływał jej strumieniami po plecach. Rej zabił kolejną muchę.

— Nie mów o tym Markowi, ale ci ludzie zginęli zapewne przez niego. Jeśli Okuń wiedział, że Gajda rozpoznał w nim jednego z esesmanów von dem Bacha... a potem Marek i Clayton ruszyli śladem Okunia do kanałów... cóż, postanowił Gajdę uciszyć.

— Zadzwonisz po policję? — zapytała przez chusteczkę stłumionym głosem.

— To za chwilę. Najpierw chcę rozejrzeć się po mieszkaniu Okunia. Ale założę się o dziesięć milionów złotych, że on już się ulotnił. To znaczy, o dziesięć

milionów starych złotych.

Zaczął wolno obchodzić posłanie, ale zahaczył stopą o lewą nogę łoża. W jednej chwili w powietrze wzbila się olbrzymia, gęsta, bzycząca chmura much i Sarah przez ułamek sekundy widziała, jak naprawdę wyglądają spoczywające na łożku zwłoki. Pozbawione głów, przerażające, nie do rozpoznania, o brzuchach wzdętych od ciśnienia wewnętrznych gazów. Każdy centymetr kwadratowy pokryty był drgającymi białawymi jajami, a w pachwinach trupów roiły się larwy. I wtedy rój much ponownie spowił ciała swym połyskliwym całunem, jakby chciał przywrócić majestat ich przerażającej śmierci.

Sarah opanowała wreszcie ogarniające ją mdłości. Sama nie rozumiała, jak udało się jej tego dokonać. Kiedy jednak wyszła na klatkę schodową, natychmiast ruszyła do okna, otworzyła je na oścież i nabrała głęboko w płuca haust świeżego, wonnego powietrza. Zbliżył się Marek i położył jej dłoń na ramieniu.

— Nie żyją, prawda? — zapytał cicho.

— Tak — odparła, kiwając głową. — Kobieta i mężczyzna, oboje bez głów.

W zaskakująco dorosły i delikatny sposób Marek odgarnął jej z twarzy kosmyki włosów.

— Na pewno nic pani nie jest? — zapytał.

— Poszłam tam z wyboru — odparła Sarah. — Wiedziałam, że to będzie paskudny widok. Ale musiałam to zobaczyć.

W korytarzu pojawił się Rej. Pobrzękiwał wytrychami. Starał się zachowywać nonszalancko, ale twarz miał bladą i wyglądał bardzo nietęgo.

— Zajrzyjmy do mieszkania Okunia. Może tam znajdziemy jakieś ślady.

Zgrabnie otworzył drzwi i cała trójka wkroczyła do środka. Od razu nie mieli wątpliwości, że mieszkanie jest puste. Żadnych mebli, żadnych obrazów na ścianach, firanek, abażurów, kinkietów, nic. Tylko na dywanie koloru zielonego groszku pozostały ślady odcisnięte przez nogi krzeseł i stołu, a do ściany przypięty był trójkątny strzęp papieru. Rej przeszedł przez pokój, wyciągnął pinezkę, która trzymała papier, i zaczął go dokładnie oglądać. Z jednej strony widniała jakaś ciemnoniebieska, gruba linia oraz białe i beżowe wzory — ulice na planie miasta. Po drugiej stronie dostrzegł kawałek zdania: „Powstanie warszawskie postawiło ponownie w końcowej fazie wojny przed światem problem Polski...”

— To fragment planu Warszawy z czasów powstania — wyjaśnił Rej. — Takie mapki można kupić w każdym sklepie z pamiątkami turystycznymi.

Marek zawędrował do kuchni.

— Zostawił większość jedzenia! — zawołał. — Cukier, kawa, sok wiśniowy... ouch, to mleko jest już zepsute!

— Ciekawe, dokąd się wyniósł — odezwała się Sarah.

— Ważniejsze, kim naprawdę jest — odrzekł Rej.

Sarah krążyła po pokoju i oglądała każdą rzecz, która mogłaby naprowadzić ich na jakiś ślad. Znalazła białą koszulę, ostemplowany znaczek pocztowy z papieżem, małą sprężynkę i suchy kawałek obciętego paznokcia.

Przeszła do łazienki. Tam, pod zmatowiałym lustrem dostrzegła szczoteczkę do zębów z wygniecionym, postrzępionym włosiem.

— O, wpadł mi do głowy pewien pomysł — powiedziała. — Madame Krystyna za pomocą lalki Zosi pokazała nam, gdzie dziewczynka kiedyś mieszkała. Może

więc pomoże również, gdy pokażemy jej tę szczoteczkę?

Marek podszedł do Sarah i skrzywił się.

— Mówi pani poważnie? To niesmaczne.

— Raz zadziałało. Dlaczego nie miałoby zadziałać po raz drugi?

— Ale Zosia tę lalkę kochała... lalka była czymś bardzo osobistym.

— A czy znasz bardziej osobisty przedmiot niż szczoteczka do zębów?

— No, nie wiem — wtrącił Rej. — Zosia nie żyła, a duchy chciały nam pomóc.

Okuń żyje, a nie sądzę, by był szczególnie popularny wśród warszawskich duchów.

— Tym bardziej będą miały powód, żeby pomóc nam go wytropić.

— Cóż... — Rej ujął szczoteczkę między kciuk i palec wskazujący. —

Spróbować nie zaszkodzi.

— A co zrobimy z nimi? — zapytał nieoczekiwanie Marek. — Z Gajdą i z tą kobietą?

Nie możemy przecież ich tak zostawić.

— Wcale ich nie zostawimy — odparł Rej. — Pójdziemy do najbliższej budki telefonicznej i anonimowo zadzwonimy na policję. Nadkomisarz Dembek nie powinien się dowiedzieć, że nadal zajmuję się tą sprawą. Nie zapominajcie, że jestem zawieszony w czynnościach. Nie chcę, żeby odebrał mi broń. A co więcej, nie chcę wylecieć z pracy.

— Czy w dalszym ciągu jesteś zdecydowany iść dziś wieczorem na egzorcyzmy? — zapytała Sarah.

— Nie opuściłbym tej zabawy za skarby świata — odparł Rej, posępnie kiwając głową.

Zadzwońiła do ojca. W Chicago była dopiero dziewięćdziesiątka i zastała go w trakcie lektury porannej gazety. Oczywiście duszy widziała, jak siedzi na werandzie na tyłach domu w wytartym biało-niebieskim szlafroku; przystojny, o surowej urodzie Jacka Palance'a i z zaczesanymi gładko do tyłu siwymi włosami.

— Tata? Tu Sarah.

— Sarah? Wróciłaś do Stanów?

— Nie, dzwonię z Warszawy. Tak, wiem, że słycać bardzo dobrze.

Przepraszam, bo tak długo się nie odzywałam. Co u ciebie?

— I ze mną, i z matką wszystko w porządku. Pod koniec przyszłego tygodnia wybieramy się na krótkie wakacje. Zamierzamy odwiedzić ciotkę Clarę w Tampa.

— Tato... dzwonię w konkretnej sprawie.

— Chyba nie chcesz pożyczyć pieniędzy? Jestem pewien, że ci ich nie brakuje.

— Nie, to nie ma nic wspólnego z pieniędzmi. Po prostu staram się odkryć pewną rzecz. Tato, byłeś w AK, prawda? Na chwilę zapadła cisza.

— Dlaczego sobie tak nagle o tym przypomniałaś?

— Tato, wiem, że nie lubisz rozmawiać o wojnie. Ale coś się w Warszawie dzieje.

Mordowani są ludzie i policja podejrzewa, że ma to związek z powstaniem.

— A co Clayton o tym sądzi?

— On... eee... Clayton myśli, że to bardzo prawdopodobne.

— A tak swoją drogą, jak mu leci? To wspaniały człowiek, prawda? Clayton i ja znamy się chyba od zawsze.

— U niego wszystko w porządku. Akurat musiał wyjechać, żeby przeprowadzić pewne badania.

— Jak tylko wróci, niech do mnie zadzwoni, dobrze?

— Jasne. Powiem mu — odparła przejęta smutkiem Sarah.

Nie chciała na razie mówić, że Clayton nie żyje. Ta wiadomość by ojca załamała.

A poza tym policja nie odkryła jeszcze zwłok i nie wiadomo, czy w ogóle je znajdzie.

— No więc o co ci chodzi? — zapytał ojciec. Sarah usłyszała, że zakrył słuchawkę dłonią i powiedział do matki: — To Sarah... chce mnie o coś zapytać. Za chwilę ci ją dam.

— W powstaniu działałeś jako łącznik przenoszący kanałami rozkazy, prawda?

— Prawda. Najczęściej przechodziłem ze Starego Miasta głównym kanałem ciągnącym się pod Krakowskim Przedmieściem i wychodziłem na Wareckiej. Czasami musiałem wędrować aż do Marszałkowskiej, dokładnie pod hotelem, który budujecie.

— Niemcy stosowali różne metody, żeby was zatrzymać. Wlewali do kanałów płonąca benzynę, czopowali przejścia drutem kolczastym.

— Próbowali nas też wykurzać dymem. Gęstym, dławiącym, czarnym dymem. Raz nawet o mało sam nie padłem jego ofiarą.

— Tato... a czy stosowali coś jeszcze? Na przykład kogoś specjalnie wytrenowanego do polowania w kanałach? Milczenie, które zapadło, trwało bardzo długo.

— Nie wiem, Sarah. To były przerażające dni i najlepiej o nich zapomnieć.

— Tato, to bardzo ważne. To naprawdę ważne. Jeśli nie dowiem się wszystkiego, mogę stracić pracę.

— A co powstanie ma wspólnego z twoją pracą? Przecież to działo się pięćdziesiąt lat temu.

— Nie mogę ci teraz tego wyjaśniać, ale proszę.

— No cóż —mruknął jej ojciec z najwyższą niechęcią. — Nigdy tego nie spotkałem... słyszałem tylko opowieści. Powstanie wybuchło pierwszego sierpnia, ale już w połowie miesiąca Niemcy zepchnęli nas na Stare Miasto. Próbowaliśmy połączyć się z innymi ugrupowaniami walczącymi w Śródmieściu. Naszemu batalionowi „Zośka” sztuka ta się udała. Ale pozostałe musiały już przemykać się kanałami. Blisko cztery i pół tysiąca osób. Wtedy właśnie zaczęto opowiadać sobie tę historię.

— Jaką historię, tato? — ponagliła Sarah.

— Może wymyślili ją starsi, żeby postraszyć nas, chłopców--łączników. Jakbyśmy i bez tego nie byli wystraszeni! A może chcieli nas w ten sposób skłonić, żebyśmy jak najszybciej przemierzali nasze trasy. Chociaż żeśmy się nie wałkonili i nie rozsiadywali w tych kanałach! Zgodnie z tymi opowieściami, to pojawiło się w chwili, gdy Niemcy zajęli ostatni budynek na Ochocie, w którym bronili się powstańcy... Wawelska sześćdziesiąt, słynny adres! Większość powstańców zdołała bezpiecznie umknąć kanałami i dotrzeć do Śródmieścia. Ale kilku maruderom się to nie udało. Ostatni człowiek, który wyszedł z kanałów, utrzymywał, że jego i jego towarzyszy ścigało coś czarnego. Nie wiedział, co to

było, ale oświadczył, że wszyscy jego koledzy zginęli. Następnego dnia grupa ochotników zeszła do kanałów zobaczyć, co się stało. Znaleźli zwłoki powstańców z poobcinanymi głowami.

Później podobno zdarzało się to już na porządku dziennym. Przeważnie nie było świadków... po prostu nikt nie zdołał ujść z życiem. Ale od czasu do czasu dochodziły pogłoski o trupach pozbawionych głów oraz o tym, że przemykających się kanałami żołnierzy ścigało coś mrocznego. Raz czy dwa ludzie opowiadali, że widzieli twarz tego stwora, ale podejrzewam, iż próbowali robić nas w balona. Twierdzili, że przypomina dziecko, prawie anioła lub świętego, i dlatego zaczęliśmy to stworzenie nazywać Dzieckiem z Tunelu. No tak, powstanie upadło drugiego października i to już koniec historii. Nigdy więcej nie słyszałem o Dziecku z Tunelu.

— Czy sądzisz, że te opowieści były prawdziwe?

— Nie wiem. Ale wtedy napędzwały mi straszliwego stracha. Później przez całe lata dręczyły mnie koszmary. Noc w noc widywałem w snach tę maleńką, białą twarz i ogromne, czarne cielsko ścigające mnie w kanałach.

— Dzięki, tato — powiedziała Sarah. — Nie chciałam ci sprawiać przykrości.

— No cóż... ogarnia mnie smutek na myśl, ilu wtedy zginęło dobrych i uczciwych ludzi. Osiemnaście tysięcy powstańców zabitych i sześć tysięcy ciężko rannych. Co gorsza, śmierć poniosło sto osiemdziesiąt tysięcy osób cywilnych. Czy wyobrażasz sobie ten tłum, gdyby zgromadził się pod oknami twego domu?

— Przepraszam, tato.

— Och, daj spokój. Nie zamierzam popadać w obsesję. Ale ty również jesteś

Polką. Powinnaś od czasu do czasu wspomnieć ludzi, którzy za ciebie walczyli i umierali. Przekazał telefon żonie, która cały czas stała mu nad głową i cmokała językiem z oburzenia, że mąż opowiada córce tak przygnębiające historie. Sarah pogwarzyła z nią dłuższą chwilę o nowym mieszkaniu w Warszawie i zapewniła, że u niej wszystko jest w jak najlepszym porządku. Niemniej trudno było jej skupić się na pogawędce. Cały czas myślała o bladej, dziecinnej twarzy, która prześladowała jej ojca w tylu snach, a teraz zaczęła również ją prześladować.

Po skończonej rozmowie zadzwoniła do Ireny i poprosiła, żeby pojechała do hotelu Marriott, spakowała i zabrała rzeczy Claytona oraz uregulowała rachunek. Odłożyła słuchawkę i milcząco, w duchu, prosiła Claytona o wybaczenie, że potraktowała go tak, jakby nigdy nie istniał; obiecała mu późniejszy godny pogrzeb.

O jedenastej wieczorem plac budowy hotelu Senackiego na Marszałkowskiej był rzęsiście oświetlony. Przed bramą stały zaparkowane trzy radiowozy, lecz policjanci tylko odganiaли gapiów i grupkami palili papierosy, rozmawiali i śmiali się. Rej połową samochodu wjechał na chodnik i natychmiast w jego stronę ruszył policjant. Komisarz pokazał mu legitymację służbową i warknął:

— Lepiej wyjmijcie z ust tego peta. Jesteście na służbie.

— Tak jest, komisarzu. Przepraszam, komisarzu.

— Niechluje — dorzucił jeszcze Rej, pomagając Sarah wysiąść z auta.

Za Amerykanką zwawo wysunął się z samochodu Marek.

Wkroczyli przez bramę na teren budowy. Od czasu śmierci trzech niemieckich robotników prace nie posunęły się ani o krok. Na hałdach ziemi wymieszanej z

gruzem bujnie pieniły się pokrzywy i łopiany. Ben, ubrany w dramatycznie czarny garnitur od Armaniego, był już na miejscu. Pojawił się też Jacek Studnicki, którego czupryna lśniła w blasku łukowej lampy. Oprócz niego stało się jeszcze dwóch dyrektorów z Banku Kredytowego Yistula. Ku konsternacji Sarah Rej wskazał jej potężnie zbudowanego mężczyznę i wyjaśnił, że to właśnie jest Roman Zboiński. Otaczało go czterech ochroniarzy w kamizelkach kuloodpornych. Na widok Amerykanki wyszczerzył zęby, otwierając lekko usta przypominające wąskie pęknięcie w wapiennej skale i mruknął jakieś świństwo do ucha jednego z goryli.

Sarah wprawdzie nie umiała czytać z ruchu warg, ale była przekonana, że uwaga jest bardzo obleśna.

Wśród zgromadzonych stał też Józef Brzezicki oraz jego ekipa. Większość robotników ubrana było w odświeżone garnitury, choć niektórzy mieli na sobie zwykłe dzinsy. Brzezicki z namaszczeniem skinął głową na powitanie, a kilku robotników uchyliło czapek. Sarah poczuła zadowolenie z tego, że jednak cieszy się jeszcze wśród pracowników jakimś autorytetem.

Podszedł do nich Ben. Ręce trzymał w kieszeniach. Na nosie wciąż jeszcze biał mu plaster.

— Cieszę się, że cię widzę, słoneczko — przywitał Sarah.

— A co on tu robi? — zapytała, wskazując głową Zboińskiego.

— To businessmen. A jak myślisz, gdy ukończymy budowę tego hotelu, kto będzie się w nim zatrzymywał?

— Mordercy? Gangsterzy?

— I właśnie na tym polega cały problem kobiet — stwierdził filozoficznie Ben,

puszczając słowa Sarah mimo uszu. — Za grosz nie mają poczucia humoru. Na przykład pan — zwrócił się do Reja. — Kiedy pana po raz ostatni rozbawiła kobieta? Pomijam już chwile, kiedy się rozbierała.

— Wyborny żart — odparł policjant. — A tak swoją drogą, dziękuję za zaproszenie. Nigdy dotąd nie uczestniczyłem w ceremonii egzorcyzmów. Może mnie to w dużym stopniu oświecić.

Ben klepnął go po ramieniu.

— Nie znam się na oświecaniu ludzi, komisarzu, w każdym razie może egzorcyzmy skłonią tych zabobonnych becwałów do podjęcia pracy... Ale, ale, oto i nasz ksiądz.

Pojawił się dyrektor do spraw kontaktów publicznych Senate International. Jego twarz wyrażała wyraźne zakłopotanie, gdy wprowadzał przeraźliwie chudego kapłana w podeszłym wieku. Ksiądz miał srebrzyście siwe włosy ufryzowane w czub jak u kakadu i ostry, przypominający dziób drapieżnego ptaka nos.

— Ojciec Ksawery, prosimy do nas! — zawołał Ben, a ksiądz, pociągając nogą, ruszył powoli w jego stronę.

Miał na sobie tradycyjną, choć mocno już wyświechtaną i wytartą sutannę.

— Ojciec Ksawery zgodził się uprzejmie przeprowadzić dla nas te egzorcyzmy

— wyjaśnił Ben, zupełnie jakby ceremonia ta była otwarciem nowego sklepu.

Wyciągnął z kieszeni notes i otworzył go. — Studiował w Rzymie, a następnie pełnił posługi kapłańskie u przełożonego jezuitów, ojca Souaquata w Strasburgu.

Tak zatem, choć jesteś już w podeszłym wieku, ojciec Ksawery, wyegzorcyzmowałeś młodą kobietę z Krakowa, zostawiającą za sobą krwawe odciski stóp, oraz wiejską dziewczynkę z Białej Rawskiej, cierpiącą na paroksyzmy, podczas

których przemawiała głębokim, chrapliwym głosem w nie znanych jej językach.

Słyszysz pan, panie Brzezicki? Nasz ksiądz ma rzeczywiście imponujące dokonania. Po dzisiejszym wieczorze na tej budowie nie będzie już buszował żaden diabeł.

Ojciec Ksawery zbliżył się do Sarah i ujął jej dłonie suchymi, kościstymi palcami obciążonymi cienką jak pergamin skórą. Jedno oko miał szklane i skierowane bez przerwy w jakiś punkt nad ramieniem Sarah, tak iż Amerykanka odnosiła dziwaczne wrażenie, że tuż za jej plecami ktoś stoi.

— Coś cię niepokoi, córko — odezwał się kapłan. — Chyba nie ja?

Sarah potrząsnęła głową.

— Niepokoję się tym, co może wydarzyć się dzisiejszej nocy — odparła.

— Zapewne nie wierzysz w diabły, prawda? A może wątpisz w moje doświadczenie i w moją pobożność?

— Nie kwestionuję pobożności księdza. Po prostu wydaje mi się, że ojciec nie zdaje sobie sprawy z tego, w obliczu czego dziś stanie. To nie jest kwestia dziewczynki cierpiącej na konwulsje epileptyczne lub dzieci z syndromem Tourette'a, które nieustannie przeklinają, drapią się i nie mogą sobie znaleźć miejsca.

— Wiem o tym — odparł ksiądz Ksawery, wciąż patrząc szklanym okiem ponad ramieniem Sary. — Wiem, że jakaś nieczysta siła pozabijała tutaj ludzi. Zamierzam stawić czoło tej nieznannej istocie i odpędzić ją.

— Trochę modlitw, trochę wody święconej i będziemy mogli rozpocząć budowę

— odezwał się Ben, biorąc ojca Ksawerego za ramię. — Tak trzymać, ojczu.

Postawiliśmy tu ołtarz i zorganizowaliśmy wszystko, jak ksiądz sobie życzył.

Biblia, srebrny kielich, medal świętego Benedykta oraz wizerunek Matki Boskiej Nieustającej Pomocy.

— Dziękuję — odparł ojciec Ksawery. — Przyniosłem szczególną relikwię.

Dostałem ją od monsignore Ignace'a Spiesa, burmistrza Salestat, męża wielkiej pobożności.

— Wyciągnął spod habitu niewielki, brązowy woreczek. — To palec serdeczny świętego Gerarda Majelli, wielkiego cudotwórcy redemptorystów.

— Doskonale — powiedział Ben i poprowadził księdza Ksawerego do zaimprovizowanego ołtarza.

Był to jeden ze stołów z baraków dla robotników nakryty białą serwetą obszytą purpurową i złotą koronką. Pośrodku stał wielki, srebrny krzyż, zorganizowany przez Bena, oraz inne przedmioty sakralne, które Amerykanin zgromadził na prośbę księdza Ksawerego. Kapłan sięgnął po stulę, ucałował ją i zawiesił sobie na szyi. Następnie pocałował Biblię, zamknął oczy i zatonął w modlitwie, pokazując, jak bardzo brzydzi się grzechu.

Brzezicki i jego ludzie również zamknęli oczy. Sarah spojrzała w kierunku Zboińskiego. Ten przesłał jej dwuznaczne spojrzenie. Rej to zauważył, lecz wszelkie komentarze zachował dla siebie. Sarah była zdumiona opanowaniem, jakie policjant wykazywał w obliczu człowieka, który zabił mu partnera. Po prostu nie widziała, jak Rej zaciska szczęki.

W końcu ksiądz Ksawery zbliżył się do krawędzi wykopu, stanął dokładnie nad roztrzaskaną rurą kanalizacyjną i zaczął kropić ziemię wodą święconą.

— Zapomnij, Panie, o grzechach naszych i o grzechach naszych przodków. Nie karz nas, Panie, za nasze przewiny i wysłuchaj naszych modłów.

— Usłysz nasz płacz, Panie — zaszemrali w odpowiedzi robotnicy.

Ojciec Ksawery rozłożył ramiona i odrzucił do tyłu głowę.

— Wypędzam cię, duchu najbardziej nieczysty, zesłany przez nieprzyjacioły, wypędzam cię, wszelka zjawo, wypędzam cię, legionie piekielny. Wypędzam cię w imię naszego Pana Jezusa Chrystusa. Opuść to miejsce. Nakazuje ci to On, który strącił cię w najgłębsze otchłanie. Nakazuje ci to On, który włada nad oceanami, wiatrami i burzami. Słuchaj zatem i trwóż się ty, fałszywy proroku, stręczycielu śmierci, niszczycielu życia, mącicielu spokoju, kusicielu mężczyzn, podżegaczu zła, zaczątku skapstwa, siewco niezgody, sprawco wszelkich trosk. Odejdź. Bądź korny i zostań powalony, a dziedziną twą niech stanie się pustynia. Nie ociągaj się. Albowiem nadciąga twój Pan i Władca, a przed Nim łśni światłość wielka, która cię oślepi i spali cię, jak wszystkie nieprzyjacioły Jego. Ksiądz Ksawery ponownie skropił ziemię wodą święconą.

— Ojczy nasz... — zaczął i dalej modlitwę ciągnął już po cichu.

— ...ale nas zbaw ode złego. Amen — zakończył głośno i w tej samej chwili, rozbryzgując wokół pomarańczowe iskry, eksplodowała jedna z lamp łukowych. Po chwili eksplodowała następna i następna, i jeszcze następna, aż w końcu plac budowy spowił nieprzenikniony mrok.

— Brzezicki! — ryknął Ben. — Włącz pan światła awaryjne!

— W generatorze nie ma paliwa — odparł majster.

— To wymień pan te cholerne żarówki!

— Nie wiem, czy mamy zapasowe. Muszę sprawdzić w magazynku.

— Cholera jasna, włączyć światła. Komuś może stać się krzywda!

Wszczął się zamęt, wszyscy się przepychali. Sarah przysunęła się bliżej Reja i

Marka. Powoli jej wzrok przyzwyczajał się do panującego mroku

rozświetlanego jedynie nikłym światłem odległych ulicznych latarni.

Dostrzegała biały obrus i sylwetki baraków. W pewnej chwili wydało się jej

nawet, że przy stercie gruzów gdzie stali robotnicy Brzezickiego, dostrzeża

poruszający się ogromny, mroczny kształt.

— Stefan — odezwała się. — Widzisz to?

— Co? Co mam widzieć?

Cień przebiegł obok zaimprovizowanego ołtarza i wtopił się w inne cienie.

— Jestem przekonana, że coś zauważyłam. Wyglądało to jak cień, ale wcale

cieniem nie było.

— Masz bujną wyobraźnię, to wszystko. Chodźcie... wynośmy się stąd. To już

zaczyna przypominać farsę.

— Światła, na Boga, zapalcie te lampy! — ryczał Ben. — Przyszliśmy wziąć

udział w egzorcyzmach, ceremonii religijnej, a nie na prywatkę przy zgaszonych

światłach! Rozbłysła wymieniona w jednej z łukowych lamp żarówka i wśród

ludzi Brzezickiego rozległ się prostacki śmiech. Zapłonęła kolejna lampa i

jeszcze następna. Plac budowy ponownie był rześście oświetlony, a do grupy

robotników dołączył zadowolony z siebie Brzezicki. Otrzeptywał dłonie z kurzu.

I wtedy wszyscy spostrzegli, że zniknął ojciec Ksawery.

— Czy ktoś go widział? — zapytał Ben. — Kiedy zgasło światło, stał dokładnie

w tym miejscu. Był niecałe dwa metry ode mnie! Brzezicki i jego ekipa ruszyli

w stronę ołtarza, ale ubiegł ich Rej.

— Czy któryś z was widział księdza? — zapytał robotników.

— A niby jak, komisarzu! Księdza po ciemku i wronę w kopami węgla widać

równie wyraźnie.

Rej gestem nakazał wszystkim zatrzymać się tam, gdzie stali, a sam powoli obszedł ołtarz, szukając śladów stóp. Tuż obok dotykającej ziemi lamówki obrusa dostrzegł niewielki, brązowy woreczek z palcem serdecznym świętego Gerarda Majelli. Podniósł relikwię i położył na ołtarzu obok Biblii.

— Powiem wam jedno — odezwał się. — On nie odszedł tak sobie. Ta relikwia jest dla niego bezcenna.

Odchylił skraj obrusu i magiczne zniknięcie kapłana natychmiast się wyjaśniło.

Ksiądz Ksawery siedział przykucnięty w kurzu pod stołem i kościstymi rękami zasłaniał głowę. W pierwszej chwili Sarah sądziła, że nie żyje, ale Rej położył kapłanowi dłoń na ramieniu i powiedział:

— W porządku, proszę księdza. Może już ksiądz wyjść. Proszę... pomogę ojcu wstać — dodał, wyciągając rękę.

Ojciec Ksawery wyczołgał się na kolanach i łokciach spod ołtarza. Już w chwili pojawienia się na placu budowy wyglądał słabowicie, ale teraz z twarzy odpłynęła mu cała krew, a jego skóra przypominała gniazdo os — była papierowa i śmiertelnie blada. Kapłan tak straszliwie dygotał, że z trudem zachowywał równowagę i Brzezicki musiał go podtrzymywać.

— Co się księdzu przytrafiło? — chciał wiedzieć Ben. — Przecież tylko zgasły światła, to wszystko. Proszę mi nie mówić, że choć całe życie wypędza ksiądz demony, to boi się ciemności.

Ojciec Ksawery popatrzył pełnym przerażenia wzrokiem.

— Widziałem to! — wychrypiał. — To coś szło prosto na mnie! Chciało mnie zabić, chciało odciąć mi głowę!

— No tak! — wykrzyknął Ben, wznosząc ramiona. — Ze wszystkich egzorcyistów na tym cholernym świecie musiałem akurat trafić na takiego, który naprawdę widzi demony! Wspaniale!

— A więc pan nie wierzy w diabła? — zapytał wyzywająco Brzezicki. — Zaaranżował pan tę ceremonię tylko po to, żeby przekonać nas, że diabeł został już przegnany?

— Co tak pana gryzie? — odwarknął Ben i puknął palcem Brzezickiego w czoło. — Diabeł istnieje tu, panie Brzezicki, tu, i nigdzie indziej. Ale skoro egzorcyizm mógł pana i pańskich głupków skłonić do podjęcia pracy, z radością zaaranżowałem tę ceremonię. Ojciec Ksawery jest prawdziwym egzorcyistą... czego pan jeszcze chce?

— Widziałem to! — jęknął znów kapłan, kręcąc gwałtownie głową we wszystkie strony i wytrzeszczając swe zdrowe oko. — Ruszyło prosto na mnie! A ja mogłem tylko zasłonić głowę i modlić się do Boga o ratunek.

— Schowanie się za obrusem nie było złym posunięciem — burknął Ben. Sarah wzięła ojca Ksawerego pod rękę.

— Widziałem to! — powtarzał kapłan. — Po tych wszystkich latach... zobaczyłem to!

— Czy ksiądz czuje się już lepiej?? — zapytała Sarah. — Może zrobić księdzu herbaty?

— Chyba powinienem go zabrać do siebie do domu — wtrącił Brzezicki. — Ojciec jest wyraźnie poruszony. Panno Leonard, a może i pani z nami pojedzie? Pytałem już panią, czy nie zechciałaby pani porozmawiać z moją matką. Ona wie wszystko o tym stworze... jeśli tylko pani zechce posłuchać, wyjaśni to pani.

— Zarezerwowałem ojcu pokój w hotelu Solec — przerwał Ben. — Któryś z moich pracowników go tam odwiezie.

— W porządku — odparła Sarah. — Sądzę, że u pana Brzezickiego księdzu będzie wygodniej. Hotel Solec nie jest najwyższej klasy, prawda?

— Na Boga, przecież to kapłan. Przyzwyczajony jest do niewygód.

Brzezicki pomógł księdzu pozbierać rzeczy, a następnie wraz z Rejem prawie wynieśli ojca Ksawerego z placu budowy.

— Co się stało? — zapytała młoda reporterka, kiedy wyszli na ulicę.

— Krótkie spięcie — wyjaśnił Rej. — Nic poważnego.

— A egzorcyzmy?

— Ojciec Ksawery uznał, że nie ma potrzeby przeprowadzania ceremonii egzorcyzmów.

— A zatem miejsce nie jest nawiedzone?

— Jest, ale przez Senate International — odparła Sarah. — Przystąpimy do prac najszybciej jak to możliwe. Na ulicy pojawili się również Ben z Romanem Zboińskim i obserwowali, jak Rej, Brzezicki i Marek pomagają ojcu Ksaweremu wsiąść do samochodu. Ben był wyraźnie rozwścieczony. Kiedy odjeżdżali, Sarah odwróciła się i przez tylne okno pojazdu dostrzegła, że Zboiński uspokajająco kładzie Benowi rękę na ramieniu. Było już dobrze po północy, kiedy dotarli do mieszkania Brzezickiego, które znajdowało się na czwartym piętrze jednego z sześciu identycznych bloków stojących tuż obok fabryki traktorów w Ursusie. Nad tym ponuro wyglądającym zakładem nieustannie hulał wiatr, a wszystkie budynki kąpały się w jaskrawym blasku przemysłowych reflektorów. Mimo późnej godziny matka Brzezickiego

jeszcze nie spała i była bardziej niż szczęśliwa, że może zaparzyć ojcu

Ksaweremu herbatę. Pozostałym gościom jej syn nalał do kieliszków wódkę.

Pani Brzezicka okazała się tęgą, pełną werwy, pogodną kobietą o grzmiącym niczym kościelne organy śmiechu. Włosy miała mocno skręcone trwałą ondulacją.

— Biedaczysko — oświadczyła, załamując na widok kapłana ręce. — Jakaż to chudzina!

Pokój umeblowany był sprzętami typowymi dla realizmu socjalistycznego:

olbrzymią kanapą i powyginanymi, cebulastymi krzesłami. Na dywanie

rozłożono kawałki wykładziny podłogowej, które miały chronić materię przed

zniszczeniem. Na stole leżały serwety, serwetki lub plastikowe tacki, żeby

naczynia nie zostawiały śladów na politurze. W wielkim oszklonym kredensie

ustawiony był najlepszy serwis do kawy oraz uschnięte, święcone palemki, które

od dwudziestu lat pani Brzezicka przynosiła do domu w Niedziele Palmowe.

Najbardziej chwyciła za serce oprawiona w owalną ramkę fotografia

przystojnego mężczyzny o bujnym wąsie, zaczesanych z przedziałką włosach

i z bardzo niepewnym wyrazie twarzy kogoś, kto nie jest oswojony z

pozowaniem u fotografa.

— To ojciec Józia — wyjaśniła pani Brzezicka, biorąc zdjęcie. — Umarł w

osiemdziesiątym drugim roku. Był działaczem Solidarności.

— Rodzinne podobieństwo jest uderzające — odparł Rej, spoglądając na

Brzezickiego.

— I jak udały się egzorcyzmy? — zapytała pani Brzezicka, siadając na kanapie

tak blisko Reja, że ten poczuł, iż kobieta nosi gorset.

— Takie tam i egzorcyzmy! — prychnął jej syn.

— Widziałem to! — odezwał się ojciec Ksawery, strzelając zdrowym okiem po pokoju. — Skończyłem właśnie odmawiać „Ojcze nasz”, kiedy zapadła ciemność. I wtedy to coś na mnie ruszyło. Miało połyskliwą twarz i wzniesiony wysoko nóż... nigdy się jeszcze w życiu tak nie bałem. Zasłoniłem... zasłoniłem się relikwią... tylko tyle mogłem zrobić... i to coś zniknęło. Ukryłem się pod ołtarzem i modliłem tak żarliwie, jak jeszcze nigdy w całym moim życiu.

— Spotkał ksiądz Dziecko z Tunelu — stwierdził Brzezicki. — Mój a matka od razu to odgadła, gdy usłyszała o Janie Kamińskim. Wiem, trudno w to uwierzyć, ale taka jest prawda.

— Nie wierzyłam panu, panie Brzezicki — odezwała się Sa-rah — ale teraz już wierzę. Dziś po południu rozmawiałam przez telefon z moim ojcem w Chicago. On również o tym słyszał. W powstaniu mój tata był łącznikiem AK. Powiedział mi, że w kanałach coś było... coś, co ścigało ludzi, a kiedy ich dopadło, obcinało im głowy.

Pani Brzezicka rozparła się na kanapie i powiedziała:

— Mój prapradziadek opowiadał mi o tym. Pracował przy kopaniu kanałów. Pewnego dnia, gdy kopali w pobliżu Śródmieścia, natknęli się pod ziemią na to coś. Na dziecko, które wcale dzieckiem nie było. Martwe i nie martwe zarazem. Zostawili je w baraku, ale następnego dnia zniknęło. Później w środku Warszawy zabitych zostało dziewięć czy dziesięć osób. Obcięto im głowy. Niektórzy kanalarze twierdzili, że w kanałach słychać płacz dziecka oraz hałasy, jakby ktoś przedzierał się rurami kanalizacyjnymi. Bali się w pojedynkę schodzić pod ziemię. Czy można było mieć o to do nich pretensje? W

następnym roku morderstwa ustały. Mój prapradziadek nie miał pewności, ale niektórzy ludzie twierdzili, że znaleźli to stworzenie pogrążone we śnie. Czy to dziecko, czy potwór, czy też trochę to, a trochę to... w każdym razie zakopali je, ubili ziemię i wezwali księdza, który odprawił w tym miejscu nabożeństwo.

Poklepała swego syna po udzie i wybuchnęła śmiechem.

— Nieszczęsny chłopak. Kiedy był mały, nieustannie straszylam go tymi opowieściami! Nic więc dziwnego, że jak zginął Jan Kamiński, uznał to za dzieło diabła. Ale miał rację. To jest diabeł, i w dodatku ten sam diabeł. Kopano w całej Warszawie, w centrum, w prawobrzeżnej i lewobrzeżnej części miasta... kopano te wszystkie głębokie fundamenty. Sądzę, że robotnicy, wcale nie zdając sobie z tego sprawy, uwolnili to dziecko.

Wykopali je z ziemi i nawet o tym nie wiedzieli. To jest właśnie wasz Oprawca, czy jak go tam nazywacie. Dziecko z Tunelu.

Ojciec Ksawery dzwoniąc filiżanką o spodeczek, odstawił drżącą ręką herbatę i wyprostował się.

— Nie zdawałem sobie sprawy z tego, o co mnie poproszono. Dali mi pieniądze na remont kościoła, a w zamian zażądali odprawienia, egzorcyzmów. Sądziłem, że chodzi o jakieś brzydkie zapachy, ciekące ściany czy coś w tym rodzaju.

Nie wiedziałem, że chodzi właśnie o to.

— To ksiądz również o tym słyszał? — zdziwiła się Sarah.

— Oczywiście. W czasie okupacji byłem w nowicjacie u Matki Boskiej Łaskawej, patronki Polski. Obawiam się, że w tamtych czasach nie przejawiałem szczególnej pobożności. Działiałem bardzo aktywnie w Armii Krajowej. Bardzo dobrze znałem „Karola”, pułkownika Rokickiego. Walczył na

Górnym Mokotowie, ale w końcu musiał zarządzić ewakuację kanałami... i wtedy właśnie zostaliśmy zaatakowani. To stworzenie potrafiło zabić naraz dwadzieścia lub trzydzieści osób i nie było sposobu go powstrzymać. — Umilkł i po chwili ciągnął dalej: — Nie zszedłem do kanałów. Poddałem się Niemcom. Ponieważ byłem kapłanem, puścili mnie wolno.

Stłukli tylko na kwaśne jabłko, skopali, po czym powiedzieli: „No... zmykaj”.

Nigdy nie czułem się tak upokorzony. Zastrzelili przecież tylu moich znajomych, a tych, których nie zastrzelili, wywieźli do obozów koncentracyjnych.

— A stwór w kanałach... odkrył ksiądz, czym on jest? Ojciec Ksawery skinął głową.

— Po wojnie poświęciłem wiele czasu na to, żeby dowiedzieć się, kim jest naprawdę Dziecko z Tunelu. Wie pan, było to jak przerażająca baśń, okropna historia, którą straszy się dzieci i o której mało kto odważa się mówić. Ale wiedziałem, że to prawda. Przeczytałem wszystkie dostępne książki historyczne i sądzę, że poznałem prawdę. Cały kłopot polegał na tym, że wydawało się to niemożliwe. Sądzę jednak, że skoro Chrystus potrafi czynić cuda, potrafi je również czynić Antychryst. Sarah ujęła kapłana za dłoń i poczuła się nagle tak, jakby położyła rękę na historii. Jakby pergaminowa skóra kapłana była palimpsestem, na którym utrwalono minione dzieje; zniszczonym, ale nigdy do końca nie zatartym.

— W trzynastym wieku w Chęcinach istniał maleński klasztor tajemników, mnichów, którzy zajmowali się zgłębianiem tajemnic życia. Byli samowystarczalni, prowadzili całkowicie pustelniczy tryb życia, ale krążyło

wiele opowieści o nich i o ich wiedzy dotyczącej zarówno spraw ziemskich jak nadprzyrodzonych.

Potrafili podobno z dwóch wieprzów stworzyć jedną świnię oraz nauczyć byka chodzić na zadnich nogach. Legendy mówią, że tajemnicy znaleźli w pobliskiej wiosce głuchoniemą od urodzenia i zdeformowaną dziewczynkę. Zabrali ją od żyjących w skrajnej nędzy rodziców i trzymali w klasztorze do czasu, aż wyrosła i dojrzała. Próbowali zapłodnić ją wymieszanym nasieniem człowieka i karalucha, żeby zobaczyć, czy kobieta może dać życie dziecku posiadającemu cechy obu tych gatunków. Chcieli stworzyć istotę inteligentną jak człowiek. Oddaną Bogu i posłuszną swym mistrzom, lecz posiadającą nieprawdopodobną siłę, długo wieczność i wybitne walory umysłowe.

— Chyba nie chce ksiądz powiedzieć, że to się im udało? — przerwał Rej.

— To tylko legendy. Nie mamy na to żadnych dowodów. Ale sam pan wie najlepiej, jak trudno w Polsce trafić na ślady historii. Podczas najazdów szwedzkich zniszczono lub wywieziono z kraju wiele bezcennych dokumentów. Później przyszli Rosjanie, Prusacy, Francuzi i znów Rosjanie. Następnie Niemcy, i jeszcze raz Niemcy, i ponownie Rosjanie. Większość dokumentów zaginęła w tych wojennych zawieruchach.

— Ale ksiądz twierdzi, że mnichom ich zamierzenie się powiodło — odparł Rej.

Ojciec Ksawery skinął głową.

— Sądzę, że tak. Nie wiem, w jaki sposób im się to udało, ale tajemnicy posiadli niebywałą wiedzę naukową, o stulecia wyprzedzającą czasy, w jakich przyszło im żyć. Podejrzewam, że sztuka ta udała się im nie raz i zakon tajemników stworzył sześcioro lub siedmioro dzieci, które jednocześnie były ludźmi i nimi

nie były.

Potrafiły myśleć jak ludzie. Jak ludzie potrzebowały towarzystwa i kogoś, kogo kochają. Ale tak jak karaluchy nienawidziły światła i musiały żyć w wilgotnych, mrocznych miejscach. Potrafiły zagrzebywać się w ziemi i całymi miesiącami trwać w hibernacji. Nie wiem, może potrafiły w takim stanie pozostawać całe lata, jeśli tylko przyjmie pan, że coś takiego jest możliwe.

— Ale w jaki sposób trafiły do warszawskich kanałów? — zapytała Sarah.

— Zaczęło się to w roku tysiąc czterysta dziewiątym. Krzyżacy dowiedzieli się, że tajemnicy potrafią posługiwać się magią. Zajęli więc klasztor i zabili wszystkich mnichów. Pozostawili przy życiu jedynie tych sześcioro czy siedmioro dzieci, ponieważ odkryli, że za tych, którzy je karmią i chronią w czasie trwania hibernacji, istoty te potrafią walczyć jak demony. Niemcy zakuli je w zbroje i wysłali do walki na Pomorzu Wschodnim. Krążyło wiele opowieści na ten temat. Dzieci te, gnane żądzą mordy, walczyły za swych panów tak żarcie, że wielu polskich rycerzy na ich widok po prostu czmychało z pola walki.

Kiedy król Władysław pokonał Krzyżaków pod Grunwaldem, nie było już nikogo, kto by się tymi dziećmi opiekował. Większość z nich rozbiegła się po świecie, lecz jedno zostało przywiezione do Warszawy i tam pochowane.

— Dokładnie to samo mówił mi Clayton! — wtrącił Marek. — Dużo czasu spędził w bibliotece, wygrzebał wszystkie informacje o ludziach, którym ucięto głowy. Wspominał o bitwie pod Grunwaldem... i o czymś jeszcze. O kimś, kogo gazety nazwały „Panem Gilotyną”. Ale nie pamiętam, kiedy to było.

— Och, ale ja za to doskonale wiem — odparł ojciec Ksawery. — Działo się to

jesienią i zimą na przełomie tysiąc osiemset osiemdziesiątego pierwszego i drugiego roku. Miało wtedy miejsce dziewięć morderstw. Wszystkich tych ludzi zabito, obcinając im głowy i za każdym razem głowy te zostały przez zabójcę zabrane. Morderstwa nosiły wszelkie znamiona zabójstw dokonywanych przez te właśnie dzieci, ale wiele czasu zajęło mi odkrycie przyczyny, dla której owe morderstwa zaczęły się tak nagle. Gdy jednak to zrozumiałem, wszystko stało się jasne. W roku tysiąc osiemset osiemdziesiątym pierwszym brytyjski inżynier William Lindley zbudował w Warszawie pierwszy system kanalizacyjny. To o tamtych właśnie czasach wspominał pra-pradziadek pani Brzezickiej. Nie wiedziałem, że kopiący kanały znaleźli Dziecko z Tunelu i ponownie je pochowali. Zawsze podejrzewałem, iż po prostu samo zagrzebało się w ziemi i zapadło w sen. Ale jest sprawą oczywistą, że Niemcy, gdy rozpoczęli bombardowanie Warszawy, przypadkowo ponownie się na nie natknęli. W jakiś sposób odkryli, kim czy czym ono jest, i wykorzystali je do walki z powstańcami. Rozumieją państwo, to drapieżca, dla którego kanały są idealnym terenem polowania.

Dostrzega ofiarę w prawie całkowitych ciemnościach, a wilgotne, zanieczyszczone przewody kanalizacyjne stanowią najbardziej przyjazne mu środowisko. Ma niewiarygodnie silne nogi i ramiona, dysponuje nieprawdopodobną siłą karaluchów.

Posiada inteligencję ludzkiej istoty i potrafi władać nożem.

— Czy trudno tego stwora zabić? — zainteresował się Rej.

— Jak dotąd wszystko wskazuje na to, że jest prawie niezniszczalny. Proszę nie zapominać, że karaluchy są jednym z niewielu gatunków stworzeń na Ziemi,

które mogą bez szwanku przetrwać eksplozję nuklearną.

Sarah dopiła wódkę i wstała.

— Ojciec Ksawery, wygląda ksiądz na bardzo zmęczonego. Może odwieziemy księdza do hotelu?

— Nie ma mowy! — odparła stanowczo pani Brzezicka. — Ksiądz musi zostać u nas! Proszę ojca, w gościnnym pokoju mamy wolne i bardzo wygodne łóżko. Będzie tam ksiądz spał jak dziecko!

— Cóż, tego akurat nie byłbym taki pewien — odparł ojciec Ksawery, siląc się na uśmiech. — Co innego znać historię tak przerażającego stworzenia, jakim jest Dziecko z Tunelu, a co innego stanąć z nim twarzą w twarz.

Sara, Rej i Marek potrząsnęli dłonią ojca Ksawerego, a następnie pożegnali się z panią Brzezicka.

— Czy teraz już pani wierzy, że mamy do czynienia z diabłem? — zapytał w przedpokoju Brzezicki.

— Nie powinnam była nigdy w to wątpić.

— Czy zamierzacie go wytropić? Sarah skinęła głową.

— Mamy pewne poszlaki. Zamierzamy się tym zająć jutro z samego rana.

— Gdyby państwo czegoś potrzebowali... Sarah pocałowała go w nie ogolony policzek.

— Dziękuję, panie Brzezicki. Doceniam pańską propozycję bardziej, niż się panu wydaje.

Podwieźli Marka pod jego dom, po czym ruszyli w stronę Alej Jerozolimskich.

— Zaprosiłabym cię, Stefan, na coś mocniejszego, ale ze zmęczenia padam z nóg. Rej wzruszył ramionami.

— Nie ma sprawy. Zobaczymy się rano. Odpowiada ci dziesiąta? Zadzwońię do Madame Krystyny i spytam, czy pomoże nam odnaleźć Okunia. Sarah ścisnęła go za rękę i delikatnie pocałowała w usta. Oboje dobrze wiedzieli, że nigdy już nie będą ze sobą spać.

— Dobranoc — powiedziała i wysiadła z samochodu.

Rej odczekał, aż otworzy bramę, po czym odjechał. Sarah miała właśnie wejść na klatkę schodową, kiedy usłyszała czyjeś ciche, ochryple wołanie:

— Panno Leonard! Tutaj, panno Leonard!

Odwróciła się. W pograżonym w mroku przejściu ciągnącym się obok budynku stał mężczyzna. Miał na sobie wygnieciony, niebieski garnitur, a w ręce trzymał grubą, dużą brązową kopertę.

— Kim pan jest? — zapytała Sarah.

— Niech pani tu podejdzie, szybko! Nie wiem, czy ktoś mnie nie śledził!

Sarah, starając się trzymać oświetlonej latarnią części chodnika, ostrożnie ruszyła w tamtą stronę. Mężczyzna postąpił krok do przodu i na jego twarz padło światło. Był to Piotr Gogjel, spocony i najwyraźniej bardzo zmęczony.

— Czekam tu na panią od dwóch godzin. Już chciałem dać za wygraną.

— Mógł pan przyjść jutro rano do mnie do biura.

— Nie z tym — powiedział, wręczając jej kopertę. — To są nie spreparowane wyciągi bankowe... wydobylem je z kartoteki Antoniego Dłubaka. Znajdzie w nich pani wszystko. W jaki sposób Roman Zboiński przepuszczał brudne pieniądze przez wasze konto na nieprzewidziane wydatki oraz kto to wszystko aprobował i podpisywał.

— Ben Saunders?

— Tak — odrzekł Gogiel. — Bardzo mi przykro. Miał też inne konto do spółki z rosyjskim gangsterem nazwiskiem Sztemenkow. Zapytałem o niego jednego ze znajomych. Sztemenkow jest znanym handlarzem narkotyków.

Sarah uścisnęła dłoń Gogiela.

— Dziękuję panu. Wiem, jakie ryzyko pan podjął. Obiecuję... wynagrodzę to panu.

— Czasami są tylko dwa wyjścia: dobre i złe — odparł Piotr Gogiel.

Rozdział siedemnasty

Sarah rozebrała się, włożyła jedwabny, niebieski, japoński szlafrok i zaparzyła ziołową herbatę. Otworzyła wielkie, przeszklone okno, wyszła na balkon, oparła się o balustradę i zapatrzyła w światła Warszawy. Mimo że była już druga w nocy, z zachodu wiał bardzo ciepły wiatr, niosąc odległy łoskot przetaczanych gdzieś na bocznicach kolejowych wagonów.

Myślała o nieudanych „egzorcyzmach” Bena i o tym, co opowiedział o Dziecku z Tunelu ojciec Ksawery. Nie wydawało się jej prawdopodobne, by istota ludzka mogła przez stulecia trwać w hibernacji, ale w istnienie Dziecka wierzyła. Zdawała też sobie sprawę z tego, że muszą je wytropić i zniszczyć. Na myśl o takim polowaniu robiło się jej niedobrze, lecz wiedziała, że nie ma innego wyjścia.

Pijąc herbatę, zobaczyła nagle po przeciwnej stronie ulicy czarnego mercedesa zaparkowanego obok innych samochodów. Była przekonana, że przednią szybę pojazdu rozświetlił pomarańczowy blask zapalniczki, którą ktoś zapalał papierosa.

Poza tym wszystkie auta zaparkowane były przodem, a mercedes tyłem.

Obserwowała samochód dobrą minutę. Nabrała pewności, że dostrzeże wsparty

o szybę od strony kierowcy czyjś łokieć. Później ujrzała ognik papierosa, a po chwili z opuszczonego okna wydobyła się chmurka dymu.

Sarah wróciła do mieszkania i zadzwoniła do Reja. Policjant dopiero co przekroczył próg swego mieszkania i był trochę zdyszany.

— Stefan? Tu Sarah. Przed moim domem stoi jakiś samochód. Podejrzewam, że kierowca mnie obserwuje.

— Zaczekaj. Jakiej marki jest ten samochód?

— Czarny mercedes. Nie wiem, jaki model.

— Czy widzisz tablice rejestracyjne?

— Nie, stoi zbyt daleko.

— A skąd wiesz, że kierowca cię obserwuje?

— Tego akurat pewna nie jestem. Po prostu mam takie odczucie. Ale kiedy odjechałeś, pojawił się tu Piotr Gogiel... wiesz, ten z Banku Kredytowego Yistula. Wyobraź sobie, że przyniósł mi wszystkie wydruki wyciągów z kont Senate International. Prawdziwych wyciągów, nie tych spreparowanych, które dostarczył mi Ben. Kłopot polega na tym, że nie jestem pewna, czy Gogjela nie śledzono.

— Naprawdę Gogiel dostarczył ci te wyciągi? Przecież sama mówiłaś, że robi cię w konia.

— Cóż... najwyraźniej zmienił front. Należy do tych nielicznych dyrektorów Banku

Kredytowego Yistula, którzy nie uważają się za Gordona Gekko.

— Wspaniale! — odparł Rej. — To znaczy, że wszystko zaczyna się klarować.

Posłuchaj... wątpię, by ktokolwiek w tak jawny sposób cię obserwował. Ale

skieruję tam patrol policji. Niech się przyjrzą temu mercedesowi. Mogę ci tylko doradzić, żebyś zamknęła drzwi na wszystkie spusty i nikomu nie otwierała. Jeśli dowiem się czegoś nowego, natychmiast zadzwonię. Jeśli nie... cóż, życzę miłych snów.

Sarah odłożyła słuchawkę i wróciła do okna. Mercedes nie odjeżdżał. Po kilku minutach kierowca wyrzucił przez okno niedopałek. Po jezdni posypały się pomarańczowe iskry. Sarah pomyślała, że dostaje już paranoi, ale nie mogła zapomnieć Romana Zboińskiego, który w trakcie egzorcyzmów przesłał jej perskie oko. Bała się go równie mocno jak Oprawcy czy Dziecka z Tunelu, bez względu na to, jak tę istotę zwać. A Zboińskiego, na swój sposób, bała się jeszcze bardziej.

Trochę po wpół do trzeciej, mimo że mieszkanie znajdowało się wysoko, dokładnie zamknęła drzwi balkonowe, przeszła do łazienki, zrzuciła z siebie szlafrok i weszła pod prysznic. Odkręciła kurek do końca, oparła się plecami o kafelki i pozwoliła, by woda spływała jej swobodnie na włosy i ramiona. Po raz pierwszy od bardzo dawna zdała sobie sprawę z tego, jak bardzo jest samotna. Było to bardzo nieprzyjemne uczucie. Nie kochała Stefana i wiedziała, że nigdy go nie pokocha.

Z drugiej strony zdołał ją już tak do siebie przywiązać, traktował ją z takim szacunkiem, iż odkryła nagle, że go jej brakuje.

Brakuje jej tego, by po prostu odwrócić się w jego stronę i powiedzieć: „Co naprawdę myślisz o ojcu Ksawerym?” lub: „Dzieci i karaluchy... czy ten człowiek mówił poważnie?”

Powoli mydliła ciało, a ze zmęczenia oczy same jej się zamykały. Następnego

dnia musi dokładnie przejrzeć wydruki dostarczone przez Piotra Gogiela, a

później zapewne odbędzie poważną rozmowę z prawnikami Senate

International. Ostatecznie

znajdzie sposób, żeby obronić się przed Benem, który chce wygryźć ją z Europy

Wschodniej. Tak naprawdę, w zależności od tego, co znajdzie w papierach,

zdobędzie wystarczające dowody. Na ich podstawie Ben zostanie aresztowany

za bardzo poważne defraudacje. Była twardą kobietą, lecz mściwość nie leżała

w jej naturze, więc wcale nie chciała doprowadzić do skazania Bena. Z drugiej

jednak strony to Ben nawarzył piwa i nie będzie w tym żadnej

niesprawiedliwości, jeśli je wypije.

Wycierała właśnie włosy, kiedy rozległ się dzwonek przy drzwiach. Boże —

pomyślała. — To na pewno Stefan. Jest tak piekielnie opiekuńczy, że przyjechał

aż z Ochoty sprawdzić, czy nic mi się nie stało. Zakręciła kurki i owinęła się

wielkim, zielonym ręcznikiem. Wyszła z łazienki, po czym poczłapała na boska

przez salon do przedpokoju.

Ponownie rozległ się dźwięk dzwonka; głośny i natarczywy.

— Zaraz, zaraz, chwileczkę! — Wyrzała przez judasza, lecz nikogo nie

zobaczyła.

Widziała tylko klatkę schodową i rzeźbioną w stylu artnouveau poręcz schodów.

— Stefan, to ty?

— Otwieraj drzwi — dobiegł ją stłumiony męski głos, który mógł należeć

zarówno do Reja, jak i do jakiegokolwiek innego mężczyzny.

— Stefan? — powtórzyła. — Stefan... pokaż się w judaszu tak, żebym mogła

zobaczyć twoją twarz.

— Szybciej, otwieraj te drzwi — powtórzył stojący na klatce schodowej człowiek.

Mimo że instykt jej to odradzał, otworzyła; ale tylko na szerokość łańcucha.

— Stefan... nie widzę cię! Chcę się upewnić, że to ty! Nie musiałeś...

Nie zdążyła dokończyć zdania, ponieważ potężne kopniecie wyrwało z framugi łańcuch i drzwi stanęły otworem. Sarah ujrzała w progu grubego mężczyznę w purpurowej kamizelce kuloodpornej. Przed sobą trzymał karabin z obciętą lufą.

Miał płaską, przypominającą maskę twarz, króciutkie, uczesane na języka włosy oraz ogromną brązową brodawkę na policzku.

— Oddawaj papiery! — zażądał nieznajomy po angielsku. Był równie podenerwowany jak Sarah. — Papiery albo posmakujesz mojego obrzyna — powiedział, wyciągając broń tak, że Sarah nie miała najmniejszych wątpliwości co do tego, że spełni swą groźbę.

Cofnęła się w głąb mieszkania. Mężczyzna ruszył za nią.

— Papiery — powtarzał. — Papiery.

— Jakie znów papiery? — zapytała. Sama nie wiedziała, czy jest bardziej wściekła, czy bardziej wystraszona. — Niczego nie wiem o żadnych „papierach”.

Mężczyzna kopnięciem zatrzaskał za sobą drzwi i ruszył przez salon za cofającą się Sarah, która w końcu oparła się plecami o przeciwległą ścianę pokoju, pod wykonaną ze srebra i emalii ikoną z Matką Boską.

— Papiery! Papiery! — wykrzykiwał wpółzdławionym przez astmę głosem. —

Papiery bankowe! Gogiel!

— Posłuchaj, wezwałam już policję — zablefowała Sarah. — Będą tu za dwie

minuty... może nawet wcześniej.

— Papiery bankowe, natychmiast, szybko —powtórzył intruz.

Podszedł bliżej, w wyciągniętej ręce trzymał broń. Sarah usiłowała uskoczyć w prawo, lecz napastnik błyskawicznie wykonał taki sam manewr. Gdy próbowała zanurkować pod jego ręką, chwycił ją za włosy i tak mocno cisnął na ścianę, że na parkiet spadł święty obrazek. Przyłożył lufę obrzyna do nosa Sarah. Poczła zapach oliwy, którą nasmarowano broń, ale jeszcze silniejsza była woń wody kolońskiej dla mężczyzn Obsession. Zamarła w bezruchu. Wystarczająco długo zajmowała się interesami, żeby wiedzieć, kiedy ludzie blefują, a kiedy nie. Ten mężczyzna nie blefował. Miał wszystko do zyskania i nic do stracenia.

Wykrzywił twarz, jakby próbował językiem wydłubać spomiędzy przednich zębów duży kawałek mięsa, po czym bardzo wolno wyskandował:

— Musisz-dać-mi-papiery-bankowe. Inaczej-odstrzelę-ci-głowę.

Spojrzała mu prosto w oczy i w jednej chwili zrozumiała, że bandyta jest zdecydowany spełnić swoją groźbę. Ruchem głowy wskazała stojący pośrodku salonu stolik do kawy.

— Tam. Zabieraj. Nie zamierzam się z tobą kłócić. Mężczyzna spojrzał na brązową kopertę. Sarah przez długą okropną chwilę sądziła, że bandzior po prostu ją zastrzeli i spokojnie odejdzie z wydrukami. Tato — pomyślała z rozpaczą. — Mamo.

Nie miała nawet czasu odmówić modlitwy. Tłuscioch jednak zniżył broń, puścił włosy Sarah i wyszczerzył do niej zęby.

— Dobrze — powiedział i ruszył przez pokój po kopertę.

W tej samej chwili ktoś przeraźliwie załomotał do drzwi. Uderzenie było tak

mocarne, że po prawej stronie pękła futryna, a z ościeżnicy posypał się tynk.

Napastnik podskoczył. Odwrócił się do Sarah, następnie popatrzył na drzwi, a na końcu zerknął na broń, jakby się zastanawiał, czy lepiej będzie, jak schwytają go z obrzynem czy bez niego.

— Co to? — zapytał przestraszony.

Miała właśnie odpowiedzieć: „Jak to co? Gliniarze”, ale w tej samej chwili rozległo się ponowne uderzenie w drzwi. Było tak silne, że zawiasy do połowy wysunęły się z futryny.

Mężczyzna porwał ze stolika kopertę i ruszył w stronę balkonowego okna.

Zaczął gwałtownie szarpać klamkę, lecz Sarah ją zablokowała. Walenie do drzwi nie ustawało; potężne, głośnie uderzenia, jakby ktoś był zdecydowany za wszelką cenę sforsować drzwi i dostać się do środka.

— Co to jest?! — wrzasnął bandzior, cofając się w głąb pokoju. — Co to jest?!

Sarah potrząsnęła głową i odsunęła się od uzbrojonego mężczyzny. Też nie wiedziała z całą pewnością, kto się dobija, ale, na Boga, miała okropne przeczucie.

Bandzior zawahał się, lecz po chwili najwyraźniej doszedł do wniosku, że najlepiej będzie, jeśli przy użyciu broni utoruje sobie drogę ucieczki. Stał pod ścianą, tuż przy futrynie i czekał z uniesionym obrzynem, a walenie trwało i trwało. Drzwi prawie już wyleciały z zawiasów. Z sufitu płatami odpadał tynk, na ścianach tworzyły się rysy.

Boże, ratuj — pomyślała Sarah. — Przyszło po mnie. Musiało wyczuć mój zapach na placu budowy podczas egzorcyzmów. Musiało wyczuć, kim jestem; córką jednego z jego wrogów.

Walenie stawało się coraz szybsze, przypominało już ogłuszający warkot bębna.

I nagle drzwi się rozwarły, zawisając na wpół-wyrwanych zawiasach. W tej samej chwili w mieszkaniu pociemniało, blask żarówek zmałał do drobnych punkcików pomarańczowego światła, niewiele większych od robaczków świętojańskich.

Przed progiem stała ta sama mroczna postać, którą Sarah dostrzegła podczas seansu u Madame Krystyny. Ta sama mroczna istota, która ściagała ją we śnie. Sarah była tak przerażona, że prawie nie mogła wykonać ruchu. Z wysiłkiem, wlokąc za sobą ciężkie niczym ołów nogi, jakby brnęła w gęstym syropie, zaczęła cofać się w stronę kuchni.

Zapadła długa cisza. Ciemny kształt nie ruszał się z miejsca; po prostu mroczna sylwetka stojąca nieruchomo w progu. Obok drzwi czaił się mężczyzna z uniesioną bronią i najwyraźniej oceniał szansę ucieczki. Sarah cofnęła się o kolejny krok i jeszcze o jeden; i nagle oparła się plecami o ścianę.

Gdy czarna istota ruszyła w kierunku mieszkania, ciągnąc za sobą hałaśliwie szeleszczącą opończę, mężczyzna z obrzysem schylił się, żeby spróbować wyskoczyć na pogrążoną w złowieszczym mroku klatkę schodową.

Sarah nie była pewna, co widzi. Ale wyglądało to tak, jakby spod kapoty wysunęła się cienka, pajęczna ręka i chwyciła bandytę za ramię. Mężczyzna obrócił się na pięcie.

— Jezu Chryste, na pomoc! — wrzasnął.

Nacisnął spust, rozległ się ogłuszający huk wystrzału, w powietrze pofrunęły strzępy czarnej opończy. Ale stwór nie puszczał ramienia swej ofiary i ścisnął je tak mocno, że Sarah była pewna, iż słyszy cichy trzask pękającego powoli

obojczyka.

Mężczyzna i mroczny twór stali w progu spleceni w dziwnym uścisku, otaczała ich gęsta chmura karabinowego dymu. Pajęcza ręka puściła ramię i chwyciła bandziora za włosy.

— Matko Boska, na pomoc, na pomoc! — znów krzyknął bandzior.

Ciemny kształt zgarbił się nieco, uniósł ramię. Sarah dostrzegła jasny, ekscytujący błysk stali. Rozbrzmiał przedziwny dźwięk przypominający trzask bata.

Kształt oddalił się od mężczyzny z obrzytnem, zostawiając go na wypełnionej mrokiem klatce schodowej, dokładnie pod żarzącą się nikłym blaskiem lampą.

Mężczyzna stał zaledwie sekundę, lecz Sarah wydawało się, że upłynęły wieki.

Na twarzy bandyty malował się osobliwy wyraz, zupełnie jakby bandzior chciał powiedzieć coś śmiesznego.

Ale wtedy też zaczęły załamywać się pod nim kolana, zwiotczałe ramiona opadły, głowa zachwiała się mu na karku, po czym spadła z szyi. W powietrze trysnął ogromny strumień krwi, po chwili kolejny i człowiek upadł. Leżał na boku, kopał nogami, wił się i straszliwie dygotał. Głowa potoczyła się po podłodze i zatrzymała na drzwiach sąsiedniego mieszkania.

Zesztywniała ze zgrozy Sarah sunęła wzdłuż ściany, macając na oślep w poszukiwaniu drzwi do kuchni. Gdyby udało się jej tam dotrzeć, mogłaby próbować ucieczki wyjściem przeciwpożarowym. Ciemny kształt stał jeszcze chwilę bez ruchu na klatce schodowej, po czym odwrócił się w stronę mieszkania i przeszedł przez wyłamane drzwi.

— Boże — szepnęła Sarah i próbowała uciekać.

Ale ciemna postać tak szybko przebyła pokój, że było na wszystko za późno.

Amerykanka usłyszała świszczący oddech i szelest opony. Stwór stanął między nią a drzwiami do kuchni. Bił od niego silny, słód kawy fetor kanałów i śmierci i Sarah w jednej chwili pojęła, że nie zdoła mu umknąć, nie zdoła już uciec zapasowym wyjściem. Cofała się, kwiląc cichutko jak dziecko; przerażone dziecko, którym przecież już od dawna nie była.

Stwór zbliżał się. Sarah była pewna, że dostrzeża biały owal jego twarzy, dostrzeża smoliście czarne oczy.

— Nie rób mi krzywdy — pisnęła cichutko zmartwiałymi wargami.

Jeszcze bardziej się cofnęła. Postać, szurając nogami, podążała za nią. Działo się to tak samo jak w tamtym śnie, tyle że teraz sytuacja była dużo, dużo gorsza — Sarah czuła bijący od stworzenia smród, słyszała jego sapanie i zawodzenie.

No i tym razem wszystko to działo się naprawdę; stworzenie naprawdę zamierzało ją zabić.

Do jej uszu dotarł metaliczny szczęk wyciąganego z pochwy olbrzymiego noża, a to, że nie widziała samego ostrza, czyniło sytuację jeszcze straszniejszą.

— Odejdź — udało się jej wyszeptać. — Odejdź, proszę, odejdź.

Stwór oddychał coraz szybciej. Był już tak blisko, że zasłaniał sobą wyważone drzwi i pograżoną w ciemnościach klatkę schodową. Przez chwilę widziała jego twarz, śliczne oblicze dziecka, dziecka o czarnych, niezgłębionych źrenicach.

Mogła to być postać z wosku lub figura religijna; jedna z tych dziwacznie pogodnych postaci Maryi utrwalanych na płótnie przez piętnastowiecznego Mistrza Pięknych Madonn. Sarah tak bardzo się bała, że odnosiła wrażenie, iż cały pokój powoli imploduje, że ze wszystkich stron zalewa ją ciemność.

Ujrzała, iż stworzenie otwiera usta, rozdziawia je, i nagle całe jego dziwaczne piękno przemieniło się w koszmar.

— Zostaw mnie! — wrzasnęła. — Zostaw mnie!

Wpadła na stolik z telefonem. Chwyciła aparat i cisnęła nim w stwora. Z równym powodzeniem mogła walczyć z ciężką, aksamitną kurtyną. Porwała ze stołu mosiężną lampę i również rzuciła nią w mroczną postać. Następnie próbowała podnieść sam stolik, ale straciła równowagę i przewróciła się pod ścianę.

Dysząc ciężko, łapała wszystko, co wpadało jej w ręce i rzucała, rzucała.

Poduszką, szklanym przyciskiem do papierów. W końcu chwyciła srebrną ikonę, która spadła ze ściany, i z rozpaczą cisnęła nią w czarną istotę.

Rozległ się przeszywający, rozpaczliwy płacz pogrążonego w bólu i nieszczęściu dziecka. Ten sam płacz usłyszała w wykopie na placu budowy tamtego dnia, gdy zginęli niemieccy robotnicy. Płacz był tak żalospny, przepojony takim bólem, że Sarah nie mieściło się wprost w głowie, iż ten głos wydała z siebie owa olbrzymia, złowroga postać.

Stworzenie próbowało zbliżyć się do niej, lecz najwyraźniej nie mogło.

Próbowało to uczynić jeszcze dwu- lub trzykrotnie, opończa łopotą i szeleściła. Przy każdej próbie stwór wydawał pełen udręki krzyk; płacz, na dźwięk którego łamało się serce, skarga płynąca z dna duszy.

Oniemiała Sarah siedziała na podłodze i tylko z przerażeniem wpatrywała się w stwora. Próbował jeszcze raz do niej podejść, ale nieoczekiwanie odwrócił się, przemknął przez pokój, szybki i czarny niczym chmura zakrywająca księżyc, po czym nie zatrzymując się, wybiegł na klatkę schodową i zniknął w

ciemnościach. W tej samej chwili zapłonęły wszystkie światła.

Gdy rozległ się trzask otwieranych i zamykanych drzwi prowadzących z domu na ulicę, Sarah zrozumiała, że jest już bezpieczna.

W salonie pojawił się Rej i potrząsnął Sarah za ramię. Za nim wkroczył nie ogolony, rozczochrany Jarczyk. Na klatce schodowej rozbłyskiwały flesze niczym letnie błyskawice. Po schodach biegali policjanci.

— Nic ci się nie stało? — zapytał Rej. — Nie wyrządził ci krzywdy?

Sarah potrząsnęła głową.

— Podeszło do mnie. Wyciągnęło nóż... a ja ciskałam w nie czym popadło. I wtedy zaczęło płakać; płakało rozpaczliwym szlochem, a na końcu odeszło.

— Widziała pani jego twarz? — zapytał Jarczyk.

— Tylko przez mgnienie oka.

— Ale w razie czego rozpozna go pani?

— O, tak, komisarzu. Rozpoznam.

Sama myśl, że mogłaby mieć jakiegokolwiek kłopoty z identyfikacją postaci, która ją zaatakowała, wydała jej się śmieszna.

— Czy wiesz, kto to był... ten mężczyzna, którego zabił stwór?

— Nie wiem. Nie sądzę, żebym go kiedykolwiek wcześniej spotkała.

— Nazywał się Łukasz Włosowicz. To jeden z kiziorów Zboiń-skiego.

Podejrzewam, że kazano mu zabrać te wydruki, a następnie cię zastrzelić.

Wygląda na to, iż Oprawca uratował ci życie... choć później sam zamierzał cię zabić.

— Zabraliśmy te wydruki do analizy krwi i pobrania z nich odcisków palców.

Jak tylko się z tym uporamy, zwrócimy je pani — odezwał się Jarczyk.

Wzburzył sobie jeszcze bardziej i tak już potargane włosy, które chyba od tygodnia nie zaznały grzebienia. — Zresztą dostarczymy pani wszelkie informacje dotyczące tego łobuza Zboińskiego.

Rej rozejrzał się po pokoju. Podniósł poduszkę i postawił wywrócony stolik.

Chwilę później jego wzrok spoczął na leżącej na podłodze srebrnej ikonie.

— Czy i nią rzuciłaś?

— Tak, to była ostatnia rzecz, jaka wpadła mi pod rękę. Rej obracał w dłoniach święty wizerunek.

— To oryginał, prawda?

— Tak... kupiłam ją podczas ubiegłorocznej wizyty w Polsce. Pochodzi z kościoła Świętej Elżbiety.

— Rzuciłaś w to stworzenie symbolem religijnym, a ono zaczęło płakać i odeszło?

— Tak, chyba tak.

Jarczyk wyszedł na klatkę schodową, gdzie ekipa z Zakładu Medycyny Sądowej przygotowywała się do zabrania ciała Włoso-wicza.

— Pamiętasz, co się wydarzyło podczas „egzorcyzmów”? — zapytał cicho Rej.

— Ojciec Ksawery trzymał w ręce świętą relikwię, prawda? Serdeczny palec świętego

Gerarda Jakiegoś Tam.

— Chcesz powiedzieć... że symbole religijne są w stanie odpędzić Oprawcę?

— To ma sens. Wszystko na to wskazuje.

— I ty w to wierzysz? Ty, komunista?

— Wierzę, ponieważ jak dotąd jest to jedyne logiczne wytłumaczenie. Chodzi

mi o to, że jeśli opowieść ojca Ksawerego jest prawdziwa, te dzieci zostały splodzone i wychowane przez mnichów. Zapewne mają wszczepioną bojaźń przed wszystkim co święte. Oprawca może i trwał w hibernacji przez pięćset lat, ale w dalszym ciągu ma średniowieczne pojęcie o niebie i piekle.

— Nie wiem. Być może masz rację.

— Musimy podążać jego tropem. Wiesz o tym, prawda? W przeciwnym razie nigdy w Warszawie nie będziesz bezpieczna.

— Chcesz iść już teraz? Jest wpół do czwartej nad ranem!

— Tak, teraz. Pozwól, że zadzwonię do Madame Krystyny i zapytam, czy zgodzi się zorganizować kolejny seans.

— Musi być pięć osób.

— A więc zatelefonuję też do Marka i poproszę, żeby zabrał tę swoją Olgę. — Popatrzył na trzymaną w rękach ikonę. — Nie będziesz miała nic przeciwko temu, jeśli weźmiemy ten obraz ze sobą?

— Jasne, że nie. Lubię patrzeć, jak ludzie się nawracają.

Rozmawiali jeszcze z dziesięć minut, później do mieszkania wrócił Jarczyk z radiotelefonem w dłoni. Złożył antenę i popatrzył na Sarah.

— Panno Leonard — powiedział. — Bardzo mi przykro, ale otrzymałem właśnie wiadomość z komendy głównej. Na nie zabudowanym terenie na Pradze Południe znaleziono zwłoki Piotra Gogiela.

— Och, nie! Tylko nie on! — jęknęła z rozpaczą Sarah.

— Bardzo mi przykro. Może zrobić pani kawy albo herbaty?

— Nie, dziękuję. Muszę się jakoś ogarnąć.

Przeszła do sypialni, zamknęła drzwi i ubrała się w dzinsy i bawełnianą koszulę.

Czesząc się przed lustrem, widziała, jak bardzo pobladła, lecz ze wszystkich sił starała się nie myśleć o Oprawcy, o tym, jak spadała głowa Łukasza Włosowicza, o Gogjelu.

— To tylko taka bajeczka — powiedziała do siebie na głos. — To nie wydarzyło się naprawdę.

Włożyła skórzane, wysokie do połowy łydki buty, wyszła z sypialni i wzięła Reja za rękę.

— Gotowa — oświadczyła.

— Chcę z panią później porozmawiać — odezwał się Jarczyk. — Proszę nigdzie nie wyjeżdżać.

Wyminęli gospodarza domu, gderliwego i upartego jak kozioł pana Sprudina, który wbijał gwoździe w futrynę, by chociaż prowizorycznie naprawić drzwi.

— Wie pani, ile to będzie kosztować? — zapytał na widok Sarah. — Takie drzwi kosztują grube tysiące!

Sarah i Rej zeszli na dół. Na ulicy stały karetki pogotowia i radiowozy z błyskającymi światłami. Niebo na wschodzie jaśniało. Wsiedli do volkswagena, po czym szybko ruszyli w stronę domu Marka.

— Naprawdę przykro mi z powodu tego, co przytrafiło się Gogielowi — odezwał się Rej, kładąc rękę na dłoni Sarah. — Wiem, jak bardzo go lubiałaś.

— A co najgorsze miał rodzinę. Czuję wyrzuty sumienia, że tak Piotra zbeształam za te spreparowane wyciągi bankowe. Boże, dlaczego nie dałam sobie z tym spokoju? Ale nawet nie zaświtało mi w głowie, że ktoś mógłby go zabić.

— Och, to jego decyzja, jego wybór.

Ulice były prawie całkowicie puste. W nielicznych wczesnych autobusach kiwali się sennie wracający z nocnej zmiany robotnicy oraz osoby o zniszczonych twarzach, które zajmowały się sprzątaniami biur i urzędów.

— Jak on zginął? — zapytała cicho Sarah.

— Obcięto mu głowę. To taki żarcik Zboińskiego.

Sarah zakryła dłonią usta i aż do domu Marka nie odezwała się słowem.

Przejmował ją taki smutek i żal, że myślała, iż wybuchnie płaczem. Siłą woli jednak zapanowała nad sobą. Na płacz przyjdzie czas później, kiedy już odnajdą Oprawcę, a Ben, Zboiński i Studnicki nie poniosą kary za to, co zrobili.

Marek i Olga czekali na nich przed domem. Siedzieli na krawężniku i wspólnie palili porannego papierosa. Dziewczyna miała na sobie czarną minispódniczkę, a makijaż tak biały, że jej oblicze przypominało twarzyczkę Oprawcy. Gdy tylko wsiedli do samochodu, Marek zapytał:

— Widziała go pani? Naprawdę go pani widziała?

— Tak — odpowiedziała Sarah. — Naprawdę go widziałam.

— Czy faktycznie jest aż tak przerażający? — wtrąciła podniecona Olga.

Sarah odwróciła się w jej stronę.

— Ujmę to tak: nie chciałabym, żeby mi się więcej przyśnił w nocy. Jest zbyt przerażający nawet jak na postać z koszmarnego snu.

Madame Krystyna, zważywszy na to, że pojawili się u niej o czwartej nad ranem, była wyjątkowo uprzejma i w zaskakująco pogodnym nastroju. Kręciła się zwawo po domu, ubrana w wytworną jedwabną suknię w niebieskich i bursztynowych barwach, przygotowując nieoczekiwanym gościom bardzo

mocną kawę.

— To najlepsza pora do kontaktowania się ze światem zmarłych —

oświadczyła. —

Panuje cisza i spokój... a duchy o tej właśnie porze najbardziej lubią wspominać życie, z którego odeszły. Czy przynieśliście talizman?

Rej wyciągnął żółtą szczoteczkę do zębów.

— Obawiam się, że to wszystko, czym dysponujemy. Mam nadzieję, że wystarczy.

Madame Krystyna z wyrazem niesmaku na twarzy wzięła w palce szczoteczkę.

— Nie jest to przedmiot, który darzy się szczególnym sentymentem. Ale spróbujemy.

Zasiedli wokół stołu. Przez szparę w grubych, wyszywanych w kwiaty zasłonach przebijało mętne światło budzącego się dnia. Nikły strumień blasku padał na obraz przed stawiający unoszącą się pod obłokami kobietę oraz na wypolerowaną, alabastrową piramidę pośrodku stołu, nadając jej mleczone lśnienie. Rej położył przed spirytystką szczoteczkę, a następnie chwycił dłonie Sarah i Olgi.

— Jesteście gotowi? — zapytała Madame Krystyna. — To nie będzie takie proste. Musicie uwolnić swe umysły i myśleć wyłącznie o sprawie, w której tu przyszlście... to znaczy o odnalezieniu właściciela tej szczoteczki do zębów, bez względu na to, kim on jest.

Umilkła, zamknęła oczy i bardzo mocno ścisnęła dłoń Sarah. Przez ponad trzy minuty panowało głuche milczenie. Olga nie spuszczała wzroku z Marka.

Wszystko wskazywało na to, że lada chwila wybuchnie śmiechem. Ale chłopak,

który uczestniczył już w seansie Madame Krystyny, zachowywał śmiertelną powagę. Sarah zerknęła na Reja i pomyślała, że policjant wygląda bardzo staro. Nie dotarło jeszcze do jej świadomości, że utrata wiary we wszystko, w co się przez całe życie wierzyło, jest okropnym doświadczeniem, które potrafi ludzi przedwcześnie postarzyć; jakby traciło się duszę i serce.

Przeniosła z kolei wzrok na obraz przedstawiający latającą kobietę i naraz pojęła jego sens. Wolność i cena, jaką przychodzi za nią zapłacić. Dlatego właśnie ogarnął ją taki smętny nastrój, kiedy po raz pierwszy ujrzała to malowidło. Dlatego w tej chwili, gdy patrzyła na obraz, ogarniał ją jeszcze większy smutek i żal.

— Szukamy właściciela tej szczoteczki do zębów — przerwała ciszę Madame Krystyna. — Szukam ubranego na czarno mężczyzny o nazwisku Okuń.

Musicie pomóc mi go znaleźć... skrzywdził tyle dusz.

Czekali i czekali. Madame Krystyna powtarzała inwokację:

— Szukam właściciela tej szczoteczki do zębów... szukam Okunia.

Wciąż nic się nie działo. Ciszę mąciły jedynie hałasy dobiegające z ulicy i tykanie zegarów w salonie. Wróżka tak mocno ścisnęła dłoń Sarah, iż

Amerykanka myślała, że przebije paznokciami jej skórę. I nagle Madame Krystyna zluźniła uścisk. Rozejrzała się wokół stołu, oczy jej pałały dziwnym blaskiem.

— Czy któreś z was tu obecnych widziało Okunia?

— Ja — odparł zgnębionym głosem Marek. — Ja widziałem... spotkałem go ze dwa lub trzy razy.

— A zatem to ty nam pomożesz! Posłuchaj... chcę, żebyś przyłożył dłonie do

piramidy i myślał intensywnie o tym, jak on wygląda. Chcę, żebyś go sobie jak najdokładniej wyobraził. Wtedy dusze dowiedzą się, kogo szukamy.

— Cóż, dobrze — odparł bardzo niechętnie Marek, ale Olga szturchnęła go w bok.

— No, kładź te ręce, jak pani ci mówi. Jestem ciekawa, co się wydarzy.

Chłopak podniósł się z krzesła. Madame Krystyna ułożyła mu dłonie na ściankach piramidy i poleciła szeroko rozstawić palce.

— Teraz... teraz bardzo mocno myśl o Okuniu, kiedy widziałeś go po raz pierwszy... Przypomnij sobie pierwszy moment, gdy ujrzałeś jego twarz.

Zamknij oczy. Zobacz go oczami umysłu. Jak to było? Jak się to stało?

Marek posłusznie spuścił powieki, ale rzęsy wciąż mu drżały.

— Wychodziliśmy z klubu „Zielony Kot”... przechodziliśmy Piękną.

Odwrociłem się, a on tam był.

— Dlaczego zwróciłeś na niego uwagę? — zapytała Madame Krystyna.

— Wyłonił się ze studzienki kanalizacyjnej... zupełnie jakby przechodził przez drzwi z jednego pokoju do drugiego. Zamknął za sobą włącz i ruszył przed siebie.

— Myśl o nim — nalegała spirytystka. — Skup się na tym, jak w tamtej chwili wyglądał. Wyobraź sobie, że wróciłeś do tamtego czasu, że przechodzisz przez jezdnię, odwracasz się i...Ponad piramidą pojawił się drugi, odwrócony stożek utkany ze światła. Wewnątrz widmowej piramidy Sarah dostrzegła, podobnie jak poprzednim razem, ruchome kształty, cienie oraz refleksy i plamy słonecznego światła. Obraz zaczynał się wyostrzać, aż w końcu pojawiła się szeroka, szara ulica, na której panował duży ruch. Wszystko było kanciaste i

osobliwie wykrzywione, ale na chodniku po drugiej stronie jezdni wyraźnie majaczyła postać mężczyzny wynurzającego się ze studzienki kanalizacyjnej. Choć stary i bardzo wyniszczony, klapę za sobą zamknął bardzo zgrabnie i z ogromną wprawą. Ruszył przed siebie chodnikiem krokiem człowieka, który ma do wypełnienia życiową misję.

Po sekundzie obraz się zmienił. Mężczyzna wysiadał z windy i spoglądał prosto w twarze zebranych przy stole Madame Krystyny ludzi. Był tak blisko i tak nieprawdopodobnie realny, że Sarah odruchowo cofnęła się, przylegając plecami do oparcia krzesła, a Olga szepnęła:

— Jezu słodki... to jest takie prawdziwe! Czy to naprawdę tylko myśli Marka?

Obraz drgał i nieustannie się zmieniał. W jednej chwili Okuń spoglądał na nich z uśmiechem, w następnej połowa jego twarzy jakby się roztopiła i nagle szczyrzył już w odrażający sposób zęby.

— Kto to jest? — odezwała się uroczystym tonem Madame Krystyna. — Czy ktoś zna tego człowieka i wie, gdzie możemy go znaleźć? Zniszczył tyle dusz. Jest sprawcą ogromu bólu i cierpienia. Proszę, wskażcie mi, gdzie w tej chwili przebywa!

Wyobrażenie Okunia drżało i tańczyło. Sarah zdawała sobie sprawę z tego, ile wysiłku kosztuje Marka koncentracja na tych wspomnieniach. Tak mocno zaciskał dłonie na ściankach piramidy, że pobieleły kłykcie. Na czoło wystąpiły mu grube krople potu.

— Proszę! — błagała Madame Krystyna. — Proszę was, dusze, wracające do domu, wracające na cmentarze, by tam ułożyć się do snu! Wszystkie przejęte żalością duchy, wszystkie duchy, które wspominamy. Potrzebujemy was,

najdrożsi, potrzebujemy was! Pomóżcie nam znaleźć tego człowieka!

Zapadła chwila śmiertelnej ciszy. Górujące nad piramidą wyobrazenie Okunia zaczęło się przekręcać i opadać jak konające tornado. Madame Krystyna ścisnęła dłońmi głowę, zamknęła oczy.

Pokojem wstrząsnął ogłuszający wybuch. Piramida, którą Marek ścisnął dłońmi, eksplodowała po pokoju niczym szrapnel, rozprysnęły się jej kawałki. Marek odskoczył, ręce krwawiły mu z licznych skaleczeń. Powietrze stało się duszne od kurzu.

I wówczas rozległ się suchy, słaby głos:

— Gerhard von Zussow.

Rej popatrzył z niepokojem na Sarah, po czym przeniósł spojrzenie na Madame Krystynę.

— Skąd ten głos?

I znów rozległy się zgrzytliwe jak nie naoliwione zawiasy i suche jak jesienne liście słowa:

— Gerhard von Zussow... a znajdziecie go tu.

Chociaż piramida została zniszczona, w powietrzu pojawił się niczym slajd rzucony na ukośny sufit obraz budynku mieszkalnego ze stojącym na dziedzińcu pomnikiem żołnierza. Obserwowali, jak obraz się przemieszcza, przesuwa przez drzwi frontowe i wspina po dwóch kondygnacjach schodów. Skręca w lewo i zatrzymuje się przed drzwiami oznaczonymi numerem 277. W następnej chwili, bez ostrzeżenia, świetlne wyobrazenie zniknęło.

Zebrani w pokoju znów pozajmowali miejsca na krzesłach. Madame Krystyna rozsunała zasłony i salon wypełniło światło porannego słońca.

— Przykro mi — powiedziała. — Niczego więcej się nie dowiemy.

— To nam jest przykro z powodu tej piramidy — odrzekł Marek, próbując pozbierać kawałki alabastru. — Czy ona była bardzo droga?

— Znajdę inną — odparła z uśmiechem Madame Krystyna. — Rzadko można spotkać się z taką siłą. To przywilej, nie strata.

Sarah popatrzyła na leżącą w alabastrowym kurzu szczoteczkę do zębów. Była nadtopiona, jakby ktoś włożył ją do ognia, a włosie miała poplamione krwią.

— Popatrz — odezwała się, dotykając ramienia Reja. Ale policjant tylko skinął głową i wstał z krzesła.

— Madame Krystyno, chciałbym pani za wszystko podziękować. Kiedy już znajdzie pani nową piramidę, proszę przysłać na Wilczą rachunek na moje nazwisko. Sarah, musimy iść.

— Iść? Dokąd?

— Na Łazienkowską. Poszukać Gerharda von Ziissowa.

— Czy wie pan, kim on jest? — zapytała zdziwiona Madame Krystyna. — Nosi niemieckie imię i nazwisko.

— O, tak. Jest Niemcem. Podczas wojny służył w randze SS--brigadeführera.

Należał do oficerów, którym polecono zdławić powstanie warszawskie.

Zbrodniarz wojenny. Dotychczas sądziliśmy, że poległ w walkach.

— Pan Okuń? — zapytał Marek, ocierając kantem dłoni pot z czoła. Rej skinął głową.

— Jak bym powiedział, jeden i ten sam.

— A skąd pan wie, gdzie go szukać?

— Zapomniałeś już o obrazie? Jakaś dusza wiedziała, kim był i gdzie obecnie

przebywa. Pomnik żołnierza stoi przed jednym z bloków na Łazienkowskiej. Do kogośkolwiek należała ta dusza, wskazała nam numer mieszkania Ziissowa.

Sarah wstała ze znużeniem.

— To co teraz? Idziemy go schwytać?

— Dokładnie tak — odparł Rej. Popatrzył na szczoteczkę do zębów z okrwawionym włosieni. — Przyszła chyba pora dobrze przypatrzeć się SS-brigadefuhrerowi von Ziissowowi?

Jechali przez Ochotę. Do samochodu wpadało lekko zamglone światło porannego słońca. Rej nieustannie zerkał we wsteczne lusterko i zaintrygowana Sarah odwróciła się w fotelu, by wyjrzeć przez tylną szybę.

— Chyba nie sądzisz, że ktoś nas śledzi?

— Nie jestem tego taki pewien — odparł Rej. — Widzisz to czarne BMW?

Trzyma się trzy samochody za nami i towarzyszy nam od początku drogi.

— To chyba nie Zboiński? Rej skrzywił się.

— Licho go wie. Ciągłe masz te wydruki. A raczej będziesz je miała, kiedy skończy się nimi zajmować Jarczyk.

— Proszę pana, nie chcę mieć nic wspólnego ze Zboińskim — odezwał się

Marek. — To absolutnie wykluczone. Może nas pan tu wysadzić.

— Przecież nic wam nie robi — zapewnił go Rej. — Jest dzień... wokół kręci się tylu ludzi. Poza tym mam broń.

— Z tego powodu mam się poczuć pewniej... O, nie!

Dotarli do budynku przy Łazienkowskiej. Rej wjechał na chodnik i zaparkował samochód, prawie dotykając przednim zderzakiem pomnika, który widzieli w mieszkaniu Madame Krystyny.

— Jesteśmy na miejscu — oświadczył. — Rozpoznałem ten pomniczek

stojącego na barykadzie żołnierza z trzydziestego dziewiątego.

Wysiedli z samochodu, lecz gdy szli w stronę domu, minęło ich czarne BMW i odjechało w kierunku południowo-zachodnim. Dostrzegli je Rej i Sarah, która uniosła pytająco brwi, ale policjant, choć doskonale wiedział, do kogo należy ten samochód, wzruszył tylko ramionami. W Warszawie są tuziny czarnych aut tej marki, lecz tylko jedno miało kompletnie zaciemnione szyby. A zatem śledził ich Roman Zboiński.

Weszli na pierwsze piętro. Blok przy Łazienkowskiej w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym piątym roku był budynkiem supernowoczesnym — betonowe schody, klatki schodowe z szybami zbrojonymi drutem i ściany zdobione barwnymi płytami w kolorach turkusowym i żółtym. Obecnie jednak powoli obracał się w obskurną ruinę. Windy nie działały, a ściany klatki schodowej na parterze gęsto pokrywały graffiti. Zza drzwi mieszkań dochodziły zmieszane dźwięki przywodzące na myśl wieżę Babel: ryczały włączone telewizory, słychać było kłótnie i płacz dzieci.

Powietrze przesączał silny zapach kwaszonej kapusty, jakby mieszkańcy bloku przy Łazienkowskiej niczym innym się nie żywili.

Gdy już znaleźli się przed pokrytymi łuszczącą się łososiową farbą drzwiami oznaczonymi numerem 277, Rej powiedział:

— Stańcie z boku. Ja to zrobię. Nie chcę, żeby ktoś z was został ranny.

Wyciągnął pistolet Tokariewa i załomotał lewą pięścią w drzwi. Czekali. Marek i Olga skryli się za odległym o dziesięć metrów filarem. Rej załomotał ponownie i zawołał:

— Gerhard von Ziissow! Wiem, że jest pan tutaj! Proszę otworzyć drzwi!

Jesteśmy z wydziału zabójstw!

Przez dwie lub trzy minuty nic się nie działo. Rej odsunął się krok do tyłu i z całych sił, z ogłuszającym hukiem kopnął w drzwi. Z sąsiedniego mieszkania dobiegł czyjś pełen wściekłości wrzask:

— Spokój tam! Niektórzy w tym domu chcą spać!

Rej miał właśnie kopnąć po raz drugi, gdy ze środka rozbrzmiał szczęk zdejmowanego łańcucha i przekręcane zamka. Drzwi skrzypnęły, uchyliły się i wyrzwał z nich ubrany w brązowy, wełniany szlafrok Okuń. Miał trupa cerę i oczy nabiegłe krwią. Rej kopniakiem otworzył drzwi na całą szerokość, wkroczył do mieszkania i przystawił Okuniowi pistolet do głowy.

— Chcę pana ostrzec! — zawołał. — Jeden gwałtowny ruch i odstrzelę panu głowę! Okuń popatrzył na niego lśnącymi, zapadniętymi oczyma.

— Co to? — zapytał po polsku z ostrym akcentem. — Cyrk przyjechał do miasta?

— Jestem komisarz Stefan Rej. To panna Sarah Leonard z Se-nate International, a to Marek Masłowski, który widział, jak wychodził pan z kanałów na ulicy Koszykowej.

— Rozumiem — odparł Okuń. — Ale czego to dowodzi?

— Wie pan, czego dowodzi — powiedział Rej. — Mamy wystarczającą liczbę dowodów na to, że jest pan związany z Oprawcą i z każdym dokonany przez niego morderstwem. Pan tego stwora karmi, prawda? Pan o niego dba. A w rewanżu to coś poluje na byłych powstańców, których pan tak nienawidzi.

Poluje na ich dzieci, dzieci ich dzieci oraz na wszystkich, dalszych lub bliższych

krewnych. Okuń uśmiechnął się i zadziwiając zniechęcającym gestem przeciągnął dłonią po włosach.

— Miło człowiekowi, kiedy jego wysiłki są przez innych doceniane.

— Musi nam pan pokazać, gdzie to się kryje — odparł twardo Rej.

— O... nie można go w żadnym wypadku nazywać „to”. „On”... chłopiec, dziecko... niewinne stworzenie, które prowadzi życie zgodne ze swoją naturą.

— A jednak musi nam pan wskazać jego kryjówkę. Okuń zmarszczył brwi.

— To bardzo trudne. Sami rozumiecie jak trudne.

— Po prostu proszę nam wskazać kryjówkę Oprawcy, SS—brigadeführerze von Ziissow, zanim znowu kogoś skrzywdzi.

— W takim razie wejdźcie. Muszę się ubrać.

Wkroczyli do niewielkiego, brudnego mieszkania. Okuń najwyraźniej sprowadził się do niego bardzo niedawno i w pośpiechu. W salonie stały dwie nie rozpakowane walizy oraz sterta kartonów wypełnionych książkami, gazetami i czasopismami. Na podłodze wyłożonej winylem, brązowym jak tania czekolada, nie było dywanu, a w oknach zamiast firanek pozawieszano prześcieradła. Okuń przeszedł do sypialni i chciał zamknąć za sobą drzwi, lecz Rej otworzył je kopnięciem, tak że wnętrze pokoju było dobrze widoczne.

— No tak, koniec z prywatnością — burknął ze złością Okuń.

— W Treblince nikomu nie zapewnialiście prywatności, prawda? — odpalił Rej.

— Komisarzu, to było tak dawno.

— Może i dawno. Ale Polacy tego nie zapomnieli. Podobnie zresztą jak pan.

Okuń, gdy wkładał bawełniane kalesonki w kropki, odwrócił się do nich tyłem.

— Zapominacie, że zabiliście dziesięć tysięcy Niemców, siedem tysięcy zaginęło bez śladu, a dziewięć zostało ciężko rannych. Powstanie warszawskie było czystym szaleństwem! Szaleństwem! Straciłem w nim wszystkich swoich kolegów z dzieciństwa. Straciłem wszystkich! Widziałem mego brata leżącego na ulicy z rozdartą krtanią.

— Przede wszystkim nie powinniście byli zajmować Warszawy — wtrącił bardzo rozsądnie Marek.

— Kim jesteś, że mówisz o przeznaczeniu? — zapytał Okuń. — Warszawa ciągle była w swej historii okupowana jak nie przez Rosjan, to przez Francuzów!

Zasłużyliście sobie na to, zasłużyliście na dużo więcej niż tylko na to!

— Chce pan powiedzieć, że nie spocznie, dopóki nam wszystkim nie pourzyna pan głów? — zainteresowała się Sarah. Okuń zapiął gładką, szarą koszulę.

— Tak, taką mam nadzieję. Podczas powstania z urzędu zajmowałem się Oprawcą. Pewien patrol esesmanów znalazł go na wpół zagrzebanego w piwnicy na Starym Mieście. Żył, ale nie wiedzieliśmy, co to takiego. Polacy twierdzili, że to bazyliszek... wie pani, co to bazyliszek? Potwór, który potrafi wzrokiem zahipnotyzować człowieka, by następnie zabić go trującym oddechem. Ale to były tylko bajeczki. Gdy ujrzałem to nieszczęsne stworzenie, pojąłem, że nie jest to żaden potwór, lecz dziecko, dziwne i bardzo interesujące dziecko. Poprosiłem generała von dem Bacha-Zalewskiego, by pozwolił mi zbadać, czym to stworzenie naprawdę jest i dlaczego tak bardzo boją się go Polacy.

Gdy Okuń ubrany elegancko na szaro i czarno wrócił do skromnego salonu, Rej

skuł mu dłonie kajdankami.

— Rozmawiałem z historykami w Berlinie, z teologami w Dreźnie i szybko zrozumiałem, cośmy odkryli. Dziecko, które zostało zrodzone po to, żeby żyć wiecznie. Dziecko, które zostało zrodzone po to, by przez wieki nieść Słowo Boże, by Słowo to nigdy nie zatarło się w ludzkiej pamięci... nawet jeśli pobożni zakonnicy, którzy to dziecko stworzyli, od stuleci spoczywać już będą w grobach.

Odkryłem, że jest posłuszne każdemu, kto utrzymuje, iż również niesie Słowo Boże, że stworzenie to wiernie służy temu, kto o nie dba i kto je karmi. Kiedy więc powstańcy zaczęli uciekać kanałami... cóż, pomyślałem sobie: „Któż lepiej zdoła ich dla mnie tropić i zabijać, niż to oddane mi dziecko, które potrafi prześlizgiwać się kanałami szybciej niż jakikolwiek człowiek. Ono właśnie przynosić mi będzie głowy powstańców”.

— Ależ wojna skończyła się ponad pięćdziesiąt lat temu — zauważyła Sarah. — Dlaczego pan robi to teraz?

Okuń popatrzył na nią oczami lśniącymi niczym czarne żuki w kałuży świeżo rozlanego atramentu.

— Straciliśmy tylu młodych ludzi... straciliśmy wszystko. Próbowiałem o tym zapomnieć, ale nie potrafiłem.

— I co się stało? — zapytał Rej. — Chodzi mi o to, co się stało z tym pańskim dzieckiem po zakończeniu wojny?

— Och, nie dotrwało końca wojny. Generał von dem Bach-Zalewski sprowadził haubice i zaczął bombardować Warszawę straszliwymi pociskami, które miały blisko metr średnicy. Tego samego dnia posłałem moje dziecko do kanałów,

żeby poszukiwało powstańców uciekających z Mokotowa do Śródmieścia.

Pociski z haubic potrafiły przebijać beton nawet dwumetrowej grubości. Jeden z nich spadł dokładnie na skrzyżowanie Koszykowej z Piusa Jedenastego. Pocisk przeszedł przez jezdnię i eksplodował w kanałach, grzebiąc moje dziecko pod tonami gruzu i ziemi. Nie było szans, by je odkopać. Nie wtedy. Mieliśmy i tak wystarczająco dużo problemów na głowie. Później Rosjanie sforsowali Wisłę i tak się toskończyło.

— Ale pan nigdy o tym nie zapomniał, prawda? — zapytała Sarah. — Nigdy nie wybaczył? A przecież Armia Krajowa walczyła tylko o swoje miasto!

— Nie! — odparł twardo Okuń.

— Tylko tyle? — zdziwił się Rej. — Zwykle „nie"... Nigdy pan nie wybaczył i niczego pan nie zapomniał?

— Nie — powtórzył Okuń.

— I co się w końcu stało temu pańskiemu tak zwanemu dziecku?

— Dlaczego pan pyta? Przecież resztę pan zna. Wróciłem do Warszawy dwa lata temu, kiedy zaczęliście rekonstruować i tworzyć nowe kanały dla wytwornych hoteli... i przy pomocy pewnych przyjaciół je odnalazłem.

Spoczywało pogrzebane pod pięciometrową warstwą gruzu i błota, ciągle w stanie hibernacji, ciągle żywe w miejscu przedwojennej siedziby US Insurance.

— I pan je ożywił? — zapytał Rej. — Ożywił je pan, nakarmił, uzbroił w nóż i posłał w pościg za byłymi powstańcami oraz ich bliskimi?

Okuń nieustannie szarpał zakutymi w kajdanki dłońmi.

— Widziałem mego brata, jak leżał na ulicy z rozdartą krtanią. Rej uniósł rozwartą dłoń, której brakowało małego palca.

— Widzi pan to? Zrobił mi to pański niemowlak! I każe mi pan zrozumieć

kierujące panem motywy? Żąda pan ode mnie współczucia? Ty cwelul

— Co znaczy to słowo? — zwróciła się cicho do Marka Sarah, lecz chłopak potrząsnął tylko głową: „Nie chciałaby pani tego wiedzieć”.

— Każdy ma własne widzenie historii — oświadczył Okuń i zwilżył językiem suche wargi. — Wypełnialiśmy tylko rozkazy. Za niewykonanie rozkazu kula w łeb. Nikt nie chciał umierać, prawda? Ale nasza młodzież również cierpiała.

W ciągu kilku tygodni w Warszawie zginęło siedem tysięcy Niemców. Gdzie się podzieli? Gdzie są groby? Gdzie ich rodziny mogą się modlić za ich dusze?

— Zamierzamy raz na zawsze zlikwidować to pańskie dziecko — powiedział ostro Rej. — A pan zaprowadzi nas do kanałów i wskaże jego kryjówkę.

Okuń pociągnął nosem i zakaszłał.

— Zdaje pan sobie sprawę z tego, jak bardzo jest to niebezpieczne?

— Sądząc z moich doświadczeń, tak.

— A jeśli odmówię?

— Tak panu rozwalę łeb, że mózg rozleje się po tych tapetach. Zapadło długie milczenie, podczas którego wszyscy stali nieruchomo jak na obrazie. Ciszę przerwała dopiero Olga.

— Chyba go pan nie zastrzeli?

Rej uniósł pistolet i przyłożył lufę do lewego oka Okunia.

— Olgo, to właśnie zamierzam zrobić.

Już opuszczali budynek, ale zatrzymały ich słowa Reja:

— Stójcie! Widzicie? Poczekajcie!

Po drugiej stronie ulicy dobrze ukryte w cieniu i między innymi samochodami

stało czarne BMW. Jego czarne szyby rzucały niebieskie i białe refleksy.

— Zboiński — mruknął Rej. — Czeka na nas.

— Zboiński? — zapytał Okuń. — Wer ist Zboiński?

— Istnieją ludzie, którzy potrafią umilać innym życie — wyjaśnił Rej. —

Roman Zboiński do nich nie należy.

— Najlepsze wejście do kanałów znajduje się na Kruczej, w samym centrum miasta — poinformował Okuń.

— Na wszelki wypadek sam nas tam pan zaprowadzi. Marek dotknął ramienia Sarah.

— Niech pani posłucha — powiedział. — Nie chcę w to wszystko plątać Olgi.

Proszę pozwolić mi odwiedzić ją do domu. Później do was dołączę.

— Oczywiście — zgodziła się natychmiast Sarah. — I... dzięki, Olga. Bardzo nam pomogłaś.

Dziewczyna przesłała jej nieśmiały uśmiech, ale Marek odciągnął ją za łokieć.

— Trudno nie trafić na to wejście do kanału! — zawołał za nim Okuń. —

Znajduje się w odległości osiemdziesięciu metrów na południe od Alej

Jerozolimskich, po zachodniej stronie ulicy. Czekamy na ciebie!

Rej szturchnął Okunia lufą pistoletu pod łopatkę.

— Coś pan taki wesoły? — warknął.

— Wesoły? A dlaczego nie mam być wesoły? Przecież prowadzę ludzi, których najbardziej w życiu nienawidzę, tam, gdzie spotka ich los gorszy od wszystkiego, co są sobie w stanie wyobrazić.

— To się jeszcze zobaczy — odwarknął Rej. Wcisnęli się do jego samochodu i policjant wręczył Sarah pistolet.

— Nigdy dotąd nie strzelałam — przeraziła się.

— To nic trudnego. Trzeba tylko wycelować i nacisnąć spust. Wyobrażaj sobie, że masz przed sobą Bena.

Ruszyli w kierunku centrum. Rej zerkał od czasu do czasu we wsteczne lusterko. Kierowca BMW nie starał się już nawet kryć swej obecności i jechał tuż za nimi.

O tej porze dnia na Kruczej panował ogromny ruch. Chodnikami ciągnęły tłumy przechodniów, a jezdnią posuwał się sznur pojazdów. Poranna mgiełka rozwiała się i zapowiadał się kolejny, skwarny dzień. Rej wjechał dwoma kołami na chodnik i zatrzymał samochód. Z satysfakcją spostrzegł, że BMW minęło ich i odjechało szukać odpowiedniego miejsca na parkingu.

— Widzicie? — roześmiał się policjant. — Największy przestępca w Europie Wschodniej, a boi się nieprawidłowo zaparkować.

Okuń zaprowadził ich do wielkiej pokrywy wjazdu. Był to jeden z najstarszych jej typów z wygrawerowanym dwugłowym orłem carskim i nazwą huty napisaną rosyjskim alfabetem. SS-brigade-fuhrer wyciągnął z kieszeni dwa specjalne klucze i za ich pomocą otworzył klapę. W środku Sarah dostrzegła rząd prowadzących pod ziemię metalowych stopni.

— On tutaj jest? — upewnił się Rej.

— Niedaleko — odparł Okuń.

— Proszę, pan idzie przodem. — Rej zdjął mu kajdanki i wskazał ręką kierunek.

Poranny wiatr wzburzył siwe włosy Okunia i mężczyzna przygłodził je dłonią.

— Zdaje pan sobie sprawę z tego, co może się wydarzyć, prawda? — zapytał.

— On uznaje tylko mnie i tylko mnie chroni.

— Niech pan się zamknie i schodzi — odparł sucho policjant.

Okuń wzruszył ramionami, po czym zaczął opuszczać się po drabinie. Rej miał ze sobą latarkę, lecz staremu mężczyźnie mrok najwyraźniej nie przeszkadzał.

Prawie natychmiast zniknął w ciemnościach, a do ich uszu docierał tylko szelest stóp na metalowych klamrach. Policjant szybko ruszył jego śladem.

— Ty zostań tutaj — polecił na odchodnym Sarah. — Pilnuj, żeby nikt nie wpadł do dziury.

— Nie bądź śmieszny — zachnęła się. — Idę z tobą. To tak samo moja sprawa jak twoja.

— Dzisiejszej nocy ten stwór o mało cię nie zabił.

— Tak, ale mamy przecież ikonę, prawda?

— Zatem dobrze. Ale musisz zamknąć pokrywę. I zrób to szybko.

Zniknął w ciemnościach. Sarah słyszała tylko dźwięczne pling--pling-pling jego stóp, gdy po metalowych szczeblach drabiny schodził za Okuniem. Weszła do włazu, odprowadzona zdumionym wzrokiem dwóch przechodzących obok chodnikiem starszych kobiet, i zamknęła za sobą klapę. Boże, ależ tam cuchnęło. I było tak ciemno, że nie widziała nawet własnych rąk zaciśniętych na szczeblach drabiny.

Rej dotarł na samo dno i poświecił latarką, pomagając w ten sposób Sarah sforsować ciąg metalowych stopni. Kiedy do niego dołączyła, skonstatowała, że znajdują się w rozległej komorze o łukowatym sklepieniu. Jej środkiem głębokim kanałem płynęły niemrawo ścieki, ale pod ścianami ciągnęły się suche krawężniki.

— To niedaleko — poinformował Okuń. — Ale ostrzegam... on nie zachowa się

przyjaźnie. A ja nie zdołam was obronić.

— Chce pan powiedzieć, że z radością czeka pan na to, co nas spotka, prawda?

— spytał posępnie Rej. — W porządku, chodźmy. Musimy to dopaść.

Okuń poprowadził ich głównym kanałem. Odgłos kroków roznosił się pod sklepieniem dźwięcznym echem, a zniekształcone głosy dudniły głucho niczym jęki potępionych dusz wrzuconych do najgłębszej studni. Okuń od czasu do czasu odwracał się w ich stronę, jakby pragnął się upewnić, że za nim podążają.

Wtedy Sarah obserwowała na jego twarzy taki wyraz, jakiego nigdy jeszcze w życiu u nikogo nie widziała — była to czysta przyjemność, była to czysta, otchłanna rozkosz.

Okuń co kilkadziesiąt kroków rysował kredą na ścianach kanału strzałkę.

— To na wypadek, gdyby wasz młody przyjaciel zechciał do nas dołączyć — wyjaśnił.

Przekroczyli główny kanał po niewielkim, stalowym mostku i skręcili w boczną, zbudowaną z cegieł odnogę. Tunelem płynął lekki ciąg powietrza niosącego zgniły, zawieszisty smród zepsutej wieprzowiny. Jakkolwiek Sarah była ciekawa końca całej historii, zaczynała już żałować, że nie zastosowała się do rady Reja i nie została na ulicy.

— Już niedaleko — odezwał się Okuń. — Zachowujcie się cicho... nie wolno go zaniepokoić. Atakuje wszystkich i wszystko, co zakłóca mu spokój.

Dotarli do końca tunelu i znaleźli się na betonowym podeście ograniczonym metalową barierką. Z platformy prowadziły w dół, w ciemność cementowe stopnie. Jeszcze zanim Rej oświetlił latarką otoczenie, Sarah spostrzegła, że znajdują się w olbrzymiej, sklepionej komorze. Każda kropla spadającej wody,

każdy strumyk ścieków powodował rozliczne echa. Ogrom pomieszczenia czuło się każdym nerwem.

— Ależ olbrzymia pieczara — szepnęła Sarah. — Nie zdawałam sobie sprawy z tego, że istnieją takie pod ulicami Warszawy.

Urwała gwałtownie, jakby nagle straciła mowę. Rej wodził powoli snopem światła z latarki po ścianach podziemnej komnaty i to, co nagle oświetlił, napełniło ją taką zgrozą i odrazą, że nie była w stanie wykrztusić słowa. Do ceglanych ścian podziemnej komory poprzybijane zostały gwoździami tysiące ludzkich czaszek. Niektóre były tak stare, że przybrały już barwę mahoni; większość jednak zachowała jeszcze biel czystej kości. Na samej górze widniały czerepy ze strzępami ciała, mięsa i włosów.

Rej po kolei wyłuskiwał światłem latarki opuchnięte, gnijące oblicza ostatnich ofiar Oprawcy — Jana Kamińskiego, Wróblewskiego, matki małej Zosi. Stwór wszystkie głowy przynosił do tej komory i umieścił je na ścianie jako trofea.

— Co to za miejsce? — zapytał ochryplym, drżącym głosem Rej.

— Istniało jeszcze przed tym, jak zaczęto tworzyć system kanalizacyjny — wyjaśnił Okuń. — Kiedy po wojnie odbudowywano kanary, komorę tę uznano za zbędną. Teraz nikt tu nie przychodzi, ponieważ nie ma jej na żadnym oficjalnym planie. To bezpieczne miejsce. Idealne na kryjówkę dziecka.

— A te głowy?

— Jeśli człowiek zostanie pochowany bez głowy, nie idzie do nieba. W każdym razie ono w to wierzy. W taki właśnie sposób pozbawia ludzi możliwości zbawienia. To część kary.

Rej skierował światło latarki w dół, w ciemność czającą się poniżej platformy.

W głębokiej do kostek, szarej, brudnej mazi lśniły stopy wilgotnych, białawych ochłapów. Początkowo ani on, ani Sarah nie zorientowali się, na co patrzą. Po dłuższej dopiero chwili dostrzegli jasną, dziecięcą twarz o oczach bez wyrazu jak oczy martwego karpia. Później dostrzegli rękę, drugą rękę i stopę.

— Boże drogi! — stęknęła Sarah. — To dzieci! Martwe dzieci!

— Ono też jest dzieckiem — wyjaśnił beznamiętnym tonem Okuń. — Lubi zabierać dzieci i się z nimi bawić. Niestety nie rozumie, dlaczego płaczą i krzyczą, kiedy je tu zabiera. Nie wie, dlaczego wrzeszczą, kiedy obcina im ręce. To przykre, ale co można zrobić? Każde stworzenie żyje na swój sposób.

— Czy ono jest tutaj? — zapytała Sarah. — Nigdzie go nie widzę.

— O, naturalnie, że jest. Niech pani spojrzy. W górę... Widzi pani tę niszę w suficie? Tam właśnie mieszka.

Sarah uniosła głowę i ujrzała między łukami sklepienia wąską, ciemną szczelinę. Dokładnie taką samą, w jakich kryją się karaluchy: wilgotną, bezpieczną i ciemną.

— Mam go zawołać? — zainteresował się Okuń. — Uczynię to z największą przyjemnością.

Sarah wzięła szybki, płytki oddech.

— Stefan... masz ikonę? — zapytała szeptem. Rej klepnął się po kieszeni i skinął głową.

— Nie ma strachu... Skoro raz to poskutkowało, poskutkuje i drugi.

Okuń zszedł do połowy cementowych schodków. Przyłożył zwinięte dłonie do ust i wydał wysoki, radosny okrzyk; hasło, jakim chłopcy nawołują się do zabawy. Zawołał jeszcze dwa lub trzy razy i zapadła cisza.

Początkowo nic się nie wydarzyło. Niebawem jednak Sarah spostrzegła czarny trójkątny kształt wysuwający się ze szczeliny. Ujrzała kościstą rękę o pajęczych palcach. Powoli z mroku wyłaniał się olbrzymi, mroczny kształt spowity obdartą, gnijącą opończę. Schodził z sufitu, wykorzystując jako stopnie i chwytę poprzybijane do ściany czaszki. Sarah z niezdrową, przyprawiającą o dreszcz zgrozy fascynacją obserwowała, jak stworzenie wsuwa i wysuwa palce z oczodołów i chwytę się szczęk.

Postać dotarła na sam dół, stanęła w wodzie, skraj jej kapoty unosił się na toni obok wzdętych, martwych dziecięcych ciał.

— Czy spotkali kiedykolwiek państwo dziecko takie jak to? — zapytał z przyprawiającą o mdłości dumą Okuń. — Czy widzieliście kiedykolwiek takie stworzenie? Urodzone, żeby zabijać, urodzone, żeby przetrwać. Ciemna postać brnęła przez ścieki w ich kierunku. W odległości kilku metrów zatrzymała się.

— Ci ludzie chcieli wiedzieć, gdzie mieszkasz — odezwał się wyzywającym tonem Okuń. — Ci ludzie chcą, żebyś przestał zabijać.

Stwór stał nieruchomo.

— Ci ludzie chcą cię pogrzebać. Nie na lata, nie na wieki, ale na zawsze. I co ty na to?

Zapadła długa cisza, którą mącił jedynie przyprawiający o mdłości chlupot ścieków, obmywających zwłoki w płytkim kanale. I wtedy też mroczna istota z niebywałym dostojenstwem zerwała z głowy kaptur. Ukazało się blade niczym kość słoniowa oblicze; maleńkie i nieskończenie piękne. Głowa była olbrzymia i niekształtna, pokryta delikatnymi, białymi włóknami przypominającymi bardziej pleśń niż włosy. Było to dziecko, rodzaj dziecka, zwykłego ludzkiego dziecka;

ale w jaki sposób zdołało tyle lat przetrwać w kanałach? Sarah nie mogła tego pojąć. Stworzenie stało nieporuszone, sprawiało wręcz wrażenie, że nawet nie oddycha. Amerykanka nie mogła wprost uwierzyć, iż wszystko to dzieje się naprawdę.

— Chcą ujrzeć twój kres — powiedział głośno Okuń. — Chcą odebrać ci wszystkie głowy, zniszczyć twój dom, pogrzebać cię tak głęboko, że nikt już cię nie odkopie.

Dziecko wyciągnęło największy nóż, jaki Sarah widziała w życiu. Przypominał bardziej miecz, ale był szeroki i zagięty. Bez chwili wahania stwór, brodząc w ściekach, ruszył w stronę stopni.

— Sarah, cofnij się! — krzyknął Rej i mocno popchnął ją w stronę wylotu tunelu.

Okuń, gdy Oprawca, wymachując ostrzem, mijał go na schodkach i kierował się w stronę Sarah i Reja, przylepił się plecami do balustrady.

Rej nacisnął spust. Peleryna dziecka załopotiała, lecz mroczne stworzenie nieugięcie parło do góry.

— Stefan! — krzyknęła Sarah. — Stefan, ikona!

Rej wyrwał z kieszeni święty obrazek i podniósł go w wyciągniętej ręce. Ale w tej samej chwili z głębi tunelu dobiegł ogłuszający huk i lewe ramię Reja eksplodowało mieszaniną materiału i krwi. Policjant zakręcił się w miejscu i ciężko runął na ziemię. Ikona wypadła mu z dłoni, odbiła się o beton platformy i z pluskiem wpadła do ścieku.

W chwili gdy dziecko wychodziło na platformę, w wylocie kanału pojawił się jeden z ludzi Zboińskiego, krępy mężczyzna w kamizelce kuloodpornej.

Trzymał wzniesiony pistolet. Za nim wyłonił się obojętnie Zboiński, dzierżąc w dłoni sztauerski hak.

Najpierw popatrzył na Sarah, która stała oparta o balustradę, z ręką wzniesioną w obronnym geście.

— Myślałaś, że zapakujesz mnie do pierdła? — warknął Zboiński. — Myślałaś, że uda ci się...?

Urwał. W odległości zaledwie trzech metrów od niego stało dziecko. W uniesionej ręce wysoko nad głową trzymało ostrze, oczy miało martwe i czarne jak asfalt. Zboiński popatrzył w górę i odwrócił się do ochroniarza.

— Na co czekasz? Strzelaj!

Ale ochroniarz potrząsnął tylko głową i cofnął się.

— To diabeł! To Oprawca! Nie będę przecież strzelał do diabła!

— Strzelaj, pierdoło! — wrzasnął Zboiński.

Wyrwał spod marynarki rewolwer i wypalił. Zatrzepotała, wzburzyła się opończa dziecka, ale stwór szedł przed siebie, oczy miał nieruchome, a wysoko nad głową dzierżył wzniesioną, połyskliwą klingę.

Ochroniarz zaskowyczał i pobiegł w mrok tunelu.

Zboiński wznosił hak.

— Wiesz, jak mnie nazywają? — krzyknął do dziecka. — Nazywają mnie Hak!

Zaraz się dowiesz dlaczego!

Wymachując stalą, ruszył w stronę nadciągającego dziecka. Usta wykrzywił mu triumfalny grymas.

— Widziałeś kiedyś człowieka z hakiem w nosie? — zawył. — Widziałeś człowieka z hakiem w uchu? Jak dobrze taki hak wbić, to można człowiekiem

pokój zamiatać.

Zamachnął się i stalowe, zakrzywione ostrze rozdarło przegniły materiał.

Zboiński ciął i ciął, rycząc jak oszalały bawół:

— No chodź tu, kurwa, chodź tu, zbliż się! Chcę pomacać ci żebra!

I wtedy błysnął nóż; tak szybko, że bandzior nawet tego nie zobaczył. Miał właśnie zamiar powiedzieć „Co...”, kiedy głowa zleciała mu z karku i spadła do płynącej pod podestem wody. Z szyi chlusnął strumień krwi i wyginając się w powietrzu, utworzył bezlik znaków zapytania. Korpus Zboińskiego potoczył się po schodkach, ręce i nogi trupa wywijały chaotyczne młyńce. Głowa unosiła się przez moment na powierzchni ścieku, lecz po chwili do rozwartych ust, niczym odrażająca, gęsta zupa, wlała się fala nieczystości, pojawiło się kilka bąbli i głowa zniknęła w śmierdzącej mazi.

Sarah przyklęknęła nad Rejem. Policjant miał popielatą twarz i dygotał. Ale rana w ramieniu bardzo nie krwawiła.

— Nic mi nie jest — wychrypiał. — Uciekaj, póki masz na to czas.

— Ty też musisz uciekać — odparła Sarah, potrząsając błagalnie głową.

Powoli zbliżyło się dziecko. Stało nad nimi i utkwilo w nich wzrok. Sarah, przejęta pięknym j ego oblicza, a jednocześnie sparaliżowana strachem, popatrzyła stworowi w oczy.

Przez chwilę żywiła rozpaczliwą nadzieję, że istota ich oszczędzi; ale była przecież rodzoną córką swego ojca, nosiła nazwisko Lewandowicz, a poza tym wiedziała, że Okuń dbał o to dziecko i karmił je po to, żeby dopełniło aktu bezlitosnej zemsty. Ciemna postać jeszcze wyżej wzniosła skrwawione ostrze.

Sarah zamknęła oczy, czekając na ostateczny cios. I wtedy też, leniwym zgoła

krokiem, wynurzył się z tunelu Marek.

— Jesteście tam? — zapytał, a sklepione ściany komory i tunel odpowiedziały mu zwielokrotnionym echem. — Panno Leonard! Komisarzu Rej! Dotarłem po strzałkach, które zostawiliście na ścianach!

Sarah otworzyła szeroko oczy.

— Marku, nie! — wrzasnęła. — Tu jest Oprawca!

Ostatnie trzy lub cztery metry Marek przebył już biegiem. Na widok Sarah, Reja i Oprawcy stanął jak wryty z szeroko rozwartymi ze zdumienia ustami.

— Uciekaj! — krzyknęła Sarah.

Ale Marek nie ruszył się z miejsca. Sięgnął za koszulę i wyciągnął małe srebrny krzyżyk, który podarowała mu kelnerka w barku. Sarah popatrzyła na chłopaka ze zdumieniem.

— To nie działa! — krzyknęła. — Na Boga, to nie działa!

— Ten krzyżyk został poświęcony przez papieża — odparł Marek. — To znak Boga poświęcony przez papieża.

Zbliżył się do dziecka tak blisko, że to z łatwością mogło odciąć mu głowę.

Podniósł krzyżyk i srebrzysty przedmiot znalazł się zaledwie kilka centymetrów od twarzy stworzenia. Dziecko nie drgnęło.

— Dlaczego nie odpoczniesz? — zapytał Marek. — Dlaczego nie chcesz zaznać spokoju? Nie sądzisz, że żyłeś już wystarczająco długo i zabiłeś wystarczająco dużo istot ludzkich? Czy tego pragnęli twoi ojcowie, powołując cię do życia? Oni chcieli, żebyś ludzi chronił, a nie ich mordował. Czas już to przerwać. Czas odłożyć nóż i odpocząć.

— Nie słuchaj go! — krzyknął Okuń. — To fałszywy prorok! Kłamie! Dziecko

bez zmrżenia oka wpatrywało się w krzyżyk.

— To już koniec, nie rozumiesz? — wykrzyknął z rozpaczą Marek. — To, co robiłeś... zabijanie ludzi... to nie jest dzieło boskie!

Dziecko wzniosło nóż jeszcze wyżej i Sarah pomyślała: Och, nie, myliliśmy się co do świętych relikwii; myliliśmy się co do ikony. Ono żyło pod ziemią setki i setki lat. I nic już go nie powstrzyma. '

Marek cofnął się o krok. I jeszcze o krok. Dziecko, coraz wyżej wznosząc nóż, postępowało za nim.

— Widzisz! — wrzasnął jak opętaniec Okuń. — Nie powstrzymasz go, ponieważ sam w to nie wierzysz! Jego wiara jest całkowita! Jego wiara jest niezłomna! Marek zaczął się trząść. Zerknął rozpaczliwie na Sarah i na Reja. Oczy miał szeroko rozwarte z przerażenia. Oczywiście — błysnęła Sarah myśl.

— Ojciec

Ksawery wierzył niezłomnie w moc swej relikwii, ja również wierzę w Pannę Przenajczystsza. Ale nieszczęsny Marek nie wierzy w nic. Poderwała się na nogi, serce waliło jej jak młotem.

— Ja wierzę! — krzyknęła.

Ale zanim zdołała zrobić krok, poczuła, że ktoś chwyta ją za ramię. Rej! Twarz miał popielatą, w oczach błyski szaleństwa, z ramienia ciekła mu krew. Ale jego twarz wyrażała coś osobliwego, a źrenice płonęły dziwacznym blaskiem.

— Zostań — wychrypiał.

Podszedł do Marka i stanął przy nim. Chłopak popatrzył na niego nerwowo, lecz policjant wzrok miał utkwiony w twarzyczce dziecka, które coraz wyżej wznosiło zabójczą klingę. Zapewne mogłoby im obu ściąć głowy jednym

cięciem, bo uniosło ramię jeszcze wyżej. Ale z jakichś względów czekało.

Rej wyjął z ręki Marka krzyżyk i wysunął go nad głowę.

— Wierzę! — wykrzyknął triumfalnie. — Dopóki cię nie spotkałem, w nic nie wierzyłem. Nie wierzyłem w Boga, nie wierzyłem w Ducha Świętego. Ale teraz moja wiara jest pełna... i to dzięki tobie... to ty mi pokazałeś światło prawdy!

Dziecko stało jak skamieniałe.

— Wierzę! — wykrzyknął ponownie Rej. — Dokonałeś tego, po co zostałeś stworzony!

Przyniosłeś Słowo Boże! Nawróciłeś mnie!

Nastąpiła długa, przeciągająca się chwila ciszy. Sarah była już przekonana, że dziecko na jej oczach zabije Reja. Nawet Marek cofnął się o krok. I wtedy ich uszu dotarł wysoki, przepojony żalostí dźwięk — skowyt, który odbił się echem od sklepionych ścian i sufitu ogromnej krypty; jakby załkały chórem wszystkie poprzybijane do ceglanego muru czaszki. Był to płacz dziecka — płacz nad tym, czym było, nad tym, czego dokonało. Był to najtragiczniejszy, najsmutniejszy, najbardziej przenikający do głębi duszy dźwięk, jaki Sarah słyszała w życiu.

Rej postąpił krok do przodu i położył dłonie na spowitych czarną opończą ramionach dziecka.

— Wybaczam ci — powiedział. — W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego, wybaczam ci.

Wzniesione ostrze wciąż lśniło w powietrzu, ale jednocześnie zaczęło dziać się coś nieprawdopodobnego. Na twarzy dziecka, niczym na starodawnym malowidle, pojawiły się pęknięcia. Skryte opończą ciało stworzenia zaczęło się

zapadać. Sarah słyszała trzask, jakby pękały kości lub łamały się ptasie skrzydła.

Jednocześnie jej uszu dobiegł... poczuła... głęboki, wibrujący szum jak chór mnichów lub brzęczenie tysięcy owadów na rozgrzanej letnim słońcem łące.

Przypominało to brzmienie organów, łoskot jakiejś tajemniczej maszyny i warkot silników. Hałas rósł, wypełniał kryptę od podłogi po strop, stawał się głośniejszy i głośniejszy, aż w końcu pod stopami ludzi zaczęła wibrować betonowa platforma, a stalowa barierka wpadła w śpiewny rezonans niczym szyny kolejowe przed nadjeżdżającą z pełną prędkością lokomotywą.

Na cementową podłogę z tępym metalicznym dźwiękiem upadł nóż. Skryta pod opończą głowa dziecka opadła. Rej próbował podtrzymać stworzenie, podeprzeć je, ale obszerna czarna peleryna składała się i składała, warstwa po warstwie. A jednocześnie narastał szum i zgiełk stawał się wręcz ogłuszający. Zgiełk wojska, ryk czołgów, huk spadających bomb.

Dziecko osunęło się na ziemię, lecz hałas nie cichł. Okuń klęczał na schodkach i przyciskał dłonie do uszu.

— Wyośmy się stąd! — zawołał Rej. — Po prostu wyośmy się stąd do wszystkich diabłów!

Ze strasliwym trzaskiem oderwał się kawał sufitu, bryły betonu spadły z pluskiem do płynących w dole ścieków. Odpadło kilka kolejnych cegieł... po chwili znacznie więcej, a wraz z cegłami spadały przybite do nich czaszki. Krypta drżała w posadach i dygotała tak mocno, że Sarah miała kłopoty z utrzymaniem równowagi.

— Niech pani idzie! — zawołał Marek i pociągnął ją w głąb tunelu.

Raz tylko obejrzała się za siebie, żeby zobaczyć, co stało się z dzieckiem.

Pozostał po nim jedynie stos gnijącego aksamitu, półprzeźroczyste kawałki kości oraz owadzi pancerz z chityny.

Po schodkach wspiał się Okuń. Miał twarz stężałą w okropnym grymasie.

— Coście zrobili? — wrzasnął. — Coście zrobili?

Przyklęknął przy martwym dziecku i wziął w dłonie strzępy materii, jakby miał nadzieję, że ponownie je ożywi. Odwrócił się i oskarżycielsko popatrzył na Sarah.

— Poniesiecie za to karę! Przysięgam!

W stropie pojawiła się rosnąca szybko rysa i po chwili sufit runął. Setki ton cegieł i betonu pogrzebały trofea Oprawcy, szczątki Oprawcy i Okunia. Sarah zobaczyła jeszcze wielki płat cementu spadający na plecy SS-brigadeführera von Ziissowa.

— Uciekajmy! — zawołał do niej Rej. — Uciekajmy, zanim się zawali cały ten przeklęty kanał!

Kiedy biegli tunelem, dotarł do nich gromowy huk walącej się krypty, uderzył w nich płynący kanałem tuman kurzu. Sarah i Marek, trzymając między sobą Reja, dobiegli do wyjściowej drabiny. Marek wspiał się po szczeblach, otworzył metalową klapę i cała trójka wydostała się na skąpaną w słonecznym blasku ulicę.

Kiedy Sarah pojawiła się w biurze, w pokoju Ireny zastała Bena. Saunders siedział za biurkiem i żartował z jej sekretarką. Na widok panny Leonard, która przekroczywszy próg, położyła na biurku teczkę, Ben spowaźniał, wstał, przesłał niepewny uśmiech i zakaszłał.

Amerykanka miała wilgotne jeszcze po kąpieli włosy, które gładko zaczesła do

tyłu, tak że bardzo przypominała swego ojca. Ubrana była w jasną, szarą, szytą na miarę spódnicę i bluzkę koloru prymulki.

— Proszę, proszę — odezwał się Ben. — Muszę pogratulować. Naprawdę razem z komisarzem Rejem załatwiliście tę sprawę.

— Widzę, że wieści rozchodzą się szybko — odparła Sarah. Ben poklepał się czubkiem palca w bok nosa.

— Kontakty. W nich leży cała tajemnica sukcesu. Kontakty. A tak naprawdę dowiedziałem się o wszystkim od komisarza Jarczyka.

— Chcę właśnie pomówić z tobą o kontaktach — odrzekła Sarah. — Chodźmy do mnie.

Ben dźwignął się zza biurka Ireny i puścił do sekretarki oko.

— Zobaczymy się później — powiedział. — Tylko bądź punktualnie.

Gdy już znaleźli się w gabinecie, Sarah zamknęła dokładnie drzwi i zapytała:

— Czy Jarczyk mówił ci, że Roman Zboiński nie żyje? Ben skinął głową.

— Niewielka to strata dla ludzkości — stwierdził beztrąsko.

— Ale wielka dla twoich sald bankowych.

— Naprawdę nie rozumiem, o czym mówisz.

— Nie? Mówię o oszustwie przeprowadzanym za pośrednictwem konta na nieprzewidziane wydatki Senate International. O tym właśnie mówię.

Ben rozłożył ręce w geście niewinności.

— Oszustwo? Jakie oszustwo? Przecież widziałaś wyciągi z rachunków.

— Widziałam wyciągi, które dostałam od ciebie. Ale widziałam również prawdziwe wyciągi... wydruki zrobione przez Antoniego Dłubaka.

— Prawdziwe wyciągi?

— Och, daj spokój — parsknęła. — Nie zamierzam wszystkiego zaczynać od początku. Mam kopie tych dokumentów. Na ich podstawie zostaniesz oskarżony o poważne malwersacje. A już z całą pewnością będziesz musiał zrezygnować z pracy w Senate International.

Ben przesłał jej figlarne, wesołe spojrzenie.

— Coś ci powiem, Sarah. Ta historia z Oprawcą rzeczywiście troszeczkę zmąciła ci rozum.

— Mam wydruki, Ben. Nie zostawiłam ci wyboru.

— Zatem dobrze. Pokaż mi te wydruki.

— Chwilowo ma je Jarczyk. Były na nich ślady krwi... więc zabrano te papiery do analizy. Później do mnie wrócą.

— Jarczyk nic mi o takich wydrukach nie wspominał.

Sarah zaczęła otwierać teczkę, lecz nagle zamarła w bezruchu. Do biurka zbliżył się Ben i pochylił się tak nisko, że poczuła bijący od niego zapach wody po goleniu Binaca.

— Jarczyk nic mi o takich wydrukach nie wspominał — powtórzył z naciskiem Ben. — Tak naprawdę, to wyraźnie mi powiedział, że takich wydruków w ogóle nie było.

Popatrzyła Benowi prosto w oczy. Zrozumiała, że nigdy jeszcze nie nienawidziła nikogo tak mocno jak jego.

— A więc znów to zrobiłeś — powiedziała cicho. — Łapówka, korupcja... twoje zwykłe metody.

— Przeżywają najcwańsi, słoneczko. — Pocałował końce palców i próbował położyć je na ustach Sarah. Gwałtownie odwróciła głowę, a Ben wybuchnął

śmiechem. — Masz jeszcze coś do mnie? — zapytał, kierując się do drzwi. —

Aha — dodał, zanim opuścił gabinet. — Nie wiem, czy zastanawiałaś się nad swoją dalszą karierą zawodową w naszej firmie, lecz obawiam się, że będę musiał napisać bardzo negatywny raport o twoich problemach z nawiązywaniem stosunków ze współpracownikami i robotnikami zatrudnianymi przez Senate International. Nie musisz mnie o swojej decyzji informować bezpośrednio, ale na twoim miejscu zrobiłbym to wcześniej, niż sprawą zajmie się Nowy Jork.

Opuścił pokój, nie zamykając za sobą drzwi. Sarah przez chwilę tkwiła w miejscu jak skamieniała, po czym usiadła za biurkiem. Nawet gdyby chciała, nie było sensu telefonować do Stefana, bo ciągle jeszcze przebywał w szpitalu. Poza tym nie mógł nic zrobić w sprawie jej kariery w Senate International. Stanowił część czegoś zupełnie innego. Zamknęła teczkę i zaszyfrowała zamki.

Kiedy Marek wszedł do barku na Koszykowej, kelnerka wycierała właśnie stoliki i napełniała zestawy z przyprawami.

— No proszę — odezwała się na jego widok. — Zastanawiałam się, kiedy pana znów zobaczę.

— Przyszedłem, żeby pani to oddać — powiedział, wyciągając w jej stronę dłoń, na której leżał srebrny krzyżyk.

— A więc sprawa już się zakończyła?

— Tak — odrzekł Marek. — A ten krzyżyk... cóż, do teraz wprawdzie nie wiem, co tam naprawdę się wydarzyło, ale uratował mi życie. Słowo honoru. Uratował moje życie i życie innych ludzi.

— Krzyżyk ten dała mi tuż przed śmiercią matka. Dostała go z okazji pierwszej komunii. Zawsze utrzymywała, że przynosi szczęście.

— Nie tylko szczęście — odparł Marek. — On posiada magiczną moc.

— Może napije pan się kawy? — zaproponowała kelnerka. — Za dawne czasy.

— Jasne — odparł Marek, zajmując miejsce przy stoliku. Kelnerka przyniosła filiżankę z parującym napojem i usiadła naprzeciwko.

— Moja matka w czasie wojny należała do AK. W powstaniu była sanitariuszką i łączniczką. Często opowiadała mi historię, jak pewnego dnia pełzła kanałami i zaplątała się w druty kolczaste. Im bardziej próbowała się uwolnić, tym bardziej się w nie motała. Spędziła pod ziemią dwa dni i dwie noce. Sądziła już, że tam umrze. Powiedziała, że w pewnej chwili zaczęła głośno płakać. I wtedy usłyszała, że coś do niej podpełza. Było to jakieś inne dziecko, ale dziwne dziecko z twarzą Dzieciątka Jezus. Matka utrzymywała, że stworzenie to bardzo długo na nią spoglądało, a następnie wyplątało ją z drutów. Później udało się jej jakoś dotrzeć do wjazdu wyjściowego i wydostać się na powierzchnię. Nigdy nikomu o tym nie opowiadała, sądząc, że wszystko to było snem.. złudzeniem.. Rozumie pan, była straszliwie przerażona, głodna i spragniona. Uważała, że tylko śniła o Dzieciątku, które przybyło jej z pomocą, a tak naprawdę sama zdołała się wyswobodzić z pułapki. Ale zawsze, gdy opowiadała mi tę historię, mówiła:

„Miało taką smutną, śliczną twarz. Dotknęło mnie, jakbym to ja była czymś cudownym tylko dlatego, że jestem zwyczajna, a ono niczego innego nie pragnęło, tylko być tak zwyczajne jak ja”.

Marek poczuł nagle, że ma w oczach łzy. Kelnerka wyciągnęła przez stolik rękę i ścisnęła mu dłoń.

— Wyglądasz na bardzo zmęczonego. Powinieneś się przespać. Chłopak skinął

głową i chrząknął.

— Chcę, żeby pani o czymś wiedziała — powiedział. — Ta historia pani matki... ona była prawdziwa.

— Wiem — odrzekła kelnerka, jakby słowa Marka wcale jej nie zaskoczyły.

Chłopak dopił kawę.

— Pani matka... — zaczął. — Czy ona jeszcze żyje?

— O, nie, umarła prawie dwadzieścia lat temu. Pochowano ją na Cmentarzu Północnym. Na jej grobie stoi brzoźowy krzyż, jak na grobach wszystkich powstańców. Ewelina Łysiak.

— To samo imię nosi pani.

Kelnerka wstała i zabrała pustą filiżankę. Nieoczekiwanie jednak pochyliła się i pocałowała Marka w policzek.

— Zawsze tu będziemy, aby cię strzec — powiedziała. — Zawsze.

W trzy tygodnie później Sarah weszła do katedry Świętego Jana na Świętojańskiej

na Starym Mieście. Był późny ranek i świątynię wypełniało słoneczne światło przesączające się przez barwne witraże. Sarah przyklękła przed ołtarzem, po czym ruszyła główną nawą.

W jednej z ławek klęczał ze złożonymi dłońmi Rej. Przepchnęła się wzdłuż niej, jakby torowała sobie drogę przez łan żyta, i przyklękła obok Stefana.

— Nadkomisarz Dembek poinformował mnie, że już wypuszczono cię ze szpitala — szepnęła. — Jak się czujesz?

— O, dobrze. Ale ciągle jeszcze mam sztywne ramię. Wyjęto mi z rany trzydzieści sześć ziarenek śrutu.

— Przyszłam, żeby ci powiedzieć, że wyjeżdżam... wracam do Ameryki.

Długą chwilę spoglądał na nią bez słowa, po czym skinął głową.

— To przez Bena — wyjaśniła. — Sprawił, że moja pozycja w firmie jest nie do utrzymania. Musiałam sama zrezygnować z pracy, bo inaczej wyrzucono by mnie dyscyplinarnie.

— Nie przejmuj się Benem — powiedział Rej. — Pewnego dnia dostanie to, na co zasłużył.

— Będzie mi brakowało Warszawy. Zaczynałam się tu czuć jak w domu... —

Urwała i po sekundzie dodała: — Ciebie też będzie mi brakowało.

— Cóż... też już tu długo nie zagrzeję miejsca. Przenoszą mnie na emeryturę.

Chcę kupić na wsi kawałek ziemi. — Wskazał głową na ołtarz. — A teraz dziękuję Bogu za to, że żyję, i za to, że nie będę do końca życia wierzył tylko w Lenina i w nic więcej. — Uśmiechnął się. — Chciałem też podziękować za to, co się wydarzyło. To okrutne nazywać to „Oprawcą”... to wcale nie było oprawcą. Nie było nawet „tym”.

— Było dzieckiem — powiedziała Sarah. — Tak, bardzo dziwnym dzieckiem... i bardzo przerażającym. Dzieckiem, które zdecydowało się robić to, na co nie powinno się nigdy zdecydować żadne dziecko.

Rej odwrócił głowę.

— Obawiam się, że w Polsce przytrafiło się to zbyt wielu dzieciom.

Sarah odczekała jeszcze chwilę, następnie położyła mu dłoń na ramieniu, odwróciła się i odeszła.

Rozdział osiemnasty

Hotel Senacki otwarto w październiku następnego roku, siedem tygodni przed

przewidywanym terminem. Koszt budowy okazał się niższy o trzy i pół miliona dolarów od zakładanego.

W trzy dni po uroczystej inauguracji nie wytrzymało zawieszenie stropu i zawalił się sufit w sali konferencyjnej. Zginęło pięć osób, a dwadzieścia siedem odniosło ciężkie obrażenia. Eksperci orzekli, że katastrofę spowodował niskiej jakości cement oraz znacznie cieńsze, niż zakładały plany, pręty zbrojeniowe.

Pośród zabitych znalazł się Ben Saunders, dyrektor Senate International Hotels na kraje Europy Wschodniej. Przygwoździł go do ziemi ważący pięćdziesiąt kilogramów płat betonu, a następnie wielka szklana płyta, która spadła z sufitu z wysokości jedenastu metrów i obcięła mu głowę.